



Grzegorz
BRUDNIK

SZAFARZ

„Realistyczna, bezpardonowa, szorstka, sięgająca najgłębszych pokładów zła i odzierająca ze złudzeń”.

MAREK STELAR

FILIA

Grzegorz BRUDNIK

SZAFARZ

FILIA

Copyright © by Grzegorz Brudnik, 2023
Copyright © by Grupa Wydawnicza FILIA, 2024

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2024

Projekt okładki: © Mariusz Banachowicz

Redakcja, korekta, skład i łamanie: Editio

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki

darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8357-440-0

FILIA

Grupa Wydawnicza Filia sp. z o.o.

ul. Kleeberga 2

61-615 Poznań

wydawnictwofilia.pl

kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona

mrocznastrona.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

ROZDZIAŁ 31

ROZDZIAŁ 32

ROZDZIAŁ 33

ROZDZIAŁ 34

ROZDZIAŁ 35

ROZDZIAŁ 36

ROZDZIAŁ 37

ROZDZIAŁ 38

ROZDZIAŁ 39

ROZDZIAŁ 40

ROZDZIAŁ 41

PODZIĘKOWANIA

Reklama

Monice

*Nie ma nic bardziej dojmującego
niż samotność w dwumilionowej metropolii*

ROZDZIAŁ 1

Dzień 365

Ostatni dzień roku chyba jeszcze nigdy w historii nie był tak gówniany. Za ciepły na zimę, za zimny na cokolwiek innego. Trudno było uwierzyć, że to coś, co tam, na górze, odrobinę rozjaśniało gęstą, lepka od brudu firanę, to faktycznie słońce. Raczej jakaś proteza. Coś, co tu przysłano, bo nie było niczego lepszego. Ot, Częstochowa, jak zawsze w ostatniej kolejności. Jak zawsze niskim kosztem. Słońce w zastępstwie, powietrze tak przepelnione pyłami, że trzeba je było wyciągać spomiędzy zębów, żółto-brunatny śnieg, który z pewnością miał w sobie więcej atomów siarki niż cząsteczek wody. Miejsce, gdzie głupieją artyści fotograficy, bo choćby nie wiadomo jak długo walczyli z ekspozycją i nasyceniem, zdjęcie i tak zawsze wychodzi czarno-białe.

I on. Nic lepszy niż ściek, w którym leżał. Nic bardziej ludzki niż duchy o rozchybotanych, rozmytych sylwetkach, które unosząc się kilka centymetrów nad ziemią, przemykały stąd tam, a stamtąd ówdzie, targając pod pachami kolorowe butelki z kolorowym alkoholem. Jedyne widoczny znak nadchodzącego sylwestra. I jedyne kolory w szarzejącym już mieście.

Pies polizał go po twarzy. Trochę czarny, trochę biały. Ni to mały, ni to duży. Co to, do cholery, za pies? Faktycznie, był tu z nim już od kilku godzin. Dwóch włóczęgów podpierających ścianę teatru imienia wieszczą. To straszne – pomyślał mężczyzna, żeby sztuka opierała się na tak marnych plecach.

Ci dwaj wyglądali podobnie i byli podobni. Człowiek i pies. Obaj zmarnowani. Obaj bez wizji jutra i nie pamiętający „wczoraj”. Wtuleni w siebie, bo tak cieplej, wygodniej, a i iluzja tego, że jest ktoś obok, to też zawsze coś.

Pies ponownie poliział człowieka po twarzy, a człowiek ponownie ledwo zareagował. Tam, w tym drugim świecie, było znacznie przyjemniej. Nic nie bolało, a dusza najmniej. Nie było zimno, nie było mokro. I nie było tak przeraźliwie źle. Dawniej ciężko mu było przeskakiwać pomiędzy tymi światami. Tam łatwo było się dostać, za to powroty były trudne. Postanowił więc wracać najrzadziej, jak tylko się da. Teraz też nie planował.

Tylko ten cholerny pies.

Otworzył oczy i zrozumiał, że to już koniec wyprawy. Powiedział mu o tym ból. Receptory bólu długo czekały na swoją szansę, a teraz, gdy w końcu poinformowano je, że nadszedł ich czas, uwolniły taką ilość proteaz, że mogłyby zalać niewielkie państwo. Ale on już to znał. Już się z tym pogodził. Jego życie po prostu tak wyglądało. Ból jako codzienna rutyna.

Szarpnął się i zdążył ułożyć tak, że wymiociny nie zanieczyściły ani jego znoszonej, trochę za dużej kurtki w kolorze nie wiadomo czego, ani psa, który widząc, co się święci, zwyczajnie dał nogę.

– Ja pierdolę – powiedział mężczyzna, bo na nic więcej zwyczajnie nie było go stać. Obraz przed oczami wciąż miał rozedrgany. Pozycja, w której leżał, ograniczała mu perspektywę. Widział chodnik pokryty błotem pośniegowym i wszystko, co znajdowało się do pół metra powyżej. Widział, że w oddali, na ulicy stoi samochód. Dość niezwykle, bo nie powinien tu stać. Zakaz. Z pewnością był tu zakaz. Widział również buty. Brązowe. Ani stare, ani nowe. Zupełnie nijakie. Ale porządne. I w miarę czyste. Z butów wystawały nogi. Widział łydki i kolana otulone znoszonym czarnym

jeanssem. Zbliżały się. W końcu dotarły na miejsce. Mężczyzna leżący na ziemi mógłby je polizać, gdyby tylko chciał. Uniósł lekko głowę i teraz jego oczom ukazała się para dłoni. Jedna naciągała na drugą lateksową rękawiczkę. Za chwilę druga odwdzieczyła się pierwszej tym samym. A jeszcze później jedna z nich wystrzeliła ku twarzy mężczyzny, chwyciła go dwoma palcami po obu stronach podbródka i zmusiła, by spojrzął w oczy jej właścicielowi.

– Jezu, Lichy – powiedział wąsaty mężczyzna – coś ty ze sobą zrobił?

Przybysz nie doczekał się odpowiedzi, ale także jej nie oczekiwał.

– Wstawaj – rozkazał, łapiąc pijaka za klapy kurtki. Miał już swoje lata, jednak był silnym i postawnym mężczyzną. Przydało mu się to teraz, bo Lichy nie był mały. Sto dziewięćdziesiąt centymetrów i dziewięćdziesiąt kilo półprzytomnego człowieka niełatwo jest podnieść z ulicy. Na szczęście Lichy już współpracował. Nieporadnie, ale łapał pion. Wciąż jeszcze musiał przeciwdziałać sile ciężenia podtrzymujący go mężczyzna, jednak to tylko jeden wektor. Bo do przodu Lichy poruszał się o własnych siłach.

Skądś nadbiegł pies. Ten sam. Trochę czarny, trochę biały. Ni to mały, ni duży, ni to ładny, ni brzydki. Za to głośny i agresywny. Obcy zamachnął się nogą, zwierzę zaskomlało i uciekło. Przecięło pustą jezdnię i zniknęło gdzieś w ozdobnym żywopłocie.

– Wsiadaj – powiedział, gdy dotarli do auta. Lichy posłuchał. Usiadł na fotelu obok kierowcy i zapiął pas.

Jechali w milczeniu, ale nie w ciszy. Wycieraczki były wyrobione, bo każdemu ich ruchowi towarzyszył nieprzyjemny pisk. Radio coś tam grało, choć więcej w tym było szumu i zakłóceń niż jakiegokolwiek muzyki. No i deszcz. Deszcz walił w dach, a Lichemu zdawało się, że wprost w jego głowę.

– Chcesz o coś zapytać? – zaczął kierowca.

– Dlaczego kopnął pan psa? – wymamrotał Lichy, wciąż jeszcze nienawykły do korzystania z aparatu mowy. Nie robił tego od kilku dni.

– Nie wiem. Naprawdę. Żałuję – przyznał kierowca.

– Bardzo śmierdzą?

– Bardzo.

Więcej słów nie było. Tylko deszcz rozbijający się o głowę Lichego.

Później gdy załoga izby wytrzeźwień na ulicy Sikorskiego oddawała podinspektorowi Andrzejowi Krzywańskiemu przysługę, stary policjant po raz pierwszy zrozumiał, że jest naprawdę zdesperowany.

– Po co ci to, Krzywy? – zapytał Kownacki, szef placówki i stary kolega Krzywańskiego jeszcze z tych mrocznych, lecz na szczęście niemal zupełnie już zapomnianych czasów, gdy umytego i przebranego Lichego w nieszczególnie delikatny sposób pozbawiano skołtunionego zarostu.

– Potrzebuję go – odparł krótko Krzywański.

– To śmieć.

– To jeden z najlepszych śledczych w kraju. Absolutnie wyjątkowy. A ja potrzebuję każdego, kto mi może pomóc.

– To się nigdy nie opłaca, Krzywy. Wiesz?

– A co się w życiu opłaca? Jestem zmęczony, Tomek. Jeśli on mi ulży, to...

– Ulży. – Kownacki się zaśmiał. – Na pewno ulży. Krzywy, to jest Lichy. Człowiek znany z tego, że za co nie złapie, zamienia to w proch. Jest jak deszcz w upalny, letni dzień. W taki, no wiesz, najgorszy, najgorętszy z dni. Kiedy krew ci bulgocze w żyłach i nie ma czym oddychać. Przychodzi deszcz. Ulewa. Schładza cię i przynosi ulgę. Tyle że nie przestaje padać, a tylko się nasila. Ulice zmieniają się w potoki, potoki występują z brzegów. Wszystko to wpierdala się do miasta i zalewa je gównem, rozumiesz? Pięć minut ulgi i miesiące sprzątanania.

– Powinieneś się zgłosić na jakiś poetycki slam, czy jak to się tam nazywa? – Krzywański zaśmiał się cierpko.

– A daj spokój.

– Ja wiem, że masz rację, Tomek. A ty wiesz, że i tak go wezmę. Bo nie mam wyjścia. Bo już działałam na granicy prawa, a z pewnością poza granicą moralności.

– Nie zazdroszczę ci.

– Słusznie.

– A Cyra?

– Co z nim?

– Też go masz u siebie. Wie o Lichym? I co ważniejsze, czy Lichy wie o Cyrze?

Odpowiedziało mu milczenie, więc wyciągnął jedyny słuszny wniosek.

– Jezu, Krzywy, będziesz tam miał grzmoty.

– Jakie grzmoty?

– Pozabijają się.

Rozległ się nieprzyjemny, wysoki brzęk i zamek kraty puścił. Z sąsiedniego pomieszczenia wyszedł odziany w biały fartuch pracownik placówki, a zaraz za nim nowy Lichy. Był nie do poznania. Przed wszystkim czysty. Miał na sobie szare dresowe spodnie i czarną, trochę za dużą bluzę, której rękawy podwinął. Włosy i zarost ogolone niemal na zero. Teraz dopiero widać było, że twarz ma niezwyklej urody. Niemal dziewczęcą.

Pracownik szybko się ulotnił i Lichy stał przez chwilę, niepewnie rozglądając się dookoła. W końcu dostrzegł Krzywańskiego i niespiesznym krokiem ruszył w jego kierunku.

– Jest i on – powiedział cicho Kownacki. – Legendarny piękny chłopiec.

- We własnej osobie. – Krzywański westchnął.
- Podobno to właśnie przez tę swoją urodę zwariował.
- Dzięki za pomoc, Tomek. Odwdzięczę się.
- Taaa, kolejną prośbą o pomoc.

Droga do Bytomia niezwykle im się dłużyła. Przede wszystkim dlatego, że ze sobą nie rozmawiali. Jakaś lokalna stacja grała amerykańskie świąteczne szlagiery, jakby zignorowała fakt, że od świąt minął już tydzień. Frank Sinatra jak zawsze dawał z siebie wszystko, jednak jego pieśń o małym bębniarzu, który nic nie miał, więc w stajence zaproponował Zbawicielowi trochę hałasu na bębnie, z trudem przedzierała się przez szумы i trzaski. Najwyraźniej antena w służbowym fiacie bravo niedomagala, choć przecież była to druga generacja i pewnie nawet młodsza niż dziesięć lat.

Krajową jedynekę na tym odcinku dawniej zwano Gierkówką. Zbudowano ją za zagraniczne pieniądze z kredytów i dlatego, że naród pomógł. Wówczas to było coś. Dwa pasy w każdą stronę, większa dozwolona prędkość, nieliczne skrzyżowania. Komunikacyjny krwiobieg Jury i Górnego Śląska. Jednak PRL nie był jednym z tych fit-młodzieńców. Przeciwnie. Nie dbał o siebie przesadnie, więc i jego żyły były zatłuszczone, przewężone złoгами i z wyraźnymi zmianami miażdżycowymi. Przez to wlekli się w tłumie aut, z rzadka jedynie przekraczając sześćdziesiątkę. Z nieba padało coś, czego śniegiem nie określiłaby żadna z definicji, a jedynie z braku lepszego słowa tak właśnie ów opad nazywała radiowa pogodynka. Nim dolatywało do szyby, było już jedynie mokrą, brudną plamą, natychmiast odsyłaną do lokalnej zlewni przez bez wytchnienia pracujące wycieraczki.

Krzywański skupiony był na drodze, a jechało mu się tak źle, że ledwo dał radę zerkać w lusterka, a co dopiero na swojego pasażera. Jednak kilka

razy mu się udało. Lichy zdawał się być nieobecny. To oczywiste, że alkohol wciąż go otępiał, czy to jednak możliwe, by człowiek zabrany w środku dnia wprost z ulicy przez obcego człowieka, nie miał zupełnie żadnych pytań? Bo Lichy nie miał. A jeśli miał, to nie zdecydował się ich zadać.

– Wiesz, kim jestem? – zapytał w końcu Krzywański. Lichy nie spojrzał na kierowcę, ale wykonał jakiś dziwny ruch głową. Mógł oznaczać potwierdzenie, zaprzeczenie, właściwie cokolwiek.

– Wiesz? – powtórzył kierowca.

– Z policji – odpowiedział cicho Lichy.

– Podinspektor Andrzej Krzywański.

– Aha.

I na tym rozmowa się skończyła.

Pod starą, zrujnowaną kamienicą na ulicy Kościelnej w Bytomiu zajechali koło dwudziestej drugiej. Gdy wysiedli z auta, zrobiło się bardzo nieprzyjemnie. Niezidentyfikowany opad nasilił się jeszcze, a w dodatku chwycił mróz. Działała tylko jedna uliczna latarnia. Okoliczni mieszkańcy zazdrośnie strzegli tej odrobiny światła, która im jeszcze została w dobie energooszczędnych niskowatowych żarówek. Okna mieli pozasłaniane grubymi storami, nijakimi roletami o trudnym do określenia kolorze i w gruncie rzeczy trudnej do określenia funkcji, a gdzieś tam nawet starymi, metalowymi żaluzjami, modnymi w połowie lat dziewięćdziesiątych.

Jednak nawet mimo zalegającej ciemności, Lichy widział tabliczkę przymocowaną po lewej stronie od drzwi, ku którym skierował się Krzywański, informującą, że kamienica grozi zawaleniem i wstęp do niej jest surowo zabroniony. Tak właśnie napisano. Surowo zabroniony. Lichy zawsze się zastanawiał, skąd potrzeba stosowania przysłówka w tym

sformułowaniu. Czy bez niego zakaz byłby mniej jednoznaczny? Czy w ogóle zakaz można jakoś stopniować?

Okna kamienicy zabite były deskami, a fasadę otulała siatka zabezpieczająca. Tak na wypadek, gdyby jakaś cegła lub inny element konstrukcji postanowił spaść komuś na głowę. A jednak podinspektor pogmerał chwilę przy starym, topornym zamku, a następnie pchnął drzwi i wszedł do środka. Lichy zdążył jedynie dostrzec rękę policjanta, która przyzywała go niecierpliwym, trochę rozedrganym ruchem.

– Pośpiesz się – powiedział Krzywański. – Nie możemy tu zwracać na siebie uwagi.

Lichy wzruszył ramionami i wszedł do środka. Krzywański zamknął za nim drzwi i na chwilę zrobiło się zupełnie ciemno. Potem dał się słyszeć dziwny, nieprzyjemny dla ucha dźwięk i głośne kliknięcie. Drzwi, które tym razem się otworzyły, nie były już tymczasowe. Do pomieszczenia wpadło światło i Lichy mógł mu się w końcu przyjrzeć. Było czymś w rodzaju przedsionka. Czy też może raczej zmyłki dla przypadkowych miejskich eksploratorów albo pijaczków szukających schronienia przed deszczem.

– Zamek na kartę? – zdziwił się. – W tej ruderze?

– Chodź – powiedział Krzywański, wykonując zapraszający gest.

Po minięciu drzwi znaleźli się we właściwej części kamienicy. Paliło się światło i łatwo było dostrzec, że choć budynek lata świetności ma za sobą, to bardzo daleko mu było do statusu „grozi zawaleniem”.

– Jedną z nie do końca oficjalnych policyjnych nieruchomości – wyjaśnił podinspektor, najwyraźniej czytając w myślach swojego gościa. – Przejęliśmy ją od jednego z pomniejszych lokalnych gangów i wykorzystujemy przy różnych okazjach. Z zewnątrz wygląda przeciętnie, ale przekonasz się, że pozwala na komfortową pracę.

Schody były drewniane i nieprzyjemnie skrzypiały pod nogami. Lichy pomyślał, że taki właśnie dźwięk musi towarzyszyć potępionym, zepchniętym w czeluść piekła. I zdecydowanie nie chciałby zostać jednym z nich. Odruchowo przytulił się do ściany w tej mozolnej wspinaczce na drugie piętro. W klatce śmierdziało wilgocią i trutką na gryzonie. Lichemu zrobiło się niedobrze i nagle odczuł obawę, że zaraz doda coś od siebie do tej niezwyklej palety zapachów. Nim to jednak nastąpiło, dotarli na miejsce. Krzywański ponownie przyłożył kartę do niewidzialnego czytnika, zabzyczało, kliknęło i drzwi stanęły otworem.

Lokal był usytuowany na przedostatnim oraz ostatnim piętrze i posiadał wewnętrzną klatkę schodową. Było nie tylko czysto, ale całość nosiła nawet ślady jako takiego gustu. Białe ściany poprzeplatane były czarnymi panelami. Na podłodze prawdziwy, pomalowany na czarno parkiet. Wystrój skromny, ale elegancki. Trochę jak *foyer* niewielkiego, prywatnego teatru.

– Tu pracujemy – powiedział Krzywański. – A piętro wyżej śpimy. Każdy ma swój kącik. Potem cię oprowadzę. Póki co, czekają na nas.

Poprowadził go na sam koniec długiego, wąskiego korytarza, a tam skręcili w lewo i znaleźli się w dużym salonie, służącym trochę za *livingroom*, a trochę za salę konferencyjną. Szum rozmów zniknął, gdy tylko Krzywański wszedł do pomieszczenia. Lichy rozejrzał się, taksując spojrzeniem ludzi siedzących przy długim i szerokim szklanym stole. U szczytu, ze wzrokiem zatopionym w komórce, siedział młody mężczyzna o bliskowschodniej urodzie. Raczej nic go szczególnie nie zajmowało, a zainteresowanie ekranem komórki po prostu udawał, bo wchodząc do pomieszczenia Lichy zdążył jeszcze zauważyć, jak chłopak pośpiesznie zdejmuje nogi ze stołu. Był więc wystarczająco skupiony, by uniknąć bury od szefa. Bo już od pierwszej chwili Lichy nie miał wątpliwości, że

Krzywański jest tu szefem. Po lewej stronie siedziały dwie kobiety, jeszcze przed chwilą zajęte rozmową. Jedną, brunetkę, Lichy w myślach określił jako wyjątkowo udaną kandydatkę do podjęcia zadań polegających na zaspokojeniu jego potrzeb seksualnych. Bo nie zaspokajał ich od dawna. Zgodziłaby się? Może później zapyta. Druga, blondynka, raczej nigdy na jego listę nie trafi. Nie była brzydka. Może nawet ładniejsza niż ta pierwsza, ale po prostu mu się nie podobała.

Zganił się w myślach za seksizm. Ale szybko znalazł dla siebie usprawiedliwienie. Bo mężczyźni zawsze je znajdują.

Po prawej, trochę dalej od stołu, a bliżej okna wyglądającego na piękny toskański krajobraz, niestety jedynie naniesiony na fototapetę, siedział mężczyzna, który wyraźnie tam nie pasował. Był pewnie ze dwa razy starszy od wszystkich pozostałych, z wyłączeniem jedynie Krzywańskiego. Już jakiś czas temu musiał przekroczyć siedemdziesiątkę. Starczą łysinę na czubku głowy okalały rzadkie siwe włosy. Wąsy, choć siwe, miał za to gęste, sięgające niżej niż kącik ust i niemodne od przynajmniej trzech dekad. On z nikim nie rozmawiał. W ręku nie trzymał telefonu. Wpatrywał się za to w Lichego z wyraźnie widoczną w oczach mieszanką zaciekawienia i pogardy.

No i był jeszcze mężczyzna podpierający ścianę po lewej stronie. Trochę dalej od reszty. Bardzo dobrze wyglądający blondyn, w wieku Lichego, ale bez wątpienia prezentujący się o dwie klasy lepiej. Modnie podarte jeansy i biały, obcisły T-shirt na imponującej, choć nie karykaturalnej muskulaturze. On również wpatrywał się w Lichego, ale w jego wzroku nie było zaciekawienia. Pogarda jak najbardziej.

– No dobrze – powiedział Krzywański, zwracając się do Lichego. – Zaraz ci wszystkich przedstawię, ale przypuszczam, że teraz w końcu chciałbyś zadać jakieś pytania.

– Nie.

– Słucham?

– Nie mam żadnych pytań.

– Jak to możliwe? – Dowódca westchnął.

– Po prostu – odparł Lichy. – Nie mam żadnych i wychodzę.

Obrócił się i skierował ku drzwiom. Nim jednak zdążył do nich dotrzeć, blondyn doskoczył do niego, chwycił za bluzę, aż dało się słyszeć pęknięcie szwów w okolicy kołnierza, i pchnął przed siebie tak mocno, że Lichy posadził tyłek na szklanym blacie. Przeciwnik znów do niego doskoczył. I ponownie bluza Lichego stała się o pół rozmiaru szersza.

– Posłuchaj grzecznie, co dowódca ma ci do powiedzenia – syknął blondyn – bo wiele trudu go kosztowało, by znaleźć i przywieźć tu twoją śmierdzącą dupę, przy absolutnym sprzeciwie każdego w tym pomieszczeniu, a moim szczególnie.

– Cyra – warknął Krzywański i blondyn natychmiast podniósł ręce do góry, pokazując, że co złego, to nie on, bo przecież chciał tylko pomóc.

W pomieszczeniu zapanowała cisza. Nikt się nie kwapił, by powiedzieć cokolwiek, a najmniej Lichy. Jednak to on ostatecznie odezwał się jako pierwszy.

– Przepraszam, panie inspektorze – powiedział do Krzywańskiego, jednak patrząc prosto w oczy blondyna. – Przykro mi, że pana zawiodłem. Po prostu nie mogę przebywać w towarzystwie tego człowieka. Gdy widzieliśmy się poprzednio, jakimś cudem udało mi się go nie zabić. Boję się, że następnym razem może mi się nie udać. A nie chciałbym reszty życia przesiedzieć w kryminale.

– Następnym razem połamię ci wszystkie kości, zachlany śmieciu – powiedział Cyra i niespodziewanie roześmiał się, jakby sam fakt, że ktoś

taki jak Lichy chciałby się z nim mierzyć, był naprawdę dobrym żartem. Ale wyszło słabo. Nikt do niego nie dołączył, więc szybko zamilkł.

– Nie jestem kobietą, Cyra – odparł cicho Lichy. Twarz blondyna stężała, a zaraz potem pokryła się purpurą. Zapanował jednak nad sobą. Zrozumiał, że słowa Lichego przeznaczone były dla niego i nikt inny ich nie usłyszał. To nie był dobry moment na wszczynanie awantury.

Tymczasem Lichy dotarł już do drzwi, a nawet zdążył je otworzyć. W ostatniej chwili pomyślał, że mimo wszystko niegrzecznie jest wyjść bez pożegnania. Dlatego w progu odwrócił się i powiedział:

– Nie wiem, co tu robicie, ale ja wam się nie przydam. Nie zajmuję się już tym. Lepiej będzie, jak sobie pójdę.

– Czekamy – powiedział cierpko Krzywański.

– Słucham?

– Nie wiesz, co tu robimy, więc odpowiadam „czekamy”.

– Jak dla mnie, możecie sobie czekać nawet na Godota. Ale zapewniam, że prędzej on tu przyjdzie niż ja.

– Czekamy na morderstwo.

Lichy przeklął się w duchu, bo natychmiast zdał sobie sprawę, że jego wahanie trwało o ułamek sekundy za długo. Wciąż mógł jeszcze udawać, że usłyszana informacja nie zrobiła na nim wrażenia, ale nikt by już w to nie uwierzył. Gdyby teraz wyszedł, czekali by, aż wróci. A nie chciał, by czekali. Gdzieś za oknem jakaś lokalna para oddawała się werbalnym potyczkom, on krzyczał, ona jeszcze głośniej. Słów nie dało się rozróżnić, ale czy w takich sytuacjach słowa naprawdę są ważne? Czy wczoraj nie kłócili się o coś innego? I czy jutro nie będzie tak samo?

– Cóż – powiedział Lichy i aż się zawstydział tak banalnym rozpoczęciem myśli. Cóż? Przecież ludzie tak nie mówią, do cholery. –

Zawsze mi się zdawało, że wy macie zapobiegać morderstwom, a nie na nie czekać.

– No właśnie – przytaknął Krzywański, a Lichy chyba po raz pierwszy dostrzegł, jak bardzo zmęczony jest dowódca. Być może to sam odzyskał nieco przytomności i wróciła mu umiejętność dostrzegania szczegółów, którą tak w sobie cenił. Ba, którą uważał za jedyne, co posiada cennego w życiu. A być może nieprzyjemne, rozedrgane światło z brzęczących pod sufitem świetlówek tak wydobyło z twarzy Krzywańskiego wszystkie cienie i szarości, że teraz zdawała się w całości pokryta czerniejącymi porami oraz szczeciniastym, sztywnym zarostem człowieka pozbawionego ciepła i jakiegokolwiek miękkości.

– Usiądź – poprosił Krzywański głosem człowieka, któremu jest już wszystko jedno. – Opowiemy ci o szczegółach. Wiedz po prostu, że cię potrzebujemy.

– Nie. Nie wiem, kogo potrzebujecie, ale na pewno nie mnie.

– Zapewniam cię, Lichy, że...

– Myślicie, że was nie znam?! – krzyknął niespodziewanie Lichy i przetoczył ciężkim, nieprzyjemnym spojrzeniem po zgromadzonych. Zatrzymał się na blondynce. – Warszawska komisarz z wydziału zabójstw. Usunięta ze służby za fałszowanie dowodów.

Blondynka się nie poruszyła. Ręce wciąż miała skrzyżowane na piersi. Tylko twarz jej stężała, a źrenice rozszerzyły się nieco, na tyle, by z jej spojrzenia wypłynęło jeszcze więcej nienawiści i pogardy.

– Obok kolejna komisarz z Warszawy – kontynuował Lichy wciąż podniesionym głosem. – Narkotyki, tak? Jak to się mówi, lubiąca przyjmować korzyści majątkowe. Po drugiej stronie Rusek z Gdańska, specjalista od baz danych. Zwolniony za wyprowadzanie poufnych informacji.

Mężczyzna o ewidentnie bliskowschodniej urodzie uśmiechnął się nieznacznie i niedbale przyłożył palec do czoła. Jakby chciał powiedzieć „no się ma, byku, tak, to właśnie ja”.

– O człowieku stojącym przy ścianie to nawet mi się nie chce gadać – kontynuował Lichy.

– I do tego wszystkiego jeszcze ty – parsknęła blondynka – bezdomny żul, wydalony ze służby za notoryczne pijaństwo.

– Tak – przyznał Lichy. – Właśnie. Do tego wszystkiego jeszcze ja. Więc co to jest, do cholery? Jakaś parszywa dwunastka? A ty? – zwrócił się do starszego mężczyzny. – Co ty zrobiłeś, że zasłużyłeś na wątpliwy zaszczyt przebywania z nami wszystkimi w jednym pomieszczeniu?

– Ja... – powiedział wąsacz i urwał na chwilę, jakby wpatrywał się w nieprawdziwe okno z nieprawdziwym widokiem i szukał prawdziwego natchnienia. – Ja jestem z was wszystkich najgorszy. Bo nie złapałem człowieka, który zamordował osiem kobiet.

Znów trochę za długa zwłoka. Znów nie uwierzą, że Lichy ma to wszystko gdzieś. Szlag...

– Życzę ci, byś go znalazł i odzyskał spokój – powiedział w końcu, już cicho i bez złych emocji. – A wszystkim pozostałym... No, czego tam sobie chcecie. Ja w każdym razie wychodzę. Nie potrzebuję tego rodzaju terapii. Ani odkupienia.

– Mówiłem wam – wysyczał Cyra, nie odrywając się od ściany. – To bezwartościowy śmieć. Nie, to cały kubeł na śmieci.

– Ten kubeł właśnie się wynosi. – Lichy się zaśmiał, ponownie chwytając klamkę. – Wasze kubły tego nie potrafią, no nie?

– I co będziesz teraz robił? – zapytał Błogojew, ten od baz danych. – Najebiesz się w parku?

– A i owszem – odparł Lichy. – W końcu jest sylwester, prawda?

Gdy tu wchodził, na niewysokiej komodzie przy samych drzwiach zauważył butelkę Jim Beama. Do połowy opróżnioną. Teraz zamierzał ze swojego odkrycia zrobić użytek.

– A to – powiedział, podnosząc butelkę i chowając ją w wewnętrznej kieszeni kurtki – zabieram sobie za fatygę.

I wyszedł. Szybkim krokiem zbiegł po schodach, jakby się bał, że coś za nim będą krzyczeć i znajdą w końcu słowa, które osadzą go w miejscu i zmuszą, by ich wysłuchał. Znał swoje słabości. Ciekawość z pewnością była jedną z bardziej problematycznych z nich wszystkich. Schody już nie skrzypiały, a jęczały rozpaczliwie pod jego ciężkimi krokami.

Drzwi od wewnątrz dało się otworzyć bez karty. Pchnął je, potem kolejne i znalazł się na chodniku przed kamienicą. Zimno uderzyło go pięścią prosto w twarz, aż nogi się pod nim ugięły. Ale ustał. Kurtka, którą dostał w częstochowskiej „wytrzeźwialce” całkiem nieźle pasowała. Teraz przydawało się, że była trochę za duża. Naciągnął kołnierz, tak, że skutecznie chronił go od niesionego wiatrem ni to śniegu, ni to innego gówna, potem schował dłonie w przydługich rękawach i w końcu zrobiło się znośnie. A ciężar w lewej kieszeni zwiastował, że wkrótce będzie jeszcze cieplej.

Jak ona powiedziała? Żuł wydalony ze służby za notoryczne pijaństwo? A więc taka jest oficjalna wersja? Żeby to było takie proste. Jak ona się nazywała? Martyna? Martyna jakaś tam. Pamiętał jej sprawę. Nawet trochę mu było głupio, że tak na nią naskoczył. Była niezłą śledczą. Polowali na zwyrodnialca, który próbował zgwałcić kobietę. Broniła się, więc pociął jej nożem twarz. Złapali go. Na rozpoznaniu ofiara była pewna, że to on. Potem już mniej. Dowodów było dużo, ale każdy do podważenia. W śmietniku kilka przecznic od domu zwyrodnialca znaleźli zakrwawiony nóż. Ale bez odcisków palców. Krew należała do ofiary, ale nie dało się go

powiązać ze sprawcą. Martyna jakaś tam weszła do jego mieszkania i schowała nóż w przewodzie od piecyka gazowego. A kilka godzin później ktoś inny go znalazł. Niestety, nie wiedziała, że dzień wcześniej dwa piętra wyżej ktoś poważnie zatrzał się czadem i firma świadcząca dla zarządcy budynku usługi kominiarskie zrobiła dokładny przegląd instalacji budynku. W tym również, w asyście policji, w mieszkaniu sprawcy. I noża tam nie było. Lichy nie miał cienia wątpliwości, że na miejscu Martyny jakiegś tam zrobiłby dokładnie to samo.

Szum ludzkich rozmów stawał się coraz bardziej nieznośny. Zbierali się już w grupki i kierowali w stronę rynku, gdzie głośne piski i trzaski wyraźnie świadczyły, że za kilka chwil na scenę wejdzie jakiś Rynkowski czy inna Kozidrak, żeby uświetnić swą osobą pokaz fajerwerków.

Lichy postanowił pójść w przeciwną stronę. Nie po to miał pół butelki Jima Beama, żeby znosić obecność ludzi.

ROZDZIAŁ 2

Dzień 1

Największym dramatem Lichego było to, że nie znosił alkoholu, a kolorowych wódek w szczególności, choć to je właśnie zwykle wybierał. Nie lubił tego uczucia, jakby wlewał sobie do gardła roztopiony ołów. Nie lubił mdłości, ani tego, co fundował mu jego własny żołądek w trakcie, a jeszcze bardziej nazajutrz. Nie lubił smrodu rzygowin, w których zasypiał i budził się w miejscach, których nie znał i nigdy nie chciał poznawać.

Nie, Lichy nie był złem. Nie był nawet zwykłym pijakiem. Po prostu rozpaczliwie szukał tych nielicznych chwil, kiedy mógł nie żyć. Kiedy przenosił się do tamtego świata, gdzie nic nie bolało, gdzie myśli wydostające się z głowy nie miały jadowych zębów, które nie dość, że rozgryzały go od środka, to jeszcze dzień w dzień, minuta po minucie, sekunda po sekundzie, wtaczały mu w krew toksyny.

Tam właśnie planował się teraz udać, choć zdawał sobie sprawę, że pół jima raczej nie wystarczy. No trudno.

Szedł przed siebie, zupełnie bez celu. Czyli jak zawsze. Kiedy miał w życiu jakiś cel? Zanim wyrzucili go z pracy, którą w sumie lubił, a przynajmniej w której się sprawdzał? A może zanim wyrzuciła go Róża? Ze swojego domu i ze swojego życia. Nie, nie. Przecież wyrzuciła go właśnie dlatego, że żył bez celu. Bo czy naprawdę zawsze trzeba żyć po coś?

Mimo iż od wyjścia z kamienicy nawet nie wyciągnął butelki z kieszeni i tak musiał mu się urwać film. Nie tak klasycznie, jak zwykle, kiedy pił.

Przecież trzymał pion, a nawet się przemieszczał. Tyle że czas się nie zgadzał. Musiała mu gdzieś umknąć godzina, bo gdy szedł ulicą Wrocławską, nagle gdzieś nad głową usłyszał głośniejszą eksplozję. Potem kolejną i kolejną, aż w końcu zlały się w całość i przestał je zauważać. Teraz do jego uszu dobiegało wyłącznie drżenie szyb, krzyki ludzi i skomlenie psów. To ostatnie wkrótce wybiło się na pierwszy plan. Pomyślał o tym nieszczęsnym częstochowskim kundlu. Gdzie teraz był? Jak sobie radził? Jak w ogóle ulicznicy jego rodzaju radzą sobie z tym całym fajerwerkowym szaleństwem? Gdy w zasięgu wzroku nie ma stołu, pod który można wleźć, fotela, za którym można przycupnąć albo przynajmniej przyjaciela, który ukryje w swoich ramionach.

Nowy, pierdolony rok.

Od tych wszystkich smoczycy ogni, tańczących gwiazd, wulkanów radości i innych pirackich kartaczy, rozrywających niebo kolorowymi rozbłyskami, rozboleła go głowa, więc Zieleniec przy ulicy Stefana Batorego naraz wydał mu się przyjemnym azylem. Wszedł do środka i wybrał ławkę dokładnie pośrodku przecinającej park alejki. Jak najdalej od każdego z wejść.

O Boże, ależ on nienawidził sylwestra.

Jim mu przytaknął. A potem ponownie. Ciepła fala rozlała się po ciele Lichego. Temperatura ustabilizowała się nieznacznie poniżej zera, ale wiedział, że nie przetrwa tu nocy i prędzej czy później będzie musiał wyruszyć gdzieś, gdzie jest ciepło i skąd go na pewno nigdy nie wyrzucą. A znał tylko jedno takie miejsce.

Nim jednak zaczął akademicką dyskusję z samym sobą na temat tego, czym jest, a czym nie jest dom, w swoim wąskim i chybotliwym polu widzenia ujrzał szarpiącą się parę. Na oko porządni ludzie. Porządnie ubrani. Porządnie uczesani. Porządnie pachnący. Ludzie z dobrych

domów, z uczciwymi i atrakcyjnymi pracami, zapewne z portfelami wypełnionymi pieniędzmi, a być może również swoimi zdjęciami, które wymienili kiedyś, ale już o tym zapomnieli. I ci porządni ludzie szarpali się na ulicy jak jakaś lokalna patologia.

– Puszczaj! – krzyknęła kobieta, nieco za ostro i zbyt dramatycznie, bo mężczyzna wprawdzie trzymał ją mocno za przeguby dłoni, ale żadną częścią siebie nie sprawiał wrażenia, jakby chciał ją skrzywdzić.

– Lili... – Mężczyzna najwyraźniej próbował negocjować, ale raz, że przemoc fizyczna rzadko w tym pomaga, a dwa, że i płaczący się język nie dawał skutecznego wsparcia.

– Puszczaj! – krzyknęła ponownie, a Lichy w końcu zrozumiał, że to komunikat skierowany do niego.

– Ej – powiedział niezbyt głośno, ale wystarczająco dosadnie, w dodatku kierując palec wskazujący w stronę mężczyzny. – Zostaw ją i idź sobie.

– Bo co?! – wrzasnął tamten. Lichy wyczuł, że mężczyzną bardziej niż złość kieruje desperacja. A może nawet wstyd? To ten moment, kiedy zwykły facet zostaje przyłapany na czymś, co naprawdę źle wygląda. Gdy zdaje sobie sprawę, że posunął się odrobinę za daleko, a z boku wygląda to tak, jakby nie znał zasad. Jakby był jednym z tych, którymi na co dzień gardzi.

Lichy westchnął i wstał. Nic więcej nie musiał robić. Bo choć nie miał już siły trzymać się prosto, a krok miał zdecydowanie niepewny, to jednak był wyższy od gościa o dobre dwadzieścia centymetrów i o tyle samo, ale w kilogramach, cięższy. Mężczyzna dostrzegł to i puścił kobietę. Jeszcze drobniejszą od niego. Rzucił jej spojrzenie przepełnione bólem, odwrócił się i odszedł.

– Dzięki – powiedziała kobieta do pleców Lichego, bo ten już kierował się z powrotem ku ławce. Usiadł i zamierzał powrócić do przerwanej wymiany poglądów z jimem, jednak nie dane mu było zaznać spokoju tej nocy.

– On się zwykle tak nie zachowuje – powiedziała Lili.

– Aha.

Chwilę mu się przyglądała, a po krótkim wahaniu usiadła na ławce obok niego.

– Poczęstujesz? – zapytała.

Bez słowa podał jej butelkę. A w każdym razie bez słowa wypowiedzianego na głos. Bo wewnątrz aż się gotował. Czy naprawdę tak dużo oczekiwał od życia? Odrobiny samotności i ilości alkoholu, którą mógłby spożyć w pojedynkę? Czego znowu chciała od niego ta kobieta? Będzie z nią musiał rozmawiać? Będzie musiał się dzielić jimem? Czy już nawet bycie pijakiem i włóczęgą nie odstrasza ludzi?

– Nazywam się Liliana Wejhert – powiedziała kobieta, wyciągając ku niemu dłoń.

– Miło mi cię poznać, Liliano Wejhert – odparł i podniósł się, by osiągnąć jeden z dwóch efektów. Ten bardziej pożądanym, gdy ona zrozumie, że nie jest mile widziana na jego ławce lub ten drugi, gdy po prostu sam pójdzie sobie poszukać nowego miejsca.

– Nie poznajesz mnie? – zapytała nagle dziewczyna.

Dziewczyna? Kobieta? Przyjrzał jej się. Musiała być koło czterdziestki, ale sprawiała wrażenie młodszej. Może przez młodzieżową pikowaną kurteczkę w fioletowym kolorze. A może przez młodzieżowy makijaż. Również w dużej mierze fioletowy. Przynajmniej na oczach.

– Przepraszam, ale nie – odparł.

– Nie szkodzi, nie szkodzi. – Zaśmiała się. – Może to i lepiej.

– Może.

Chwila ciszy.

– Rozumiem – powiedziała w końcu. – Nie masz ochoty na towarzystwo.

– Dziękuję.

Faktycznie. Nie miał ochoty. Chciał dopić tego pierdolonego jim beama, po czym złapać jakiś nocny autobus i udać się do swojej meliny na Chropaczowie. Miejsca, którego wciąż nie potrafił nazywać domem, a jednak jedyne, w którym mógł się naprawdę schować przed światem.

I wówczas ujrzał policyjny radiowóz. Sunął powoli i bezszelestnie środkiem alejki, rozświetlając park na niebiesko.

– Co jest? – zapytała zaskoczona Liliana.

Nie uzyskała odpowiedzi. Radiowóz zatrzymał się obok nich i wysiadło z niego dwóch policjantów.

– Rafał Lichy? – zapytał kierowca.

– Ja pierdołę. – Lichy westchnął.

– Najlepszego w Nowym Roku – powiedział drugi policjant. – Zapraszamy z nami.

I Liliana Wejhert została sama. Nikt się nie raczył nawet do niej odezwać. Życzenia najwyraźniej też jej nie dotyczyły. Wzruszyła ramionami i sobie poszła.

Tymczasem radiowóz jechał szybko, choć bez sygnałów. Dojechanie na miejsce zajęło im sześć minut. Lichy nie znał tej części konurbacji, co było dość dziwne. Od jakiegoś czasu melinował na świętochłowickim Chropaczowie, ledwie pięć kilometrów na południe stąd, od trzech lat bujał się pomiędzy Gliwicami a Katowicami, ale dotąd szczęśliwie udawało mu się unikać Bytomia. Przynajmniej w ostatnich latach.

Dlatego teraz nie potrafił określić, dokąd właściwie go wiozą. Pokonali wiadukt nad jakimiś torami i zaraz skręcili w lewo. Kilka sekund później asfalt się skończył i zaczęło nieco trząść. Kierowca szarpał kierownicą to w lewo, to w prawo, by ominąć dziury. W końcu oczom Lichego ukazało się kilka chaotycznie rozstawionych radiowozów. Wszystkie miały zapalone światła, ale żaden nie pulsował na niebiesko.

– Wysiadaj – powiedział kierowca, gdy w końcu się zatrzymali. Lichy nie miał zamiaru wdawać się w dyskusję i opuścił pojazd. Oślepiiony reflektorami przez chwilę miał problem z orientacją, a nim sobie z tym poradził, wyrósł przed nim Krzywański.

– Nie poddasz się, co? – wycharczał Lichy.

– Nie. Chodź za mną – powiedział Krzywański, po czym odwrócił się i ruszył przed siebie dość szybkim krokiem. Lichy westchnął i ruszył w ślad za dowódcą. Pierwszy krok nieomal zakończył się upadkiem i dopiero wówczas zrozumiał, że pod nogami ma błoto. Wzrok przyzwyczajał mu się powoli do niecodziennych warunków oświetleniowych. Obejrzał się za siebie i ujrzał niewysoki biały budynek, na którym czarną farbą naniesiono trzy litery. BBk. Bytom Bobrek. Nastawnia wykonawcza. Faktycznie. Przypomniał sobie, że już tu kiedyś był.

Jego bratu zależało, by po gimnazjum Lichy kontynuował kształcenie w jednym z prestiżowych bielskich liceów, w „piątce” albo ewentualnie w „jedyńce”. Świetne szkoły i blisko od ich rodzinnego Międzybrodzia Żywieckiego. Tylko brat nie wiedział wówczas, że Lichy przede wszystkim chciał być z dala od niego, więc wybrał gliwicką „jedyńkę”, dziewiąte na liście najlepszych liceów w województwie i dziewięćdziesiąte w całej Polsce. Zbyszek nie mógł tego przeboleć, ale on, Rafał Lichy, wspomina ten okres jako najpiękniejszy w swoim życiu. Szczególnie ostatni rok, niedługo przed egzaminem dojrzałości, kiedy jako najlepsza klasa maturalna

w szkole byli już tak dobrze przygotowani, że sami sobie przyznali trochę luzu. I zamiast zakuwać z tymi, którzy nie potrafili dotrzymać im kroku, urządzali sobie miejską eksplorację. A szczególnie lubili przyjeżdżać właśnie tu. Do pobliskiej koksowni, wybudowanej na zgliszcach Huty Bobrek. Huta, jak to huta, upadła po zmianie ustroju, ale prywatne pieniądze natychmiast wyczuły dla siebie szansę na dobry biznes niewielkim kosztem. Przyjeżdżali ostatnią kolejką z Gliwic na stację Bytom Bobrek, a potem, przyczajeni w krzakach, czekali na skład węglarek, przejeżdżający tamtędy zawsze o tej samej porze i zawsze na tyle wolno pokonujący rozjazdy, by dało się wskoczyć na bufory między wagonami. A gdy już im się to udało, za kilka minut, przez nikogo nie zauważeni, wjeżdżali wprost na teren obiektu, a raczej z całą pewnością jednego z kręgów piekła, stworzonego jednak nie przez genialny, a przy tym bez wątpienia szalony umysł Dantego, a ręką cywilizacji, która szaleństwo przekuła w metodę. To był inny świat. Wielkie stalowe piece pluły w niebo żywym ogniem. W każdym innym zakładzie taki pożar skutkowałby zakrojonymi na szeroką skalę działaniami pożarniczymi i ewakuacją okolicznej ludności. Ale nie tu. Tu tak właśnie miało być. Ogień krążył w krwiobiegu zakładu. Wylewał się z baterii koksowniczych, podróżował w wagonach ciągniętych przez lokomotywy prowadzone niewidzialną ręką przemysłu. Nie było widać ludzi, tylko maszyny wprawiane w ruch przez pieniądze z wolnego rynku i budynki, które od lat tych pieniędzy nie oglądały. Wzniesione na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku, zapewne nigdy nie remontowane, dziś nie miały okien, a z dachów sypał się gruz. A jednak nadal służyły dokładnie temu samemu, co przed dekadami. Tak pociągający młodzież *industrial* z początku dwudziestego pierwszego wieku w najczystszej postaci.

Jednak, prawdę powiedziawszy, nie dlatego chłopaki tak często przyjeżdżali w to miejsce. Nie o obcowanie z kulturą przemysłową chodziło. Po prostu ganiecie się z tamtejszymi ochroniarzami dawało najwięcej frajdy. To nie były jeszcze czasy, kiedy za włamanie na teren obiektu przemysłowego władza sądownicza mogła przybić wyrok za terroryzm, ale rosące jak grzyby po deszczu firmy ochroniarskie robiły wszystko, by wykroić dla siebie jak największy kawałek rynku. I musiały raportować skuteczność w działaniach.

Tak więc, ganiłi ich. Młode byczki w czarnych mundurach, zwykle niespełnieni policjanci, a jednak z namiastką władzy w ręku. Albo i spełnieni milicjanci, zwykle zomowcy, których po przemianach ustrojowych zwyczajnie nie udało się wybronić od ich własnej przeszłości, wciąż nie mogący się pogodzić z faktem, że obywatel nie jest im już winien podszytego strachem szacunku. Ba, wprost gardzi nim, starym człowiekiem, co całe swoje życie oddał przecież ojczyźnie. No, ale jak przez trzydzieści lat pałowałeś ludzi, to czego się, kurwo, spodziewasz?

Ganiłi ich po wyrytych w betonie klatkach schodowych, pordzewiałych suwnicach już dawno pogrzebanych pod pyłem z sypiących się tynków, po hałdach zwałonego koksu, bocznicach kolejowych, w końcu przez nastroszone drutem kolczastym mury i po sąsiadującym z obiektem osiedlem familoków, ale takim prawdziwym, zapomnianym przez Boga i ludzi. Nie kolorowym, wymuskany Nikiszowcu, gdzie zagraniczni turyści przyjeżdżali sobie robić zdjęcia, a tam, gdzie z lepszym aparatem zwyczajnie lepiej nie wchodzić. Kiedyś nawet już po tym, jak w końcu zgubili ochroniarzy, na ulicy cholernego Czajkowskiego, obkoczyli szybki wpierdol od kibiców Polonii Bytom, świętujących właśnie udane spotkanie przy grillu ze współbiesiadnikami połączonych sił katowickiej Gieksy i zabrzańskie Górnika. Śmiechu było co nie miara.

Lichy nie mógł uwierzyć, jak bardzo zmieniło się to miejsce. W tamtych czasach, w miejscu, gdzie teraz tonął po kostki w błocie, był jeszcze peron. Nastawnia dysponująca ustawiona była dalej na zachód i po drugiej stronie torów. Wciąż drepcząc za Krzywańskim, Lichy ujrzał bryłę dawnego budynku dworcowego. Już kiedy odwiedzał to miejsce po raz ostatni, budynek był zrujnowany, jednak wówczas wciąż spełniał swoje zdanie. Teraz była to tylko ruina o zamurowanych oknach i drzwiach. Piękny dworek, wybudowany przeszło sto lat temu w duchu historyzmu, eklektyczny wprawdzie, ale co z tego? Sypał się na oczach świata i najwyraźniej nawet wpis do rejestru zabytków nie był go w stanie uratować.

Im dalej szli, tym więcej rozgorączkowanych ludzi mijali. W końcu natknęli się na Cyrę. Ten zawahał się na widok Lichego, jednak tylko na chwilę.

– Co myślisz? – zapytał Krzywański.

– Niedobrze – odparł Cyra. – Bardzo niedobrze. On ewoluuje.

– Ja myślę, że to akurat korzystne. W każdym razie dla nas. Czekaliśmy na jakiś przełom i może teraz...

– Szefie, co on tu robi? – Wskazał na Lichego, który odpalał właśnie papierosa. Gaz w zapalniczce się kończył. Nie zaskoczyła ani za pierwszym, ani za drugim razem.

– Pomoże nam.

– Nie potrzebujemy go.

– Pomoże nam – uciał Krzywański.

– Masz latarkę? – zapytał Lichy, bardziej skupiając się na dymie, który właśnie wydmuchiwał przez nos niż na teatralnie manifestującym pogardę Cyrze. Krzywański podał mu zapalonego ledowego vayoxa.

– Jeszcze rękawiczki – zażądał Lichy i to żądanie Krzywański również spełnił. Wciągając lateks na dłonie, Lichy ruszył za róg budynku.

Na wpół leżała, na wpół siedziała oparta o ścianę. Bez wątpienia kobieta, bo była zupełnie naga. Nogi miała wyprostowane i lekko rozwarte, zupełnie jak Stańczyk na portrecie Matejki. Tułów oparty o ścianę, lekko przygarbiony. A głowa...

Głowę trzymała w rękach, spoczywających bezwładnie na udach.

Podszedł bliżej, by się lepiej przyjrzeć i wówczas dopiero dostrzegł, że bezgłowe ciało pomalowane jest na zielono. Wyglądało, jakby obrósł je gęsty mech. Głowa również była zielona, a nawet włosy. Długie, ale posklejane farbą.

Trzy nagłe błyski flesza na moment pozbawiły go wzroku.

– Co ty robisz, do cholery?! – krzyknął do specjalisty robiącego zdjęcia.

– A jak ci się wydaje? – odparł tamten wyraźnie rozeźlony. – Dokumentację.

– To poczekaj, aż skończę.

Fotograf rzucił kilka przekleństw, ale ostatecznie odsunął się kawałek dalej i wyjął papierosa.

Papierosa! Lichy zdał sobie sprawę, że od kiedy ją zobaczył, ani razu się nie zaciągnął. Wypluł kiepa.

Poświecił na jej piersi, bo zdawało mu się, że coś tam widzi. Pomyślał, że mimo śmierci wciąż miała je imponujące. Ogromne, okrągłe i pełne. Na każdej z nich wokół brodawek sutkowych czarną farbą wypisano literę „Q”.

Co mogło znaczyć „Q”?

Dotknął litery i przesunął po niej palcem. Natychmiast zrozumiał, skąd tak idealny kształt piersi. Ponad wszelką wątpliwość miała silikonowe implanty. Potem złapał brodawkę i lekko ją ścisnął. Odczuł pewną przyjemność. Nie podniecenie, aż tak chory nie był, ale przyjemność – tak.

Była dość duża i nienaturalnie twarda. Delikatnie przekręcił brodawkę palcami. Potem to samo uczynił z drugą.

Coś mu przyszło na myśl.

Przesunął dłoń w dół. Dotknął wzniesienia łonowego ofiary i chwilę go gładził, po czym zsunął palec na jej lechtaczkę.

Cholera.

Czy miał wciąż swój scyzoryk? Włożył rękę do kieszeni kurtki. Tak, był tam. Nie stracił go na częstochowskiej „wytrzeźwiającej”. Otworzył ostrze i delikatnie zdrapał z łydki ofiary odrobinę farby. Potem przycisnął do niej kciuki i przez chwilę pocierał. Powąchał kciuk. Potarł go o palec wskazujący. Potem jeszcze zbadał głowę ofiary. Nos, usta, uszy. Poświecił jej nawet do ust.

W końcu oderwał się od ofiary i zgasił latarkę. Kawałek dalej stało martwe jak cała ta okolica drzewo. Oparł się o nie i ściągnął rękawiczki.

Czuł, jak paruje z niego alkohol. Czuł to w dosłowny sposób. Niewątpliwie śmierdział. Marzył teraz o prysznicu. Pysznicu, gorącej herbacie i niewielkiej stercie papierów z danymi, które mogłyby przewertować przed snem.

Sen. O nim marzył najbardziej. Wiedział, że rano będzie się czuł fatalnie. I że, być może, w najbliższym czasie nie weźmie do ust niczego bardziej toksycznego niż woda. Jego mózg już porządkował szuflady, w których starannie układał pozyskane i zasłyszane dane. Morderstwo. Kolejne z serii. Dziewiąte. Ale inne niż poprzednie. Co to znaczy? Czy seryjny morderca zmienia *modus operandi*? Czy to w ogóle seryjny morderca? Czy jest możliwym, by dziewięciu zabójstw dokonał ktoś inny niż seryjny morderca? Czekali na niego właśnie dziś. Czyli zabija w sylwestra. Osiem poprzednich sylwestrów? Nie znaleźli żadnych śladów?

Motywów? Powiązań? W takim razie to musi być seryjny morderca. Ale czy...

– Widziałam, co zrobiłeś. – Usłyszał cichy, ale mocny kobiecy głos. Zwrócił się w jego kierunku i dostrzegł zarys niewysokiej postaci. Zapalił latarkę i skierował ją w stronę kobiety. Na tułów. Tak, by ją widzieć, ale by i ona mogła widzieć jego. Bo była to ta brunetka z kamienicy na Kościelnej. Sylwia... Sylwia Brandt? Tak się nazywała? Narkotyki. Łapówka. Uśmiechała się do niego, ale nie dał się zwieść, bo spojrzenie miała o konsystencji i temperaturze ołowiu schłodzonego do poziomu nieznacznie przekraczającego zero absolutne. Z tą jednak różnicą, że w temperaturze zera absolutnego zamiera wszelka energia, a jej spojrzenie mogłoby łamać oręża hitlerowskich pancerników.

– Podobały ci się jej cycki? – zapytała. – Okrągłutkie i przyjemne w dotyku, prawda?

Czy to było pytanie?

– Lubisz tylko te martwe? A żywe? Podobają ci się żywe?

Lichy nie odpowiedział, bo dziewczyna zdawała się nakręcać. Zaraz ktoś tu przyjdzie i zrobi się nieprzyjemnie. Sylwia – na pewno Sylwia, już ją sobie przypomniał – znów posłała mu pocisk, a potem, jakby zawahała się na moment, króciutki, aż w końcu rozsunęła poły kurtki, chwyciła brzeg swetra i wraz z bluzką podciągnęła go pod samą szyję, eksponując biust. Lichy zdębiał.

– A te? – Rzuciła coraz bardziej rozedrganym ze wściekłości głosem. – Te też ci się podobają? A może są zbyt żywe?

Czy to było pytanie? Czy oczekiwała odpowiedzi? Tak, cholera, podobały mu się jej cycki. Niezbyt duże i bardziej kwadratowe niż okrągłe, ale przyjemne dla oka. Dla dłoni zapewne również. Na dworze było nieznacznie powyżej zera. Gęsia skórka pokryła jej skórę w ciągu sekundy,

powodując, że sutki sterczały jak para pojazdów Apollo ustawionych w kompleksie startowym kosmodromu na przylądku Canaveral. W dodatku na lewej piersi, tuż obok brodawki, miała urocze niewielkie znamię w kształcie serca. Wprawdzie odwróconego do góry nogami, ale...

Do cholery, Lichy!

– Przyznaj – ciągnęła, nie opuszczając jeszcze swetra. – Wsunąłeś jej palec do cipki? Jak było? No, opowiadaj.

Lichy nie powiedział nic, a ona w końcu prychnęła z jawną pogardą, zsunęła sweter i zapięła suwak kurtki.

– Jesteś obrzydliwym człowiekiem, Lichy – powiedziała, tym razem naprawdę cicho, a przez to jej słowa zahuczały w jego głowie, jakby była katedrą. – Chciałam, żebyś o tym wiedział. Żałuję, że nie jestem wierząca, bo mogłabym przynajmniej mieć nadzieję, że zgnijesz w piekle, pierdolony zbrojeńcu.

Odeszła. Lichy bez jakiegokolwiek kontroli nad własnymi czynami zaciągnął się papierosem, który w międzyczasie znowu sam się wypalił.

Błoto – pomyślał i zaraz się otrząsnął. Błoto? Dlaczego mu to przyszło do głowy? Miewał tak czasem. Mózg już pracował, ale jeszcze poniżej progu świadomości. Łączył kropki, wysnuwał wnioski, ale jeszcze nie wszczywał alarmu. Błoto... Wszędzie tu było błoto. O co chodzi? Co jest nie tak?

– A ty to kto? – zapytał naraz właściciel całkiem eleganckich butów, na które Lichy akurat świecił *vayoxem*. Buty utyłane były błotem. Błoto...

– A ty? – odpowiedział Lichy zmęczonym i pozbawionym chęci do jakiegokolwiek konfrontacji głosem. Nie miał zamiaru uprawiać szermierki na słowa, ale też nie planował się opowiadać byle komu. Nawet właścicielowi eleganckich butów i eleganckiego płaszcza w grafitowym kolorze, z kołnierzem podbitym futrem.

Mężczyzna przez chwilę mierzył Lichego wzrokiem, ale najwyraźniej też nie miał ochoty się spierać. Odpowiedział więc rzeczowym tonem:

– Paweł Doba, Naczelnik Wydziału Śledczego Prokuratury Okręgowej w Katowicach. Jestem gospodarzem tego śledztwa i ponawiam pytanie: kim jesteś. I co tu robisz?

– Nie wiem.

– Nie wiesz, kim jesteś?

– Nie wiem, co tu robię.

– O, widzę, że panowie się poznali – wtrącił się niespodziewanie Krzywański, który wyrósł obok nich jak duch, którym zapewne w istocie był. Ciało miał niemal przezroczyste ze zmęczenia, a głos rozwiewał się na wietrze.

– Właśnie się poznajemy – powiedział Doba.

– Dobrze. Bardzo dobrze. To jest Rafał Lichy. Mój nowy śledczy.

Brwi prokuratora ułożyły się w dwa znaki zapytania.

– Lichy? – zapytał z niedowierzaniem. – Ten Lichy? Lichy-Sznureczek? Seryjny samobójca?

– Raczej wspominam go jako tego, kto schwytał Szewca z Chociebuża – odparł Krzywański.

– Taaaak. – Doba westchnął. – Przyznaję, porządna robota. Ale nie jestem przekonany, czy zatrudnienie go to dobry pomysł. A ty co myślisz, Lichy?

– Zgadzam się.

– Że to nie jest dobry pomysł?

– Aha.

– Paweł... – zaczął Krzywański, ale prokurator powstrzymał go ruchem dłoni. Wciąż wpatrywał się w Lichego, jakby rzucał mu wyzwanie. Lichy

przegrał. Doba nie wyglądał jak prokurator. Wzrostem niemal mu dorównywał. Na głowie nie miał włosów, za to zadbana broda sięgała do obojczyka. Widać było, że sporo czasu spędza, przerzucając ciężary.

– Widziałeś ciało? – zapytał w końcu prokurator.

– Tak – odparł Lichy.

– Więc mów, co zobaczyłeś.

– Kobieta.

– Brawo. – Doba nieznacznie podniósł głos i było jasne, że cierpliwość nie jest jego najmocniejszą stroną. Lichy westchnął. Przecież wcale się jeszcze nie zgodził. Nie musiał się opowiadać. W zasadzie nic nie musiał, a czuł się jak na rozmowie o pracę. A niech to szlag.

– Kobieta, między dwudziestym piątym a trzydziestym rokiem życia – powiedział i był to już zupełnie inny Lichy. Ten, który w pojedynkę namierzył najgroźniejszego wielokrotnego mordercę w Europie. Ten, którego swego czasu bali się wszyscy przestępcy od Kłomnic po Istebną i od Szczekocin po Racibórz. Tak niedawno, a jakby w innym życiu. – Zdekapitowana mechanicznie. Powiedziałbym, że gilotyną.

– Dlaczego?

– Bo cięcie jest idealne. A nie istnieje już zawód kata. Kogoś, kto ciąłby szyję tak często, by aż precyzyjnie wytrenować rękę. Zabito ją oczywiście gdzie indziej. Tu tylko została wyeksponowana. Przed śmiercią prawdopodobnie przetrzymywana.

– Jak długo? – zapytał Doba.

– Dwa, może trzy dni do momentu śmierci. Potem przynajmniej dzień.

– Coś jeszcze?

– Tak. Głowa.

– Co z nią?

– Nie należy do ofiary.

Kątem oka dostrzegł, jak prokurator i Krzywański wymieniają szybkie, ale intensywne spojrzenia.

– Mów dalej – polecił prokurator.

– Mamy tu w gruncie rzeczy dwie zamordowane kobiety – uzupełnił Lichy.

– Przyczyna śmierci?

– Nie jestem lekarzem sądowym, Paweł.

– Jeszcze nie zdecydowałem, czy możesz być ze mną na „ty”. Przyczyna śmierci. To chyba dość oczywiste?

– To jakiś test?

– Przyczyna śmierci!

– Nie wiem. Według mnie zatrucie jakąś chemią. Może depresja oddechowa. Fentanyl, propofol, ewentualnie morfina. W każdym razie głowę ucięto jej *post mortem*.

Doba spoglądał na niego z zaciekawieniem. Nigdy się nie poznali, ale, jak każdy prokurator, sporo słyszał o Rafale Lichym. Niekoniecznie same dobre rzeczy. Ciche, ale intensywne stukanie palców o szybkę komórki świadczyły, że prokurator intensywnie zastanawia się, czy powinien zaryzykować.

– Dobra – powiedział w końcu. – Pisz podanie o przywrócenie do służby. Resztą ja się zajmę. Krzywy, załatw mu blachę.

– Jasne.

– Witaj z powrotem, Lichy.

– Dzięki.

– Tylko nie popełnij mi tu samobójstwa.

– Nie ma obawy, nie robię już takich rzeczy.

– I bądź trzeźwy – zakończył prokurator i odszedł.

Takich rzeczy też już nie robię – pomyślał Lichy, ale miał szansę milczeć, więc z niej skorzystał. Ta wymiana zdań i tak brzmiała już wystarczająco absurdalnie. Teraz dopiero zorientował się, że z nieba znów sypie śnieg. Tym razem po prostu śnieg. Płatki były puszyste, jak w nierealnych hollywoodzkich produkcjach, opadały wolno, niemal tak wolno, że dało się policzyć ich ramiona.

– Ile trafiłem? – zapytał Lichy, powoli rozcierając czoło w bezwolnym i bezsensownym odruchu odpędzania narastającego od pewnego czasu bólu głowy.

– Wszystko – odparł Krzywy. – Chodź do mojego samochodu. Najwyższy czas wprowadzić cię w tę sprawę. Poza tym zrobiło się zimno.

– Zimno – powtórzył bezwiednie Lichy. – Błoto.

Ruszyli w kierunku fiata, zaparkowanego pod nastawnią. W dawnych czasach słowo „dworzec” nie miało nic wspólnego z koleją, a dużo bliższe było znaczeniu słowa „dworek”. Być może to właśnie dlatego wszystkie stare dworce przypominają niewielkie, ale bogate wiejskie posiadłości. Z tym było podobnie. Od frontu znajdował się dziedziniec w kształcie ronda, gdzie dawniej podjeżdżały dorożki. Jednak dziś stanowił wielkie błotne jezioro, pośrodku którego, nie wiadomo dlaczego, leżała na boku stara lodówka, zanurzona w gęstej mazi przynajmniej do jednej trzeciej wysokości. Pokonanie tej przeszkody nie wchodziło w grę, dlatego musieli wrócić tą samą drogą, którą przyszli, czyli obejść budynek od strony nieistniejących już peronów. Po drodze dołączył do nich Cyra, którego Krzywański przywołał gestem dłoni. Lichy nie zareagował. Nie zamierzał już reagować. I tak nic by to nie zmieniło, a przynajmniej nie musiał wchodzić z tym człowiekiem w jakiegokolwiek interakcje.

Cyra doskoczył do auta pierwszy i natychmiast szarpnął klamkę przednich drzwi po stronie pasażera. Widocznie uznał, że to dobry sposób na zmanifestowanie hierarchii w grupie. On i Krzywy z przodu. Przybłąda z tyłu. Żeby nie miał wątpliwości, że w policyjnym wozie jego miejsce może być najwyżej w części zwykle przewidzianej dla przestępców. Ale Lichy to olał. Otworzył drzwi i wsunął się do środka.

Teraz, gdy alkohol z niego parował, a zmysły się wyostrzyły, poczuł tę nieprzyjemną woń. Najwyraźniej Krzywański nie otwierał okien, gdy palił w aucie. Odór brudnej tapicerki, zaprawionej papierosowym dymem i ostrą, nieprzyjemną nutą z rozsypanego po podłodze popiołu, w jednej chwili chwycił Lichego za żołądek.

– Przepraszam – wybełkotał, otworzył drzwi i zwrócił żółć. Niewiele tego miał. Zakręciło mu się w głowie i przypomniał sobie, że od dawna nie pił niczego normalnego. Musiał być solidnie odwodniony. Pomoczył dłoni w kałuży i wytarł twarz, a potem osunął się na fotelu pasażera i zamknął drzwi.

– Macie coś do picia? – zapytał słabym głosem.

Cyra westchnął i wymownie spojrzął na dowódcę.

– Chodzi mi o jakąś wodę – wyjaśnił Lichy. – Cokolwiek.

Krzywański pomacał schowek w drzwiach i wyciągnął z niego plastikową butelkę.

– Nie wiem, ile tu leży – powiedział, podając ją Lichemu. – Możliwe, że kilka miesięcy.

Ale Lichy już był przyklejony do szyjki. Wypił wszystko duszkiem, a potem głęboko westchnął.

– Daj znać, jak już będziesz gotowy – powiedział Cyra. – Mamy sporo do przedyskutowania.

Lichy znowu westchnął, po czym zaskomlał, bo atak bólu głowy tylko się nasilił. Mawiają, że woda to lek na wszystko. Ale bez przesady. Na pewne rzeczy pomaga tylko czas.

Krzywański dość miał już czekania, więc zaczął:

– To, co tu widzisz, to ósma ofiara mordercy zwanego przez nas...

– Błoto – przerwał mu Lichy.

– Słucham? – zdziwił się podinspektor.

– Nie, nic, przepraszam. Jakoś bez sensu mi się powiedziało. Dlaczego ósma ofiara? Już wcześniej była mowa o ośmiu, więc ta powinna być dziewiąta.

– Tak, ale...

– A tak.

– Co znowu, Lichy?

– Rozumiem. Osiem ofiar. Każda trzyma nieswoją głowę. Czyli osiem ofiar, ale dziewięć głów.

– Technicznie rzecz biorąc, osiem głów – powiedział Cyra. – Bo głowy obecnej ofiary nie ma. Jak nie złapiemy tego skurwysyna, to znajdziemy ją za rok, przy kolejnej ofierze.

– Tak, tak – potwierdził Krzywański. – Ale wiadomo, o co chodzi Lichemu. Mamy ciała ośmiu ofiar plus głowę dziewiątej. Jak poskładamy to do kupy, to obecnie mamy siedem kompletnych ciał, ósme bez głowy i dziewiątą samą głowę.

– Nie – powiedział naraz Lichy.

– Co znowu? – zapytał Cyra coraz bardziej chropowatym głosem.

– Nie bez sensu.

– Co nie bez sensu? Lichy, wytrzeźwiałeś już?

– Nie bez sensu powiedziałem o tym błocie.

– O jakim, kurwa, błocie?

– Uspokój się – skarcił Cyrę dowódca. – Lichy, spokojnie. Wyartykułuj to.

– Szefie... – zaczął Lichy i urwał. Nie dla dramatycznej pauzy, tylko znów musiał pokonać odruch wymiotny. – Gdzie tu jest myjnia? Taka, no, z lanca.

– Bezdotykowa?

– Właśnie. Bezobsługowa.

– Nie mam pojęcia.

– Ja wiem – wtrącił się Cyra. – Ale po cholere ci teraz myjnia?

– No, bo czekaliście na morderstwo. – Lichy czuł się jak w jednym z tych snów, kiedy człowiek ma coś ważnego do zrobienia, ale wciąż mu się to nie udaje, bo jedna za drugą wyrastają przeszkody, które odciągają go od celu. A w jego przypadku demony. Od lat śniły mu się tylko demony. Ludzie, których stracił i, co gorsza, tacy, którzy wciąż go otaczali.

– Lichy – powiedział Cyra. – Naprawdę nie mamy czasu błędzić w labiryncie twoich przemyśleń. Skup się.

– Przepraszam – wymamrotał Lichy. – Po prostu ciężko mi... Mam na myśli to, że tutaj, na podjeździe, jest głębokie i gęste błoto. Naprawdę paskudne. Choć od podjazdu byłoby bliżej, my wjechaliśmy od drugiej strony. Właśnie dlatego, że tam jest błoto. Ale morderca nie mógł wjechać, tak jak my, bo byłby na widoku obsługi nastawni, zgodzicie się?

– Zgodzimy – przytaknął Krzywański. – Nastawnia ma okna wychodzące na ten teren.

– Który jest w dodatku porządnie oświetlony – uzupełnił Lichy. – Więc morderca wybrał miejsce ekspozycji na ścianie po drugiej stronie i wjechać też musiał od drugiej strony. No bo to oczywiste, że musiał przywieźć ofiarę samochodem.

– Zgadza się – powiedział Cyra. – W błocie są świeże ślady. Ale masa jest bardzo plastyczna, więc nic z tego nie odczytamy.

– Nieważne – powiedział Lichy. – Nie o to chodzi. Jadąc na miejsce, morderca miał trochę z górki, mógł siłą rozpędu pokonać to błotne bajoro. Ale wracając – już nie. Musiał mocno przygazować. Może nawet się zakopał na chwilę.

– To mogłoby się zgadzać – powiedział Krzywański. – Przesłuchaliśmy dyżurnego ruchu. Powiedział, że usłyszeli głośno pracujący silnik. Nastawczy wyszedł, żeby sprawdzić, czy to nie złodzieje, bo tu jest sporo jeszcze do rozszabrowania. Samochodu już nie było, ale znalazł ciało.

– Chcę powiedzieć, że takie błoto lepi się do samochodu jak rzadkie gówno. Kiedy masz rozwolnienie i zasrasz kibel, to...

– Dziękujemy, Lichy – przerwał mu dowódca. – Rozumiemy, co masz na myśli. Kontynuuj.

– No, ale wy czekaliście na morderstwo. Zwarcie, gotowi i w napięciu. A mamy sylwestra. Mówiliście o wielu ofiarach. Czyli wiecie, że morderca zabija w sylwestra. Tylko nie wiecie gdzie.

– Zawsze na terenach kolejowych – uzupełnił Cyra. – Ale nie znaleźliśmy żadnego klucza dla lokalizacji. Na terenie konurbacji. Nic więcej.

– To jeszcze lepiej – stęknął Lichy. – Czyli tak: mamy mordercę, który zabija o ściśle określonej porze i w miejscach o ściśle określonej charakterystyce. Więc rozumiem, że w sylwestra w tych okolicach wysyłacie dużo patroli.

– To nie takie proste... – zaczął Krzywański.

– Wysyłacie, czy nie?

– Niech będzie, że tak.

– I morderca musi sobie z tego zdawać sprawę. Musi być ostrożny. Dookoła krążą patrole, a tymczasem on jeździ samochodem ubłoconym po szyby, co bardzo się rzuca w oczy i wyraźnie sytuuje go na miejscu przestępstwa. Mam rację?

Tym razem nikt się nie odezwał.

– Więc logiczne jest, aby jak najszybciej pozbyć się tego błota. Najlepiej na takiej myjni, gdzie się wrzuca pieniążek i myje samemu, więc nikt nie może nas zobaczyć i powiedzieć o tym policji.

– Ale jego tam już na pewno nie ma – powiedział kwaśno Cyra.

– Nie ma – zgodził się Lichy. – Ale tam, gdzie nie ma człowieka do pilnowania interesu, zawsze są kamery.

– Kamery. – Krzywański aż walnął pięścią w kierownicę. – Może mamy nagranego mordercę!

– Tak, rzeczywiście – przyznał Cyra. – Ale to nie jest do końca logiczne, prawda? To znaczy, mało prawdopodobne jest, że policja od razu połączy te fakty. Raczej zajmie to chwilę. Na ubłocony samochód przez dłuższy czas nikt nie zwróci uwagi. Morderca spokojnie dojedzie do domu. A tak? Pozwoli się nagrać?

– Morderca tak nie myśli – powiedział Lichy. – Mordercy zaraz po dokonaniu zbrodni wydaje się, że jest fluorescencyjny. Że wszyscy go widzą. On morduje od dawna. Nie zostawia śladów, a w każdym razie zakładam, że nie zostawia, skoro go nie złapaliście. Jest więc ostrożny. Sama wszystko zaplanowane i precyzyjnie poukładane. Nie myśli o słabościach policji, tylko o swoich. Prędzej czy później szukalibyśmy bardzo ubłoconego auta. Ktoś mógłby sobie przypomnieć, że takie widział albo, co gorsza, zapamiętać kierowcę. Przecież inni kierowcy też zwracają na to uwagę. Ktoś stanie obok takiego na światłach i nawet z ciekawości zerknie, co to za brudas.

– Na pewno warto to sprawdzić – powiedział podinspektor. – Cyra, gdzie ta myjnia? Mówiłeś, że wiesz.

– Są dwie w okolicy. Jedna na północ stąd, przy Frenzla. Druga w przeciwną stronę, przy Zabrzeńskiej. Ta pierwsza jest na zadupiu.

– A ta druga? – zapytał Krzywański.

– Tam jest obok Shell. I kamienice. Wszystko na widoku.

– W takim razie jedziemy na Frenzla – powiedział podinspektor, uruchamiając silnik.

– Nie – zaprotestował Lichy. – Myślę, że na Zabrzeńską. Morderca też nie jest maszyną. Musiał się chwilę zastanowić co zrobić. Myślę, że wyruszył stąd w stronę domu. Jadąc na północ można dojechać właściwie tylko do Tarnowskich Gór. Ewentualnie Piekar Śląskich czy Radzionkowa. A na południe do Zabrze, Rudy Śląskiej, Gliwic, Chorzowa, Katowic, Dąbrowy Górniczej, Sosnowca. Właściwie wszędzie. Statystycznie mamy...

– Dobra – przerwał Krzywański. – Jedziemy na Zabrzeńską.

Wyjechał na zapadniętą kostkę brukową przy ulicy Czackiego, a potem skręcił w lewo, w Konstytucji. Mieli blisko, więc nikt się nie bawił w wystawianie koguta, nawet gdy Cyra rzucił:

– Skręć tu, będzie bliżej.

„Tu” to była ulica Wytrwałych. Jednokierunkowa, ale podinspektor bez zawahania wjechał w nią pod prąd. Chwilę później byli już na Zabrzeńskiej.

– Gdzie ta myjnia? – zapytał.

– Jakiś kilometr dalej – odpowiedział Cyra.

Gdy przecięli torowisko tramwajowe, samochód nieznacznie uniósł się na resorach, ale Lichemu się zdawało, że wystrzelili w kosmos i teraz lecą w stanie nieważkości. Złapał się uchwyty nad drzwiami i zamknął oczy, ale

zaraz je z powrotem otworzył, bo „helikopter” w jego głowie był nie do wytrzymania.

Jezu, Lichy – pomyślał.

– Tam! – krzyknął Cyra, wskazując palcem wylaniający się z ciemności żółty kaseton z napisem „Shell”. – Za stacją.

Krzywy zdjął nogę z gazu. Teraz dla odmiany padał deszcz. Trudno było powiedzieć, ile stopni jest na zewnątrz. Czy gołoledź już chwyciła? Czy może już odpuściła?

– Ty, kurwa... – wydusił z siebie zdumiony Cyra, wskazując na nieduże srebrne auto, wyjeżdżające spomiędzy kamienic w odległości stu metrów od nich. To było renault clio. Zupełnie zwykłe. Ale nawet mimo dzielącej ich odległości, Lichy i Krzywański natychmiast dostrzegli to, co chwilę wcześniej Cyra. Auto było zachlapane błotem aż po szyby.

Krzywański docisnął gaz, a Cyra odsunął szybę i umieścił na dachu policyjny kogut, dotąd walający się po podłodze pomiędzy jego butami. Okolica rozbłysła na niebiesko, a ciszę przeszyło psie zawodzenie.

Kierowca clio przyspieszył.

– Spierdala – zakomunikował spokojnie Cyra.

Gdy przecinali ulicę Puszkina, w oddali pojawiły się kolejne rozbłyski.

– Jedzie wsparcie – rzucił Krzywański.

Tymczasem kierowca clio tańczył na śliskiej ulicy, zbliżając się do Starego Ratusza w dzielnicy Szombierki. Nim jednak do niego dojechał, postanowił skręcić w lewo, w ulicę Tatrzańską. Za szybko. Samochód wpadł w poślizg i prawym bokiem wbił się w żółte metalowe barierki, odgradzające torowisko od chodnika, obalając przy okazji sygnalizator świetlny dla pieszych. Pościg się skończył, nim na dobre się zaczął. Krzywański zatrzymał swoje bravo tuż obok i obaj z Cyrą wyskoczyli z auta, krzycząc coś do kierowcy i wymachując bronią. Lichy westchnął.

Jasna cholera. Kiedy ta noc się skończy? Czuł, że długo już nie pociągnie. Musiał się położyć.

– Kurwa mać – zaklął na głos i szarpnął klamkę.

Na przejeździe tramwajowym leżała kobieta. Lichy nie musiał nawet podchodzić bliżej, by zorientować się, że jest zalana w trupa. Cyra wbijał jej kolano w kręgosłup, a dziewczyna krzyczała, że ją boli. Była młoda. I używała młodzieżowego języka.

Tuż obok samochodu Krzywańskiego zatrzymały się ze zgrzytem hamulców dwie policyjne kijanki. Dyskoteka na całego. Trzech policjantów doskoczyło do skutej, jakby sam Cyra nie wyrządził jej już dość krzywdy. Czwarty podszedł do Krzywego. Trzy gwiazdki na pojedynczym pasku. Starszy aspirant.

– Czołem – powiedział, ściskając Krzywańskiemu rękę. – Co mamy?

– Podejrzana o morderstwo – wysapał Cyra, który podszedł do nich, trzymając się za rękę. – Suka mnie użarła.

– Raczej jedynie jazda po pijaku, ucieczka i spowodowanie kolizji – powiedział Lichy. – To Traficar.

– Co? – Zdziwił się Krzywański.

– Traficar. Samochód na minuty. Wypożyczasz za pomocą aplikacji w telefonie. A ona jest kompletnie pijana. Nie byłaby w stanie zabić nawet czasu.

– Mogła wypić już po morderstwie – nie odpuszczał Cyra.

– A mogła też zostawić samochód między kamienicami i rozplynać się w powietrzu, zamiast wyjeżdżać nam po pijaku tuż przed nosem. To nie ona.

– Chłopaki, musicie to zobaczyć. – Usłyszeli głos jednego z aspirantów. Odwrócili się jak na komendę i zobaczyli, że kłapa bagażnika jest otwarta. Cyra miał najbliżej.

– O kurwa – rzucił. – Nie wiem, czy to ona, ale to na pewno ten samochód.

Bagażnik auta był niemal pusty. Zawierał tylko trójkąt schowany w plastikowym futerale i pomarańczową apteczkę. Tyle że cała tapicerka uwalana była zieloną farbą.

– Dobra – powiedział Krzywański do starszego aspiranta. – Bierzcie ją na krew i niech nocuje na dołku. Będę chciał z nią pogadać.

– Jasne. Jeszcze w czymś pomóc?

– Tak, zabezpieczcie mi tu drogę, dobra? Nie ruszę stąd tego samochodu, póki nie obejrzą go technicy.

– Trzeba zgłosić tramwajarzom.

– Przez kilka najbliższych godzin nic tędy nie będzie jechało – powiedział Cyra. – Jest Nowy Rok, więc myślę, że do ósmej.

– Szefie, daj mi numer do tego Ruska, dobra? – Poprosił Lichy.

– Weź moją komórkę – powiedział Krzywański, muskając palcami po ekranie. – Już dzwoni.

Lichy wsłuchiwał się chwilę w jakąś idiotyczną piosenkę, o jakości dźwięku tak żenującej, jakby była puszczana z megafonu umieszczonego pod wodą. Nigdy nie rozumiał fenomenu „Grania na czekanie”, na szczęście właściciel numeru szybko wybawił go od wątpliwej przyjemności słuchania gwałconego Sex Pistols.

– Cześć, szefie – usłyszał głos.

– To, ja, Lichy.

– Lichy? – Rusłan Błagojew się zaśmiał. – Myślałem, że cię z nami nie ma.

– Taaa... Ja też.

– Znalezliście tam coś?

– Coś znaleźliśmy, mógłbyś dla mnie...

– Nie żartuj, że pierwszego wieczora, w dodatku po pijaku, znalazłeś coś, czego my nie możemy znaleźć od kilku lat?

– Posłuchaj, wiesz, co to Traficar?

– Jasne. Mam konto.

– Sprawdź mi proszę samochód o numerze bocznym 167. Możesz?

– Pewnie. Co konkretnie?

– Gdzie był pomiędzy wpół do jedenastej wieczorem wczoraj, a wpół do pierwszej dziś. Gdzie go wypożyczono i gdzie zwrócono. I oczywiście, na czyje konto.

– To wszystko?

– Tak. Dzięki.

– Dobra. Lichy?

– Tak?

– Nie jestem Ruskiem, tylko Polakiem urodzonym w Gdańsku. Na Klinicznej. Ale jeśli już musisz wiedzieć, to ojciec był Dagestańczykiem.

– Aha.

– Masz to w dupie, nie?

– Nie, w sumie nie. Wybacz. Sprawdź to szybko, okej? I zgłoś Traficarowi, żeby wyłączył samochód z użytku, bo prawdopodobnie będziemy musieli go zabrać.

Rozłączył się.

– Nie znałem tego. – Krzywański westchnął. – Za moich czasów to można sobie było wypożyczyć książkę z biblioteki. A i to nie każdą.

– Nie jesteś aż taki stary, szefie – powiedział Lichy. Chciał być miły, jednak nie miał pewności, czy mu wyszło. Ale dlaczego właściwie miało go obchodzić samopoczucie tego starego, zmęczonego człowieka, który

brutalnie przerwał mu nieistnienie? Czyli jedyną rzecz, jaka obecnie nie sprawiała mu bólu.

Cholera. Od myślenia o bólu ból się nasila.

– Nie sądzę, by morderca wynajął to auto na swoje nazwisko – powiedział nadinspektor. – On jest sprytny, naprawdę inteligentny. A to by było bardzo głupie.

– Wiem – przyznał Lichy. – Ale nie na to liczę.

– A na co?

– Żeby się zarejestrować w tej aplikacji, trzeba podać prawo jazdy i kartę kredytową. Niby możliwe, by morderca to sfalszował, ale mało prawdopodobne. Musiał po prostu wykorzystać czyjś telefon. A wcale nie jest tak łatwo ukraść komuś telefon, liczyć, że ten ktoś nie zgłosi tego faktu i policja nie będzie telefonu namierzać, i w końcu zakładać, że okradziony nie zablokuje telefonu oraz karty. Chyba że...

– Chyba że?

– Chyba że ukradnie się ten telefon komuś, kto nie może niczego zgłosić.

Krzywański podrapał się po siwej brodzie. Przez chwilę sprawiał wrażenie nieprzekonanego, ale krótko. Potem dotarło do niego, że to faktycznie może mieć sens.

– Myślisz? – zapytał.

– Tak. Myślę, że auto wynajęto za pomocą telefonu ofiary. Zaraz będziemy znali nazwisko, to wszystko się wyjaśni.

ROZDZIAŁ 3

Bardziej się ocknął, niż obudził. Przez kilka chwil zupełnie bez sensu rozpamiętywał senne mary, zupełnie jakby chciał do nich powrócić. Zwykła rzecz u normalnych ludzi. Ale nie u niego. Nie wśród demonów, gdzie od lat miał swój drugi dom. Tam sypiał zawsze, kiedy był trzeźwy lub trzeźwiały.

Szybko jednak nowe bodźce wyparły z jego głowy tamte majaki. Był w nie swoim łóżku. Niezbyt wygodnym w dodatku. A do tego zupełnie nic nie pamiętał. Zatrzymali tę kobietę, potem Krzywański wpakował go do radiowozu i kazał odwieźć do kamienicy na Kościelnej. Ale samej drogi Lichy już nie zarejestrował.

Gdzieś w nieokreślonej przestrzeni usłyszał ludzkie głosy. Dudniły mu pod czaszką. Ale czuł się lepiej. To nie był już ten ból głowy, co wczoraj. Znał to. Wiedział, co się wydarzy. Że potrzebuje tylko gorącego prysznica i wszystko wróci do normy.

Zwłókł się z łóżka i narzucił na siebie wczorajsze łachy. Nie zdążyły wyschnąć, były więc nie tylko nieprzyjemne w dotyku, ale w dodatku śmierdzące.

„Na gorze śpimy” – mówił Krzywański.

Pokój, który mu przyznano, składał się z czterech ścian i metrowej szerokości łóżka o twardym materacu. To wszystko. Nie było nawet szafki nocnej. Miał szary kolor, zupełnie jak twarz starego człowieka, czekającego wyłącznie na śmierć. Ściany odmalowano, ale parkiet od lat domagał się cyklinowania. Można było sobie wbić drzazgę w piętę.

W ścianie, o którą leżąc na łóżku, niemal opierał nogi, znajdowało się okno. Przypomniał sobie dykty na froncie kamienicy. Były tam przede wszystkim dla niepoznaki. Skąd więc to okno? Wiedziony ciekawością podszedł do szyby, ale zagadka wyjaśniła się bardzo szybko. Przez szklaną tafelę widać było jedynie ciężkie krople deszczu rozbijające się o blaszane poszycie dachu.

Chwycił za starą klamkę. Zazgrzytała, ale udało się ją przekręcić. Wyszedł na dach i odpalił papierosa. Deszcz mu nie przeszkadzał. Musiał tylko zadbać, by papieros nie zgasł.

Zawsze fascynował go świat miejskich dachów. Bajkowa kraina, niemal na widoku ludzkości, ale dostępna tylko dla wybranych. Wiatr gwizdał, rozbijając się o zardzewiałe, pokrzywione anteny, charczał, owijając się wokół starych kabli na wysokich pałkach, i huczał w kratkach wentylacyjnych.

Papieros smakował lepiej niż kiedykolwiek.

Szczególnie, że w interesującym towarzystwie. Kawalek dalej, przy sąsiednim oknie stała Martyna. Patrzyła na niego z beczelnym zaciekawieniem.

– Ja też bym tak zrobił – powiedział Lichy. – Też bym podłożył te dowody.

Nie odezwała się. Zaciągnęła się po raz ostatni, wypuściła dym, a peta wrzuciła do stojącej na parapecie jej okna puszki. Potem po prostu wróciła do środka, nie obdarzając Lichego ani jednym słowem. Zupełnie, jakby mówił do zjawy. On z kolei zauważył jedno: jej piękne, bardzo długie i bardzo gęste blond włosy. Zeszłego wieczora nie zwrócił na nie uwagi. Pewnie w ogóle na niewiele rzeczy zwracał uwagę, ale podejrzewał, że głównym powodem było to, że miała je spięte albo związane.

Na dół zszedł pięć minut później, gdy w końcu spojrzał na niemal zupełnie rozładowaną komórkę i zrozumiał, że jest wpół do dziesiątej rano.

Przy wejściu trwało jakieś zamieszanie. Brunetka, która, jeśli dobrze pamiętał, zeszłego wieczora pokazała mu z jakiegoś powodu cycki, ścisnęła się właśnie z Ruskiem twierdzącym, że jest Polakiem, a ewentualnie Dagestańczykiem. W kolejce do przytulania czekali inni i Lichemu przyszło na myśl, że to wygląda jak pożegnanie.

Prócz przyjemnego epizodu z cyckami przypomniał sobie również to, co mu potem powiedziała, więc nie garnał się, by uczestniczyć w tej skromnej uroczystości. Raczej chciał ich wszystkich wyminąć i wejść do łazienki umieszczonej kawałek dalej w korytarzu.

No, ale ona go zauważyła.

– O, ładniutki jesteś – powiedziała tonem, w którym Lichy nie potrafił odczytać jakiegokolwiek emocji. – Dziwne. Nie zauważyłam wczoraj. Szkoda, że zboczeniec.

– Aha – odparł, bo nie bardzo wiedział, czy powinien cokolwiek komentować. Jednak na tym rozmowa się zakończyła. Sylwia utonęła w objęciach Krzywańskiego, choć Lichy dostrzegł wyraźnie, że twarz jej stężała i czułości z dowódcą były nieco wymuszone. Ale nie jego sprawa. Droga do łazienki była wolna i skorzystał z tego faktu.

Pomieszczenie było niewielkie, ale porządnie wyposażone. Nie posiadało kaloryfera, więc Lichy odkręcił wodę, by zrobiło się trochę cieplej. Po raz pierwszy od dawna ujrzał się w lustrze.

Ładniutki. Od dziecka to słyszał. Nawet nie, że przystojny. Ładniutki. „On jest ładniutki jak dziewczyna” – zachwycaly się ciotki. „On jest ładniutki jak ciotka” – naśmiewaly się dziewczyny. Sam nie dostrzegał tej urody. W gruncie rzeczy uważał, że twarz ma raczej prymitywną, choć

niewątpliwie w typie tego przyjaznego prymitywizmu. Oczy znacznie szersze niż zazwyczaj u facetów rasy kaukaskiej, policzki wyraźnie zarysowane i lekko asymetryczne, usta ściśnięte i wydłużony podbródek. Pewien antropolog poznany kiedyś przy wódce powiedział mu, że gdyby jego podbródek był krótszy o centymetr, miałby najbardziej odpychającą twarz w historii ludzkości. A tak, było wprost przeciwnie. Lichy myślał czasami, że jego życie byłoby prostsze, gdyby tego nieszczęsnego centymetra zabrakło.

Teraz już w ogóle stanowił obraz nędzy i rozpacz. Czerwone, pokryte pajęczynami oczy, popękane wargi, jak każdej zimy, bo ktoś tam, kiedyś tam powiedział mu, że ma niedobór witaminy B, C czy jeszcze jakiejś innej. Śliwa pod okiem, którą obdarowały go w parku jakieś gnojki, gdy był zbyt pijany, by się bronić, na szczęście już zanikała, ale skórę i tak miał szarą i chropowatą. A bardzo krótkie włosy, które podarował mu człowiek pełniący funkcję cyrulika w izbie wytrzeźwień nawet mu się podobały. Nigdy wcześniej takich nie miał.

Lustro powoli zachodziło parą, więc w końcu zrzucił ciuchy i wszedł pod prysznic.

Kilka minut później wraz z wszystkimi siedział już w sali odpraw.

– Zaczynamy – powiedział Krzywański bez zbędnych zawijasów stylistycznych. – Mamy sporo do omówienia, ale zacznę od tego, że jest z nami nowa osoba. Komisarz Rafał Lichy.

– Nie złożyłem podania – powiedział Lichy.

– Nie szkodzi – odpowiedział podinspektor. – Ja to zrobiłem za ciebie.

– No ładnie, szefie.

– Lichego znacie, Lichy też coś już o was wie. To tylko szybko i dla formalności. W rogu siedzi nadkomisarz Ryszard Modling. Obecnie już na

emeryturze. On jako pierwszy prowadził sprawę, o której zaraz pogadamy. Dalej Martyna Babicz. Jak wcześniej zauważyłeś, jest poza strukturą.

– Łysa – przerwała mu Martyna. – Tak mnie nazywają wszyscy. Nie znoszę imienia Martyna.

– Podobnie, poza organizacją znajduje się Rusłan Błagojew – ciągnął Krzywański. – Nasz specjalista od baz danych, którego jeszcze nie ma, ale zaraz ma zreferować swoje ustalenia, więc spodziewamy się go w każdej chwili. Cyrę znasz. Obecnie w czynnej służbie jesteście we troje. Ja, ty i Cyra. Łysa i Rusłan nas wspierają. Sylwia Brandt, którą poznałeś wcześniej, jest w ciąży i ustaliliśmy, że opuści nasz zespół.

– Ty to ustaliłeś – rzuciła z przekąsem Łysa, najwyraźniej niezadowolona, że została jedyną kobietą w zespole. – Ona nie chciała odchodzić. Zwłaszcza że ojciec dziecka zapadł się pod ziemię, a ona nikogo nie ma.

– Dokładnie – powiedział Krzywański. – Ja jestem dowódcą tego zespołu i tak właśnie postanowiłem. Nie siedzimy tu dla rozrywki. Wracając do tematu – zwrócił się ponownie w stronę Lichego – Sylwia, podobnie jak ty i Cyra, przebywała na urlopie, więc mogliśmy ją przywrócić do służby. Tylko ja i ona oficjalnie prowadziliśmy śledztwo, reszta nas wspomagała. Teraz oficjalnie będzie nas troje. Cyra dołączył do nas dwa tygodnie temu.

– Dlaczego tak? – zapytał Lichy. – Skąd ta koncepcja „Parszywej dwunastki”?

– O tym zaraz. Teraz o sprawie. Rysiek, poprowadzisz tę część?

Stary policjant oderwał wzrok od okna i poprawił się w fotelu.

– Podstawowe fakty – powiedział. – W nocy z trzydziestego pierwszego grudnia dwa tysiące dwunastego roku na pierwszego stycznia dwa tysiące trzynastego, na terenie zajezdni należącej do Kolei Śląskich w Katowicach

znaleźliśmy nagie zwłoki młodej kobiety. Na każdej piersi miała narysowaną literę „Q”. Ofiara była zdekapitowana i trzymała w rękach głowę. Jak się potem okazało, nie swoją. Odkryliśmy to bardzo szybko, niestety tożsamości tej drugiej ofiary nigdy nie udało nam się ustalić. Była młoda i miała czarne, kręcone włosy średniej długości. Tyle.

Modling sięgnął do leżącej przed nim teczki, wyjął kilka fotografii i popchnął je po stole do Lichego.

– Jak widzisz – kontynuował stary śledczy – zwłoki wyeksponowano mniej więcej tak samo, jak wczoraj. Oparto je o koła stojącego wagonu. Ofiara nazywała się Katarzyna Lisiecka i miała dwadzieścia cztery lata. Podejrzanego złapano niemal na gorącym uczynku. Funkcjonariusze Służby Ochrony Kolei patrolowali teren, bo spodziewali się ataku graficiarzy. Tak w każdym razie twierdzą. Podobno w noc sylwestrową dużo się maluje. Oni właśnie ujęli Roberta Kowalczyka, wówczas trzydziestojednoletniego. Miał przy sobie kilka puszek z niebieską oraz białą farbą i od początku utrzymywał, że przybył tam, by malować graffiti na pociągach. Kowalczyk w trakcie przesłuchania wielokrotnie zmieniał wersję. Początkowo zeznał, że nie zna ofiary. Jednak sokiści zeznali, że zaraz po tym, jak go ujęli, usiłował ich przekupić, twierdząc, że nic nie zrobił, ale zna ofiarę, więc policja z pewnością wrobi go w to morderstwo. My w międzyczasie wykonaliśmy szereg badań i okazało się, że w pochwie ofiary znaleziono materiał genetyczny Kowalczyka, a pod paznokciami jego naskórek. Wówczas Kowalczyk stwierdził, że owszem, znał ofiarę i utrzymywali nieregularny kontakt seksualny. Podkreślił, że nie chciał się do tego przyznać, bojąc się konsekwencji.

– Wyjaśnił swoją obecność na miejscu zbrodni? – zapytał Lichy. – Bo to jednak mało prawdopodobny zbieg okoliczności, by malował dokładnie tam, gdzie jego kochankę znaleziono martwą.

– Wyjaśnił, a jakże – odrzekł Modling. – Twierdził, że najwyraźniej ktoś chciał go zrobić, wiedząc, że będzie tam malował. Podobno w ich środowisku wszyscy wiedzieli o tej akcji i poniekąd zeznania sokistów potwierdzają ten fakt.

– I to, co zdobyliście, nie wystarczyło prokuratorowi, żeby przedstawić akt oskarżenia? – zdziwił się Lichy, nalewając sobie do szklanki wody. Drapało go w gardle, a nie chciał doprowadzać wszystkich do szału bezustannym chrząkaniem.

– Zapewne by wystarczyło, gdyby nie fakt, że czwartego stycznia Kowalczyk przyznał się do zupełnie innego morderstwa. Niejakiego Artura Zielskiego. W maju dwa tysiące dwunastego roku, w Częstochowie. Nagle pojawiło się sporo nowych wątków. Tamto śledztwo prowadziła zupełnie inna ekipa, Kowalczyk odbył z nimi bardzo rzeczową wizję lokalną i dostarczył dowodów. Więc siłą rzeczy tamto śledztwo zyskało priorytet. Rok później, gdy w naszym śledztwie pojawiła się kolejna ofiara, Kowalczyk siedział w areszcie śledczym w Częstochowie. A każdy kolejny Nowy Rok przywitał w zakładzie karnym w Herbach, gdzie odbywa karę piętnastu lat pozbawienia wolności za zabójstwo w typie kwalifikowanym.

Lichy zatarł ręce z zadowolenia, bo w końcu usłyszał coś, co go naprawdę zainteresowało. Szybko jednak pomyślał, że nie wypada się tak zachowywać, więc po prostu udał, że mu zimno. Co zresztą nie było bardzo dalekie od prawdy.

– Czy znaleźliście cokolwiek, co mogłoby świadczyć o tym, że kolejnych zbrodni dokonała inna osoba? – zapytał.

– Nie usłyszałeś jeszcze najważniejszego, choć z tego, co słyszałem, sam już się domyśliłeś. Każda kolejna ofiara trzymała w rękach głowę poprzedniej. To świadczy o ciągłości. Drugie ciało znaleźliśmy oparte o wschodni przyczółek rozebranego wiaduktu nad bocznicą kolejową do

Huty Pokój w Rudzie Śląskiej. Niemal na terenie Kaufhausu. Ofiara nazywała się Anna Milewska, miała w chwili śmierci dwadzieścia sześć lat i trzymała w rękach głowę Katarzyny Lisieckiej. Niemożliwe, by tej zbrodni dokonał inny morderca niż poprzedniej. Więc ostatecznie przyjęliśmy do wiadomości, że Kowalczyk faktycznie znalazł się tam przez przypadek. Tym bardziej że podobieństw było więcej, jak choćby wspomniane wcześniej litery „Q” na piersiach.

– Raczej wątpię – powiedział Lichy. – Z pewnością był jakoś zaangażowany w to zabójstwo.

Modling zaniemówił. Lichy spojrzał na niego, a potem rozejrzał się po sali. Wszyscy wbijali w niego wzrok, więc, jak zwykle w takiej sytuacji, poczuł się nieswojo.

– No... – bąknął – może zresztą to zbyt pośpieszna opinia. Pomyślę jeszcze nad tym. Ale coś mi nie pasuje w zeznaniach, które przytoczyłeś. W każdym razie na tę chwilę wydaje mi się, że on uczestniczył w tym zabójstwie. I jeśli przyjąć taką wersję, to właściwie otwiera się tylko jedna możliwość: zbrodni dokonuje większa liczba osób. Być może na początku były dwie, a po zamknięciu Kowalczyka już tylko jedna, być może to cała grupa, jakaś sekta czy...

– Co ty pierdolisz, człowieku? – przerwał mu Modling. Lichy zamilkł i teraz dopiero zrozumiał, że przegapił coś, co zaszło w tym pomieszczeniu kilka chwil wcześniej. Przegapił świdrujący wzrok Modlinga, nerwowość Krzywańskiego, wyzywające spojrzenia Rusłana i Łysej. I ciszy, która zapadła po jego słowach. Takiej, w której nie słyhać już kompulsywnego bazgrania długopisem po kartce notatnika, informacji bez znaczenia szeptanych komuś na ucho, szmeru łokci przesuwanych po biurku i szurania kółek foteli po posadzce.

– Od ośmiu lat robimy wszystko, bo znaleźć cokolwiek na tego człowieka – wysyczał przez zęby Modling. Twarz miał zupełnie czerwoną, a czoło przecinała żyła wielkości rurociągu „Przyjaźń”. – Więc jeśli dostrzegłeś coś interesującego w tej krótkiej relacji, którą przedstawiłem, to bądź łaskaw się tym z nami podzielić.

Czy coś zauważył? Tak, do cholery. Przecież to zupełnie oczywiste. Sami powinni to zauważyć lata temu. Jedno banalne kłamstewko. Ale jednocześnie szczegół. Żaden dowód. Spostrzeżenie nie do wykorzystania na tym etapie i z pewnością niewarte tego, by dokładać do pieca temu staremu człowiekowi siedzącemu obok, który w swoim czasie z pewnością zrobił wszystko, by dociec prawdy.

– Przejdźmy dalej, dobrze? – poprosił Lichy. – Jesteśmy dopiero na początku i wciąż brakuje mi mnóstwa informacji.

Zapowiadało się na kolejną chwilę nieprzyjemnej ciszy, ale do akcji wkroczył Krzywański. Podał Lichemu trzy obszerne teczki i powiedział:

– Tu masz wszystkie podstawowe informacje dotyczące kolejnych ofiar. Personalalia, daty i miejsca, w których je odnaleziono, rozmowy ze świadkami, wyniki badań i tak dalej. To wersja skrócona, zawierająca tylko to, co najważniejsze. Zapoznaj się z tym jak najszybciej.

Lichy odebrał od szefa materiały, ale nie otworzył ich.

– Mówiłeś, szefie, że ofiary zawsze znajdowano w pobliżu obiektów kolejowych – powiedział.

– Żadnego klucza – uciął Modling już spokojnie. Twarz mu na powrót poszarzała. Rurociąg „Przyjaźń” zniknął. – Sprawdzaliśmy to na setki sposobów. Nie znaleźliśmy wzoru. Sprawdzaliśmy, czy miejsca nie łączą się ze sobą lub jakimkolwiek wspólnym punktem za pomocą dostępnych połączeń kolejowych, ale nic takiego nie miało miejsca. Sieć kolejowa GOP-u jest dość rozbudowana, szczególnie wliczając tysiące różnych bocznic.

Ofiary znajdowaliśmy w różnych miastach. Dwa razy w Katowicach, a poza tym po razie w Dąbrowie Górniczej, Gliwicach, Sosnowcu i Pyskowicach. Do tego raz dokładnie na granicy Chorzowa i Świętochłowic i teraz w Bytomiu. Przy czym, poza wyjątkami, mowa o miejscach, do których nie dociera regularna komunikacja. Zatrudniliśmy nawet eksperta kolejowego, żeby nam wytyczył ewentualne szlaki, ale nie miało to żadnego sensu i nic nie dało. Sprawdzaliśmy to wszystko pod kątem użytkowym, czyli jakie pociągi korzystają z badanych szlaków, jakie jeżdżą tamtędy towary, jakie firmy spedycyjne realizują tam dostawy. Przez pewien czas zastanawialiśmy się, czy mordercą nie jest maszynista. Tygodniami sprawdzaliśmy stany kadrowe i czasy pracy załóg. Nic nie znaleźliśmy. Tylko w jednym przypadku pociąg przejeżdżał w sylwestra w pobliżu miejsca odnalezienia ciał, ale było to czterdzieści minut przed północą, a maszynista prowadzący skład zatrudniony był w zakładzie taboru w Skarżysku-Kamiennej i zwykle obsługiwał przewozy na północ Polski. Słowem, zmarnowaliśmy czas.

– To są podstawowe fakty – powiedział Krzywański. – Szczegóły masz w papierach i musisz je, jak najszybciej przyswoić. Sam pracuję nad tą sprawą już piąty rok. Morderstwa się powtarzają, ale śladów nie ma żadnych. Dosłownie. Nic nie znaleźliśmy. To bardzo upokarzające, czekać na zbrodnię z nadzieją, że przyniesie jakiś przełom. I mam nadzieję, że ten przełom nastąpił. Dotąd ofiary nigdy nie były pomalowane. Nie mam pojęcia, co to może oznaczać, ale coś musi. Przyjrzymy się temu.

– Musi albo nie musi – powiedział Cyra. – Mam na myśli to, że to może być zbrodnia popkulturowa. Tak to nazywam. Morderca wymyślił sobie swój pomysł na zbrodnię i niekoniecznie musi to mieć jakiś sens. Nie musi mieć znaczenia fakt, że morderstwa są dokonywane w okolicach

kolejowych. Nie musi mieć znaczenia obcinanie głowy i malowanie farbą. Być może morderca po prostu uznał, że to fajne.

– Że to fajne? – zdziwił się Krzywański.

– Czasy się zmieniły – odparł Cyra. – Na każdej płaszczyźnie. Kiedyś każda twórczość była po coś, teraz jest głównie dla uwagi. Nie wiem, czy rozumiecie, co mam na myśli.

– Chyba nie – powiedział Modling.

– Kiedyś muzyka była sztuką, dziś w sumie jej jakość nie ma żadnego znaczenia, bo liczy się szeroko rozumiany *performance*. Odchodzi się od sztuki o opracowanej symbolice na rzecz czysto doznaniowej. Niby dlaczego mordercy również nie mieliby tak postępować? Dlatego nazywam to morderstwem popkulturowym. Ale oczywiście to tylko hipoteza.

Krzywański chwilę przetwarzał w głowie to, co usłyszał. Przez kilka sekund sprawiał wrażenie, jakby chciał temu wszystkiemu zaprzeczyć, ba, jakby chciał wyśmiać te głupoty i kazać Cyrze zabrać się za porządną robotę, jednak najwyraźniej nie znalazł w swej przepastnej księdze doświadczeń argumentu, który jednoznacznie pozwoliłby urznać tej teorii łeb.

– Co myślisz, Lichy? – zapytał zamiast tego.

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Być może. Nie sądzę, by to było niemożliwe.

– Ale?

– Nie ma ale. To tylko teoria. Nigdzie nas nie zaprowadzi, ale może pozwoli nam nie zbłądzić. Zwłaszcza że mam nieco inne, ale w sumie podobne, przemyślenie.

– Jakie? – zapytał podinspektor.

– Ten cały *set-up* wydaje mi się nieco infantylny. Mam na myśli przede wszystkim te litery „Q” na piersiach. Wygląda to na podpis, a to dość

dosłowne i nie pasuje do wydumanych schematów seryjnych morderców. Możliwe więc, że morderca albo zaczął jako człowiek młody i niedojrzały, albo jest zwyczajnie mało lotny. Dlatego doszukując się na siłę symboliki, możemy być jak panel ekspertów usiłujących przeprowadzić zaawansowaną analizę wiersza o kotku, który wlaź na płotek.

Nikt się nie odezwał. Cyra patrzył gdzieś w bok. Modling – jak zwykle w sztuczne okno.

– No dobrze – powiedział w końcu Krzywański. – Jakies pytania?

– Tak – odparł Lichy. – Jedna rzecz nie daje mi spokoju. Jakim cudem to nie jest *cause célèbre*? Dziewięć zamordowanych kobiet z obciętymi głowami. Jedna każdego roku. O tym powinny trąbić media na całym świecie.

– No właśnie – odpowiedział Krzywański. – Powinny, ale nie trąbią. Na szczęście. I musimy zrobić wszystko, by tak zostało. Pomogły nam okoliczności. Ciała były eksponowane w noc sylwestrową, w odludnych miejscach. Pięć z ośmiu zidentyfikowanych kobiet nie miało nikogo bliskiego. Rodziny pozostałych nie wiedzą o innych ofiarach. Nikomu nie przyszło na myśl nagłaśniać sprawę.

– Nie przyszło na myśl? – zdziwił się Lichy. – Ale jak im w ogóle wydajecie ciała? Bez głowy?

– Mamy procedury, które...

– Kłamiemy – przerwał podinspektorowi Modling zniecierpliwionym i dziwnie syczącym głosem. – Do cholery jasnej, to naprawdę nasza najmniejsza bolączka. Nauczyliśmy się kłamać i nawet już nie mamy wyrzutów sumienia. Nigdy nie poinformowaliśmy rodzin ofiar, że ich bliscy padli ofiarą morderstwa. Zawsze mówimy o wypadku. Wydajemy ciała bez głów, twierdząc, że uległy one zmiążdzeniu. Co ci jeszcze mamy

powiedzieć, Lichy? Osiem kobiet przejechanych przez pociągi. Ma to dla ciebie sens?

– Taaa – odparł Lichy, zupełnie jakby go tu nie było. Co mogło nie być dalekie od prawdy. Czuł, jak oddala się do swojego świata. Tam, poza dziki nurt Styksu, gdzie nikt z własnej woli nie chciałby się udać, a Lichy z własnej woli najchętniej by stamtąd nie wracał. Problem tkwił jedynie w tym, że w jego własnym uniwersum Charon gardził obolami, kochał natomiast wódkę. Lichy nie pił. Lichy płacił za podróż.

– To również odpowiedź na twoje pytanie – powiedział Krzywański. – Dlaczego to my nad tym pracujemy. Dlatego, że oficjalnie tego śledztwa nie ma. Prokurator Doba to specjalista od wypadków komunikacyjnych i oficjalnie w takiej sprawie prowadzi śledztwo. O tym, co się naprawdę dzieje, wie może dwadzieścia osób w państwie. I gdyby ta sprawa wyszła na jaw, to pomijając nawet moją i Doby, po bruku potoczyłoby się sporo bardzo nobliwych głów.

Dość nieoczekiwanie audytorium wybuchnęło śmiechem. Krzywański szybko zrozumiał, jak komicznie zabrzmiała jego makabryczna przepowiednia w kontekście tego, czym się tutaj zajmują, więc sam też się uśmiechnął. Wówczas rozległo się pukanie, a potem drzwi się uchyliły i do środka wsunął się Rusłan Błagojew.

– Chodź – zwrócił się do niego Krzywański. – Zaraz kończymy. Lichy, masz jeszcze jakieś przemyślenia na gorąco? Coś cię zastanawia? O czymś myślisz?

– Zastanawia... Czy mnie coś zastanawia? Zastanawia mnie pierwsza ofiara. To znaczy głowa. Ta pierwsza głowa. Ona mnie zastanawia.

– W związku z czym? – zapytał Modling.

– Tak po prostu – odparł Lichy. – Ona jest najważniejsza. Jest spoza schematu. Musi być powód, dla którego nie ma ciała.

– Powód jest taki, że po prostu ktoś musi być pierwszy. – Łysa sprawiała wrażenie zniecierpliwionej. Może dlatego, że była biernym uczestnikiem spotkania. Nikt jej o nic nie pytał, sama też nic nie mówiła. Lichy się nie dziwił. Musiała już tym rzygać.

– Nie – powiedział cicho Lichy. – Minęło sporo czasu, a jej nie udało się zidentyfikować. Nikt o nią nie pytał, nikt nie zgłosił zaginięcia.

– Podobnie jak o inne – przypomniał Cyra. – Niektóre po prostu nie miały nikogo.

– To prawda – zgodził się Lichy. – Ale je zidentyfikowaliście i to dość szybko. A ta jedna jest tajemnicą. Poza tym, wydaje mi się, że pozbycie się ciała byłoby pewnego rodzaju marnotrawstwem. Seryjnym mordercom liczy się ofiary, a każda jest jakąś częścią układanki. Tymczasem ta osamotniona głowa musiałaby być jedynie narzędziem. Rekwizytem. Morderstwem technicznym, bez większego znaczenia. A to chyba mało prawdopodobne. Nie, według mnie od niej się wszystko zaczęło i ma bezpośredni związek ze wszystkim, co się wydarzyło później.

– To brzmi jak szukanie motywu – zauważył Krzywański.

– Zawsze jest jakiś motyw – uciał Lichy. – Nie rozumiem tego gadania, że seryjni nie mają motywu. Mają. My tego po prostu nie rozumiemy, bo być może jesteśmy za mało szaleni. A tu jest jeszcze inna kwestia. Taka mianowicie, że to nie jest seryjny zabójca.

I znów cisza. Rusłan zamarł z kubkiem w połowie drogi od ust do stołu. Przestraszył się dźwięku, jaki wydałaby ta czynność. W tej konkretnej sytuacji zbliżonego do wystrzału z armaty.

– Lichy – zaczął Cyra, bardzo się starając, by tym razem w jego głosie nie było słyhać wrogości, ani nawet zwykłej niechęci. Bo Cyra, choć nienawidził Lichego całym sobą, choć wielokrotnie wyobrażał sobie, jak łamie tego pijaka wpół, potem jeszcze raz, a na koniec formuje w kosteczkę

i wrzuca do kubła na śmieci, wiedział również, że wdając się z nim w polemikę, słowami i nastawieniem nacechowanymi pogardą i lekceważeniem, bardzo łatwo się skompromitować. – Pomijając tę nieszczęsną głowę, mamy osiem identycznych zabójstw. Nie licząc tego, że ostatnia ofiara została pomalowana. Ten sam okres. Ten sam *modus operandi*, ten sam typ ofiary. To jest klasyczna seria. Nie ma innej możliwości. Gdyby to miała być zemsta, ofiary musiałyby być ze sobą jakoś powiązane, a poza nielicznymi wyjątkami nie były. Zresztą, kto czeka z zemstą tak długo? Podobnie z innymi motywami. Gdyby ktoś chciał coś ukraść lub ukryć, coś zyskać lub czegoś nie stracić, w sumie o jakimkolwiek celu byśmy nie pomyśleli, tak długi czas operacyjny zwyczajnie nie ma sensu. Zwłaszcza że nie wiemy nawet, jak długo ta seria miałaby jeszcze trwać. Może kolejne osiem lat?

– Po trzecim morderstwie założyliśmy, że to seryjny morderca – wtrącił Modling. – A każde kolejne to potwierdzało. Skąd u ciebie, na Boga, ten opór? Dlaczego z taką łatwością kwestionujesz wszystko, co ustaliliśmy?

– Bo nic nie ustaliliście – powiedział Lichy, wstydzając się swoich słów już w momencie ich wypowiedzenia. – I dlatego, że ściągnęliście pijaka leżącego na ulicy we własnych rzygowinach, by wam pomógł. Więc wam pomagam.

– W porządku – odparł Modling. – Może i tak jest. Może okazaliśmy się za krótkcy, by rozwiązać tę sprawę. Po tych wszystkich latach wyzbyłem się dumy i chcę tylko dopaść tego sukinsyna, nim sam zdechnę. Możliwe, że potrzebujemy ludzi takich jak ty i Cyra. Więc po prostu wytłumacz, dlaczego twoim zdaniem to nie jest seryjny morderca.

– *Cause célèbre* – odparł Lichy. – Nie jesteśmy najwyraźniej jedynymi, którym zależy, by ta sprawa nie wypłynęła. Morderca przez osiem lat w żaden sposób nie zasygnalizował publicznie swojego czynu. Każda

sprawa seryjnego mordercy to *cause célèbre*. Bo każdy pragnie zrozumienia, poklasku, podziwu, a przynajmniej sławy. Pokaż mi jednego seryjnego mordercę od czasów Zodiaka, który zachowałby tak długo swoje zbrodnie w tajemnicy.

– To błąd logiczny – powiedział Cyra. – Jeżeli jakiś był, to przecież siłą rzeczy nic o nim nie wiemy.

– Poza tym, wielokrotnie dopiero po jakimś czasie, policja orientowała się, że szereg zbrodni popełniła ta sama osoba – powiedziała Łysa. – Tak było i z Marchwickim, i z Tuchlinem. Nie przypominam sobie, by oni chwalili się w mediach swoimi czynami.

– Nie musieli – odparł spokojnie Lichy. – Media zrobiły to za nich. Zresztą, Tuchlin i Marchwicki nie przygotowywali inscenizacji. A jak coś inscenizujesz, to chcesz mieć widzów.

– Nie rozwiążemy teraz tego – wtrącił się Krzywański. – Za dużo tu elementów, które sobie wzajemnie przeczą. Proponuję, by Rusłan przedstawił swoje ustalenia, a potem zastanowimy się nad dalszym planem działań.

– Właściwie to ustalenia moje i techników – powiedział Błagojew. – Nie ma tego wiele. Po pierwsze, farba na palcach była bardzo rzadka, więc do zdjęcia odcisków palców nie był nawet potrzebny specjalistyczny sprzęt. Zrobili to na miejscu. Lichy miał rację, ofiarą okazała się kobieta, na której konto wynajęto samochód. Joanna Lauda. Lat trzydzieści jeden. Karana w przeszłości za drobne kradzieże i pomocnictwo w rozboju. Według naszych wywiadowców przynajmniej dwa lata zajmowała się prostytutką w Warszawie. Ale to wszystko przed ukończeniem dwudziestego pierwszego roku życia. Potem najwyraźniej się ustatkowała. I to bardzo skutecznie, bo wygląda na to, że dysponuje ogromnym majątkiem. Na razie wiemy o niej tylko tyle, ale kopiemy dalej. Co do wynajmu auta,

zostało ono wypożyczone o godzinie trzynastej dwadzieścia jeden, spod bloku przy ulicy Lipińskiej 14 w Chorzowie. Brak kamer w okolicy. Następnie auto zaparkowano w zagajniku od ulicy Mielęckiego w Świętochłowicach. Jest tam gruntowa, dziurawa droga, na tyłach warsztatu samochodowego. Świetne miejsce, żeby na kilka godzin ukryć samochód. Auto stało tam w trybie pauzy aż do dwudziestej trzeciej dwadzieścia jeden. Uważam, że tam był punkt przesiadkowy. Morderca wiedział, że Traficar ma GPS, więc nie mógł nim pojechać na miejsce zbrodni. Ani tym bardziej do domu. Myślę, że postawił tam auto, potem przywiózł ciało, przeładował i zawiózł na miejsce wyeksponowania, czyli na stację Bobrek w Bytomiu. Na miejscu spędził dwanaście minut. Wynajem zakończono sześć minut później na ulicy Zabrzeńskiej w Bytomiu. Zabrzeńskiej 115, dla ścisłości. Kolejny wynajem za pięć pierwsza w nocy. Wynajmująca Magdalena Beskid, lat dziewiętnaście. Według dowódcy patrolu zabezpieczającego miejsce kolizji była pijana w Stockingera. Uczestniczka imprezy sylwestrowej w pobliskiej kamienicy z mocno rozbudowanym alibi. Z pewnością przypadkowa osoba.

– Dlaczego tak? – zapytała Martyna. – Czy morderca nie powinien wrócić tam, gdzie zostawił swoje auto?

– Może nie ma tam strefy – powiedział Ruslan. – Auto można zostawić tylko w określonych miejscach.

– Porzucił je, bo było ubłocone – uciął Lichy. – Mnie bardziej zastanawia, po co w ogóle ta zmiana aut. Mógł przecież wszystko załatwić swoim autem. Ja rozumiem, że to duże ryzyko, ale przecież i tak je podjął. Ruslan, coś na temat samego przejazdu?

– Dostałem dane z telemetrii. Od momentu wyruszenia z tego zagajnika, samochód ani razu nie zatrzymał się na więcej niż dwie minuty. Jechał dziwną trasą, bo mijał wysypisko. To duży skrót, ale przez

kompletne odludzia. Świetne miejsce, żeby kogoś zabić, ale nigdzie tam się na dłużej nie zatrzymywał. Po prostu przejechał i pojechał dalej. Nic więcej nie wiem.

– Myślę, że ta zmiana aut musi coś oznaczać – powiedział Krzywański. – Trzeba się dowiedzieć, co. I może dobrze by było sprawdzić to wysypisko. Ktoś na ochotnika? Nikt? Ruslan, ty pojedziesz. Sprawdź, czy nie ma tam jakiś kamer. Tyle na teraz. Sekcja w toku. Na czwartą rano macie zaproszenie od doktor Demarczyk na Medyków. Opowie, co ustaliła.

– Dobrze – podsumował Krzywański. – Cyra, spróbuj ustalić coś więcej na temat ofiary. Lichy, ty w pierwszej kolejności przejrzyj akta. Możesz tu nocować, jeśli chcesz. Samochodu niestety dla ciebie nie mam, ale w razie potrzeby dzwoń do Ryśka.

– Jasne, chętnie pomogę. – Modling westchnął. Lichy doskonale wiedział, że nie była to szczerza deklaracja, ale i tak zapytał:

– Po drodze ci na Chropaczów? To blisko.

– Może być. Andrzej, skończyliśmy tu?

– Skończyliśmy – powiedział Krzywański.

ROZDZIAŁ 4

Tomasz jak dotąd nie zadzwonił i Liliana Wejherc bardzo liczyła, że taki stan już się utrzyma. Jezu, jak dobrze, że nie pozwoliła mu się do siebie wprowadzić. To nie był zły facet. To raczej ona nie była dla niego dobra.

Przez całą drogę zastanawiała się, czy powinna już prowadzić. Wypiła wieczorem dość sporo, spała raczej średnio, a wstała wcześnie, jak na noworoczny poranek. Czy to już był ten moment, gdy traciła kontrolę nad swoim życiem? Faceci coraz częściej bardziej przygodni. Alkohol coraz bardziej powszedni. Zarobiła w końcu te swoje wymarzone duże pieniądze. Ale jak dotąd kupiła sobie za nie tylko samotność.

I dobrze.

Nikt jej po drodze nie zatrzymał, więc przed dwunastą postawiła swoje BMW serii 2 w kolorze thundernight, a bardziej po ludzku po prostu śliwkowym, na parkingu biurowca Stalexport przy ulicy Mickiewicza w Katowicach. Po wyłączeniu silnika, jak zawsze, zupełnie kompulsywnie spojrzała w lusterko. Coś się jednak musiało stać z oparciem fotela. Czy naprawdę pozwoliła Tomaszowi jeździć jej Betty? Tak, była z tych trzydziestodzieściolatek, które nadawały swoim autom imiona. Nie dałoby się chyba znaleźć bardziej dobitnego dowodu samotności. W każdym razie w lusterku zamiast oczu widziała jedynie swoje usta. Wściekle pomalowane czerwoną szminką, która miała ukryć to, że Liliana coraz bardziej blakła. I być może nawet ukrywała, ale nie przed Lilianą. Dla niej łuszczące się i puchnące wargi wciąż były widoczne. Zmarszczki w kącikach ust również. Z miesiąca na miesiąc nakładała coraz więcej

makijażu. I coraz bardziej bolało, gdy wieczorem zmywała go z twarzy, patrząc na najgorszą w historii i najlepszą siebie, jaką jeszcze kiedykolwiek będzie.

Chwyciła za klamkę, a wiatr zrobił resztę. Szarpnął drzwiami tak potężnie, że nieprzyjemnie zgrzytnęło, gdy ogranicznik wykonał swoją robotę. Zaskoczyło ją to. Nie była jeszcze na zewnątrz. Auto trzymała na zamkniętym parkingu zlokalizowanym w przyziemiu swojego czarnego jak smog apartamentowca na Koszarowej. W trakcie pięciominutowego przejazdu trochę bujało autem, ale myślała, że to kwestia jej niedyspozycji.

Naraz ucieszyła się, że nie chciało jej się myć dzisiaj włosów i jedynie je spięła. Inaczej wiatr zrobiłby na głowie Park Giszowiecki. Naciągnęła mocniej kaptur pikowanej kurteczki w kolorze thundernight, a bardziej po ludzku po prostu śliwkowym i szybkim krokiem udała się do drzwi wejściowych. W noworoczne południe przy kontuarze recepcji nie było ani jednej z czterech zatrudnionych tam dziewczyn, każdej bez wyjątku znienawidzonej przez Lilianę. Siedział za to ten gruby ochroniarz, którego imienia nie pamiętała, ale który w jej osobistym katalogu osób figurował w rubryczce „przyjaźni”.

– O, pani Lili – zdziwił się ochroniarz. – Pani też dowalili dyżur?

– Nie, zapomniałam czegoś – powiedziała, nawet się nie zatrzymując, bo pogawędka była ostatnim, na co miała teraz ochotę. – Wszystkiego dobrego w Nowym Roku.

– Wszystkiego dobrego. Alarm rozpięty, bo jest tam ten... No wie pani, ten młody.

Wiedziała, który młody. Liczyła, że będzie.

Redakcja znajdowała się na jedenastym piętrze. Dokładnie w połowie wysokości budynku. „Dzień Dobry Śląsk” nie było znaczącym tytułem. To znaczy teraz, bo dziesięć lat temu, gdy się tam zatrudniała, to, o, proszę

państwa, świat i ludzie. Potem media papierowe zdechły pod butem internetu, podobnie jak sama idea opiniotwórczości. Dawniej jeden mówił, a miliony słuchały. Dziś miliony mówią, a nikt nie słucha. Opinię kształtuje nie ten, kto ma coś mądrego do powiedzenia, a ten, co ma więcej followersów na Instagramie czy Facebooku. Na szczęście szefowie „Dzień Dobry Śląsk” bardzo szybko zorientowali się w sytuacji, dziennik zamienili w tygodnik i równolegle uruchomili serwis internetowy, który, w przeciwieństwie do konkurencji, funkcjonował dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Opracowali też własne mechanizmy reklamowe, mniej inwazyjne niż u innych, ale dobrze eksponujące promowane treści. Skutek był taki, że „Dzień Dobry Śląsk” zarobiło dużo pieniędzy, a Liliana została szefową działu dziennikarstwa śledczego, o czym marzyła całe życie, a czego obecnie szczerze nienawidziła.

Wysiadła z windy i przyłożyła kartę do czytnika przy drzwiach. Weszła do środka i uderzyła ją cisza. Spędziła tu niejedną noc, ale zawsze w towarzystwie zespołu. Dział internetowy miał osobne wejście, po drugiej stronie korytarza. Tam pszczołki bzycały bezustannie. Tu przywitał ją jedynie cichy szum wentylacji. Światła były przygaszone, ale bladoniebieska luna w oddali świadczyła, że Kamil Buda-Zalewski siedzi przy swoim komputerze.

– O matko i córko! – wykrzyknął na jej widok. – Ale nie mieszkasz w Świętochłowicach, co?

– Nie... Dlaczego? – odparła zaskoczona.

– Bo był tam jakiś pożar. A nie wiem, co innego niż utrata dachu nad głową mogłoby cię zmusić do wizyty w redakcji w to piękne, noworoczne południe.

– Południe? Przecież jest zupełnie ciemno.

– Gówniany kraj z gównianą pogodą – podsumował Kamil. – Ale serio, co tu robisz, szefie? Chyba nie przyszłaś na dyżur?

– Nie. Przyszłam, bo wiedziałam, że ty tu jesteś.

Drgnął niemal niezauważalnie. Niemal. Doskonale wiedziała, że od kiedy pojawił się w jej zespole, wodził za nią maślanymi oczami. Udawała, że tego nie widzi. Nie był nawet taki zły. Szczupły, zadbany, często odwiedzający barbera. No i ładnie pachniał. Zawsze. A w dodatku trzynaście lat młodszy od niej. To sprawiało przyjemność. Tyle że ona, mierząc metr siedemdziesiąt pięć, wołała mężczyzn o dziesięć centymetrów wyższych od siebie. A nie dziesięć centymetrów niższych. Kiedyś, na jakimś wyjeździe integracyjnym, zdecydowanie po dużej ilości alkoholu, kiedy dwie dziewczyny z IT naśmiewały się z jego wzrostu, odparował, że może i jest mały, ale za to ma wielkiego fiuta. To było żalotne. Nie, nie to, że tak powiedział. To, że natychmiast to sobie zwizualizowała i nie potrafiła tego obrazu od siebie odegnąć. Nigdy się o tym nie dowie, ale miał wówczas swoją szansę. Gdyby wypila ze dwa drinki więcej, pewnie by z nim poszła. Seks funkcjonalny. Katalizator dla produkcji koktajlu hormonów, tak bardzo potrzebnych kobiecie w jej wieku. Nie, zdecydowanie nie z miłości. Czy ludzie w ogóle jeszcze robią takie rzeczy? Kochają? W każdym razie to było, zanim poznała Tomasza. Mężczyznę stanowczo nieefektownego, ale za to takiego, którego bez większego wysiłku mogła mieć w sobie zawsze, jak tylko miała ochotę. Leżał na półce, a ona brała go sobie, kiedy był potrzebny. Ten rodzaj komfortu, którego wszyscy pragną i wszyscy nienawidzą.

W każdym razie szybko musiała sprowadzić Kamila na ziemię.

– Pamiętasz nasz artykuł o tym policjancie, którego znaleziono nawalonego i gołego w jakimś parku, gdzieś tam? Coś ze cztery lata temu.

– Masz na myśli ten artykuł, który ja napisałem, bo ty uganiałaś się za czymś tam i nie miałaś czasu, a w którym potem zrobiłaś korektę i oddałaś jako swój?

– Dokładnie ten, który ci zleciłam jako swojemu praktykantowi, i który doceniłam, podpisując własnym nazwiskiem.

– Doceniłaś?

– Pod byle czym bym się nie podpisała. Zresztą, nie narzekaj, dobrze? Źle ci to zrobiło? Nie odpowiada ci twoja obecna pozycja zawodowa? Znam gnojków w twoim wieku, którzy marzą o takiej.

– Nic nie mówię.

– Dobrze. Pamiętasz, jak on się nazywał?

– Żartujesz? Słynny Rafał Lichy.

– Słynny?

– Szewc z Chociebuża? Naprawdę nie pamiętasz?

– Chyba mnie ominęło. Masz to gdzieś zapisane? Ten artykuł.

– A nie pamiętasz, co wówczas powiedziałaś? „Skasuj wszystko. Materiał zostaje tylko u mnie”.

– Cholera. U mnie tego nie ma. Szukałam na swoim serwerze.

– Może w poczcie? Robiłaś *backup* przed zmianą klienta w zeszłym roku?

– Nie.

– No to nie mam dobrych wiadomości.

Liliana ponownie zakleła. Tym razem jednak wyjątkowo szpetnie.

– A co cię tak nagle naszło? Ten Lichy to już się pewnie dawno zapił na śmierć.

– Tak się składa, że wczoraj go spotkałam. Trzeźwy na pewno nie był, ale do martwego też mu było daleko.

– Ooo. – Oczy Kamila zrobiły się nagle ogromne jak u wyraka upiornego. – Jak było?

– Nie poznał mnie.

– Naprawdę? Zwolniłaś go z pracy.

– Słuchaj, możesz mi streścić, co było w tym artykule?

– A możesz pójść ze mną na kawę?

Lilianę zamurowało. Nie spodziewała się, że Kamil kiedykolwiek zdecyduje się na cokolwiek więcej niż tylko okazyjne wbijanie wzroku w jej dekolt.

– Do ekspresu. – Zaśmiał się, bezczelnie czytając w jej myślach. – Miałem właśnie iść do kuchni, kiedy przyszłaś.

– Jasne – powiedziała, a w tym jednym słowie zawarte było całe ich niedoszte *love story*.

Przeszli do kuchni znajdującej się w narożnej części lokalu. Kamil wyjął z szafy papierowy kubek. Nie znosił szkła. Ustawił go pod nalewakiem i wcisnął przycisk z ikonką dużej czarnej kawy.

– Nie pamiętam już dokładnie, co było w tym tekście – przyznał. – Ale generalnie wydźwięk był trochę tabloidowy. Że taki superglina tak bardzo się stoczył.

– Dobra, opowiedz mi o tej jego sprawie. I dlaczego mogłam o niej nie słyszeć?

– Może dlatego, że toczyła się w Niemczech, ale i tak powinno ci się obić o uszy. Lichy stał się potem czymś w rodzaju celebryty.

– Nie interesują mnie celebryci, tylko przekręty współczesnej szlachty.

– Więc skąd to zainteresowanie Lichym?

No właśnie. Skąd to zainteresowanie? Może dlatego, że nie pozostał obojętny na jej los? Tomasz z pewnością nie chciał jej nic zrobić, a nawet

gdyby chciał, to nie dałby rady. Ale liczy się gest. A może po prostu dostrzegła w nim towarzysza niedoli? Człowieka równie, jak ona samotnego i tak samo jak ona rozpaczliwie usiłującego wtopić się w świat tak, by jak najmniej osób było w stanie go zauważyć. A najlepiej nikt.

– Opowiadaj – podostrzyła trochę ton, by ta konwersacja nie przeszła w idiotyczny *small talk* pełen udawanego zainteresowania, sprośnych żartów, niejednoznacznych sugestii i zawołowanych propozycji w rodzaju tej z kawą.

– Nie pamiętam dokładnie, ale wydaje mi się, że jakoś w latach dwa tysiące dziesięć – dwa tysiące dwanaście w Saksonii i Brandenburgii zaczęto odnajdować ciała młodych dziewcząt. Było ich całkiem sporo. Ze dwadzieścia albo trzydzieści – nie pamiętam. W każdym razie ofiary nigdy nie były starsze niż piętnaście lat. Każda była dziewczyną. Zabijano je uderzeniem w głowę, a następnie dosłownie obdzierano ze skóry.

– Co, kurwa?

– Tak właśnie było. Przygraniczne landy opanowała prawdziwa psychoza. Ale słuchaj dalej. Zakładając, że przedział czasowy, o którym wspomniałem, jest poprawny, w dwa tysiące dwunastym w Görlitz, nieopodal granicy z Polską znaleziono kolejne ciało. Jak się okazało, ofiarą była Polka, dwunastolatka ze Zgorzelca, która wakacje spędzała u rodziny po drugiej stronie granicy. Wobec takiego obrotu spraw do sprawy włączyła się polska prokuratura i wysłano na miejsce zbrodni polskiego śledczego. A był nim właśnie Lichy.

– Dlaczego on?

– A skąd ja mogę wiedzieć? Tak czy inaczej, zaimponował niemieckim śledczym na tyle, że wprowadzili go w śledztwo. Piętnaście dni później brandenburska policja aresztowała siedemdziesięcioletniego szewca mieszkającego i pracującego w Chociebużu. Jak się okazało, nie był to

żaden seryjny maniak, tylko człowiek, który od jakiegoś kacyka z Bliskiego Wschodu otrzymał bardzo intratne zamówienie na dwadzieścia par pantofli z ludzkiej skóry. W śledztwie zeznał, że otrzymał tylko warunki brzegowe, to jest wymóg, by skóra pochodziła od dziewcząt sprzed inicjacji seksualnej. A także dwadzieścia milionów euro zaliczki.

Lilli gwizdnęła cicho, nic sobie nie robiąc z tego, że być może to trochę nie na miejscu.

– Za dwadzieścia milionów euro, to na pewno oddałabym swoją skórę.

Kamil nie skomentował, a ona szybko zrozumiała, jak łatwo się wystawiła. Mógł przecież powiedzieć, że już nie jest dziewicą i bla, bla, bla, ple, ple, ple, sprośny żart, niejednoznaczna sugestia, zawołowana propozycja. Tylko, do cholery, dlaczego z tego nie skorzystał? Czy nawet on był już poza jej zasięgiem?

– Co było potem? – zapytała, trochę zbyt nerwowo poprawiając gumkę spinającą jej włosy w kucyk.

– Potem? W Niemczech został na krótko bohaterem, w kraju celebrytą. Miał do tego idealne warunki, bo podobno jest bardzo przystojny.

– Jest piękny – przyznała Liliana. – Nawet w tak fatalnej kondycji.

– Ale najwyraźniej nie czuł się w tej roli zbyt dobrze – odpowiedział Kamil bez cienia urazy czy jakiegokolwiek mimowolnie wyeksponowanego objawu zazdrości. – Nie przyjmował sypiących się zewsząd zaproszeń do śniadaniówek, szybko zniknął z gazet, gdy okazało się, że jest nieprzyjemny w obyciu. Potem miał jeszcze kilka spraw, ale już nie tak nagłośnionych. Aż w końcu ktoś go spotkał w którymś z miejskich parków, jak kompletnie nawalony walił konia na ławce. Ja, to znaczy ty o tym napisałaś, no i go wylali. Koniec historii.

– Naprawdę?

– Co naprawdę?

– Walił konia na ławce?

– A kto to wie? Tak powiedział gliniarz, który go zawinął, a my to napisaliśmy. Ale Lichy chyba nie był lubiany w policji.

– Skąd takie przekonanie?

– Bardziej przeczucie. To chyba taki typ, którego nie da się za bardzo lubić.

Liliana nie odpowiedziała, bo już myślała o czymś innym. A raczej o kimś innym. O Adamie Mące, dawnym znajomym, kolejnym niedoszłym kochanku. A co najważniejsze, inspektorze z wydziału wewnętrznego policji. Wiedziała, że idzie po linii najmniejszego oporu, ale w sumie dlaczego miałyby tego nie robić? Dlaczego miałyby nie korzystać z faktu, że jest na świecie kilku facetów, którzy łudzą się, że mogliby ją mieć i gotowi są płacić podatek od marzeń w postaci drobnych przysług?

– Dzięki – powiedziała do Kamila. – Wiszę ci piwo.

– Drinka?

Cholera. Był czujny, a ona nie. Wykorzystał jedyną okazję, jaką mu dała. Ale, do cholery, jeśli ktoś płaci podatek od marzeń, to trzeba go utrzymywać w iluzji, że nie jest to wydatek bezcelowy.

– Może w tygodniu gdzieś wyskoczmy – odparła. To nie była propozycja. Raczej przyklepanie zgody.

Uśmiechnął się oczami. Pomyślała, że te oczy, to ma nawet ładne.

ROZDZIAŁ 5

– Co za gówno – wycharczał Modling i Lichy nie bardzo wiedział, czego dokładnie dotyczy uwaga: pogody, warunków na drodze, sprawy, która nie dała staremu w spokoju odejść na emeryturę, czy może samego Lichego. Więc na wszelki wypadek postanowił się nie odzywać.

Jechali na południe, w kierunku Świętochłowic. W passacie Modlinga śmierdziało starym człowiekiem i papierosami, których zapewne od kilku lat już nie palił. Cieniutka warstwa starego popiołu wypełniała każdy zakamarek auta. To jedna z tych zmór, które znają tylko kierowcy palący w aucie. Choćby nie wiadomo ile razy sprzątać wnętrze, ten cholerny osad zawsze powraca.

– Nie współpracowaliście z profilerem? – zapytał naraz Lichy.

– Nie – odparł rozeźlony Modling i stało się jasne, co go tak rozzłościło. Nawiew na szybę nie działał. Szybko osadzała się na niej para i stary śledczy co chwilę musiał ją przecierać rękawem. – To znaczy tak. Mamy opinię. Nawet kilka różnych opinii. Ale nic interesującego w nich nie ma.

– Nie wierzysz w takie rzeczy, co?

– A ty?

– Ja trochę wierzę. Wszystko, co robimy, by ustalić, kim jest morderca, to w gruncie rzeczy profilowanie. A jeśli psychologia zna jakieś kody i wzory, które powtarzają się choć odrobinę częściej niż inne, to czemu z tego nie korzystać?

– Zgoda – powiedział Modling. – Ja nigdy nie miałem nic przeciwko temu. Po prostu na pewnym etapie zaczęto nam wmawiać, że bez

psychologa nie da się prowadzić śledztwa. A to bzdura. W każdym razie mieliśmy trzy osobne profile, do trzech pierwszych zabójstw. Trzech różnych profilerów. Profile rozbieżne w stopniu wykluczającym. Potem przyszedł czwarty profiler. Wykonał profil zbiorczy. Jeszcze inny. Sam przyznał, że nic mu w tym nie pasuje. Powiedział nam tylko, że jest pewien dwóch rzeczy. Że morderca jest mężczyzną i że urodził się przed tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym rokiem. Tyle to ja sam wiedziałem.

Jechali przez chwilę w milczeniu. Modling nie miał radia w aucie. Jak można nie mieć radia w aucie? Słyszać było jedynie klekotanie diesla, Lichy jednak czuł, że ten stan długo się nie utrzyma. Stary ewidentnie chciał go o coś zapytać i w końcu to zrobił:

– Lichy, powiedz, skąd wiedziałeś?

– Skąd wiedziałem co? – Lichy się zdziwił.

– Wszystko. Krzywy mi powiedział. Bezbłędnie odgadłeś, że głowa należy do innej ofiary niż reszta ciała. Że ją przetrzymywano przez trzy dni. Że ją otruto. Tego wszystkiego nie widać na pierwszy rzut oka, a jednak wiedziałeś.

– Intuicja – odparł Lichy. – Nic więcej.

Modling nieoczekiwanie szarpnął kierownicą, wdusił pedał hamulca i z chrobotem ABS-u wjechał w zatoczkę przystanku autobusowego, ledwo unikając najechania na krawężnik.

– Znam takich jak ty – powiedział, zbliżając swoją twarz do twarzy Lichego na tak niewielką odległość, że Lichy poczuł w nozdrzach kwaśny zapach starego człowieka. Jeszcze bardziej intensywny niż ten dobywający się z tapicerki. – Młodych samotnych wilków, którzy nic nikomu nie mówią i z nikim się niczym nie dzielą. Którzy na koniec roboty zbierają wszystkich w kółeczko i zadziwiają ich swoją dedukcją, jak w jakimś pierdolonym kryminale z Joe Alexem. Ale mam jedną prośbę, Lichy. Prośbę

starego gliny. Kiedy będziesz zbierał swoje kóleczo i zadziwiał świat, pozwól, żebym ja mógł stać gdzieś obok. Bo to moja sprawa, moje fatum i moje życie. Jasne?

Lichy nie odpowiedział, więc chwilę tylko patrzyli na siebie, a potem Modling wrzucił bieg i ruszył dalej.

– Mylisz mnie z kimś innym – powiedział Lichy dwa skrzyżowania dalej. – Nie zbieram żadnych kóleczek. I nie okłamałem cię. Krzywański i Doba kazali mi zgadywać. Widziałem ciało przez trzy minuty, a oni mi kazali podawać wnioski. Więc powiedziałem, co mi przyszło na myśl, ale w żadnym razie nie była to fachowa analiza.

– Ale trafiłeś, Lichy. Więc może jednak była fachowa.

– Na podstawie każdego śladu można wysnuć kilka różnych wniosków. Ja akurat wysnułem poprawne, ale równie dobrze mogło być inaczej.

– Powiesz mi w końcu?

– Jej brodawki sutkowe. Zauważyłem, że są dość spore i lekko zniekształcone. Dotknąłem ich. Były przekłute. Podobnie pępek i łechtaczka.

– Co?

– Łechtaczka. W twoich czasach nie znaliście anatomii kobiety?

– Wiem, co to łechtaczka. Ale po co to przekłuwać?

– Nie mam pojęcia. Ale kobiety czasami to robią.

– Musi boleć.

– Granica między bólem a przyjemnością bywa wyjątkowo rozmyta. W każdym razie ofiara była fanką piercingu. Morderca musiał zdjąć z niej sporo żelastwa przed ekspozycją. Ale na jej twarzy nie znalazłem śladów żadnych ozdób. Nie miała niczego na wargach, nosie czy języku, nawet w uszach. To dość dziwne. Kobiety zwykle zaczynają przygodę z piercingiem od uszu, a potem schodzą coraz niżej. Ślady piercingu na

ciele, przy jednoczesnym ich braku na twarzy, mogły oznaczać między innymi to, że głowa nie należy do ofiary. Mogły też oznaczać wiele innych rzeczy. Ale postawiłem na to.

– Nieźle.

– Sprawdziłem również jej wzgórek łonowy i łydki. Wzgórek był idealnie gładki. Zupełny brak włosów łonowych. Ale łydka odrobinę drapała. Ocenilem, że ofiara ostatni raz goliła ją trzy dni przed śmiercią.

– No, ale to przecież nie oznacza, że ją przetrzymywano. Nie znam się na tym, ale kobiety chyba nie golą się codziennie.

– Zgadza się. A jednak wzgórek łonowy był wygolony. To zapewne żadna reguła, jednak na logikę, kobiety częściej golą nogi. A przynajmniej tak samo często. Nogi po prostu częściej eksponują. Założyłem więc, że ofiara ogoliła nogi sama, a potem morderca z jakiegoś powodu ogolił jej wzgórek łonowy.

– To nadal żaden dowód. Mogła się ogolić trzy dni przed śmiercią, a w dniu śmierci morderca ją ogolił i tyle. Skąd przekonanie o przetrzymywaniu?

– Powiedziałem ci, że to tylko przypuszczenie. Założyłem, że ofiara sama ogoliła nogi, a potem nie mogła ich już golić, więc zapewne przez około trzy dni była uwięziona.

– Mało przekonujące – powiedział Modling. – Ale trafione.

– To była kobieta, która bardzo dbała o wygląd. Podpowiada mi to ten piercing. Myślę, że goliła nogi codziennie. Strefę bikini może nie, bo to bardziej skomplikowane, ale nogi tak.

– No dobrze. A zatrucie?

– Totalny strzał. Po prostu mało kto z własnej woli i bez walki pozwala sobie obciąć głowę gilotyną. A to było czyściutkie, idealne cięcie. Ofiara musiała być już martwa.

– Mogła być tylko uśpiona lub w inny sposób pozbawiona świadomości
– zauważył Modling.

– To prawda. Tylko po co? Po co usypiać kogoś przed śmiercią? Wprawdzie nie każdy morderca jest sadystą, ale tutaj byłoby to bez sensu. Jeśli morderca jest sadystą, to wiąże ofiarę i ucina jej głowę na żywcą. Ale ona wierzga i cięcie nie jest idealne. A jeśli morderca jest w jakiś sposób humanitarny lub zależy mu na idealnym cięciu, to po prostu szprycuje ofiarę jakimś fentanylem i tyle. To ma też praktyczne zastosowanie, bo martwa ofiara nie krwawi przy dekapitacji tak mocno, jak uśpiona.

Niespodziewanie Modling wybuchnął śmiechem, co mocno zaskoczyło Lichego. Nie spodziewał się, że ten stary glina jeszcze potrafi coś takiego. Wyglądał na uosobienie definicji zgorzknienia.

– Teraz wiem już, dlaczego Sylwia tak się na ciebie wkurzyła – powiedział Modling, nie patrząc na Lichego, bo akurat zajęty był zmienianiem pasa ruchu. – Musiała widzieć, jak obmacujesz ofiarę. Od rana opowiadała wszystkim, że jesteś zboczeńcem.

– Aha.

– To bardzo fajna dziewczyna. Tylko skrajna feministka, czy coś w tym rodzaju. Kobieta wyzwolona, o, tak chyba powinienem powiedzieć.

– Wyzwolona?

– No wiesz. Ciągłe narzekająca na patriarchy, a jednocześnie na każdym kroku podkreślająca, że jej ciało jest jej i nikt nie ma prawa o nim decydować.

– W tym chyba nie ma nic złego?

– No nie. Chyba nie. Ale wiesz, ja tego nigdy nie zrozumieć. Najpierw rozkłada nogi przed każdym, na którego ma ochotę, a potem się dziwi, że jak zachodzi w ciążę, to facet spierdala za granicę. Jasne, zachował się jak chuj, ale czego się właściwie spodziewała, skoro wzięła sobie pierwszego

lepszego? To jest właśnie największy problem wszystkich tych lewaków. Oni mają piękne wyobrażenie świata, tylko nie przyjmują do wiadomości, że nieprawdziwe.

– Pokazała mi cycki – powiedział Lichy.

– Co?

– Pokazała mi cycki. Chciała wiedzieć, czy są fajniejsze niż cycki ofiary. Modling zarechotał albo się zakrztusił. Lichy nie potrafił rozpoznać.

– Cała ona. Ale przynajmniej skorzystałaś. Jakie były?

– Rychu, ile ty masz lat?

– Dość dużo, byś okazał trochę szacunku – warknął, ale za chwilę znów się roześmiał.

Parę minut później dojechali na miejsce. Chwilę przedzierali się przez betonowy labirynt, by w końcu dotrzeć do ulicy Beskidzkiej, leżącej w samym centrum dzielnicy.

– Tu mieszkasz? – zapytał Modling.

– Nie jest tak źle – odparł Lichy. – Tam kawałek dalej są Lipiny, to dopiero patologia. Na Chropaczowie jest kulturka.

Modling parsknął. Wyglądało na to, że Lichy powiedział żart. Żart z ust Lichego. Niesamowite. Ale Lichy się nie roześmiał. Nawet się nie uśmiechnął. Wciąż spoglądał przed siebie tym swoim niemożliwie nieobecny wzrokiem. Zupełnie jakby interakcja z Modlingiem była tylko jedną z rzeczy, którymi obecnie się zajmował.

– Co będziesz robił? – zapytał stary.

– Muszę pomyśleć. Posiedzę w papierach.

– Nad ranem spotkanie na Medyków.

– Pamiętam.

– Przyjechać po ciebie?

- A gdzie mieszkasz?
- Na „Tysiącleciu”.
- To chyba nie masz po drodze.
- No nie.
- Dlaczego sekcja toczy się w nocy?
- Wiesz dlaczego.

Lichy pokiwał głową. W gruncie rzeczy to było głupie pytanie w przypadku sprawy, w której rodziny ofiar latami okłamuje się, że chodziło o wypadek komunikacyjny. Ta sprawa coraz bardziej go zaskakiwała.

– Chciałbym odwiedzić tego twojego podejrzanego – powiedział, otwierając drzwi. Stary volkswagen wciąż nieźle trzymał ciepło, ale teraz, gdy do wnętrza auta wdarło się powietrze z zewnątrz, Lichy poczuł, jak mróz szczypie go w policzki.

- Po co? – zapytał Modling.
- Intuicja mi podpowiada, że coś wie.
- Znów ta intuicja.
- Tym razem chodzi mi o twoją intuicję.

Modling pokiwał głową.

– Zobaczą, co da się zrobić – powiedział.

– Jutro, okej? Załatw to na jutro – powiedział Lichy i trzasnął drzwiami.

To się mogło udać. Doba był zdesperowany i z pewnością wyda zgodę. A Kowalczyk siedział w Herbach. Blisko.

Wiało i był to bolesny wiatr. Być może niósł ze sobą kryształki lodu, a może po prostu niska temperatura powodowała, że Lichy poczuł się jak na zabiegu akupunktury. Osłonił twarz dłonią. Miało to swoje zalety. Nie musiał patrzeć na depresyjny krajobraz osiedla „Na wzgórzu”. Starzy

ludzie ze Świonów twierdzą, że zanim pod koniec lat siedemdziesiątych powstały tu bloki, Chropaczów był dzielnicą mlekiem i miodem płynącą. Pewnie, zawsze mieszkali tu robotnicy, nawet po tym, gdy okoliczne huty i kopalnie popadały w ruinę, a tkanekę miejską na czerwono barwiły ceglane mury familoków, ale było bezpiecznie i całkiem wygodnie. A potem, w ciągu jednego roku oddano tysiąc pięćset nowych mieszkań w wysokich klocach z wielkiej płyty i wszystko się zmieniło. W jednym z nich swój kąć wynajmował Lichy. Na dziesiątym z jedenastu pięter. Każdego dnia ryzykował życie, wsiadając do windy, która ostatniego remontu doświadczyła nim się urodził.

Pięć popękanych betonowych schodków posypanych było piaskiem. Wyglądały jak pokryte psim gównem, ale przynajmniej można się było po nich bezpiecznie wspiąć pod samo wejście do budynku. Lichy szarpnął drzwi, które natychmiast puściły. Tak, oczywiście, w drzwiach był zamek zatrzaskowy, który należało otworzyć kluczem. Nie, oczywiście, że nie działał. Nigdy nie działał.

Co, rzecz jasna, niosło za sobą konsekwencje. Takie choćby, że każdy mógł wejść do bloku, każdy mógł się odlać na klatce schodowej, a potem w tych szczynach i zaprawionych alkoholem rzygowinach przespać noc.

Smród uderzył Lichego w nozdrza z tą samą siłą, co zawsze. Mieszkał tu już trzeci rok i za każdym razem opuszczał klatkę z nadzieją, że już się przyzwyczaił. Że kiedy następnym razem będzie tu wracał, nie poczuje nic.

Tym razem w powietrzu było coś jeszcze. Dokładniej mówiąc kurwy, które latały wte i wewte, wypluwane jak pociski z karabinu maszynowego, zabarwione całą gamą emocji i gwałcone rozlicznymi wadami wymowy. Raz coś zaświszczało przy „r”, innym razem „r” w ogóle nie było słyhać, by już za chwilę rozbrzmiało tak soczyście, jakby wygłaszane za pomocą wiertarki. Na schodach prowadzących na półpiętro siedziało sześciu

młodych chłopaków. Wszyscy mieli na sobie czarne bluzy upstrzone niebieskimi napisami, jedni tylko napisami, inni dodatkowo grafikami wyrażającymi stosunek do okolicznych klubów piłkarskich. Głównie negatywny. Jedni mieli na karku napisane *Blaue Horde*, inni na piersi *Blauehorde*, jakby nie potrafili się zdecydować, czy pisać to łącznie, czy rozdzielnie. Jeden dumnie prezentował akronim WRW, symbol chuligańskiej zgody z Wisłą Kraków. Lichy wątpił, by którykolwiek z nich faktycznie należał do *Blaue Horde*. Za mali byli po prostu jak na prawdziwą chuliganekę Ruchu Chorzów. Raczej przyboczni, może aspirujący. Może tylko sympatyzujący. W każdym razie obcięli go wzrokiem, jakby był policjantem. Całkiem często spotykając ich w tym miejscu, Lichy zawsze zastanawiał się nad dwiema rzeczami. Po pierwsze, czy oni wiedzą, kim jest, a po drugie, co skłania młodych ludzi do picia piwa w smrodzie szczyń.

Najmniejszy z nich, ten łysy z paskudnie pociętą mordą, z jakiegoś powodu nazywany był przez innych Szamponem. Szampon z pewnością mieszkał w tym bloku. Ekipa się zmieniała, ale Szampon zawsze tu był. Chyba jako jedyny rozpoznawał Lichego, zwykle nawet kiwał do niego głową w geście mającym chyba oznaczać jakiś rodzaj akceptacji. Coś jak „wchodzi”.

Gdy ich mijał, rozsunęli się nieznacznie, akurat na tyle, by mógł przejść, nie depcząc im dresów, ale jednocześnie nie okazać mu jakiegokolwiek zainteresowania. Kawalek wyżej była winda. Lichy wcisnął przycisk raz. Zawsze wciskał go tylko raz. Zwykle dawał się wówczas słyszeć tępy łomot, a potem wizg prężących się lin nośnych. Ale nie tym razem.

– Nie działa! – krzyknął do niego Szampon.

– Nie?

– Nie, pożar był.

– Pożar? – Lichy się zdziwił. – U kogo?

– Na ósmym. W twoim pionie. – Szampon najwyraźniej doskonale orientował się, gdzie kto mieszka. Lokals pełną gębą.

– Kiedy? – zapytał Lichy.

– W sylwestra.

– I nie było ewakuacji?

– No była, ale się skończyła. Teraz siedzi tam jakiś strażak.

Lichy westchnął i powlókł się w kierunku schodów. Piechotą, na dziesiąte, przedostatnie piętro. Kurwa mać.

W okolicach piątego uzmysłowił sobie, że być może powinien podziękować. Ludzie tak robią. Ktoś komuś przekazuje jakąś informację, a w zamian słyszy jakieś miłe słowo. „Hej, dzięki stary, gdyby nie ty, stałbym przy tej windzie i raz po raz wciskał przycisk, jak jakiś idiota”. Lichy miał z tym problem. Ze *small talkiem*. Z tymi wszystkimi „dziękuję”, „przepraszam”, „miłego dnia”. Ale nie powinno to dziwić. Od dawna żył tak, jakby był jedynym człowiekiem na planecie. Jeśli mógł, nie zauważał innych. Jeśli musiał ich zauważać, reagował złością.

Na ósmym zatrzymał się i przez chwilę rozmyślał. Znał ludzi, którzy tam mieszkali. W tym spalonym lokalu. Z widzenia. Mijali się w windzie. Ale co oni go w sumie obchodzą?

Coś go jednak popchnęło w tamtym kierunku, zaklął więc cicho i ruszył w stronę końca korytarza. Wyglądało na to, że drzwi spalonego mieszkania są nienaruszone, ale czarna maź opływająca starą, lata temu użytą wycieraczkę, częściowo już zaschniętą, a częściowo rozniesioną na ciężkich strażackich butach po całym korytarzu, nie pozostawiała wątpliwości, gdzie się paliło. Lichy podszedł do drzwi, pchnął je i przekroczył próg.

Układ mieszkania był identyczny, jak tego dwa piętra wyżej, które w ostateczności nazywał „swoim”. Dzięki temu od razu zorientował się, jak duże straty poczynił ogień. Korytarz, który u niego rozwidłał się, prowadząc w lewo do sypialni i w prawo do niewielkiego salonu, tutaj urwał się po kilku krokach, a dalej były już tylko zgliszcza. Lichy nie potrafił stwierdzić, czy lokal jest bardziej spalony niż zalany, czy może na odwrót. Wszystko tu pływało w tej samej mazi, którą dostrzegł na zewnątrz. Pośrodku tego wszystkiego kuczał niewysoki mężczyzna, ubrany w jeansy i czarny sweter. Na nogach miał gumowce, a w dłoni trzymał długopis, którym bezwiednie uderzał o coś, co dawniej mogło być czymkolwiek. Usłyszał kroki Lichego i zerwał się na równe nogi.

– Wypierdalaj stąd! – krzyknął. – Nie ma tu nic do zabrania.

– Do zabrania? – Lichy się zdziwił. – Nie, nie... Ja...

– Nie będę powtarzał – warknął strażak, wyszarpując zza paska krótkofalówkę. Lichy podniósł ręce w obronnym geście.

– Przepraszam, już idę – powiedział. – Jestem policjantem. Mieszkam dwa piętra wyżej. Chciałem tylko sprawdzić...

– Masz jakąś legitymację? – zapytał mężczyzna, wpatrując się w twarz przybysza.

– Legitymację? – Lichy odruchowo poklepał się po kieszeniach, ale przecież nie odzyskał jeszcze blachy. – Nie, nie mam przy sobie. Nieważne, przepraszam.

Odwrócił się i ruszył w kierunku drzwi.

– Czekał – zatrzymał go tamten. Lichy odwrócił się i znów poczuł na sobie lustrujące spojrzenie. Trwało to chwilę i w końcu strażak machnął ręką.

– Ja cię znam – powiedział. – Ty jesteś Lichy, tak? Minęliśmy się kiedyś.

– Aha.

– Znasz ludzi, którzy tu mieszkali?

– „Znasz” jest w czasie teraźniejszym, „mieszkali” w przeszłym. Żyją, czy nie żyją?

– Żyją. – Strażak się uśmiechnął. – Ale raczej już tu nie wrócą. To znasz ich?

– Trochę. Nie bardzo.

Strażak pokiwał głową.

– Widziałeś kiboli na dole? – zapytał.

– Siedzą tu często.

– Wczoraj się spisali. Weszli do środka i wyprowadzili ofiary. Niewątpliwie uratowali im życie.

– Brawo.

Strażak jakby jeszcze się chwilę wahał, ale w końcu wyciągnął dłoń w kierunku Lichego.

– Kapitan Maciej Biernawski – przedstawił się. – Słyszałem, że jesteś dobry, glino.

– Nie wierz we wszystko, co piszą w internecie.

– Ciekawe, czy równie dobry będziesz w mojej dziedzinie. – Biernawski się uśmiechnął i choć na pozór był to przyjazny komunikat, Lichy natychmiast odczytał wyzwanie. I choć wiedział, że czeka go sporo roboty, z którą będzie musiał się uwinąć najdalej do pierwszej w nocy, przyjął je.

– Co czytasz z tego miejsca? – zapytał Biernawski.

Lichy przykucnął. Zamoczył palce w czarnej mazi, potem podniósł je do nosa i powąchał. To był błąd. Śmierdziały, jak jasna cholera, a on i tak nic z tego nie wyczytał. Zrobił to jedynie po to, by zyskać trochę na czasie.

– Najwięcej zniszczeń jest tutaj – powiedział trochę do strażaka, trochę do siebie. – Uczestniczyłem w szkoleniach. Zawsze nam powtarzano, że

tam, gdzie najwięcej szkód, tam zapewne wybuchł pożar.

– Ale?

– Ale to niemożliwe, by wybuchł właśnie tutaj.

– Dlaczego?

– Bo gdyby wybuchł tutaj, to lokatorów nie dałoby się uratować. Tu był korytarz. Gdyby płonął, nie dałoby się przedostać do sypialni. – Wskazał palcem na niewielkie pomieszczenie w narożniku lokalu. Sypialnię, która teraz była doskonale widoczna, bo nie osłaniały jej nieistniejące już ściany.

Biernawski się skrzywił.

– Wy i ten wasz pokręcony tok rozumowania – powiedział nieco zawiedziony. – Należy czytać ślady ognia. Powinieneś być powiedzieć, że pożar wybuchł tutaj, w korytarzu. Od iskry elektrycznej. To się samo rzuca w oczy.

– Znam tych ludzi tylko z widzenia – powiedział Lichy. – Para starych pijaków. I dużo palą. Oboje. Był sylwester. Upili się i jedno z nich zasnęło z papierosem. Sypialnia też jest mocno spalona. Bardziej niż salon po drugiej stronie. Ogień wybuchł tam, potem dotarł do korytarza i tu z jakiegoś powodu nabrał mocy.

– Ech, myślałem, że się pobawimy. – Biernawski westchnął.

– Czyli, że powiem coś głupiego, a ty mnie wyśmiejesz?

– Właśnie. Wszystko zepsułeś. No trudno. Ale pozwól, że o coś cię jeszcze zapytam. Dlaczego ogień rozszalał się akurat tutaj? W tym korytarzu.

– Nie mam pojęcia. Może coś tu było?

– A było?

– To małe pomieszczenie.

– Podejź tu – powiedział Biernawski, maczając okrytą rękawiczką dłoń w czarnej mazi. Lichy westchnął i postąpił dwa kroki, a następnie, na polecenie strażaka przykucnął.

– Wiesz, co to jest? – zapytał kapitan.

Lichy nie odpowiedział. Nie miał pojęcia, poza tym jego cierpliwość była na wyczerpaniu.

– Ile masz lat? – zapytał strażak.

– Trzydzieści dwa.

– Naprawdę? Wyglądasz na więcej. To nie wiem, czy będziesz wiedział, o czym mówię. Te bloki miały się składać z lokali w standardzie M2. To znaczy dla dwóch osób, z jednym pokojem i osobną kuchnią. Ale to były chore czasy. Oddawano to pod koniec lat siedemdziesiątych, a wówczas kończył się Manewr Gospodarczy. Wiesz co to?

Lichy pokręcił głową.

– Piąty plan pięcioletni. Miał ratować gospodarkę PRL, ale oczywiście gównem dał. W każdym razie kilka pustych łbów spotkało się przy lampce czegoś, czego zwykły śmiertelnik nie miał szans kupić, i radziło, że czas zadbać o dietność. Wobec czego, gdzie się dało, M2 zamienili na M3, to jest lokal dla trzech osób, z dwoma pokojami i kuchnią. W praktyce podzielono po prostu jeden pokój na dwa i tyle.

– I tak było tutaj? – zapytał Lichy.

– Dokładnie tak było tutaj i na całym tym przeklętym osiedlu. Ale ważne jest co innego. To, co wykorzystano do tych przeróbek. Bo przecież nie beton, którego brakowało przez wielkie inwestycje przemysłowe. Jakies pomysły?

– Nie.

Biernawski uśmiechnął się i podetknął Lichemu pod nos swoją dłoń.

– Polistyren – powiedział.

– Styropian?

– Dokładnie. Styropian bogato zalany klejem, z obu stron obłożony płytą pilśniową, polakierowany, a potem obklejony cienką boazerią z modrzewia i znów polakierowany.

– To łatwopalne?

– Żartujesz? Skalę by wyjebało, Lichy. Nie tylko hajcuje się jak zapalka, ale w dodatku kapie. Płynny ogień. Nie ma nic gorszego. Dodam jeszcze do tego, że w tych przegrodach puszczono kable elektryczne. Masz gniazda w korytarzu, prawda? I w obu pokojach.

– Tak.

– Rozumiesz, co chcę ci powiedzieć?

Lichy pokręcił głową, ale doskonale rozumiał.

– Chcę ci powiedzieć, żebyś spierdalał stąd najszybciej, jak tylko możesz.

Pięć godzin później i dwa piętra wyżej Lichy leżał na położonym bezpośrednio na podłodze szerokim materacu, który prócz starego zestawu Hi-Fi i wypełnionej petami popielniczki był jedynym wyposażeniem jego sypialni. Wpatrywał się ścianę z modrzewiowej boazerii. Bezwiednie masował palcem niewielki tatuaż na grdyce. W głowie huczał mu ogień, którego nie było. Ogień. Śmierć. Czy to znowu śmierć wyciągała po niego ręce? A on? Czy on też powinien wyciągnąć ręce ku niej? Nie. Przecież obiecał. Obiecał, że już się temu nie podda. Czy w ogóle można komuś obiecać coś takiego? Czy można było coś takiego obiecać jej?

Zaciągnął się mocno. Końcówka papierosa rozżarzyła się, rozświetlając panujący w mieszkaniu półmrok. Minęła szesnasta. Słońce zachodziło, choć po prawdzie to chyba w ogóle tego dnia nie wzeszło.

Lichy ziewnął, przetarł oczy i płynny ogień zniknął. Zrozumiał, że musiał się chwilę zdrzemnąć. Dookoła walały się kartki z akt sprawy. Przeczytał je dwa razy. Zmęczenie musiało przyjść, gdy czytał po raz trzeci. Ale niewiele wyczytał. Pierwszy stycznia dwa tysiące trzynastego roku, Katarzyna Lisiecka, lat dwadzieścia cztery, znaleziona na terenie zakładów kolejowych w Katowicach. Zdekapitowana, w rękach trzymała głowę innej kobiety, której nigdy nie zidentyfikowano. Policyjny fotograf zrobił świetną robotę. Ujęcie miejsca zbrodni unosiło włoski na rękach. Naga kobieta oparta o wózek jezdny wagonu kolejowego. Ponad jej głową wymyślne graffiti. Ta sprawa była nawet niezłe opisana, bo na miejscu zatrzymano podejrzanego. Przesłuchania, rozmowy ze świadkami, rozmowy z rodziną. Mnóstwo materiału, ale nic interesującego. „Ciepła, kochana osoba” – mówiła matka. „Kasia nie miała żadnych wrogów” – mówił jej przyrodni brat. Z nikim się nie spotykała, nie miała żadnego faceta. Nie miała nawet za wielu przyjaciół. Nic. Biała, niezapisana karta. A raczej ponad sto kartek, zapisanych gęsto, ale bez sensu.

Rok później, Anna Milewska, lat dwadzieścia sześć, znaleziona w Kaufhausie, w Rudzie Śląskiej. Zdekapitowana, trzymająca w rękach głowę Katarzyny Lisieckiej. Dwa tysiące piętnasty, Aleksandra Bierut, lat trzydzieści dwa, odnaleziona na terenie Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego w Gliwicach. Była oparta o ceglana ścianę starej wieży ciśnień. Zdekapitowana, w rękach trzymała głowę Anny Milewskiej. Dwa tysiące szesnasty. Dorota Wardęga, lat dwadzieścia jeden. Znaleziona oparta o filar mostu kolejowego nad Białą Przemszą w Sosnowcu. Zdekapitowana, trzymająca w rękach głowę Aleksandry Bierut. Dokumentacja fotograficzna, rozmowy z rodziną i świadkami. Nic konkretnego. Mnóstwo materiałów, zero wniosków. Dwa tysiące siedemnasty, piąta ofiara, Anna Wojciechowska, lat dwadzieścia siedem. Tym razem ciało było

trochę lepiej ukryte. Jakiś bezdomny odnalazł je pod wiaduktem, dzięki któremu linia kolejowa 131 z Tczewa wpina się do linii kolejowej 137 z Legnicy do Katowic, nieopodal stacji Chorzów Batory, dokładnie na granicy Chorzowa i Świętochłowic. Zdekapitowana, w rękach trzymała głowę Doroty Wardęgi. Dwa tysiące osiemnasty, Anna Ochocka, lat dwadzieścia siedem, odnaleziona na dachu wiaty przystanku osobowego Katowice-Brynów, niedaleko Kopalni Węgla Kamiennego Wujek. Jak do cholery morderca wciągnął ją na dach wiaty? I po co? Zwłoki leżały na wznak. Głowa Anny Wojciechowskiej leżała na piersiach ofiary. Brak wniosków ze śledztwa. Kolejny rok i kolejna ofiara, siódma z kolei. Beata Rólka, lat dwadzieścia dziewięć. Odnaleziona na terenie Skansenu Kolejowego w Pyskowicach. Zwłoki oparto o jedną z bram starej, nieczynnej lokomotywowni. W rękach trzymała głowę Anny Ochockiej. Brak wniosków ze śledztwa.

No i ostatnie morderstwo. Dziś w nocy. Nie było jeszcze żadnych akt, ale Lichy i tak wiedział, co na pewno by się w nich znalazło. Joanna Lauda, lat trzydzieści jeden, odnaleziona na stacji Bytom-Bobrek, oparta o wschodnią ścianę nieczynnego budynku stacyjnego. W rękach trzymała głowę Beaty Rólki. Jednak tym razem zwłoki pomalowane były na zielono.

Szaleństwo.

Lichy sprawdził, co się dało, ale nie dopatrył się żadnego klucza. Ofiary łączyło jedynie to, że były kobietami, co prawie na pewno oznaczało, że mordercą jest mężczyzna. Kobiety też bywają wielokrotnymi mordercami, jednak zwykle zabijają mężczyzn. Przedział wiekowy był zbyt szeroki, by coś z niego wywnioskować. Aktywność zawodowa? Bezrobotna, ekspedientka, studentka, ekspedientka, urzędniczka, księgowa, położna, marketingowiec. Dwie w kartotekach policyjnych: Aleksandra Bierut za kradzież i Joanna Lauda za udział w rozboju. Bierut sześć miesięcy

w poprawczaku, Lauda dziewięć miesięcy w zakładzie karnym w Czersku. Dodatkowo Anna Wojciechowska oznaczona była jako ofiara przemocy domowej.

Jedyna ciekawostka figurowała w kartotekach medycznych. U Anny Milewskiej, Doroty Wardęgi i Anny Ochockiej stwierdzono nowotwór w zaawansowanym stadium. Trzy z ośmiu ofiar wiedziały, że wkrótce umrą. W innych okolicznościach Lichy już teraz rozważałby wspomagane samobójstwo. Ale pięć ofiar było zupełnie zdrowych. W każdym razie odnotował sobie w pamięci, by to jeszcze sprawdzić. Nie wykazano żadnych relacji pomiędzy ofiarami, prócz jednego wyjątku. Anna Milewska i Anna Ochocka chodziły do tego samego gimnazjum. Inne klasy, inne grupy towarzyskie, śmierć w odstępie czterech lat. Przypadek i nic więcej.

W informacjach o statusie materialnym Lichy wyczytał, że Lauda była bardzo bogata, Rólka bogata, Bierut i Milewska dość biedne, Lisiecka bez środków do życia i w – jak to się teraz pięknie mówi – kryzysie bezdomności. Wardęga miała dwa stypendia i mimo braku pracy radziła sobie nieźle. Reszta to typowa klasa średnia.

Włosy? U Wojciechowskiej czarne, podobnie jak u niezidentyfikowanej głowy. U Lisieckiej, Bierut i Laudy określone jako jasny blond, a u Laudy jako platynowy blond, jednak tylko na podstawie kilku fotografii, bo jej głowy wciąż nie odnaleziono. Dorota Wardęga straciła włosy w wyniku chemioterapii, pozostałe ocenione jak brunetki. Oprócz Wardęgi wszystkie ofiary miały włosy długie lub bardzo długie oraz proste, co niewątpliwie stanowiło ciekawostkę, ale nic ponadto. Włosy niezidentyfikowanej głowy były kręcone i krótsze niż u pozostałych kobiet.

W momencie odnalezienia wszystkie były nagie, a ich szczegóły anatomiczne znacznie różniły się. Bierut miała lekką nadwagę, Ochocka była bardzo niska i chuda, to ostatnie zapewne w wyniku postępującego

nowotworu piersi. Nie zgodziła się na mastektomię. Rólka miała sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i była najwyższa z wszystkich. Lisiecka i Milewska dysponowały obfitym biustem, Bierut bardzo obfitym, pozostałe przeciętnym, z wyjątkiem Ochockiej i Laudy, która przeszła operację powiększania piersi. Ona i Beata Rólka zostały określone jako fizycznie bardzo atrakcyjne. Bierut i Ochocka – jako nieatrakcyjne. Ocenianie w ten sposób zwłok może się wydawać dziwne i nie na miejscu, ale jest bardzo istotne dla pracy profilerów. W każdym razie kimkolwiek był morderca, nie posiadał ściśle określonych preferencji w zakresie fizyczności swych ofiar.

Tylko cztery spośród ofiar miały współmałżonków. Milewska, Bierut, Wojciechowska i Rólka, przy czym Wojciechowska była w trakcie rozwodu. Wardęga niedługo przed śmiercią ujawniła się jako lesbijka. Żadna nie doczekała się potomstwa, co być może stanowiło jedyny istotny fakt łączący je wszystkie. Wojciechowska urodziła martwe dziecko. Bierut dwukrotnie poroniła. Reszta nigdy nie była w ciąży. W notatkach na temat Wardęgi napisano, że prawdopodobnie nigdy nie uprawiała seksu z mężczyzną, co było prawdopodobne, zważywszy na fakt, że była lesbijką i miała tylko dwadzieścia lat, gdy ją zamordowano.

Coś cicho piknęło. Telefon. Lichy przypomniał sobie, że jakiś czas wcześniej podłączył go do ładowania. Podłączył w ściśle określonym celu. Żeby zadzwonić tam, gdzie od wielu tygodni nie miał odwagi dzwonić. Teraz w końcu trafił się dobry pretekst, a piknięcie oznaczało, że bateria jest pełna.

Wstał i podszedł do płonącej boazerii.

„Cholera, Lichy, uspokój się”.

Wyciągnął wtyczkę z gniazdka i wrócił na materac. To się musiało wydarzyć teraz. Teraz albo nigdy. A „nigdy” nie wchodziło w grę. Wybrał

numer i czekał. Trwało to długo i zakończyło się niepowodzeniem. Tego nie przewidział. Nie spodziewał się, że ona nie odbierze. Zastanawiał się, co powinien teraz zrobić. Spróbować jeszcze raz? Wyjdzie na desperata. Ale czy nim właśnie nie jest? A może lepiej poczekać z godzinę? Albo dwie. Wiedział, że jeśli poczeka godzinę albo dwie, to już nie zadzwoni.

Na szczęście to ona rozwiązała ten problem. Zawsze ona rozwiązywała ich problemy. Telefon zawibrował i mignął kolorowym światłem. Natychmiast go odebrał.

– Nie zdążyłam odebrać – powiedziała Róża Wierna, największa i jedyna miłość Lichego. Kobieta, z którą być może żyłby zupełnie szczęśliwie w dużym pięknym domu, gdyby nie to, że tak dużo rzeczy spektakularnie spierdolił. No i oczywiście natychmiast zaczął robić wszystko, czego nie powinien, bo było to żałosne. Zaczął analizować. Oddzwoniła, więc wciąż jeszcze chce z nim rozmawiać. I tłumaczy się, zupełnie jakby nie chciała, by się zniechęcał. By wiedział, że po prostu nie mogła odebrać.

– Słyszę twoje myśli, Rafał – powiedziała i wyrwała go ze świata iluzji, który stworzył sobie z niczego i oparł na nieistniejących fundamentach. – Nie analizuj, dobrze? Po prostu jestem grzeczna.

– Tak. Przepraszam. Co słychać?

Usłyszał westchnięcie. Bardziej smutne niż zniecierpliwione.

– Rafał – powiedziała cicho i zawiesiła głos, jakby zastanawiała się, co powiedzieć lub miała nadzieję, że sam to załapie.

– Nie, nie – odpowiedział szybko. – Potrzebuję pomocy.

– Rafał...

– Zawodowo. Potrzebuję opinii.

Tym razem cisza w słuchawce trwała trochę dłużej i Lichy poczuł, że zyskał nieznaczną przewagę.

– Co to znowu za kawał? – zapytała.

– Po prostu potrzebuję opinii. Jestem znowu w firmie.

– Ooo... – powiedziała tylko, a on niemal zobaczył, jak jej drobne usta zaokrąglają się, a policzki wydłużają nieznacznie i nadają jej twarzy ten przyjemnie komiczny wygląd, który tak dobrze pamiętał. – Czyli dobrze sobie radzisz?

– Tak – skłamał szybko. – Można tak powiedzieć. Mam sprawę. Dość skomplikowaną.

– Rafał, ja zaraz wychodzę.

– Nie zajmę ci dużo czasu. I myślę, że może ci się to spodobać.

Wiedział, że złapie ją na ten haczyk. Pod tym względem byli tacy sami.

– No dobrze – powiedziała. – Tylko szybko.

– Jasne. Czy słyszałaś kiedyś o czymś takim jak zbrodnia popkulturowa?

– Jaka?

– Mam na myśli to, że morderca inscenizuje swoje zbrodnie, ale nie ma w tym żadnego szerszego przekazu, tylko robi to, bo zobaczył w filmie albo przeczytał w książce i mu się spodobało.

– Sam to wymyśliłeś?

– Tylko się zastanawiam.

– Hm. Właściwe jest to możliwe, jeśli morderca jest młody. Ale mało prawdopodobne. Świadczyłoby o wysokim stopniu demoralizacji. Paradoksalnie seryjni zabójcy nie są zupełnie zdemoralizowali. Kierują się zwykle jakimś swoim wykreconym kodeksem etycznym. Rafał, czy mówimy o hipotetycznej sytuacji?

– Nie mogę ci powiedzieć. Przecież wiesz.

– Powiedziałaś, że „inscenizuje swoje zbrodnie”, z czego wnioskuję, że chodzi o więcej niż jedną. Ale nie słyszałam ostatnio o niczym szczególnym.

– Hipotetycznie mogłoby chodzić o zbrodnie rozłożone w czasie. Na długim dystansie.

– W takim razie to niemożliwe. Gdyby morderca chciał się popisywać, z pewnością zależałoby mu na rozgłosie. Cała Polska by o tym wiedziała. Policja może coś zamieść pod dywan, ale nie morderca.

– Też tak myślę.

– Nie jestem specjalistką, Rafał. Zajmuję się resocjalizacją. To trochę obok tego, o co pytasz. Porozmawiaj z Hirszfeldem.

– Taaa...

– No porozmawiaj z nim. Najlepiej go odwiedź. Ucieszy się.

– Wątpię.

– To nie wątp. Rozmawiałam z nim jakiś czas temu. Pytał o ciebie. Zresztą, to najlepszy profiler, jakiego znam. Lepszej rady ci dać nie mogę.

– Dzięki. Pomyślę o tym. Naprawdę.

– Coś jeszcze?

– Nie. To znaczy... Wychodzisz?

Westchnęła i tym razem było w tym już i zniecierpliwienie, i narastająca złość.

– Rafał... – zaczęła, ale przerwał jej.

– Tylko chciałem wiedzieć. Nie musisz odpowiadać.

– Tak, wychodzę.

– Sama?

– Cześć – powiedziała i się rozłączyła, a on opadł na materac. Wyrzucił telefon gdzieś przed siebie, naciągnął poduszkę na twarz i wrzasnął ze

złości. A może z rozpaczy.

Kochał ją, a ona kochała jego. Oboje o tym wiedzieli. Wiedzieli jednak również, że po tym, co jej zrobił, nie ma już dla nich wspólnej drogi.

Zamknął oczy i natychmiast zasnął.

ROZDZIAŁ 6

Maria Lauda nie płakała, jednak głównie dlatego, że wyplakała już wszystkie łzy, które było w stanie wyprodukować jej wiotkie, suche ciało. Oczy miała czerwone, twarz szarą, nabrzmiałą i pooraną bruzdami jak podkarpackie pola, na których spędziła pierwsze lata swojego życia. Nie wyglądała na swoje sześćdziesiąt lat. Wyglądała znacznie starzej.

Dali jej trochę czasu. Znajdowali się w niewielkim mieszkaniu, ulokowanym w bloku z wielkiej płyty, gdzieś na obrzeżach cywilizacji. Dwa pokoje i kuchnia urządzone były w klasycznym stylu lat siedemdziesiątych, wliczając w to zasłonkę z drewnianych koralików pomiędzy kuchnią a wąskim korytarzem. W nozdrza uderzał intensywny zapach starości, jednak jeszcze nie smród.

Cyra siedział w fotelu, trzymając dygoczącą Laudę za rękę, a Martyna Babicz wyglądała przez okno. Z ósmego piętra powinna widzieć wznoszące się w oddali zabudowania centrum Katowic, jednak padał deszcz, a w dodatku nad całym Górnym Śląskiem unosił się opar, który synoptyk nazwałby mgłą, miejski aktywista – smogiem, a Cyra pół godziny temu, gdy wraz z potokiem aut spływali tutaj, na katowickie Zawodzie, nazywał jebanym gównem.

Było coś w tym człowieku. Nie umiałyby tego nazwać, ale pociągało ją. Wulgarny, jasne. Władczy. Zapewne trudny w obcowaniu, szczególnie na płaszczyźnie prywatnej i szczególnie dla kobiet. A jednak może jest coś w tym, że „drań kocha najmocniej”? A raczej w tym, że kobiety tak uważają. Bez sensu.

Odwróciła się i spojrzała na niego. Od najmłodszych lat fascynowała się architekturą. Nie na tyle, by coś z tym zrobić, jakoś ukierunkować swoje zainteresowania, pójść na studia, zarabiać w biurze architektonicznym. Ale przynajmniej potrafiła odróżnić renesans od baroku i barok od rokoka. Gdyby budowę człowieka można było określić stylem architektonicznym, Cyrę uznałaby za przedstawiciela brutalizmu. Wyciosany z pojedynczego betonowego bloku. Właśnie tak. Z betonu. Nie z kamienia. Kamień jest zimny, ale mimo wszystko piękny. Cyra nie był piękny. Można by było przyjąć, że jest przystojny, chociaż z zastrzeżeniem, że to przystojność warunkowa, przyswajana przez ludzi o otwartym umyśle, wrażliwym na formę i kontekst. Cyra był wielkim mężczyzną, a ponieważ, jak słyszała, jego rozmiar to wynik wytężonej pracy na siłowni w ciągu zaledwie kilku ostatnich lat, nie wątpiła, że urok tego człowieka po części przynajmniej wygenerowany był przy wsparciu farmakologii. Ale nie na tyle, by przyjąć karykaturalny efekt. Cyra nie miał drugiej twarzy na karku ani telewizorów pod pachami. Miał za to szeroki uśmiech, wypełniony zdrowymi i bardzo białymi zębami, oraz fryzurę à la Cristiano Ronaldo. Brakowało mu tylko diamentowego kolczyka w uchu.

– Bardzo przepraszam, pani Marysiu – powiedział, gładząc dłoń staruszki. – Musimy poznać kilka odpowiedzi. Rozumie to pani, prawda?

Kobieta pokiwała głową, powolnym, ale zauważalnym ruchem, więc komisarz kontynuował:

– Czy wie pani, co robiła Joanna pomiędzy dwudziestym szóstym a trzydziestym grudnia?

Starowinka spojrzała na niego zupełnie pustym wzrokiem. Przez chwilę nie był pewien, czy zarejestrowała pytanie, ale zaraz zrozumiał, że kobieta po prostu przeszukuje bibliotekę wspomnień. Była zgarbiona i utykała, więc ciężko jej się było przemieszczać pomiędzy regałami

wypełnionymi zapiskami z zarówno dalekiej, jak i tej najbliższej przeszłości. Wspaniały dowód na to, że pomiędzy formą fizyczną i psychiczną istnieje nierozzerwalna więź. Dużo o tym ostatnio myślał.

– Drugiego dnia świąt Joasia była tutaj, u mnie.

– Długo?

– Długo? Jakiś czas.

– Dłużej niż dzień?

– Nie. Nie, musiała jechać. Ona miała bardzo dużo obowiązków. Była bardzo zapracowana.

– Pojechała do pracy?

– No tak. Chyba tak. Mówiła, że ma dużo pracy. Ja jej nawet mówiłam, że to dzień świąty i nie powinna, ale ona dawno utraciła wiarę. Teraz to już tylko zabobony starej matki.

– Czyli nie wie pani dokładnie, co potem działo się z pani córką?

– Potem już nie.

– Czy pani córka miała jakichś wrogów? Kogoś, kto mógłby jej chcieć wyrządzić krzywdę?

– Na kolei? – Kobieta nie zrozumiała pytania. W takiej sytuacji każdy miałby prawo nie zrozumieć, ale Martyna już wcześniej zauważyła, że matka Joanny Laudy po prostu nie jest przesadnie inteligentna.

– Nie, nie, szerzej – uzupełnił Cyra. – W pracy albo wśród znajomych.

– Przecież mówił pan, że wpadła pod pociąg. Myśli pan, że ktoś ją wepchnął? No tak. Asia nie korzystała z pociągów. Miała takie wspaniałe auto. Czerwone. Bardzo drogie.

– Musimy sprawdzić wszystkie możliwości, pani Marysiu. Mam na myśli, że gdyby ktoś jednak zabił pani córkę, to z pewnością nie chciałyby pani, byśmy to przegapili.

– O nie. Na pewno nie. Ja chętnie pomogę. Och, moja biedna córeczka...

– Czy miała wrogów? – powtórzył Cyra.

– Oczywiście – odparła kobieta. – Wielu. Ona odniosła sukces. Była bardzo bogata. Ludzie nienawidzą bogatych. Ciągle mi mówiła o różnych takich.

– Czy ktoś konkretny przychodzi pani do głowy?

– Konkretny? Nie. Nie. Ale na pewno miała wrogów. Mężczyzn. Na pewno wielu mężczyzn. Ona była piękna. Wie pan, taka jak z obrazka. Mężczyźni o nią zabiegali. Wiem o tym. Ale była rozwiązła. Mój Boże, jaka ona była rozwiązła.

– Rozwiązła?

– Spała z każdym, kto miał na to ochotę. Wiem to. Była, jak to się teraz mówi? Puszczalska? Tak, była puszczańska. O Jezu najśłodszy, jak mnie było wstyd. Jaka matka chciałaby tak mówić o swojej córce? Ona była piękna, ale naprawdę, nie musiała tak...

Zabrakło jej tchu i zadrapało w gardle. Chwilę kaszłała, potem zamilkła, nie kończąc myśli.

– Zna pani mężczyzn, którzy się wokół niej kręcili?

– Czy znam? Nie znam. Nie wiem, jacy to. Ale wiem, że wielu. Była piękna... Dużo piękniejsza niż ja w jej wieku, choć nie powiem, też interesowali się mną mężczyźni. Ale Joasia była wyuzdana. Tak. Właśnie. Ale złościła się, jak chciałam z nią o tym rozmawiać. A potem były plotki. I sąsiadki rozpowiadały, że kurwa. Przepraszam...

– Nie szkodzi, proszę mówić dalej.

– No, przyznała mi się kiedyś, że uprawiała z kimś seks za pieniądze. Ja się wtedy strasznie popłakałam, ale przysięgała, że tylko raz, bo potrzebowała pieniądze na studia. A sąsiadki dalej swoje. Pewnie z zawiści. Joasia była bardzo bogata. Robiła te jakieś reklamy, czy coś podobnego.

Ona mi kiedyś mówi: „Mama, ja zarabiam pięćdziesiąt tysięcy miesięcznie”. O rany boskie, pięćdziesiąt tysięcy? Przecież to bardzo dużo pieniędzy. Nie musiałyby już z facetami za pieniądze... Widział pan jej mieszkanie? To prawie pałac.

– W przeciwieństwie do tego mieszkania – powiedziała Babicz, która czuła, jak powolutku, sekunda po sekundzie narasta w niej gniew.

A Marii Laudzie nie spodobały się te słowa.

– Niech pani jej nie ocenia – warknęła. – Co pani wie? Nic. Pewnie też jest pani zazdrosna.

Martyna zamilkła i jasne się stało, że kobieta będzie rozmawiać tylko z Cyrą. Zresztą, to dobrze. Martyny w ogóle nie powinno tu być. Formalnie nie była policjantką. Nie powinna przesłuchiwać świadka. Chciała poczekać w aucie, ale Cyra jej powiedział, żeby się nie wygłupiała. Przecież stara, załamana po stracie kobieta nie będzie w stanie zrozumieć złożoności policyjnych procesów wewnętrznych.

– Moja córka... – zaczęła ponownie Lauda. – Ona ostatnio tu nie przyjeżdżała. Oprócz tych świąt. Gniewała się na mnie. A ja przecież tylko chciałam dla niej jak najlepiej.

– Na co się gniewała? – zapytał Cyra.

– Na mnie – powtórzyła Lauda.

– Ale za co?

– Mówiła, że się wtrącam. Ale przecież ja to dla niej robiłam. Nie dla siebie. Ja zawsze wszystko tylko dla niej. Sama ją wychowywałam. Wszystko jej poświęciłam. Nic nie mam swojego. Nawet to mieszkanie mam po mężu. Umarł, jak Joasia miała rok. Świeć panie nad jego duszą, ale przynajmniej nas na bruku nie zostawił. A Joasia ma dziesięć lat i mówi: „Mamo, ja nas stąd zabiorę”. Ale teraz nie żyje.

Głos jej się załamał i Cyra znów mocniej chwycił jej dłoń.

– Spokojnie, pani Marysiu. Spokojnie.

– Co ja teraz zrobię? – Załkała.

– To pani nie wynagrodzi straty, ale jeśli córka nie miała innej rodziny, to prawdopodobnie dostanie pani po niej dużo pieniędzy.

– Co?

– W spadku.

– O Jezus. A co ja bym miała z tym zrobić?

– Nie chciała pani nigdy nigdzie pojechać?

– Do Medziugorie. Albo do Ziemi Świętej. Matko jedyna, ale nie myśli pan chyba, że ja zabiłam moją córkę? Dla pieniędzy.

– Ależ skąd. – Cyrze nie udało się ukryć uśmiechu, choć walczył ze sobą.

– Ja już jestem za stara, żeby gdzieś jeździć. Nigdy mnie nie będzie na to stać. Nigdy nic nie dostanę, ale mi to niepotrzebne. Ale moja biedna córeczka...

Martyna chrząknęła, a gdy Cyra na nią spojrzał, skierowała oczy na drzwi. Chciała mu dać do zrozumienia, że niczego się tu nie dowiedzą. Zrozumiał komunikat i wysłał do niej odpowiedź. Również milcząca, zawartą jedynie w spojrzeniu. Brzmiała mniej więcej jak coś w rodzaju „Proszę, nie wpierdalaj się w moją pracę”. Martyna westchnęła i ponownie odwróciła się do okna. Mgła nie zelżała. Przebijały przez nią jedynie czerwone, pulsujące światła jakiegoś pobliskiego komina.

– Pani Marysiu, to bardzo ważne – powiedział Cyra – czy Joanna naprawdę nie powiedziała pani nic o aktualnym partnerze? Cokolwiek. Może imię? Może jak wyglądał? Kiedy ostatnio pani z nią rozmawiała?

– Ja nic nie wiem. Nie odzywała się do mnie, a ja na komórkę nie dzwonię, bo jest drogo. Była tu kilka dni temu, ale ja nie pamiętam.

– Nie wspomniała nic o żadnym mężczyźnie?

– Może... Coś może mówiła? Chyba że jakiś lekarz jej się spodobał. Ale naprawdę nic więcej. Ja nie wypytywałam, bo zawsze jak rozmawialiśmy o tym, to ona się złościła. Wtedy też się zdenerwowała, ale nie pamiętam już o co. Poszła, a potem już nigdy...

Oczy wypełniły jej się resztką łez. Bujała się lekko w przód i w tył. Stara, nieszczęsna kobieta, która nigdy nie miała wiele, a teraz nie ma już nic. Cyra przetarł twarz dłonią, zastanawiając się nad kolejnym pytaniem. Ale żadne nie przychodziło mu do głowy. Matka Joanny Laudy wciąż powtarzała to samo. Nic nie wiedziała, albo nie potrafiła tego wydobyć z pamięci.

– Dziękujemy za pani czas – powiedział, wstając, ale wówczas niespodziewanie odezwała się Martyna.

– Pani Mario, czy ma pani klucze do mieszkania Joanny?

Cyra rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie. Bardzo chmurne. Ale nie zamierzała odpuszczać.

– Do jej mieszkania? – Maria Lauda się zdziwiła. – Ale ja nie mogę ich dać.

– Czyli ma pani?

– Tak. Kiedyś tam przyjeżdżałam posprzątać. Joasia pozwalała mi dorobić do emerytury.

Martyna zacisnęła zęby, żeby nie zakląć. Przypomniła sobie swoją własną matkę. Umarła na raka osiem lat temu, a Martyna po dziś dzień wyrzucała sobie, że nie była w stanie jej uratować. Nie miały pieniędzy na drogą operację. Publiczne zbiórki nie funkcjonowały jeszcze tak dobrze jak dziś. Jedyne, co mogła zrobić, to w najgorszych momentach trzymać matkę za rękę i wylewać łzy, gdy zmęczona bólem zasypiała na kilka godzin. A teraz patrzyła na starą kobietę, matkę bogatej córki, żyjącą

w zrujnowanej klitce, wdzięcznej córce, że dawała jej parę groszy za sprzątanie. Ten, kto uciął łeb tej dziwce, oddał światu przysługę.

– Pani Mario – powiedziała, siląc się na uśmiech. – Właściwie teraz to pani mieszkanie. Może pani nim rozporządzać wedle własnego uznania. Na przykład może nam pani pozwolić tam wejść i spróbować dokładnie wyjaśnić przyczyny śmierci pani córki.

– Przecież tego właśnie pani chce, prawda? – powiedział Cyra.

Zaatakowana z dwóch stron Maria Lauda szybko się poddała.

– Niech pan je weźmie – powiedziała do Cyry, zupełnie jakby Martyny nie było w pokoju. – Są w komodzie. Najniższa szuflada.

– Tutaj? – zapytał, wskazując wypłowiałą meblościankę, stojącą przy najdłuższej ścianie pokoju.

– Nie, nie. Ta mała komódka w przedpokoju.

– Dziękuję, pani Marysiu – powiedział Cyra, znów ściskając rękę staruszce. – Zwrócimy je, jak tylko...

– Adres – przerwała mu Martyna. – Potrzebujemy adresu.

Dostali adres kamienicy w samym centrum Katowic, podziękowali, a Cyra powiedział jeszcze coś w rodzaju, że przykro im z powodu jej straty. Tak właśnie powiedział. Jak w amerykańskich serialach kryminalnych. Utarte zdanie, które w języku polskim właściwie nic nie znaczy, a już z pewnością nie niesie żadnych emocji. Może zresztą o to właśnie chodziło? Kulturalne, ale bez zaangażowania.

Wyszli na klatkę, a wtedy Cyra niespodziewanie uderzył Martynę w obojczyk. Niezbyt mocno, ale wystarczająco, by zatoczyła się i oparła plecami o ścianę. Ułamek sekundy później jego dłoń przeleciała tuż obok jej ucha, huknęła o beton i tam już została. Przytłoczył ją. Jego twarz znajdowała się teraz kilka centymetrów od jej twarzy. Zdecydowanie za blisko, by mogła czuć się komfortowo. Przez chwilę myślała, że teraz ją

pocałuje. I co by zrobiła w tej sytuacji? Kopnęła go w jaja? Czy przyciągnęła do siebie? Poczowała uderzający w nozdrza zapach jego płynu po goleniu wymieszany ze świeżym potem. Powietrze zrobiło się łatwopalne od ulatniających się feromonów. Dziwne, ale się nie przestraszyła. Patrzyła mu prosto w oczy i miała nadzieję, że z jej spojrzenia wyziera wyzwanie.

On tymczasem wziął kilka głębokich oddechów. Jakby chciał jej dać do zrozumienia, że cudem tylko udało mu się opanować przed zrobieniem jej krzywdy. I że stanowczo nie powinna go do tego prowokować.

– Nigdy więcej tego nie rób, Łysa – wysyczał jej prosto do ucha, bardzo powoli cedząc słowa. Niewiele brakowało, a by się roześmiała. Nie wątpiła, że potrafi być śmiertelnie niebezpieczny. Nie miała nawet pewności, czy by jej nie uderzył, gdyby uznał, że zasłużyła. Ale groźny mężczyzna jest groźny, gdy takim faktycznie jest. A nie jest, gdy stara się takiego zgrywać. Wówczas jest tylko śmieszny. Zupełnie jak uliczny szczyl, który żeby pokazać, jakim to jest jebiącym policję i gardzącym konfidentami chuliganem, w trakcie rzucanych bez składu i ładu wulgarnych wyzwisk celowo obniża głos i szeroko otwiera usta. „Co, kurwa? Masz problem, kurwa”?

– Nigdy więcej mi nie przerywaj – dokończył Cyra, ale nie odsunął się od niej.

– Potrzebowaliśmy tego klucza – powiedziała Łysa.

– Myślisz, że bym jej o to nie zapytał?

– A czy to ważne? – powiedziała i szybkim wymykiem ciała wyślizgnęła się spod jego ręki. – Ważne, że go mamy. Po prostu jedźmy tam.

Zeszli na dół schodami. Nikt przy zdrowych zmysłach i w pełni sił fizycznych nie skorzystałby tam z windy, jadąc w dół. Chyba że miałby bardzo silny katar i brak jakiegokolwiek wyobraźni. Na zewnątrz znowu

padał śnieg. Pogoda tego dnia zmieniała się jak obrazki w fotoplastykonie i podobnie jak one wyprana była z wszelkich barw.

Na parkingu grupa młodych lokalsów, których ktoś pewnie mógłby nazwać blokiersami, ale ich samych tylko by to rozbawiło, nieco zbyt intensywną uwagą obdarowywało czarne BMW serii 7, należące do Cyry. Kazał im wypierdalać i, w istocie, wypierdolili nawet dość szybko. To był bardziej samochód gangstera niż policjanta. Babicz wołała nie wnikać, skąd gliniarz mógł mieć samochód wart pół miliona złotych. Ale cóż. Był wcześniej w CBŚP. Na pierwszej linii frontu wojny z przestępczością zorganizowaną. Tacy ludzie żyją w szarej strefie. I to jej wystarczyło. Póki nie ma pytań, nie ma odpowiedzi. Póki nie ma odpowiedzi, nie ma kłamstw.

Na ulicę Kopernika jechali pół godziny. Cyra się denerwował. Był bardzo agresywnym kierowcą. Martyna – wprost przeciwnie. Delektowała się doznaniem, które zapewniało jej strefowe ogrzewanie i podgrzewany fotel. Gdyby tylko mogła, już w ogóle nie wysiadłaby z tego auta.

Cyra zatrzymał się pod kamienicą z numerem czwartym, na pasie, który wydarto wąskiemu chodnikowi, by pełnił funkcję przystanku autobusowego. O tej porze i tak rzadko się tu coś zatrzymywało. Cyra przyłożył pestkę do czujnika domofonu, urządzenie zaświeciło się na zielono, zabzyczało i zamek puścił.

Mieszkanie Laudy znajdowało się na poddaszu. Wiodły do niego pięknie odrestaurowane drewniane schody. Lekko skrzypiały pod naciskiem ich kroków, ale był to przyjemny dźwięk. Nie jak zapiaszczone wiadro postawione w żeliwnym zlewie, a raczej delikatne trącana struna altówki.

Na górę dotarli dość szybko. Oboje byli w świetnej kondycji fizycznej. Cztery kondygnacje, nawet te kamieniczne, bardzo wysokie, nie stanowiły

dla nich problemu. Zatrzymali się pod masywnymi drzwiami, zabezpieczonymi trzema zamkami. Cyra miał nadzieję, że w środku nie ma alarmu. Nie zapytali o to matki ofiary. Prawdę mówiąc, o ten cholerny klucz też by nie zapytał. Nie przyszło mu to do głowy. Ale oczywiście nie mógł tego powiedzieć Babicz.

Martyna tymczasem uporała się z wszystkimi zabezpieczeniami i wślizgnęła się do środka. Usłyszał jej ciche gwizdnięcie.

– Wchodź – powiedziała zza drzwi. – Nie ma alarmu. Są za to inne cuda.

Wszedł.

Było sporo przesady w gadaniu starej Laudy, jakby mieszkanie to stanowiło istny pałac, ale z pewnością był to najlepiej urządzone loft, w jakim Cyra kiedykolwiek przebywał. Jedno z takich miejsc, które zmęczeni mieszkańcy Katowic mijają każdego dnia, nie wiedząc, jakie cuda skrywa. Piękna kamienica, ale zupełnie niewidzialna. Ukryta w pierzei, stanowiąca element tła. Nie zwraca się na to uwagi. A w środku? Mała galeria sztuki. Jedno gigantyczne pomieszczenie. Tylko cegły, drewniane podpory podtrzymujące strop i ciemny parkiet na podłodze. W środkowej części stał szeroki ceglany filar i stanowił jedyny obiekt ograniczający widoczność. Ogromna łazienka znajdowała się we wnęce wykutej w ścianie na drugim końcu mieszkania. Od reszty oddzielała ją jedynie ogromna przesuwana szyba. Mogła zatrzymać wodę i wilgoć, ale na pewno niezaciekawione spojrzenia.

– Przytulnie – zauważył Cyra.

– Ale niezbyt intymnie – odparła Babicz. – Chyba że się mieszka samemu.

– Lepiej spójrz tam. – Wskazał palcem na ogromne łóżko stojące pod jedną z bocznych ścian. Właściwie był to jeden wielki materac,

umieszczony bezpośrednio na podłodze. Oprawione atłasem poduszki i kołdra leżały zwinięte na podłodze. Jednak tym, co ich najbardziej zainteresowało, były cztery statywy ustawione wokół łóżka. Na dwóch stały kamery, na dwóch profesjonalne filmowe oświetlenie.

– Nie wierzę – wystękała Babicz.

– Co to, kurwa, jest?

– Gdybym miała zgadywać, to wygląda na to, że kręciła tu pornosy.

– Co? – Cyra się zdziwił.

– Nagrywała, jak uprawia seks.

Cyra zrobił zaskoczoną minę, ale najwyraźniej nie dotarła do niego waga tej informacji, bo skierował krok pod inną ze ścian, gdzie stała szeroka komoda z szufladami.

– Bierzmy się do roboty – powiedział. – Przeszukam to, a ty się rozejrzyj po mieszkaniu. Na pewno są tu inne poukrywane...

– Cyra! – krzyknęła zniecierpliwiona.

– Co? – odwarknął.

– Ona nagrywała, jak uprawia seks.

– I co z tego?

– To, że jak znajdziemy nagranie, to dowiemy się, z kim się ostatnio bzykała.

Cyra zastygł z otwartymi ustami.

– Tego usiłujemy się dowiedzieć, prawda? – ciągnęła Martyna.

– Gdzie może być takie nagranie?

– Myślę, że wciąż jest w kamerze. Zobacz, pościel leży na podłodze. Jej bielizna też, tam, dalej. Widzisz? Pewnie po wszystkim bardzo się spieszyła. Skoro nie zdążyła posprzątać, to na pewno też nie zgrała materiału.

Cyra wahał się przez chwilę, jakby chęć obejrzenia miłosnych igraszek ofiary w towarzystwie koleżanki z pracy budziła w nim skrępowanie. W końcu jednak sięgnął po kamerę i odszedł z nią w kierunku niewielkiej wyspy pośrodku mieszkania, tuż obok ceglanego filara, gdzie zlokalizowany był kącik dzienny w postaci szklanego stolika i otaczających go sześciu skórzanych foteli.

– No dobra – powiedział.

Martyna zaśmiała się, porwała ze statywu swoją kamerę i dołączyła do Cyry. Usiadła w fotelu dokładnie naprzeciwko niego. Nie wiedziała dokładnie, jak obsługiwać ten sprzęt. Cyra poradził sobie znacznie lepiej. Gdy ona wciąż szukała włącznika, z jego sprzętu popłynęły ciche jęki i stęknienia.

– O jasna cholera – wysapał.

– Masz coś?

– Ujeżdża go, jak na rodeo.

– Nie żartuj.

– Nie żartuję.

– Widzisz, kogo? – zapytała, znajdując w końcu przycisk, który uruchomił jej sprzęt.

– Nie. Ujęcie jest na jej dupę. Widzę tylko kawałek jej pleców i tyle. Ale nabija się na faceta, jakby chciała mu go urwać.

– Przewiń, może dalej jest inne ujęcie.

Chwilę później jęki i sapnięcia zmieniły się w dzikie wrzaski. Martynie trudno było się skoncentrować na obsłudze kamery. Szukała galerii filmów i w końcu ją znalazła. Chciała powiedzieć o tym Cyrze, ale gdy uniosła wzrok, zobaczyła, jak on nieznacznym ruchem poprawia jeansy. Na pozór niewinne, jakby jakoś krzywo usiadł. Wiedziała, że dla facetów ma to

znaczenie, bo źle ułożone spodnie mogą nieprzyjemnie ugniatać jądra, ale zrozumiała, że on to zrobił z innego powodu.

Kurwa mać, stanął mu – pomyślała. Najzwyczajniej w świecie mu stanął. Podczas oglądania kobiety, która zeszłej nocy została znaleziona bez głowy na starej zrujnowanej stacji kolejowej. Jebany zwyrodnialec, no. Chociaż przecież na filmie tego nie widać. Jest tylko młoda kobieta, podobno niezwykle seksowna, która ujeżdża kutasa. Czyli coś, co widać w każdym filmie pornograficznym. Zachowanie Cyry może nie było profesjonalne, ale... Zresztą, do cholery, przecież mężczyźni nad tym nie panują, prawda? Dobrze, że w ogóle mu staje.

Westchnęła i skupiła się na swoim ekranie. Wcisnęła *play*, a gdy obraz ruszył, aż drgnęła.

Na ogromnym zbliżeniu Joanna Lauda obdarowywała właśnie *fellatio* jakiegoś anonimowego szczęściarza. Robiła to w sposób wyjątkowo zaangażowany. Powolnymi, precyzyjnymi ruchami, spoglądając prosto w kamerę, którą on musiał trzymać. W jej oczach płonęła żądza. Unosiła się lekko na łokciach, balansując ciałem tak, by każdy jej ruch był miękki i zapewniał partnerowi niesamowite doznania. Gdy raz czy drugi wychyliła się mocniej, Martyna w dole kadru ujrzała jej piersi. Zdecydowanie sztuczne i przyozdobione metalowymi kolczykami. Miała piercing w brodawkach sutkowych.

Martyna już prawie tego nie rejestrowała. Odplynęła. Usiłowała sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz sama obdarowywała tak mężczyznę. Uwielbiała to robić, a jednak nie zdarzyło jej się już pewnie ze dwa lata. Może trochę dłużej? Samotność to nowa dzuma. Dopada człowieka i zmienia go w szerniałe zwłoki. Można żyć i nie żyć jednocześnie, i to latami. Tak jak ona.

Nim zrozumiała, co się z nią dzieje, było już za późno. Palec wskazujący prawej ręki dotykał już lewej piersi i powoli kierował się w stronę ukrytej pod obcisłym czarnym golfem i miękkim, przylegającym biustonoszem brodawki.

Gdy zrozumiała, co robi, zastygła i odruchowo spojrzała na Cyrę. Czy zorientował się, co ona robi? Tak, zorientował się. I to jak. Patrzył wprost na nią, a gdy ich spojrzenia się spotkały, nie speszył się. Na jego ustach pojawił się zachęcający uśmiech. A gdy spojrzała nieco w dół, zrozumiała, że dłonią pociera męskość. I choć ta wciąż ukryta była w jeansach, nie dało się już ukryć, że jest nabrzmiała. Zresztą, Cyra nie usiłował już tego ukryć. Przeciwnie. Wciąż na nią patrząc, rozszerzył nogi. Tak, by jeszcze lepiej mogła widzieć, co robi. A w jej głowie toczyła się mała rewolucja. Przez sekundę była oburzona. Przez kolejną nawet pomyślała, że on ją molestuje. Potem, że nieprawda. Że to ona molestuje jego. A potem targnęło nią tak silne podniecenie, jakiego nie doświadczyła od dawna. Joanna Lauda przyspieszyła i wyostrzyła swoje ruchy. Jej partner jęczał, gdy pochłaniała go coraz głębiej, aż po skórę podbrzusza. Z kamery dobiegało mlaskanie, takie, które zwykle zniesmacza, ale nie wtedy, gdy się ogląda porno. Lub gdy się uprawia porno. Cyra całą dłonią nakrył krocze, a potem chwycił i mocno ścisnął niewidocznego penisa. A jej dłoń, nie wiedzieć kiedy, nie wiedzieć przez kogo kontrolowana, zjechała w dół, odsłoniła wąski pasek skóry na górnej krawędzi czarnych jeansów, a potem jej palce, również czarne, a raczej po prostu ozdobione czarnym lakierem do paznokci, bardzo powoli, jeden po drugim zaczęły się wsuwać pod skórzany pasek. Nie panowała już nad tym. Czowała, że zaraz wydarzy się coś znaczącego. Coś ikonicznego, o czym będzie pamiętała przez całe życie. Cyra rozsunął klamrę paska i rozpiął pierwszy z kilku guzików rozporka. I to wystarczyło, by ujrzała niewielki kawałek pulsującej czerwienią żołądki, milimetr

kwadratowy, który jednak momentalnie wyłączył jej jakiegokolwiek mechanizmy obronne. Szybkim ruchem ściągnęła z siebie golf. Czarny maleńki stanik dawał niewiarygodny kontrast z jej zupełnie białą skórą. Widziała, że facetów kompletnie to rozbraja. Większość z nich nigdy nie widziała nagiej albinoski. Wygięła ciało w łuk i obiema rękami sięgnęła do haftki na plecach. Tego, co w nią wstąpiło, już się nie dało zatrzymać. Ona nie chciała tego zatrzymać.

Tymczasem jednak Joanna Lauda po kolejnym niewiarygodnie długim „głębokim gardle” wyrzuciła w końcu z ust swojego partnera. Trudno jej było złapać oddech. Charczała i krztusiła się. Jednak partner nie miał zamiaru czekać, aż ona dojdzie do siebie. Chwycił ją za biodra i rzucił na poduszki. Wciąż się dusząc, zaśmiała się głośno, upadając, rozszerzyła nogi tak mocno, że chyba zrobiła szpagat. Mężczyzna natarł na nią, ona krzyknęła, ale wszystko działo się poza kadrem, z czego najwyraźniej oboje nie byli zadowoleni. Więc on podał kamerę jej, a ona skierowała ją na jego twarz.

– Kurwa! – krzyknęła Martyna, a ponieważ zdążyła już rozpiąć haftkę i stanik zsunął się z jej niewielkich piersi, natychmiast nakryła je ręką. Cyra zapewne zdążył zobaczyć, co przed nim skrywała, jednak najwyżej przez ułamek sekundy. Sam zastygł, trzymając w dłoni to, co on skrywał dla niej.

– Schowaj to! – krzyknęła.

– Co się stało?

– Schowaj to i chodź tutaj!

Ręką, którą się nie osłaniała sięgnęła po golf i wprawnym ruchem wciągnęła go na siebie. Cyra nie wyglądał na speszonego. Raczej rozczarowanego, ale wciągnął slipy i zapiął guziki od spodni.

– Co się stało? – zapytał, ponownie siadając obok niej. Za blisko. Pewnie miał nadzieję, że jeszcze nie wszystko stracone, ale z niej podniecenie

wyparowało już bezpowrotnie.

– Zobacz – powiedziała, starając się trafić w przycisk pauzujący nagranie. Przez chwilę nic się nie działo i siedzieli tak z Cyrą centymetry od siebie, oglądając miłosne uniesienie dwóch obcych osób, czując się dziwnie i zastanawiając, jak teraz przejść do porządku dziennego od tego, co się wydarzyło. W końcu jednak Martyna zatrzymała obraz. Mężczyzna był akurat całkowicie wsunięty w swoją partnerkę, opierał się na rękach, a klatkę piersiową miał mocno wypiętą. Dlatego jego twarz była doskonale widoczna.

– To Artur Ślązak – powiedziała Martyna. – Mąż Beaty Rólki. Poprzedniej ofiary.

– Jesteś tego pewna?

– Tak, kurwa, jestem tego pewna – zdenerwowała się Babicz. – Siedzę już w tym trochę.

Oderwała się od fotela w poszukiwaniu torebki. Leżała tuż obok. Martyna otworzyła ją i wyszarpnęła komórkę.

– Co robisz? – zapytał Cyra.

– Dzwonię do Krzywańskiego – odparła, mażąc palcem po ekranie.

Zerwał się z fotela, chwycił ją od tyłu i przyciągnął do siebie, tak, że utonęła w jego ogromnych ramionach. Poczuli się nieswojo, bo on wciąż jeszcze nie ochłonął i czuła to bardzo wyraźnie na swoich pośladkach. Ale Cyra wyjął jej tylko telefon z ręki, a potem poluzował uścisk.

– Spokojnie – powiedział. – Jeszcze nie.

– Dlaczego?

– Zbierzmy informacje. Rozejrzyjmy się tutaj, sprawdźmy, co nam w nocy powie doktor Demarczyk. Ślązak nie ucieknie.

– Ale dlaczego? Powinniśmy o tym zameldować. I to natychmiast.

– Gdzie ci się tak spieszy?

Czuła, że ją przytłacza. Że powinna mu się sprzeciwić, ale on jest za silny. Trochę odruchowo wyciągnęła z torebki paczkę papierosów. Odpaliła jednego. Cyra się skrzywił.

– Nie wydaje mi się, byś powinna tu palić – powiedział.

– Właścicielka nie żyje. Chwilowo nie mam kogo zapytać.

– Szkodzisz sobie.

– Dzwonię do Krzywańskiego, Cyra. To nie jest twoje prywatne polowanie. Myślisz, że tego nie widzę? Nie ma znaczenia nic prócz tego, żebyś wygrał w tej swojej tajemniczej wojence z Lichym. Ale ja chcę znaleźć mordercę tych dziewczyn, Cyra. Pracuję już nad tym wystarczająco długo.

– I o to chodzi – powiedział Cyra, nieoczekiwanie stając za nią i chwytając ją palcami za barki. Delikatnym ruchem zaczął je rozmasowywać. W taki sposób, na jaki może sobie pozwolić mężczyzna wobec nieswojej kobiety, jeśli zna ją wystarczająco długo lub wie, że jej się podoba. Odrobinę erotycznie, ale w gruncie rzeczy niewinnie. Martyna skrzywiła się, ale nie odsunęła. Było zimno. Mięśnie miała twarde i skurczone.

– O co chodzi? – dopytała.

– Żeby złapać mordercę – mówił miękkim głosem, powoli, tonem zapraszającym do rozwiewania wątpliwości i podejmowania kompromisów. – Mylisz się, nie konkuruję z Lichym. Po prostu mu nie ufam. To zniszczony człowiek. Od dawna. Krzywański popełnił błąd, ściągając go do zespołu, bo ten typ jest nieobliczalny. Zupełnie niedawno próbował mnie zabić.

– Rozumiem, naprawdę – powiedziała Martyna. – Ale nie możemy zataić tych informacji.

– Nie chcę ich zatajać. Chcę tylko je przesiać. Iść do zespołu z wartościowym feedbackiem. Może jutro? Albo pojutrze. Nie możemy dopuścić, żeby ta informacja została zignorowana. A jeśli ją teraz zgłosimy, to na pewno zostanie.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Nie widzisz? Za dużo w tym dziur. Sporo rzeczy się nie zgadza. Widziałaś datę na nagraniach?

– Nie było daty.

– Była. Zaszyta w nazwach pliku. To nagrania sprzed dwóch tygodni. W mieszkaniu jest sporo kurzu. Prawdopodobnie od dwóch tygodni nikogo tu nie było.

– Może Lauda zamieszkała u Ślązaka?

– A może zupełnie gdzie indziej. Nie możemy tego nie wiedzieć. Nikt nas nie potraktuje poważnie.

– Mamy człowieka, który zna obie ofiary!

– Ale nie zna sześciu innych. Nie znaleźliście żadnych powiązań.

– Co nie znaczy, że ich nie ma.

– Oczywiście. Ale ile takich „nie wiem, ale się dowiem” możemy zanieść Krzywańskiemu? I dlaczego Ślązak po zabiciu Laudy nie miałby usunąć tych nagrań? Na logikę, jest to pierwsza rzecz, którą powinien zrobić.

– Może to zlekceważył. Rok temu mu się udało, więc...

– Nie.

– Nie?

– Nie. Jeśli facet zabił te wszystkie kobiety, a my nic nie znaleźliśmy, to znaczy, że jest cwany. A nawet pospolity idiota musiałby rozumieć, że po śmierci Laudy przeszukamy jej mieszkanie. I zainteresuje nas wszystko, co jest nagrane na kamerach. Jak byś to wytłumaczyła Krzywańskiemu?

Babicz się nie odezwała. Wiedziała już, że on ma rację.

– Myślę, że to on – ciągnął Cyra. – Może nigdy nie dostał od niej kluczy? Może je zgubił? Może zapomniał, choć trudno w to uwierzyć. A może ona mu mówiła, że to skasuje, albo gdzieś schowa i on jej uwierzył? W końcu od tego dnia do jej śmierci minęło trochę czasu.

– Tylko gdzie ona w tym czasie była? – zapytała Martyna. – Gdyby przeprowadziła się do niego, z pewnością znalazłaby czas, żeby kilka razy odwiedzić własne mieszkanie i przynajmniej tu posprzątać.

– No właśnie. Kolejne pytanie. Nic nie wiemy.

– Prócz tego, że była u matki w święta.

– O ile to w ogóle prawda.

– Myślisz, że kłamała?

– Myślę, że to możliwe. Bolało ją, że córka ją zaniedbuje. Widziałaś, jak na ciebie naskoczyła, jak tylko zasugerowałaś, że mogłaby zapewnić matce lepsze warunki mieszkaniowe? Matka to matka. Zawsze chroni swoje dziecko. Możliwe, że powiedziała nam to, byśmy nie myśleli źle o jej córce.

Martyna Babicz westchnęła. Po pierwsze, zrozumiała, że Cyra ma rację. Po drugie, jego palce sprawiały jej przyjemność. A po trzecie, zrozumiała, że straciła pierwszą szansę na coś więcej. Może nie ostatnią?

ROZDZIAŁ 7

Młodszy inspektor Adam Mąka marzył o Lilianie Wejhert od kiedy się poznali. Wprawdzie nie zdawał sobie z tego sprawy w przeciwieństwie do niej. Był mało przystojnym mężczyzną. Tuż przed pięćdziesiątką, z lekką nadwagą i rzadkimi, krótkimi włosami, które za jakiś czas prawdopodobnie odsłonią skórę na czubku głowy. Nie potrafił się ubrać, nie potrafił za bardzo rozmawiać i generalnie w najlepszym wypadku należał do kategorii samców beta. Ale Liliana go lubiła. I było jej go szkoda. To jeden z tych mężczyzn, którzy, gdyby dane było im pojąć, że wygląd naprawdę nie ma dla kobiety kluczowego znaczenia, zrozumieliby, że zmarnowali swoje życie. Bo Mąka miał cechy, które mogły go czynić atrakcyjnym w oczach kobiet. Był sympatycznym człowiekiem o niebanalnym poczuciu humoru. Szczerym i na tyle uczciwym, na ile było to możliwe. I jeszcze głos. Miał wspaniałą, głęboki baryton, który Liliana uważała za najseksowniejszy głos, jaki mógł mieć mężczyzna.

On jednak o tym nie wiedział, a ona znów zamierzała wykorzystać fakt, że trzy czwarte męskiej populacji to ślepcy, którzy widzą tylko jej duże cycki i okrągły tyłek. Więc ubrała się tak, jakby zamierzała biegać. Czarne legginsy, w których pomimo przekroczonej czterdziestki wyglądała wspaniale, obcisłą różową bluzeczkę na ramiączkach, pod którą nie włożyła stanika i czarną bluzę z kapturem. Na suwak. Rozepnie go potem, a on będzie mógł sobie dokładnie obejrzeć zarys jej ciała. Gdy się ubierała, przeszło jej przez myśl, że zachowuje się trochę jak kurwa. I, co zaskakujące, sprawiło jej to przyjemność. Coś dziwnego działo się ostatnio

z jej seksualnością. Podniecało ją byle co i bezustannie fantazjowała. Przez chwilę wyobrażała sobie nawet, jak Mąka rozrywa swoimi wielkimi łapskami jej legginsy, rzuca ją na łóżko i bierze brutalnie od tyłu, jakby była jego własnością. Dawniej taka myśl wzbudziłaby w niej obrzydzenie. A teraz tylko się zaśmiała do własnych myśli. Było coś wspaniałego w tym, że gdyby tylko chciała, mogłaby go mieć. Mogłaby sprawić, że zapomniałby o kobiecie, z którą jest dwadzieścia lat po ślubie, dwojce dorastających dzieci, domu, pracy i wszystkim innym.

Cholera jasna, ależ jej teraz było zimno.

Pod jego dom na katowickim Brynowie podjechała tuż przed szóstą wieczorem. Była tu już wcześniej ze dwa razy. Za każdym razem z tego samego powodu. Po informacji. I za każdym razem odnosząc sukces. Mąka był śledczym Biura Spraw Wewnętrznych Policji i babrał się we wspaniałych brudach. Zawsze starał się robić wrażenie profesjonalisty, z którym „nie te numery”, ale ostatecznie pękał i mówił jej wszystko, co chciała usłyszeć. Inna sprawa, że szanowała takie źródła i nigdy nie wystawiała ich na poważną próbę. Nie rozpytywała o rzeczy naprawdę istotne lub szczególnie drażliwe. Ot, kilka luźnych informacji o pozornie błahych kwestiach, które potem rozwijała za pomocą innych kontaktów. Tym razem też nie spodziewała się problemów. Kogo prócz niej może interesować los jakiegoś pijaka, nawet jeśli w przeszłości był niezłym śledczym?

Okolica była ciemna i trochę posepna. Ot, zwykłe osiedle kilkudziesięcioletnich domów jednorodzinnych, jakich tysiące w całej Polsce, ale najbliższa lampa uliczna znajdowała się kilkadziesiąt metrów dalej, a jej rdzawe światło rozplątywało się we mgle. W oddali zawył jakiś pies. Inny zaszczekał, jakby chciał jej powiedzieć: „Hej, wiemy, że tu jesteś”.

Dom był zwykłym betonowym sześcianem, zaburzonym jedynie przez drewniany, zadaszony ganek. Na fasadzie znajdowały się cztery okna. Jedno z nich, po prawej stronie na górze co chwilę rozbłyskało niebieskawym światłem. Ktoś tam był i oglądał telewizor. Lili miała nadzieję, że to Mąka. I że jest sam. To miało sens i byłoby bardzo korzystną okolicznością.

Weszła po schodach i nacisnęła dzwonek. Dość długo, by zasygnalizować, że przyszła z ważną wizytą, lecz nie na tyle długo, by zirytować gospodarza. Czekala całą minutę, nie ponawiając wezwania. Uznała, że Mąka musi się ubrać. Jaki mężczyzna samotnie ogląda telewizor w pełnym ubraniu? W piątkowy wieczór?

Miała rację. Drzwi w końcu się otworzyły. Mąka miał na sobie jeansy, ale bez skarpetek, a w niebieskiej bawełnianej koszuli krzywo zapiął guziki. Ten, który powinien się wpiąć w dziurkę na samej górze, wpiął się w kolejną.

– Lili? – zapytał, jakby nie mógł uwierzyć w to, co widzi.

– Cześć Adam. Mogę wejść? Jest strasznie zimno. Jadę prosto z biura i nie wzięłam nic ciepłego.

Chwilę się wahał. Widać było, że chce ją zaprosić, ale trochę się boi. Jakby był piromanem, który owszem, uwielbia wpatrywać się w ogień, ale wie, że po pierwsze, łatwo się oparzyć, a po drugie, jeszcze łatwiej zginąć. W końcu analiza wypadła pomyślnie dla Wejhert. Nie można przecież trzymać na zimnie nieubranego człowieka. A może to alkohol pomógł mu podjąć decyzję? Bo choć z pewnością nie był pijany, Lili czuła od niego whisky.

– Jasne – powiedział. starając się na nią nie patrzeć. – Wejdz.

Ustał jej miejsca w drzwiach, a ona natychmiast wskoczyła do środka, zamykając za sobą drzwi. Naprawdę było jej bardzo zimno.

– Jesteś autem? – zapytał.

– Tak.

– W takim razie zaproponuję kawę. I piernika. Nie uwierzysz, ale sam upiekłem.

– O, fantastycznie. – Roześmiała się. – Ale nie chcę przeszkadzać.

Machnął ręką.

– Nie przeszkadzasz. Alicja i chłopaki wyjechali dziś w Bieszczady. Nie będzie ich do Trzech Króli. Nadrabiam Netflixa. Czarna czy z mlekiem?

– A mogę herbatę? Zwykłą, czarną.

– Jasne.

Woda zagotowała się błyskawicznie. W tym czasie raczyli się *small talkiem*. „Ho, ho, to naprawdę piękna kuchnia”, „Tak, sam zrobiłem stół”, „Jesteś bardzo utalentowany”, „Za jakiś czas zrobię lepszy, bo ten bla, bla, bla”.

Gdy postawił przed nią kubek z gorącą herbatą, przyszedł czas na pierwszy atak. Szybkim ruchem rozpięła bluzę, zdjęła ją i powiesiła na oparciu krzesła. Tak, by wyglądało to zupełnie naturalnie. Weszłam do ciepłego pomieszczenia, mam ciepłą herbatę, ściągam niepotrzebną bluzę. Wciąż czuła szczypanie w brodawkach piersiowych. Były twarde i wiedziała, że efekt musi być piorunujący. Obcisła bluzka na ramiączkach zbliżona była do koloru jej ciała. Przy odrobinie wyobraźni można było uznać, że Liliana jest naga. Mąka natychmiast przypomniał sobie o pierniku i odwrócił się w stronę piekarnika. Ona usiadła na krześle i złożyła ręce tak, by zasłaniały biust. Potrzebowała tego człowieka. Nie mogła go onieśmielać w nieskończoność.

Ukroił kilka kawałków ciasta, ładnie poukładał je na szklanej podstawce i postawił na stole. Po chwili pojawiły się jeszcze dwa talerzyki.

Znów trochę niepotrzebnej mowy. Lili pochwaliła ciasto i zrobiła to zupełnie szczerze. Było fantastyczne.

– Czym się teraz zajmujesz, Lili? – zapytał Mąka.

– Teraz? Niczym. Przerwa świąteczna, niewiele się dzieje.

– A jednak powiedziałaś, że przyjechałaś wprost z biura. Pierwszego stycznia. Musiałaś tam siedzieć przynajmniej do siedemnastej.

No właśnie. To jeszcze jedna z tych cech, których Mąka zupełnie w sobie nie doceniał, a ona owszem i, co więcej, widziała, że gdy się uruchamiają, należy bardzo uważać. Młodszy inspektor Adam Mąka był naprawdę bystrym człowiekiem. Słabym, owszem, ale o umyśle ostrym jak brzytwa.

Gra się zaczęła. Szczucie cycem pomaga, ale na pewno nie wystarczy. Westchnęła więc, jakby dała się przyłapać na kłamstewku. Tak właśnie. Nie kłamstwie. Przecież nie chciała mu pokazać, że jest wobec niego nieszczerą. Ale na kłamstewku. Niedopowiedzeniu. Tak by już na początku rozmowy mógł poczuć, że coś rozwiązał. Że jest czujny. W obliczu spotkania z kobietą, której pożądał, a której nie mógł tego okazać, taki dowód własnej czujności musiał dobrze na niego zadziałać.

– Masz mnie – przyznała z uśmiechem. – Zbieram informacje, ale to prywatny temat.

– Prywatny?

– Tak. Nie będę o tym pisać.

– O czym?

– Nie, to nieważne.

– To bardzo ważne. – Jego barytonowy śmiech połaskotał ją w uszach. – Bo przecież przyjechałaś tu w tej sprawie.

– Nie, zupełnie nie...

– Lili – przerwał jej grzecznie, ale stanowczo. – Ja naprawdę nie jestem głupi. Przyjeżdżasz do mnie po informacje. Wyłącznie. Ja nie powinienem ci ich udzielać, ale udzielam, bo mam do ciebie dziwną słabość. Ty o tym doskonale wiesz, więc zjawiasz się tu, chwalisz moje ciasto i stół i świecisz biustem, jakbym miał dwadzieścia lat. Nie mam, więc po prostu powiedz, czego chcesz, a ja zobaczę, czy będę mógł pomóc. Nie okazuj mi pogardy tak tanimi sztuczkami.

Ciszę, która zapadła, przerywało jedynie dudnienie wiatru w ciągach kominowych. Szach i, kurwa, mat. Tak właśnie ją załatwił. Myślała, że może do kogoś takiego jak Mąka przyjechać po raz trzeci z tym samym żalonym trickiem. Przeliczyła się. Nieporadnym, trochę wystraszonym ruchem sięgnęła po bluzę wiszącą na oparciu.

– Nie, nie – powiedział Mąka, świdrując ją niebieskimi, uczciwymi oczami. – Nie trzeba. Jakoś sobie z tym poradzę.

– Przepraszam, Adam – powiedziała, gubiąc zgłoski.

– Nie szkodzi – odparł. Wejhert miała wrażenie, że facet ma na twarzy wypisany ból. A może to jej wyrzuty sumienia wykreowały taki obraz? Naraz poczuła się bardzo kiepsko. Chciała stąd wyjść. Najszybciej, jak tylko się da. Teraz. Chciała, ale nie ruszyła się z miejsca. Bez względu na wszystko, miała tu starcie do wygrania. A ona nigdy nie odpuszczała w starciach, nawet jeśli przeciwnikiem był dobry człowiek, którego zdążyła już kiedyś zranić.

– Dobrze – odpowiedziała. – Masz rację. Od teraz bezwzględna uczciwość z mojej strony. Rafał Lichy. Znasz takiego człowieka?

– Oczywiście – odparł, patrząc jej prosto w oczy.

– Powiesz mi coś o nim?

– Na przykład co?

– Dlaczego go zwolniliście?

– Przecież to ty napisałaś ten artykuł.

– Tak, oczywiście. Myślę jednak, że chodzi o coś więcej. Zresztą, nawet gdyby nie chodziło, to chciałabym się dowiedzieć, dlaczego trafił wówczas do tego parku. I był nagi. Chcę powiedzieć, że to dość nietypowe, jak na policjanta.

– Fakt – przyznał Mąka. – Tyle że Lichy stanowczo nie jest typowym policjantem.

– Co przez to rozumiesz?

– Że to świr.

– Świr?

– Posłuchaj, nie pomogę ci, bo nic nie wiem. Słyszałem, że miał jakiś zatarg z innym funkcjonariuszem. Pobili się, czy coś w tym stylu. Nic więcej nie wiem. Warszawa się tym zajmowała.

– Warszawa zajmowała się zwykłą bójką pomiędzy dwoma policjantami z Katowic? Jakoś mi się w to nie chce wierzyć.

– Nic na to nie poradzę.

– Cholera.

Zapadła krótka chwila, w trakcie której oboje łapali oddechy, a Wejhert dodatkowo kilkadziesiąt kalorii wprost z talerzyka. Zastanawiała się, o co by jeszcze mogła zapytać, ale to Mąka zapytał pierwszy.

– Dlaczego się tym interesujesz?

– Nie wiem – odparła Wejhert, a że wciąż miała w ustach resztki piernika, to przyłożyła do nich dłoń.

– Obiecałaś szczerą, Lili.

– Obiecałam. I jestem szczerą. Naprawdę nie wiem. Po prostu... Może mam wyrzuty sumienia?

Mąka się zaśmiała. Cicho i krótko, ale bardzo wymownie. Wejhert postanowiła jednak tego nie komentować. Być może faktycznie sobie na to zasłużyła.

– Spotkałam go w nocy – przyznała w końcu. – Wcześniej widziałam tylko fotografie. A teraz żywego człowieka. Zamieniłam z nim kilka słów. Jest w nim coś dziwnego. Sam powiedziałeś, że jest świrem. Ale dostrzegłam jakieś brzemie. Mam wrażenie, że to człowiek, który nie panuje nad swoim losem. Jest czegoś zakładnikiem. Nie wiem, jak mam ci to inaczej powiedzieć.

– Chyba rozumiem.

– Napisałam coś, co być może zepchnęło go w tę pustkę. A jeśli nawet tak nie było, to go w niej pogrzyżyło. Napisałam to, jak milion innych gównianych tekstów do gównianego tabloidu, którym stało się moje wydawnictwo. Bezrefleksyjne i na ostro. A w gruncie rzeczy, co takiego się stało? Znalezione go nagiego w parku. Nic nikomu nie zrobił. Nic nikomu nie przyszło z tego, że napisałam ten tekst. Czuję się niekomfortowo, że bez szczególnego powodu przestawiłam temu człowiekowi zwrotnicę. I chyba po prostu chciałabym wiedzieć coś więcej.

– Cholera, Lili. Ty chyba naprawdę masz wyrzuty sumienia – powiedział Mąka i tym razem już się nie zaśmiała. Wejhert nie odpowiedziała, a on bębnił chwilę palcami, jakby chciał jej pokazać, że decyzję, którą podjął już kilka chwil wcześniej, podejmuje teraz i że niełatwo mu to przychodzi. W końcu wstał, podszedł do szuflady, z której wyjął kartkę i długopis. Nabazgrał coś na papierze i podał Wejhert.

– Co to? – zapytała zdumiona. – Jakiś adres?

– Doktor Tadeusz Schmidt. Psychiatra, który przez kilka miesięcy pracował z Lichym.

– Daj spokój – zachnęła się Wejhert. – Przecież on mi nic nie powie.

– Powie. – Mąka się uśmiechnął. – Nie pracuje już. Przeszedł na emeryturę kilka miesięcy temu. Z przyczyn zdrowotnych. Oficjalnie. W rzeczywistości stracił uprawnienia, bo jest człowiekiem kompletnie zniszczonym przez alkohol. Bez dochodu, za to z bardzo kosztownymi demonami. Zapłać, a dostaniesz każdą informację. Tylko ja ci tego nie powiedziałem.

Nie odpowiedziała, tylko podniosła się z krzesła, podeszła do Mąki i pocałowała go w policzek. Nie spodziewał się tego. Dotknął policzka dłonią, jakby chciał sprawdzić, czy nie zostały na nim ślady szminki.

– Wow – powiedział.

– Ten piernik naprawdę był wspaniały.

– Cieszę się, że ci smakował. A ponieważ mnie też się spodobało, dam ci jeszcze jedną ciekawą informację.

– Tak?

– Powiedziałas, że Lichy został zwolniony z policji. Ale to nie do końca prawda. Został wysłany na urlop zdrowotny.

– A co mu było?

– Nic. Gdyby został zwolniony z wpisem do akt, to nie mógłby już wrócić do firmy. Ale dostał bezterminowy urlop zdrowotny na wniosek psychiatry. Schmidta właśnie.

– Można tak?

– Pewnie, że można. Ale to przywilej. Świadczenia są wprawdzie minimalne, ale na dłuższą metę takie rozwiązanie proponuje się jedynie najlepszym z najlepszych. Absolutnym specjalistom w swoich dziedzinach. Takim, których w krytycznej sytuacji można ściągnąć z powrotem.

– I Lichy jest kimś takim?

– Tak uznano. Rozwiązał sprawę Szewca z Chociebuża i potrójnego zabójstwa w Milówce. Swego czasu uchodził za gwiazdę.

– Nie słyszałam o żadnej Milówce.

– Informacji o tym musisz poszukać gdzie indziej. Ja niewiele wiem. Wiem natomiast jedno. Żeby ktoś taki jak Lichy został przywrócony do służby, musi się wydarzyć coś naprawdę spektakularnego.

– Na przykład co?

– Być może wkrótce się przekonasz. Bo Lichego przywrócono dziś rano.

ROZDZIAŁ 8

Dzień 2

Obudził go huk płomieni i jęki pogorzalców. Możliwe, że coś jeszcze ukryte było w tej kakofonii śmierci. Może to sam szatan ogłaszał pospolite ruszenie, nawoływał pod broń, by wraz z nim i jego szalonym *press gangiem* wyruszyć na wyprawę po nowe upadłe dusze. Każdy władca potrzebuje poddanych. A ten jest wszak szczególnie nienasycony.

Chciał podnieść powieki, ale zorientował się, że już ich nie ma. Ogień oplatał go wraz z łóżkiem jak wąż. Łuski skrzyły się i parzyły, najgorszy był jednak łeb. Zbliżał się centymetr po centymetrze, wodząc po jego piersi śliskim, rozwidlonym językiem. Miał mądre oczy. Oczy świadomego zabójcy. Takiego, który wie, co zrobi, wie, jak to zrobi i co najważniejsze, jest pewny, że mu się uda.

Chciał się zerwać na nogi, ale nie mógł, bo był już uwięziony w przepastnym żołądku stwora. Ogień był teraz wszędzie. Kremował go żywcem. Wdzierał się do ust i dalej, aż do serca. Ogień był wszystkim, a prócz ognia nie było nic. On sam stał się ogniem i spalał samego siebie.

Znów się obudził. Tym razem naprawdę. W pokoju było ciemno, ale nie cicho. Przerażliwe wrzaski dobywały się znad sufitu i Lichy, klnąc wściekle, zacisnął sobie poduszkę na uszach. W całym bloku plotkowano, że sąsiadka z góry przyjmuje w swojej klitce mężczyzn, którzy za pieniądze mogli z nią zrobić, czego tylko dusza zapragnie. Nie wiedział, czy to

prawda, ale minął się z nią kilka razy, a kiedy indziej współdzielił winę. Nie było jej. Istota nieożywiona. *Real-life zombie*.

Oczywiście, poduszka zupełnie nie pomogła. Kiedyś, na samym początku, odczuwał podniecenie, słuchając tego. Kilka razy nawet się masturbował, usiłując sobie wyobrazić, co ona teraz robi. Cóż, dawno nie miał kobiety. Był samotny wedle każdej możliwej definicji. A w samotności najbardziej dokucza brak seksu. Nie dlatego, że jest najważniejszy. Po prostu jego brak najłatwiej zauważyć. Od dawna jednak czuł tylko obrzydzenie na myśl o tych grubych, śmierdzących właścicielach kilku złotych, którzy w swym przekonaniu o wiekopomnej roli w rozwoju cywilizacji rozrywali na strzępy dziewczynę, łaskawie sponsorując jej ze dwie bułki, pierdolony serek wiejski i jakąś wódkę, żeby nie musiała chodzić trzeźwa po tym pojebanym świecie.

Odrzucił więc poduszkę i powłókł się do łazienki. Minęła północ. Do spotkania z doktor Demarczyk miał jeszcze cztery godziny. Ale musiał tam dotrzeć komunikacją miejską. Z Chropaczowa na Ligotę. W nocy to pewnie z półtorej godziny. Brakowało mu auta. Może powinien wrócić do jeżdżenia? Nie pił alkoholu od niemal doby. Czuł się z tym okej, bo chwilowo zajęty był czymś innym. Czy to jednak oznacza, że może znów prowadzić? Czy jego samochód nie należał do przeszłości? Kiedy było pięknie i mogło być jeszcze piękniej, ale jak zawsze, wszystko zepsuł. Ubóstwiał to auto, ale dziś po prostu za bardzo przypominało mu o Róży.

Prysznic trwał chwilę. Gdy poświecił telefonem na termometr za oknem, to aż się wzdrygnął. Minus sześć. Cholera, zimno. Na szczęście miał buty do trekkingu, które dostał od Róży przed ostatnią wspólną wyprawą w Sudety. Spędzili wtedy wspaniały tydzień w Międzygórzu, z którego na dobrą sprawę ona nigdy nie wróciła. I choć razem zdobyli Śnieżnik, dziś zgubiłby się w lesie, usiłując odszukać jej ślady. Albo

zżarłyby go wilki. To chyba bardziej prawdopodobne. Prócz butów miał też czarny wełniany płaszcz do połowy uda, elegancko rozcięty z tyłu, zwykle za ciepły, ale dziś być może się nada.

Autobus przyjechał szybko, ale jechał wolno. Był stary. Przez dziury w przegubie do wnętrza wdierał się mróz. Dwie spracowane żarówki nie były w stanie porządnie oświetlić wnętrza. A Lichemu to w sumie pasowało. Pojazd był niemal pusty, więc usiadł tam, gdzie było poczwórne miejsce. Dwa fotele przodem do kierunku jazdy i dwa tyłem. Natychmiast zamknął oczy. Lubił wprowadzić GOP, naprawdę go lubił, bo odnajdywał w nim wiele wspólnego z własną wewnętrzną urodą, ten wszechobecny gnijący turpizm, tym razem jednak przez na wpół zaparowane, a na wpół zamrożone okno i tak nic nie było widać.

Gdzieś w połowie drogi ktoś się dosiadł, a gdy dojeżdżali do Katowic, ów ktoś wstał i chwilę się Lichemu przyglądał.

– Nie śpię – powiedział spokojnie Lichy, ani na chwilę nie otwierając oczu i doliniarz natychmiast się zmył.

Potem się przesiadł, a potem znów się przesiadł i w końcu zdał sobie sprawę, że przyjechał zupełnie nie tam, gdzie planował. Nie był na Ligocie. Przyjechał na ulicę Lompy, pod Komendę Wojewódzką Policji. Od początku zakładał, że właśnie tu przyjedzie. Ale dlaczego? Nie potrafił nadażyć za własną głową. Gdzieś tam, pod kopułą, kilkadziesiąt minut wcześniej uruchomił się jakiś proces i Lichy za nim podążył. Bezwiednie. Zdarzało mu się to, szczególnie w tych procentowych czasach. Bywało, że tygodniami coś go męczyło. Bywało, że nigdy nie odkrył, co. Ale nie tym razem. Teraz zrozumiał wszystko natychmiast. Odczytał notatkę, którą jego mózg zrobił kilka godzin wcześniej i zostawił mu gdzieś na widoku.

Minął budkę strażniczą, w której nikogo nie było i skierował się w stronę głównego wejścia do budynku. Na chwilę odżyły wspomnienia.

Spędził tu wiele lat i w większości były to całkiem dobre lata. Od tamtego czasu nic się nie zmieniło, a przynajmniej nie na zewnątrz. Ośmiokondygnacyjny budynek komendy nadal był najbrzydszym w całej okolicy. Wygięty w łuk i o froncie upstrzonym dziwnymi, pomarańczowo-niebieskimi panelami. Gdy Lichy tu pracował, część kompleksu wyremontowano. Reszta została po staremu.

– Cześć Lichy – przywitał go dyżurny, siedzący w swoim kantorku tuż obok wejścia. – Naprawdę znów jesteś z nami?

Lichy go pamiętał. Zawsze był gruby i jowialny. Jeden z tych porządnych.

– Na to wygląda – odparł.

– Fajnie.

– Słyszałem, że nie wszyscy się cieszą.

– No nie. – Zaśmiał się dyżurny.

– Jest Szachta?

– Fotograf? No jest.

– O cholera, serio? – Lichy niespodziewanie się uśmiechnął, co najwyraźniej rozbawiło również dyżurnego.

– A co ty, nie sprawdziłeś?

– Nie. Jestem przejazdem. Byłem pewien, że go nie będzie. Wczoraj miał dyżur.

– No miał. Ale teraz jest u siebie. Wiesz, gdzie siedzi?

– Kiedyś wiedziałem.

– No to nic się nie zmieniło. Masz, weź kartę. Od kiedy to wszystko zainstalowali, bez karty już nigdzie nie dotrzesz.

Zamek zabrzączał, choć Lichy nie zdążył jeszcze niczego nigdzie przyłożyć. Dyżurny oddał mu tę ostatnią przysługę. Lichy podziękował

i wkroczył do labiryntu.

Wewnątrz sporo się zmieniło, od kiedy był tu ostatni raz. W końcu od tego czasu minęły już cztery lata. Coś wyremontowano, coś przebudowano, gdzieś postawiono śluzę, a gdzieś zwykłe drzwi. Ale kanciapa fotografów była tam, gdzie wcześniej i Lichy odszukał ją bez żadnego problemu. Zapukał do drzwi. Bez odpowiedzi. Zapukał jeszcze raz i nacisnął klamkę.

Wewnątrz było dość ciemno, bo paliła się tylko lampka nocna. Szymon Szachta drzemał w fotelu. Nogi miał wywalone na biurko, a oczy skryte pod kapturem czarnej bluzy. Był jednak czujny.

– Lichy – stwierdził zasnętym tonem, po czym zdjął nogi z biurka. – Kawy? Mam ekspres.

– Nie, dzięki. Zaraz muszę jechać na Medyków.

– Do doktor Demarczyk? Zazdroszczę.

– Dlaczego?

– Zajebista mamuśka. – Szachta się zaśmiał. – Ruda, wielki cyc, wielki tyłek, uwielbiam takie. Ale uważaj, jest ostro pojechana. Ruszysz coś, czego nie powinienes i już masz pożar w burdelu. Charakterna suczka.

Szachta miał trzydzieści lat, starał się wyglądać na dwadzieścia, a zachowywał się, jakby był jeszcze młodszy. Lichy pamiętał go ze starych czasów. Nigdy razem nie pracowali, bo przy jego sprawach fotografowała... No, cholera, nie pamiętał, jak się nazywała. Taka brunetka. Chyba z Rudy Śląskiej. Jak mógł zapomnieć jej nazwisko? Nie przyjaźnili się, po prostu dostawał robione przez nią zdjęcia, ale jak mógł zapomnieć? I jak to możliwe, że zapomniał jej nazwisko, a nie zapomniał Szachty, z którym łącznie wymienił z pięć zdań przez sześć lat?

– Co cię właściwie sprowadza? – zapytał w końcu Szachta.

– Widziałem cię wczoraj na Bobrku.

– Ja ciebie też. – Szachta się zaśmiał. – Nie byłeś zbyt miły.

– Nie poznałem cię.

– Czyli miły jesteś tylko dla znajomych?

– Potrzebuję, żebyś mi rozwił pewną wątpliwość.

– Wal.

– Czy kochasz swoją żonę?

Wyraz twarzy Szachty zmienił się w jednej chwili. Głupkowaty uśmieszek zniknął mu z ust, rysy stężały, a oczy roziskrzyła złość.

– A chuj ci do tego? – warknął.

– Jest jakiś problem z odpowiedzią na to pytanie?

– Chuj ci do tego? – powtórzył Szachta.

– Muszę przyznać, że to dość dziwna reakcja.

– A jakiej się spodziewałeś? Przyłazisz tu w środku nocy i zdajesz takie pytania. Nie jesteśmy aż tak dobrymi kolegami, żebym tolerował wypytywanie o prywatne sprawy.

Lichy nic nie odpowiedział, tylko wpatrywał się w oczy Szachty. Miał nadzieję ujrzeć w nich strach, ale być może fotograf nie zrozumiał jeszcze, o co Lichemu naprawdę chodziło. Więc Lichy uśmiechnął się przyjaźnie i powiedział:

– Zdradzę ci pewną wstydliwą tajemnicę. Moją własną. Chcesz?

– Skoro musisz – odparł Szachta, który najwyraźniej stracił ochotę na towarzyskie pogawędki.

– Nie za bardzo lubię policjantów – powiedział Lichy, uśmiechając się przeprasząco.

– Czyli nie lubisz samego siebie. Może dlatego jesteś takim dziwakiem.

– Nie mam na myśli policji – ciągnął Lichy – policja jest potrzebna. Chodzi mi o policjantów. Ludzi. Oczywiście nie wszystkich, ale

powiedzmy, reprezentatywną większość. Wiesz dlaczego? Przez ich karykaturalne poczucie praworządności. Przez szeryfowanie. Poczucie, że przez kawałek blaszki noszonej w kieszeni są ważniejsi od innych. Rozumiesz? Jak przyłapią cię na wykroczeniu, to nie spoczna, póki cię nie dopadną, a sprawiedliwości nie stanie się zadość. Nawet jak jesteś ich najlepszym kumplem. Przecież sprawiedliwość jest ważniejsza niż jakaś tam przyjaźń czy lojalność. A potem cię spotyka i mówi: „No, Zdzisiu, tego się po tobie nie spodziewałem. Sikać w parku? W dodatku po pijaku? I to w dzień? Dobrze, że miałem bloczek, żeby ci wypisać mandat. Tylko to nas różni od zwierząt. Że my, jak sikamy w parku, to przynajmniej płacimy za to mandat”.

– Do brzegu, Lichy, bo chciałbym się jeszcze chwilę zdrzemnąć.

– Kiedyś spotkałem kumpla, który odpracowywał wojsko w policji. Swoją drogą, co to za kretynizm? Nie chcesz iść do woja? Najlepszym sposobem jest się po prostu uczyć. Ale jak ktoś był za głupi na studia i za tchórzliwy na wojsko, to zawsze mógł zostać policjantem. Ale nieważne, słuchaj dalej. I spotykam tego kumpla, to były wakacje. Dworzec w Katowicach. Podbijam, klepie go w ramię i mówię, „No siema Grzechu”, bo naprawdę się ucieszyłem. To był fajny gość. On też się ucieszył, bo ja też byłem fajny gość. No i mówię mu: „O, przepraszam, właściwie chyba nie powinienem cię tak klepać, jesteś policjantem”. A był tam taki drugi knyp, jego partner z patrolu, metr sześćdziesiąt i z pięćdziesiąt kilo wagi. Nie przesadzam. Mundur na nim wisiał, jak szmata na kiju. I ten już ma łapę na pałce i stęka do tego mojego ziomka: „Zaraz go zdejmę do gleby, zaraz go zdejmę do gleby, obraża mundur”. Rozumiesz to, Szachta? Nic tak nie obraziło munduru jak fakt, że musi wisieć na takim śmieciu. Ale on był przekonany, że jest bogiem. Że może wszystko.

– Czy ta historia ma jakąś puentę?

Lichy zrobił urażoną minę.

– Naprawdę nie rozumiesz? – zapytał. – Taka fajna przypowieść, a ty nic?

– Lichy...

– Morda w kubel, Szachta. Nie skończyłem jeszcze, a najwyraźniej jesteś za mało lotny na paralele, więc nieco uproszczę.

Przysunął sobie krzesło i usiadł obok Szachty, który trochę zdumiony, a trochę przestraszony odsunął się nieco w kierunku ściany.

– Chodzi o to – kontynuował Lichy – że jeśli jesteś policjantem i masz jakieś nieprzyjemne tajemnice, to twoi koledzy policjanci, ludzie, za których uważasz, że poszedłbyś w ogień, zrobią wszystko, by je odkryć, wyeksponować i zadbać o karę dla ciebie. Wiesz o tym. Ale jestem jeszcze ja. Jak mnie nazwałeś? Dziwakiem? No więc faktycznie. Jestem dziwakiem. Bo mnie się nie chce, Szachta. Nie chce mi się szeryfować, drażnić, pouczać. Ja chcę po prostu zaleźć mojego zbója i stąd spierdalać. Rozumiesz? Nie zamierzam wnikać. Zadaję pytanie, dostaję odpowiedź, zapominam o sprawie. I akurat teraz potrzebuję odpowiedzi od ciebie, więc pomyślałem, że nie będę się wygłupiać ze ścieżką służbową, gadaniem z prokuratorem, twoimi przełożonym i kolegami, tylko po prostu zapytam bezpośrednio ciebie. Odpowiesz? Okej. Dostanę informacje i sobie pójdę. Nie odpowiesz? To też okej. Pójdę sobie, zaraportuję o tym moim przełożonym i wtedy oni wyznaczą kogoś innego. Kogoś o silniejszym imperatywie czynienia praworządności. Dlatego ostatni raz cię pytam: kochasz swoją żonę czy nie?

I tym razem Lichy zobaczył już strach w oczach Szachty. A właściwie przerażenie.

– Tak – powiedział cicho. – Kocham moją żonę i trzech synów.

– A jednak od siedmiu lat nie spędziłeś z nimi ani jednego sylwestra, zawsze wybierając dobrowolny dyżur. Bo dyżury w sylwestra są na ochotnika, zgadza się?

Szachta nie odpowiedział.

– Przez siedem kolejnych lat dobrowolnie wybierałeś harówkę przy morderstwach, bo przecież od pewnego czasu było zupełnie jasne, że właśnie tej nocy ktoś umrze, zamiast puszczania fajerwerków z dziećmi i noworocznego, szampańskiego bzykania z żoną. To właśnie mnie zastanawia.

– Nie ma w tym nic dziwnego – powiedział Szachta. – Brałem dyżury w sylwestra, żeby nie musieć ich brać w święta.

– Ale jest jeszcze coś – kontynuował Lichy, ignorując wyjaśnienia fotografa. – W sumie drobnostka, sam nie wiem, dlaczego zwracam uwagę na takie rzeczy. Czasem mnie to męczy. Przeglądałem zdjęcia. Wszystkie. Są twojego autorstwa. Dostarczasz je w formie cyfrowej, a my to potem drukujemy. Ale każde zdjęcie opisane jest nazwą, jaką nadaje mu aparat. Długi ciąg cyfr. Kod aparatu, następnie data i następnie numer dzienny zdjęcia. Z tytułów wynika, że w ciągu siedmiu lat dwukrotnie zmieniłeś sprzęt. Jednak jest coś dziwnego. Z każdego morderstwa mamy od ciebie po piętnaście zdjęć. Według tego samego schematu. Ale dziwne są ich numeryienne. Na przykład zdjęcie numer cztery, następnie numer dziewięć, następnie dziesięć, a potem dopiero czternaście. Pewnie by mnie to nie zdziwiło, gdyby nie to, że widziałem, jak robisz zdjęcia. Po trzy takie same ujęcia. Pewnie z tej trójki wybierasz najlepsze i to ma sens. Natomiast zastanawia mnie to, że nigdy nie przedstawiłeś zdjęcia z pierwszej trójki. Przez siedem lat żadne ze zdjęć nie miało numeru dziennego jeden, dwa lub trzy.

– To nie jest dziwne – powiedział Szachta. – Pierwsze trzy poświęcam na dobranie odpowiednich ustawień. To są zdjęcia w nocy, trzeba trochę pomanipulować przesłoną i ekspozycją. Doksztalc się, to będziesz wiedział.

– Możliwe, możliwe – powiedział Lichy. Zabrzmiało to pojednawczo i Szachta chyba faktycznie to tak odebrał, ale popełnił błąd. Lichego, bardziej niż jego odpowiedź, interesowała reakcja. A ta z każdym słowem Lichego była coraz bardziej nerwowa. Szachta nie mógłby być pokerzystą. Właściwie nie mógłby być nawet świętym mikołajem na evencie w centrum handlowym, bo nie było w całym województwie takiego trzylatka, który dałby się na to nabrać. Jego prawa noga podskakiwała jak rażona prądem. Patrzył wszędzie, tylko nie na Lichego. No i ręce. Pocierał je tak dynamicznie, jakby temperatura w środku pomieszczenia spadła przynajmniej do poziomu tej za oknem.

Lichy schował twarz w dłoniach. Trochę porozcierał nimi czoło, głównie jednak by przedłużyć nieco ciszę. Zapewne nie dostałby najwyższej oceny na kolegium z metody Stanisławskiego, ale uważał, że w śledztwie zawsze przydaje się odrobina aktorstwa. A szczególnie w trakcie przesłuchań.

W końcu przeciągnął się i ziewnął, w ostatniej chwili zasłaniając twarz dłonią. Zupełnie jakby mu się to przydarzyło przypadkiem. Bąknął nawet jakieś niewyraźne przeprosiny. Potem wstał.

– Znasz Cyrę? – zapytał.

Szachta pokiwał głową.

– W porządku.

– Ale mówiłeś, że nie będziesz tego wynosić wyżej.

– Mówiłem, że jeśli ze mną porozmawiasz, to może nie będę musiał.

– Przecież porozmawiałem.

– Posłuchaj, Szachta. Problem w tym, że ja ci nie wierzę. Pamiętam dobrze, że z komendą współpracuje pięciu fotografów. Pięciu. Nie ma szans, byś przez siedem kolejnych lat musiał wziąć dyżur w sylwestra, żeby móc spędzić święta z rodziną. A jeśli faktycznie, to jesteś skończonym frajerem. Podobnie z kwestią ustawień. Niby możliwe, ale mało prawdopodobne, że przez siedem lat każda seria zdjęć zaczynała się od drugiej trójki. Nie od pierwszej i nie od trzeciej. Zawsze od drugiej. Skoro fotografujesz w trudnych warunkach, wydaje się logiczne to, że czasami możesz potrzebować więcej prób. Ale jesteś doświadczonym fotografem. Czasami powinna ci wystarczyć jedna. Przecież prób nie robisz po trzy w serii, prawda? To nie miałoby sensu. Robisz jedno zdjęcie i sprawdzasz, jak wyszło. Jeśli coś nie gra, korygujesz ustawienia i robisz kolejne zdjęcie. Można więc przyjąć, że z pierwszej trójki tylko dwa lub nawet tylko jedno się do czegoś nadaje. Ale przez siedem lat nigdy takie zdjęcie nie weszło. Mimo że przecież w gruncie rzeczy wszystkie te zdjęcia są takie same. Różnią się warunki oświetleniowe, ale nie robisz artystycznych pejzaży, tylko ściśle użytkowe zdjęcie trupów. Dlatego to mnie nie przekonuje. Natomiast tłumaczy coś, co nie daje mi spokoju, po przeczytaniu wszystkich raportów.

– Co takiego? – zapytał Szachta, który chyba postanowił nie ukrywać już faktu, że jest przerażony.

– Takie morderstwa, nazwijmy je rytualnymi lub w pewnym sensie artystycznymi, zwykle są popełniane po to, by je podziwiać. A pierwszym widzem jest zwykle morderca. Zaspokaja tę potrzebę na wiele sposobów. Bardzo często staje wśród gapiów. Dlatego właśnie zawsze ich bardzo dokładnie obserwujemy. Zbiera wycinki z gazet, nagrywa programy informacyjne w telewizji. W naszej sprawie to niemożliwe, bo jakimś cudem udało nam się utrzymać to w tajemnicy. W raporcie jest napisane,

że nigdy na miejscu wyeksponowania zwłok nie ujawniono żadnej postronnej osoby, prócz tej, która jako pierwsza zgłaszała policji odnalezienie ofiary. Ale wygląda na to, że jednak jest ktoś, kto był tam zawsze. Nawet Krzywański i Modling nie byli przy wszystkich zbrodniach. Krzywański dołączył do sprawy później, Modling na jakiś czas ją opuścił. Ale ty? Ty byłeś tam zawsze. Kosztem rodziny. I jak widać, nawet w sytuacji, gdy musiałeś odbyć dwa dyżury z rzędu, bo przecież dziś znów tu jesteś.

Szachta był ugotowany. Lichy nie musiał nawet patrzeć na jego bladą twarz i rozedrgane ciało. Fotograf po prostu zaczął śmierdzieć. Pocił się w bardzo nieprzyjemny sposób, a ciasna, kiepsko wentylowana klitka potęgowała doświadczanie efektów jego procesów fizjologicznych.

– Myślisz... Myślisz, że je zabiłem? – wydukał.

– A czy ja wiem? – odpowiedział Lichy i starał się, by w jego głosie wyraźnie wybrzmiał brak przekonania. – Nie wiem. Wątpię, szczerze mówiąc. Nie wyglądasz mi na kogoś, kto potrafiłby przez siedem lat skutecznie zacierać po sobie ślady. Prawdę mówiąc, srasz ze strachu w trakcie prostej rozmowy ze mną. To co by dopiero było, gdybyś musiał wieźć ciało przez cały GOP, mając w świadomości, że policja wie, co się wydarzy i wysłała dziesiątki radiowozów, by krążyły wokół miejsc podobnych do tego, które zamierzasz odwiedzić. O poprawnym wyeksponowaniu ciała nawet nie wspomnę. Co jednak nie zmienia faktu, że do dwóch wątpliwości, które wobec ciebie odczuwałem, dołożyłeś trzecią. Kłamiesz. A to mi podpowiada, że się co do ciebie nie mylę.

– I co zamierzasz?

– Ja? Nic. Złożę raport Krzywemu i on się tym będzie zajmował. Zapewne wyśle do ciebie Cyrę, który też nad tym pracuje i w dodatku

bardzo chce się wykazać. Zapewne pogrzebiemy trochę w twoich billingach.

– Po co?

– Pomyśl. Jeśli jesteś mordercą, to oczywiste, że w momencie przyjęcia zgłoszenia nie było cię w komendzie. Musiałeś wyeksponować ciało. Nie zdążyłbyś wrócić na Lompy. Więc zgłoszenia musiałbyś odbierać przez komórkę. Jak odbierałeś zgłoszenia, Szachta?

Fotograf milczał.

– W każdym razie wczoraj byłeś na miejscu dość szybko. Ja dotarłem ze dwadzieścia minut po północy. A ty już robiłeś zdjęcia. Bardzo ciężko dojechać z Lompy na Bobrek w dwadzieścia minut. Szczególnie w sylwestra i w takich warunkach. Ale o tym będziesz rozmawiać z Cyrą.

Poprawił poły płaszcza. Na zewnątrz było zimno, a on nie zamierzał więcej marznąć. Zasalutował niedbale Szachcie i złapał za klamkę.

– Poczekaj – wydukał fotograf.

– Nie mogę – odparł Lichy. – Muszę jechać na Medyków, a nawet nie wiem jeszcze, czym się tam dostać.

– Zawiozę cię.

– Co?

– No zawiozę cię. Mam samochód przecież.

– A to nawet miła propozycja.

– Zamknij drzwi, Lichy.

Lichy zamknął drzwi. Rozpiął guzik płaszcza, rozsunał poły i usiadł na krześle.

– Obiecujesz, że nie przekazesz tego dalej?

– Twoja pozycja negocjacyjna drastycznie spadła, Szachta.

Fotograf przetarł dłonią twarz, jednak nie po to, by zyskać trochę czasu. Po prostu nie wiedział, jak zacząć.

– To było na początku – powiedział w końcu. – To znaczy przed pierwszym morderstwem. W autobusie miejskim. Nie pamiętam linii. Trzy dni przed Nowym Rokiem. Środek dnia. Ogromny tłum. Za mną stanął facet. I zaczął mi szeptać do ucha. Złożył mi ofertę. To była kompletnie abstrakcyjna sytuacja. Staje za mną gość, nie mogę się obrócić, nie mogę na niego spojrzeć, a on mi mówi mniej więcej tak: „Weźmiesz dyżur w sylwestra. Zaraz po północy zostaniesz wezwany do morderstwa. Wykonasz tam swoją zwykłą pracę, ale jedno zdjęcie będzie tylko dla mnie. Wyślesz mi je. W zamian dostaniesz pieniądze”. A potem wsunął mi coś ciężkiego do kieszeni płaszcza i zniknął. Wróciłem do domu, wyciągnąłem z kieszeni kopertę, a w niej dziesięć tysięcy franków szwajcarskich. Wpadłem w panikę. Myślałem, że to jakaś mafia. Ale pieniądze były prawdziwe. A ja miałem długi. Więc w końcu zrobiłem, co mi kazał. Kolega, któremu zaproponowałem zamianę dyżuru, nie mógł uwierzyć w swoje szczęście.

– Jak odebrał zdjęcia?

– Nie odebrał. Wysłałem je pocztą na adres banku w Szwajcarii. Instrukcja była w kopercie.

– Co było na zdjęciu?

– Nic szczególnego. Ujęcie było po prostu trochę bardziej artystyczne, obejmujące całe miejsce ekspozycji. Nic więcej.

– Co było potem?

– Potem? Bałem się, że to wyjdzie na jaw, ale nie wyszło, a ja w sumie nie zrobiłem przecież nic złego. Nie byłem nawet śledczym.

– Mam na myśli kolejne lata.

– Już prawie o tym zapomniałem. Ale w listopadzie przyszła do mnie przesyłka. W środku była karta płatnicza na moje nazwisko i wiadomość o treści: „To samo”. Sprawdziłem konto. Było na niej kolejne dziesięć tysięcy. A potem już co roku, na koniec listopada otrzymywałem zasilenie konta na kwotę dziesięciu tysięcy franków, a w tytule przelewu było napisane: „To samo”. To wszystko.

– No to jesteś chyba jedynym Polakiem, który cieszy się ze wzrostu wartości franka szwajcarskiego.

– Raczej nie. Mam mieszkanie za franki. Lichy, przysięgam, że nic więcej nie wiem. Przed tym drugim razem chciałem nawet poinformować o tym przełożonych, ale po pierwsze, musiałbym się przyznać, że już raz to zrobiłem, a po drugie...

– A po drugie, nie chciałeś tracić kasy.

– Moje informacje nic by nie wniosły do śledztwa. Nie dostawałem adresu. Miałem tylko zadbać, bym to ja robił zdjęcia przy sprawie i to wszystko.

– Można było wyśledzić konto w Szwajcarii.

– Nie. Próbowałem przez znajomego adwokata. Myślisz, że nie interesowało mnie, o co w tym chodzi? To jeden z tych banków w rodzaju „tajemnice naszych klientów są u nas bezpieczne, bez miliona nakazów nie podchodź”.

– Chyba nie ma już takiej możliwości. Prawo się zmieniło. Szwajcarskie banki udzielają informacji jednostkom rządowym w ramach walki z praniem brudnych pieniędzy.

– Owszem. Ale tylko przy operacjach finansowych. Zdeponowane dobra to co innego. Nie wiem, do kogo należy skrytka, na którą wysyłam zdjęcia. Z kolei konto, z którego korzystam jest zarejestrowane na mnie, a zasilenie

odbywa się przez wplatomat. Tyle. Dodam jeszcze, że w tym roku coś się zmieniło.

– Co?

– Nie dostałem żadnego przelewu. Nie było zlecenia. I tak wziąłem dyżur. Gdy dostałem wezwanie, udałem się na miejsce i zrobiłem swoje, ale zero kontaktu. To już się prawdopodobnie skończyło.

Lichy milczał. Zastanawiał się nad tym, co usłyszał. Po co mordercy zdjęcia? To można było jakoś wyjaśnić. Chciał podziwiać swoje dzieło. Ale skoro tak, to czy nie mógł je zaplanować tak, by było trochę łatwiej i zdecydowanie mniej ryzykownie? I po co ta wysyłka do Szwajcarii? Można to było zrobić łatwiej.

– Wierzysz mi, Lichy? – zapytał Szachta.

– Na razie.

– Nie powiesz nikomu?

– Na razie. Zbieraj się, jedziemy na Medyków. Nie mam już czasu.

ROZDZIAŁ 9

Szachta wysadził go pół kilometra od bramy uniwersytetu, twierdząc, że nie chce się przypadkiem natknąć na doktor Demarczyk. Coś nieśmiało zasugerował co do pewnej pozamałżeńskiej relacji. Lichy nie chciał tego słuchać, więc po prostu wysiadł.

Zrobiło się jeszcze zimniej. Para z ust była tak intensywna, że po chwili Lichy poczuł się, jakby spacerował we mgle. Miał jeszcze kwadrans, ale nie zamierzał się ociągać. Szybkim krokiem ruszył w kierunku budynku Zakładu Medycyny Sądowej.

Przekroczenie bramy nie stanowiło problemu. Nikt jej nie pilnował. Do budynku również dało się wejść. Jednak zejście do podziemnej części kompleksu odcięte było żelazną kratą i, chcąc nie chcąc, Lichy musiał poczekać, aż ktoś ją otworzy. Usiadł na plastikowym krzeselku pod ścianą i zastanawiał się, czy nie uciąć sobie kilkuminutowej drzemki. Oczy mu się kleiły. Ale za chwilę usłyszał kroki od strony wejścia i w holu pojawiła się reszta zespołu. Modling szedł z Krzywańskim, a kawałek dalej Cyra z Babicz. Lichy odniósł wrażenie, że tych dwoje coś połączyło. Nie obnosili się z niczym takim, ale dało się odczuć jakieś napięcie. Lichy zanotował to sobie na później. Nie miał pojęcia po co. Ale zanotował.

– Cześć – przywitał się Krzywański.

– Cześć – odparł Lichy. Nikt więcej się nie odezwał.

Kilka minut później, dokładnie o godzinie czwartej rano usłyszeli stukot obcasów na wyłożonych ceramiką schodach i z podziemi wychynęła świetlista postać. Tak właśnie Lichy ją odebrał. Miała rude włosy, o które

swoje niemrawe światło rozszczepiała stara lampa wisząca na ścianie klatki schodowej.

Jezus Maria – pomyślał Lichy, spotkał bowiem kobietę swych marzeń. Oczywiście mowa o tych wstydliwych, erotycznych marzeniach, w których facet staje się zaledwie naroślą na własnym penisie, niewolnikiem pożądania, gotowym na wszystko, byle tylko dziubnąć sobie coś z tego stołu obfitości. Doktor Demarczyk miała czterdzieści trzy lata, ale wyglądała na dziesięć lat mniej. Sunęła w ich stronę powoli, z rękami w kieszeniach przepastnego fartucha. Jednak fartuch był rozpięty. Ba, rozchełstany nawet. I wзираł spod niego najwspanialszy dekolt, jaki Lichemu zdarzało się oglądać. W całym swoim życiu naprawdę kochał tylko dwie kobiety. Matki nie wliczał do tego bilansu, bo nawet jej nie znał. Marysia była jego pierwszą. Zaliczył z nią wszystkie bazy, a potem połamał sobie na niej serce. Na własne życzenie zresztą. Jak zawsze. Długo potem za nią wzdychał. Tą drugą i – nie miał wątpliwości – ostatnią w życiu miłością była Róża. Kobieta, której udało się go zmienić. I choć raczej nie na lepsze, to jednak nie było na świecie drugiego człowieka, który wywarłby taki wpływ na całego jego życie.

Marysia i Róża były od siebie bardzo różne, ale jedno je łączyło. Obie miały maleńkie piersi. A Lichy był pod tym względem prymitywny do bólu. Zawsze marzył o wielkich cyckach. Nigdy ich nie doświadczył. Jego życie seksualne ostatnimi laty było raczej w zaniku. Wcześniej udzielał się na tym polu dość aktywnie, ale nawet wówczas nie trafiło mu się nic choćby odrobinę korespondującego z jego fantazjami.

A doktor Demarczyk z nimi korespondowała. Zrozumiał teraz całą tę idiotyczną gadkę Szachty. Tymczasem lekarz sądowa podeszła do kraty i kluczem otworzyła zamek. Stała teraz w świetle. Była piegowata jak mała

dziewczynka. Włosy miała pofalowane, choć być może kręcone, tylko potraktowane prostownicą. Nie uśmiechała się.

– Proszę dokładnie wytrzeć buty – powiedziała, wskazując na grubą wycieraczkę umieszczoną na pierwszym schodku. I głos też miała niezwykły. Trochę chrypliwy, trochę śpiewny. Zupełnie jak nieodżałowana Amy Winehouse, kiedy śpiewała, że próbowali ją wysłać na odwyk, ale się nie zgodziła. Dlaczego, kurwa mać, nie zgodziłaś się na odwyk, Amy?

Doktor Demarczyk odwróciła się i ruszyła w dół, a oni za nią. Lichy usiłował się zorientować, czy na reszcie też zrobiła takie wrażenie, ale nikt nie dał nic po sobie poznać. Poszli za nią. W powietrzu unosił się delikatny zapach jej perfum. Lichy nie znał się na perfumach. Nie potrafił odróżnić jednych od drugich. Wiedział tylko, czy mu się podobają, czy nie. Te mu się podobały, choć zdawały się trochę za delikatne dla tej kobiety.

Prosektorium pogrążone było w ciemności. Doktor Demarczyk pstryknęła palcem w przełącznik, jarzeniówki zaterkotały, zamigwały i w końcu zalały pomieszczenie nieprzyjemnym, technicznym światłem. Jedna wciąż migiała, powodując u Lichego jakiś rodzaj irracjonalnego lęku. *À propos* irracjonalności: dlaczego zgasiła światło? Przecież chwilę wcześniej tu była. To pytanie jednak nigdy nie zdążyło zostać zadane. Bo odpowiedź pojawiła się wraz ze światłem. Wnętrze było ascetycznie czyste. Posadzka błyszcząca. Stoły sekcyjne w pomieszczeniu lśniły srebrem, jakby dopiero wyjechały z fabryki. To samo wagi autopsyjne i stojący pod ścianą wózek służący do transportu zwłok ze znajdującej się w sąsiednim pomieszczeniu chłodni. Pośrodku sali, na jednym z nieskazitelnych stołów leżało ciało przykryte białym prześcieradłem. Lichy podświadomie odnotował, że przykryte jest bardzo równo. Dokładnie tyle samo materiału po lewej i po prawej stronie ciała. Spod prześcieradła nic nie wystawało, choćby niewielki skrawek dużego palca ofiary. Obok stał stolik

z narzędziami. I choć Demarczyk niewątpliwie używała ich do pracy tej nocy, były nie tylko czyste, ale również poukładane od najmniejszego do największego i wyrównane w poziomie.

Obsesyjna pedantka – pomyślał Lichy z przestraczem. Bał się ludzi, którymi kierują ich kompulsje. Sam do takich należał.

– Proszę tego nie dotykać! – krzyknęła doktor do Cyry, który wziął już sobie igłę sekcyjną w kształcie litery „S”, największą, jaką znalazł, i podziwiał kunszt metalurga.

– Przepraszam – odpowiedział nieco speszony Cyra i chciał odłożyć igłę na biurko, ale Demarczyk zagrzmiała ponownie.

– Co pan wyprawia, do cholery? Nie tam. Do wanienki. Będę musiała to znowu zdezynfekować. I proszę, żeby pan wytarł buty.

– Wytarłem.

– Nie, nie wytarł pan. Nie jestem sprzątaczką, żeby tu latać z mopem.

– Czy można silikonowe rękawiczki? – poprosił Lichy.

– Nie będą panu potrzebne – odparła Demarczyk. – Nie dotykamy niczego, jasne? Niczego. A teraz zapraszam.

Demarczyk oczywiście rękawiczki miała i teraz je założyła, uwalniając niewielki obłoczek talku. Sięgnęła do włącznika dużej lampy sekcyjnej, ulokowanej dokładnie nad stołem ze zwłokami. Naraz zrobiło się zupełnie jasno. Doktor powolnym ruchem zsunęła z ofiary prześcieradło, nim jednak upadło, złożyła je w kostkę i położyła obok narzędzi.

Martyna głośno wciągnęła powietrze. Ona jeszcze nie widziała tego ciała. Pozostali tak. Jednak nawet Lichy był zdumiony tym, co ujrzał. Ciało wyglądało jak bezgłowy manekin wyprodukowany dla jakiegoś butików z bielizną erotyczną, i to tą droższą. Co do kształtu i proporcji, ciało było dokładnie tym, czego pożądało trzech na czterech heteroseksualnych facetów. Ten czwarty pożądał raczej ciała stojącego obok. Nie tak

idealnego, nieco być może zbyt obfitego, ale zgrabnego i przede wszystkim żywego.

Joanna Lauda nie miała głowy, a jej ciało było idealnie pokryte zieloną farbą.

– Nie zdecydowałam się jeszcze, by ją umyć – powiedziała doktor. – Farba stwardniała i mocno przywarła do skóry. Obawiam się, że w trakcie usuwania zniszczę tkankę. Skupiłam się na innych rzeczach. Podejrzewam, że miała około metra i siedemdziesięciu dziewięciu centymetrów wzrostu. Nie ma jej głowy, więc to szacunki. Pięćdziesiąt kilo wagi.

– Ja pierdołę, jaka chuda. – Martyna westchnęła.

– Piersi dwukrotnie powiększane. Dwukrotnie zabieg liposukcji – dodała Demarczyk, puszczając oko do Martyny i był to pierwszy, a zarazem ostatni ludzki odruch w jej wykonaniu. – Ciało silnie eksploatowane seksualnie. Powiedziałabym, że lubiła dość abstrakcyjne zabawy.

– Jakie? – zapytał Krzywański, zanim zdążył pomyśleć.

– Naprawdę chce pan to wiedzieć? – Demarczyk podniosła jedną brew, a potem zdmuchnęła kosmyk włosów, który zsunął jej się na oko. – Proszę bardzo. Seks waginalny, analny i oralny bardzo często, powiedziałabym, że od dwóch do pięciu razy na dobę. Dodatkowo fisting, masochizm seksualny, bo na pewno była bita, i to drastycznie, oraz asfiksjozofilia. Prócz tego mam również podejrzenie, że uprawiała pissing.

– Pissing? – Modling się zdziwił.

– Urofilia. Piła mocz partnerów seksualnych.

Więcej pytań już nie padło, ale Demarczyk kontynuowała:

– Znalazłam w niej trochę azotowych produktów przemiany materii. Choć niewiele, bo generalnie niewiele się da w niej znaleźć. Zaraz do tego przejdziemy, ale najpierw jedno spostrzeżenie. Zbadałam dokładnie cięcie.

Głowa została oddzielona od tułowia pomiędzy kręgami C3 i C4. Powierzchnie cięcia kręgów głowy i tułowia niemal idealnie do siebie pasują.

– Ale przecież ta głowa nie należy do ofiary – zauważyła Martyna.

– Otóż to – potwierdziła Demarczyk. – W mojej opinii bezdyskusyjnie dowodzi to dwóch rzeczy. Po pierwsze, tego, że do dekapitacji obu ofiar na pewno użyto tego samego narzędzia, to jest gilotyny o skośnym ostrzu, a po drugie, że niemal na pewno dokonała tego ta sama osoba. Tak samo ustawiła sprzęt, tak samo ułożyła ciało. Żałuję, że nie zrobiłam tego badania przy poprzedniej ofierze. Niestety, nie przyszło mi to do głowy. Ale żaden z moich poprzedników też o tym nie pomyślał, więc to chyba nie było bardzo oczywiste.

– W porządku, pani doktor – powiedział Krzywański. – Takie potwierdzenie jest oczywiście cenne, ale o tym, że to jeden sprawca, i tak już wiedzieliśmy.

– Myli się pan, inspektorze, i to bardzo. Anormatywność tej zbrodni względem poprzednich jest tak rozległa, że na pana miejscu poważnie zastanawiałabym się, czy to aby na pewno jeden i ten sam sprawca. Ja panu oszczędziłam tych rozważań.

– Dziękuję – powiedział Krzywański.

– A teraz przejdźmy do tego, co naprawdę interesujące – powiedziała Demarczyk, odwracając się do stolika i podnosząc z niego dwa haki, które wprawdzie zapewne wiele już przeszły, ale wyglądały zupełnie jak nowe. Zbliżyła się do ciała, przyłożyła haki nieco poniżej mostka i rozchyliła na boki. Żebra cicho zaklekotały, pozbawione przeciętej już chrząstki. Lichy się wzdrygnął. Gruba, gęsta farba sprawiła, że nie zauważył cięć, a przecież oczywiście musiały tam być.

– Nie wyciągałam jeszcze narządów – uprzedziła doktor Demarczyk. – Badam je in situ. Zaraz zobaczycie dlaczego.

Zbliżyli się jeszcze trochę i naraz zapanowała konsternacja. Modling zbladł. Babicz odsunęła się od ciała i wyglądała, jakby chciała wymiotować. Lichy wpatrywał się w otwartą klatkę piersiową, nie mogąc uwierzyć. Joanna Lauda nie tylko z zewnątrz była pomalowana na zielono.

– Mówiąc wprost – powiedziała Demarczyk – uważam, że morderca wytoczył jej krew i zastąpił farbą o podobnej gęstości.

– Co za chory skurwysyn – wyszczała Martyna. – Po chuj on to zrobił?

– Dobre pytanie – odparła doktor. – Jeśli było tak, jak myślę, a wiele na to wskazuje, morderca musiał poświęcić mnóstwo czasu na tę robotę.

– To w ogóle możliwe? – zapytał Cyra.

– Jak widać – odparła Demarczyk. – Choć nie mam pojęcia, jak tego dokonano. Mowa o masywnej transfuzji. To musiała być jakaś potężna pompa. Przy zatrzymanym sercu oczywiście nie zadziała zwykła grawitacyjna metoda.

– Czy myśli pani, że mordercą może być lekarz? – zapytał Cyra, a Babicz natychmiast przeskanowała oczami twarze pozostałych, by sprawdzić, czy przypadkiem nie wyczytali z tego pytania zbyt wiele. Najwyraźniej jednak nie wyczytali i przewaga teamu Cyra-Babicz nad peletonem się utrzymała.

– Myślę, że to bardzo prawdopodobne – odparła Demarczyk. – Lekarz, ratownik, może pielęgniarz. Ale w pierwszej kolejności szukałabym urzędnika.

– Ja bym w pierwszej kolejności poszukał motywu – włączył się Lichy – bo za nic nie potrafię zrozumieć, po co właściwie to wszystko. Mowa o naprawdę dużym odstępstwie, w porównaniu z poprzednimi latami. Mógłbym zrozumieć pomalowanie ciała na zielono. Jeśli ktoś zabija człowieka i odcina głowę, z pewnością doświadcza wielu różnych odchyłeń.

Pomalowanie ciała jest łatwe, można przyjąć, że to pewnego rodzaju ozdoba, którą będzie można podziwiać. Ale pomalowanie wnętrzości? Bo przecież w sumie do tego się wszystko sprowadza. Morderca pomalował jej flaki. Po co?

– Ma pan jakiś pomysł? Przepraszam, kim pan w ogóle jest?

– Komisarz Rafał Lichy. A pomysł? Może nie pomysł, a przemyślenie. Takie mianowicie, że z krwi można trochę wyczytać. Rodzaj trucizny, ewentualne choroby czy ogólną kondycję ofiary. Bez krwi nie da się przeprowadzić cytometrii. Być może morderca chciał coś ukryć.

– Być może – przyznała Demarczyk. – To już pewnie pana zadanie, by wywnioskować, jakie istnieje powiązanie ze sprawą. Bo na pierwszy rzut oka nie ma to żadnego sensu. W poprzednich morderstwach wykrywaliśmy w krwi zarówno fentanyl, jak i na przykład wysokie stężenia białek, świadczące o chorobie nowotworowej. Dlaczego tym razem morderca miałby to ukrywać?

– Bo tym razem coś poszło nie tak. Być może. A idąc dalej tym tokiem rozumowania, być może pokrycie farbą ciała miało ten sam cel? Ta farba uniemożliwia mnóstwo rzeczy. Badanie mechanicznych uszkodzeń skóry, plam opadowych, temperatury, zmian rozkładowych, bo farba najwyraźniej nieźle konserwuje zwłoki. O entomologii sądowej nawet nie wspomnę.

Przerwał, bo zdał sobie sprawę, że Demarczyk przygląda mu się z zainteresowaniem. Poczul się trochę onieśmielony. Miała dość mocny makijaż. Dostrzegł odrobinę szminki na jej zębach. Najwyraźniej nie potrafiła się wyzbyć odruchu przygryzania wargi, a jemu kojarzyło się to jednoznacznie. Róża przygryzała dolną wargę, kiedy...

– Rozumiem, że wobec powyższego ustalenie przyczyny zgonu jest niemożliwe – powiedział Krzywański i Lichy był za to naprawdę

wdzięczny.

– Utrudnione – sprecyzowała Demarczyk. – Natomiast po raz pierwszy wiemy na pewno, że dekapitacja nastąpiła *post mortem*. Nie dałoby się przepompować krwi przy uciętej głowie. Podejrzewaliśmy to, ale teraz mamy dowód.

– Czy to wszystko, pani doktor? – zapytał podinspektor.

– Na tę chwilę.

Dochodziła piąta, gdy opuścili podziemia kompleksu przy Medyków. Niepocieszeni, bo nie dowiedzieli się za dużo. Ale przynajmniej pojawiły się nowe pytania, a tam, gdzie są nowe pytania, jest również postęp.

Lichy przysypiał w samochodzie Krzywańskiego, a tymczasem GOP budził się do życia. Trochę za późno. Trochę zbyt nerwowo. Obżarł się na święta, przespał tydzień pod ciepłą kołdrą, a ostatniej nocy wypił jak zwykle za dużo jedynie po to, by pierwsze godziny Nowego Roku spędzić nad kiblem, wyrzucając wspomnienia. I dobrze. Nie było czego pamiętać. Czas na nowe, lepsze czasy. Niepowodzenia się skasowały. Teraz znów mamy wielkie plany, znów mamy wielkie marzenia, znów mamy to niezatapialne „w tym roku na pewno się uda”, a za trzysta sześćdziesiąt pięć dni znów wszystko wyrzucamy wraz z na wpół przetrawionym alkoholem. Wino będzie wprawdzie o rok starsze, ale my też.

Lichy miał ochotę się napić.

ROZDZIAŁ 10

Ruslan Błagojew wstał trochę wcześniej niż inni. Owszem, urodził się w Gdańsku i czuł się Polakiem, ale po ojcu zostało mu umiłowanie Allaha, więc swoje musiał rano odkłęczyć. Nie jest aż tak trudno być muzułmaninem w Polsce, ale tylko pod warunkiem, że umie się przestrzegać pewnych zasad. Na przykład takich, by nie rzucać się w oczy podczas modlitwy. Dlatego Błagojew modlił się rano, kiedy wszyscy jeszcze spali. Zresztą, *fadžr* i tak powinna być odmawiana przed wschodem słońca.

Rozłożył więc na podłodze sypialni swoją starą *sadżadżę*, kobierzec modlitewny, który miał za zadanie odgrodzić go od podłogi i zapewnić mu czystość rytualną. Problem w tym, że podłoga była czysta, bo codziennie ktoś ją mył, a jego *sadżadża* była tak brudna, że ledwo dało się rozpoznać *mihrab* wydziergany na froncie. No nieważne.

Modlił się nieśpiesznie, ale i bez zbędnego ociągania. Jakby sam sobie chciał udowodnić, że choć jest gorliwym muzułmaninem, to jednak nie fanatykiem, który przez większość swojego życia chciałby przebywać z Bogiem. Ot, *arkan ad-din*, obowiązki wiary.

Gdy skończył, zwinął *sadżadżę* w rulon, schował do pokrowca i wepchnął pod łóżko. Wówczas zorientował się, że nie jest sam.

Cyra siedział na krześle przy drzwiach. Prawdopodobnie już od jakiegoś czasu. Ruslan poczuł się nieswojo i chyba nieświadomie dał to po sobie poznać, bo Cyra wstał i uniósł ręce w obronnym geście.

– Przepraszam, przepraszam – powiedział. – To po prostu ciekawe.

– No... Nie ma problemu – odpowiedział niepewnie Rusłan. – My się nie wstydzimy, tylko...

– Tylko w Polsce lepiej się ukryć przed wzrokiem katolickich mudzahedinów.

– He? Nie, nie powiedziałem nic takiego. Polska to wspaniały kraj i naprawdę nie mam nic do...

– Rozumiem, rozumiem. Przepraszam jeszcze raz. Chciałem z tobą porozmawiać, więc przyszedłem. Nie zamknąłeś drzwi.

– W porządku. Nic złego się nie stało. W krajach islamskich ludzie modlą się zbiorowo i nikt się nie przejmuje oczami dookoła. Kiedy przyjechaliście? Musiałem jeszcze spać.

– Koło piątej.

– Coś ciekawego?

– Krzywy zda raport z sekcji na spotkaniu o dziewiątej. Ale w skrócie: nic, co by nas popchnęło do przodu.

– Jak zwykle.

– A ty?

– Ja?

– Masz coś?

– Dlaczego tak uważasz?

– Mam wrażenie, że jesteś zaaferowany. Oczy masz roziskrzzone.

– Pieprzysz, Cyra. Nie wmówisz mi, że coś takiego widać. To jakieś literackie wymysły.

– A jednak coś masz.

Rusłan nie odpowiedział. Wpatrywał się Cyrze prosto w oczy. Rzucił mu wyzwanie. Ale poległ z kretesem i się roześmiał.

– Wiedziałem. – Cyra również się uśmiechnął. – Opowiadaj.

– Opowiem na spotkaniu.

Cyra wciąż się uśmiechał, ale jego twarz stężała. Tak w każdym razie zdawało się Rusłanowi, ale może to też był jedynie literacki wymysł. Wielki policjant wstał z krzesła, podszedł do drzwi i zamknął je. Nie musiał tak robić. Wystarczyłoby, żeby się odchylił na swoim krześle i machnął swoim potężnym łapskiem, a drzwi zatrzasnęłyby się z hukiem. On jednak wykonał całą etiudę, oto bowiem nadciągał punkt przełomowy. Moment, w którym wszystkie światła skupiły się na nim, a on miał do wygłoszenia pierwszą z kluczowych kwestii w sztuce.

Podniósł krzesło i przeniósł je bliżej Rusłana. Usiadł i spojrzał polskiemu Dagestańczykowi prosto w oczy. Rusłan wiedział, że Cyra, w przeciwieństwie do niego, nie pokpi sprawy i w tym starciu nie ma żadnych szans.

– Jak długo już nad tym pracujesz? – zapytał Cyra.

– To moje czwarte morderstwo.

– Czwarte. I co dotąd wiesz?

– Co wiem?

– Czego się dowiedzieliście. Macie osiem, a prawdopodobnie dziewięć morderstw w ciągu siedmiu lat. I co o nich wiecie?

– No... Całkiem sporo...

– Co? Co dokładnie?

– O co ci chodzi, Cyra? Czytałeś akta. Są bardzo obszerne.

– Nic w nich nie ma. Nic nie macie. Z każdym rokiem upadały kolejne wersje śledcze, a wy co sylwestra siedzicie w tej norze i czekacie na kolejne zabójstwo, z nadzieją, że może tym razem coś się uda znaleźć. Uważasz, że tak powinno być prowadzone śledztwo?

Rusłan nie odpowiedział.

– Krzywy tego nie udźwignie – powiedział Cyra po krótkiej przerwie. – On jest właściwie nikim. Znam wiele osób w branży i nikt o nim nie słyszał. Dostał sprawę życia i czeka na kolejne morderstwa. Gdyby był kimś, to już dawno zostałby inspektorem. Są w policji generałowie młodszy od niego.

– Nie chcę się wypowiadać na ten temat. Krzywy to dobry dowódca.

– Posłuchaj. Ja wiem, że to świetny facet. Taki trochę tatuś dla naszej bandy wykolejeńców. Sprawiedliwy, uczciwy i tak dalej. Ale my się tu nie zabunkrowaliśmy w celach towarzyskich, tak? Musimy znaleźć zwyrodnialca, który zabił dziewięć kobiet, jeśli wliczać głowę. Jeśli wliczać, bo przez siedem lat nawet nie ustaliliście, co to za głowa, do kogo należała i jakie jest jej znaczenie w całej tej sprawie. Krzywy tego nie ogarnia. Zresztą, jak bardzo zdesperowanym trzeba być, żeby ściągnąć do zespołu takiego człowieka jak Lichy? My wszyscy jesteśmy ofiarami swoich poczynań, mamy swoje za uszami. Ale on? Widziałeś go pierwszego dnia? Ledwo się trzymał na nogach. Dobrze, że nam nie narzygał.

– Ale znalazł Traficara. Kilka chwil po morderstwie.

– I co z tego? Jestem pewien, że sam byś go znalazł. Może zajęłoby to trochę więcej czasu, ale przecież poszedłbyś śladem komórki ofiary.

– No... Nie poszedłbym, bo jej nigdzie nie znaleźliśmy. Morderca musiał ją zniszczyć po zakończeniu wynajmu Traficara.

– Pomyśl o sobie, Ruslan. Przez cztery lata Krzywy nie potrafił nawet zadbać, by cię oficjalnie przywrócono do służby.

– Nie można mnie przywrócić.

Cyra tylko się roześmiał.

– Można? – zapytał ostrożnie Ruslan. Nie miał pewności, czy ten dziwny człowiek go nie wkręca. Konstytuował się właśnie nowy status quo. I to nie on był nowym samcem alfa w grupie. Musiał przyznać, że imponowała mu charyzma Cyry, choć z pewnością nie potrafiłby w pełni

zaufać temu człowiekowi. Wiedział, że jest rozgrywany, ale wierzył, że ma nad tym kontrolę. Na razie.

– Wszystko można – powiedział Cyra. – Tylko trzeba mieć pomysł, chęci i trochę się postarać. Krzywy to fajny chłop. Ale to dla niego korzystne, byś był tym, kim jesteś. Ma cię w garści, no nie? Nic bez niego nie znaczysz, bo jeśli cię usunie z zespołu, to zostaniesz z niczym.

– A ty? Byłbyś lepszy?

– Ja znam ludzi, którzy mogliby cię przywrócić do służby. Ale przede wszystkim, zamierzam schwytać tego skurwysyna. I nie za rok, dwa albo trzy, tylko za tydzień.

– Za tydzień?

– Tak. Za tydzień chcę go mieć pod kluczem. Nikogo już nie zabije. Ale żeby tak było, potrzebuję ludzi. Zaufanych fachowców. Jak na razie mam w zespole Łysą. Jest dużo lepsza niż Krzywy. Rozwiązała niejedną sprawę.

– Ale też jeszcze nic nie działała.

– Bo Krzywy ją ogranicza. Nie widzisz tego? Sam decyduje, co jest ważne, a co nie. Powiem ci w tajemnicy, że Łysa i ja w jeden dzień dowiedzieliśmy się więcej niż wy wszyscy przez siedem lat.

– Naprawdę? Co?

– Muszę wiedzieć, czy ci mogę zaufać, Rusłan. Czy chcesz pracować za mną.

– A co z Krzywym?

– On nic nie musi wiedzieć. Będzie dalej robił swoje. A my będziemy robić swoje. Proste.

– No nie wiem. To trochę nielojalne.

– Wobec kogo chcesz być lojalny, Rusłan? Wobec podstarzałego psa bez sukcesów, czy wobec rodzin dziewięciu zamordowanych kobiet, które

Krzywański od lat okłamuje?

Ruslan nie znalazł na to odpowiedzi, więc milczał.

– Powiedz mi, co odkryłeś – poprosił Cyra, patrząc Ruslanowi prosto w oczy. Wiedział, że wygrał. Że usłyszy wszystko, czego chce.

– Dobra – szepnął Ruslan. – Dobra. Więc tak. Przejrzałem billingi ofiary. Znalazłem kilka nieznanych numerów. Sprawdziłem, skąd się logowały. I jeden z nich mnie zaciekawił. Przyjrzałem mu się dokładnie, i odkryłem, że należy...

– Do męża poprzedniej ofiary – uzupełnił Cyra.

– Co? Skąd... – Ruslan się zdziwił.

– Jak powiedziałem, nie opierdalamy się w tym śledztwie. My już to wiemy od wczoraj. Wiemy też, że Lauda i Ślązak utrzymywali kontakty seksualne. Całkiem niedawno.

– I całkiem długo. Pierwsze połączenia pomiędzy tymi numerami miały miejsce jeszcze przed śmiercią żony Ślązaka, przeszło rok temu. Krótka mówiąc, zdradzał ją. Aha, ten numer, z którego się kontaktował z Laudą, to nie był jego stały numer. Komórka na kartę. Tajna.

– To nam rodzi kilka ciekawych koncepcji, jeśli chodzi o motyw. Lauda mogła zabić Rólkę, bo chciała mieć jej męża dla siebie. Ale to nie tłumaczy, co stało się z Laudą. Natomiast Ślązak mógł zabić Rólkę, żeby zrobić w swoim życiu miejsce dla nowej kobiety, a potem zabić Laudę, gdy ta już mu się znudziła.

– Ale to wszystko nie tłumaczy, co się stało z poprzednimi ofiarami.

– Zostawmy to na później. Coś jeszcze?

– Tak. – Ruslan się uśmiechnął. Chyba w końcu uwierzył, że zaczyna być skutecznym rozgrywającym w tej dziwnej drużynie. – Te kontakty urwały się zupełnie nagle trzy dni przed śmiercią Laudy. Rozmawiali ze sobą bardzo dużo. Kilka razy dziennie i niekiedy rozmowy te trwały po

kilka godzin. A potem nic. Zero kontaktu. Przyjeliśmy, że Lauda zniknęła trzy dni przed śmiercią. Gdyby moja kobieta zniknęła, to pewnie dzwoniłbym do niej milion razy, zanim zgłosiłbym to na policję. Ślżak niczego nie zgłosił, co w sumie łatwo zrozumieć, jeśli z jakiegoś powodu utrzymywali tę sytuację w tajemnicy. Ale też nie dzwonił. Ona zniknęła, przestała się odzywać, a on nic.

– Zupełnie jakby wiedział, że nie ma po co.

– No właśnie.

– Widzisz? Świetna robota. Popychamy to do przodu, ale na spotkaniu ani słowa reszcie.

– To co mam powiedzieć?

– Że nic szczególnego nie znalazłeś. Nikogo nie powinno to zdziwić. Ostatecznie brak postępów to coś, do czego ta grupa jest przyzwyczajona.

Potem już o tym nie rozmawiali. Poszli na dół, każdy zrobił sobie kawę. Ruslan wybrał cappuccino, a Cyra – czarną bez cukru. Nawet w tym musiał być najtwardszym kamyczkiem w ogródku. Rozmawiali o prostych sprawach, Ruslan szybko zauważył, że gada im się bardzo dobrze. A tyle złego słyszał o tym człowieku. Pewnie wymyślali to ludzie, którzy nie potrafili z Cyrą konkurować. A musiałyby być ich sporo, bo jak konkurować z kimś takim?

Spotkanie zaczęło się dokładnie o dziewiątej. Krzywański zreferował informacje od doktor Demarczyk, uwrażliwiając resztę zespołu na odstępstwa od poprzednich morderstw. Ruslan opowiedział o swoich badaniach, ale konkretów nie podał. Mówił językiem, którego i tak nie rozumieli. Coś o protokołach i serwerach plików. Nikt go nie słuchał i być może o to właśnie chodziło. Na koniec powiedział, że był na wysypisku, ale nic nie znalazł. Kamery nie obejmowały drogi, a w nocy był tylko jeden

stróż. Cyra opowiedział o przesłuchaniu Marii Laudy, stawiając więcej pytań niż odpowiedzi. Modling w ogóle nie zabrał głosu.

– Lichy? – zapytał Krzywański. – Coś od ciebie?

– Nie bardzo – odparł Lichy. – Tylko jedna rzecz, na pewno już przez was sprawdzana. Mianowicie kwestia nowotworów. Trzy ofiary leczyły się onkologicznie, tak?

– Zgadza się – odparł podinspektor. – Sprawdzaliśmy to. Nie znaleźliśmy powiązań, a pozostałe ofiary nie były chore.

– Myślę, że ewentualne powiązania mogą być głęboko ukryte, szefie.

– Co przez to rozumiesz?

– To, że przecież nie musiały zostać wyniesione do sfery publicznej. Nie musiał wiedzieć o nich nikt, kto mógłby o tym później zaraportować. To dość intymne sprawy.

– Oś czasowa też się nie zgadza – przypomniał Modling. – Druga, czwarta i szósta ofiara chorowały na raka. To dystans czterech lat. Raczej mało prawdopodobne, że się znały, szczególnie, że sprawdzaliśmy wzajemne interakcje ofiar.

– Chodzi mi o to – ciągnął Lichy – że skoro mamy trzy ofiary z nowotworami, to gdzieś się musiały leczyć. Możliwe, że w tym samym szpitalu, bo nie mamy tu zbyt wielu placówek onkologicznych.

– Akurat u nas trochę ich jest – powiedział Krzywański. – Gliwice i Katowice.

– I Chorzów – dodała Babicz. – I jeszcze Bielsko-Biała. Tam też mogły trafić.

– I nie sprawdziliście tego? – powiedział Lichy. – To nadal nie tak wiele, by nie mogły trafić do tego samego szpitala. Wszystkie mogły tam kogoś poznać. Może leczył je ten sam lekarz? Może brały udział w jakimś wspólnym projekcie społecznym? Może ktoś je tam odwiedzał?

– Może tak, może nie. – Krzywański westchnął. – My dotąd nic takiego nie znaleźliśmy.

– Ale nie przyłożyliście się do tego za bardzo – odparł Lichy. – Skoro nie wiecie nawet, w jakich szpitalach się leczą.

– Uznaliśmy, że to przypadkowa zbieżność – powiedział Krzywański. Lichy nie dostrzegł na jego twarzy choćby cienia grymasu. Nie odebrał słów Lichego jako konfrontacji. A może był już za bardzo zmęczony.

– Chciałbym jednak sprawdzić.

– Myślę, że to strata czasu i wolałbym, żebyś zajął się innymi rzeczami.

– Na przykład czym?

W pomieszczeniu od pewnego czasu panowała cisza. Zespół przysłuchiwał się tej wymianie, a podinspektor w końcu zrozumiał, że znalazł się pod presją. W dodatku paskudnie się wystawił, bo co właściwie mógł teraz odpowiedzieć? Gdyby wiedział, czym ma się zająć jego zespół, to na pewno by się tym zajmowali. Ale Lichy nie chciał konfrontacji, więc nie pozwolił ciszy za długo trwać.

– Szefie – powiedział – jesteśmy w trudnej sytuacji. Mamy bardzo sprytnego zbójcę. Trudno nam znaleźć cokolwiek. A tu trafia się coś, co łączy trzy ofiary. To naprawdę sporo. Wystarczająco dużo, by się temu przyjrzeć. Jakakolwiek informacja, którą z tego wyłowimy, może być na wagę złota.

Krzywy milczał, wpatrując się w swojego najnowszego pracownika i zastanawiając, czy przypadkiem nie zrobił błędu, podnosząc tego człowieka z częstochowskiej ulicy. Ale szybko przyszła odpowiednia konkluzja. Nie. Nie zrobił źle. Cała ta grupa miała służyć wyłącznie jednemu. Złapaniu mordercy. Tylko to się liczyło, a Lichy miał rację. Nie przyłożyli się do tego wątku. Czy stać ich było obecnie, by ignorować cokolwiek? Krzywy wiedział, że nie. Utarczek z tym młodym pyskaczem się

nie bał. Nie bał się również tego, że pracując z tak utalentowanym śledczym, sam okaże się wyjątkowo mało sprawny. Nie znalazł tego mordercy przez tyle lat. Każda kolejna ofiara obciążała jego sumienie i jego marną pozycję w firmie. Krótko mówiąc, i tak był już skończony. I chciał jedynie tego samego, co Modling. Dopaść klienta, zapuszkować i odejść na emeryturę.

– Dobra – powiedział. – Sprawdź to i jeśli coś ustalisz, daj znać. Kiedy zamierzasz się tym zająć?

– Jeszcze nie wiem. Pewnie jutro.

– W porządku. Chcieliście dziś z Ryśkiem jechać do Herbów, tak?

– Tak.

– To jedźcie. Rozmawiałem z prokuratorem Dobą, nie ma nic przeciwko. Ja też nie, choć nie mam pojęcia, co nowego po tylu latach moglibyście wyciągnąć od Kowalczyka.

– Ja też nie mam pojęcia – przyznał Lichy. – Ale to był pierwszy podejrzany i sporo na niego wskazywało. A nawet bardzo dużo. To ogólnie dziwna sprawa, więc nie zaszkodzi trochę pogadać. Może po latach stracił czujność i się z czegoś wypruje.

Krzywański nie odpowiedział. Modling nie dodał nic od siebie i spotkanie dobiegło końca.

ROZDZIAŁ 11

Wieczorem bałaby się tu przyjechać. Bywała wcześniej na Szombierkach, ale w północnej części dzielnicy. W tej cywilizowanej. Na Witosa się nie zapuszczała i nigdy by tego nie zrobiła, gdyby nie... No właśnie. Gdyby nie co? Co właściwie robiła? Co próbowała osiągnąć? Albo udowodnić. I komu?

Liliana Wejhert wjechała swoim BMW w kolorze thundernight, a bardziej po ludzku po prostu śliwkowym, pomiędzy sypiące się familoki i poczuła, że wszyscy na nią patrzą. Czy podobało im się jej auto? A może po prostu nie lubili tu obcych? I czy w ogóle patrzyli? Może to strach podpowiadał jej takie obrazy. Było zimno. Pokładowy termometr pokazywał minus pięć stopni, a wiedziała, że zwykle zawyża o przynajmniej jeden. Rozejrzała się i nie ujrzała nikogo. Tylko długi, biały i wyjątkowo nierówny asfalt, po obu stronach zastawiony samochodami.

Trochę uciekało to jej BMW. Na ulicy był lód. Jechała wolno, rozglądając się za odpowiednim numerem. Teraz zwolniła jeszcze bardziej. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, była kolizja z którymś z lokalnych strucli.

Niskie, trzykondygnacyjne budowle z czerwonej cegły ciągnęły się po obu stronach ulicy. Jak zwykle zamalowane wszelkiego rodzaju mądrościami w rodzaju „Młodzi gniewni pojebani” albo „Jebać Seler”, kimkolwiek był Seler. Rozbawiło ją „Witosa wita”. „HWDP” było tak powszechne, że nawet go nie zauważała. Zauważyła natomiast, że na co drugim budynku demonstrowano przywiązanie do bytomskiej Polonii i to sprawiło jej przykrość. Jej dziadek był kibicem Szombierek, które najwyraźniej nie istniały już nawet we własnej dzielnicy. Uwielbiała tego

starego górnika, a wspomnienia z nim związane zaliczały się do kategorii tych najcieplejszych w życiu. Nie przeszkadzało jej, że dziadek zawsze śmierdział wódką. W tamtym czasie uważała, że tak właśnie musi być. Że dziadek musi śmierdzieć wódką i węglem, którego pomimo narzekań babci nigdy nie udało mu się z siebie zmyć. Górnictwa nie można z siebie zmyć – mawiał wtedy. Górnikiem jest się zawsze. I na szycie, i przy rodzinnym obiedzie, i przy picciu wódki z kompanami.

GPS poinformował ją, że musi wjechać w podwórko, a ona wzdrygnęła się na samą myśl, że miałyby zjechać z głównej ulicy. Ale jak się powiedziało „ja”, to trzeba powiedzieć też „pierdołę”, więc włączyła kierunkowskaz i wjechała między dwa familoki. Droga wiodła do niewielkiego skweru, na którym stały dwa kolejne budynki. Nawet nie przy ulicy, tylko pośrodku ubitej ziemi. Na ścianie pierwszego z nich wisiała tablica z numerem, którego szukała. W odróżnieniu od innych te dwa były otynkowane, co jednak dodawało im niewiele prestiżu. Tynk odpadał całymi płatami, a budynek sprawiał wrażenie, jakby się miał zaraz zawalić. W tym rejonie miasta szkody górnicze musiały być szczególnie dokuczliwe.

Zaparkowała Betty w miejscu, które być może było parkingiem. Wywnioskowała to po tym, że stały tam inne auta. Wysiadła i teraz dopiero poczuła, jak zimno jest na dworze. Zaklęła szpetnie, jakby usiłując dopasować wokabularz do klimatu dzielnicy, po czym szybkim krokiem ruszyła ku wejściu. Przeszła pod zardzewiałą, pamiętającą zapewne jeszcze czasy Wizji TV, anteną satelitarną, minęła wielki napis „Jebać policję” i stanęła przed drzwiami wejściowymi. Tu odpadł jej jeden z problemów. Bała się, że Schmidt, kiedy usłyszy przez domofon, kto do niego przyszedł, nie wpuści jej na klatkę. Ale domofonu nie było. Drzwi też nie. Więc po prostu weszła. Odruch wymiotny pojawił się natychmiast. Fetor moczu był

nie do opisania. Dlaczego, do cholery, na tych klatkach zawsze śmierdzi moczem? Ludzie bywają biedni. Bywają głodni. I bywają brudni. Ale dlaczego sikają na klatkach schodowych?

Zasłaniając usta i nos, wbiegła na ostatnie piętro. Drewniane schody skrzypiały i gdyby nie ten smród, zapewne stąpałaby znacznie ostrożniej. Nikt nie pomyślał o tym, by klatkę otynkować. Stare cegły sypały się ze ścian, przez co schody pokryte były pomarańczowym pyłem. Światło oczywiście nie działało. Budynek tonął w mroku.

Dotarła w końcu na górę i zapukała do drzwi, których szukała. Przez chwilę nic się nie działo, a potem usłyszała szuranie nóg po podłodze. Wizjera nie było, a gospodarz nie zapytał, kto raczył go odwiedzić. Po prostu szcęknęła zasuwą i drzwi się otworzyły. Niezbyt szeroko, ale na tyle, by Wejhert zrozumiała, że nie ma w nich łańcucha.

– Słucham? – wychrypiał Schmidt. Liliana od razu go poznała. Sprawdziła w internecie, jak wygląda. Ale zaskoczyło ją, jak nędznym człowiekiem się stał. Był maleńki. Miał może z metr siedemdziesiąt wzrostu i ważył zapewne mniej niż drzwi, o które się opierał. Twarz miał czerwoną i pooraną pijackimi bruzdami. Cerę tak ziemistą, że jego twarz niemal zlewała się ze ścianami klatki schodowej. Włosy i zarost siwe, tłuste i zdecydowanie za długie jak na dżentelmena, którym kiedyś niewątpliwie był.

– Doktor Schmidt? – zapytała z grzeczności Wejhert, bo przecież dobrze znała odpowiedź.

– A kto pyta?

– Liliana Wejhert. Jestem dziennikarką.

– Do widzenia – warknął i zaczął zamykać drzwi, ale Wejhert ani myślała spędzić na tej klatce schodowej z piekła rodem jeszcze choćby

sekundy, więc po prostu napała na drzwi. Starzec nie miał dość sił, by jej to uniemożliwić.

– Ależ co pani robi?! – krzyknął, a w każdym razie próbował. Liliana ledwo go usłyszała. Doktor Schmidt dawno już musiał przepięć swoje struny głosowe.

– Proszę się uspokoić – powiedziała, zamykając drzwi. – Chcę tylko porozmawiać.

– Ale ja nie chcę z panią rozmawiać. Proszę wyjść albo zawołam policję.

Wejhert nie słuchała już tego biadolenia, bo zaciekawiło ją to, co zobaczyła. Salon, w którym znalazła się zaraz po minięciu drzwi, był maleńki, ale od podłogi aż po sufit zastawiony książkami. Śmierdziało w nim starym papierem, milionami wypalonych papierosów i ekwiwalentem wypitego alkoholu. Ale tym razem jej nozdrza rozszerzały się, by chłonąć coś, co pewnie nazwałaby zapachem dzieciństwa. Tak właśnie pachniało w niewielkim mieszkaniu jej dziadka. Szczególnie gdy zmarła babcia i dziadek zupełnie przestał dbać o higienę. Owszem, ktoś powiedziałby, że w pomieszczeniu śmierdziało. Ale dla Wejhert nie było to tak jednoznaczne.

– Wow – powiedziała. – Ile książek. Przeczytał je pan wszystkie?

– Owszem – odparł. – Ale pani mi przeszkadza. Nie widzi pani, że pracuję?

Faktycznie. Pośrodku salonu stał niewielki stół zasypany papierami. Nigdzie za to nie było łóżka. Znak, że mieszkanie musiało posiadać więcej pomieszczeń. I faktycznie, w najdalszym rogu za regałem dostrzegła wąskie przejście do dalszej części. Schmidt musiał mieć nawet własną łazienkę, co przecież w familokach nie zawsze było normą. Poznała to po nowej, jeszcze zapakowanej butelce domestosa stojącej obok drzwi.

– Przepraszam za najście – powiedziała. – Ale przy odrobinie dobrej woli, to mnie pan potraktuje jako swoją pracę. I nie będzie pan żałował.

– Nie rozumiem – powiedział starzec, poprawiając okulary. Wyczerpała mu się już energia, którą mógł przeznaczyć na protesty. Teraz pozostało mu tylko poczekać, aż ta natrętna kobieta sobie pójdzie. Usiadł więc przy biurku, nie proponując Wejhert tego samego. Ale oczywiście ona nie potrzebowała zaproszenia.

– Chcę porozmawiać o jednym z pana byłych pacjentów, doktorze Schmidt.

– Przecież pani wie, że się to pani nie uda. Nie mogę rozmawiać o pacjentach.

– O byłych pacjentach.

– Nawet o byłych.

– Panie doktorze, szczerze, tytułuję pana doktorem z grzeczności. Pan utracił prawo wykonywania zawodu. Nie jest pan już lekarzem. Niewiele pana obowiązuje.

– Traci pani czas, pani...

– Wejhert.

– Wejhert.

– Rafał Lichy. Pamięta pan?

Schmidt westchnął.

– Doktorze?

– Pani, zdaje się, nie rozumie po polsku. Nie będę z panią rozmawiał ani o Lichym, ani o nikim innym.

– Czyli pan go kojarzy.

– A co pani do tego? Dlaczego pani się nim interesuje?

– Odpowiem panu, jeśli pan zdecyduje się ze mną porozmawiać.

– Naprawdę obejdę się bez tej wiedzy.

– Ale ja się nie obędę, doktorze – powiedziała Wejhert, wyciągając z torebki białą kopertę. Była pękata. Trochę się bała tej chwili, kiedy będzie musiała okazać się bezduszną suką za kilka srebrników windykującą duszę starego człowieka. Ale okazała mu już tyle bezczelności, że teraz właściwie było jej wszystko jedno.

– Co to jest? – zapytał.

– Dwa tysiące złotych – odpowiedziała. – Pańskie honorarium.

– Honorarium? Raczej przekupstwo. Jak pani śmie?

– Śmiem. Bo potrzebuję tych informacji. A pan potrzebuje pieniędzy.

– Nie aż tak.

– Aż tak, doktorze. Po co pan udaje? Wiem, że pan pije, a pan wie, że picie dużo kosztuje. Jest panu głupio, ale i tak pan weźmie pieniądze. Tak już jest.

– Więc teraz pani jest psychiatrą?

– Jestem realistką.

Schmidt wyciągnął papierosa z pogiętej paczki i zapalił go. Tym razem pamiętał o swoim gościu. Wyciągnął paczkę w kierunku Wejhert, a ona skorzystała. Dawno nie paliła. A już na pewno nie czegoś z miękkiej, zupełnie anonimowej paczki. Ale udzielił jej się trochę klimat starej pracowni pisarskiej. Właśnie tak wyobrażała sobie biura Nienackiego, Kerouaca czy Okudźawy. Tony papierów, pety w popielniczce, zapach burbona. Podpalił jej papierosa, zaciągnęła się i natychmiast w oczach stanęły jej łzy. Schmidt się roześmiał.

– Dawno pani nie paliła, mam rację?

– Nie da się ukryć.

– Dlaczego interesuje się pani Lichym?

– Zrujnowałam jego karierę. Napisałam o nim artykuł.

– A więc to była pani. I co? Szuka pani potwierdzenia? Usprawiedliwienia? Przebaczenia?

– Proszę mi nie robić psychoanalizy, doktorze.

– Psychoanalizy? Dobry Boże.

– Rozumiem, że powiedziałam coś głupiego?

– Dobrze pani rozumie – powiedział starzec. Wejhert zauważyła, że od dłuższego czasu zerkał na kopertę. W końcu westchnął i jego dłoń powolnym ruchem sięgnęła do biurka. Nakrył dłonią kopertę, ale wciąż jeszcze opierał się, by ją zabrać.

– Ubóstwo, a nie chęć skłania mnie, by ulec – powiedział, bardziej do siebie niż do niej.

– Ubóstwo twoje też, nie chęć opłacam – odpowiedziała Wejhert i w końcu udało jej się zdobyć uwagę starego człowieka.

– No proszę – powiedział, zabierając kopertę ze stołu. – Dziennikarka cytująca Szekspira. I to w najlepszym tłumaczeniu. Myślałem, że dziś to już niemożliwe.

– Pisałam pracę magisterską z dramatów Szekspira – wyjaśniła. – Czytałam wszystkie jego dzieła w oryginałach i we wszystkich możliwych tłumaczeniach. Osobiście wolę Hołowińskiego.

– Ależ skąd, ależ skąd – obruszył się Schmidt. – Toporny i pozbawiony szekspirowskiego kontekstu.

– Rafał Lichy, doktorze.

– Rafał Lichy. O nim można by było napisać dramat i komedię jednocześnie. Bodaj najciekawszy przypadek w całej mojej karierze. Szkoda, że nie dane mi było go rozwijać. Co pani już wie?

– Nic. Nie wiem nic. Interesują mnie fakty i pańska opinia. Ale pańska, nie Freuda.

– Pochlebstwo zaraz po przekupstwie? Niecodzienne. Ale o faktach będzie krótko i stosunkowo łatwo. Lichy trafił do mnie w, momencik... W dwa tysiące piętnastym roku, po próbie samobójczej. Był już wówczas komisarzem i kimś w rodzaju gwiazdy. Miał na koncie kilka naprawdę spektakularnych sukcesów. Słyszała pani o Szewcu z Chociebuża?

– Owszem.

– A o morderstwie w Milanówku?

– Nie, o tym nie.

– A widzi pani. Nie znam szczegółów, więc nie będę o tym mówić, ale generalnie kierownictwo wpadło w panikę po tym, jak Lichy, komisarz z sukcesami, świeżo zaręczony z ukochaną kobietą, nagle postanowił, jak to wulgarnie mówią, strzelić samobója. To się często nie zdarza. Kandydaci na policjantów przechodzą badania. A tu ewidentnie sito nie zadziało. Nazwisko Lichego było już znane. Pisały o nim gazety, pokazywali go w telewizji. Szykował się duży skandal. Wówczas poproszono mnie, żebym z nim popracował. Lichy nie potrafił odpowiedzieć, dlaczego to zrobił. Wymykał się wszelkim schematom. Ale kiedy już mi zaufał, wyznał, że była to już jego trzecia próba. Pierwszą podjął w wieku jedenastu lat. W swoje urodziny. Dość spektakularną. Powiesił się na maszcie meteorologicznym stojącym na szczycie Góry Żar. Wie pani, gdzie to jest?

– W Beskidzie Śląskim?

– W Beskidzie Małym. Szczyt wznosi się nad Międzybrodzim Żywieckim. Lichy stamtąd pochodzi. Na szczycie znajduje się ogromny zbiornik elektrowni szczytowo-pompowej. To właśnie pracownicy elektrowni uratowali Lichemu życie. A także to, że nie miał pojęcia, jak się skutecznie powiesić. Mówiło się, że zrobił to, bo dzieciaki mu dokuczały.

Pani go widziała? Ma dziewczęcą urodę. Chłopcy z okolicy wołali za nim, że pedał. Ale to takie wytłumaczenie z podręcznika w rodzaju „Psychologia dla opornych”. Jego problem jest dużo bardziej skomplikowany.

– Powie pan coś więcej?

– Chwileczkę. Póki co rozmawiamy o faktach. Drugą próbę podjął w wieku siedemnastu lat i również w swoje urodziny, a ponadto kilkanaście minut po inicjacji seksualnej. Powiesił się w garażu swojego brata. I znów miał szczęście. Uratowała go dziewczyna, z którą stracił dziewictwo. Myślał, że już poszła, ale ona po coś wróciła. Wyobrażam sobie traumę, jaką musiała przeżyć. W każdym razie zachowała się bardzo dojrzałe jak na swój wiek. Odcięła go, a potem wezwała pomoc. Trzecia próba to podcięcie żył. Tym razem nie w swoje urodziny. I tyle faktów.

– Jakim cudem ktoś po dwóch próbach samobójczych mógł trafić do policji?

– Takim, że nikt o tym nie wiedział. Pracownicy elektrowni odcięli go i zadzwonili po jego brata, który był wówczas lokalnym policjantem. Brat był jego jedynym opiekunem, ale do tego jeszcze wrócę. W każdym razie nie zgłosił tego nigdzie. Po drugiej próbie Lichy trafił do szpitala, a dziewczyna wezwała policję. Ale ponownie brat Lichego zakopał sprawę. Był już wówczas komendantem w żywieckiej komendzie.

– Dlaczego to zrobił? Nie rozumiał, że to niebezpieczne?

– Rozumiał czy nie, nie mnie to oceniać. W tamtym czasie, a był to, jeśli dobrze liczę, dwa tysiące czwarty rok, świadomość dotycząca problemów psychicznych nie była jeszcze tak rozpowszechniona, jak teraz. Szczególnie we wioskach. Chcę przez to powiedzieć, że nie sądzę, by brat Lichego zbagatelizował problem. Lichy mi mówił, że brat otoczył go troskliwą opieką, która jednak sprowadzała się do ścisłej kontroli. Gdy Lichy postanowił wyjechać do liceum w Gliwicach, jego brat szalał ze

wściekłości. Ale Lichy się uparł. Przez szkołę przeszedł bez problemów, przez studia policyjne w Szczytnie również. Nie wzbudzał zainteresowania tamtejszych specjalistów.

– I naprawdę nie powiedział panu, dlaczego to zrobił?

– Nie. – Schmidt się uśmiechnął. – Nie powiedział. A gdyby nawet powiedział, to na pewno bym mu nie uwierzył. Na takie pytanie nie potrafiła odpowiedzieć zaawansowana psychiatria, a co dopiero zagubiony młody człowiek.

– Ale w dwa tysiące piętnastym roku psychologia, jako nauka, była już na bardzo zaawansowanym poziomie.

– Psychologia nie jest nauką, szanowna pani. Psychiatria tak, choć wciąż bardzo słabo poznana. Psychologia to subdyscyplina filozofii. Uczni stawiają hipotezy, które po pewnym czasie traktuje się jak tezy. Tych tez dowodzą badaniami, które sami wymyślili, a które nie mają za bardzo pokrycia w nauce lub czerpią z niej bardzo wybiórczo.

– Nie zgadzam się z panem, doktorze. Sama chodziłam na terapię i zapewniam, że dobry psycholog może działać cuda.

– Ależ ja w żaden sposób temu nie przeczę. Tylko nie zgodzę się, by nazywać to leczeniem. Psychiatria operuje faktami naukowymi, a tam, gdzie nie odnajduje dowodu, wkracza psychologa. I proszę się nie unosić. Ja nie neguję sensu istnienia takiej dyscypliny, tak jak i nie neguję sensu istnienia filozofii. Ba, uważam, że filozofia jest matką wszystkich nauk. Niemniej w ostatnich latach psychologia rozpycha się tam, gdzie nie powinna. Tworzy nowe jednostki chorobowe na podstawie, Bóg jedyny, wie jakich kryteriów. Ustala zupełnie nowe zasady społeczne, koronując się niejako na cesarzową nauk. Proszę zauważyć, że teraz psycholog jest wszędzie. W szpitalu, w zakładzie pracy, w szkole, w poradniach, w służbach. I jaką ma władzę! To oczywiście zawsze była dziedzina

interdyscyplinarna, ale obecnie wszystko przekroczyło granice śmieszności i powie to pani każdy stary psychiatra i każdy stary psycholog. Znam kilku z czasów, kiedy psychologia nie udawała jeszcze, że jest czymś innym, niż jest w rzeczywistości. No, ale tak musiało być. Pamięta pani ten boom w latach dziewięćdziesiątych i dwutysięcznych? Nie dość, że na rynku pojawiło się zatrzęsienie prywatnych szkół wyższych, to jeszcze dwie na trzy z nich otwierały kierunki psychologiczne. Świat się otworzył, młodzi nie wiedzieli co ze sobą zrobić, to szli na psychologię, bo tam się było najłatwiej dostać. No i teraz mamy dziesiątki tysięcy magistrów i doktorów psychologii, którzy muszą coś robić. Stąd te wszystkie gender studies i inne głupoty. Przepraszam, rozgadałem się nie na temat. Chcę jedynie pani powiedzieć, że cokolwiek pani ode mnie usłyszy na temat Lichego, to nie będzie prawda. To będą moje zgadywanki, poczynione w oparciu o pozyskiwaną przez lata wiedzę, badania i spostrzeżenia. Rozmawiamy o materii utkanej z cieniutkich nitczek. Tak cieniutkich, że nawet nie wiadomo, czy w ogóle istnieją. Czy to jest dla pani jasne, pani redaktor?

– Chyba rozumiem, co pan ma na myśli.

– Dobrze. To przejdźmy do Lichego i tego, dlaczego jest taki ciekawy. Otóż, badacze materii z całego świata od lat usiłują udowodnić istnienie tak zwanego genu autodestrukcji. To klasyczny konstrukt, którego nigdy nie dowiedziono, ale psychiatrzy, psychologowie, socjologowie, a nawet filozofowie nie mają wątpliwości, że występuje w ludzkiej naturze. Ba, w mniejszym lub większym stopniu dotyka każdego człowieka. W ten czy inny sposób każdy z nas dąży do samounicestwienia. Ja robię to tym. – Wskazał na butelkę burbona stojącą na parapecie. – Pani zapewne zapracowuje się na śmierć, co wnioskuję z faktu, że rozmawiamy drugiego stycznia o jedenastej rano. Ludzie przyjmują na siebie niemożliwe do

udźwignięcia obciążenia, narażając się na zabójczy stres, kontuzje i inne problemy ze zdrowiem. Wszystko, co nas najbardziej podnieca, jest niebezpieczne. Wyprawy w góry, skoki ze spadochronem, szybka jazda samochodem i tak dalej. Ale istnieje pewien promil ludzi, u których zjawisko to osiąga skrajność.

– I Lichy jest kimś takim?

– Być może. Jak powiedziałem, nie mogę mieć pewności. Wiem jednak, że cały naukowy świat czeka na potwierdzenie tej teorii. Mam tu na myśl medyczne potwierdzenie, bo założenie jest takie, że gen autodestrukcji, to w istocie gen. Jakaś mutacja w kodzie DNA. W każdym razie Lichy trzykrotnie próbował popełnić samobójstwo i nie potrafił powiedzieć dlaczego. Chodzi mi o to, że nie potrafił nawet podać jednego z wielu standardowych, choć niekoniecznie prawdziwych powodów. Po prostu odczuwał nagły zew śmierci. Tak to określił. Śmierć wołała do niego i on odpowiadał. W jednej chwili. Bez zastanowienia.

– Niesamowite.

– Właśnie. Dlatego ubolewam, że Lichy szybko uciął nasze spotkania. Nieopatrznie opowiedziałem mu o swoich podejrzeniach, a on nie chciał być, jak się wyraził, królikiem doświadczalnym. No a potem... Sama pani wie. Nie mogłem już się tym zajmować.

– Skąd to się może brać? Przychodzi mi na myśl jakaś forma nowotworu.

– Brawo. To jedna z dwóch rozważanych hipotez. Że następuje mutacja DNA o nieznannej etiologii i gdyby tak było, faktycznie moglibyśmy to klasyfikować jako formę nowotworu, choć oczywiście zaledwie w nieformalnej rozmowie. Jednak ta druga hipoteza, w moim odczuciu, jest dużo bardziej interesująca.

– Dziedziczenie?

– Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem.

– To nie było trudne, nie widzę innych możliwości. Zwłaszcza że mówimy o genie, a geny się dziedziczą.

– Tak, tylko póki co sformułowanie „gen” jest pewną symplifikacją. Nie dowiedziono, że problem faktycznie wywodzi się z genetyki. I właśnie Lichy mógłby być przełomem. Bo to pierwszy znany mi przypadek, gdy teoria o dziedziczeniu tej przypadłości mogłaby mieć uzasadnienie w faktach.

– Ojciec?

– Matka. O niej Lichy akurat trochę mi opowiedział. Mówi pani coś nazwisko Elżbieta Połaniec?

– Może? Coś faktycznie mi świta.

– W latach siedemdziesiątych wspinała się w Alpach i potem w Andach. Na początku lat osiemdziesiątych uznała, że jest gotowa na Himalaje. Nie należała do żadnego towarzystwa, a to były dość drogie wyprawy, ale jej mąż był inżynierem kolejowym i udało mu się dostać pięcioletni kontrakt przy projektowaniu kolei tybetańskiej. Wyjechali w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym. Elżbieta zaliczyła kilka sześciu- i siedmiotysięczników i latem osiemdziesiątego ósmego zaplanowała wejście na Czo Oju. Swój pierwszy ośmiotysięcznik. Byłaby pierwszą Polką, która tego dokonała. Miała już mocną lokalną ekipę i mogło jej się udać, ale coś sobie źle policzyli, czegoś nie dopilnowali i w kwietniu osiemdziesiątego siódmego roku okazało się, że jest w ciąży. To był dla nich szok. Nie byli już tacy młodzi. Ich starszy syn miał dwadzieścia lat. W dodatku ciąża i sam poród przebiegały z problemami. Plany trzeba było odłożyć. Urodziła, a potem kontrakt się skończył.

– Czyli Lichy urodził się w Chinach? Nie miałam o tym pojęcia.

– No właśnie. Dokładnie w chińskim Tybecie. W Lhasie. Problem w tym, że w Elżbiecie coś wtedy zaszło. Po powrocie porzuciła męża i synów. W dziewięćdziesiątym roku wróciła w Himalaje i podjęła próbę wejścia na Czo Oju, ale nie wróciła. Nigdy nie odnaleziono jej ciała. Nie udało jej się zdobyć szczytu. Ojciec Lichego zmarł na zawał pół roku później. Źle zniósł rozstanie z żoną. Od czwartego roku życia Lichym opiekował się brat.

– Myśli pan, że ona też to miała?

– Tak przypuszczam. Ryzykowała bardzo dużo, przez wiele lat. Mówiono o niej, że wykazuje się brawurą. W Alpach miała dwa wypadki. W Andach straciła palec u nogi, nie pamiętam teraz który. Odmrożenie. Według brata Lichego miała też wypadki już w Himalajach, z czego na jednym z siedmiotysięczników ponoć poważny.

– Ludzie gór z pewnością mają zaburzoną ocenę ryzyka.

– Wracając do Lichego, kilka miesięcy po trzeciej próbie samobójczej porzuciła go narzeczona, ale w trakcie rozstania wymusiła na nim obietnicę, że nigdy więcej nie targnie się na swoje życie. Boże jedyny, jak można stawiać tak absurdalne żądanie? I to psycholog. Bo ona jest psychologiem, zajmuje się bodaj resocjalizacją. Tak czy inaczej, jak dotąd Lichy nie podjął próby, ale jego organizm znalazł sobie inny sposób, by się unicestwić.

– Alkohol.

– Alkohol? Żeby tylko. Przez jego żyły przewędrowała cała tablica Mendelejewa. Wiem nawet o heroinie, ale tutaj ciekawostka. Lichy kieruje się jakąś pokręconą logiką. Na jednym z naszych ostatnich spotkań, a było to już jakoś prawie rok po próbie, powiedział mi, że nie bierze już heroiny, bo za szybko zabija. Że to byłoby w istocie samobójstwo, którego obiecał, że nie popełni. Rozumie pani coś z tego?

– Jest dla niego jakaś nadzieja?

– Niestety, odpowiedź na to pytanie przerasta moje możliwości intelektualne. Nauka milczy na ten temat. Jeżeli faktycznie mówimy o genetyce, to marne szanse, a na pewno nie bez zaawansowanej farmakologii. Ale jeśli wszystko sprowadza się do siły woli, to tak, myślę, że ma szansę. Bo pomimo skłonności do używek Lichy jest silnym człowiekiem. Musi tylko rozplątać ten węzeł gordyjski w swojej głowie. Na podstawie naszych rozmów mogę pani powiedzieć jedno. Czasami bardzo trudno za nim nadążyć. Trochę jakby mówił w innym języku. Nieskładnie, bez sensu, nie na temat. Tyle że zwykle po wielu godzinach rozmyślań, gdy udawało mi się w końcu uchwycić jego myśl, okazywało się, że jest niewiarygodnie wręcz logiczna. Ten człowiek ma po prostu kompletnie nieludzką wrażliwość. Mówię tu o wrażliwości jako skali percepcji. Dostrzega i wiąże w pakiety danych rzeczy, których normalny człowiek po prostu nie jest w stanie zauważyć.

– To brzmi jak definicja geniusza.

– O tak. – Schmidt się zaśmiał. – Na pewno jest geniuszem. I jak każdy geniusz ma nie po kolei w głowie. Niemniej zaryzykuję stwierdzenie, że myśleniem lateralnym i analitycznym wyprzedza nasz gatunek.

Potem rozmawiali jeszcze przez jakiś czas, ale Schmidt szybko się męczył. Pytania, które mu zadawała, nie wносиły niczego nowego. Psychiatra raz po raz powtarzał, co już wcześniej powiedział i wkrótce zaczął popadać w rozdrażnienie. Wejhert podziękowała i wyszła. Zostawiła starca w złym humorze. Być może dotarło w końcu do niego, że za kilka papierków wyzbył się wszelkich zasad. Być może już ostatnich, jakie posiadał, choć, sądząc po tym, jak opisał go Mąka, i ten etap prawdopodobnie miał już za sobą.

Spotify zasugerował jej jakąś listę, gdy wracała do Katowic. W aucie coś grało, ale nie zwracała na to uwagi. Usiłowała poukładać sobie w głowie to, co usłyszała, jednak cała ta opowieść wydawała jej się tak abstrakcyjna, że momentami łapała się na podejrzeniach, że Schmidt z niej zakpił. Ale nie spodziewał się jej wizyty, to pewne. Nie mógł sobie niczego wcześniej przygotować. Musiałby być wyjątkowo kreatywny, by taką opowieść wymyślić na poczekaniu. Choć postanowiła sobie, że w pierwszej kolejności sprawdzi, czy Lichy naprawdę urodził się w Lhasie.

A potem, na deteeście wpadła w poślizg i choć jej wprawna ręka wspomagana elektroniką Betty poradziła sobie z zagrożeniem, to przynajmniej myślami powróciła tam, gdzie powinna wówczas być. Na drogę.

ROZDZIAŁ 12

Róża była dwa lata młodsza od Lichego. Ona, dziewczyna z mazurskiej wsi położonej nad samym brzegiem jeziora Śniardwy, która przez całe dzieciństwo po otwarciu okna widziała Czarcę Ostrów, i on, chłopak ze wsi na Żywiecczyźnie, położonej nad samym brzegiem Jeziora Międzybrodzkiego, który przez całe dzieciństwo po otwarciu okna widział górę Żar, a raz nawet się na niej powiesił, spotkali się po raz pierwszy na rynku w Olsztynie. Ona w stolicy Warmii studiowała psychologię, on jeździł tam ze Szczytna na weekendowe imprezy. Wszyscy tam jeździli.

Poznali się wieczorem, a już kilka godzin później tarzali się na, raczej wąskim i nieprzystosowanym dla dwóch osób, łóżku znajdującym się w jej stacji, korzystając z nieobecności dwóch współlokatek. Dla obojga było to dziwne przeżycie. Lichy sypiał już wcześniej z dziewczynami, ale nigdy tak szybko. Róża miała wcześniej jednego i nigdy by nie przypuszczała, że przydarzy jej się coś takiego. Ale ci dwoje po prostu byli dla siebie stworzeni. Krzyczały o tym ich serca, a sercom wtórowały ciała, więc stało się jedynie to, co musiało się stać.

I właśnie w tamtym okresie poznali oboje profesora Jana Hirszfelda. Wykładał na obu ich uczelniach, w dodatku miał w zwyczaju organizować specjalne posiadówki dla studentów, których najbardziej sobie upodobał. Lichy i Róża należeli do tej grupy, więc wraz z kilkorgiem innych wybrańców odwiedzali profesora w jego niewielkiej, za to pełnej skarbów, willi na Zodiakalnej. Tam pili whisky, palili cygara i uprawiali intelektualną szermierkę. Hirszfeld zdawał się być kimś w rodzaju Johna Keatinga, tylko

czasy nie nadążyły, bo nie tylko poeci już byli umarli, ale i poezja w ogóle. Wkrótce więc ktoś coś doniósł komuś, ktoś inny coś powtórzył, coś dodał, a coś pominął i koniec końców wybuchł skandal. Hirszfelda usunięto z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, została mu tylko szczycieńska WSP, a potem i z tego zrezygnował. Przynależność do grona przyjaciół Hirszfelda, dawniej będąca powodem do dumy, stała się teraz tematem żartów, a co gorsza, powszechnie podejrzewano, że spotkania miały nieprzyzwoity charakter, więc studenci, poza nielicznym wyjątkami, odwrócili się od starego profesora. Tymi wyjątkami byli Róża i Lichy. Róża nigdy nie uwierzyła, jakoby Hirszfeld usiłował nawiązywać intymną relację ze swoimi studentami. Co innego Lichy. Bo Lichy takiej próby doświadczył. Nigdy nie powiedział o tym Róży. Od kiedy się poznali, bał się głosić inne zdanie niż ona. Bał się wdawać z nią w spory. Ostatecznie doszedł do przekonania, że ten jeden jedyny raz, gdy poczuł dłoń Hirszfelda na swoim pośladku, nie jest warty ryzyka utraty kobiety swojego życia. Obrócił więc to w żart, chociaż nigdy już nie traktował profesora tak jak wcześniej.

Tyle że Hirszfeld był najlepszym profilerem, jakiego Lichy kiedykolwiek poznał. Dlatego tego poranka, gdy po powrocie z prosektorium reszta ekipy okrywała powieki zwiewnymi woalkami snu, on fotografował najważniejsze dokumenty i wysyłał je mailem do profesora. A tuż po spotkaniu, gdy Modling już czekał na niego w samochodzie, odebrał telefon.

– Niewiele ci mogę na szybko powiedzieć – poinformował go Hirszfeld, gdy zakończyli już krótki kurtuazyjny *small talk*. – Przyjrę się temu dokładniej. Na razie jednak zwróć uwagę na pierwsze i szóste morderstwo, bo różnią się nieco od pozostałych. Generalnie wszystkie te morderstwa mają wspólny mianownik, ale różne liczniki. Wyglądają, jakby każde z nich popełnił ktoś inny, ale jednocześnie nie mam wątpliwości, że popełniła je

ta sama osoba. Schemat jest nie do podrobienia. Chyba że to jakaś, za przeproszeniem, franczyza.

– Masz na myśli, że ktoś stworzył plan zbrodni i sprzedaje ją swoim klientom? – Lichy już od lat był z Hirszfoldem po imieniu.

– Tak to wygląda, choć oczywiście wcale tak nie uważam, bo to absurd.

– A te dwa „inne” morderstwa?

– Dostępność. Pierwsze popełniono na terenie ZNT w Gliwicach. Ciało trzeba było przenieść przynajmniej pół kilometra. To prawie niemożliwe do wykonania. Z kolei przy szóstej zbrodni morderca wtaszczył ciało na wiatę przystanku kolejowego. Taka wiatka wisi zapewne ze cztery metry ponad ziemią. Albo i więcej. Nie ma na niej żadnej drabiny. Nie mam pojęcia, jak umieszczono tam ciało, ani po co. Z kolei wszystkie inne inscenizacje wykonano w miejscach, gdzie można dojechać autem. Piąte wymagało trochę więcej wysiłku, ale nieporównywalnie mniej niż przy pierwszym i szóstym.

– Zatem trzeba przyjąć, że morderca jest silny.

– Nie jestem pewien. Siła nie wystarczy, żeby wciągnąć ciało na wiatę. Wprawdzie tamta ofiara była bardzo lekka, bo z powodu zaawansowanego nowotworu ważyła mniej niż czterdzieści kilogramów, ale nawet gdyby ważyła pięć, taka operacja wymaga jakiegoś kreatywnego pomysłu. W każdym razie nie chodzi mi o to, że to było trudne, tylko zakładam, że taki wysiłek musi posiadać jakieś uzasadnienie. Jesteś dobry w główkowaniu, Lichy. Pomyśl o tym, bo według mnie, właśnie te dwa przypadki mogą nam najwięcej powiedzieć o prawdziwym motywie sprawcy.

To było dwie godziny temu. A teraz czekali z Modlingiem w niewielkim pokoiku wizyt Zakładu Karnego w Herbach, gdzie za chwilę miano przyprowadzić Roberta Kowalczyka. Pierwszego podejrzanego Modlinga,

człowieka, na którego wskazywało sporo dowodów, a który siedem kolejnych morderstw przesiedział za kratami.

Kowalczyk miał trzydzieści osiem lat, ale nie wyglądał na tyle. Wyglądał na więcej i na mniej. Przypominał podstarzałego rastamana z teledysków Alborosie. Albo samego Alborosie – stara twarz, młodzieńcze dredy. Można w ogóle mieć dredy w więzieniu? Lichy tego nie wiedział, ale Kowalczyk miał dredy i to raczej od dość dawna.

– Cześć Rychu – przywitał się zaraz po tym, jak wprowadzono go do pokoju i posadzono przy biurku. Nie został skuty.

– Cześć młody.

– Myślałem, że już mnie więcej nie odwiedzisz. – Zaśmiał się. – A tymczasem nawet kolegę przyprowadziłeś. Przedstawisz nas sobie?

– Komisarz Rafał Lichy – przedstawił się Lichy, nie czekając na wsparcie Modlinga.

– Ho, ho. – Zainteresował się Kowalczyk. – Znane nazwisko. Słyszysz się na bloku to i owo.

– Jestem gwiazdą?

– A masz taką potrzebę? O, przepraszam, nie przeszliśmy na ty. Wie pan, to jest coś, co mi przez te wszystkie lata sprawiało najwięcej problemów. Klasyfikowanie. Z kim już przeszedłem na „ty”, a z kim nie? Z kim już rozmawiałem o ważnych prywatnych sprawach, a z kim jeszcze nie? Kto już mi dał w mordę, kto jeszcze nie? A komu ja dałem, a komu jeszcze nie? Wszystko się zlewa. Czy czytałem już kiedyś tę książkę? To ostatnie szczególnie mi doskwiera. Nie jestem w stanie zapamiętać tytułów i autorów, a zapisać nie ma gdzie. Książek mamy mało i są dostępne rzadko. Nic nie irytuje tak bardzo jak sytuacja, kiedy po trzech stronach nowej książki okazuje się, że już ją znam. Rozumiesz, o co mi chodzi? To znaczy pan. Czy pan rozumie?

– Możemy być na „ty” – powiedział Lichy. – Tak chyba będzie prościej, a ja nie lubię sobie niepotrzebnie komplikować życia.

– Świetnie – powiedział Kowalczyk, rozsiadając się wygodnie w fotelu.
– Czy znów będziemy rozmawiać o tym samym?

– Ze mną jeszcze nie rozmawiałeś – odparł Lichy.

– Oczywiście. Miałem na myśli Rycha. Rychu był tu już... Ile razy?

– Pięć – odparł Modling.

– Pięć – powtórzył Kowalczyk. – Za każdym razem usiłując mnie na czymś przyłapać. Ty też będziesz tego próbował? Korzystał z okazji, że minęło już sporo czasu, mogłem stracić czujność, mogłem o czymś zapomnieć. Nic się nie dowiesz, komisarzu Lichy. Ja wszystko powiedziałem. Wszystko wyjaśniłem. Nie widziałem świata od siedmiu lat.

– Dlaczego? – zapytał Lichy.

– Co dlaczego?

– Dlaczego nie skorzystałeś nigdy z żadnej przepustki? To twoja pierwsza kara, siedzisz na półotwartym oddziale. Masz za sobą połowę odsiadki. Dawno mógłbyś już wychodzić.

– Ale po co? Nic tam na zewnątrz nie mam.

– A tu masz?

– A tu już trochę mam.

– Taka jest twoja wersja?

– Wersja? A jaka miałyby być?

– Ja myślę, że się czegoś boisz.

Kowalczyk wybuchnął śmiechem.

– Oj, komisarzu – wyparskał. – Mniej dramatycznie, bardziej przy gruncie. To nie film.

– Myślę, że się czegoś boisz – powtórzył Lichy. – Nie tylko dlatego, że nie wychodzisz. Głównie dlatego, że w ogóle dałeś się tu zamknąć. Po co?

– Nie rozumiem?

– Nie znaleźliby cię. – Lichy się uśmiechnął. – Mam na myśli zabójstwo Zielskiego. To była dobra, czysta robota. Niemal nieosiągalna dla amatora.

– Teraz powiesz, że to nie ja? Więc po co się przyznałem?

– No właśnie. Po co? Ja nie twierdzę, że to nie ty. Skoro byłeś niewinny w sprawie śmierci Katarzyny Lisieckiej, a tak utrzymujesz, to powinniśmy w miarę szybko wyjaśnić nieporozumienie i wypuścić cię na wolność. Skoro byłeś niewinny, miałeś prawo tak przypuszczać. Więc po co przyznałeś się do morderstwa sprzed ośmiu miesięcy?

Kowalczyk znów się uśmiechnął. Rozłożył szeroko ręce i odchylił się do tyłu tak mocno, że gdyby nie ściana za plecami, to pewnie by upadł.

– Nie wiem, komisarzu – powiedział. – Naprawdę nie wiem. Nigdy wcześniej nie byłem w takiej sytuacji. Stres mnie zjadł. Nie myślałem tak racjonalnie jak ty teraz, po wielu latach.

– Dlaczego ją zabiłeś?

– Ach, więc tak to będzie wyglądać? No dobrze. Nie zabiłem jej.

– Ale twój naskórek był pod jej paznokciami.

– Owszem. I znaleziono w niej moje nasienie. Uprawialiśmy seks.

– Trzy dni przed jej odnalezieniem.

– Dokładnie. Przygotowałeś się.

– Jaka była?

– Pod jakim względem?

– Na przykład pod względem higieny.

– Co? No... Chyba zwykła.

– A jednak po trzech dniach wciąż miała w sobie twoje nasienie i twój naskórek pod paznokciami.

– Faktycznie. Ale podobno była przetrzymywana. Więc możliwe, że porwano ją zaraz po naszym spotkaniu.

– Nie kontaktowałeś się z nią?

– Nie.

– Dlaczego?

– Tak wyszło. Nie byliśmy parą. Po prostu poszliśmy do łóżka.

– Jeden raz?

– Kilka. Wcześniej też to robiliśmy. Znaliśmy się kilka miesięcy. Ale to była luźna relacja.

– Co tam robiłeś?

– Gdzie?

– Na terenie kolejowym.

– Przecież wiesz. Przyjechałem malować kolejkę.

– W sylwestra?

– Dokładnie. Słabsza ochrona.

– Rysiek mówił, że przyjechałeś quadem.

– Dokładnie.

– Ofiarę wiozłeś za czy przed sobą?

– To prymitywne, komisarzu. Naprawdę przesłuchiwani się na to nabierają?

– Dlaczego na quadzie? Przecież jest głośny.

– Ale pozwala szybko uciec. Zresztą, wjeżdżałem od strony, gdzie nie powinno być sokistów. To było akurat przemyślane.

– Ale uciekałeś na nogach.

– Kiedy zobaczyłem ciało, to zgłupiałem.

- A głowa? Jak przywiozłeś głowę? W plecaku?
- Nie przywiozłem żadnej głowy. A mój plecak leży u was.
- Rysiek, znaleźliście jakieś włosy w tym plecaku? – zapytał Lichy.
- Nie – odparł Modling. – W środku były trzy puszki farby. Dwie niebieskie i biała. Nic więcej.
- Trzy puszki farby? – Lichy wyraźnie się zdziwił. – Jedna pewnie do konturów, dwie do wypełnień, czy tak?
- Kowalczyk nie odpowiedział.
- Trochę mało – ciągnął Lichy. – Ile można pomalować trzema puszkami? Co to miał być za projekt?
- Niestety. – Kowalczyk rozłożył ręce. – Nie pamiętam już. To było siedem lat temu.
- Dwie puszki farby przywiozłeś tym quadem, tak?
- Na to wygląda.
- A Zielski? Dlaczego go zabiłeś?
- O matko, komisarzu, nie nadążam za tobą. Skaczesz po tematach. Przecież wielokrotnie o tym mówiłem.
- Nie mnie.
- Zabiłem go przez kobietę.
- Odbił ci ją? Czy ty jemu?
- Trudno powiedzieć. Obu nam na niej zależało. Pokłóciliśmy się i tak wyszło.
- Tak wyszło, że go zabiłeś i nie zostawiłeś przy tym żadnych śladów?
- Myśl, co chcesz.
- Jak miała na imię?
- Ona? Magda.
- Magda. I co było potem?

– Nie rozumiem.

– Ja też nie. Zabiłeś konkurenta i już ci na niej przestało zależeć?

– No nie...

– Przestało ci na niej zależeć, za to zacząłeś się spotykać z Katarzyną Lisiecką. Jak wspomniałeś, trwało to kilka miesięcy. Trochę trudno mi uwierzyć, że zabiłeś kumpla przez kobietę, którą w sumie miałeś gdzieś.

– Przecież powiedziałem, że z Kaśką to była luźna relacja.

– W ogóle nie powinno być żadnej relacji, skoro właśnie zabiłeś, by zdobyć inną kobietę. To nie ma sensu, Robert.

– Cholera, dobry jesteś. – Kowalczyk niespodziewanie się zaśmiał. – Siedzę tu od kilkunastu minut, a już zdążyłeś mnie zmęczyć i podkurwić. Przyznam, że z taką metodą przesłuchiwania jeszcze się nie spotkałem. Ale tracisz czas. Nie zabiłem Kaśki.

– Nie powiedziałem, że zabiłeś.

– Usiłujesz mi to wmówić, od kiedy usiadłem przy tym stole. Nie zabiłem Kaśki ani żadnej z... O kurwa. Ależ ze mnie idiota! Jest drugi styczeń. Mieliście kolejną ofiarę! Gdzie tym razem?

– Stacja Bytom-Bobrek – odparł Lichy.

– No proszę. Znów kolejowe rejony.

– Ale tym razem było trochę inaczej.

– I... inaczej? Co przez to rozumiesz?

– Lichy – rzucił ostrzegawczym tonem Modling, ale Lichy podniósł tylko rękę, nakazując starszemu koledze trzymać się na dystans.

– Ciało było pomalowane na zielono – powiedział, wpatrując się w oczy Kowalczyka. I coś w nich zobaczył. Coś, czego nie dałoby się opisać, ale to tam było. Jakaś zmiana, która świadczyła o zaangażowaniu.

– Koleś jest nieźle popierdolony – powiedział w końcu Kowalczyk. – Ale ja byłem tutaj. Więc nie mam pojęcia, po co znów do mnie przyjechaliście.

– Myślę, że zabójca ewoluuje – powiedział Lichy. – Zmienia *modus operandi*. Znudził go już schemat i szuka nowych rozwiązań.

– To wasz problem – powiedział Kowalczyk i Lichy odniósł wrażenie, że jest rozdrażniony. – To od początku jest wasz problem. Bo zamiast szukać mordercy, setny raz zawracacie mi głowę. Choć doskonale wiecie, że nie mam z tym nic wspólnego. Straciliście czas. Swój i mój.

Podniósł się i stanął przy szybie weneckiego lustra. Chwilę później drzwi się otworzyły i stanął w nich strażnik.

– Za rok wam odmówię – powiedział Kowalczyk, podchodząc do drzwi.
– Może to was skłoni do bardziej wyteżonej pracy.

– Co oznaczały litery „Q” na jej piersiach? – zapytał Lichy.

– Jesteś niemożliwy. Przez chwilę myślałem, że to nawet zabawne. Ale koniec końców nic ciekawego mi nie przyniosłeś, komisarzu Lichy. Nic na mnie nie masz. Same zgadywanki. Pytania bez znaczenia. Nawet gdybym ją zamordował, w życiu byś mnie na tym nie przyłapał.

– Ostatnie pytanie – powiedział spokojnie Lichy. – Dobrze?

Kowalczyk westchnął, zatrzymał się na progu i odwrócił do śledczych.

– O co znowu chodzi?

– Skąd wiedziałeś, że to ona?

Niespodziewanie nastąpiła cisza. Kowalczyk wbijał spojrzenie w Lichego i sprawiał wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć i wyłącznie siłą woli udawało mu się przed tym powstrzymać.

– Prosiłeś sokistów, by cię wypuścili. Dość rozpaczliwa prośba. Powiedziałeś im, że jej nie zabiłeś, ale ją znasz. Ale znalazłeś ciało, które trzymało w dłoniach cudzą głowę. Więc skąd wiedziałeś, że to Lisiecka?

– Poznałem jej ciało.

– Nie, nie, nie! – Zupełnie niespodziewanie Lichy zerwał się z krzesła i podbiegł do przesłuchiwanego. Stanął w odległości trzydziestu centymetrów od niego, spoglądając mu prosto w twarz. Poczł fetor psujących się zębów i brudu skołtunionych włosów. – Nie pierdol, Robert. Jesteś zwykłym trzydziestolatkiem. Znajdujesz nagie, zdekapitowane ciało. Ciało trzyma nieswoją głowę, ale ty przecież nie wiesz, że to głowa kogoś innego. A jednak zachowujesz pełny spokój, odrzucasz najoczywistsze rozwiązanie, dokonujesz rzeczowej analizy zwykłego, pozbawionego znaków szczególnych ciała ofiary i stwierdzasz, że to z całą pewnością twoja niedawna kochanka. Nie pierdol.

Kowalczyk nie odpowiedział. Po prostu odwrócił się i wyszedł.

– Przyznam, że trochę mnie przerażasz – powiedział Modling, gdy jechali już w stronę Katowic. – Mam wrażenie, że masz dwie pary oczu. Myślisz, że on ją zabił?

– Nie – odparł Lichy. – Ale na pewno był w to bezpośrednio zaangażowany. Za dużo tu dziwnych zbiegów okoliczności. Ciało wyeksponowane akurat tam, gdzie planował malować. Nie kupuję tej bajeczki, że ktoś chciał go wrobić. Dalej: zupełnie bez sensu przyjechał na to malowanie quadem. A przecież trzeba było przywieźć tam ciało. Gdyby ktoś miał je nieść, musiałby przejść pół kilometra. To jest właściwie niewykonalne, nawet dla bardzo silnego mężczyzny. Przyjechał na akcję z dwiema puszkami farby, za to bez szkicu i latarki. Nie, on tam w ogóle nie miał zamiaru niczego malować. Kiedyś, w liceum, byłem na jednym malowaniu. Żadna wielka sztuka, ale było nas ośmiu i każdy tachał ze dwadzieścia kilo sprzętu. Farby, maski, rękawiczki, latarki, browar, żarcie, gaz, gdyby trafił się jakiś kundel i tak dalej, i tym podobne. Myślę, że on tam przywiózł ciało. To było jego zadanie. Nie wiem, czy je wyeksponował,

czy nie. Jeśli nie, to na pewno odwrócił uwagę sokistów od osoby, która to zrobiła.

– Dlaczego więc uważasz, że jej nie zabił?

– Bo ktoś wyeksponował głowę Lisieckiej rok później. Musiała być druga osoba, która wiedziała, gdzie jest ta głowa, zabrała ją, zabezpieczyła i wykorzystała. Mówiłeś, że od czasu aresztowania Kowalczyk z nikim się nie kontaktował. Więc nikomu nie mógł przekazać informacji.

– Cholera. Co teraz planujesz?

– Nie wiem. Chyba przyjrzę się temu morderstwu Zielskiego. Ono też mi się nie zgadza. Kto prowadził tę sprawę?

– Jarzębowski z wojewódzkiej. Już na emeryturze.

– A z firmy?

– A to nie my, bo morderstwo miało miejsce w Częstochowie. Kryminalni stamtąd się tym zajmowali.

– W Częstochowie?

– Tak. A co?

– Nic. Po prostu geografia nie ma za bardzo sensu. Facet z Katowic zabija innego faceta z Katowic w Częstochowie.

– Podobno spotkali się na jakimś koncercie hip-hopowym.

– Muszę o tym więcej poczytać. Ten Zielski ma jakąś rodzinę?

– Matkę. Ale jest niekomunikatywna.

– To znaczy?

– Nie da się z nią gadać. Próbowali.

– Wiesz, gdzie mieszka?

– Wiem.

– To jedźmy tam.

ROZDZIAŁ 13

Piękny jest Giszowiec zimą. Śnieżne czapy z serdecznością przytulające się do wysokich i strzelistych buków, jak bliska rodzina, która nie widziała się przez cały rok. Spadziste, białe dachy wyglądające jak niewysokie wzgórza, aż by się chciało wziąć kij, zawiniątko z prowiantem i ruszać ku delikatnie przygrzewającemu słońcu. Zaśnieżone wąskie uliczki, wijące się pomiędzy kamiennymi murami i drewnianymi płotami, tu się rozchodzą, tam schodzą, można się zgubić w tym labiryncie.

Ale nie w tym roku. Coś złego musiało wisieć nad światem i świat ewidentnie się tym martwił. Twarz miał zmęczoną i niedomytą. Ubranie znoszone i dziurawe. A w dodatku śmierdziało mu z ust. Płaszcz z wysoko postawionymi kołnierzami, kaptury na głowach, czapki, szaliki i rękawiczki, nie dla szyku i elegancji, żeby choć odrobinę odseparować się od przeszywającego zimna. Tak wyglądali dziś ludzie. Zwierząt nie było w ogóle. Martyna Babicz pomyślała, że to najsmutniejszy Giszowiec, jaki widziała w życiu.

Wiedzieli, że Artur Ślązak jest bogaty, ale mimo to zrobił na nich wrażenie jego pałacyk, zlokalizowany w samym środku Parku Giszowieckiego, otoczony murem i dwustuletnim bukowym starodrzewiem.

Zaparkowali nieopodal bramy. Przy furtce Cyra wcisnął guzik domofonu, a gdy gospodarz zapytał, czego, do cholery, od niego chcą, pokazał do kamery odznakę. Nic nie brzęknęło, ale furtka zaczęła się otwierać.

Mieli kawałek do przejścia, więc gdy w końcu dotarli, Ślązak czekał na nich w drzwiach. Wydawał się być zaniepokojony. *I słusznie, skurwysynu* – pomyślała Babicz.

W aucie przyznali sobie zadania. On rozmawia, ona obserwuje. Każdy nerwowy ruch, każde zająknięcie, każda oznaka tego, że kłamie lub kluczy. Wszystko to miała rozpoznać, przeanalizować i zapisać w pamięci.

– Państwo naprawdę do mnie? – zapytał Ślązak.

– A nazywa się pan Artur Ślązak? – odpowiedział pytaniem na pytanie Cyra.

– Tak.

– Więc do pana. Możemy wejść? Jest zimno. Moja koleżanka marznie.

– Ale w jakiej sprawie?

– Czy możemy wejść? – powtórzył pytanie Cyra.

– No... Tak, oczywiście. Zapraszam. – Ślązak westchnął i szerzej otworzył drzwi. Akurat teraz nie wyglądał na milionera. Miał na sobie bordowy dres. Nie taki do biegania, a raczej do zamiatania tyłkiem mebli w salonie. Miał trzydzieści osiem lat i dokładnie na tyle wyglądał, z tą uwagą, że gdyby Babicz miała zgadywać, to większości tych lat nie spędził w Polsce. Takiej opalenizny nie da się spreparować w solarium. Dłonie miał zadbane, co natychmiast zauważyła. Prawdę mówiąc, jego paznokcie wyglądały lepiej niż jej. Był dość drobny, choć wysoki, prawie dwie głowy wyższy od niej. Sylwetkę miał umiarkowanie atrakcyjną, krok sprężysty i generalnie bił z niego wielki świat. Tyle że powagi ujmowała mu burza kręconych włosów, takie trochę polskie afro à la wczesny Podsiadło.

– Nie zdejmujcie butów – rzucił zupełnie bez sensu, bo nie mieli najmniejszego zamiaru. Wytarli jednak podeszwy o wycieraczkę. Żadne z nich nie chciało się pośliznąć na płytkach i wywinąć orła. Ślązak

zaprowadził ich do salonu i wskazał duże fotele obite białą skórą. Sam usiadł na kanapie vis-a-vis.

Salon był urządzony w ascetycznym stylu. Wszystko, a było tego absolutne minimum, miało kolor biały. Nie kremowy, alabastrowy czy inne ecru. Biały. Biały parkiet, z pewnością stary, ale niedawno cyklinowany. Białe ściany, ramy okien i w połowie przesłaniające je zasłony. Białe meble, obudowa kominka i dużego telewizora. Białe lampy pod sufitem i kinkiety na ścianach. Ślżzak w tym wszystkim wyglądał jak kropla krwi na śniegu.

– Komisarz Cyra, a to komisarz Babicz – powiedział Cyra, wskazując na Martynę. Nie skwitowała tego kłamstwa żadnym gestem. – Czy znał pan Joannę Laudę?

– Ja pierdołę. – Westchnął. – Wiedziałem.

– Co pan wiedział? – zapytał Cyra.

– Moment – skrzywił się nagle Ślżzak. – Co znaczy, czy znałem?

– Czy znał pan Joannę Laudę? – powtórzył pytanie Cyra, tym razem wyraźnie akcentując czas przeszły w pytaniu.

– Czy ona...?

– Odpowie pan?

– No przecież chyba widać, że tak. Znam ją. Znałem. Jezu, co się stało?

– Przykro mi, panie Piotrze – powiedział spokojnie Cyra.

Ślżzak pochylił się i ukrył twarz w dłoniach. Babicz zrobiła w myślach pierwszą notatkę. Myślała, że facet się rozplacze, ale nie. Kiwał się tylko w przód i w tył, powoli i miarowo, nie wydając z siebie żadnego dźwięku. Trwało to chwilę. W końcu wyprostował się i teraz jego twarz też już była biała.

– Jak to się stało? – zapytał.

– Wypadek – odparł Cyra.

– Jaki wypadek?

– Kolejowy. Wpadła pod pociąg i ucięło jej głowę. Paskudna sprawa.

Ślązak znieruchomiał z otwartymi ustami. Babicz niemal widziała, jak kurczą mu się źrenice, jak krew eksploduje w żyłach, rozrywa je, jak fala gniewu szturmuje koronę tamy, a potem z siłą znaną tylko naturze topi zagajniki, wsie i miasteczka.

– Wypierdalać! – wrzasnął Ślązak, zrywając się z fotela. – Wypierdalać mi stąd!

Cyra zdążył tylko osłonić twarz, a Ślązak już był przy nim i wyprowadzał cepy, typowe dla ludzi, którzy nigdy się nie bili i nie wiedzieli nawet, jak się za to zabrać. Pierwszym nie trafił, bo Cyra wykonał delikatny, niemal niezauważalny unik, drugim nie zdążył, bo Babicz już wykonywała dźwignię na jego przedramieniu. Ślązak wrzasnął i wyrznął o podłogę.

– Uspokój się – wysyczała Babicz, na wszelki wypadek wzmacniając jeszcze ucisk.

– Zooostaaw!!! – jęknął Ślązak. – Puść!

– Puszczę, jak się uspokoisz.

Leżał na ziemi i ciężko oddychał. Dla Martyny nie były to pierwsze tańce w życiu, wiedziała, że facet niczym jej nie zagraża, więc powoli luzowała chwyt. W końcu wstała i cofnęła się o krok, uważnie obserwując, jak załawiony i wciąż usiłujący złapać oddech Ślązak powoli podnosił się z ziemi. Najpierw uklęknął, potem jedną ręką, nie tą obolałą, podparł się i kucnął. A potem wstał i zatoczył się w stronę kanapy, na którą upadł, nie do końca jeszcze rozumiejąc, gdzie jest góra, a gdzie dół.

– Kim jesteście? – wycharczał. – Czego chcecie? Dlaczego nie dacie mi spokoju?

– Jak długo się znaliście? – zapytał Cyra, jakby nic się nie wydarzyło.

– Dlaczego się nade mną znęcaliście?

– Panie Arturze – zaczął Cyra i zawiesił na moment głos. Zastanawiał się, jak to poprowadzić dalej. Ani przez chwilę nie wierzył, że ten wybuch był autentyczny. Z drugiej strony, facet naprawdę dobrze grał. Łzy chyba były autentyczne, choć o to akurat nietrudno, jak się wyląduje na glebie z wykręconym stawem łokciowym. I chyba barkowym, bo zdawało mu się, że Babicz dołożyła coś od siebie. Ale w porządku, skoro on gra, oni też powinni. Niech będzie na razie na jego zasadach. Niech myśli, że mu wierzą.

– Panie Arturze – zaczął ponownie, tym razem już skupiony. – Przykro mi, ale Joanna Lauda nie żyje.

– Kłamiesz – wystękał Ślązak. – Mam uwierzyć, że miała taki sam wypadek, jak moja żona? Przyszliście tu, żeby... Po co?

– Pana żona nie miała wypadku. Joanna Lauda także nie. Obie zostały zamordowane.

Tym razem Ślązak się nie odezwał. Babicz zanotowała w pamięci, że wygląda jak ktoś, kto został zdublowany w wyścigu ze swoją własną świadomością i obecnie rozpaczliwie usiłował zrozumieć, gdzie, do cholery, jest, i co tu, do cholery, robi.

– Czy pan mnie zrozumiał? – zapytał Cyra. Ślązak pokiwał głową, ale wzrok wciąż miał nieobecny.

– Czy pan zrozumiał, że pana żona została zamordowana?

– Mówiliście, że miała wypadek – powiedział te cztery słowa, jakby każde było osobnym zdaniem, ale powoli wracał mu wątek.

– Kłamaliśmy – wyjaśnił bez ogródek Cyra. – Dla dobra śledztwa.

– Dla dobra śledztwa. Więc kto ją zabił? Może ja?

– Przyznaje się pan?

Ślązak mrugnął kilka razy powiekami. Szybko i agresywnie, a wraz z ostatnim mrugnięciem wrócił do siebie.

– Czy was pojechało? – zapytał trochę głośniejszym głosem, niż planował. – Przecież już to sprawdzaliście. Przepytywaliście mnie. Pytałem, po chuj mnie tak sprawdzacie, skoro to był wypadek? Teraz już wiem po chuj. Mam alibi. Byłem w Rzymie. Widziało mnie ze sto osób.

– Rzecz w tym, że był pan w Rzymie bez żony. A to dość dziwne w sylwestrową noc.

Ślązak nie odpowiedział.

– Skomentuje pan? – zapytała niespodziewanie Babicz, ponieważ przypominając sobie, że miała trzymać gębę na kłódkę. Ale Cyra tym razem nie zareagował.

– To nie wasza sprawa – odpowiedział Ślązak. – Ale jeśli już tak bardzo chcecie wiedzieć, to nie układało nam się najlepiej.

– A Lauda? Czy Lauda była tam z panem? – Martyna nie odpuszczała.

– Do tego dojdziemy – przerwał Cyra. – Na razie proszę powiedzieć, gdzie był pan w tego sylwestra.

– W Barcelonie – odparł.

– Eleganckie miejsce – przyznał Cyra.

– Spędzam sylwestra z najlepszymi chirurgami z całego świata. Co roku gdzie indziej.

– Ale tym razem bez Laudy – powiedziała Babicz, ignorując głośne westchnięcie Cyry. – Też wam się nie układało?

Ślązak nie odpowiedział.

– No dobrze – powiedział Cyra, zaglądając do notatek. – To niech pan powie, kiedy pan poznał Joannę Laudę.

– Dwa lata temu.

– Jak?

– Żona mi ją przedstawiła.

Babicz wybuchnęła śmiechem.

– A panią co tak bawi? – zapytał nieco ostrzejszym tonem, jakby zapomniał już, że z tą drobną kobietą o niezwykle jasnych włosach i jeszcze jaśniejszej cerze lepiej nie zadzierać.

– To, że pana żona przedstawiła panu pana przyszłą kochankę. To chyba dość śmieszne. Mnie w każdym razie bawi. A ciebie, Cyra?

– Skąd one się znały? – zapytał Cyra, ignorując zaczepkę.

– One? Od dawna się kumplowały. Nie wiem dokładnie, ale Beata całymi latami opowiadała mi o Joannie. Moja żona była dość introwertyczna. Nie miała wielu przyjaciół. Może nawet nikogo prócz Joanny. To chyba znajomość ze studiów, czy coś takiego.

– Studiowały to samo?

– Nie, nie. Beata była położną. Ale wtedy się musiały poznać. Jeździły razem w góry.

– W góry? Często?

– Często. Dwa, trzy razy w roku. Akurat obie były mocno zaawansowane, jeśli chodzi o wspinaczkę.

– A kiedy były ostatni raz?

– Ostatni raz? Chwila...

Ślżzak zastanawiał się przez chwilę i naraz się uśmiechnął.

– Chwila – powiedział i podszedł do leżącego na biurku macbooka. Białego oczywiście. Przesunął palcem po touchpadzie, a potem powcisnął go kilka razy. Znalazł to, czego szukał. Podniósł komputer i wrócił na kanapę.

– Ostatni raz pojechały razem w Alpy. Na Matterhorn. W czerwcu zeszłego roku. To znaczy, teraz już dwa lata temu.

– Pół roku przed śmiercią Beaty?

– Tak. Patrzcie.

Obrócił do nich komputer i pokazał zajmujące cały ekran zdjęcie. Widniały na nim dwie kobiety. Dwie blondynki. Obie niezwykle atrakcyjne i obie nagie od pasa w górę. Stały w dziwnie wykoślawionych pozach, jakby były modelkami na wybiegu, piersi zasłaniały dłońmi i stroiły do aparatu głupie miny. Za nimi znajdował się wbity w skałę krzyż z metalowej kratownicy. Na poprzecznej belce widniał wycięty w metalu napis „Pratumbor”. A dalej, za krzyżem, była już tylko przepaść.

– Wysłała mi to zdjęcie ze szczytu – powiedział Ślązak, uśmiechając się do siebie. Był to dość smutny uśmiech. – Myślała, że to będzie zabawne i takie trochę erotyczne. To, że obie są na tym zdjęciu rozneglizowane.

– Tylko żonka nie wiedziała, że cycki tej drugiej to ty znasz aż nadto dobrze.

Ślązak stężał. Cyra zagryzł wargi, ale Martyna złapała już wiatr w żagle.

– A dla tej drugiej wywłoki też musiało to być zabawne. Ale dla niej dlatego, że wiedziała.

– Dość tego – wtrącił się stanowczo Cyra, ale Ślązak już wpadł w szal.

– Ty jesteś jakaś pojebana! – wrzasnął. – Tylko to ci w głowie? Co rozewrzesz gębę, to tylko o jednym. Może sama jesteś niedoruchana? Pokazać ci go?

Błyskawicznie podniósł się z kanapy i chwycił za gumkę od spodni. Nigdy się nie dowiedzieli, czy faktycznie zamierzał to zrobić, czy tylko się wygłupiał, bo Martyna znów oderwała się od swojego fotela, podcięła Ślązaka i ten ponownie znalazł się na ziemi. Tym razem leżał na wznak. Doskoczyła do niego i uklękła mu na szyi. Wybałuszył gały i natychmiast

zaczął się krztusić. Ona tymczasem przyłożyła usta do jego ucha i wyszeptała:

– Widziałam już twojego kutasa, patałachu, obejrzeliliśmy sobie jedną z waszych produkcji. Twoją i tej twojej dziuni. Nic, co by mnie zachwyciło.

I nagle szybkim ruchem chwyciła go za jądra, a następnie mocno ścisnęła. Ślężak zawył.

– Ale jeżeli jeszcze raz poczuję się przez ciebie molestowana – szeptała dalej Martyna – to wykręcę ci wora tak, że zamiast ruchania kurwiszonów zostanie ci tylko napierdalanie falsetem w jakiejś podrzędnej operetce. Rozumiesz mnie? Rozumiesz mnie, kurwo?

– Dość – powiedział Cyra, kładąc Martynie dłoń na ramieniu.

– Zabił ją, skurwysyn – syknęła Babicz. – Obie zabił.

Jeszcze mocniej zacisnęła dłoń. Ślężak zaryczał jak zarzynany baran.

– Dość! – krzyknął Cyra, zaciskając swoje wielkie jak imadło łapsko na jej szyi, a potem szarpnął ją, aż straciła równowagę. Zerwała się na nogi, dysząc jak po maratonie.

– Idź do auta – poprosił spokojnym już tonem. Patrzyła na niego chwilę, a potem odwróciła się i wyszła. – Babicz! – krzyknął za nią, a gdy się odwróciła, rzucił jej kluczyki.

Wyszła na zewnątrz, usiłując trzasnąć drzwiami, ale nie udało jej się, bo na zawiasach musiały być jakieś hamulce. Jeszcze nie pokonała trzech schodków prowadzących od drzwi do poziomu gruntu, a już miała w ustach papierosa. Ciężko go było odpalić, bo dłonie jej natychmiast zgrabiwały. Było przeraźliwie zimno. Jeszcze nie do końca to czuła. Gniew rozgrzał ją jak dziewięćdziesięcioprocentowa wódka. Twarz jej parowała, a oddech skraplał się, nim jeszcze opuścił nos.

– Kurwa, nie da się tu żyć! – krzyknęła w głąb siebie i przez chwilę myślała, że się rozplacze. Ze złości, bezsilności i wszechogarniającej

beznadziei.

Wzięła trzy szybkie buchycy, wyrzuciła peta wprost na chodnik przed domem Ślązaka, a potem skryła się w samochodzie Cyry. Usiadła za kierownicą. Przez chwilę zastanawiała się, czy jej partnerowi nie będzie to przeszkadzało. Wyglądał na takiego, co nie pozwala byle babie siadać za kierownicą swojego bmw. Ale tylko tak mogła odpalić auto i włączyć te wspaniałe podgrzewane fotele. Potem przesiadła się z powrotem na fotel pasażera.

Szybko zrobiło się przytulnie. Radio grało jakąś piosenkę, której nie знаła. Ściszyła ją, by stanowiła zaledwie tło dla przyjemnie mrużącemu na niskich obrotach silnika. Na dobrą sprawę łamała przepisy. Nie wolno parkować z zapalonym silnikiem. Grozi za to mandat. Ale kto niby miałby jej go wlepić?

Czekała dwadzieścia minut, ale się nie niecierpliwiła. Właściwie niemal przysypiała, gdy Cyra w końcu szarpnął klamkę i wsiadł do środka.

– Widzę, że przypadły ci do gustu podgrzewane fotele – powiedział.

– Taaaak. – Ni to mruknęła, ni ziewnęła.

Cyra nie wyłączył silnika. Milczał krótką chwilę, a potem powiedział:

– Przepraszam, Martyna. Mam nadzieję, że nie przesadziłem.

– Co? Nie, nie – odparła, odruchowo rozcierając szyję, która przecież wcale jej nie bolała. – To ja przepraszam. Zjechałam. Ale wkurwił mnie, skurwysyn jebany. Widziałeś tę jego żonę? Piękna kobieta. Piękna. Sto razy ładniejsza od tej plastikowej lafiryndy. Ale on i tak musiał rznąć tę lale ze sztucznymi cycami, które zresztą pewnie sam jej zrobił, jebany chirurg gwiazd.

– Strasznie dużo w tobie złości, Martyna.

– Może.

– Dziwię ci się trochę. To przecież nie twoja sprawa.

– I co z tego?

– To, że w tym zawodzie stykamy się z każdym możliwym gównem. I nie możemy się w nim taplać. Nie możemy każdej sytuacji przyrównywać do swojego życia.

Martyna zagryzła wargi i nic nie odpowiedziała.

– Nie zabieraj pracy do domu, a do pracy nie przychodź w domowych kapciach – powiedział Cyra. – Widać, że z jakiegoś powodu masz do tego osobisty stosunek, ale odpuść sobie. To nieprofesjonalne.

– Kurwa – zaczęła, ale przecież wiedziała, że ma rację. Westchnęła więc tylko bardzo głęboko. A potem zapytała:

– Przegapiłam coś?

– Sporo.

– Zapytałeś go o zdjęcie? Kto je zrobił? Przecież same sobie nie zrobiły, skoro trzymały się za cycki.

– Tak. Podobno jakiś austriacki farciarz, którego spotkały na szczycie. Był ponoć wniebowzięty.

– Wyobrażam sobie.

– Ślęzak powiedział, że żona się z nim potem drażniła. Mówiła, że w zamian za zdjęcie zapozowały mu z rękami na biodrach. Ale nie uwierzył.

– Co jeszcze?

– To, co najważniejsze. Przycisnąłem go o ten brak rozmów po zniknięciu Laudy. Powiedział, że go zdradziła.

Martyna zachichotała.

– Przepraszam – powiedziała. – Po prostu lubię, jak karma nieoczekiwanie wyskakuje z kociej miski i wędruje w świat.

– Posłuchaj. – Przywołał ją do porządku. – On twierdzi, że trzy dni przed śmiercią Lauda napisała do niego, że z nimi koniec, bo zakochała się kimś innym. I żeby wzmocnić komunikat, wysłała mu na WhatsAppie filmik z nowym kochasiem. Odniosłem wrażenie, że najbardziej Ślązaka zabolął fakt, że nowy kochaś ma wielką pałę. Tak to w każdym razie określił i powtórzył kilka razy. Filmu już niestety nie ma. Skasował wraz z całą historią rozmów. Co mnie nie dziwi. Też bym skasował. Ale w ten sposób tłumaczy, dlaczego się do niej więcej nie odezwał.

– Trzeba przyznać, że to dość logiczne – powiedziała Martyna. – Co teraz?

– Teraz? Poproszę Rusłana, żeby sprawdził inne numery z telefonu Laudy. Na pewno któryś należy do jej nowego chłopaka. Pogadamy z nim.

– Myślisz, że Ślązak jest niewinny?

– Przeciwnie. Myślę, że dobrze się przygotował. Ale to z tą zdradą czy zerwaniem może być prawdą. A jeśli tak...

– To mamy mocny motyw. Ale może też być inaczej. Kochaś mógł załatwić Laudę na zlecenie Ślązaka. Trzeba będzie sprawdzić to jego alibi, ale przypuszczam, że się potwierdzi. Rok temu się potwierdziło, więc i tak musiałyby mieć jakiegoś cyngla, albo przynajmniej współnika.

– Rozpytam o niego kilku ucholi – powiedział Cyra, wbijając w końcu pozycję „drive” na automacie i wytaczając się na jezdnię. – Jeśli ktoś coś o nim wie, to się dowiemy. Tacy jak on często mają kontakty na mieście. Dziewięciu na dziesięciu kupuje koks.

– To mogłoby pasować – powiedziała Martyna. – Koks jest biały.

Roześmiali się i ciśnienie trochę zeszło.

ROZDZIAŁ 14

Lichy zaśmiał się pod nosem, bo komu, jak nie jemu, mogło się to dziś przytrafić?

Modling nie dostrzegł niczego obiecującego w spotkaniu z matką Zielskiego, więc podrzucił młodszego kolegę na Chropaczów i zwinął się do domu. Dochodziła piętnasta, a Lichy był zmęczony. Walor jakościowy jego snu pozostawiał ostatnimi czasy sporo do życzenia. Ilościowy zresztą też. Więc położył się i zaspał. Gdy otworzył oczy, było wpół do siódmej wieczorem, popędził więc autobusem na stację w Świętochłowicach, a stamtąd SKM-ką dojechał na stację Katowice, gdzie przesiadł się na pociąg w kierunku Tychów. Wysiadł na przystanku Brynów. Tym samym, na którego wiacie znaleziono ciało Anny Ochockiej. Korzystając z tego zbiegu okoliczności, obejrzał sobie okolicę i szybko zrozumiał, że w gruncie rzeczy wcale nie tak trudno było tam umieścić ciało. Tor biegł w wąwozie. Do wiaty przylegała wysoka skarpa. Z jednego miejsca można się było na nią dostać, dysponując zaledwie trzymetrowej długości deską. Na fotografiach nie było tego widać. Zanotował w pamięci, że być może morderca jeździ vanem.

Wszedł po schodach na górę i skierował się ku ulicy Załęskiej. I gdy zostało mu już tylko pół kilometra do celu, uderzył front. Śnieg ledwie z definicji, nieprzyjemnie biczujący twarz, tak drobny, że widoczny tylko w snopach żółtawego światła, rzucanego przez uliczne latarnie, a jednocześnie tak intensywny, że uniemożliwiał dalszy spacer. Lichy skrył

się więc pod dachem pustej wiaty przystankowej, usiadł na ławce i zapalił papierosa.

I wówczas załęski mrok rozświetliły niebieskie błyski.

No komu, jak nie jemu, mogło się to dziś przytrafić?

Policyjna kia wjechała wolno do zatoczki autobusowej i zatrzymała się u jej szczytu, kilka metrów od Lichego. Z auta wysiadło dwóch policjantów. Kierowca po prostu obserwował, a ten drugi, dość postawny i łysy jak kolano, podszedł w stronę Lichego, po drodze zakładając zimową policyjną czapkę z uszami.

Coś Lichego uderzyło w tej scenie. Zrujnowana, przemysłowa okolica, ledwie kilkaset metrów od placu przed kotłownią KWK „Wujek”, gdzie w grudniu osiemdziesiątego pierwszego zomowcy strzelali do górników. Funkcjonariusz w czapie z uszami i o twarzy przysłoniętej parą z własnych ust, zbliżający się do niego na tle szalejącej śnieżycy. Powinien jeszcze przyłożyć dwa palce do skroni i zwrócić się do niego per „obywatelu”.

Gdy policjant podszedł bliżej, Lichy przekwalifikował go z „dość postawnego” do „olbrzyma”. Musiał mieć z metr dziewięćdziesiąt i ważyć dobre sto kilo. Głowa i szyja wyciosana z jednego pnia, oczy pozornie zmrużone, zupełnie jakby czoło i policzki napierały na siebie, ignorując fakt występowania oczodołu. No i nie miał brwi. W ogóle. Być może również rzęs, ale tego Lichy nie widział, bo nawet jeśli były, skrywały się pod grubą skórą. A jednak mimo tego wszystkiego, jego twarz zdawała się być przyjazna. Podobnie jak głos.

– Dzień dobry. Aspirant Grzegorz Chutor, Wydział Ruchu Drogowego Komendy Miejskiej Policji w Katowicach – przedstawił się wyuczoną formułką. – Czy pan nie wie, że na przystankach komunikacji miejskiej obowiązuje zakaz palenia?

Lichy nie odpowiedział. Zamyślił się nad czymś. Czy jeden z milicjantów z „Wujka” nie nazywał się Chutor? Pomyślał, że musi to sprawdzić. Miał ten problem, że jak mu coś przyszło na myśl, musiał to sprawdzać. Nawet jeśli niczemu to nie służyło.

– Proszę pana? – Chutor przywrócił go do życia.

– Dlaczego pan o to pyta?

– Nie rozumiem.

– Prawa przecież nie interesuje, czy obywatel wie, że popełnia wykroczenie, czy nie wie. Więc tylko niepotrzebnie naraża się pan na obrzęk, wentylując płuca na mrozie.

– Faktycznie, okropnie zimno – przyznał Chutor, zacierając ręce. – I wydaje mi się, że to kwestia pewnej kultury. Zagajenia rozmowy. Pan uważa inaczej?

– Obawiam się, że tak. To raczej niechciany spadek po poprzednim systemie, gdzie milicjanta utrzymywano w przekonaniu, że ma obowiązek traktować obywatela protekcyjnie.

– Naprawdę pan tak uważa? – Aspirant się zdziwił. – Możliwe. Nie zastanawiałem się nad tym. Mam nadzieję, że nie poczuł się pan dotknięty. Niemniej jednak prawo jest jakie jest i ja pana muszę ukarać mandatem, więc prosiłbym o dowód tożsamości. Może usiądziemy w radiowozie? Jest zimno.

– Ja dziękuję – odpowiedział Lichy, podając Chutorowi dowód. – Poczekał tutaj.

– Na pewno?

– Tak, dziękuję za troskę.

Chutor przypatrywał mu się chwilę z uwagą, a potem wzruszył ramionami i obaj z kolegą wsiedli do auta. Lichy spojrział na zegarek. Było

wpół do ósmej. Miał nadzieję, że ekipa będzie zagęszczać ruchy, bo naprawdę nie miał czasu, żeby tu siedzieć w nieskończoność.

Od błyskających kogutów rozboleła go głowa. Ale czy na pewno od nich? Zamknął oczy i ból nie zelżał. Nie, Lichy wiedział, że to co innego. Że przewoźnik domagał się opłaty za usługę. Pomacał dłonią prawą kieszeń płaszcza. Była tam. Setka pigwówki, którą kupił w Żabce pod blokiem. Gładził ją przez chwilę, myśląc o przyjemności i koszmarze, które jednocześnie mu zapewni. Ale jeszcze nie teraz. Teraz się trzymał. Miał ją w kieszeni od godziny, ale nie otworzył. Nie rzucił się na zawartość, jak ci, co kupują flaszkę o wpół do siódmej rano i wypijają ją zaraz potem, by być w stanie myśleć, czuć, pracować, i w ogóle żyć.

Drzwi się otworzyły i aspirant Chutor wychynął z pojazdu. Znow nałożył czapkę. Powolnym krokiem podszedł do Lichego i wyciągnął w jego stronę dokumenty.

– Tym razem jednak to pan potraktował protekcyjnie mnie, komisarzu – powiedział. – Dlaczego pan nie powiedział, kim jest? Może liczył pan na to, że powiem coś, za co potem będę się kajać? Że przyłapie mnie pan na nadużywaniu władzy, jak z tym pytaniem o znajomość prawa?

– Nie pytał pan, kim jestem – uciał Lichy. – I wydaje mi się, że to prawa również nie interesuje.

– W dodatku zachował się pan protekcyjnie również wobec prawa – ciągnął Chutor. – Świadomie złamał pan przepisy, zakładając, że jest pan bezkarny. Czy poczucie praworządności nic dla pana nie znaczy? Co pan robi w policji?

– Przestań.

– Słucham?

– Przestań pierdolić, chłopie. W ramach poczucia praworządności wyłudzasz właśnie pisiont peelenów od człowieka, który na środku pustkowie schronił się z papierosem w rękę przed śnieżycą. Tak według ciebie wygląda praworządność?

– Nie jestem prawodawcą, komisarzu.

– No nie. Jesteś tylko marnym inkasentem. Każą ci jeździć po mieście i szukać okazji na zdobycie odrobiny hajsu, żeby partia rządząca znów mogła go rozdać i wygrać wybory. Ja to rozumiem. Ale praworządności do tego nie mieszaj, bo tacy jak ty jedynie ośmieszają tę ideę.

Zamilkł, bo natychmiast pożałował swoich słów. Ostatecznie czemu winien jest zwykły aspirant? I czy w ogóle będzie w stanie cokolwiek zrozumieć z tego bełkotu? Bo Lichy bełkotał. Zdawał sobie z tego sprawę. Nieuporządkowany, do bólu uproszczony ciąg myśli, w których sam się ledwo odnajdywał.

– Niech pan już idzie, komisarzu – powiedział Chutor i Lichy musiał przyznać, że zaimponowało mu opanowanie młodego policjanta. – Ta śnieżycy raczej się szybko nie skończy.

– Fakt – powiedział Lichy. – Raczej nie.

Blok przy Ligockiej 84 nawet za dnia wyglądał posępnie, a teraz, gdy jedyna w okolicy latarnia nie świeciła, a fatalna pogoda zagoniła wszystkich do ich ciasnych, ale ciepłych klitek, Lichy czuł się, jakby spacerował po Prypeci. Nie żeby kiedyś tam był, ale tak właśnie to sobie wyobrażał. Puste bloki, które wyglądały, jakby za moment miały się zawalić. Ten zdecydowanie sprawiał takie wrażenie, choć brudnoszara fasada tu i ówdzie upstrzona była białymi plamami tynku, niechybnie świadczącymi o tym, że ktoś tu czasami coś naprawia.

Podszedł do domofonu i wcisnął numer, który podał mu Modling. Dopiero teraz zorientował się, że nie ma na podorędziu żadnego dobrego

kłamstwa. Jednak okazało się niepotrzebne, bo z głośnika urządzenia dało się słyszeć kilka dźwięków nieustalonego pochodzenia, a potem domofon zawarczał. Lichy natychmiast pchnął drzwi.

Już będąc w środku, westchnął. Światło na klatce działało na fotokomórkę. Ściany były pomalowane na żółto, i to raczej dość niedawno. No i nie śmierdziało. Zapewne też nie dzielili pomieszczeń za pomocą styropianu podpiętego do prądu. Chętnie by się tu przeprowadził.

Mieszkanie, którego szukał, zlokalizowane było, a jakże, na ostatnim piętrze. Windy, a jakże, nie było. Westchnął i ruszył do góry. Dawniej miał żelazną kondycję, potem jednak kondycja się skruszyła, ale żelazo nadal zalegało w jego plecaku. Skutki niedbania o siebie. Był tego świadom. Wiedział też, że z tygodnia na tydzień będzie coraz gorzej. Że póki ma trzydzieści... Ile? Trzydzieści dwa lata, to może jeszcze tego nie widać, może jeszcze tego nie odczuwa, ale pewnego dnia zacznie. A wówczas będzie już za późno.

Na ostatnim piętrze były tylko dwa lokale. Drzwi tego po prawej były otwarte i stała w nich kobieta. Musiała być po sześćdziesiątce. Zielskiego zamordowano, gdy miał trzydzieści lat, a było to siedem i pół roku temu. Ubrana była w niebieski fartuch z jakimiś pstrokatymi detalami. Taki sam, w jakich chodziły woźne w jego podstawówce. Włosy miała krótkie, ale ufryzowane. Lichy dałby głowę, że za pomocą wałków.

– Dlaczego tak późno? – zaskrzeczała.

– Przepraszam, ja...

– No wejdzie pan, tylko buty zdejmie, bo już pastowałam podłogę – powiedziała i, nie czekając na gościa, ruszyła do salonu.

Kiedy zmieniałem skarpetki? – zastanawiał się nad tym przez chwilę, ale zaraz przypomniał sobie, że zrobił przed wyjściem z domu. Ściągnął buty

i poszedł za kobietą. Ta już tymczasem stała przy telewizorze z pilotem w ręku. Obraz śnieżył.

– Widzi pan? I tak od wczoraj. Nic nie działa.

– Co nie działa? Telewizor?

– Nie telewizor, tylko antena. Byli, kładli coś, jakąś papę albo nie wiem sama. Nie rozeznaję się. Ale antenę musieli przestawić. No, widzi pan, że nie działa. Naprawi pan?

– Ja nie jestem... – zaczął, ale zabrakło mu słowa. Jak się nazywał gość od naprawiania anten?

– Niech pan naprawi. Cały dzień w domu siedzę, muszę coś oglądać.

– Proszę pani, jestem z policji – powiedział. – Chciałem porozmawiać o pani synu.

– Mój syn jest naukowcem.

– Naukowcem? – Lichy się zdziwił.

– Tak. Niech pan będzie cicho, bo on śpi. Pracuje naukowo, bardzo ciężko.

– Jak ma na imię pani syn?

– No Konrad. Konrad Zielski. Jest naukowcem, przecież powtarzam panu.

– Ja chciałem porozmawiać o Arturze.

To, co ujrzał w jej oczach, nie było błyskiem, a raczej cieniem. Jakiś proces chemiczny zaszedł w jej rogówce, jakiś aminokwas dodał się do jakiegoś innego i powstała reakcja, której nie była w stanie kontrolować.

– O Konradzie – poprawiła go. – Naprawi mi pan antenę? Proszę.

– Nie naprawiam anten, pani Zielska – powiedział stanowczo Lichy. – Przyszedłem, żeby...

– Złożę na pana skargę – powiedziała Zielska, chwytając się pod boki. Pierś jej falowała z gniewu.

– Dlaczego?

– Wczoraj dzwoniłam. Powiedzieli, że pan przyjdzie i naprawi. Ale dzisiaj nie ma już uczciwych ludzi. I co ja mam teraz zrobić?

– A syn pani nie może naprawić?

– On jest naukowcem, nie będzie łązić po dachu. Jeszcze spadnie.

– No tak.

– To naprawi pan?

Lichy już wiedział, że niczego się tutaj nie dowie. Zwykle potrafił uzyskać informacje, których potrzebował. Wiedział, gdzie nacisnąć lub za co pociągnąć, czasem wyprosił, zagroził czy zapłacił. Ale tu się to nie uda. Zielska nie sprawiała wrażenia, jakby udawała, że niczego nie rozumie. Raczej starała się ukrywać, że nie rozumie.

– Gdzie ta antena? – Lichy westchnął, kolejny raz nie rozumiejąc, jak to możliwe, by ktoś taki jak on miał w sobie tak niewiele asertywności.

– Na dachu – odpowiedziała. – Jest drabina na korytarzu.

– Włazu nie zaplombowano?

– A po co?

– Dobrze. Ma pani tu telefon?

Stary, plastikowy aparat telefoniczny stał na stoliku obok telewizora. Miał już wprawdzie klawiaturę na guziki, dość duże zresztą, ale i tak sprawiał wrażenie muzealnego eksponatu.

– Niech pani do mnie zadzwoni. Podam pani numer.

Podeszła do telefonu, podniosła słuchawkę, a on podyktował jej ciąg cyfr.

– Ale na komórkę to nie – powiedziała. – Jest bardzo drogo.

– Dobrze – powiedział Lichy. – To ja zadzwonię. Niech pani poda numer.

Podziała i Lichy do niej zadzwonił.

– Proszę obserwować telewizor i mówić mi, czy obraz wrócił, dobrze?

– Dobrze.

Schował komórkę do kieszeni płaszcza i wyszedł na korytarz. Na szczytowej ścianie faktycznie wisiała drabina. Dawniej na pewno by ją zauważył. Był spostrzegawczy. Ale teraz zaskoczył go jej widok. Była pomalowana na żółto i zlewała się ze ścianą. Najwyraźniej podczas remontu klatki nikt nie miał zamiaru bawić się w jej odkręcanie albo oklejanie folią. Wszystko machnięto za jednym razem. Lichy chwycił za poręczę i szarpnął. Ani drgnęła. Tyle dobrze, że nie skręcę tu karku – pomyślał, i zaczął się wspinać. Kłapa była wykonana z kilku desek. Poruszyła się, gdy tylko Lichy jej dotknął.

Wszedł na dach i mróz zjeżył mu włosy na karku. Niezidentyfikowany opad wciąż szalał, chyba nawet nieco się wzmógł. Lichy osłonił twarz by nie stracić oczu. Wiatr rozbijał się o niezliczoną ilość ostrych blach, sterczących z wylotów kominowych, i metalowych linek porozpinanych wszędzie, Bóg jedyny i pan majster ze spółdzielni wie po co, gwizdząc przy tym coś pomiędzy *Cwałem Walkirii* Wagnera a *The Sacrilegious Scorn* Dimmu Borgir.

Gdzie jest ta pierdolona antena?

Spróbował odsunąć trochę dłoń od oczu, ale się nie dało. Pomyślał, że będzie musiał przejść na drugi koniec budynku. Tam, gdyby się odwrócił, miałby wiatr za plecami. Ale w takich warunkach równie dobrze mógłby się wybrać na K2. Kawalek dalej, po prawej stronie, zobaczył jakąś zabudowę. Wyglądała jak budka mieszcząca mechanizm szybu windy, tyle że tu przecież nie było windy. Ale po pierwsze, mógł się tam schronić przed

wiatrem, a po drugie, logicznym byłoby umieścić antenę w najwyższym punkcie dachu. Wziął więc głęboki wdech i ruszył w tamtą stronę. Dwa razy potknął się o coś, co wystawało z dachu, jednak w końcu dotarł do budki i przykucnął za nią. Miała dwa metry wysokości i powierzchnię wielkości kuchni w jego chropaczowskiej melinie. Na frontowej ścianie znajdowały się drzwi, obok których ktoś wysprejował czerwony napis „BAZA CHAOSU”. To była pierwsza rzecz, która naprawdę go rozbawiła tego wieczoru.

– Jeśli to faktycznie jest siedziba chaosu – krzyknął do samego siebie – to powinienem tu mieć swój *vip room*.

Myślał, żeby wejść do środka i chwilę się ogrzać, ale na drzwiach wisiała kłódka. Zresztą, właśnie wtedy zobaczył antenę. Dwa metry dalej, tuż przy krawędzi.

Wziął kilka wdechów i ruszył w tamtą stronę. Antena bujała się na wietrze jak wąż strażacki pod ciśnieniem pozbawiony operatora. Przymocowana była do żelaznego pałaka za pomocą dwóch drutów, a jeden, ten u góry, najwyraźniej się poluzował. A raczej został poluzowany przez kogoś z ekipy remontującej dach. Pewnie utrudniał dostęp. Lichy zsynchronizował się z ruchem anteny i udało mu się ją złapać. Wyjął z kieszeni komórkę.

– Halo?! – krzyknął do niej.

– Halo?! Halo?! – Kobieta również krzyczała. Pewnie odruchowo. Skoro ktoś do niej krzychał, to i ona krzyczała. Ale tym razem się to przydało. Inaczej nie byłby jej w stanie usłyszeć.

– Obracam antenę – poinformował Lichy. – Proszę dać znać, czy obraz się poprawia.

– Nic się nie dzieje.

Obrócił antenę jeszcze kawałek.

– Nic – zameldowała Zielska.

Ręce miał zupełnie skostniałe. Bolały go z zimna. Przeklinał w duchu tę antenę, Zielską, całe to głupie miasto i życie. Jego jebane życie. W takich chwilach jak ta lepiej niż kiedykolwiek rozumiał samego siebie. Swoje wybory, decyzje i poczynania.

– Jest! Jest! – Usłyszał w słuchawce. – Nie, nie. Tak, jak poprzednio. Jeszcze trochę. O tak! Tak niech pan trzyma.

– Co mam, kurwa, trzymać? – warknął do siebie Lichy. – Do usranej śmierci mam tak z tym stać? Jeśli tak, to niezbyt długo.

– Tak jest dobrze?! – krzyknął do słuchawki.

– Tak. Tak!

– Rozłączam się.

Schował telefon do kieszeni i przytrzymując antenę w odpowiedniej pozycji, zaczął odkręcać poluzowany drut. Szło mu ciężko, bo palców nie czuł od dawna, a to była jednak precyzyjna robota. Z tym nieczuciem palców to zresztą nie do końca tak, bo kiedy usiłując rozplątać ten – dosłownie, jak i w przenośni – węzeł gordyjski, przejechał palcem po ostrym jak katana mistrza Ni-Chu-Ja kawałku drutu i rozciął opuszek od paznokcia aż po środkowy paliczek, to poczuł to bardzo wyraźnie.

– Kurwa!!! – wrzasnął, bardziej ze wściekłości niż bólu. Szybko dokręcił drut i wycofał się za bazę chaosu. Krew lała się z niego jak lawa. Za chwilę cała dłoń była czerwona. A on nie miał tego nawet czym opatrzyć. Zacisnął na zranionym palcu drugą dłoń, licząc, że w ten sposób wspomocze trochę swoje trombocyty, ale próżna to była nadzieja.

– Kurwa – powtórzył. Umazaną we krwi ręką, tą zdrową, bo teraz już umazane były obie, sięgnął do kieszeni i wyjął pigwówkę. Wetknął ją między kolana i naparł na nakrętkę. Puściła. Nim zdążył pomyśleć, chlusnął zawartością na ranę. Natychmiast zrozumiał, jak bardzo

popierdolony był to pomysł. Ból odebrał mu zmysły i zaszklił oczy. Lichy odłożył butelkę, skulił się, wkładając obie ręce pomiędzy uda, które następnie zacisnął. Stracił równowagę i runął na bok. Leżał tak przez kilka sekund, które zdały się trwać wieczność. Jednak po chwili ból spowodowany przez alkohol dezynfekujący ranę minął, a i sam palec przestał boleć. Układ nerwowy musiał doznać takiego szoku, że chwilowo zawiesił aktywność w tym obszarze. Lichy chwycił butelkę i w jednej chwili pochłonął resztę zawartości. Poczuł, jak ciepło rozlewa mu się po wnętrznościach. Nie spodziewał się aż takiej błogości. Picie alkoholu nigdy nie sprawiało mu przyjemności. Nie smakowała mu woda, nie miał pojęcia, jak Świetlicki mógł twierdzić, że jest smaczna. Ale tym razem było po prostu wspaniale.

Odrzucił umazaną krwią butelkę i ruszył na dół.

– *Jezus Maria* – zajęczała Zielska. – Jezus. Bandaż pan ma?

– Nie – odparł, nawet mimo tego, że było to z gruntu idiotyczne pytanie.

Telewizja Polska nadawała właśnie jakiś program, w którym dowodzą ponad wszelką wątpliwość, że winny jest Tusk, ale Lichy nie usłyszał, o którą z rozlicznych win chodziło. Zielska nakleiła mu plaster na palec.

– Powinien pan bardziej uważać – pouczyła go. – Niech pan umyje ręce. Łazienka jest przy wejściu.

Posłuchał jej. Gdy spłukiwał krew z rąk, zastanawiał się, czy tym razem znów jego jelita zaprotestują przeciwko alkoholowi. Działo się tak średnio raz na każde cztery razy. Bywało, że cudem zdążył dotrzeć do toalety, niejednokrotnie zresztą nieswojej. Włócząc się po mieście z flaszką, zwykle wybierał jedną ze swoich ulubionych tras, które zawsze zawierały w sobie wytyczony przez niego samego Szlak Stacji Benzynowych. Tym razem

jednak alkoholu było niewiele i na razie nic nie wskazywało na to, że Lichy może się doczekać jakichś sensacji żołądkowych.

Wyszedł z łazienki, gdzie już czekała na niego Zielska.

– No? Udało się?

– Co się miało nie udać?

– Co tu się dzieje? – Usłyszał naraz za sobą głos.

– No i widzi pan? – Zielska splotła ręce pod ogromnym biustem. – Mówiłam.

Lichy odwrócił się i ujrzał mężczyznę o trudnym do określenia wieku. Głównie dlatego, że z pewnością był opóźniony. Nie miał zespołu Downa, ale sądząc po samej fizjonomii, niewiele mu brakowało. Ręce miał wyciągnięte przed siebie. Nienaturalnie krótkie i pozbawione palców. Nie miał ani jednego.

– Kto to? – zapytał mężczyzna.

– Pan z telewizji – odparła matka. – Przyszedł naprawić antenę.

– I naprawił?

– Naprawił, naprawił.

– No to niech idzie. Muszę się wyspać. Mam pracę rano.

– Ale zapłacić trzeba – zauważyła Zielska.

– Nie trzeba – powiedział szybko Lichy, zwracając się bezpośrednio do Konrada. – Znałem kiedyś twojego brata.

– Mojego brata? – Konrad się zdziwił i spojrzał na matkę.

– No, jeśli nie trzeba, to Bóg zapłać – powiedziała kobieta. Lichy zrozumiał, że ona nie robi tego celowo. Po prostu nie rozumie, o czym on mówi.

– Pójdę już – powiedział. – Przepraszam za porę.

Wyszedł, niepożegnany przez nikogo. Palec pod plastrem pulsował i tak miało pozostać jeszcze przez kilka dni. Ale nie dbał o to. Zastanawiał się, gdzie jest najbliższa Żabka. Albo chociaż stacja benzynowa. Musiał kupić alkohol. Czuł, że nie panuje nad tym pragnieniem i że nawet nie chce panować.

Gdy trzy godziny później leżał na wpół przytomny na ławce w katowickim Parku Kościuszki, do którego dotarł, nie wiedząc jak i kiedy, zadzwoniła jego komórka. Wyjął telefon z kieszeni i mrużąc oczy spojrzął na wyświetlacz. Ujrzał na nim ciąg cyfr. W pierwszej chwili nic mu to nie powiedziało, ale za moment przypomniał sobie, co to za numer. Domowy telefon Zielskiej. W pierwszym odruchu chciał odebrać, ale po co właściwie miałby to robić? Czego ona może chcieć? Pewnie antena znów nie działa. Raczej nie zamontował jej zbyt porządnie. Ale przecież, do cholery, nie był monterem. Zignorował więc połączenie i schował telefon do kieszeni. I tak był już prawie rozładowany. Jeśli Zielska chce, niech się na niego poskarży firmie zatrudniającej monterów.

Telefon zadzwonił ponownie. Potem jeszcze raz. A potem bateria padła.

ROZDZIAŁ 15

Dzień 3

Obudził się o dwunastej, we własnym barłogu, choć kompletnie nie pamiętał, jak do niego trafił. Czuł się potwornie, ale czy to cokolwiek zmieniał? Jego „racjonalne ja” znów powtarzało: *A widzisz? Na co ci to było? Tak jest za każdym razem. Nie lubisz alkoholu i nie potrafisz go pić. Rzygasz, srasz, tracisz kontrolę i łapiesz dziury w życiorysie. Odkąd wpadłeś w to gównno, nie żyłeś łącznie przez kilka tygodni. Nie żyłeś. Nie było cię. Był ktoś inny, kogo nie znasz, kto posługując się twoją twarzą i twoim ciałem, robił, co chciał, nie martwiąc się o konsekwencje. A potem budzisz się brudny i śmierdzący, z głową ciężką, jak...*

– Spierdalaj – warknął Lichy do swojego „racjonalnego ja”. Nie miał już ochoty tego słuchać. Odruchowo pomacał podłogę obok materaca, a gdy wyczuł kształt pilota, bez patrzenia wcisnął „play”. Robił to tysiące razy. Wiedział, gdzie znajduje się przycisk. Z głośnika popłynęło *That's the way it is* Daniela Lanois. Lichy nie miał pojęcia, dlaczego tak się katował. Odkąd pamiętał, zawsze wybierał piosenki, które opowiadały jego historię „tu i teraz”. Nieważne, kto je wykonywał, ważne, o czym były. Po rozstaniu z Różą na okrągło katował *Wish you were here*, ale nie Pink Floydów, tylko szwedzkiego popowego Rednex. Chyba dlatego, że była smutniejsza. Tak mu się w każdym razie zdawało. Przeplatał to z napisaną przez Jeremiego Przyborę – ponoć dla Agnieszki Osieckiej – a zaśpiewaną przez Grzegorza Turnaua piękną i smutną balladą *Pejzaż bez ciebie*. I tak mu się to toczyło. Czyżykiewicz, Nosowska, Bajor, Przemyk, Geppert, Błaszczyk. Kiedy już

trochę się przyzwyczał, przeszedł do zagranicznych wykonawców. A teraz słuchał tego, co przekonywało go, że życie toczy się dalej i na chuj drażnić temat. Średnio działało, ale przynajmniej mógł się nad sobą trochę poużalać.

Jednak w tym utworze było coś jeszcze. Zapowiedź nieuniknionego. Artur Morgan podążał przy nim ku swemu przeznaczeniu. Ku małej chwalebnej, za to niechybnej śmierci.

Podniósł telefon i ujrzał na nim nieodebrane połączenie. Tylko jedno. Od Krzywańskiego. Przypomniawszy sobie, że w nocy rozładowała mu się bateria. Nie mógł być więc w aż tak złym stanie, skoro pamiętał, by go naładować.

Oddzwonił. Krzywański odebrał po trzecim sygnale.

– Opuściłeś poranne spotkanie – powiedział pozbawionym złości, ale zmęczonym głosem.

– Przepraszam – odparł Lichy. Minęło ledwie kilka chwil, od kiedy się poznali, jednak Lichy szanował starego policjanta i nie zamierzał go okłamywać. Nie zamierzał jednak również się pogrążyć, więc po prostu pominął wytłumaczenie. A Krzywański się go nie domagał.

– Masz coś ciekawego? – zapytał.

– Mam kilka rzeczy, które sprawdzam. Być może jutro będę gotów, by zdać jakiś raport. A co u was?

– Nic.

– Nic?

– Spotkanie było krótkie. Żadnych nowych śladów. Żadnych nowych wniosków.

Lichy westchnął i coś mu zarzęziło w płucach. Mimo to wyciągnął z paczki papierosa i zapalił.

– Robią cię w chuja, Krzywy – wychrypiał.

– Nie rozumiem.

– Robią cię w chuja. Trzeci dzień bez wniosków? Błagojew ma do dyspozycji wszystkie zabawki, a nie zbałał nawet rozmów ofiary? Nie dał żadnego tropu? Wcześniej wydawał mi się dość entuzjastyczny.

– Twierdzi, że są jakieś komplikacje.

– Ta... Jedna. Nazywa się Cyra.

– Lichy...

– Szefie, Cyra to złośliwy nowotwór. Gdzie się pojawi, są przerzuty. Błędem było dołączenie go do zespołu.

– On to samo mówi o tobie.

– Ja jestem tylko pijakiem ze skłonnościami samobójczymi. A on... – urwał, bo w ostatniej chwili przypomniał sobie, jaka była umowa pomiędzy nim, Cyrą, wydziałem wewnętrznym i prokuratorem ze stołecznej.

– Mnie już wszystko jedno – powiedział Krzywański. – Jeśli chce złapać mordercę na własną rękę, niech to zrobi. Tylko, na litość boską, niech to się już skończy.

– Dobrze się czujesz, szefie?

– Nie. Za dużo mnie to kosztuje. Nigdy nie powinienem był brać tej sprawy.

– Rozwiążemy ją. Nikt już nie umrze.

– Możesz to obiecać? – Krzywański zaśmiał się smutno i Lichemu naraz zrobiło się szkoda podinspektora.

– Mogę obiecać, że dopadniemy go w kilka tygodni.

– Obyś miał rację. Co do spotkania, raz przymknę oczy. Jeśli jutro nie przyjdiesz, to wylatujesz z zespołu. Jasne?

– Tak.

Krzywański się rozłączył, a Lichy przez kilka chwil usiłował sobie przypomnieć, co miał dziś zrobić. No tak. Szpital onkologiczny.

Wziął długi prysznic, który przyniósł mu trochę ulgi. Ciepła woda odstresowała włókna mięśni brzucha, zespawane ze sobą od poprzedniego wieczora. Skończyło się to krótką wizytą w toalecie, po której Lichy wrócił pod natrysk. Gdy skończył i wszedł do pokoju, poczuł smród, który niemal spowodował wymioty. Smród jego samego. Otworzył okno, nie zważając na temperaturę świata. Wyjął z szafy czyste ubrania. Slipy, skarpetki, T-shirt. Przedostatni komplet. Czeka go pranie. Miał je zrobić jeszcze w zeszłym roku. Kosz z brudami wyglądał jak kubek z coca-colą po wrzuceniu do niego paczki mentosów.

Róża opowiadała mu kiedyś o jednym onkologu. Doktor Garvash Sahi, który przybył do Polski z Nepalu, ukończył tu medycynę i pracował w Katowickim Centrum Onkologii. Róża powiedziała mu o nim chyba tylko dlatego, że Sahi był Szerpą, co wydawało jej się interesujące w kontekście miejsca urodzenia Lichego.

Nikogo innego Lichy nie znał, więc nie tracił wiele czasu na namyślanie się. Czekał go długi spacer na dworzec w Świętochłowicach i krótka wycieczka pociągiem do Katowic. Ubrał stary, znoszony płaszcz, sięgający połowy ud. Był jednym z tych nielicznych szczęśliwców, którzy dobrze wyglądali we wszystkim. A w każdym razie na zewnątrz, bo wewnątrz swojego „ja” raczej nie spodziewał się rozochoconych niezapomnianymi wrażeniami turystów. Był trochę jak Sana. Piękna w prospektach reklamowych, ale wystarczyło zanurzyć się w miejskiej tkance, by poczuć, że to w istocie piekło.

Winda nie działała. A raczej działała, po prostu dwa piętra niżej, z mieszkania naprzeciwko pogorzelniska, wyprowadzali się lokatorzy. Był tam spory ruch. Ekipa przeprowadzkowa pracowała na pełnych obrotach.

Co się dało, pakowali do windy, resztę będą musieli znieść po schodach. Na parterze spotkał Szampona. Siedział na schodach, tym razem bez kumpli, ale za to z komórką, co w dzisiejszych czasach oznaczało to samo. Gdy ujrzał Lichego, skinął mu głową. Lichy zrobił to samo.

Gdy wyszedł na zewnątrz, okazało się, że nic nie widać. Mgła czy smog? Lichy czytał kiedyś, że smogu nie widać. Cząstki pyłów były za małe, by dało się je dostrzec, a szary opar nad miastem równie dobrze może być zwykłą mgłą. Co nie znaczyło jednak, że w tej mgle nie ma smogu. Skoro go nie widać, to równie dobrze może być i może go nie być.

Puknął się w czoło, jakby samego siebie chciał zbesztać za rozmyślanie o niczym. Wciąż było zimno, ale nie tak, jak poprzedniego dnia. Może dlatego, że ustąpił nieprzyjemny, sztormowy wiatr. Poprawił rękawiczki i ruszył w kierunku wyjścia z osiedla, ale właśnie wtedy usłyszał klakson. Usunął się z drogi i uniósł rękę w przeproszającym geście. Lazł jak krowa, środkiem ulicy. Ale klakson się powtórzył, a potem usłyszał kobiecy głos, wykrzykujący jego nazwisko. Odwrócił się i ujrzał niewielkie auto w dziwnym kolorze. Podjechało do niego, szyba od strony pasażera się uchyliła i kobieta siedząca za kierownicą zawołała:

– Wsiadaj, Lichy. Podrzucę cię.

Miał wrażenie, że już ją gdzieś widział, ale nawet gdyby tego wrażenia nie doświadczył, i tak by wsiadł. W aucie było ciepło, a on nie bał się jeździć z nieznajomymi. Szczególnie, jeśli nieznajomy był kobietą.

– Już myślałam, że cię nie ma – powiedziała. – Czekam tu od ósmej.

– Dlaczego? – Lichy był zaskoczony.

– Nie znam twojego adresu. Ustaliłam tylko, że mieszkasz w tym bloku.

– Kto ci o tym powiedział? Zresztą, nieważne. Dlaczego od czterech godzin czekasz na mnie pod blokiem, w samym środku zimy?

– Czterech i pół – powiedziała, wjeżdżając w Łagiewnicką, gdzie trochę przyspieszyła. Nieznacznie. Mgła ograniczała widoczność do kilkunastu metrów. – Gdzie się wybierasz?

– Do KCO.

– Idealnie. – Uśmiechnęła się. – Jakies sto metrów od mojego mieszkania.

– W porządku. Więc... – Zawiesił głos, celując w nią palcem, licząc, że to wystarczająco wymowny gest, i się nie pomylił.

– Liliana Wejhert – przedstawiła się.

– O właśnie. Wejhert. Spotkaliśmy się ostatnio?

– W sylwestra.

– A, pamiętam. Jak sprawy z mężem?

– To nie jest mój mąż. I sprawy mają się bardzo dobrze. Facet przestał się odzywać.

– Aha.

Od kilku minut usiłowała mu to powiedzieć, ale wciąż nie mogła się zdobyć. Ciekawe. Ona, bezwzględna, bezkompromisowa, bezczelna, a jednak przecież uczciwa na tyle, na ile się da w tym zawodzie. Lichy coś do niej mówił, ale słyszała tylko zniekształcony szum. Zamknęła na chwilę oczy. Nie na tyle, by stracić panowanie nad autem, ale wystarczająco, żeby osiągnąć maksimum skupienia.

– Przepraszam, że napisałam ten artykuł – wypaliła. – Właśnie dlatego na ciebie czekałam. Żeby ci to powiedzieć.

– Jaki znowu artykuł? – Lichy był solidnie zdziwiony, ale nawet nie w połowie tak bardzo, jak ona.

– No... – wyjąkała – ten, przez który cię zwolnili.

– Nie czytałem żadnego artykułu.

– Serio?

– A zwolnili mnie przez... Inne powody.

– Jakie?

– Czego ty właściwie ode mnie chcesz, Wejhert?

– Nie wiem – przyznała, zanim pomyślała. – To znaczy, chciałam cię przeprosić, bo byłam przekonana, że przeze mnie zwolnili cię z pracy.

– Pewnie nic nowego dla ciebie – odparł Lichy. Nie miał cienia intencji, by nadać tej wypowiedzi ironicznego charakteru, ale Wejhert tak właśnie ją odebrała.

– Trochę zabolalo – powiedziała – ale masz rację. Tyle że zwykle zwalniałam... Bo ja wiem? Chyba takich, co na to zasługiwali. Oszustów, złodziei, nawet morderców. Wysyłałam ich za kratki tak samo skutecznie, jak ty. Ale ty przecież...

– Nie umartwiaj się. Mam gdzieś twój artykuł. Nawet nie wiedziałem, że istnieje, więc nie mógłmnie za bardzo obejść.

– Całe szczęście. Pomijając treść, to był beznadziejny tekst. Właściwie nawet go nie napisałam. Zrobił to mój praktykant. Ja tylko złożyłam parafkę.

– Aha.

– Dlaczego cię zwolnili?

– Nie mogę ci powiedzieć.

– Nie możesz, czy nie chcesz?

– Jedno i drugie. Ale przede wszystkim, nie mogę. I nadal nie rozumiem, dlaczego chcesz to wiedzieć. Pisziesz jakiś nowy tekst?

– Boże uchronaj – powiedziała szybko. – Nigdy więcej takich tabloidowych paszkwili. Może i się dobrze klikają, ale wstyd nie jest tego wart.

– Więc?

– Nie wiem, Lichy. Naprawdę nie wiem. Włączył mi się jakiś proces. Nie umiem tego wytłumaczyć. Czuję, jakbym miała rozgrzebaną jakąś sprawę, która mi mocno ciąży.

– To porozmawiaj z prokuratorem z Krajowej. Albo z naszymi wewnętrznymi.

– Chciałam to zrobić, ale sprawa jest głęboko zakopana i nie dotarłam do nazwisk. Może ty mi jakieś podasz?

Lichy zaśmiał się głośno. Z jakiegoś powodu rozczuliła go ta kobieta. Odnosił wrażenie, że ją lubi. Nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy ostatnio pomyślał tak o innym człowieku. Ona też się zaśmiała, bo poniewczasie zrozumiała, jak naiwne zadała pytanie. Tyle że Lichy nie był zobowiązany, by milczeć w tej kwestii. I naprawdę miał gdzieś, co Wejhert może na jego temat wywęszyć.

– Wewnętrzny prowadzący sprawę nazywał się Mąka – powiedział. – Nie pamiętam imienia, ale nazwisko jest dość charakterystyczne.

– Skurwysyn – szepnęła Wejhert.

– Nie, jak na wewnętrznego to bardzo przyzwoity.

Zapadło milczenie. Wejhert powędrowała do komnaty przemysleń, a Lichy nie do końca zrozumiał, co miał oznaczać jej komentarz pod adresem Mąki. Zresztą, i tak miał to w dupie, a wjechali właśnie do Katowic, więc skupiał się już na kolejnym zadaniu. Im bliżej szpitala, tym bardziej bezsensowne mu się zdawało. Jaka była szansa, że ktokolwiek powie mu coś, co będzie stanowiło jakikolwiek przełom w sprawie? A potrzebował przełomu. Kręcił się w kółko. Wprawdzie, zaraz po przebudzeniu zaświtała mu w głowie jakaś myśl, coś, co nie pasowało, co sypnęło odrobinę piachu w tryby jego percepcji, ale myśl zniknęła, nim zdołał ją uchwycić. W nocy znów śnił mu się pożar. Ogień był ciepły

i przyjemny. Wołał do niego. Przyzywał go. Lichy nie chciał się obudzić. Szukał pod powiekami resztek tej sennej mary i nie zdołał się skupić na tej drugiej sprawie.

Chwilę potem zatrzymali się na ulicy przed głównym wejściem do szpitala.

– Dzięki – powiedział tylko tyle i szarpnął klamkę.

– Poczekaj – poprosiła Wejhert i pasażer zamarł w pół ruchu. – Wiem, że wróciłeś do pracy. A to oznacza, że dzieje się coś ważnego. Nie, poczekaj. Nie pytam, co. Wiem, że mi nie powiesz. Ale gdybyś potrzebował pomocy, to zadzwoń.

Wyjęła ze schowka pod łokciem wizytówkę. Leżała w nim od wielu miesięcy. Podała ją Lichemu, a ten zapytał:

– Co, szukasz przygód?

– Mam dużo kontaktów, dostęp do wielu baz danych i informatorów. Umieję zdobywać informacje. Po prostu... Chcę się przydać. Jeśli będziesz potrzebował.

– Dzięki – powtórzył Lichy i schował wizytówkę do portfela. Tam, gdzie wiele innych, z których nigdy nie skorzystał. Z tej też nie skorzysta. Był tego pewien.

Mgła nie odpuściła. Idąc w kierunku głównego wejścia, Lichy widział zaledwie zarys masywnej bryły szpitala. Miał do przebycia krótki dystans, a i tak poczuł, jak zamarzają mu włoski w nosie.

Gdy był już w środku, kilka chwil spędził na poszukiwaniu informacji. W końcu ją znalazł i poprosił siedzącą tam tęgą kobietę o spotkanie z doktorem Sahi. Pani była wyraźnie rozbawiona końcówką konwersacji z kimś skrytym wewnątrz kantorka, jednak prośba Lichego znacznie popsuła jej humor.

– Przykro mi – powiedziała. – Pan ordynator już dziś nie przyjmuje gości.

– Ordynator? – zdziwił się Lichy, bo był przekonany, że Róża nic mu nie wspominała o wysokiej szarzy Sahiego. – Jakiego oddziału?

– Chirurgii onkologicznej – odparła, spoglądając na niego nieco podejrzliwie. – Umawiał się pan?

– Nie – odparł.

– Więc przykro mi.

Lichy czuł, jak narasta w nim złość, ale nic nie mógł zrobić. Wciąż nie miał blachy. Był przekonany, że gdyby zaświecił tej babie odznaką, doktor Sahi szybko znalazłby dla niego czas. Chwilę zastanawiał się co robić, ale szybko doszedł do wniosku, że tylko marnuje czas. Nie spotka się z doktorem, a gdyby nawet się spotkał, pewnie i tak nie dowiedziałby się niczego interesującego.

Ruszył do wyjścia, ale nim tam dotarł, ujrzał na ścianie dużą tablicę informacyjną. Zawierała listę nazwisk i numery gabinetów. Doktor Sahi zajmował gabinet numer trzysta trzy, na trzecim piętrze. Lichy obejrzał się za siebie. Hetera w kantorku nie mogła dostrzec klatki schodowej, więc wolnym krokiem ruszył na górę.

Szedł bardzo długo. Ktoś mógłby powiedzieć, że celebrował każdy krok, ale w rzeczywistości po prostu nie miał siły. Trzydziestodwuletni mężczyzna. Na pierwszy rzut oka niemal atleta. Wystarczająco wysoki, wystarczająco dobrze zbudowany, wystarczająco silny. Ale bez jakiegokolwiek energii. Nie sapał, wspinając się na trzecie piętro, ale i ani na moment nie puścił poręczy. Sam to sobie robisz – pomyślał, Bóg wie, który już raz.

Zwykły gwar izby przyjęć zniknął w połowie drogi. Na trzecim piętrze nie było nikogo. Do wąskiego korytarza, ulokowanego wzdłuż budynku,

architekci poprzyklejali dziesiątki drzwi prowadzących do zacisznych gabinetów. Naprzeciw wejścia znajdował się numer trzysta dwanaście, więc Lichy skręcił w lewo i policzył znajdujące się tam drzwi. Musiał ich minąć dziewięć, co zwiastowało długą wyprawę. Szacował, że zajmie mu to ze czterdzieści sekund. Jednak gdy minął drzwi „trzysta cztery”, spotkała go niespodzianka. Kolejne w ogóle nie miały numeru, a jeszcze kolejne znajdowały się znacznie dalej, na końcu korytarza. Lichy nie mógł dostrzec oznaczenia tamtych drzwi, ale wysyp plastikowych tabliczek nieopodal framugi świadczył, że to tam znajduje się gabinet ordynatora. Zapewne wejście do sekretariatu, a dopiero stamtąd do królestwa Sahiego.

Co jednak w obecnej chwili nie miało większego znaczenia. Ponieważ na klamce tych anonimowych, pozbawionych numerka drzwi, przy których właśnie stał, Lichy spostrzegł ślady krwi. Niewiele ich było, ale niewątpliwie świeże. Zamarł na moment z dłonią nad klamką. Jego głowa wykonała kilka analiz, jednak tak to już z głową Lichego bywało, że nie zawsze informowała go o wnioskach. Najwyraźniej wśród przetwarzanych informacji nie znalazła się żadna, która warta byłaby przesunięcia do kolejnego etapu rozważań. Wzruszył więc ramionami i nacisnął klamkę. Drzwi zaskrzypiały.

– Halo? – rzucił w przestrzeń Lichy.

Pomieszczenie okazało się czymś w rodzaju połączenia kantorka na artykuły gospodarcze i magazynu rzeczy niewyrzucalnych, czyli tego wszystkiego, czego człowiek wie, że nigdy już nie użyje, ale kiedy przychodzi moment, by się ich pozbyć, no to jakoś się nie da. Na starym regale stały jakieś słoiczki wypełnione cieczą. Niewątpliwie coś w niej pływało, jednak w pomieszczeniu było ciemno, a szkło matowiła gęsta maź, niezwykła substancja powstała z wymieszania kurzu i chemii. W kącie,

połamany i poskręcany, stał plastikowy szkielet, kiedyś zapewne służący studentom anatomii. Dziś nie sprawdziłby się nawet jako strach na wróble.

A na podłodze, pod ścianą, dokładnie na wprost od wejścia, gdzie jakimś cudem zachowała się odrobina miejsca, siedział doktor Sahi. Wzrok miał nieobecny, a jednocześnie świadomy. Trochę za długie jak na zajmowane stanowisko czarne włosy przyklejone były do głowy za pomocą potu i czarnej gumowej opaski, takiej samej jak ta, w której przed laty zadziwiał na boisku piłkarskim Jan Tomaszewski. Zielony fartuch lekarski Sahiego zaplamiony był krwią. Podobnie jego dłonie. I podobnie butelka Jim Beama, którą w nich trzymał.

– Nie wolno tu wchodzić – powiedział cicho doktor.

– Nie zamknął pan drzwi – zauważył Lichy.

– Fakt. Niech pan to zrobi, dobrze?

Lichy zamknął drzwi, choć nie od zewnątrz, jak zapewne wyobrażał sobie Sahi.

– Nazywam się Lichy – powiedział.

– Lichy? Narzeczony Róży? A może już mąż?

– Niestety, ani jedno, ani drugie.

Sahi spojrzał na gościa nieco uważniej, choć nie było to łatwe. W pomieszczeniu było tylko jedno niewielkie okienko, ulokowane tuż pod sufitem.

– Przykro mi – powiedział i wyciągnął w kierunku przybysza butelkę. – Chcesz się napić?

– Nie. Dzięki.

– Rozumiem. Jesteś policjantem, mam rację? Przyszedłeś mnie zamknąć? Nie otworzyłem tej butelki, możesz sprawdzić. Tylko ją trzymam i wyobrażam sobie, jak bardzo mi się przysłuży za kilka godzin.

- Chcę tylko pogadać.
- Co u Róży?
- Nie wiem.
- Ach – stropił się. – Fajna dziewczyna.
- Tak. Jako ordynator wciąż pan operuje?

Sahi nie odpowiedział i nie było potrzeby, by odpowiadał. Zamiast tego powiedział:

- Fajnie cię poznać, Lichy. Choć to wizyta w stylu Copiego.
- W sensie, że nie w porę?
- Fan gejowskiej literatury?
- Widziałem to kiedyś w teatrze.
- Czego potrzebujesz, Lichy?

– Anna Milewska, Dorota Wardęga i Anna Ochocka. Trzy kobiety, które leczyły się onkologicznie. Chciałbym się dowiedzieć, czy możesz mi coś o nich powiedzieć.

Później, przypominając sobie tę scenę, Lichy uznał, że właśnie w tym momencie przywrócił Sahiego do życia. Oczy doktora rozbłysły, a twarz stężała. Niemal dało się usłyszeć, jak wertował w głowie Kodeks Etyki Lekarskiej.

– Wiesz, że nie mogę ci nic powiedzieć, prawda? Nie bez nakazu sądu, zgodnie z artykułem sto osiemdziesiątym kodeksu postępowania karnego.

- Często powtarzasz tę formułkę?
- Na okrągło – przyznał Sahi. – Ale taki mam obowiązek.
- One nie żyją.
- Do cholery, Lichy! Jestem chirurgiem onkologicznym. Pracuję na najcięższych przypadkach. Wszyscy moi pacjenci nie żyją.
- Ale nie wszyscy kończą z obciętą głową.

Sahi nie znalazł na to odpowiedzi i Lichy przyznał sobie punkt w tej potyczce na słowa. Zdobył zainteresowanie doktora.

– Rozwiń, proszę, tę myśl – poprosił Sahi. Lichy rozłożył ręce w nieco zbyt teatralnym geście.

– Niestety – odparł. – Ja też nie mogę wszystkiego powiedzieć.

– No tak, no tak, oczywiście. Ale chyba i tak powiedziałeś za dużo. Trzy kobiety, obcięte głowy, zabójca. Seryjny?

– Nie wiem.

Proces myślowy niemal wyświetlił się na twarzy Sahiego. Trzy zamordowane kobiety. Seryjny morderca grasujący w okolicy. Gdzie jest teraz moja żona? Czy powinienem do niej zadzwonić?

– O co ci właściwie chodzi? – zapytał w końcu.

– Nie rozumiem.

– O co ci chodzi, Lichy? Przyjechałeś tutaj i pytasz mnie o te kobiety. Dlaczego? Dlaczego to miałyby być ważne?

– Ponieważ myśląc o tym wszystkim, rozważam wspomagane samobójstwo.

– Jak to?

– Osoby z nowotworami chyba częściej niż inni popełniają samobójstwo, myślę się?

– Nie, nie mylisz się.

– Więc?

– Czy było więcej ofiar?

Lichy nie odpowiedział.

– Czyli było – stwierdził doktor. – Czy inne ofiary również leczyły się onkologicznie?

– Jest więcej powodów, dla których ludzie się zabijają – powiedział Lichy. – Problemy finansowe, sercowe czy po prostu depresja.

– Czyli nie ma to bezpośredniego związku z onkologią.

– Posłuchaj, Sahi, rozpatruję wspomagane samobójstwo. To, że ktoś pomagał popełnić samobójstwo osobom, które chciały je popełnić. Czy to z powodów onkologicznych, czy jakichkolwiek innych.

– Ale przez obcięcie głowy?

Przez obcięcie głowy i jakiś upiorny teatrzyk – pomyślał Lichy, ale nie było sensu zdradzać doktorowi więcej szczegółów.

Sahi westchnął i na moment zniknął. Lichy niemal widział, jak doktor rozplywa mu się w oczach. Koniecznie musiał go zatrzymać jeszcze przez kilka chwil.

– Doktorze?

Sahi mrugnął i spojrzał na Lichego tak, jakby widział go pierwszy raz w życiu, a poprzednie kilka minut nigdy się nie wydarzyło.

– Nie zapytałeś – powiedział zmartwiałym głosem – nie zapytałeś, dlaczego tu siedzę. To dość nietypowe, nie sądzisz? Ja, ten składzik, ta butelka.

Lichy nie odpowiedział.

– Myślałem, że się przyzwyczaję – powiedział doktor. – Że z czasem będzie łatwiej. Ale nie jest. Przeciwnie. Z miesiąca na miesiąc znoszę to coraz gorzej.

– Przykro mi.

– Na pewno. Ale nawet nie zapytałeś.

– To nie moja sprawa. Ślady krwi na korytarzu sugerują, że przyszedłeś tu prosto z oddziału onkologii dziecięcej.

– Myślę, że się mylisz, Lichy. Myślę, że to nie było wspomagane samobójstwo.

– Dlaczego?

– Kojarzę jedno nazwisko z wymienionych przez ciebie. Dorota Wardęga. Była moją pacjentką. Dobrze ją pamiętam. Bardzo młoda, bardzo naiwna, ale pełna życia i, jakby to powiedzieć, umiłowania dla życia.

– Prawicowa?

– Nie, skąd. Dokładnie przeciwnie. Kiedyś mówiło się o takich „dzieci-kwiaty”. Poza tym, miała dziewczynę. Odwiedzała ją taka jedna.

– Lesbijka?

– No tak. Nie wiedziałeś? Coś w ogóle wiecie w tej policji?

– Dlaczego więc zakładasz, że nie popełniła samobójstwa?

– Ona tu była, kilka lat temu. Miała jakieś osiemnaście lat. Coś koło tego, nie pamiętam już dokładnie.

– Dwa lata przed śmiercią. Sześć lat temu.

– Chodziła po korytarzach z gitarą i usiłowała śpiewać poezję. Ani głosu, ani słuchu, ale wiesz, Wolna Grupa Bukowina, Stare Dobre Małżeństwo i inne w tym stylu. Była na oddziale kimś w rodzaju samozwańczego psychologa. Ciągłe się śmiała, wszystkich zagadywała, bezustannie i do znudzenia powtarzała każdemu, że wszystko będzie dobrze, że trzeba walczyć, nie wolno się poddawać, że życie jest piękne i tym podobne bzdury.

– To źle?

– Niby nie, ale jeśli wygadujesz takie rzeczy do ludzi z siódmym krzyżykiem, którzy ostatnie lata przeżyli w niewiarygodnym bólu, bólu, którego nie da się opisać, ludzi, którzy raczej marzą o tym, by już po prostu umrzeć, to sam rozumiesz, że to nie pomaga.

– Mam wrażenie, że jej nie lubiłeś.

– Jestem lekarzem. Nie ma dla mnie znaczenia...

– A ja jestem zwykłym psem – przerwał mu Lichy – i mam w dupie, co powinienes, czego nie powinienes, co przysięgałeś, a czego od ciebie oczekuje misja, którą sprawujesz.

– Dobrze. Masz rację. Nie lubiłem jej. Ciągle do mnie przyłaziła. Bezustannie. Każdego dnia. Zdawało jej się, że jesteśmy superkumplami. Świergotała o tym, jakim jestem wspaniałym lekarzem i o tym, jak źle mnie traktują Polacy, że powinienem już dawno być kimś ważniejszym, ale przez rasizm i ksenofobię blokują moją karierę. A przecież moja kariera rozwijała się i rozwija bardzo dobrze. Teraz mam trzydzieści dziewięć lat i jestem ordynatorem chirurgii onkologicznej. Ale przecież ona wiedziała lepiej. Rasizm i ksenofobia.

– A nie doświadczasz tego w Polsce?

– Jestem w Polsce od dwudziestu lat. Mogę powiedzieć tyle, że dużo więcej razy dostałem po mordzie, kiedy mieszkałem w Kathmandu.

– Myślałem, że jesteś tu dłużej. Świetnie mówisz po polsku. To znaczy... Mam nadzieję, że cię to nie uraża.

– Nie, nie uraża, ponieważ ciężko na to pracowałem.

– Nie wiesz nic o innych? O Annie Milewskiej i Annie Ochockiej?

– Nie wiem. Mogę sprawdzić, choć nie powinienem.

– Odwdzięczę się.

– Jasne.

Lichy wstał i zawiesił się na moment. W takich chwilach, tych sekundach, a nawet niekiedy dziesiątych częściach sekundy, gdy człowiek powinien się odwrócić i wyjść, a jednak jeszcze przez to okamgnienie chce poprzebywać w towarzystwie innego człowieka, wówczas właśnie nawiązują się przyjaźnie. Wyciągnął rękę w kierunku doktora. Człowieka,

do którego wbrew miejscu, czasowi i okolicznościom, być może nawet wbrew logice, poczuł dziwną sympatię. Wyciągnął rękę nie na pożegnanie, ale by pomóc Sahiemu wstać. Doktor chwycił wyciągniętą dłoń, jęknął i z wydatną pomocą Lichego podniósł się z podłogi. Był całkiem wysoki jak na Azjatę. Wzrostem niemal dorównywał Lichemu.

– Do zobaczenia – powiedział policjant.

– Dziękuję.

– Za?

– Nie wiem. Po prostu dobrze, że akurat przyszedłeś. To jednak nie była wizyta w stylu Copiego.

Lichy kiwnął głową i wyszedł. Niczego się nie dowiedział. Ale też się cieszył, że tu przyszedł.

ROZDZIAŁ 16

Łysa wtuliła się w skórzany fotel, a że była drobną kobietą, mogło się wydawać, że niemal w nim leży. Spoglądała w górę, w miejsce, gdzie kończy się sufit, a zaczyna przednia szyba. Trochę do środka, trochę na zewnątrz. Trwała w tej dziwnej czasoprzestrzeni. Gdzieś w strefie komfortu, a jednocześnie czując, jak przez szybę zagląda jej w oczy mrok.

Od kiedy zwolniono ją z policji, tego jej właśnie najbardziej brakowało. Przemierzania niemal pustych ulic metropolii, poszatkowanych jedynie rozbryzgami świateł ulicznych latarni. Gdy w tle słychać było rżenie policyjnego radia, partner prowadził pewnie, ale w skupieniu, mając świadomość, że nie jedzie do nocnego po sześciopak, a do pracy, w której może zdarzyć się wszystko. Każdy inaczej się do tego przygotowywał. Ona właśnie w ten sposób. Rozwalając się w fotelu i niemal pozwalając się hipnotyzować miastu.

Ruslan za pomocą swoich czarodziejskich zabawek szybko wytypował numer, który mógł należeć do kochanka Joanny Laudy. Wprawdzie połączeń nie było dużo, ale za to o podejrzanych godzinach. Telefon był na kartę, ale użytkownik go zarejestrował. Nazywał się Sebastian Wąpierz, choć w środowisku znany był jako „Kominek”. Według policyjnych baz danych miał dwadzieścia cztery lata i jakiś drobny wyrok za posiadanie trawki. Brak informacji o aktualnym miejscu zamieszkania i pracy. Trzeba było rozpytać ucholi i to zajęło najwięcej czasu. W końcu jednak Wica, jeden z najstarszych informatorów Cyry, dał cynk, że Wąpierz każdego

wieczora przebywa w klubie „Zgorzel”. Martyna nie miała pojęcia, co to za miejsce.

Ale Cyra tak. Słyszał już trochę pogłosek. Migrujący klub. Nie dłużej niż pół roku w jednej lokalizacji. Brak szyldu, reklamy, profilów w mediach społecznościowych. Przybytek wierny zasadzie, że kto ma wiedzieć, gdzie i kiedy, ten wie. Poza tym więcej krążyło o „Zgorzeli” legend niż w jakikolwiek sposób zweryfikowanych informacji. Jedni mówili, że to klasyczny gejowski klub, inni, że klasyczny gejowski klub to przy „Zgorzeli” kółko różańcowe. Cyra wzdrygał się na myśl o tym miejscu. Nienawidził pedalstwa do tego stopnia, że nieco odważniejszy lub nieco mniej ostrożny psychiatra mógłby się pokusić o jakąś interesującą analizę. Nie będąc człowiekiem głupim, Cyra sam nawet kiedyś się nad tym zastanawiał. Doszedł do wniosku, że mężczyźni tacy jak on, samce alfa, zwyczajnie mają zapisane w DNA, by tępić słabe i nieprzydatne jednostki. Tym właśnie byli dla niego homoseksualiści. Żalonymi słabeuszami, niezdolnymi do zaspokojenia kobiety, którzy szukali pocieszenia wśród takich samych jak oni. Cyra nie znosił słabeuszy. Gardził nimi.

Opuszczony przed laty budynek Śląskiego Instytutu Naukowego, przez mieszkańców Katowic nazywany Brutalem, zlokalizowano przy ulicy Granicznej 32. Zbudowany został w latach pięćdziesiątych, w stylu brutalistycznym, zgodnie z modą architektoniczną tamtych lat. Krótko mówiąc, był to po prostu ogromny betonowy kłoc, tym jedynie urozmaicony, że ustawiono go na słupach. Sprawiał dzięki temu niezwykle wrażenie. Jakby był bardzo ciężki i bardzo lekki jednocześnie. Służył Instytutowi przez z górką czterdzieści lat, a potem go opuszczono i popadł w ruinę.

Do budynku nie przylegał żaden parking. Choć w sercu miasta, Brutal skryty był pomiędzy blokami, Biblioteką Śląską i centrum handlowym.

Cyra po prostu postawił auto na tyłach. Ruch drogowy w tym kwadracie praktycznie nie istniał.

– To chyba nie tutaj – powiedziała Martyna. – Nic tu się nie dzieje.

– Wsłuchaj się dokładniej – odparł Cyra.

Już lata temu Brutal stracił wszystkie szyby, teraz jednak wyraźnie było widać, że okna są świeżo zamurowane. Z budynku dobiegał ciężki do scharakteryzowania dźwięk. Zupełnie jakby był czopem wielkiej kaldery, w której dudni wzbierająca lava. Nieprzyjemny i niepokojący dźwięk.

Znów padał śnieg. W miejscu takim jak to, sprawiał wrażenie jeszcze cięższego i brudniejszego niż zwykle. Nie ma na świecie miast jednoznacznie pięknych i jednoznacznie brzydkich. Każde ma swoje lepsze i gorsze kadry. Jest jednak niemal pewne, że kochający życie i podróże turysta z dowolnego kraju, znajdując się tego dnia w tym miejscu, prawdopodobnie popadłby na depresję. Okolica wymarła do tego stopnia, że nie słychać było nawet wszędobylskich wron.

Cyra rozejrzał się i ujrzał samotną postać, skrytą w głębokim podcieniu budynku. Z pewnością był to mężczyzna, jednak miał na sobie biały futrzany płaszcz. Bardzo obszerny. I raczej damski. Cyra skinął dłonią na Łysą i ruszyli w kierunku mężczyzny. Ten dostrzegł ich i się wyprostował. Gdy podchodzili, zlustrował ich od stóp do głów. Bez cienia zażenowania.

Musiał mieć nie więcej niż dwadzieścia lat, ale wyglądał na starszego. Może dlatego, że na twarzy miał makijaż, jaki robią sobie starsze kobiety.

– Fajna szminka – rzuciła Łysa. – Dior? Nie, nie, czekaj, Yves Saint Laurent. Uwielbiam tę czerwień.

Mężczyzna zignorował ją i przesunął się odrobinę, tak, by zasłaniać sobą masywne drewniane drzwi.

– Zaproszenia, polecenia, prezenty? – zapytał, z tak nieznośną egzaltacją i tak pogardliwą manierą, że niewątpliwie starannie

wystudiowaną.

– Prezenty – odparła Martyna. – Ale w środku.

Selekcjoner przyjrzał jej się jeszcze raz. Nie po to, by cokolwiek nowego dostrzec. Raczej, by Martyna poczuła na sobie jego oceniający wzrok. To również z pewnością było wyuczone. Potem zwrócił się w stronę Cyry. Jego otaksował spojrzeniem w mniej natarczywy sposób.

– Pan może wejść – powiedział. – A pani nie. Jest pani ładna, ale za mało.

– Odsuń się, cioto – warknął Cyra, chwytając selekcjonera za płaszcz i ciskając nim o ziemię jak workiem ziemniaków. Natychmiast otworzyły się drzwi i w ułamku sekundy do Cyry doskoczył facet o rozmiarach niespotykanych wśród przedstawicieli ludzkiego rodzaju. Stał bardzo blisko policjanta, ale żeby spojrzeć mu w oczy, musiał pochylić głowę.

– Nie lubisz ciot, co? – powiedział bardzo spokojnym głosem człowieka, którego nikt i nic nie było, nie jest i nigdy nie będzie w stanie skrzywdzić. Nieśmiertelni są zwykle bardzo niebezpieczni.

– Nie lubię – odparł Cyra, nie ustępując rywalowi nawet o krok. – A ty?

Ochroniarz nie odpowiedział. Świdrował przybysza wzrokiem. Żuchwa mu się nieznacznie poruszała, co świadczyło o tym, że buzuje w nim gniew. Zwyciężył jednak rozsądek i doskonale rozwinięty zmysł obserwacji. W końcu uśmiechnął się nieznacznie i odsłonił drzwi.

– Nie straszcie nam gości – powiedział, a potem odwrócił się w stronę selekcjonera, by pomóc mu wstać.

Martyna nie była przygotowana na to, co stanie się, gdy przekroczą drzwi. Cyra tym bardziej.

Natychmiast pochwyciła ich muzyka. Głęboko basowe, regularne uderzenia elektronicznej perkusji choć niepokojące, w niezwykle zmysłowy sposób pieściły uszy. Zaraz po przekroczeniu progu zrobiło się

ciepło. Łysa odruchowo rozpięła zamek puchowej kurteczki. Cyra widział to jak we śnie. Coś dziwnego działo się ze światłami w tym przybytku. Stroboskop migał wściekle, ale najmocniej oddziaływały na zmysły kolorowe snopy, w zmiennym rytmie uderzające gdzieś spod sufitu. A wszystko rozpływało się w kolorowych oparach wydmuchiwanym z dyskretnie poukrywanych wśród fantazyjnej scenografii dysz. Policjant czuł, jak krew pulsuje mu w skroniach. Nienawidził tego uczucia. Było nienaturalne i niepokojące. Przełknął ślinę. Przetarł twarz dłonią. Nic.

Rozdzielili się, choć wcześniej tego nie planowali. Martyna zniknęła mu z oczu, jednak nie myślał już o tym, bo jego mózg rejestrował nowe, nieznane dotąd bodźce. Noszenie ubrań najwyraźniej nie było w tym miejscu obowiązkowe, a zupełnie prawdopodobne, że nawet niemile widziane. Nim Cyra zdążył pomyśleć, co ma właściwie do zrobienia, jego wzrok samoistnie skupił się na przechodzącej obok kobiecie. Miała na sobie długą siateczkową suknię, przy czym oczka siatki były większe niż oczy Cyry w tym momencie. Zupełnie jak w baśni Braci Grimm, gdy król nakazał mądrej wieśniaczce, by przybyła do niego nie będąc naga, ale i nie będąc ubraną. Duże i grube sutki pomazane miała jakimś fluorescencyjnym fluidem. Podobnie jak wąski pasek skóry w miejscu, w którym kobiety miewają niekiedy włosy łonowe. Cyra oblizał wargi. Gdyby mijająca go zjawa mogła zauważyć jego wyraz twarzy, uznałaby zapewne, że jest obrzydliwy. Ale zjawa nie widziała niczego. Policjant był pewien, że w jej krwi krążył gęsty koktajl zblendowanych pierwiastków, niekoniecznie organicznego pochodzenia. Na ulokowanej pod ścianą czerwonej jak krew sofie leżały w bezruchu dwie wtulone w siebie kobiety. Jedna była szczelnie zakryta długą, czarną suknią, zupełnie jak zakonnica albo żona zazdrosnego Araba, druga – wprost przeciwnie. Nie miała na sobie zupełnie nic.

Cyra poczuł się naraz bardzo niepewnie. Jakby zszedł do wielkiej, ciemnej jaskini, w której natychmiast się zgubił i znikąd nie mógł się spodziewać pomocy. Otaksował spojrzeniem pomieszczenie. Po chwili zrobił to drugi raz. A potem trzeci. Za każdym razem widział zupełnie inne slajdy, przesuwane mu przed oczami przez hipnotyzującą symbiozę światła i dymu. W uszach mu huczało. Nie słyszał własnych słów. Pomyślał, że jeszcze chwila i trzeba się będzie stąd ewakuować. Ale czy trafi do wyjścia?

Ale wówczas jeden z rozbłysków stroboskopu wydobył z ciemności duży, zbudowany na planie koła bar. Cyra natychmiast ruszył w tamtą stronę. W głębokich fotelach, które mijał, dwie znudzone, a być może po prostu nie do końca obecne, kobiety popijały drinki. Obok jednej z nich powoli i dostojnie, jak wierzba na wietrze, kołysał się wysoki mężczyzna w masce przedstawiającej jakiegoś południowoamerykańskiego demona. Prócz maski mężczyzna był nagi. Wyprężoną i – Cyra pomimo obrzydzenia musiał to przyznać – ogromną męskość przesunął tuż przed ustami kobiety. Ona zaś, jak w hipnozie, podążała wzrokiem za jego ruchem. Od czasu do czasu wydymała nieco usta. Ich obwód zwiększał się wówczas akurat o tyle, by następował dotyk. Trwał ułamek sekundy, niczego nie zmieniał i do niczego nie prowadził. A jednak Cyra poczuł, że sam twardnieje. Zaklął głośno, a przecież zupełnie bezgłośnie.

Idąc dalej, ujrzał Martynę. Snuła się przez tłum. To pojawiała mu się w kadrze, to znikwała. Widział jednak wyraźnie, jak zatrzymała się na moment, zamknęła oczy, a jej ciało rozkołysało się jak dym. Wyciągając ręce ponad siebie, zatoczyła biodrami dwie parabole o przeciwnych sobie wektorach, a potem, przysiadając delikatnie, przesunęła dłońmi po piersiach. Obok niej, a właściwie niemal w niej wyginał się mężczyzna w ciemnych okularach. Tuż obok, całując się namiętnie, w zgodnym,

falującym i niewątpliwie wytrenowanym ruchu, rozwiewali się w dymie dwaj mężczyźni. Obaj o budowie młodych bogów. Cyra mógł to bez trudu ocenić. Ich identyczne skórzane spodnie, w kolorze połyskującej gwiazdami nocy, i białe T-shirty były nie tylko kompletnie obcisłe, ale i mokre od potu. Chłopaków różniły jedynie napisy na koszulkach. Na plecach jednego widniało słowo active, a na drugiego passive.

Wszystko trwało jednak tylko kilka sekund. Martyna wyprostowała się i ruszyła dalej. Za chwilę znowu zniknęła mu z oczu, a on dobrnął w końcu do baru. Tam, plecami do niego, niewielki facet czyścił właśnie szklankę. On również miał napis na koszulce. Można się było z niego dowiedzieć, że ma na imię Alan, i że lubi oral i anal. Pod spodem wypisany był jego numer telefonu. Cyra westchnął.

– Hej, księżniczko – zawołał i zdumiał się, jak donośny stał się naraz jego głos. „Zgorzel” była być może klubem dla popaprańców, ale zaprojektowanym i urządzonym z głową. Przecież kelner musi słyszeć, co zamawia jego gość. Mężczyzna odwrócił się do niego. Najpierw otaksował gościa wzrokiem, potem uśmiechnął się lekko i podszedł do kontuaru. Jednak czyszczenia szklanki nie przerwał.

– W czym mogę ci pomóc? – zapytał.

– Szukam Sebastiana Wąpierzka.

– Kogo?

– Kominka.

– A kto pyta?

– ...nie błądzi – dopowiedział Cyra, stukając o kontuar odznaką. Kelner nic nie odpowiedział, nie przestał czyścić szklanki, ale nieznacznie machnął głową w kierunku północnego końca sali. Tam, na podwyższeniu odgradzającym strefę VIP od reszty lokalu, na dużym okrągłym stole obklejonym szczelnie przez rozneglizowane i niewątpliwie pijane kobiety,

tańczył mężczyzna. Miał na sobie eleganckie spodnie od garnituru, ale nic więcej. Ciało atlety, wyrzeźbione lepiej niż cokolwiek, co wyszło spod dłuta Michała Anioła. Wirtuozi chronometrów potrafią niekiedy stworzyć zegarek o prześwitującej kopercie. Można wówczas dostrzec pracę każdego, najmniejszego niemal elementu. Tak samo było z tym gościem. Cyrze się zdawało, że jego skóra jest przezroczysta i widać przez nią nie tylko pracę wszystkich mięśni i ścięgien, ale również rozbłyśki impulsów elektrycznych w układzie nerwowym.

– Sebastian Wąpierz?! – krzyknął, zbliżając się do stolika. Tańczący mężczyzna z pewnością nie mógł go usłyszeć, a jednak jakiś szósty zmysł poinformował go o obecności nieproszonego gościa. Gdy się odwrócił, Cyra wyciągał już do niego blachę. Facet uśmiechnął się, przestał tańczyć i podszedł do krawędzi stolika, ku niezadowoleniu stłoczonych tam pań. I naraz szybko, bez ostrzeżenia, wyprowadził kopniaka prosto w twarz Cyry. Policjant zdołał zbić kopnięcie, ale stracił równowagę. Wąpierz chciał skorzystać z okazji, odbił się od krawędzi i usiłował przeskoczyć nad Cyrą, ale ten zdołał go chwycić za nogawkę. Półnagi atleta zwałił się na podłogę. Policjant wygiął się jak struna, wyprowadził na oślep uderzenie łokciem, a potem przetoczył się na swoją ofiarę. Wówczas jednak poczuł przejmujący ból w czaszce i szkło zdzierające mu skórę z policzków. Za chwilę kolejne, jeszcze dotkliwsze uderzenie. To wściekle fanki Wąpierza ruszyły mu na odsiecz. Ciskały w Cyrę szklankami mniej lub bardziej wypełnionych całą kafeterią alkoholi i innych napitków. Nad jedną z nich chemia musiała przejść kontrolę w całości, bo rzuciła się na policjanta z pięściami. Była szczupłą młodą dziewczyną w typie supermodelki. Miała na sobie czerwoną, obcisłą sukienkę na ramiączkach, która od dołu w jednej chwili podjechała do pasa. A w klubie „Zgorzel” noszenie bielizny nie było obligatoryjne. Wskoczyła Cyrze na plecy i zaczęła tłuc w tył głowy.

On obrócił się na plecy, by zrzucić ją z siebie lub przynajmniej zyskać odrobinę kontroli. Udało się połowicznie. Siedziała teraz na nim okrakiem, wciąż uderzając pięściami w jego głowę. Ramiączka zjechały nieco z ramion i spomiędzy warstw materiału wyskoczyły jej małe, trochę kanciaste, ale zupełnie kształtne piersi. Robiąc ledwie krok wstecz, mimowolni świadkowie nie byliby w stanie określić, czy ci dwoje się biją, czy uprawiają namiętny seks. Do cholery, nie wiedział tego nawet sam Cyra, który znowu odczuł, jak erekcja rozrywa mu bokserki. Przestał osłaniać twarz i natychmiast otrzymał cios, ale kobieta nie miała za dużo siły. Nie mogła mu zrobić krzywdy. On zaś chwycił ją za dekolt i mocno przyciągnął do siebie. Straciła równowagę i upadła na niego. Miał ochotę wycharczeć jej do ucha, że zaraz ją obróci, chwyci za szyję i przykładowie zerznie na oczach wszystkich. Ale już dobiegali do nich inni ludzie, a Wąpierz mijał właśnie kolejny stolik. Dosiadająca Cyry kobieta odzyskała równowagę i znów wzniosła ręce do ciosu, ale jemu skończyła się cierpliwość. Uderzył ją łokciem. Krótco, ale dynamicznie. Nos dziewczyny pękł jak choinkowa bombka. Poczul na twarzy jej gorącą krew, a potem stała się bezwładna. Zrzucił z siebie nieprzytomne ciało, zerwał się z podłogi i chciał ruszyć w pogoń, ale zachwiał się. Ciało miał ciężkie, zupełnie jakby właśnie wyszedł z basenu po przepłynięciu czterdziestu długości. Zacisnął zęby i ruszył przed siebie. Serce zaczęło mu walić, a na twarz wystąpił pot. *To dym – powtarzał sobie, to ten pierdolony dym.* Dodają coś do niego. Na pewno coś dodają. Łysa, gdzie jesteś? Gdzie, kurwa, jesteś? Potknął się i wyrznął w jakiś stół. Posypało się szkło, a on znów upadł na kolana. Poczul jakieś miękkie dłonie, głaszczące mu skronie. Uniósł głowę i tuż przed nosem ujrzał mokrą od potu twarz kobiety. Włosy lepiły jej się do policzków. Wygięta jak struna przyjmowała w siebie mężczyznę z maską południowoamerykańskiego demona. Napierał, jakby

usiłował ją złamać w pół, ona jednak tylko cichutko pojękiwała, z niemą fascynacją wpatrując się w twarz Cyry. Wrzasnął, by dodać sobie siłę, i powstał. W feerii barw widział rzeczy, o jakich nie śniło mu się ani w najrozkoszniejszych snach, ani najczarniejszych koszmarach. Ruszył dalej. Byle szybciej, byle dalej stąd. Ale do kurwy nędzy, przecież to prawdziwy labirynt! Już widział połyskujący na zielono znak zawieszony nad wyjściem, lecz drogę zastawiła mu sofa. Na sofie w ekstazie, a może agonii leżał siwowłosy mężczyzna. Był nagi od pasa w dół. Prawą dłonią przytrzymał wzwiedzonego członka, a lewą topił w długich, czarnych włosach młodego chłopaka. Chłopak spojrzał na Cyrę, pochylił się nad męskością tamtego, a potem, wciąż nie odrywając oczu od policjanta, otworzył szeroko usta, wysunął lekko język i naraz zgasł. Sofę zalała ciemność, a w zamian za to światło rozbłysło gdzie indziej. *To halucynacje* – wołał do siebie Cyra – *to mi się tylko wydaje*. Przeczłogał się jakoś przez sofę i dopadł w końcu wyjścia. Na schodach poczuł chłodniejsze powietrze i zdziwił się, jak bardzo rozkoszne może to być odczucie. Z każdym stopniem odzyskiwał siły. W końcu wypadł przed klub.

– Dokąd pobiegł?! – wrzasnął do ochroniarza.

– Nie widziałem – odparł tamten, w sposób oczywisty kłamiąc. Selekcjonera nigdzie nie było. Pewnie poszedł przypudrować nosek.

Ale głowa Cyry pracowała już poprawnie. Wąpierz tu bywał. Musiał więc pobiec w prawo. Tam są zabudowania i zagajniki. W lewo ruchliwa ulica. Skoczył w prawą stronę. Kilka sekund biegł w podcieniach, ale nie spieszył się przesadnie. Tamten był boso i w samych spodniach. Brnął po pizsczele w śniegu. Nie mógł daleko uciec. Choć obficie sypało, nawet stąd widział ślady stóp. Wychynał w końcu spod zadaszania i dobiegł do narożnika budynku.

Wąpierz nawet nie dobiegł do zabudowań. Leżał teraz w śniegu. Ciało miał całe czerwone. Łysa siedziała na nim okrakiem z dźwignią założoną na staw barkowy. Zbieg rzeźił.

– Wszystko w porządku?! – krzyknęła Martyna.

– Tak – odparł, ale głosem raczej słabym. Na szczęście policjantka nie zwróciła na to uwagi. – Patrz, co za grzeczny zbój – wystękał, rzucając jej kajdanki. – Uciekł akurat tam, gdzie zaparkowałem samochód.

– Wzorowa współpraca. – Łysa się zaśmiała. – Ładujemy?

– Nie. – Cyra również się uśmiechnął. Paskudnie.

– Błagam – wystękał Wąpierz. – Zimno mi.

– To dlaczego się nie ubrałeś? – zapytał policjant, powoli odzyskując rezon. Na dłoni miał krew.

– Wszystko okej? – powtórzyła pytanie Martyna.

– Zaraz zamarznię – jęknął uciekinier, ale nic więcej nie zdążył powiedzieć, bo Cyra wymierzył mu soczystego kopniaka prosto w słabiznę. Wąpierz skulił się i rozkaszał.

– Jestem bardzo dumny z mojej skórzanej tapicerki – powiedział wolno Cyra. – Nie widzę żadnej możliwości, by pokalać ją takim śmieciem jak ty. Dlatego zadam ci kilka pytań. Jak grzecznie na nie odpowiesz, to być może, podkreślam, być może cię wypuszczę i będziesz mógł się ogrzać w tej pedalskiej jamie. Rozumiesz?

– Błagam, ja nic nie zrobiłem.

– Coś zrobiłeś – odparł Cyra.

– Nic nie zrobiłem.

Kolejny kopniak. Wycelowany w twarz, ale w sposób na tyle sygnalizowany, by Wąpierz zdołał go zablokować. Cyra potrzebował go przytomnego. Pochylił się nad więźniem, zbliżył usta do jego ucha.

– Spierdalałeś – wywrzeszczał. Wąpierz szarpnął się wściekle, jakby fala uderzeniowa płynąca wprost z rozeźlonych strun głosowych Cyry rozerwała mu bębenki, połamała młoteczek i stopiła kowadełko. Może zresztą tak było.

– Błagam – załkał. – Wszystko powiem.

– Świetnie – powiedział policjant. – Więc wstań. Może dzięki temu wyziębisz się trochę później.

Dość długo zbierał się z ziemi, a gdy to robił, Martyna zwinęła mu komórkę z kieszeni na tyłku. Próbowala ją odblokować, ale pojawiło się polecenie przyłożenia odcisku palca. Niezadowolona strzeliła balonem. Dopiero wówczas przypomniała sobie, że żuje gumę. Wypluła ją z niesmakiem.

– No dobrze – powiedział Cyra. – Co robiłeś w sylwestra?

– W sylwestra?

– Czy ja mówię niewyraźnie?

– Nie, nie. Byłem tutaj. To znaczy w „Zgorzeli”.

– Z kim?

– Z... No ze wszystkimi. Mam masę świadków. Stali bywalcy.

– Sprawdźmy monitoring? – zapytała Łysa. Ale Cyra nie zdążył odpowiedzieć.

– Co wy. – Wąpierz się rozkaszał. Zaczynał dygotać. – W „Zgorzeli” nie ma monitoringu. Nie wolno nic nagrywać ani robić zdjęć. Raz podpadniesz, nigdy więcej nie wejdiesz.

– A Joanna Lauda?

– Joanna?

– Joanna Lauda – powtórzył Cyra.

– Co z nią?

– Była z tobą?

– Nie.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Ale dlaczego miałyby być?

– Dlaczego miałyby być? Może dlatego, że ją posuwałeś, idioto – wysyczała Martyna, wyraźnie tracąc cierpliwość. Chciało jej się spać, to był długi, w dodatku zimny dzień. Cyra dostrzegł, że policjantka powoli traci nad sobą panowanie. Ale to był dobry moment, by to wykorzystać. Odsunął się więc tylko, a ona, łapiąc w lot, że tego wieczora to jej przypadła rola złego policjanta, to znaczy gorszego policjanta, doskoczyła do Wąpierz, i choć był od niej dwie głowy wyższy, chwyciła go za włosy i zmusiła, by uklęknął.

– No?! – krzyknęła mu prosto w twarz. – Gadaj, albo będę cię tu trzymać, aż zamarzniesz.

– Ale ja naprawdę nic nie wiem – wystękał Wąpierz. – Nic nie wiem. Co z tego, że uprawiałem z nią seks? O co wam w ogóle chodzi?

– O to – wtrącił Cyra – że ją zamordowano, a ty ją rznąłeś tuż przed śmiercią. Rozumiesz?

Nie mógł jej zabić. Oboje natychmiast to pojęli. Czasami wyraz zaskoczenia na twarzy przesłuchiwanego jest tak autentyczny, że po prostu niemożliwe, by został przywołany z potrzeby chwili.

– O matko – szepnął. – Ja jej nie zabiłem.

– Więc dlaczego uciekałeś? – zapytał Cyra.

– Nie zabiłem jej. W ogóle jej nie znałem. To był tylko...

Łysa uderzyła go otwartą dłonią prosto w policzek. Potem jeszcze raz, ale lżej.

– To był tylko seks, tak? – zadrwiła. – Tylko może dla niej to nie był tylko seks? Rzuciła dla ciebie męża. Myślisz, że o tym nie wiemy?

– Jezu, to zupełnie nie tak.

– No to, kurwa, gadaj w końcu – wrzasnął Cyra.

– Ona była moją klientką.

– Klientką?

– Tak. Klientką. Jestem *escort*.

– Co, kurwa?

– *Escort*. Mężczyznę do towarzystwa.

– Męską dziwką? – Łysa parsknęła śmiechem.

– Skoro tak chcesz – odszczeknął Wąpierz, wyraźnie urażony. To rozbawiło Martynę jeszcze bardziej.

– Męska kurwa, nie do wiary.

– Moment – wtrącił się Cyra – kobiety płacą ci za to, że uprawiasz z nimi seks?

– Nie tylko. Ale tak. Co do zasady.

– Ja pierdolę.

– Praca marzeń, co, Cyra? – Martyna nie przestawała się śmiać. Jej twarz zupełnie zniknęła w obłoku pary, którą wypuszczała z ust.

– Słuchajcie, ona mnie wynajęła, okej? Jeden raz. Spotkaliśmy się u niej. Seks plus nagranie telefonem. Nie wnikałem. Miała tam u siebie niezłe studio filmowe, więc założyłem, że to lubi. Zrobiłem swoje, zabrałem kasę i tyle.

– Czyją komórką był robiony ten film?

– Jej. Ale mam go, jeśli chcecie zobaczyć. Wysłała mi.

– Po co?

– Nie wiem. Tak po prostu. Ona była ostro zboczona. Zresztą, poznałem ją w „Zgorzeli”.

– Pokaż – rozkazał Cyra.

– Pani zabrała mój telefon.

Martyna podała mu aparat. Wąpierzowi skostniały palce, więc chwilę się męczył z czytnikiem linii papilarnych, w końcu jednak odblokował urządzenie, odszukał nagranie, włączył i podał telefon Martynie, która wpatrywała się w niego.

– Ale wielka pała – powiedziała tylko. Cyra parsknął śmiechem i przyłączył się do oglądania. Film był nagrywany z wysoka. Tak, by było na nim widać jednocześnie twarz Laudy, jak i resztę jej ciała, aż do najistotniejszych szczegółów. Leżała na plecach z szeroko rozwartymi nogami, a partner, którego widać było od pępka w dół, wsuwał się w nią dynamicznie i agresywnie. Lauda nie przeżywała zbliżenia tak, jak wówczas, gdy oglądali nagranie w jej mieszkaniu. Zamiast tego wyzywająco i z pogardą wpatrywała się w ekran.

– Zobacz – powiedziała Martyna. – Nie wiem, czym ma powiększane te cyce, ale stawiam, że betonem. Chłop wali w nią jak w bęben, a one nawet nie drgną... A co to, kurwa, jest?

– Gdzie?

– No tu. Ej, Wąpierz? Co ty masz na fiucie?

– To... Kominek – odpowiedział zatrzymany.

– Jaki kominek?

– No tatuaż. Normalnie go nie widać, ale jak mi stanie, to... No dlatego tak na mnie mówią. Kominek.

– Mówiła ci, po co ten film?

– Nie.

– Nagrywałeś sam, czy tak ci kazała?

– Tak kazała.

– Ewidentnie nagrane, żeby szybko zerwać z facetem – powiedziała Martyna do Cyry. – Zobacz, nienaturalnie wykadrowane, widać ją całą. Musiał to kręcić z wysoko wyciągniętą ręką.

– Czyli jej mąż nie kłamał.

– Na to wygląda... Cyra.

Podniósł na nią wzrok, a ona ruchem głowy wskazała mu kierunek. Śnieżna kurtyna rozświetliła się feerią barw. Skrzypienie opon na śniegu dało się słyszeć szybciej niż odgłos silnika pracującego na niskich obrotach. Błyskając czerwono-niebieskimi światłami, na plac wolno wtoczył się policyjny radiowóz. Chwilę jechał prosto, a potem, gdy siedzący wewnątrz funkcjonariusze zorientowali się w sytuacji, skręcili w prawo i podjechali w kierunku Cyry, który tymczasem wyszedł im na spotkanie. Jeszcze jeden zwrot i auto zatrzymało się szybko pasażera w kierunku nadchodzącego policjanta. Szyba zjechała w dół, a Cyra już eksponował odznakę.

– Spokojnie, wszystko pod kontrolą – powiedział.

Policjant siedzący na fotelu pasażera rzucił okiem na odznakę, a potem omiół wzrokiem plac. Był wielki jak niedźwiedź polarny, z tą różnicą, że łepetynę i twarz zupełnie miał pozbawioną owłosienia.

– Czynności? – rzucił do Cyry.

– Małe rozpytanko – odparł Cyra, przywołując na twarz jeden ze swych słynnych uśmiechów.

– On jest prawie nagi, komisarzu.

– Dlatego szybko idzie.

Policjant chwilę milczał. Przysięgłby, że zza pleców Cyry macha do niego ten śmieszny pijaczyna, który wczoraj na Załęskiej pouczał go o praworządności. „Małe rozpytanko”, kilkanaście stopni na minusie.

Prawie nagi mężczyzna. Jeszcze wczoraj nawet by tego nie zauważył. Dziś już tak i nie podobało mu się to. Czy jednak powinien wchodzić w konflikt z komisarzami? No i czy przypadkiem nie działają w imię wyższego dobra? Kurwa, w imię wyższego dobra. Jego ojciec też pałował górników w Wujku w imię wyższego dobra. Wciąż to powtarzał. Bezpieczeństwo państwa tego wymagało. To byli wywrotowcy. Terrorysty. Myśmy mieli rozkazy. Bla, bla, bla. Boże, jak on nienawidził tego pierdolenia. Zrozumiał naraz, że będzie musiał wrócić do tej dyskusji. Pewnie jak zwykle gdzieś w górach, w które uciekał, gdy koniecznie musiał coś sam ze sobą ustalić. Dawno już planował się wybrać na Grzesia. Tatry Zachodnie zimą muszą być piękne.

– Zwijacie go? – zapytał.

– Nie – odparł Cyra z lekkim wahaniem. – Nic na niego nie mamy. Ale to dobry materiał na uchola.

– No dobrze. Komisarzu, my dostaliśmy na to wezwanie.

– Rozumiem. Mam prośbę. Powiedz, że nie ujawniliście, dobra? Nas tu za trzy minuty nie będzie.

Policjant nie odpowiedział.

– Jak się nazywasz? – zapytał Cyra. – Mam wrażenie, że gdzieś już się spotkaliśmy.

– Chutor – odparł aspirant.

– Chutor... – Cyra udał, że szuka w pamięci, ale nie miał prawa znaleźć. Wiedział, że pierwszy raz widział na oczy tego faceta i ten facet też o tym wiedział. Ale mimo wyglądu skalnego trolla, był naprawdę błyskotliwy, dlatego wybawił Cyrę od fałszywych wypominków, marnych kłamstewek i nieporadnego tłumaczenia.

– Komisarzu, trzy minuty, dobrze? Nie chciałbym mieć przez to problemów.

– Trzy minuty, aspirancie, dzięki. – Cyra postukał palcami w dach radiowozu, jakby chciał go wyprawić w dalszą drogę, i faktycznie, kia ruszyła powoli w kierunku końca placu.

Uśmiech znikł z twarzy Cyry, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, choć w duchu przyznawał, że spodobał mu się ten młody aspirant. Niezbyt wnikliwy, ale z pewnością niegłupi. Lojalny, choć niepozbawiony skrupułów. Trzeba będzie zapamiętać tego Chutora.

Tymczasem jednak odwrócił się na pięcie i szybkim krokiem podszedł do Marty.

– Masz jego komórkę?

– Mam.

– Odblokowana? Daj.

Wziął z jej ręki aparat i wybrał numer. Po dwóch sekundach coś cicho zapikało w kieszeni jego spodni.

– Masz teraz mój numer – powiedział do Wąpierz. – Jeśli się czegoś dowiesz, masz mi dać znać, rozumiesz? Bo ja też mam twój numer. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

– Tak – wystękał Wąpierz.

– Dlaczego uciekałeś? – zapytał komisarz.

– A jak ci się wydaje?! – odkrzyknął Wąpierz. Chwila przerwy chyba przywróciła mu nieco animuszu, bo zdawał się być teraz bardziej poirytowany niż wystraszony. – Powiedzmy, że państwo polskie nie przewidziało w CEiDG odpowiedniej kategorii dla mojej profesji.

– Dobrze. Spadajmy stąd – powiedział Cyra do Łysej, a jej nie trzeba było dwa razy powtarzać. Kilka szybkich kroków i już była przy aucie. Cyra kliknął pilotem, policjantka szarpnęła za klamkę i zaraz była w środku. Trzasnęła drzwiami i aż westchnęła z ulgi.

Cyra jednak jeszcze nie zamierzał wracać. Widziała wyraźnie, jak przemawia, stojąc nad swoim więźniem. A potem zupełnie bez ostrzeżenia wyprowadził kopnięcie w korpus. Potem jeszcze jedno i jeszcze jedno.

– Ja pierdolę – powiedziała cicho, zastanawiając się jednocześnie, czy nie powinna zareagować. Nie miała najmniejszej ochoty wyściubiać nosa na ziąb, ale bała się, że Cyra zabije tego idiotę. Nie znała go jeszcze za dobrze, ale coś jej podpowiadało, że mógł to zrobić. Nim jednak podjęła jakąkolwiek decyzję, Wąpierz wstał na drżących nogach i zaczął się kierować ku „Zgorzeli”. A Cyra szybkim krokiem dopadł auta i wskoczył za kierownicę.

– Ale ziąb – powiedział, jakby nic się nie stało.

– Cyra, co to, kurwa, było?

Widziała, jak podskoczyła mu grdyka. Dał sobie chwilę, by nie ukazać się jej takim, jakiego z pewnością nie chciałaby go oglądać. Potem odwrócił się do niej i powiedział najzupełniej spokojnie:

– Kopnął mnie. Zasadził mi kopa prosto w twarz. Gdybym nie sparował, to już bym nie miał zębów. Tacy jak on muszą wiedzieć, że nie wolno na mnie podnosić ręki. Ani nogi.

Mówiąc to ostatnie, roześmiał się, a Martynie udzielił się jego dobry nastrój, nawet jeśli był udawany. Więc i ona się roześmiała.

ROZDZIAŁ 17

Kto spróbowałby wyobrazić sobie anioła, ten pewnie zobaczyłby postać męczyzny o zupełnie ludzkich wymiarach i proporcjach, różniącą się od każdego innego mieszkańca tego łez padołu jedynie parą ogromnych białych skrzydeł. Tu jednak było inaczej. Anioł bardziej przypominał syrenę – do połowy nagą kobietę, od połowy niemożliwy do opisania ognisty kształt. Bo w żywym ogniu była jej postać wyrzeźbiona, ogromna, lewitująca, a choć skrzydła jej nastroszone, to nieruchome przecież. Nie na nich unosiła się w powietrzu. I śpiewała, a jej syreni śpiew przyciągał go do niej, mimo iż świadom był, że tam czeka śmierć. Urzeczony jej pięknem i wiedziony tęsknym wołaniem wszedł wprost w jej ogniste ramiona. A ona objęła go nimi, a zaraz potem nakryła skrzydłami.

Obudził go telefon od doktor Demarczyk, która kazała mu natychmiast przyjechać do zakładu. Nie bardzo przytomny był podczas tej rozmowy, bo sen urwał się za szybko i ze zbyt dużym szokiem wiązał się powrót do rzeczywistego świata, wyczuł jednak w głosie pani doktor jakąś dziwną emocję, znamiona pewnego podniecenia, świadczącego zwykle o chęci przekazania niezwykle ważnych, być może przełomowych wieści. Spojrzał na zegarek. Była dwudziesta druga. Z trudem podniósł się z barłogu.

W wagonie nie działało światło, a okna nie dało się zamknąć, więc było przeraźliwie zimno. Dlatego Lichy wybrał miejsce właśnie tu. Wsłuchiwał się w monotony stuk kół na łubkach i przeklinał się za brak kontroli nad własnym życiem. Zwykle nie dbał o siebie przesadnie. Prysznic, owszem, czyste rzeczy. Ale na tym koniec. No ale przecież wybierał się do tego

gorącego cycznego rudzielca, więc wyjął z szafy czarny cienki golf i marynarkę w tym samym kolorze. W dodatku spryskał się perfumami jak z węża ogrodowego. Wtedy, czyli zaledwie pół godziny temu, wydawało mu się to właściwie. Był podniecony jak nastolatek pierwszy raz oglądający pornosa. Teraz jednak wściekał się na siebie i na to, że znów pozwolił dowodzić swojemu bratu mniejszemu, łapał wdzierający się do przedziału mroźny wicher, w nadziei, że choć odrobinę rozcieńczy bezsporny i niewątpliwie łatwy do rozpoznania dowód jego żalösnej chuci. Co ona sobie pomyśli, do cholery?

I co właściwie mogła mu powiedzieć? Co mogła znaleźć w tym idealnie zakonserwowanym zieloną farbą ciele? Miał tylko nadzieję, że to coś mocnego. Bo sam nie miał nic. Nic. Pustkę. Czuł, że poświęca temu za mało czasu, a jednocześnie całe życie. Po prostu za mało żył. Większość doby przesypiał, zwykle we własnym łóżku, ale nie we własnym życiu. Z drugiej jednak strony, ta praca, to, że znów stanowi trybik jakiejś maszyny, że znów robi coś, co jest komuś potrzebne, to wszystko wzmacniało go. Dawało szansę. I nadzieję.

Ale na razie nie wiedział nic. Sahi jak dotąd milczy. Błagojew przemilcza. Cyra robi wszystko, by w ręce Lichego nie trafiła choćby namiastka informacji. Sekcja nie dała nic. Rozmowa z Kowalczykiem tylko tyle, że Lichy pewien był jego udziału w pierwszym morderstwie. Ale przecież w kolejnych udział rastamana zza krat był wykluczony. Jeden wielki bałagan. Dwie litery „Q” wypisane na piersiach ofiar. Po co? Co oznaczały? Pozamieniane głowy. Po co? Tereny kolejowe. Dlaczego? Być może dlatego, że to zwykle miejsca opuszczone, rzadko uczęszczane. Ale przecież inscenizacje w katowickiej bazie PKP czy na wiacie przystanku Brynowo były bardzo ryzykowne. A, cholera.

Lichy wyjął komórkę, wstukał w Google nazwisko Kowalczyka i Zielskiego. Wciąż był przekonany, że ta sprawa musi się jakoś wiązać z sylwestrowymi morderstwami. Dlaczego Kowalczyk przyznał się do tego morderstwa, choć wydaje się, że mógł uniknąć odpowiedzialności? I dlaczego je w ogóle popełnił? Bo Lichy ani przez chwilę nie wierzył w ową tajemniczą Magdę.

Trafił na jakiś artykuł. Informował o tym, że Kowalczyk został skazany za morderstwo Zielskiego. Tyle. Innych w podobnym tonie było mnóstwo. Bezwartościowych. Na drugiej stronie z wynikami wyszukiwania znalazł jednak coś ciekawego. *Tajemnicze morderstwo w Częstochowie. Co wydarzyło się na koncercie hip-hopowym?* Długi tekst, który już od leadu dawał nadzieję na zbiór ciekawych informacji. Niestety, był za *paywallem*. Lichy zaklął szpetnie, jednak nim jeszcze przekleństwo wybrzmiało, zauważył nazwisko autora artykułu. Wahał się przez chwilę, ale czy miał cokolwiek do stracenia? Sięgnął do portfela, wyciągnął wizytówkę, z której miał przecież nigdy nie skorzystać, a potem wprowadził numer do komórki i nawiązał połączenie.

Wejhert nie odebrała. No tak. Było przecież późno. Lichy zastanawiał się właśnie, czy napisać do niej SMS-a, czy odłożyć pogawędkę na rano, gdy oddzwoniła.

– Przepraszam, że tak późno – powiedział zamiast przywitania. – Nie ogarnąłem, która jest godzina.

– Kto mówi?

– A, prawda. Lichy.

Chwila ciszy, jednoznacznie wskazującej na zaskoczenie jego rozmówczyni. Szybko jednak się pozbierała.

– Lichy? Nie spodziewałam się...

– Wybacz. Naprawdę nie zorientowałem się...

– Nie spodziewałam się, że w ogóle zadzwonisz. A co dopiero tak szybko. Nieważne. Mogę ci jakoś pomóc?

– Tak. Właściwie tak.

– No wiem, Lichy. Po to zadzwoniłeś. Po prostu przejdź do rzeczy.

– Znalazłem w sieci artykuł, który napisałaś, o zamordowaniu Artura Zielskiego. To było dość dawno temu, ale...

– Pamiętam.

– Tak?

– Tak. Poświęciłam temu dużo czasu.

– To świetnie. To świetnie. Czy możesz mi przesłać coś na ten temat?

– Co dokładnie?

– W sumie to wszystko. Wszystko, co masz. Proszę.

– Co się dzieje, Lichy?

– Po prostu jestem ciekaw.

– Akurat. Ta sprawa jest wyjaśniona. Mordercę skazano. Możesz sobie wygrzebać z akt.

– Nie bardzo chcę, by ktoś wiedział, że to sprawdzam. Po prostu...
Prześlesz mi?

– Tak.

– Niedługo?

Usłyszał westchnięcie, a potem Wejhert powiedziała:

– W ciągu godziny.

Podał jej adres mailowy i się rozłączył. Pociąg wtaczał się właśnie na dworzec w Katowicach. Gdy jechał autobusem przez rozświetlone ulice Śródmieścia, przez moment mu się zdawało, że jest nawet jakoś ładnie na zewnątrz. Nie wiało, więc grube płatki śniegu spadały sobie powolutku, niemal zupełnie w pionie, ograniczając widoczność do minimum.

Kierowca pustego autobusu musiał przeklinać taką robotę, ale Lichy patrzył przez szybę jak zahipnotyzowany. I zaraz uśmiechnął się do swoich myśli, bo skojarzył to z samym sobą. Piękna, gęsta zasłona, która owszem, może się podobać, ba, może być nawet piękna, co zupełnie nie zmienia faktu, że zaledwie przykrywa brudne chodniki, obszczone kamienice i wszechobecne psie gówna, w tym również te świeże, wciąż obrzydliwie parujące. Coraz dobitniejsze stawało się jego przekonanie, że ta aparycja, o którą nie prosił i na którą nie zasługiwał, jest właśnie piękną kołderką skrywającą przed ludzkim wzrokiem to wszystko, co miał w sobie i z czego się w gruncie rzeczy składał. Nie próbował tego nazwać, bo zdawał sobie sprawę, że byłby to kolejny krok w czeluść, być może zresztą ostatni. Na razie usiłował udawać, że, jak postronni obserwatorzy, widzi tylko to, co odbija się w lustrze.

Całe to piękno zimowego wieczora zniknęło zresztą równie szybko, jak się pojawiło. Autobus wyjechał ze Śródmieścia, zostawił za sobą uliczne latarnie, których ciepłe światło kolorowało okolicę baśniowym gradientem. Dalej, gdy minęli Starą Ligotę i wiadukt kolejowy w ciągu ulicy Ligockiej, a miejskie lampy jedna po drugiej pogasły, znów było pusto i strasznie. Lichy zamknął oczy i usiłował coś jeszcze rozważyć. Złapać tę jedną myśl, która kołatała mu się ostatnio po głowie. Myśl, która, dobrze to wiedział, rozwiązałaby sprawę sylwestrowych morderstw. Miał to na wyciągnięcie ręki. Brakowało mu faktów, motywów, przemyśleń. Widział twarz, lecz wciąż rozmytą. Wciąż niemożliwą do zidentyfikowania. Ale ten człowiek tam był. I Lichy wiedział, że to on. Tylko dlaczego? Co dostrzegł? Co usłyszał? Co skojarzył? Bez sensu. Wiedział, że i tak teraz do tego nie dojdzie.

Budynek Zakładu Medycyny Sądowej wydobywało z mroku kilka latarni o brzydkim, białym świetle. Wydawały przy tym ciche, lecz

dominujący nad okolicą i bardzo nieprzyjemny dla ucha dźwięk. Lichy czym prędzej przekroczył jak zwykle przez nikogo nie pilnowaną bramę i wszedł do pograżonego w ciemnościach budynku. Zaskoczyło go, że było tam tak ciemno. Czyżby doktor Demarczyk o nim zapomniała? Nie, nie zapomniała. Zrozumiał to, gdy przyświecając sobie ekranem komórki, odszukał kratę prowadzącą na klatkę schodową. Krata była otwarta. Minął ją i ruszył na dół, dłonią opierając się o ścianę dla asekuracji. Dalej były kolejne drzwi, a gdzieś za nimi przełącznik ze światem. Lichy pamiętał, jak doktor Demarczyk go przełączyła. Ale mógł być wszędzie, więc Lichy zrezygnował z poszukiwań.

– Doktor Demarczyk – zawołał przytłumionym głosem, zupełnie bez sensu usiłując nie narobić hałasu, zupełnie jakby był w bibliotece. Odpowiedziała mu cisza. Znajdował się już w głównym pomieszczeniu sekcyjnym. Kawalek dalej, zza narożnika pomieszczenia dobywała się lekka poświata i Lichy ruszył w tamtym kierunku. Wkrótce dotarł do... Co to właściwie było? Jakiś rodzaj kantorka z przeszklonymi ścianami, szkło jednak było matowe i nie dało się dostrzec, co jest w środku. Lichy minął ścianę pomieszczenia i podszedł do znajdujących się za załomem drzwi. Pchnął je.

– Doktor De... – zaczął, ale naraz stanął jak wryty. Idąc tutaj, nie miał żadnych szczególnych oczekiwań, jednak to, co zobaczył i tak w żadnych by się nie mieściło. Wnętrze pomieszczenia rozświetlała niewielka lampka nocna, stojąca w rogu niewielkiego biurka. Obok lampki leżały kobiece ubrania, poskładane w idealną kosteczkę. Wyglądały, jakby wciąż leżały w magazynie producenta, ułożone fabrycznie przez bardzo precyzyjne maszyny. Na szczycie lekarski fartuch. Co poniżej, nie dało się już rozpoznać. Obok krzesła stały buty. Białe tenisówki. Powiedzieć, że czyste, to nie powiedzieć nic.

A po przeciwnej stronie biurka, na pokrytej czarnym, miękkim kocem kanapie siedziała doktor Demarczyk. Brodę opierała na kolanach i tym jedynie sposobem zadość czyniła swojej skromności. Lekko drżącą ręką przykładała do ust cienkiego papierosa. Obok leżała popielniczka. Zupełnie pusta. Na widok Lichego wykonała nieśmiały gest, który miał nieco rozwiać dym.

– Przepraszam – powiedziała. – Palę, bo jestem trochę zdenerwowana.

– Zdenerwowana... – powtórzył Lichy jak echo.

– Ale postanowiłam trochę to przyspieszyć.

Zgasiła papierosa w popielniczce. Bardzo dokładnie. A potem powoli wstała i ruszyła ku Lichemu. Dzielilo ich ledwie kilka kroków, ale czas zwolnił. Idąc, odkryła przed nim wszystkie sekrety swego ciała, a on nie miał pojęcia, na co patrzeć. Nie mieściło mu się to w głowie. Może nawet był w lekkim szoku. A ona falowała, jak tylko wspaniale zbudowana kobieta potrafi. Patrząc na nią, pomyślał nawet, że naga nie wygląda tak dobrze, jak to sobie wyobrażał. Piersi miała trochę za duże i sprawiające wrażenie ciężkich. Brodawki sutkowe dość spore i tak ciemne, że niemal czarne. No i w udach miała trochę więcej, niż wymagał obecnie kanon. Jednak im więcej dostrzegał mankamentów i odstępstw od idealnego modelu wypromowanego przez programy graficzne i medycynę estetyczną, tym bardziej jej pożądał. Była taka realna. A przy tym ciało miała bardzo zadbane. Całkowicie wydepilowane, pozbawione przebarwień, rozstępów i innych skaz. Wszystko to dostrzegł w okamgnieniu, w czasie akurat potrzebnym, by zdążyła podejść do niego, rozpiąć guzik jego płaszcza i położyć mu dłonie na piersi.

– Widziałam, jak na mnie patrzyłeś – powiedziała cicho, trochę wstydliwie. Czterdziestoletnia kobieta, seksualnie ukształtowana w czasach, gdy powszechnie wmawiano takim jak ona, że kobiece

pożądanie, to rzecz w najlepszym wypadku wstydliva, a w najgorszym – niegrzeszna i niemila Bogu.

Nic nie odpowiedział, a ona po raz pierwszy się odważyła i spojrzała mu w oczy. Musiała zobaczyć w nich to, czego oczekiwała, bo westchnęła cicho, a jej dłonie szybkim ruchem zjechały z jego piersi w dół i nerwowo, niecierpliwie zaczęły się szarpać z paskiem.

Lichy tymczasem kompletnie nie wiedział, co się dzieje. Łatwo jest marzyć o takiej kobiecie, jak doktor Demarczyk. Łatwo, bo takie marzenia nigdy się nie spełniają. Pozostają w najbardziej osobistych szufladkach życiowych namiętności, czasem służą celom, których mężczyźni zwykle się wstydzą, i z których niektórzy spowiadają się księdzu. A tymczasem los wykonał salto ze śrubą i postawił Lichego w sytuacji, w której marzył, by się znaleźć, ale zupełnie się na nią nie przygotował. Ona uporała się już z kłamrą paska, a u niego nic się nie działo. Wystraszył się, że nie da rady. Nie byłoby to pierwszy raz, ale pierwszy raz przy pierwszym razie. Bał się, że jego ciało nie zechce się podporządkować. Że, mówiąc wprost i bez ogródek, choć nieraz jego penis zmuszał głowę do podejmowania różnych działań, to teraz nie zamierzał się głowie zrewanżować.

Ale było tak tylko przez chwilę. Bo zaraz nozdrza Lichego wychwyciły, przetworzyły i wprowadziły do krwi aromatyczny koktajl, na który składały się: zapach jej włosów, perfum, podnieconego ciała, dymu papierosowego, i czego tam jeszcze. Ciśnienie, z jakim nastąpił wyrzut dopaminy do krwiobiegu, zachwiało nim, a fala porwała wszelkie wątpliwości, blokady i cokolwiek mogło ich jeszcze powstrzymać. Poczuł, jak doktor Demarczyk chwyta skraj jego bokserów, jak przykucając, ściąga je w dół, zostawiając przy okazji krwawe szramy na jego udach. Gdy ściągnęła je wystarczająco nisko, dowód jego podniecenia wyskoczył spod materiału jak sprężyna i uderzył ją w twarz. Odruchowo odsunęła się odrobinę i zaśmiała, ale

Lichy już nad sobą nie panował. Chwytał ją za pachy, podniósł do pionu i rzucił na kanapę.

– Oooo. – Westchnęła. – Tak lubię najbardziej.

A on skoczył na nią jak wygłodniały szakał, twarz natychmiast chowając pomiędzy jej udami. Przyjemny, leciutko kwaskowaty posmak na języku dopełnił dzieła zniszczenia. Lichy wbił się w nią ustami, jakby chciał ją połknąć. Jęknęła bardzo głęboko, chwyciła jego dłonie, którymi sobie pomagał, a na które ona nie była jeszcze gotowa, i przeciągnęła je sobie na piersi. Robił swoje zapamiętałe, aż mu wargi zdrętwiały, zupełnie jak po końskiej dawce znieczulenia stomatologicznego, a ona wiała się pod jego ustami jak rozwścieczona czarna mamba. Niezbyt zresztą długo, bo zaraz wywinęła się spod niego, a gdy się obrócił, zrewanżowała mu się z równym entuzjazmem. Nie powoli, z czułością, wachlując rzęsami i rzucając powłóczyście, namiętne spojrzenia. Pracowała tak dynamicznie, że aż słyszał, jak jej chrupią kręgi szyjne. A potem? Trudno tu by było mówić o uprawianiu miłości. Pieprzyli się po prostu jak w jakimś durnym, mało realistycznym pornosie, jednym z tych, które oglądając, odczuwa się więcej zażenowania niż podniecenia. Ale tak właśnie było. Ta kobieta, to miejsce, te okoliczności, zapachy, kolory, światło, śmierć. Wszystko to odebrało Lichemu zmysły. Stał się bezwolną kukłą. Niewolnikiem kipiących w ciele procesów chemicznych, którym dawał upust z energią, jakiej pokładów – jak mu się zdawało – od dawna nie posiadał.

Kilkanaście minut później on wciąż usiłował łapać oddech, a ona papierowym ręcznikiem wycierała z piersi i twarzy wszystko, co na niej zostawił. Gdy skończyła, zwinęła ręcznik w kulkę i wyrzuciła go do śmieci wraz z jedynym niedopalkiem, spoczywającym dotąd na popielniczce. Popielniczkę opłukała pod kranem, z kieszeni wciąż złożonych w kosteczkę spodni wyciągnęła paczkę papierosów i zapalniczkę. Wróciła do Lichego,

wtuliła się w niego, podpałała sobie papierosa i go poczęstowała. Oboje się zaciągnęli i tak sobie trwali w milczeniu. Długo.

– Wiesz, że to tylko jeden raz... – powiedziała w końcu.

– Wiem.

– Przepraszam, było wspaniale, naprawdę, ale...

– Wiem – powtórzył. Bez gniewu, bez rozczarowania. Po prostu naprawdę to wiedział. Znów chwilę milczeli, ale tym razem ciszę przerwał on.

– Jak długo? – zapytał.

– Co jak długo?

– Jesteś sama.

– Aż tak widać?

Nie odpowiedział.

– Długo. – Westchnęła. – Jesteś moim pierwszym od... Mój mąż odszedł prawie trzy lata temu.

– Nie do wiary – odparł. – Taka kobieta...

– Tak, tak. Ja też się dziwię. Ale tak właśnie jest. Był moim jedynym i ostatnim. Coś takiego jak dziś mi się nigdy nie przydarzyło. To pewnie bardziej typowe dla jakichś podlotków, ale ja? Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Różne dziwne rzeczy ludzie robią z samotności.

– To prawda.

– A ty? Tobie pewnie zdarzały się już takie akcje.

– Nie. Nigdy – skłamał i znów zapadło milczenie. Palili. Starał się strzepywać popiół do popielniczki, żeby jej nie drażnić. Ona jednak sprawiała wrażenie, że jest skupiona na czymś innym.

– Co to jest? – zapytała, przesuwając palec po jego grdyce. – Wygląda jak szubienica.

Nie odpowiedział, bo co miał powiedzieć? To jeden i jedyny tatuaż, na który się zdecydował w życiu. Jeśli się dało, ukrywał go pod szalikiem. Zazwyczaj to nie było możliwe. Kółko i odchodząca od niego w górę pionowa kreska. W rzeczy samej – szubienica. Zrobił to sobie, kiedy odeszła Róża. By pamiętać, co jej obiecał. Zrobiło mu się nieswojo na myśl o Róży. Czy właśnie ją zdradził? To pierwszy raz z inną kobietą, od kiedy się rozstali. Cztery lata. Bardzo długo. Teraz dopiero zdał sobie w pełni sprawę, co się właściwie zdarzyło. Zrobiło mu się niedobrze. Zapragnął nagle stąd wyjść. Uciec na ten mróz, skryć się w zamieci, przepaść bez śladu.

ROZDZIAŁ 18

Dzień 4

Wyszedł stamtąd tuż po północy. Ona sama chciała, by już poszedł. Wdrapując się powoli po schodach, czuł drzenie ud. Czy to z wysiłku? Czy z podniecenia? A może po prostu ze wstydu? W głowie mu się kotłowało. Jak wiele może się wydarzyć w życiu człowieka w ciągu zaledwie godziny?

Śnieg nadal padał, mróz nadal trzymał, jednak on w pierwszej chwili nawet tego nie zauważył. A przynajmniej nie świadomie, bo ręce same z siebie chwyciły poły płaszcza i szczelnie go zaciągnęły.

I byłby się pewnie Lichy zupełnie zagubił w myślach, kto wie, jakby wówczas wyglądała jego droga na Chropaczów, gdyby nie to, że naraz zadzwonił jego telefon. Wydobył go z kieszeni kurtki, zastanawiając się, kto mógłby dzwonić do niego o tej porze. Czy może doktor Demarczyk, by jednak wrócił? Doktor Demarczyk? Cholera, był już w niej, a nawet nie wiedział, jak ma na imię. Moment, widział jej imię na dokumentach. Karolina? Nie, chyba Kalina. Ale to nie dzwoniła chyba Kalina. Pamiętał ten ciąg cyferek. To matka Zielskiego. Westchnął i odebrał. Sam nie wiedział dlaczego.

– Pan nie jest z telewizji – usłyszał szepczący męski głos.

– Konrad? To ty? – zapytał, przypominając sobie opóźnionego brata Artura Zielskiego.

– Pan jest z policji.

– Aż tak widać?

– Ja dużo widzę. Dlaczego pan ostatnio nie odebrał? Mam ważne wiadomości.

– Dlaczego o tej porze?

– Przecież musiałem poczekać, aż mama zaśnie. Mama nie kłamie. Po prostu nie pamięta Artura.

– Nie pamięta?

– Mama jest chora. Ma coś w głowie. Lekarz mówi, że niedługo umrze.

Lichy nie odpowiedział, ale jego mózg zaczął już rejestrować bodźce płynące z otoczenia. Konrad Zielski przywrócił go do świata żywych.

– Ja wiem, czego pan szuka – wyszeptał Konrad. – I mam to. Mam informację.

– Jaką?

– O Arturze. Włamałem się do jego komputera.

Lichy przypominał sobie natychmiast, że odwiedzając Zielską, chciał w pierwszej kolejności zapytać o komputer syna. Nie zapytał, bo rozmowa o Arturze z jego starą matką nie miała żadnego sensu.

– Masz jego komputer? – zapytał.

– To był nasz wspólny komputer, ale mamy swoje profile i hasła. Ja znam jego hasło i to tam jest.

– Co takiego?

– No to, czego nie wolno.

– Czyli co?

Zielski wahał się chwilę, a w końcu wyszeptał nawet ciszej niż do tej pory.

– Porno.

Lichy parsknął cicho. Chryste Panie, co jak co, ale w kraju, gdzie każdy usiłuje wyruchać drugiego, porno jest ostatnią rzeczą, jakiej ktokolwiek próbowałby zakazać.

– Porno nie jest zakazane – powiedział.

– No tak, no tak – wyjąkał Zielski, a Lichy pomyślał, że poznał właśnie jego wstydlivy sekrecik, niewątpliwie pilnie skrywany przed matką. Cholera,

w jaki właściwie sposób może się masturbować ktoś, kto nie ma palców? – Ale to jest takie złe porno – dodał po chwili Konrad, a Lichy pilniej nadstawił ucha. Wszystko tu mogło stanowić motyw, a dotąd niewiele się zdołał dowiedzieć o tej sprawie.

– Złe, czyli jakie? – zapytał.

– No... Takie z chłopakami. Oni sami, eee, bez... bez dziewczyn.

– Z młodymi chłopakami? Z dziećmi?

– No nie. Tylko... No z samymi chłopakami.

– Gejowskie? Twój brat był gejem?

– No chyba, skoro miał takie porno... Tego pan się chciał dowiedzieć, tak?

– Bycie gejem nie jest zakazane.

– No jak to nie?

– Było tam coś jeszcze? Na jego profilu?

– Nie, tam nic nie było. Wszystko skasowane. Dziwne, że tak wszystko skasował.

– Skasował wszystko, ale porno nie?

– Ale pan nic nie rozumie. Porno było w historii wyszukiwania. W internecie.

– I tej historii nie skasował?

– Skasował, ale jestem programistą.

– Prawda.

– Będzie nagroda?

– Nagroda? Za co?

– Za wskazanie przestępstwa.

– Twój brat nie żyje, Konrad. Nie toczy się przeciwko niemu postępowanie.

– Ale przestępstwo było.

– Homoseksualizm to nie przestępstwo. Nie w naszym kraju.

W słuchawce zapadła cisza. Lichy zastanawiał się, czy jest jeszcze w stanie wyciągnąć coś z tego człowieka. Nie był przygotowany. Musiał improwizować.

– Powiedz mi coś więcej o swoim bracie – poprosił.

– E, nie – odparł Zielski. – Jak nie ma nagrody, to nie.

Lichy przewrócił oczami. Świetnie. Wobec tego czas na zmianę taktyki.

– Wiesz, że będę musiał cię wezwać na komisariat?

– Ja nic nie wiem.

– Homoseksualizm to nie przestępstwo, ale włamywanie się na cudzy profil już tak.

Oczywiście nie miał pojęcia, czy rzeczywiście tak jest. Podejrzał, że nie, ale wyzbył się już skrupułów. Odczuwał zimno i zmęczenie. Jego dłonie groziły odmrożeniem. Nie miał ochoty przeciągać tego w nieskończoność.

– Ja się nie włamałem! – wrzasnął Konrad, najwyraźniej tracąc nad sobą kontrolę. A to oznaczało tylko jedno. Ta rozmowa zaraz się skończy. Stara Zielska z pewnością się obudziła i zaraz przybędzie na pomoc swojemu, no cóż, jednakowi.

– Włamałeś! – krzyknął Lichy, równie głośno.

– Nie, on mi sam powiedział hasło.

– Przed chwilą mówiłeś inaczej.

– Bo się domyśliłem, ciągle mówił to słowo. Chaos to, chaos tamto. Koledzy z chaosu, spotkanie z chaosem, więc zgadłem, że to...

Lichy się rozłączył. Ulicą Medyków sunęła taksówka, bohatercko walcząc z zimą, która jak zwykle zaskoczyła drogowców. Dróg nie było widać, wszędzie dookoła tylko biały dywan. Lichy podniósł rękę, mając nadzieję, że taksówkarz lepiej niż on ogarnia czasoprzestrzeń.

Wóz zatrzymał się przy nim, Lichy szarpnął klamkę i wsiadł do środka. Zrobiło się cieplutko.

– Nie wiem, gdzie chce pan jechać – rzucił wesoło kierowca – ale długo to potrwa.

– Blisko – odparł Lichy. – Ligocka.

– Ile?

– Hm, nie pamiętam. Powiem panu, jak dojedziemy.

– No to jedziemy – powiedział mężczyzna, wrzucił *drive* i ruszył. Z głośników płynął cichy, uspokajający blues. Miły dla ucha.

– Chciało się panu wyjeżdżać w taką pogodę? – zagadnął Lichy.

– Chciało, nie chciało, jak sobie będę wybierał, kiedy jeżdżę, a kiedy nie, to wie pan, nigdy nie będę jeździł. Dlatego pięć dni w tygodniu jeżdżę i koniec. Od poniedziałku do środy w dzień, piątek i sobota w nocy. I tak od piętnastu lat.

Dobry humor kierowcy, tak bardzo przecież nie przystający do skali wyzwania, które były przed nim, udzielił się Lichemu. A może to doktor Demarczyk mu go poprawił. Mężczyzna w jego wieku nie powinien tak długo żyć w celibacie. Są przecież badania twierdzące, że regularny seks pozytywnie wpływa na zdrowie. Tak czy inaczej, wesołego nastroju nie rozwiewał Lichemu nawet potencjalny, banalny, ale przecież istotny problem. Jak dostanie się do bloku Zielskich? Czy tam jest domofon? Pewnie tak. Ale czy korzystał z niego? Nie mógł sobie przypomnieć. Tak właśnie funkcjonował. Potrafił wydobyć z pamięci ulotne szczegóły zdarzeń sprzed wielu lat, jeśli jego mózg uznał, że należy je zapisać. Ale nie umiał sobie przypomnieć, czy wczoraj korzystał z domofonu. Spojrzał na zegarek. Było dwadzieścia po północy. O tej porze trudno nawet mieć nadzieję, że otworzy mu drzwi przypadkowy przechodzień. Patent na dostawcę pizzy też nie pomoże. Mógłby wprawdzie zadzwonić do Zielskich albo właściwie do kogokolwiek, mówiąc, że jest z policji, ale nie chciał robić zamieszania.

I ten jeden jedyny raz szczęście uśmiechnęło się do niego. Domofon oczywiście był. Starego typu. Gdy Lichy go ujrzał, natychmiast przypomniał

sobie, że faktycznie, używał go wczoraj. A właściwie już przedwczoraj. Kiedy jednak rozzłoszczony chwycił za klamkę, okazało się, że blokada nie trzyma. Lichy się tego nie spodziewał, szarpnął dość mocno i nieomal przyplącił to upadkiem.

Do góry szedł wolno. Nie dlatego, że brakowało mu sił. Po prostu nie chciał narobić hałasu. Poszło mu sprawnie i za moment był już na dachu.

Chaos. Zielski wciąż powtarzał o chaosie. Lichy nie pamiętał, czy używał domofonu, ale pamiętał napis „BAZA CHAOSU” na przybudówce. To nie mógł być przypadek.

Dach był śliski i Lichy musiał poruszać się powoli. Na szczęście nie wiało tak, jak poprzednio. Bez przeszkód dotarł do budy. Nie miała żadnych okien. Jedynie drewniane drzwi, do których przymocowana była cienka, żelazna sztaba, spięta kłódką ze skoblem na framudze. Co jednak zasadniczo nie miało większego znaczenia. Bo drzwi otwierały się do wewnątrz. Lichy chwycił się obu stron futryny i wymierzył potężnego kopniaka. Blokada wytrzymała, ale nieprzyjemny dźwięk pękającej sklejki podpowiadał mu, że jest na dobrej drodze. By dostać się do środka, potrzebował jeszcze trzech kopnięć. Tym ostatnim oderwał w końcu sztabę od drzwi. Zawisła na skoblu, wciąż trzymając w otworach śrubki, którymi wcześniej przymocowana była do drzwi.

W progu pomieszczenia Lichego przywitał smród. Wilgoć i grzyb. Światła oczywiście nie było. Lichy włączył latarkę w komórce i omiółł nią wnętrze bazy. W środku panował nieopisany bałagan i policjant zrozumiał, że jest pierwszą osobą, jaka weszła tu od czasu śmierci Zielskiego. A to już prawie osiem lat. Pod ścianą stała czerwona parciana kanapa, całkowicie zavalona opakowaniami po pizzy, butelkami i puszkami po alkoholu, pustymi paczkami po papierosach i mnóstwem innych śmieci. Wszystko to zresztą wypełniało pomieszczenie po brzegi. Niektóre butelki służyły jako popielniczki, były więc zupełnie czarne od zastałego popiołu. By móc się

posuwać do przodu, Lichy musiał roztrącać nogą zaścielającą podłogę przeszkody. Miał tylko nadzieję, że wśród tej obfitości zalegającej do wysokości kostek nie trafi się żadna igła. Nie żeby bał się HIV. Wirus nie miałby szans przetrwać tak długo poza organizmem gospodarza. Tu działał wyłącznie czynnik psychologiczny. Na myśl o tym, że mógłby sobie nieopacznie wbić coś takiego w ciało, robiło mu się niedobrze.

Vis-à-vis kanapy stało stare, zniszczone biurko. Na jego blacie śmieci było trochę mniej, ale prócz nich Lichy nie dostrzegł tam niczego interesującego. Z nowości dostrzegł lufkę, zwykle służącą młodym do palenia marihuany. To, co ciekawe, znajdowało się na ścianie za biurkiem. Graffiti na całą ścianę. Napis „Chaos Zmierza Po Ciebie”, a obok czarna zamaskowana postać w kapturze, trzymająca w ręku puszkę z farbą. Jeśli się jednak lepiej przyjrzeć, puszka składała się z kilku złożonych razem podłużnych cylindrów, spiętych ze sobą jakąś taśmą, i natychmiast budziła skojarzenie z dynamitem. Było coś jeszcze. W rogu znajdował się niewielki, wypisany czarną farbą napis: „Fauna & Flora”. Czy Zielski to Flora? Miałoby to sens. A kim w takim razie jest Fauna? Lichy zanotował to sobie do sprawdzenia, a potem cofnął się aż pod kanapę, by dokładnie omieść wzrokiem cały rysunek. Wówczas zauważył coś jeszcze. Do prawej nogi biurka przymocowana była niewielka szafka. Pośrodku drewnianych drzwiczek widniało gniazdo zamka. Lichy miał nadzieję, że szafka nie będzie zamknięta, ale się przeliczył. W pierwszej chwili pomyślał o sztabie, którą mógłby wykorzystać jako dźwignię, ta jednak wisiała na skoblu przy futrynie. Więc Lichy wybrał prostsze rozwiązanie. To była szafka, nie sejf, do cholery. Chwycił za krawędzie biurka i przewrócił je tak, że oparło się na froncie. Tak jak przypuszczał. Tylne ściany szafki wykonana była z dykty. Pękła już po pierwszym uderzeniu buta. Pozostałości Lichy zwyczajnie wyłamał. W szafce znajdowały się trzy półki. Na środkowej umieszczono papierową teczkę. Lichy wyjął z kieszeni rękawiczkę. Zwykłą, bawełnianą. Nic lepszego nie miał. Wiedział, że mógł nią zatrzeć ewentualne

odciski palców, ważniejsze jednak było, by nie zostawił swoich. Delikatnie zdjął gumkę zapinającą teczkę i rozchylił okładkę. W środku znajdowały się trzy koperty. Podeszedł do kanapy i nogą zepchnął na podłogę zalegające na niej śmieci. Usiadł i wyjął koperty z teczki. W rogu pierwszej napisano ołówkiem B1. Na drugiej C6. A na trzeciej R81. Lichy nie miał pojęcia, co to może oznaczać. Przez chwilę zastanawiał się co zrobić. Powinien oddać koperty do analizy. Kto wie, czy nie noszą jakichś śladów? Wiedział jednak, że jeśli je odda, to nigdy nie dowie się, co było w środku. Cyra do tego nie dopuści. A on musiał wiedzieć. Teraz. Wątek Zielskiego zupełnie nikogo nie zajmował. Nikt nie chciał dostrzegać powiązań. Tylko on. Więc należała mu się ta wiedza.

W końcu się zdecydował. Zdjął rękawiczkę i rozerwał pierwszą kopertę. Ze środka wypadła kartka. Lichy zamrugał oczami ze zdumienia. Arkusz rozmiaru A4 wyklejony był wyciętymi z gazet literami. Zupełnie jak w starych opowiadaniach kryminalnych. Napis głosił:

**6.05.2012. KARA ZA ZDRADĘ SWOJEGO NARODU
ŚMIERĆ WROGOM OJCZYZNY.
ChAOS.**

W drugiej i trzeciej kopercie znajdowała się dokładnie taka sama wiadomość, choć oczywiście każda wycięta była z innych gazet, miała trochę inny układ i inne łamanie. C6? B1? Co mogły oznaczać te skróty? I co to za data? Na pewno nic, co Lichy byłby w stanie natychmiast przywołać w pamięci. Trzeba będzie trochę pogrzebać. Wyglądało to jak groźba. A może żart? Ile lat miał wówczas Artur? Dwadzieścia osiem? Zdaje się, że tak. Więc raczej za stary na głupie żarty. Z drugiej strony, dwadzieścia osiem lat i wciąż mieszkał z matką. Data na wiadomości musiała dotyczyć jakiegoś wydarzenia

i najwyraźniej śmierć Artura temu wydarzeniu zapobiegła. Zginął cztery dni przed planowanym chaosem, czymkolwiek on był. A jaki może mieć z tym związek Robert Kowalczyk? Czy przypadkiem nie zabił Artura, by nie dopuścić do chaosu? Ale czy w takim wypadku ten nie próbował się bronić? Ale jak się bronić, skoro sam się przyznał? Po co się przyznałeś, Robert?

I kiedy przyświecał sobie telefonem, by raz jeszcze przeczytać treść informacji, ten zadzwonił. Zaskoczony Lichy spojrzał na wyświetlacz i natychmiast odebrał.

– Co jest, szefie?

– Lichy? Natychmiast przyjeżdżaj na Giszowiec. Tam jest taki pałacyk.

– Co się dzieje?

– Chyba mamy mordercę.

ROZDZIAŁ 19

Wszystko przyspieszyło, gdy Rusłan wpadł nagle do pokoju zajmowanego przez Martynę. Nie zauważył, że światło było w nim przygaszone, a ona i Cyra siedzieli na podłodze zdecydowanie zbyt blisko siebie, popijali wino i rozmawiali półgłosem. Nie dostrzegł też niczego dziwnego w ich spojrzeniach, choć u niej dało się zauważyć lekkie zmieszanie, a u niego gniew.

– Paszport Ślązaka odbił się na granicy w Korczowej! – krzyknął.

– Co? – Cyra się zdumiał.

– Spierdolił na Ukrainę!

Cyra zerwał się z miejsca, dopadł Rusłana i potrząsnął nim tak silnie, że chłop mało się nie przewrócił.

– Kiedy?! – wrzasnął.

– Dwie godziny temu.

– To dlaczego dopiero teraz to mówisz?

– Bo dopiero teraz dostałem alert. Ale jeszcze coś sprawdziłem. To znaczy... Chciałem namierzyć jego komórkę, ale jest wyłączona. Więc tak na szybko przejrzałem jego połączenia.

– Jak to na szybko? Kto ci na to pozwolił?

Rusłan się skrzywił.

– Myślałem, że chcesz, żebym działał szybko. Będziesz mnie teraz pouczał? Mam swoje dojścia i tyle.

– Zuch. – Cyra się uśmiechnął. – Co odkryłeś?

– Że Ślązak też kilka razy dzwonił do tego Wąpierz.

To ich zaskoczyło. Nawet Łysa podniosła się z podłogi i podeszła do nich.

– Po co? – zapytała, ponieważś zdając sobie sprawę z tego, że to głupie pytanie.

– Nie wiem. – Ruslan spojrział na nią i rozłożył ręce. Nie spodobało jej się to. Było coś wyniosłego i nieprzyjaznego w tym spojrzeniu. Jakby dotknęło go to, że w ogóle musi jej odpowiadać. Jakby zwyciężył w nim prymitywny Dagestańczyk gdzieś hen, z kaukaskich stepów, uważający, że dwa metry na dwa kuchennej przestrzeni to wystarczający rewir dla kobiety. Ale może jej się tylko zdawało. Dopuszczała do siebie taką myśl. I to, że po ostatnim rozstaniu w każdym facecie widziała skurwysyna.

Tymczasem Cyra zdążył już wybrać numer, ale po kilku głuchych sygnałach włączyła się poczta głosowa. Policjantowi się to nie spodobało.

– Powiedziałem mu, że ma odbierać – syknął. Powtórzył czynność i znowu nic. A gdy solidnie już rozeźlony szukał w myślach kluczyków od auta, żeby natychmiast pojechać tam i skopać dupę temu frajerowi, Wąpierz oddzwonił.

– Kazałem ci odbierać – warknął Cyra.

– Musiałem wyjść z klubu. Chyba że chciałeś posłuchać muzyki, ale to polecam Spotify.

– A ty się taki wyszczekany zrobiłeś? Mam przyjechać i sprawdzić, czy na żywo też?

– Czego chcesz? – zapytał Wąpierz. Cyrę niemal dotknął brak formy grzecznościowej, ale odpuścił sobie. Ostatecznie ma, czego chciał. Wąpierz wylazł z nory i oddzwonił.

– Mówi ci coś nazwisko Ślązak? – zapytał.

– Nie – odparł Wąpierz po krótkim namyśle.

– Poczekaj. – Cyra przykrył słuchawkę i zwrócił się do Marty. – Masz zdjęcie Ślaza?

– Mam.

– Wyślij mu.

– Wysłałam.

– A, ten – powiedział kilka chwil później Wąpierz. – No, znam go. Ale inaczej mi się przedstawił.

– Jak?

– Nie pamiętam.

– Jak?! – wrzasnął Cyra.

– Nie wiem, Adam Wójcik, jakoś tak. Klasyczna fałszywa tożsamość. Dowodu mu nie sprawdzałem.

– Czego chciał?

– Czego chciał?

– Czego chciał od ciebie Ślaza?

– No jak to czego? On też był moim klientem.

Cyrę zatkało.

– Zdziwiony, co? – powiedział Wąpierz. – Owszem, świadczę usługi nie tylko kobietom.

– Czy mam rozumieć, że uprawiałeś z nim seks? – zapytał policjant.

– Dokładnie to masz rozumieć.

– A robił ci loda?

– Hoho, komisarzu, czyżby...

– Odpowiadaj.

– Owszem. A także...

Cyra się rozłączył. Był czerwony na gębie.

– Okłamał nas – powiedział dziwnie spokojnym głosem. – Znał Wąpierz. Brak kontaktu z Laudą tłumaczył tym, że go zdradziła. Ale wiedział, że to nie była żadna zdrada, skoro znał żigola, który był na filmie.

– Mógł nie poznać – zauważyła Łysa. – Na filmie nie widać twarzy.

– Ale widać fiuta – warknął Cyra. – Wielkiego fiuta z wytatuowanym kominem. Nie z własnej fantazji zapytałem go, czy Ślżak mu obciągał. Musiał widzieć ten komin.

– Racja – przyznała Martyna.

– Dzwonię do Doby.

– Nie – powstrzymała go Martyna. – Obudźmy Krzywego.

– Łysa...

– Obudźmy Krzywego. On to załatwi z Dobą szybciej i skuteczniej.

Cyra zgrzytnął zębami, ale wiedział, że Martyna ma rację. Krzywański załatwi to szybciej. Na razie.

A gdy po niemal czterdziestominutowej taplaninie w śniegu taksówka Lichego dotarła w końcu na miejsce, cały Park Giszowiecki był już osnuty czerwono-niebieską poświatą, policyjne taśmy odgradzające posesję były założone, a grupa specjalna pakowała się do auta. Nic tu po nich, dom był pusty.

Lichy zapłacił i wysiadł z auta. Przed wejściem na teren posesji stało dwóch policjantów.

– Dobry wieczór – powiedział, uwalniając do atmosfery obłoczek pary i rozcierając ręce.

– Dobry wieczór, komisarzu – odpowiedział aspirant Chutor. Lichy poznał go od razu.

– Druga doba służby? – zapytał.

– Braki kadrowe.

– Kto jest w środku?

– Wszyscy. – Chutor wyjął coś z kieszeni grubej policyjnej kurtki i podał Lichemu. – Inspektor Krzywański kazał to panu przekazać.

Lichy wziął do ręki przedmiot i nawet nie musiał na niego patrzeć. Doskonale wiedział, co to jest. Policyjna blacha. A dokładniej mówiąc, blaszana odznaka przyczepiona do skórzanego etui skrywającego legitymację policyjną. Przez etui przepleciony był łańcuszek, więc Lichy odruchowo zawiesił je sobie na szyi. Chutor uniósł policyjną taśmę, by Lichy mógł się pod nią prześlizgnąć.

– Aspirancie – powiedział już po drugiej stronie.

– Komisarzu?

– Wybacz mi proszę wczorajszą scenę. Mam wyrzuty sumienia.

– A mawiają, że pan nie ma sumienia – odpowiedział Chutor. I choć się nie uśmiechnął, Lichy zrozumiał, że młody olbrzym jest wystarczająco zahartowany, by nie przejmować się rozpuszczonymi komisarzykami, którym się wydaje, że cały świat kręci się wokół nich. Tak, dopiero teraz Lichemu zrobiło się naprawdę głupio. Ale co miał powiedzieć? Nie powiedział nic, tylko ruszył w kierunku otwartego garażu. Dobywało się stamtąd nienaturalne, silne światło, widomy znak, że ekipa wciąż zbiera informacje. Zaraz jak tylko wszedł do środka nieomal wywinął orła. Naniesiony przez opony śnieg rozpuścił się, kafelki były mokre i śliskie. Wewnątrz zastał fotografa, którego nie znał, i Piaseckiego, szefa techników z wojewódzkiej, który klęczał na podłodze i pobierał do próbnika kleistą zieloną ciecz z dwóch pojemników stojących pośrodku garażu.

– Czolem. – Przywitał się. Piasecki go zauważył i machnął ręką na powitanie. Współpracowali już kiedyś. Piasecki miał z pięćdziesiąt lat i należał do tych, których Lichy nie zdążył jeszcze do siebie zrazić.

– Co mamy? – zapytał Lichy.

– A nie możesz zapytać Cyry? – odparł technik. – Dwa razy mam gadać?

– Szczerze, wolałbym wypić to, co tam sobie pichcisz w pipetce niż zamienić choć słowo z Cyrą.

– Odradzam. – Piasecki się zaśmiał. Bo Lichy wprawdzie raczej nie był lubiany w wydziałach, ale Cyra też nie za bardzo. – To farba emulsyjna.

– Zielona?

– No, no. Widać od razu, że twoja sława doskonałego detektywa nie jest przesadzona – powiedział Piasecki, machając Lichemu przed nosem wypełnioną zieloną cieczą pipetą. – Pójdzie do analizy, ale po mojemu to ta sama farba, co na ciele ofiary.

– Nie wiedziałem, że pracujesz przy tej sprawie.

– A ja, że ty.

– Masz coś ciekawego?

– A jakże. Dziesięć pięknych odcisków palców na każdym wiadrze.

– Ile? – Lichy się zdumiał.

– Po dziesięć. Widać, że niósł to w obu rękach, mocno przyciskając, żeby się nie wyslizgnęło. Wiadro mieści piętnaście litrów. Waży pewnie ze dwadzieścia kilo. Odciski też pójdą do analizy, ale już teraz mogę ci powiedzieć, że należą do Ślązaka. Mam profil porównawczy z systemu paszportowego. Na sto procent te same. Są tak wyraźne, że bardziej się chyba nie da.

– Coś jeszcze?

– A to mało?

– Ja wiem? Mały ten garaż jak na taką chałupę.

– Bo to przybudówka. W miarę nowa. Nie chcę wiedzieć, ile on musiał zapłacić za wszystkie zgody. A z pewnością, dla spokoju sumienia,

zbadalbym przepływy na rachunku konserwatora zabytków.

– No tak.

– Tam, na końcu, po lewej, masz drzwi. Po schodkach w górę i wchodzisz do sieni.

– Aha.

– Może tam powiedzą ci coś więcej.

– Dzięki.

Ale w sieni nikogo nie było. Ekipa pracowała na piętrze. Dolna kondygnacja pogrążona była w półmroku. Lichy przeszedł się po salonie, zostawiając mokre ślady na śnieżnobiałym parkiecie. Miał to w dupie. Inspekcja trwała piętnaście sekund. Niczego tu nie było. Dosłownie niczego. Minimum mebli, minimum wyposażenia. Nie dało się nawet zajrzeć za jakąś szafę, bo żadna tu nie stała. Facet miał w salonie nawet mniej mebli niż Lichy w swojej melinie. Niewiarygodne. Lichy był gotów się założyć, że urządzenie tego salonu, by wyglądał tak pusto, kosztowało Ślązaka więcej, niż wart był cały blok na Chropaczowie.

W przylegającym do salonu kompleksie kuchennym, czy też może po prostu kuchni z jadalnią, było nieznacznie lepiej. Drogi, ale dyskretny sprzęt. Wszędzie porządek. Na stole misa z owocami i nic więcej. Skąd, do cholery, gruszki w styczniu? Lichy poczuł naraz, że strasznie chce mu się pić. Otworzył lodówkę. W niej również było raczej pusto, ale komisarz znalazł jednodniowy sok pomarańczowy. Sprawdził datę ważności, po czym odkręcił zakrętkę i wypił całość duszkiem.

– Dobrze się bawisz? – Usłyszał za sobą głos podinspektora.

– To jednodniowy sok, szefie – powiedział. – Zmarnowałby się.

– Niewiele tu znajdziesz, Lichy. Ciekawiej jest na górze.

– Myślisz, że to on?

– Nie wiem – odparł Krzywański dziwnym głosem, przepelnionym jednocześnie nadzieją i zwątpieniem.

– Coś więcej o samym Ślązaku?

– Niewiele. Przekroczył granicę jakieś cztery godziny temu w ukraińskim autobusie z Rzeszowa do Lwowa.

– Jeśli tak faktycznie jest, to mamy problem. Gość jest bogaty, jak dotrze na wschód, już go nie znajdziemy. W Donbasie może przekroczyć granicę nawet bez paszportu. Wystarczy kilkaset euro. A potem albo się rozplynie gdzieś w Rosji, albo w którejś z zaprzyjaźnionych republik. Uzbekistan albo jeszcze dalej.

– Jest coś dalej?

– No... Kirgistan. A pewnie i Chiny. A w Chinach nigdy go nie znajdziemy.

– Doba uruchomił procedurę ENA, ale wątpię, byśmy go zdążyli dopaść, nim opuści Ukrainę. Obawiam się, że masz tu całkowitą rację.

– Pójdę na górę, jak chcesz, to w lodówce jest jeszcze jeden sok.

– A czegoś mocniejszego nie ma?

Czegoś mocniejszego... Naraz Lichy zdał sobie sprawę, że od dobrych trzech godzin nawet nie pomyślał o alkoholu. I był to chyba rekord. Co więcej, nadal nieszczególnie o nim myślał.

– Miałeś rację, Lichy – powiedział dowódca.

– W czym?

– Robią mnie w chuja. Cyra. On chyba mi kradnie ludzi. Nic nie zaraportowali o tym, że przesłuchiwali Ślązaka. Bóg wie, co jeszcze przede mną ukrywają.

– Wyrzuć go z ekipy, szefie.

– Nie mogę. Potrzebuję wyników, Lichy.

– Dam ci wyniki, Krzywy. Na pewno lepsze niż Cyra. On jest prymitywny. Inteligencję ma na poziomie węża ogrodowego. I zawsze tak było.

– Niech działa. Jest mi wszystko jedno. Nie prowadzę tego śledztwa dla siebie. Zresztą, ty też mi nie mówisz wszystkiego. Myślisz, że tego nie wiem? Działajcie obaj. Zróbcie sobie zawody, jeśli tak bardzo chcecie. Niech tylko nas to doprowadzi do zbója.

– Doprowadzi.

– Modling opowiedział mi, jak przycisnąłeś Kowalczyka. Bardzo ciekawe spostrzeżenie z tą twarzą zamordowanej. Cieszę się, że mam cię w zespole, Lichy. Nie potrzebuję sam dopaść mordercy. Jeśli dopadną go ludzie, których ściągnąłem do zespołu, będę wystarczająco dumny.

Inspektor uśmiechnął się jeszcze, a potem odszedł. Lichy zaś ruszył po schodach do góry. Zaraz na lewo znajdowała się sypialnia Ślązaka. Policjant zajrzał do środka. Tu faktycznie sporo się działo. Pomieszczenie wyglądało, jakby przeszedł przez nie huragan. Bokserki, skarpety, koszulki i koszule, wszystko to walało się po podłodze i wielkim, niezasłanym łóżku, na skraju którego siedziała Martyna Babicz. Silna policyjna lampa ustawiona w rogu pomieszczenia rozświetlała jej długie jasne włosy i Lichy zaraz przypomniał sobie anioła, który mu się niedawno przyśnił.

– Ale jesteś piękna – powiedział, zanim pomyślał. Cicho wprawdzie, ale Martyna usłyszała.

– Słucham? – Zdziwiła się.

– A nic. – Lichy westchnął. – Myślałem, że nie powiedziałem tego na głos.

Parsknęła, ale raczej w przyjazny sposób.

– Zobacz – powiedziała – musiał się naprawdę spieszyć.

– Ciekawe, dlaczego aż tak bardzo.

– Przycisnęliśmy go trochę.
– Nic na niego nie mamy.
– Nie, ale... – Zamilkła. Gdyby na niego patrzyła, zapewne spuściłaby wzrok.

– Nie rób tego, Martyna.

– Czego?

– Nie pokładaj nadziei w Cyrze. Nie pokładaj w nim czegokolwiek.

– Wcale nie pokładam – odbiła nieco zbyt agresywnie i to też było znaczące. Nie umiała udawać.

– W porządku – odrzekł, odsuwając wysokie aż do sufitu drzwi szafy.

– Rozmawialiśmy wczoraj z kimś – powiedziała cicho. Lichy wyczuł w tym pewną konfidencję. Jakby chciała mu coś powiedzieć, a jednocześnie wahała się, czy powinna. – Po prostu... Z kimś, kto mógł Ślązakowi zaszkodzić. Jeśli Ślązak się dowiedział o tej rozmowie, to nic dziwnego, że nawiał.

– Ile mężczyzna może mieć walizek? – zapytał Lichy.

– Co? Ja wiem? A bo co?

– A bo w szafie stoją dwie. Mała i duża.

– Nie wiem. Tacy jak on to mogą mieć nawet inną na każdy dzień tygodnia. A co?

Nie odpowiedział. Nie usłyszał nawet pytania. Był już w swoim świecie. Tam, gdzie nie ma nic prócz areny, na której zderzają się ze sobą fakty i wątki oraz przewidywania, teorie i zgadywanki wszelkiego rodzaju.

Nie zauważył nawet, kiedy wyszedł z sypialni i zaczął się snuć po domu. Odwiedził pomieszczenie, które według wszelkiego prawdopodobieństwa było czymś w rodzaju pracowni doktora. Na regale stały książki z fachową literaturą, być może przeczytane raz, dawno temu,

teraz jednak stanowiące nic więcej jak tylko wystawkę. Tytuły poupychane były tak gęsto, że zwyczajnie nie dało się ich wysunąć. Stały alfabetycznie, najpewniej od lat w tym samym porządku. Na wielkim, eleganckim biurku nie było nic. Ani notesu, ani komputera. Lichy usiadł w wygodnym, nowoczesnym fotelu, właściwie tylko dlatego, że nie mógłby sobie darować, gdyby zmarnował okazję. Posiedział tak chwilę, trochę rozmyślając, trochę odpoczywając, i trochę być może po to, by chłonąć atmosferę. Choć po prawdzie, niewiele tu było do doświadczania. Gabinet był nowoczesny, bardziej typowy dla biurowców z biznesowych dzielnic aglomeracji niż stuletniego z okładem dworku. Długo tam więc Lichy nie zabawił, szczególnie że nie znalazł niczego, co by go w jakikolwiek sposób zainteresowało. Przeszedł się jeszcze po pokojach gościnnych, zwiedził ogromną łazienkę, wykończoną w marmurach i z armaturą w kolorze złota. Chciał nawet skorzystać ze złotego klozetu, mając z tyłu głowy, że to z pewnością pierwsza, ale i najprawdopodobniej ostatnia okazja, ale technik mu nie pozwolił. Nie zakończył tam jeszcze swoich obrzędów. Lichy wzruszył ramionami i skierował się schodami w dół. Bo wiadomo, jak ktoś raz poczuje nacisk na pęcherz, to już się tego uczucia nie da ignorować. Na zewnątrz było bardzo zimno i Lichy zastanawiał się, czy aby nie robi sobie krzywdy, gdyby chciał zrealizować swoją potrzebę pod tują.

Gdy jednak wyszedł przez główne drzwi, ujrzał Dobę i Cyrę. Ten ostatni żywo gestykulował, starając się najwidoczniej przekonać do czegoś prokuratora. Doba jednak stał tylko z rękami skrzyżowanymi na piersi. Jego długa, gęsta broda zdawała się być całkowicie sztywna od mrozu. Gdy Lichy zbliżył się do nich, Cyra natychmiast zamilkł. On zaś wyciągnął z paczki papierosa i odpalił.

– Poczęstujesz? – zapytał prokurator. – Chciałem rzucić, ale chyba już nie w tym życiu.

Lichy, który akurat nabrał dymu w płuca i nie zamierzał go marnować przez bezsensowne gadanie, bez słowa podał Dobie paczkę i zapalniczkę.

– Co myślisz? – zapytał prokurator, gdy sam już nasycił się dymem.

– Słyszałem, że uruchomiłeś procedurę Europejskiego Nakazu Aresztowania – odparł Lichy.

– Tak.

– Myślę, że się pośpieszyłeś. Tu nic nie ma.

Cyra parsknął śmiechem i okrył się obłoczkiem pary.

– Wiesz, dlaczego ludzie cię nie lubią, Lichy? – zapytał. – Właśnie dlatego. Sam nic nie dajesz, ale pracy innych nigdy nie doceniasz. Zawsze krytykujesz. Co nie twoje, to bezwartościowe. Nie potrafisz zaakceptować, że ktoś może cię w czymś wyprzedzić.

– To nie jest wyścig, Cyra – odparł Lichy, w ogóle nie patrząc na oponenta. – Nigdy tego nie rozumiałeś i nigdy nie zrozumiesz.

– Naprawdę? A masz coś innego? Bo jak nie, to morda w kubel.

– Nawet jeśli nie mam nic innego, to nie znaczy jeszcze, że będę poręczać za twoje wygłupy. Już ci to kiedyś mówiłem. Świetnie nadajesz się do spuszczenia wpierdolu jakimś lamusom, ale główkowanie cię przerasta. Więc odpuść już sobie.

– Lichy – włączył się prokurator Doba, gasząc gotującego się do riposty Cyrę. – Prośba ode mnie. Daruj sobie ten protekcyjny ton i przejdź do konkretów?

– Do konkretów? – Lichy się zdziwił. – Jakich konkretów? Powtarzam. Tu nic nie ma. To jest *set-up*. Ustawka. Rozpirzona cała sypialnia, ale nic nie zniknęło. Majtki, skarpetki, koszulki i koszule. Można by tym wyekwipować batalion wojska. Wszystko leży w sypialni, wraz z dwiema walizkami. Szuflady powyjmowane, ale aż puchnące od zawartości. W łazience szczoteczka do zębów, kosmetyki i przybory do golenia.

W lodówce jednodniowy sok z poprzedniej doby. Po co miałby kupować jednodniowy sok, jeśli zmierzał stąd spieszyć? Chyba po to, by zabrać go ze sobą na drogę. Czego jednak nie zrobił. Nie tak wygląda dom uciekiniera.

– A w garażu byłeś? – warknął Cyra.

– W garażu? Owszem, byłem w garażu. Widziałem dwa wiaderka z farbą. Tylko w przeciwieństwie do ciebie, zadałem sobie pytania, zamiast się łudzić, że znam odpowiedzi.

– Jakie pytania? – zapytał Doba.

– Paweł... Masz w garażu dwa wiaderka z farbą. I na tym koniec. Nigdzie więcej choćby śladu farby. Żadnej krwi. Nie ma też gilotyny. Mało tego, w tym domu nie znajdziesz nawet pomieszczenia dość wysokiego, by gilotynę ustawić. To oczywiste, że miejsce zbrodni znajduje się gdzie indziej. Po co więc Ślęzak miałby trzymać w domu potencjalnie bardzo obciążający dowód? Po co miałby to tu przywozić? A może odwrotnie, co, Cyra? Może on sobie ten bardzo obciążający dowód zamówił kurierem do domu, żeby potem zawieźć go na miejsce zbrodni? Co, ma to sens? A ma sens, że rzekomo uciekając, zostawia to na środku garażu? Akurat tak, żebyś to znalazł? Z tego co słyszałem, nic na niego nie znalazłeś. W ogóle nie miał powodu, by uciekać, a już na pewno nie zostawiając po sobie coś takiego. Przecież wystarczyło, by zapakował to do bagażnika samochodu. O, a skoro już przy tym jesteśmy, to nie zgadza się geometria.

– Jaka geometria, Lichy, co ty pierdolisz? – Doba się zdenerwował. Papieros mu się skończył i prokurator najwyraźniej przypomniał sobie w końcu, jak cholernie jest zimno.

– Geometria. Nawet najsprytniejsi mordercy wpadają na inscenizacjach. Ta tutaj wykonana jest źle. Dwa wiaderka z farbą na środku niewielkiego garażu. Ustawienie powodujące, że nie da się do środka

wprowadzić samochodu. To oznacza jedną z dwóch rzeczy. Albo Ślązak z jakiegoś powodu przywiózł je tu przed samą ucieczką, wniósł do środka i postawił tak, wiedząc, że już więcej tam auta nie zaparkuje, albo postawił je tu ktoś, kto parkować w ogóle nie zamierzał, a być może nawet wiedział, że Ślązak też już tam nie zaparkuje. Rozumiesz, co mam na myśli, Paweł?

– Nie jestem pewien.

– A masz garaż?

– Mam.

– To gdzie byś takie wiadra postawił? Na środku garażu?

– Raczej gdzieś pod ścianą. Dobra, rozumiem, w czym rzecz.

– W dodatku na każdym wiaderku dziesięć pięknych paluchów. A ja się zastanawiam, po co Ślązak niósł wiaderka po jednym, zamiast chwycić każde za uchwyt i przynieść oba naraz. Każdy z nas by tak zrobił.

– Czyli?

– Czyli ENA nic nie da, bo sądzę, że Ślązak nie żyje.

– Paweł, naprawdę musimy słuchać tego pierdolenia? – spytał Cyra, taksując Lichego spojrzeniem. – Przecież to same zagadki. Żadnych odpowiedzi, tylko rozcieńczanie faktów.

– Ty się nigdy nie nauczysz – powiedział Lichy. – Ile już razy popełniłeś ten błąd? Nie chodzi o to, by kogoś aresztować. Chodzi o to, by aresztować sprawcę. Milówka niczego cię nie nauczyła? Mało się wstydu najadłeś?

– Zamknij mordę. Zapominasz chyba, że jesteś zwykłym śmieciem, którego w każdej chwili...

– Jestem zwykłym śmieciem, którego Krzywański zgarnął z ulicy, bo zrozumiał, że ty sobie z tym nie poradzisz.

– Dość – powiedział Doba. Nawet niezbyt głośno, ale na tyle stanowczo, by poskutkowało. A może to mróz spowodował, że krew nie zdołała

osiągnąć temperatury wrzenia.

– Gdzie jest jego samochód? – zapytał Lichy.

– Nie wiadomo – odparł Doba.

– Trzeba go poszukać. Jeśli jechał do Lwowa autobusem, to auto powinno stać gdzieś w Rzeszowie. Sprawdźcie karty i przepływy na koncie Ślązaka. Jeśli jest tak, jak mówi Cyra, doktorek musiał wyjąć sporo kasy. Wiadomo, że taka ucieczka kosztuje i że z karty raczej nie będzie mógł korzystać. A jeśli jest tak, jak sędzę, to wypłat ani płatności nie było w ogóle od przynajmniej dwudziestu czterech godzin.

– Dlaczego od tyłu? – zapytał Doba. – Nawet jeśli masz rację, mogli go zabić godzinę przed naszym przyjazdem.

– Nie wypił soku. – Lichy wzruszył ramionami. – Powinien go wypić, zanim poszedł spać w nocy z drugiego na trzeciego. Poza tym wysłanie słupa na granicę trochę trwa, a potrzebowali paszportu Ślązaka.

Cyra znowu parsknął śmiechem.

– Słupa? – zwrócił się do prokuratora. – No, teraz już chyba nie masz wątpliwości, że to jakiś stek bzdur.

– Rzecz w tym, Cyra, że mam właśnie bardzo dużo wątpliwości – odparł prokurator.

– Ja pierdolę, to żart. Czy Lichy ma w ogóle jakikolwiek dowód na to, co mówi? Na słupa?

– Jedna z pierwszych rzeczy, jakich dowiadujesz się na szkoleniach w Interpolu. Wymyślili to Albańczycy. Przy czym służy raczej ukrywaniu trupów. Delikwent do ziemi, a z jego paszportem słup przekracza granicę. Potem wraca na swoim i nie ma trupa.

– Dobra – powiedział prokurator, ponownie hamując Cyrę, który aż podskakiwał ze złości. – Na razie działamy zgodnie ze sztuką. Zrobimy analizy i zobaczymy, co wyjdzie. Może w międzyczasie Ukraińcy coś

działają. I tak nie mamy teraz nic innego. Możecie spadać, nie jesteście już tu potrzebni. Piasecki sobie poradzi. Krzywego też odsyłam.

– Jeszcze jedna rzecz, prokuratorze – powiedział Lichy.

– Tak?

Komisarz spojrzał wymownie na Cyrę, ale nie doczekał się z jego strony reakcji.

– Idź sobie stąd. – Westchnął. – Mam temat, który cię nie dotyczy.

– Ciekawe. Nie wiedziałem, że w tej sprawie mamy przed sobą jakieś tajemnice.

– Może więc powinienesz przestać zapominać składać raporty Krzywemu?

– Wystarczy – przerwał znużonym głosem Doba. – Zostaw nas, Cyra.

– Świetnie – odpowiedział tamten, po czym odwrócił się i ruszył w kierunku swojego samochodu. Wsiadł, odpalił silnik, ale nie odjechał. Dzwonił gdzieś.

– O co chodzi, Lichy? – zapytał prokurator.

– Czy to ty prowadziłeś sprawę morderstwa Kowalczyka?

– Nie. Garlicki.

– Nie znam go, ale chciałbym z nim pogadać.

– Raczej ciężko będzie. Jest na emeryturze.

– Na emeryturze ludzie też rozmawiają.

Zamilkli, bo przez drzwi wyszła Martyna.

– Mogę uciekać? – zapytała, a Doba machnął jej ręką. Policjantka skierowała się do auta Cyry i zaraz odjechali.

– Nie wyrażam zgody – powiedział prokurator. – Tamta sprawa jest zamknięta.

– Nie muszę mieć twojej zgody, Paweł. Umów mi tylko spotkanie.

- Nie. Zajmij się tym, co mamy teraz na tapecie.
- Myślę, że te sprawy się łączą.
- Przyjdź do mnie z dowodem. Wystarczająco mocnym, by zawracać głowę człowiekowi na emeryturze.
- Myślałby kto, że potrzebuje ochrony.
- To nie jest łatwa robota, Lichy. Przyjdź do mnie z czymś mocnym, to zaaranżuję spotkanie. Na razie nie ma tematu. A teraz spierdalam stąd, zanim mnie złapie hipotermia. Podrzucić cię gdzieś?
- Nie masz po drodze – powiedział, ściskając podaną przez prokuratora dłoń i kierując się w stronę bramy.
- Lichy – rzucił jeszcze Doba i komisarz odwrócił się w jego kierunku. – Jest zima. Najwyższy czas przeprosić się z samochodem.
- Taaa – powiedział Lichy i zaraz rozmył się w mroku parkowej alejki.

ROZDZIAŁ 20

Dochodziła szósta trzydzieści rano. Kamil Buda-Zalewski wiązał właśnie krawat, spoglądając na nagie ciało kobiety, którą kochał. Naprawdę ją kochał. W sypialni było ciepło, więc zapewne w nocy zsunęła z siebie kołdrę. Leżała na plecach i ukazywała mu wszystko, czego zawsze pragnął. Najpiękniejsze piersi świata, a w każdym razie on tak uważał. Duże, okrągłe, z dużymi brodawkami, ale takie właśnie lubił. Wszystko było tak, jak lubił. Wąski, starannie wytrymowany pasek włosów na wzgórku łonowym. Nie lubił, gdy kobiety były tam zupełnie gładkie.

Dziewczyna mruknęła przez sen, przeciągnęła się i niby to przez przypadek jeszcze trochę rozszerzyła nogi. Kamil uśmiechnął się, bo wiedział, że ona nie śpi, a zaprasza go tam, gdzie wspólnie spędzili tę noc. Do krainy spełnionych marzeń. I natychmiast doznał erekcji. Tak silnej, że niemal bolesnej. Nie do wiary, jak mocno działała na niego ta kobieta. Być może to dlatego, że właśnie dziś, po latach westchnień, w końcu ją posiadał. Spełniło się to, o czym śnił, i to, do czego przez tyle lat się masturbował.

Znów się przeciągnęła. I jeszcze raz odrobinę rozszerzyła nogi. Ale on już nie myślał o tym, co od niej dostał, a o tym, co dziś wieczorem jej da. I naraz posmutniał. Planował to od dawna. A teraz, gdy w końcu nadszedł ten dzień, w którym wszystko się zmieni i w końcu dostanie to, czego pragnął, zaczął odczuwać wątpliwości. Czy naprawdę wciąż chciał jej zrobić krzywdę? Przecież dała mu siebie. Najpiękniejszy prezent, jaki mogła mu sprawić. Czy mimo tego powinien zrobić to, co sobie zaplanował?

Też pytanie. Oczywiście, że powinien. I ta noc niczego nie zmienia. Przeciwnie. Wiedział doskonale, że dostał od niej tylko jałmużnę. Że wzięła sobie kawałek niego, bo akurat go potrzebowała. Nie, ona na pewno nie kocha go tak, jak on ją. Na pewno nie. I dziś za to zapłaci.

Pochylił się nad nią i pocałował ją prosto w niewielkie, ledwo widoczne wargi sromowe. Jej ciałem przeszył dreszcz, on jednak nie kontynuował pieszczoty. Wstał i wyszedł.

Trzy godziny później Liliana Wejhert przeciągnęła się raz jeszcze, tym razem naprężając całe ciało jak wybudzona z drzemki kocica. Aż jej pociemniało w oczach. Uniosła się, oparła poduszkę o ścianę i opadła na nią, a z oczu niemal natychmiast popłynęły jej łzy.

Usiłowała sobie przypomnieć, jak to się stało, w którym momencie wczorajszego wieczora postanowiła, że w końcu spełni marzenia tego smarkacza? Myśl ta jednak okazała się ulotna, bo zaraz zastąpiły ją obrazy z ich wspólnych nocnych dokonań. Jego sapiący oddech i ślinę, którą pokrywał jej ciało, to, jak pulsował i wiercił się w niej, jakby wciąż nie mógł się nasycić jej przyzwoleniem i szczerą chęcią, bo przecież chciała tego. Może od dawna, a może zachciało jej się wczoraj. Bo było w tym coś niezwykłego. Doznanie skrajnie erotyczne, a jednocześnie zupełnie nieseksualne. Owszem, uprawiali seks. Uprawiali go bardzo intensywnie i przez wiele godzin. Ona jednak, chyba po raz pierwszy w życiu, bardziej niż zwykłą penetracją napawała się bliskością męskiego ciała. Ustami, dłońmi, jego pożądaniem, tak gęstym i namacalnym, że niemal przyjmującym fizyczną postać. Tym jak zrzucał ją z siebie, by nadto się nie rozpędziła, jak zwalniał, gdy czuł, że ona nie chce jeszcze iść spać. I choć gdy zaczynali, była wielkoduszna, pozwoliła mu wziąć to, o czym marzył, we własnym mniemaniu wciąż jednak będąc panią rozgrywki, pod koniec dawała mu już od siebie wszystko, starała się, jakby miała dwadzieścia lat

i uwiodła dojrzałego, niezwykle atrakcyjnego mężczyznę. Zupełnie puściły jej hamulce. Z pewnością wyniósł na plecach szramy po jej paznokciach, a na całym ciele ślady po zębach. Nawet tam, gdzie mężczyźni nie lubią. W wieku czterdziestu lat odkryła, że jednak lubi obdarowywać miłością francuską.

Znów się przeciągnęła, tym razem wydając z siebie przeraźliwy ryk. Wstała z łóżka. Wczorajsze ubranie leżało na fotelu przy łóżku, ale nie skorzystała z niego. Chciała jeszcze przez chwilę zachować w sobie wspomnienia ostatniej nocy. Podniecała ją jej własna nagość. Podniecało ją, że żaluzje nie były opuszczone i do jej sypialni wraz ze światłem dziennym mogły się wdrzeć zaciekawione spojrzenia. Wprawdzie było to mało prawdopodobne, bo okno było wyeksponowane na południe, a tam znajdował się tylko budynek Uniwersytetu Ekonomicznego, ale to nawet lepiej. Szansa była niewielka, ale ktoś mógł mieć swój dzień. Powoli, kiwając się na boki jak erotyczna modelka podczas sesji bielizny na Bahamach, przeszła w kierunku kuchni. Bo gdyby ktoś jednak ją widział, to hej, przecież musi mu dać wszystko, co najlepsze. Samotna dojrzała kobieta, która odkryła przyjemność płynącą z seksu. Dziwne. Przecież nie stosowała celibatu. Nie dalej jak pięć dni temu był Tomasz. Spotykali się kilka miesięcy. Brała go sobie zawsze, jak miała ochotę, a miała często. Nie tylko zresztą na niego. W ciągu niespełna pół roku zdradziła Tomasza dwa razy i to był cud, że on się nie zorientował. Kiedyś, jakieś dziesięć lat wcześniej, miała nawet dwóch facetów na raz. Była też jedną z dwóch, jakie miał jakiś inny facet. A i epizod lesbijski się trafił. A jednak nigdy nie czuła się tak, jak teraz. I nie, nie chodziło o to, że Kamil był tak wspaniałym kochankiem. Nie był, choć i tak dał jej więcej, niż się spodziewała. Ale ona odkryła to w sobie. Dotąd jej się zdawało, że jest kobietą wyzwoloną, w seksie nastawioną na konsumpcję, na przyjmowanie. Ale tak nie było.

Zawsze była czyjaś. Sama decydowała czyja, ale dopiero dziś w nocy poczuła w końcu, że jest swoja własna.

Stała przed lustrem i aż się rozpromieniła. Być może spowodowała to chemia, którą jej gruczoły, w pocie czoła, wśród jęków i stęków, produkowały całą noc. W każdym razie nagle sama sobie wydała się piękna. Oczywiście, wciąż miała na sobie wczorajszy makijaż, ale myślałby kto, że Kamil patrzył na jej twarz. To ciało było magnesem. A to, jak na czterdziestolatkę, miała fenomenalne. W każdym razie tak jej się dziś wydawało. Nie pamiętała, by kiedykolwiek wcześniej doznała takiego uczucia.

Pomyślała, że ma straszną ochotę zabawić się sama ze sobą, co też było nietypowe. Dawno tego nie robiła. Nie musiała. Teraz też nie musiała, a jednak ciepła woda, wonny olejek i słuchawka prysznicowa nastawiona na średnio intensywny strumień wody...

I gdy otwierała drzwi od kabiny prysznicowej, usłyszała przytłumiony dzwonek telefonu. Podbiegła do sypialni, podskakując radośnie, jakby miała dwadzieścia lat mniej. Telefon zakopany był w pościeli i zdążyła go odebrać dosłownie w ostatniej chwili.

– Haaaalo – powiedziała, przeciągając się.

– Ho, ho. – Aśka się zaśmiała. – Śpimy?

– Nie. Ale chyba zaraz wskoczę pod koldrę. Całą noc nie zmrużyłam oka.

– Opowiadaj!

– Nie. Nie dziś.

– Nie pracujesz?

– Nie. Mam wolne.

– Szczęściara. No dobrze. Mam informacje, o które prosiłaś.

Liliana zerwała się z łóżka. Zapomniała na śmierć.

– O matko, już? – rzuciła do słuchawki, rozglądając się za majtkami, bo naraz poczuła, że nagość ją trochę zmęczyła. A, prawda. Leżą na fotelu.

– Postarałam się – odparła rozmówczyni.

– Jesteś najlepszą przyjaciółką na świecie!

– Na pewno jedyną. Takie wstrętne suczyska jak ty nie mają za bardzo w czym wybierać.

– Prawda!

– Ciekawa postać, ten twój Lichy. Ale od razu uprzedzam, nic szczególnego nie znalazłam. Zwłaszcza informacji o zdarzeniach sprzed zawieszenia. Mówię ci, to jest jakaś naprawdę gruba historia, bo wszystko jest tak utajnione, że nawet moje źródła rozkładają ręce. A wierz mi, są tam ludzie, którzy są mi sporo winni.

– Tak to jest, jak się za seks nie płaci od razu. – Wejherert się zaśmiała.

– Żartujesz? Takim to ja bym musiała płacić i bym się raczej nie wypłaciła. Jeden jest taki...

– Dżoana...

– Dobra, dobra. No więc udało mi się tylko pogrzebać w rejestrach sądowych i uzyskać jego wyciągi bankowe. No i to jest właśnie ciekawe. Mówiłaś, że jeździ pociągiem?

– Tak. Nie ma samochodu.

– Owszem, ma. I to nie byle jaki, tylko prawdziwy cipkowóz. Corvette piątej generacji z dwutysięcznego roku.

– Nie mam pojęcia, co to jest.

– To jest coś, w czym mógłby mnie mieć choćby za piętnaście minut.

– Ty byś i na golfa „trójkę” poleciała, tleniona blacharo.

– Na czwórkę – poprawiła ją Aśka i znów się chwilę śmiały.

– Ile kosztuje taka... To, co mówiłaś.

– W chuj – odparła Aśka. – Teraz to już taki trochę klasyk. Ale Lichy dostał go w spadku po jakiejś ciotce z Ameryki. Serio, z Ameryki. W dwa tysiące trzynastym roku.

– Więc pewnie sprzedał.

– Nie. Auto jest wciąż zarejestrowane na niego. Jest ubezpieczone, przechodzi przeglądy. Jest też notka o jakimś mandacie sprzed czterech lat.

– W takim razie to faktycznie dziwne.

– To nie wszystko. Prócz tego samochodu dostał też świetną chałupę i sporo gotówki, z której jednak w ogóle nie korzysta. Ma na koncie niecałe pół bańki.

– Ile? – Wejhert się zdumiała. – To ja tyle nie mam.

– Jeśli próbujesz wycyganić zniżkę...

– Gdzie ten dom?

– To właściwie willa. Przy Kilińskiego, w samym Śródmieściu, niedaleko mnie. Aż się tam przebiegłam rano. Rudera, ale gdyby ją wyremontować, to świat i ludzie.

– Nie rozumiem. – Liliana westchnęła. – On mieszka w Świonach, na Chropaczowie. W peerelowskim bloku, koło którego bałabym się przejść po zmroku.

– No to ja też tego nie rozumiem. W każdym razie nieruchomości jest jego, nie ciąży na niej żadna hipoteka ani nic. Rachunki są opłacane na bieżąco. Lichy nie figuruje w żadnej bazie dłużników. Do nieruchomości przynależy podwójny garaż. Gdybym miała zgadywać, to tam ukrywa się jego corvette.

– Cholerny policjant z Miami. Masz coś jeszcze?

– Tylko pakiet podstawowy, czyli fakty łatwe do ustalenia. Urodzony... a czekaj, to jest dobre.

– Wiem, urodzony w Tybecie.

– Wiesz to? A myślałam, że będzie niespodzianka. Dobra, nieważne. Dom rodzinny w Międzybrodziu Żywieckim. Wychowany przez brata, Zbigniewa. Liceum w Gliwicach, studia w Szczytnie. W policji od dwa tysiące dziesiątego roku. Wysłany na urlop w dwa tysiące szesnastym roku i od tego czasu słuch po nim zaginął. Aż do ostatniej środy, kiedy go przywrócono. Tyle. A, czekaj. Może jeszcze jedno. Tamtego dnia na urlop wysłano dwóch funkcjonariuszy. Drugi to Piotr Cyra.

– Tak, słyszałam coś. Podobno się pobili.

– Może, nie wiem. W każdym razie obaj na wiele lat zapadli się pod ziemię, a potem, w ciągu zaledwie dwóch tygodni, przywrócono ich do służby. Pod oboma wnioskami podpisał się prokurator z okręgowki Paweł Doba. Naczelnik, więc nie byle kto.

– No dobra. Dzięki. Odwdzięczę się.

– Oczywiście. A powiedz mi jeszcze jedno.

– Tak?

– On faktycznie jest taki piękny, jak mówią? Widziałam tylko jakieś zdjęcia.

– Paaaa.

Rozłączyła się i padła na łóżko. W rękach trzymała majtki, o których zupełnie zapomniała. Teraz nie chciała ich już wkładać. Zakopała się pod kołdrą, a oczy zamknęły jej się same. Wiatr grał na liniach wysokiego napięcia. Na dworze było szaro i depresyjnie, kto normalny chciałby w taki dzień wyściubić nos z pościeli? Zasnęła.

Śniło jej się, że tonie w ramionach mężczyzny. Szerokich, silnych, oplatających ją tak potężnie, że nie może się ruszyć. Że on układa ją sobie na łóżku, że zdiera z niej bieliznę i bierze ją we władanie. A ona czuje w sobie jego moc, poddaje się jej, chłonie ją, pragnie jej. Mężczyzna ten

uśmiecha się do niej dobrotliwym, lecz przepelnionym dumą spojrzeniem. Nie, to nie Kamil, jak myślała dotychczas, to Adam Mąka sący jej do ucha świństewka, od których zarumieniłaby się niejedna profesjonalistka.

Dwa ciche piknięcia wyrwały ją ze snu. Przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest, szczególnie że w mieszkaniu było zupełnie ciemno. Przespała cały dzień. W końcu doszła do siebie. Namacała leżący pod kołdrą telefon i odblokowała ekran. Białe, nieprzyjemne światło wydarło jej z oczu łzy. Zmrużyła powieki, by być w stanie odczytać wiadomość.

O kurwa – pisała Aśka.

Co się stało?– Odpisała Liliana, w trzech prostych słowach myśląc się cztery razy, bo palce jeszcze jej za bardzo nie słuchały.

Nic nie wiesz?

Nie. Co?

W odpowiedzi przyszedł link kierujący do serwisu streamowego konkurencyjnej redakcji.

Co do cholery? – pomyślała. Zrzuciła kołdrę i zerwała się z łóżka. Poczowała chłód. Jej ciało pokryła gęsia skórka, a brodawki sutkowe nabrzmiały boleśnie. Nie w ten przyjemny sposób. Ale nie zamierzała tracić czasu na garderobę. Szybkim krokiem przeszła do salonu i włączyła telewizor. Był ogromny. Miał sto dwadzieścia cali i zajmował całą ścianę. Liliana stała pośrodku salonu i szybkimi ruchami palców na pilocie połączyła się z WhatsAppem. Kliknęła link. Redakcyjny *player* natychmiast wypełnił cały ekran. Pośrodku wirowało kółeczko świadczące o ładowaniu materiału, ale widziała już nieruchomą postać Kamila Budy-Zalewskiego. Stał na tle jakiegoś budynku. Doświetlała go lampa operatora. Wyglądał jakoś inaczej

niż zwykle. Dużo poważniej, dojrzej. Być może to przez uczesanie, być może przez dobrze skrojony garnitur, a jednak zdawało jej się, że przede wszystkim to poważny, surowy wyraz twarzy był tym, co jej w tym wszystkim najbardziej nie pasowało.

W końcu materiał uruchomił się i Buda-Zalewski przemówił.

– Szokujące wieści z Górnego Śląska, gdzie od przynajmniej ośmiu lat grasuje seryjny morderca, który każdego sylwestra w wyjątkowo drastyczny sposób morduje młode kobiety. Odcina im głowy, przechowuje przez rok, a następnie podrzuca je przy ciele kolejnej ofiary. Zapewne zastanawiacie się państwo, dlaczego nic o tym nie wiecie. To dlatego, że prokuratura postanowiła ukryć ten fakt przed społeczeństwem. Rodziny oszukano, że ich bliscy umierali w wyniku tragicznych wypadków.

– Ja pierdolę... – wyszeptała Liliana.

– Do tej pory zginęło przynajmniej osiem kobiet, możliwe, że było ich więcej – kontynuował Buda-Zalewski. – Ostatnia cztery dni temu, na opuszczonej stacji kolejowej Bytom-Bobrek. Trzydziestojednoletnia Joanna L. była dyrektorem zarządzającym polskiego oddziału międzynarodowej sieci agencji reklamowych. Trudno nawet opisać, jak wiele wątpliwych etycznie mechanizmów musiano zastosować, by całą sprawę utrzymać w tajemnicy, a w dalsze śledztwo niewątpliwie włączy się Centralne Biuro Antykorupcyjne, by zbadać powiązania prokuratury z korporacjami ubezpieczeniowymi, które wypłacały rodzinom ofiar odszkodowania za śmierć w wypadkach. Najważniejsze jednak pozostaje pytanie: jak wiele ofiar Krwawego Szafarza skłoni w końcu prokuraturę, by wreszcie poinformować społeczeństwo o zagrożeniu? O sprawie po raz pierwszy, ale na pewno nie ostatni, informuje państwa Kamil Buda-Zalewski, platforma „Newwws”.

Wejhert miała dość. Drżącymi palcami wciskała guziki na pilocie, nie trafiając w żaden. W końcu udało się jakiś trafić, obraz mignął i urządzenie przełączyło się w tryb telewizyjny. TVN24 pokazywał właśnie wieczorny najazd dziennikarzy na siedzibę Ministra Sprawiedliwości. Paski zmieniały się z prędkością błyskawicy. „Seryjny morderca grasuje na Śląsku”, „Szaleniec przechowuje głowy ofiar”, „Szafarz nieuchwytny od ośmiu lat”. A w rogu ekranu, w specjalnie wydzielonym okienku, Kamil Buda-Zalewski prezentował cały zestaw starannie wypracowanych min i gestów w rozmowie z Grzegorzem Kajdanowiczem.

– Panie redaktorze, pan sam najlepiej wie, że nie mogę i nie zdradzę swoich źródeł. Zapewniam jednak, że trudno o bardziej wiarygodne. Sprawy Krwawego Szafarza nie da się już zresztą zamieść pod dywan. Jest zbyt wielowątkowa i zbyt wiele osób ucierpiało już wskutek działań prokuratury. Przewiduję, że w ciągu doby prokuratura, być może nawet sam Prokurator Generalny, zabierze głos w tej sprawie.

Liliana Wejhert stała nago w owładniętym ciemnością salonie. Z mroku dobywało ją jedynie zimne, rozedrgane światło telewizyjnego ekranu, układające się na podłodze w kształt trapezoidu. Pilot wysunął jej się z ręki i upadł na podłogę. Być może ten sam los spotkałby spoczywającą w drugiej dłoni komórkę. Ta jednak właśnie zawibrowała, a na ekranie pojawiła się twarz Marcina Wysockiego, prezesa Dzień Dobry Śląsk.

ROZDZIAŁ 21

Dzień 5

W niedzielę rano Prokurator Generalny przyleciał śmigłowcem do siedziby Prokuratury Okręgowej w Katowicach, a jeżeli droga zajęła mu więcej czasu, niż Lichemu dotarcie w to samo miejsce z Chropaczowa, to tylko przez wzgląd na fatalną, wybitnie niesprzyjającą pogodę. Major Sławomir Lenzion, dowódca lotu, jeden z najbardziej doświadczonych pilotów 1. Bazy Lotnictwa Transportowego, z nalotem przeszło tysiąca godzin, z czego lekko licząc połowę na Sokole W-3, zaraz po przyziemieniu się przeżegnał. I choć dobijał już pięćdziesiątki, a na jego siwych skroniach próżno byłoby szukać choćby pojedynczych ciemnych pasemek, w prostych żołnierskich słowach poinformował swojego drugiego pilota, że to pierdoli, bo jest za młody, by umierać.

Lichy przespał cały poprzedni dzień. Jego ciało źle znosiło odstawienie alkoholu, co wciąż nie dawało mu spokoju. Był pewien, że ma to pod kontrolą. Że może przestać pić, kiedy tylko zechce. Najwyraźniej nie było to takie proste. Jednak w postanowieniu wytrwał. A właściwie trudno mówić tu o postanowieniu. On nic sobie nie postanowił. Po prostu nowy narkotyk przejął nad nim kontrolę. Zbrodnia. A mimo to, prócz przeczytania materiałów od Wejhert, których, nawiasem mówiąc, było tyle, co kot napłakał, nie zrobił nic. Spod kołdry wyszedł tylko do łazienki i po wodę. Jajecznicę na maśle zjadł dopiero tego poranka, zaraz po tym, jak odczytał wiadomość, że na dziewiątą rano ma się zjawić w prokuraturze.

O tym, co się stało, dowiedział się dopiero w pociągu. Ludzie o tym gadali. Uruchomił jakiś serwis informacyjny w komórce i wtedy dopiero zrozumiał, jak bardzo skomplikowała się sytuacja. Zdziwiło go nawet, że nikt do niego nie zadzwonił i podejrzewał, że Cyra maczał w tym palce. Ewidentnie starał się wypchnąć Lichego poza zespół.

Budynek prokuratury otoczony był przez tłum ludzi. Najbliżej wejścia rozstawiły się wozy transmisyjne. Lichy nie wiedział nawet, że w Polsce istnieje tak wiele serwisów telewizyjnych, choć przypuszczał, że zza granicy też coś się pojawiło. Jednak to nie dziennikarze stanowili największy problem, a wściekły tłum. Naprawdę wściekły. Trudno się było przedrzeć przez tych ludzi i Lichy błogosławił w duchu własną nieefektywność. Twarz, jedyne, co zwykle przykuwało spojrzenia, skrył za kołnierzem płaszcza, a cała reszta jego nędznej osoby była dla ludzi zwyczajnie niewidoczna. Przez to udało mu się jakoś wślizgnąć do budynku. Obrotowe drzwi stanowiły dla tłumu przeszkodę nie do przebycia, szczególnie że zaraz po wejściu do głównego holu natręci spotykali kilku policjantów, którzy stanowczymi działaniami powstrzymywali wszelakie wybryki. W jednym z nich Lichy poznał Chutora. Ten również go poznał i machnął dłonią w kierunku windy.

– Śpisz czasem, aspirancie? – zapytał.

– Rzadko – odparł Chutor. – Ale wczoraj miałem wolne.

Prawda. Lichemu zdawało się, że spotkał aspiranta poprzedniej nocy. A przecież było to noc wcześniej. Ciężył mu ten zarwany dzień.

W sali konferencyjnej byli już wszyscy: Ruslan, Martyna, Cyra, Modling, Krzywański, i Doba. Gdy wszedł, nikt nie odezwał się nawet słowem. Prócz Krzywańskiego nikt nawet na niego nie spojrział. Lichemu to nie przeszkadzało. Z nikim się nie przywitał, wziął tylko ze stołu butelkę

wody, odsunął krzesło, które mu przeszkadzało i usiadł sobie na podłodze pod ścianą.

Nie minęło kilka minut, jak do pomieszczenia w asyście dwóch tajniaków wszedł Prokurator Generalny Jan Wróbel.

– Nie wstawać – rzucił, choć nikt się nawet nie ruszył. Zdjął czarną puchową kurtkę, podał ją tajniakowi, a następnie obu odprawił niecierpliwym gestem dłoni. Ubrany był po cywilnemu. Czarne jeansy, czarny sweter z zamkiem od szyi do piersi. Widać było, że wytrzymał się i zmarzł w starym Sokole, bo rozcierał ręce i pociągał nosem. Nieco kwadratową twarz miał trochę za bardzo czerwoną, trudno powiedzieć, czy od mrozu, czy wprost przeciwnie, od nadużywania substancji rozgrzewających. Wyglądał jednak schludnie, szczególnie jak na pięćdziesięciodwulatka. Włosy, choć przyprószone siwizną, wciąż mocne i gęste, zaczesane na lewo, zarost z twarzy usunięty na tyle, na ile dojrzały mężczyzna jest go w stanie się pozbyć. Wróbel był jednym z tych polityków, którzy uważali, że reprezentując Rzeczpospolitą, po prostu wypada dobrze wyglądać.

Gdy agenci wyszli i zamknęli za sobą drzwi, minister usiadł, spojrzał po zgromadzonych i rzucił:

– Jak to się stało?

Nikt nie odpowiedział, więc Wróbel spojrzał wymownie na Dobę. Ten w końcu wzruszył ramionami i odparł:

– Nie mam pojęcia.

– Mamy duży problem, Doba. Wiesz o tym, prawda? Zaufaliśmy ci.

– Panie ministrze – odparł prokurator przez zaciśnięte zęby. – Możemy to sobie darować? W tym pokoju są sami swoi. Doskonale rozumiemy, jaki mamy problem. Przejdźmy więc do konkretów. Nie wiem, w jaki sposób

informacja się wydostała, ale szczerze mówiąc, biorąc pod uwagę skalę operacji, i tak długo udało nam się utrzymać wszystko w tajemnicy.

– A pan wie, jakie ja będę miał teraz problemy? Będzie dobrze, jeśli to się nie skończy moją dymisją.

– Z całym szacunkiem, ale gdzieś mam pana dymisję – odparł Doba. – Mamy tu mordercę do schwytania. Wspólnie się zgodziliśmy na taki tryb i proszę się teraz nie wycofywać, bo nic gorszego nam się już nie może przytrafić, a z tym, co mamy, na pewno sobie poradzimy.

– Ja się z niczego nie wycofuję – odparł Wróbel i choć jego głos wydawał się spokojny, wachlował nozdrzami jak słoń uszami w czasie najsuchszego afrykańskiego lata. – Ale chcę wiedzieć, co się stało, że ten projekt nie wypalił. I mam tu na myśli zarówno fakt, że pomimo wielu lat pełnego wsparcia z mojej strony nie udało wam się złapać mordercy, jak i to, że sprawa stała się jawna, choć zaraz na samym początku ustaliliśmy, że absolutnie nie można do tego dopuścić.

– A ja już panu powiedziałem, że nie wiem, skąd media o tym wiedzą. Co do reszty, oddaję się do pana dyspozycji. Może powinien pan wyznaczyć innego gospodarza śledztwa.

– Być może – odparł minister, po czym zamilkł na kilkadziesiąt sekund. Widać było, że zbiera myśli, ale jednocześnie energię. Od kiedy wszedł do pomieszczenia, sprawiał wrażenie zestresowanego i zirytowanego. Polityka nauczyła go jednak, że okazywanie gniewu bywa użyteczne jedynie w starannie zainscenizowanych okolicznościach i tylko wobec ludzi, których los w istocie zależy od humoru polityka. W tym pomieszczeniu siedziały inne dusze. Niepokorne, niezłomne i z pewnością niełękliwe. Konfliktowanie się z nimi nie mogło doprowadzić do niczego.

– Doceniam wasz wysiłek, naprawdę – powiedział – ale sami widzicie, że ten format się wyczerpał. Tak zresztą ustaliliśmy na początku. Jeśli

sprawa się wyda, zamykamy projekt i udajemy, że nic się nie stało.

– Mogliśmy udawać, że nic się nie stało, gdyby projekt trwał dwa lata. A siedzimy w tym od pięciu. Od trzeciego morderstwa, a mamy osiem. Albo i dziewięć, sam już nie wiem.

– Myślę, że nadszedł czas, by zabrać się za to oficjalnie. Zresztą, skoro nie ma już tajemnicy, możemy wyznaczyć oficjalne zespoły. Nie, nie, że możemy. Musimy to zrobić. Społeczeństwo już teraz tego od nas wymaga, a będzie gorzej. Będzie odwrotnie niż dotąd. Wszystko w świetle kamer. Ogromna presja. Każdy dzień, w którym ten człowiek będzie na wolności, to ogromny problem wizerunkowy prokuratury, policji i rządu. Teraz, kiedy wydało się, że przez osiem lat nie schwytaliśmy mordercy, jedynym sposobem, by stłumić gniew społeczeństwa, jest jak najszybciej zamknąć sprawę.

Zrobił pauzę i spojrzał po zgromadzonych. Nikt się nie odezwał.

– Dobrze – powiedział. – Myślę, że się rozumiemy. Rozwiązuję zespół.

– Za przeproszeniem – odezwał się naraz Cyra.

– Kim pan jest? – zapytał minister.

– Komisarz Piotr Cyra.

– Cyra? Przykrywkowiec?

– Dawne czasy. – Cyra uśmiechnął się najskromniej, jak potrafił, ale i tak każdy w pomieszczeniu wiedział, że ta powszechna wiedza o jego dokonaniach sprawiała mu przyjemność. – Jeśli można. Sugeruję, by jednak nie rozwiązywał pan zespołu. Poprowadzimy śledztwo jawnie. Nie ma teraz czasu, by wdrażać nową komórkę, szczególnie że jesteśmy u progu wielkiego przełomu w śledztwie.

– Pan nie rozumie – przerwał mu Wróbel. – Ludzie pragną krwi. I ja tej krwi muszę utoczyć. Co mam powiedzieć społeczeństwu?

– Z całym szacunkiem, panie ministrze – powiedział Cyra, zaglądając Wróblowi głęboko w oczy – ale od wymyślania jesteście wy. A my od łapania zbrojów. Jak mówiłem przed chwilą, mamy przełom w śledztwie. Wytypowaliśmy podejrzanego. Mamy na niego sporo. Kiedy zrozumiał, że jesteśmy blisko, uciekł na Ukrainę. Ale Ukraińcy już go namierzyli. To wiadomość dosłownie z dzisiejszej nocy. W ciągu najdalej dwudziestu czterech godzin będą go mieli w klatce, a wkrótce potem my. Prokurator Doba uzyskał zapewnienie, że Kijów nie będzie nam robił problemów.

– Kto to jest? – zapytał Wróbel.

– Konkubent ostatniej ofiary, mąż poprzedniej.

– O cholera.

– Zwróciliśmy na niego uwagę, bo na trzy dni przed ekspozycją ciała nagle przestał się kontaktować z ofiarą. Jego tłumaczenia okazały się kłamstwem. W trakcie przeszukania w jego garażu znaleźliśmy wiadra z zieloną farbą, technicy potwierdzili, że to ta sama farba, którą pokryto zwłoki ostatniej ofiary. Na obu wiadrach ujawniliśmy jego odciski palców.

– A jaki ma związek z poprzednimi ofiarami?

– Tego jeszcze nie wiemy. Przyznaję, wciąż sporo w tym znaków zapytania. Ale w ciągu ostatnich trzech dni zrobiliśmy postępy, jakich nie było od początku tego śledztwa i nie możemy teraz odpuścić. Pan ma do dyspozycji całą machinę propagandową i może zaprojektować komunikat, jak się panu podoba. Ludzie kupią wszystko. Można powiedzieć, że śledztwo wcale nie było tajne. Przecież nie ma na to żadnych dowodów, prócz słów tego dziennikarza. Skoro media same nic nie wywęszyły, to proszę mi wskazać, który prokurator dobrowolnie leci przed kamery, by się chwalić takimi rzeczami? Można też powiedzieć, że czynności utajniono proceduralnie dla dobra śledztwa, bo coś tam, coś tam. Potrzebujemy czasu. Niewiele, ale potrzebujemy. Jak złapiemy mordercę, to się nakręci

jakiś reportaż o najtrudniejszym śledztwie w historii, zrobi proces w świetle kamer i ludzie szybko zapomną, że trwało to dłużej niż zazwyczaj. Ale to się nie uda, jeśli teraz weźmie się za to jakiś nowy zespół.

Wróbel nie odpowiedział. Zamiast tego spojrzął na Dobę, a ten tylko wzruszył rękami. Minister zamyślił się na chwilę. Wyraźnie walczył ze sobą, coś sobie przerzucał w głowie. Nikt nie śmiał mu w tym przeszkadzać, ale Cyra, który raz uchwyciwszy się czegoś, nigdy nie odpuszczał, świdrował polityka wzrokiem, jakby próbował go zahipnotyzować.

– Rozumiem te argumenty – powiedział w końcu Wróbel. – Przyznaję im słusność, szczególnie jeśli faktycznie morderca jest na wyciągnięcie ręki. Ale powiem wprost. Nie da się tego zrobić bez ofiar. Nie da się przejść nad tym do porządku dziennego, jeśli nikt nie zostanie ukarany. Nie chodzi zresztą o karę. Chodzi o tym, by wykazać, że coś się zmieniło. Że skoro mechanizm dotąd nie działał, to zidentyfikowano i wymieniono wadliwe podzespoły.

– Oczywiście – odparł Cyra. – Rozumiem to. Myślę, że wszyscy to rozumiemy. I wiemy, że inaczej się nie da.

Cyra zamilkł wprawdzie, jednak widać było, że nie skończył jeszcze swojej myśli. Pracował teraz twarzą. Taksował wzrokiem zgromadzonych. Przymykał i otwierał oczy. Oddychał głęboko, jakby faktycznie było mu ciężko na duszy. W końcu jednak spojrzął na Krzywańskiego i powiedział.

– Nie gniewaj się, Andrzej, ale przecież wszyscy wiemy, że to powinieneś być ty.

Krzywański zbladł, jednak nie było już sił w tym człowieku. Przygarbiony, zmęczony, z twarzą opuchniętą od braku snu, cerą chropowatą od latami kultywowanego procederu spożywania posiłków

w najpodlejszych miejskich lokalach. Nie zdobył się na to, by spojrzeć na Cyrę. Zamiast tego spuścił tylko głowę i jeszcze zmałał.

– A więc teraz – powiedział – na koniec wieloletniej służby zostałem wadliwym podzespołem.

Cyra uśmiechnął się niemal dobrotliwie.

– Andrzej, nie mamy przecież wątpliwości, że pan minister użył figury retorycznej. Nikt ci nie umniejszy zasług ani włożonego wysiłku. Panie ministrze, podinspektor Krzywański był dobrym dowódcą, każdy z nas to przyzna. Prowadził tę sprawę prawie od początku, zebrał mnóstwo informacji, wykonał tytaniczną pracę, szczególnie w zakresie weryfikacji danych. Ale trudno nie zauważyć, że nie ma już rezerwy sił. Minęły zaledwie dwa tygodnie, od kiedy jestem w zespole, a osiągnęliśmy w tym czasie więcej niż ten zespół przez sześć ostatnich lat. Dlatego, choć ze smutkiem, uważam za oczywiste, że w obecnych okolicznościach zespół powinien przejść pod moją komendę.

Gdzieś z rogu sali rozległ się cichy śmiech. Cyra się skrzywił, ale nie odwrócił wzroku od Krzywańskiego, jakby się bał, że ten skorzysta z okazji i spróbuje kontrataku.

– Brawo – powiedział tymczasem Lichy, który zdążył już się podnieść z podłogi. – Świetnie to sobie wymyśliłeś.

– A pan kim jest? – Minister się zdumiał, jakby w ogóle nie był świadom obecności Lichego w pomieszczeniu, co zresztą było bardzo prawdopodobne.

– Nikim, kto wart byłby uwagi majestatu Rzeczypospolitej. – Uśmiechnął się Lichy. – Zresztą, właśnie wychodzę.

– Lichy... – Krzywański westchnął.

– Lichy? – zapytał Wróbel. – Ten Lichy? Widzę, że same gwiazdy w tym zespole.

– Jedna tylko – odparł Lichy – firmament należy do kolegi Cyry. Powodzenia państwu życzę.

– Świetnie – powiedział Cyra, wciąż wpatrując się w Krzywańskiego – oszczędziłeś mi zachodu, bo to oczywiste, że nie ma dla ciebie miejsca w mojej drużynie.

– Przepraszam – odezwał się naraz stary mężczyzna siedzący w rogu sali – Nadkomisarz Ryszard Modling. Za przeproszeniem pana ministra, odnoszę wrażenie, że nasz młodszy kolega właśnie oznajmił, że to wszystko pierdoli. Otóż, za przeproszeniem pana ministra, ja również będę to pierdolił. Nie szanuję dowódców, którzy sami się powołują. Poza tym jestem zmęczony i muszę kupić prezent dla wnuczki, bo za sześć dni ma urodziny.

Wstał i skierował się do drzwi, a przechodząc obok Krzywańskiego, położył podinspektorowi dłoń na ramieniu i powiedział:

– Chodź Andrzej, nic tu po starych psach i zużytych podzespółach. Niech się młodzież bawi.

Krzywański uśmiechnął się smutno, ponieważ doskonale rozumiał swoją sytuację. Zaszurało krzesło, bo przecież komplet nowoczesnych foteli na kółkach przekroczył w ubiegłym roku budżet przetargu na nowe wyposażenie biura prokuratury.

– Ktoś jeszcze?! – krzyknął Cyra, doskonale udając złość. Bo nie był zły. Wprost przeciwnie. Sam się nie spodziewał, że sytuacja ukształtuje się dla niego tak korzystnie. Za jednym zamachem pozbył się wszystkich, których i tak zamierzał usunąć sobie z drogi. Teraz jednak ważne było, by wywalczyć sobie karność pozostałych. A pozostali byli karni. Ani Rusłan, ani Martyna nie ruszyli się z miejsca.

– Panie ministrze, panie prokuratorze, najdalej w ciągu sześciu godzin przedstawię cztery nazwiska nowych członków zespołu. Proszę również

o oficjalne przywrócenie do służby komisarz Martyny Babicz i podkomisarza Rusłana Błagojewa. Wiem, że są sposoby na takie rzeczy. Proszę mi to przyklepać, a w ciągu najdalej tygodnia będziemy się ściskać przed kamerami, prowadząc zbója na smyczy.

Lichy nie słyszał odpowiedzi ministra, ani w ogóle niczego więcej, bo był już za drzwiami, w połowie drogi do windy. Krzywański i Modling szli zaraz za nim.

– On powiedział, że ty to zrobiłeś – oznajmił były dowódca. – Że ty poinformowałeś media o sprawie. Dlatego nie zostałeś zaproszony na wczorajszą naradę. Zmusił mnie do tego. Ale wiedz, że w to nie wierzę.

– Wiem – odparł Lichy. – Bo dla każdego myślącego człowieka zupełnie jasnym jest, że on sam to zrobił.

– Nie – powiedział Krzywański. – W to też nie wierzę.

– A powinienes. Przecież on to planował od dawna. Cyra to pasożyt. Narośl. Nie uznaje zwierzchności. Nie uznaje zasad. Nie poważa nikogo. Jak tylko zwiertzył szansę, by zostać bohaterem, to zaraz ją wykorzystał. Dla mnie to zupełnie oczywiste, że nawet gdyby Wróbel nie zażądał twojej głowy, to Cyra i tak by ją ściał.

– A, może. W każdym razie zaraz zadzwonię do żony i powiem jej, że ten odwołany wyjazd do sanatorium w Szczawnie-Zdroju, którego tak bardzo nie może przeboleć, jednak się odbędzie. I powiem ci, Lichy, że naprawdę mi ulżyło. Szkoda tylko Ryśka.

– Ja już dawno się pogodziłem, że nic z tego nie będzie – odparł Modling.

– I nie będzie – powiedział Lichy. – Bo Cyra gównno ma. Zagrał *va banque* i szybko tego pożałuje.

Wsiedli do windy. Lichy myślał jeszcze o tym, co się przed chwilą wydarzyło. Że w pierwszej chwili chciał wyśmiać całą tę narrację o sukcesie

związanym z wytypowaniem Ślązaka, ale zaniechał, bo w milczeniu upatrywał jedynej szansy na uratowanie zespołu. Na uratowanie Krzywańskiego. I znów nie docenił podłości Cyry. Ale to już ostatni raz.

Winda powoli toczyła się w dół. Choć na przestrzeni ostatnich lat podjęto kilka prób odświeżenia biurowca przy Wita Stwosza, choć jedna z drugą urzędowe głowy pochyliły się nad komfortem pracy ludzi zatrudnionych w biurze prokuratury, to przecież windy wciąż były starego typu. Może już nie te z pierwszych lat, ale wymieniane dość dawno temu, by można było mówić o nich per „stary złom”.

Kabina stanęła na pierwszym piętrze i gdy drzwi rozsunęły się, ujrzeli inwalidę na wózku. Lichy odruchowo wysunął się z windy, a Krzywański i Modling za nim. Mężczyzna bez nóg wtoczył się wózkiem do środka i wymamrotał podziękowania. A oni trzej uznali, że nie będą się z nim kisić w niewielkiej ruchomej klatce. Że przecież to pierwsze piętro. Że zejście schodami do holu zajmie im trzydzieści sekund. Choć z nich trzech dwóch miało już swoje lata, wciąż pamiętali, że są na świecie ludzie, którzy cierpią bardziej i mają w życiu trudniej. Bo z tych trzech przynajmniej dwóch było dobrymi ludźmi.

Ach, gdybyż oni nie byli dobrymi ludźmi. Gdyby i Lichy nie próbował być dobrym człowiekiem. Gdyby uznali, że skoro inwalida na wózku nie mieści się w windzie, to powinien poczekać na sąsiednią kabinę. Gdyby nie pomyśleli tylko o jego komforcie, a choć trochę też o ich własnym, i weszli wraz z inwalidą do kabiny. Gdyby stało się choć jedno z tych, to być może podinspektor Krzywański faktycznie pojechałby z żoną do Szczawna, zażywał błotnych kąpiel i raczył się słynnymi na cały Dolny Śląsk wodami Mieszko, Martą, Dąbrówką czy innym Młynarzem.

Ale oni poszli schodami. Gdy byli już niemal na dole, z tłumy ludzi z mikrofonami i kamerami, którym ostatecznie udało się zaanektować hol,

wyłoniła się nieludzka postać. Białowłosy nędzarz, tak chudy, że niemal przezroczysty, okryty szarym, dawno zużytym płaszczem. Jego twarz była nieruchoma, wzrok niewidzący, oddech niesłyszalny. Nie odezwawszy się ani słowem, starzec wyjął z przepastnej kieszeni pistolet Heckler & Koch VP9 i z trzech metrów oddał pięć strzałów w kierunku schodzących. Pierwszy był chybiony. Drugi trafił Krzywańskiego w podbrzusze, przeszedł przez prawe płuco, powodując jego zapadnięcie, potem przez przeponę i w końcu utkwiał w prawym płacie wątroby. Trzeci poszedł wysoko i niecelnie, ale rykoszetował, uderzył podinspektora w kark i odbił się od kręgosłupa. Czwarty rykoszetował od balustrady i uciął Modlinga w skroń, nie powodując żadnych większych obrażeń. Piąty był niecelny. Wszystko to trwało niespełna półtorej sekundy. Ciało Krzywańskiego zmieniło się w rzecz, niezdolną w dalszym ciągu przeciwstawić się grawitacji. Poskładało się jak brudne pranie wysypane z kosza i podinspektor runął na schody, z których następnie stoczył się do stóp mordercy. Modling również upadł na schody, jemu jednak nogi bardziej podcięły szok i strach. Lichy zareagował działaniami poniżej progu świadomości. W głowie zrobiło mu się naraz zupełnie cicho. Na pewno coś krzyczał. Może nawet wrzeszczał. Ale sam nie słyszał swoich słów. Rzucił się w kierunku leżącego na posadzce Krzywańskiego, widząc przed sobą jedynie rozpierschający się w zwolnionym tempie tłum. Strzelec zniknął mu z radaru. Dopadł ciała dowódcy, w nim jednak nie było już życia. Szarpnął nim, krzyknął jego nazwisko, jakby wierzył, że to wszystko wciąż jeszcze da się odwrócić, chciał go ułożyć na boku, jednak poślizgnął się i runął na brzuch. Ułamek sekundy zajęło mu zrozumienie, że poślizgnął się na krwi. Hol był jej pełen. Ciemnej, wściekle czerwonej i gęstej. Jedynej żywej esencji, wciąż jeszcze podlegającej chemicznym przemianom, wciąż pachnącej istnieniem, ale nie dającej już żadnej nadziei.

Poczuł lekkie pieczenie ramienia, zaraz potem przytłumiony huk i zrozumiał, że to się jeszcze nie skończyło. Że morderca wciąż wypuszcza z magazynka pociski. Rzucił się w bok, nie myśląc, nie patrząc, nie czując. Dwa kolejne strzały zagrały mu tuż nad uchem i coś zważyło mu się na kark, prześlizgnęło po plecach i upadło na podłogę. W pełnym niekontrolowanej paniki odruchu, Lichy odbił się kolanami od posadzki i wykonując niekoordynowany przez mózg piruet zdobył pół metra przestrzeni. W tym obrocie przez ułamek sekundy i zaledwie kątem oka dostrzegł Chutora, tak bladego, że nie tylko jego twarz, ale i mundur zdawały się być białe. W ogromnych dłoniach trzymał służbowego glocka, z którego lufy wciąż jeszcze dobywał się dym, ulotny, lecz jakże namacalny dowód na to, że młody aspirant zakończył właśnie wiek szczenięcy i wszedł do grona psów, dla których praca w policji nie jest już niezapomnianą przygodą, pełną emocjonujących wyzwania gwarantujących zawodową satysfakcję.

Krew strzelca mieszała się z krwią leżącego tuż obok Krzywańskiego, zabójca jednak żył jeszcze, czego dowodem było rzeźnienie dobywające się z jego piersi. Lichy przypadł do starca i usiłował ogarnąć pole walki. Gdzie jest jakaś rana? Jak pomóc temu człowiekowi? Co zrobić? Ten jednak chwycił go kościstą dłonią za kołnierz płaszcza i ściągnął do siebie.

– Oszukaliście mnie. Jak mogliście mnie tak oszukać? – wyszeptał, robiąc krótką pauzę przed każdym słowem. – Powiedzieliście, że zginęła w wypadku.

– Już dobrze – powiedział Lichy, przykładając umierającemu dłoń do policzka. – Już dobrze.

– Obiecaj mi – poprosił mężczyzna. – Obiecaj, że złapiesz zabójcę mojej córki.

– Złapię – odpowiedział Lichy.

Tamten chciał jeszcze coś powiedzieć. Lichy nie mógł nic zrozumieć, więc zbliżył ucho do jego ust. Ale nie usłyszał już nic. Ani słów, ani szmerów, ani choćby najcichszego szumu oddechu. Jan Wardęga, ledwie czterdziestoośmioletni starzec, ojciec Doroty, zamordowanej trzydziestego pierwszego grudnia dwa tysiące piętnastego roku i wyeksponowanej pod mostem kolejowym nad Białą Przemszą w Sosnowcu, zmarł. Żona Andrzeja Krzywańskiego, podinspektora policji, służącego w formacji od zarania dziejów, jeszcze w czasach, gdy służba nazywała się inaczej i oznaczała zupełnie co innego, nigdy nie doczekała się telefonu z wiadomością o tym, że wyjazd do Szczawna-Zdroju, który od tak dawna planowali, jednak się odbędzie.

ROZDZIAŁ 22

Chropaczowskie bloki, osnute czarną jak węgiel mgłą i rozświetlone pomarańczowym światłem nielicznych osiedlowych latarni, wyglądały naprawdę upiornie. Opar był tak gęsty, że nie widać było zarysu budynków. Przebijały się tylko liczne rozświetlone okna, zawieszane jakby zupełnie w powietrzu. Chropaczów przypominał scenografię z futurystycznych horrorów science fiction.

Dochodziła dwudziesta druga i temperatura spadła do minus siedmiu stopni, więc Lichy marzł. Marzł zresztą cały czas. Miał wrażenie, że od kiedy odstawił alkohol, temperatura jego ciała spadła przynajmniej o jeden stopień. W dodatku musiał oddać do czyszczenia swój płaszcz, niewątpliwie najcieplejszą część garderoby, jaką posiadał. Dlatego pod cienką puchową kurtką wdział trzy bluzy, z czego dwie z kapturem. Wszystkie, jakie miał na stanie. A i tak gówno to dawało. Mróz przenikał go do szpiku kości, a rozgrzewała jedynie kawa, którą kwadrans wcześniej kupił na Shellu. Mimo to błąkał się pomiędzy blokami jak kundel, który pod nieuwagę pana urwał się z mieszkania i teraz zwiedza wszystkie okoliczne zakamarki, licząc na okazję do pozostawienia gdzieś swojego nasienia.

W swoim pamiętniczku Lichy zapisał wiele koszmarnych dni, a ten, choć może nie najgorszy, z pewnością plasował się w czołówce. Gdy w końcu doszedł do siebie, przez sześć godzin odpowiadał na pytania prokuratora, który i tak nie będzie prowadził tego śledztwa, więc prędzej czy później przyjdzie Lichemu wszystko powtórzyć już przed kimś innym. Ponieważ zaledwie zbieg okoliczności sprawił, że zemsty zrozpaczonego

ojca uszedł Minister Sprawiedliwości, na miejscu zdarzenia szybko pojawili się funkcjonariusze z Biura Ochrony Rządu. Przyjechało CBŚP, przyjechali operatorzy SPKP, cholera wie po co. Pojawiły się problemy z kompetencjami, nadrzędnością zadań, a kilka byczków pobodło się ze sobą, żeby pokazać, który ma twardsze rogi. Sytuację opanował dopiero sam minister Wróbel, który, raz z racji urzędu, a dwa – wieloletniego doświadczenia policyjnego, zdołał jako tako zaprojektować architekturę działań.

Śmierć Krzywańskiego dotknęła wszystkich. Nawet Cyra wydawał się być przejęty, choć z tym człowiekiem nigdy nie było wiadomo, kiedy gra, a kiedy faktycznie jest sobą. Zawsze miał z tym problemy. Lichy wielokrotnie zastanawiał się, czy Cyra jest ich agentem wśród przestępców, czy agentem przestępców wśród nich. Ale podobno taka już cecha najlepszych przykrywkowców. Lichy wiedział, że to niełatwa służba, i że jego ocena bez wątpienia jest zainfekowana patogenem wektorowanym z ustroju ich wzajemnej relacji.

Najlepiej wszystko zniosła Martyna. Opanowana, skupiona, choć przecież oczywiste było, że cierpi. Ruslan rozplakał się jak dziecko. Doba był w szoku do tego stopnia, że wezwano do niego karetkę. Modling pojechał do szpitala, ale lekarze bardziej obawiali się o stan jego serca niż zranionej głowy.

Chutor przeżywał gehennę, zabrany z miejsca zdarzenia na komendę, gdzie cały dzień odpowiadał na te same pytania. Lichy wiedział, że najbliższe tygodnie mogą być dla tego chłopaka ciężkie. Wiedział, bo sam przez to kiedyś przechodził. Na szczęście dla Chutora, miał ze stu świadków, którzy niemal zgodnie zeznawali, że funkcjonariusz oddał strzał, gdy morderca pochylał się nad Lichym, by odstrzelić mu głowę. I że niewątpliwie uratował komisarzowi życie. Cóż z tego, skoro Chutor sam

wiedział, że to nieprawda. Po oddaniu dwóch chybionych strzałów do Lichego, Wardęga odwrócił się w stronę leżącego na schodach Modlinga i właśnie w trakcie tego manewru otrzymał postrzał w serce. Idealny strzał. Ten pierwszy. Bo drugi chybił i cudem tylko nie dosięgnął żadnego z uciekających w popłochu uczestników zdarzenia. Ten drugi strzał przerażał Chutora najbardziej. Wiedział oczywiście, że się z niego wybroni, ale jednocześnie zyskał pewność, że następnym razem zawaha się, nim strzeli. I możliwe, że przyplaci to życiem.

Co ciekawe, choć na sali była setka dziennikarzy, nikt niczego nie nagrał. Zespół śledczy dostał do analizy jedynie materiały z monitoringu, ale dobre i to, bo Chutor potrzebował teraz każdego wsparcia.

Aerozol atmosferyczny lepił się do ubrania, a na języku i w nozdrzach osadzały się cząstki pyłu. Beskidzka wraz z siatką otaczających ją ulic musiały być obecnie najgorszym miejscem na świecie, a jednak z jakiegoś powodu Lichy nie potrafił stamtąd odejść. Zupełnie jakby wpadł w bagno, z którego sam nie może się wydobyć. Przedziwna forma psychicznego uzależnienia z jednej strony, absurdalne, wynikające ze skonfliktowania się z całym światem postanowienia z drugiej. Bo przecież najwyższy czas wyjść z trybu tymczasowego, w który zapadł po rozstaniu z Różą. Wcześniej mieli wspaniałe plany. Przeprowadzili się do willi na Kilińskiego, gdzie żyli w warunkach studenckich, a z luksów mieli do dyspozycji tylko ciepłą wodę, kanalizację i gaz, ale każdego wieczora przez godzinę czy dwie wspólnie oddawali się renowacji pomieszczeń, sprzętów, systemów, śmiejąc się, że w takim tempie odnowienie domu zajmie im dziesięć lat. Gdy Róża odeszła, Lichy zostawił wszystko tak, jak było, i uciekł. Jak gówniarz powtarzał sobie, że tam wszystko mu się z nią kojarzy, wszędzie czuje jej zapach, w każdym lustrze widzi jej odbicie i inne tego typu gówniane metafory rodem z tanich romansów.

Ale czy nie czas już wydorosnąć? Róża nie wróci. I jeśli nie z jakiegokolwiek innego powodu, to choćby przez wzgląd na lokalizację warto było rozważyć powrót do siebie. Świętochłowicki Chropaczów to nie to samo, co katowickie Śródmieście.

Takie myśli coraz częściej przechodziły mu przez głowę. Przechodziły, ale nie zatrzymywały się na dłużej.

W końcu miał już dość tego ziąbu i skierował się ku swojemu blokowi. Kawa się skończyła, myśleć o czymkolwiek innym niż utopionym w kałuży krwi Krzywańskim, zwyczajnie nie mógł. Chciał się po prostu położyć w miejscu, gdzie jest ciepło, ciemno i cicho. Dwa z trzech gwarantowała jego nora na dziesiątym piętrze.

Szarpnął drzwi od klatki, naraz zrobiło się ciepłutko i bardzo przyjemnie. Aż się uśmiechnął. Zamarznięty nos nie absorbował fetoru. Nawet gęsty, papierosowy dym, unoszący się w powietrzu, wydawał się przyjaźnie otulać wydmuchującego go człowieka. A człowiekiem tym był ten, którego nazywali Szamponem. Tym razem siedział na schodach sam. Skierował wzrok na wchodzącego do klatki Lichego i ich spojrzenia się spotkały. Kiwnęli sobie głowami i Lichy pewnie jak zwykle minąłby go bez słowa, gdyby nie to, że coś dostrzegł. Coś, co w jednej chwili wyrwało go ze stuporu, wywołało iskrę w maźnicy jego silnika logicznego i w jednej chwili odpaliło cały układ. Szampon miał na sobie czarną bluzę z kapturem. Na bluzie widniała grafika z zamaskowanym człowiekiem, trzymającym w dłoni palącą się na niebiesko racę. Powyżej wielki, wykoślawiony na kibolską modłę napis „Blauehorde”. A poniżej mniejszy i czytelniejszy: „Wychowani na C6”.

Wychowani na „C6”. Na „C6”, kurwa.

Lichy skręcił w kierunku Szampona na tyle dynamicznym krokiem, że tamten zerwał się na nogi w odruchu obronnym.

– Spokojnie – powiedział Lichy, unosząc obie ręce. – Przepraszam. Chciałem tylko zajarać, a nie mam ognia.

Szampon patrzył na niego przez chwilę, a potem, już zupełnie uspokojony, sięgnął do kieszeni po zapalniczkę. To było zippo. Po otwarciu wieczka i skrzesaniu ognia, chłopak nie podał zapalniczki Lichemu, ale to Lichy musiał się schylić po ogień. Zaciągnął się głęboko, czując, jak dym go rozgrzewa.

– Dzięki – powiedział, zastanawiając się, jak przejść do właściwego pytania. Mogło być trochę ryzykowne. Trudno było przewidzieć, na co stać tego człowieka. Choć był raczej drobnej budowy, gębę przecinała mu paskudna szrama, niewątpliwie pamiątka po ranie zadanej nożem. Lichy bardzo nie lubił oceniać ludzi po wyglądzie, były jednak sytuacje, w których inaczej się nie dało. A teraz taka właśnie nastąpiła. Patrząc na Szampona, uznał, że ma przed sobą debila.

– Mam pytanie – powiedział, bo zdecydował, że trzeba to przeprowadzić szybko. Dopóki Szampon jest sam.

– No?

– Co to jest „C6”?

– Co?

– Co to jest „C6”?

Twarz chłopaka wykrzywiła się w czymś, co pewnie było uśmiechem, a jedynie przez wzgląd na okaleczoną twarz wyglądało na grymas nienawiści.

– Co ty – zarechotał dzieciak – mieszkasz na Chropaczowie i nie wiesz, co to jest „C6”? Się, kurwa, chłopie, nie przyznawaj.

– No już się przyznałem.

– No tak. Ale w sumie dobrze.

– Dlaczego?

– A co, ty myślisz, że ja nie wiem, że jesteś psem? Wiem od dawna. Ale skoro nie wiesz, co to „C6”, to przynajmniej nie popierdasz w białym kasku i nie jesteś największą kurwą policyjną.

Lichy szybko się w tym pogubił, ale wyjaśnienie przyszło natychmiast.

– „C6” to Cicha 6. Nasz dom. Adres stadionu Ruchu.

– Ruchu Chorzów?

– Nie, kurwa, Ruchu Radzionków. A co myślałeś?

– Uhm. A „Blauehorde”? To jakaś wasza banda?

– Ej, ty, co kurwa? – Szampon wyraźnie się wzburzył. Zamknął pozycję. Zupełnie jak małpa, wypiął wątlą klatę i rozsunął ramiona, by starać się wyglądać na większego. Poza tym obniżył trochę głos, starając się najwyraźniej brzmieć groźnej, a w efekcie rozśmieszył tylko Lichego. Na szczęście Lichy zaśmiał się jedynie w swoich myślach.

– Nic, nic, spokojnie – powiedział.

– Za dużo pytasz. My nie rozmawiamy z psami. Odpowiedziałem ci, bo jesteś sąsiadem, ale tyle tego.

– Kto jest waszym szefem? Chciałbym z nim pogadać.

– Dobra, kurwa. Weź już spierdalaj, tak? Ciach bajera. Odbij stąd, zanim narobisz problemów sobie i mnie.

– Idę, idę. Jeszcze tylko jedno. „R81”. Mówi ci to coś?

– Spierdalaj.

– Mówi, czy nie?

– Roosvelta 81, stadion zabrzańskich kurew.

– Górnika Zabrze?

Szampon nie odpowiedział.

– A „B1”?

– Bukowa 1, GKS Katowice. No spierdalaj już.

– Na pewno nie ma szans spotkać się z waszym szefem?

– Na pewno nie ma.

– Szkoda. – Lichy westchnął. – Dzięki.

I ruszył do windy. Szampon chyba coś jeszcze odpowiedział, ale Lichy już nie był zainteresowany. Kotłowało mu się w głowie. Trzy stadiony. Ta sama data. Czy groźba dotyczyła zamachu w trakcie meczów? Czy wszystkie trzy kluby grały w tym samym dniu? A może nawet o tej samej godzinie? Lichy nie miał pojęcia o piłce nożnej i wiedział już, czym będzie się zajmował przed snem. Czy Zielski naprawdę mógł planować zamach terrorystyczny o takiej skali? I dlaczego tak? Z tego, co powiedział Szampon, można było wywnioskować, że kibice tych klubów nie lubią się ze sobą. Czy była więc jeszcze jakaś inna grupa nienawidząca ich wszystkich? Czy może była to „nienawiść ponad podziałami”? Śmierć wrogom ojczyzny. Kara za zdradę własnego narodu. Co to mogło oznaczać? Choć odegrał przed Szamponem teatrzyk, Lichy wiedział, że „*Blaue Horde*” to chuligańska ekipa Ruchu Chorzów. Tu dzieciak miał rację. Nie da się mieszkać w Świętochłowicach, szczególnie na Chropaczowie, i o tym nie wiedzieć. Niebiescy mieli w okolicy więcej kibiców niż lokalny Śląsk Świętochłowice. „*Blaue Horde*” to niemiecka nazwa. Lichemu coś już się obilo o uszy, że Ruch nie odcina się od swojej niemieckiej historii. Ale czy w Katowicach i Zabrze jest tak samo? A może zamachowiec był lewicującego usposobienia, uznawał grupy kibicowskie za faszystowskie, a tym samym godzące w polską historię i umniejszające krzywdzie, jaką ojczyzna poniosła z rąk niemieckiego okupanta. Pomijając oczywiście subtelne różnice pomiędzy faszyzmem a nazizmem, których to współczesna lewica zupełnie nie dostrzega. Ba, skoro Zielski prawdopodobnie był homoseksualistą, to teoria o przynależności do lewicowej, może nawet anarchistycznej bojówki zdawała się być bardzo

prawdopodobna. Fauna i Flora. Zielski to Flora. Trzeba będzie poszukać Fauny.

ROZDZIAŁ 23

Martyna Babicz spojrzała niechętnie w lustro. Właściwie nie było się do czego przyczepić, ale coś jej cały czas nie pasowało. Odwykła od robienia makijażu, a w przypadku kobiet o jej typie urody, albinosek, przygotowanie odpowiedniej oprawy naprawę nie jest łatwe. Dawno też nie czuła takiej potrzeby. Nie za bardzo pamiętała już, jak wygląda penis, a co dopiero, jak się może przygodzić. Ostatnie lata jej życia to pasmo osobistych niepowodzeń, co doprowadzało ją do szału. Była atrakcyjna, wiedziała o tym. Wprawdzie albinoska nie każdemu podpasuje, ale z pewnością odznaczała się interesującą, niespotykaną aparycją. Mężczyźni, owszem, pojawiali się, jak i czynili to dawniej. Ale w niej samej po trzydziestce coś się zmieniło. Naraz zaczęła zwracać uwagę na rzeczy, które wcześniej jej umykały. Na to, jak mężczyzna do niej mówi i jakich słów używa. Jak się ubiera, czy ma zadbane ręce, czy ma czyste buty? Czy umie powiedzieć coś mądrego o literaturze, muzyce czy choćby nawet filmie? A oni nie umieli. Początkowo, mimo wszystko, wpuszczala ich do swojego życia, ale szybko jej się nudzili. Więc z czasem przestała. Od roku nie miała żadnego. A choć zmieniło się jej podejście i choć zwiększyły się jej wymagania, to potrzeby pozostały na takim samym poziomie. A od tego już ledwie krok do frustracji.

A potem pojawił się Cyra. Facet, który nie pasował do żadnej kategorii, nie odznaczał się niczym szczególnym. Owszem, świetnie wyglądał, ale Martyna nigdy nie lubiła mężczyzn, którzy świetnie wyglądają. Zbyt wielu poznała takich, w których lata kompleksów po ledwie kilku latach na

siłowni ewoluowały w nieznośną próżność. I Cyra też taki był. To znaczy próżny, bo o jego wcześniejszych kompleksach nic nie wiedziała.

Tyle że Cyra wszedł do jej życia razem z drzwiami. Wciąż odczuwała dreszcze na wspomnienie tamtego popołudnia w mieszkaniu Laudy. Dreszcze, ale i wstyd, gdy zrozumiała, jak bardzo prymitywną jest istotą. Facet mógł nie pasować do jej wydumanych standardów, ale ledwo pokazał jej kawałek fiuta, a zaraz zrzuciła łaszki. Wstydziała się też tego, że obraz tamtych zdarzeń prześladował ją nocami, a ona nie potrafiła powstrzymać palców na wodzy. Niedopieczona kobieta dobrze wie, jak o sobie zadbać. I Martyna też to wiedziała. Miała tylko nadzieję, że Cyra nigdy nie dowie się, co wyobrażała sobie w trakcie.

– Opanuj się, kobieto – powiedziała do swojego odbicia.

Zresztą, dziś przecież i tak nic nie mogło się wydarzyć. Nie w dniu śmierci Krzywańskiego. Dziwne było wprawdzie, że Cyra poprosił ją o pilne przybycie właśnie teraz. Dochodziło w pół do jedenastej. Ale przecież wezwał ją do kamienicy przy Kościelnej, nie do siebie. Może ma jakieś nowe informacje lub tropy. Na pewno. Teraz nie czas odpoczywać i Cyra z pewnością intensywnie działa. Ciekawa była nowych członków zespołu. Podobno mają to być dawni znajomi Cyry z CBŚP.

Ale najważniejsze było to, co ona sama miała mu do zakomunikowania i na myśl o tym aż drżała z podniecenia. Bo coś znalazła. Coś niezwykłego. Nie rozumiała wprawdzie znaczenia swojego odkrycia, ale wiedziała, że coś musiało znaczyć. W dodatku odkryła to nie przez przypadek. To nie tak, że coś gdzieś zobaczyła, ktoś jej coś powiedział, wpadła na coś, myśląc o czymś innym. Nie. Ona ułożyła sobie teorię, a potem sprawdzając ją, zrozumiała, że był to strzał w dziesiątkę. Być może najważniejsze dotychczasowe odkrycie. Połowę wczorajszego dnia przesiedziała w internecie, szukając materiałów. Znalazła sporo. Szlag, że akurat wypadł

weekend, bo przydałoby się wybrać również do biblioteki, ale jeżeli jej nowy zespół uzna, że znalezisko warte jest dalszego rozgrzebywania, to przyjdzie czas i na bibliotekę.

Tymczasem jednak zapakowała wydruki do papierowej teczki, a teczkę do plecaka, nałożyła puchową kurteczkę i wyszła z mieszkania. Taksówka już czekała.

Na dworze było przeraźliwie zimno, ale kierowca podjechał nową skodą, wewnątrz której panowała przyjemna temperatura. Mężczyzna prowadzący pojazd przyjął zlecenie, a potem nie odezwał się ani słowem. Z głośników płynęły dźwięki soulowych piosenek. Martyna nie wiedziała, o czym są, bo nigdy nie zadbała o to, by porządnie nauczyć się angielskiego, ale muzyka była bardzo przyjemna. W aucie pachniało odświeżaczem powietrza o trudnym do zidentyfikowania zapachu, ale i tutaj kierowca zachował umiar, więc oddychało się przyjemnie. Podróż nie trwała zresztą długo. Służby na poważnie zabrały się za robotę, w pocie czoła usuwając śnieg z najważniejszych arterii konurbacji, więc mimo że jechali wolno, już dwadzieścia minut później dotarli na bytomski rynek. Boczne uliczki zasypane były śniegiem, więc wysiadła na wysokości Podgórnej, by pozostałe dwieście metrów przebyć piechotą. I choć nie wybiła jeszcze jedenasta wieczorem, miasto wyglądało jak po apokalipsie zombie. Gdy kierowca odjechał, Martyna została zupełnie sama. Rynek był opustoszały. Śnieg już zaledwie prószył, za to cały rynek pochłonęła gęsta mgła, zabarwiona na żółto światłem ulicznych latarni. Widzialność nie wynosiła więcej niż pięć metrów i Martyna zaczęła się obawiać, że lada moment z nicości wyłoni się jakiś obcy czy inny predator, skuszony przyjemną, z pewnością wyczuwalną z daleka temperaturą jej krwi. Wzdrygnęła się i szybkim krokiem ruszyła ku Kościelnej.

Bardzo zmarzła w trakcie tej krótkiej wyprawy. Ostatnie metry pokonała biegiem. Dopadła drzwi, przyłożyła kartę i dopiero wewnątrz poczuła się bezpiecznie, ale na wszelki wypadek szybko wbiegła po schodach na górę.

Zaskoczyło ją, że w lokalu było ciemno. Najwyraźniej nie chodziło o żadne oficjalne zebranie. Z górnej kondygnacji dobiegała cicha muzyka. Tam też majaczyło jakieś światło, więc ruszyła po schodach.

– Cyra?! – krzyknęła. – Jesteś tu?

Żadnej odpowiedzi. Nie spodobało jej się to, ale nie była przesadnie strachliwa. Co innego upiory we mgle, ale gdy przychodziło do konfrontacji z ludźmi, rzadko się cofała. Szła więc do góry, ostrożnie i w jakimś podprogowym odruchu starając się przesadnie nie hałasować, ale wytrwale i bardziej wiedziona ciekawością niż hamowana obawą. Dotarła na górny korytarz i spostrzegła, że drzwi od pokoju zajmowanego zwykle przez Cyrę są uchylone. Stamtąd też dobywało się światło. I stamtąd grała muzyka.

– Cyra! – krzyknęła ponownie, ale że znów nie doczekała się odpowiedzi, wzruszyła tylko ramionami. Szybkim krokiem doskoczyła do drzwi i szarpnęła klamkę.

Stała jak wryta. Światło w pomieszczeniu było przygaszone. Muzyka płynęła z ukrytych gdzieś głośników. Pośrodku pokoju zobaczyła wielkie, dwuosobowe łóżko. Z pewnością nie takie, jakie dotąd były tu na wyposażeniu. Na szafce obok, w wypełnionym lodem tygielku chłodził się jakiś wykwintny alkohol. A na skraju łóżka, bawiąc się kieliszkiem, siedział Cyra. Ale jaki Cyra! Zupełnie odmieniony. Miał na sobie błękitną koszulę z białymi lamówkami i granatowe, bawełniane spodnie, z pewnością wysokiej jakości i z pewnością drogie. Uśmiechnął się na jej widok,

szczególnie zaś widząc jej zmieszanie. Odstawił kieliszek na szafkę, wstał i podszedł do niej. Stał bardzo blisko. Aż musiała zadrzeć głowę.

– Cieszę się, że jesteś – powiedział.

– Cyra... Co się dzieje?

Ale on przystawił jej tylko palec do ust.

– Ćśśśś. Słuchaj muzyki – szepnął, po czym bardzo powoli przesunął palec z jej ust na policzek. Palcami drugiej ręki zerwał jej z głowy opaskę. Złote, gęste włosy rozsypały się po ramionach i Cyra zaraz zatopił w nich dłoń.

– Co robisz? – zapytała, choć wiedziała. Docierało do niej w końcu, po co ją tu zaprosił. I choć jeszcze kilka godzin temu przysięgłaby, że ma na to ochotę, teraz coraz głośniejszy odzywał się w niej strach.

– Wspominam – odparł, zamykając oczy. – Wspominam tamto popołudnie w mieszkaniu Laudy. Pamiętasz? Wspominam twoją jasną skórę. Drobne, niemal zlewające się ze skórą sutki twoich piersi. Wspominam twój wzrok, gdy zobaczyłaś, jak się rozbieram.

I naraz przeniósł dłoń z jej włosów na piersi. Ścisnął ją. Delikatnie, ale wystarczyło, by wróciło jej uczucie.

– Przestań – powiedziała trochę ostrzej, niż chciała.

– Dlaczego? – Cyra się zdziwił.

– Nie chcę... Nie dziś.

– Dziś jest bardzo dobry dzień – wyszeptał. – Przywrócono cię do służby. Ja zostałem dowódcą zespołu. Jest co świętować.

– Świętować?! – krzyknęła i usiłowała się cofnąć, jednak tak ją sobie ustawił, że za plecami miała ścianę. – Krzywy nie żyje! Co ty chcesz świętować? Nienormalny jesteś?

– Martyna...

– Nie nazywaj mnie tak. Wiesz, że tego nie lubię. Wypuść mnie stąd.

– Nie jestem ślepy. Wiem, jak na mnie patrzysz – podniósł głos. Najwyraźniej tracił cierpliwość. Ale i ona już ją zupełnie straciła.

– Odsuń się! – wrzasnęła, ale on napał na nią z całą mocą i przycisnął jej ciało do ściany tak, że już zupełnie nie mogła się ruszyć.

– Cicho – powiedział, chwytając ją za przeguby rąk i siłą unosząc je ponad głowę. Była bezbronna, a on spojrzał jej głęboko w oczy. Jego twarz była tak blisko, że stykali się nosami. I gdy zauważył, że Martyna nabiera powietrza, by znów krzyknąć, wbił swoje usta w jej. Językiem wdarł się do jej wnętrza, niemal po migdałki. Dziewczyna zaczęła wierzgać i jęczeć, a on dociskał ją jeszcze mocniej. Ale wówczas samcza natura przejęła władzę nad rozumem. Puścił jej rękę, bo swojej potrzebował do czegoś innego. Szarpnął za skraj jej jeansów tak mocno, że jednym ruchem rozpiął dwa guziki i gwałtownie wsunął dłoń za jej majtki. Ale wówczas poczuł przeszywający ból w okolicy prawego oka. To oswobodzona dłoń Martyny zrobiła użytek z pięciu zadbanych, długich i mocnych paznokci. Cyra krzyknął i odskoczył. Policzek go palił, czuł, jak po skórze płynie krew.

– Ty wredna suko – wrzasnął i uderzył ją na odlew. Nie spodziewała się tego. Upadła na podłogę i usiłowała się odczołgać, ale na powrót był już przy niej. Chwycił ją za włosy i podniósł do góry. Wrzasnęła z bólu, lecz bardziej przejmował ją strach. Twarz Cyry była dzika. Cała we krwi i tak przepelniona wściekłością, że niemal nieludzka. Chwycił ją od tyłu za piersi i przyciągnął do siebie tak mocno, że straciła dech. Ściągnął z niej poluzowane jeansy.

– Fochów ci się zachciewa? – wycharczał. – Dobrze wiem, że tego chcesz. I nie będę się z tobą bawił w te gierki o niedostępności.

Chwycił splot jej stringów i ściągnął do połowy uda. A potem szybkim ruchem odpiął klamrę paska i ściągnął z siebie spodnie. Poczwała na

pośladku, jak bardzo jest nabrzmiały i gotowy do działania. Lecz manipulując przy spodniach, znów musiał trochę zluzować uścisk. A ona wykorzystwała to bezbłędnie. Obróciła się w jego ramionach i teraz, gdy stała twarzą do niego, z całej siły kopnęła go kolanem w krocze. Trafiła idealnie, bo on stanął właśnie szeroko na nogach. Przez chwilę nie wydarzyło się nic, prócz tego, że Cyra spurpurowiał na gębie. Trwało to może sekundę, ale przecież Martyna nie próżnowała. Nim jakkolwiek zareagował, kopnęła go jeszcze dwa razy. Wówczas Cyra stracił dech i rzeżąc, upadł na jedno kolano. I choć niewątpliwie cierpiał, uniósł głowę i wbijał w nią nienawistne spojrzenie. Zupełnie jakby chciał powiedzieć: „poczekaj, zaraz mi przejdzie. A wówczas zajmę się tobą tak, że pożałujesz”. Oczy miał rozszerzone. Wielkie. Świecił nimi w jej kierunku jak para halogenów.

Martyna więc wyłączyła mu światło, a uczyniła to potężnym kopnięciem prosto w twarz. Trafiła prosto w szczękę. Cyra natychmiast stracił przytomność i runął na ziemię jak wywrócony regał. A że upadając, przekręcił się na wznak, raz jeszcze, najmocniej jak tylko potrafiła, kopnęła go w jaja, które i bez tego robiły się już sine.

I dopiero teraz odczuła prawdziwy strach. Porwała plecak i zbiegła na dół. Nie wiedziała nawet, czy byli z Cyrą sami? Co się stało z resztą ekipy? Co się stało z jego dawnymi koleżkami z CBŚP, których ponoć zaprosił już do współpracy? A może czekali w sąsiednich pokojach na swoją kolej? Może Cyra obiecał im, że jak sam się zabawi, to i im pozwoli?

Poczuła, jak łzy cisnął jej się do oczu. Drzwi na dole nie chciały się otworzyć. Naparła na nie z całej siły, potem jeszcze raz i kolejny. Zaczęła wściekle szarpać klamkę i krzyczeć, ale naraz przypomniała sobie, że trzeba wcisnąć przycisk na ścianie. Zrobiła to. Drzwi odskoczyły, a ona wybiegła na zewnątrz. I znów mgła pochwyciła ją w swoje ramiona, ale

Martyna już się nie bała. Ani mgły, ani potworów, ani wilków łaknących jej krwi. Przeciwnie. Tu właśnie się schowa. Tu zniknie z oczu. Rozwieje się na zawsze.

Na rynku był postój taksówek. Stał tam jej kierowca. Ten, który nic nie mówił i miał przyjemnie pachnące auto.

– Na Chropaczów – poprosiła, wsiadając.

ROZDZIAŁ 24

Dzień 6

Liliana Wejhert czuła się tak, jakby jej ciało lewitowało. Muzyka porwała ją, światło hipnotyzowało, a kolorowy dym unoszący się nad podłogą sprawiał, że nie widziała własnych stóp. Zdawało jej się, że jest nieważka. Że unosi się kilka centymetrów nad parkietem i ani nic z tym nie może zrobić, ani nawet nie chce.

Ubrana była w niebieską sukienkę, którą kupiła kiedyś przez internet, a która, gdy przyszła, okazała się tego stopnia wyuzdana, że miała na zawsze trafić do szafy i przysłużyć się jedynie molom. Była bardzo cienka i obcisła. Eksponowała każdą, najmniejszą nawet wypukłość jej ciała. Ot, choćby kolczyk w pępku, o którym dotąd wiedzieli tylko mężczyźni, którym się udało. Gdy spośród koktajlu barw automat oświetleniowy wydobywał niebieskie światło i gdy to niebieskie światło w nią uderzało, wyglądała, jakby była zupełnie naga. Mogłaby przysiąc, że widzi nie tylko swoje brodawki sutkowe, ale nawet wąską, ciemną obwódkę wokół nich. Bo przecież nie miała pod spodem nic.

Zastanawiała się, kiedy zaszła w niej zmiana. Zawsze była pewna siebie i dostawała to, co chciała. Rzecz w tym, że rzadko czegoś naprawdę pragnęła. Co się zmieniło? Kiedy? Myślała o tym wiele razy i doszła do wniosku, że było to wówczas, gdy w katowickim parku spotkała policjanta, któremu zniszczyła życie. Wszelkie dziwne impulsy, doznania, przemyślenia i pragnienia zaczęły się właśnie wtedy. Nie, nie, Wejhert nie

zakochała się w Lichym. Nie pociągał jej, choć naprawdę był z niego przystojny mężczyzna. Ale nie w jej typie. To nie to. Więc jak to się stało, że otworzył ją z taką łatwością, jakby była listem leżącym na stoliku? Tam, obok kluczyków od auta i kolekcji zapalniczek.

Nieważne. Nie czas było o tym myśleć. Rzadko zjawiała się w „Zgorzeli” i nigdy chyba nie czuła się tu tak bardzo dobrze, jak dziś. W rozbłyskach stroboskopu widziała ludzi pozerających ją wzrokiem. Mężczyzn i kobiety. Heteryków, homosiów, biseptoli, transów. Była zjawiskiem, które nawet w miejscach takich jak to nie trafia się codziennie. Gapili się, a im intensywniej się wpatrywali, tym bardziej była podniecona. Serce waliło jej w piersi. Były momenty, gdy myślała, że zaraz zerwie z siebie tę niebieską firankę, da im całą siebie, a gdy wyciągną się po nią rozochoczone ręce, pozwoli im się unieść w mrok.

Ale wówczas wracały do niej z całą mocą wydarzenia ostatniej doby. Awantura z Wysockim, prezesem „Dzień Dobry Śląsk”, który zadzwonił do niej trzydzieści sekund po tym, jak obejrzał materiał Budy-Zalewskiego. Był wściekły i Liliana mu się nie dziwiła. Stracił temat dziesięciolecia. Ekipa „Newwws” była dziś w każdym internetowym okienku, na każdym telewizyjnym pasku, każdym radiowym paśmie, a w poniedziałkowy poranek pojawi się również na każdej gazetowej szpalcie. Rzeka Mnóstwopieniążanka wystąpiła właśnie z brzegów i lada moment zaleje ich falą miedzioniklu, brązalu i papieru, a jednak – no nie do wiary! – nikt się nie ewakuuje!

Tylko, do kurwy nędzy, czy to naprawdę była jej wina? Wysocki tak uznał, a wiadomo, jak on coś uzna, to znaczy, że tak jest. Strasznie się na nią wydarł. Jak jeszcze nikt w całej jej karierze. Nigdy w życiu by nie przypuszczała, że pozwoli komukolwiek odezwać się do siebie w ten sposób. Ale pozwoliła. To ona przyjęła Budę-Zalewskiego na staż. To ona go

uczyła. Również tych niezbyt etycznych zagrywek. Ale nie robiła tego ani z dobroci serca, ani z poczucia jakiegokolwiek misji. Potrzebowała statysty, który z wypiekami na twarzy wypełniać będzie za nią najmniej interesujące obowiązki. Potrzebowała „przynieś, podaj, pozamiataj”. Potrzebowała „przepisz mi ten tekst i sprawdź literówki”, potrzebowała „jutro w nocy masz dyżur, a gdyby się coś działo, to mnie zawiadom”, potrzebowała „idź na kolegium redakcyjne i powiedz, że mnie nie ma, bo mam ważne spotkanie”. Czy mogło więc dziwić, że zdradził ją, gdy tylko nadarzyła się okazja? Ba, czy dawniej sama nie zrobiłaby tego, gdyby mogła? I czy to „dawniej” nie było zaledwie tydzień temu?

Niewiele brakowało, by Wysocki ją zwolnił. Czowała, że miał wypowiedzenie na końcu języka, ale się pohamował. Bo po pierwsze, był na tyle przyzwoity, by pamiętać, że zarobił dzięki niej dużo pieniędzy, a po drugie wiedział, że zraniona w ten sposób, zrobi wszystko, by się zemścić. Co może być zgodne z prawdą. Szczególnie po tym, co stało się później. Bo przecież zadzwoniła do Kamila. Odebrał błyskawicznie, powitał ją serdecznie, choć jej wprawne ucho natychmiast wyłapało starannie, ale niezbyt umiejętnie zakamuflowaną drwinę. Dziwił się, że ona mu nie gratuluje, gdy zaczęła podnosić głos, wytknął zawiść, chwalił się, że „Krwawego Szafarza” wymyślił sam i utyskiwał, że media głównego nurtu nie poznały się na jego geniuszu, skracając nazwę mordercy do „Szafarz”. „Szafarz, kurwa, Lili, rozumiesz? Szafarz! Dobrze, że nie szatniarz”. Potem tłumaczył, że lepszy byłby „Kat”, bo przecież kat ucina głowy, ale ilu już było Katów? A ile Wampirów? Zwłaszcza tu, na Śląsku. Na koniec zaś powiedział jej, że nie będą już razem pracować, ale jeśli ona chce, to zawsze może do niego wpaść, bo przecież tak wspaniale im było ostatnio. Krótko mówiąc, „Wyruchałem cię dwa razy w ciągu jednego dnia, ale jeśli chcesz, możesz przyjść po więcej”. Zrobiło jej się niedobrze.

I nagle zrozumiała, że nie chce już tu być. Że wydarzenia ostatniej doby nic nie zmieniły. Że nadal chce zrobić to, co sobie wymyśliła. I że lepszego momentu niż teraz już nie będzie.

Zniknęła więc z oczu gawiedzi i pofrunęła w kierunku przymocowanego do ściany stolika, na którym stał jej kolorowy drink. Dopła go duszkiem. Nie bała się, że ktoś jej czegoś dosypał. Nie tu. O „Zgorzeli” wiele można było powiedzieć, ale akurat w tym zakresie panowały tu wysokie standardy. Wśród stałych bywalców wciąż krążyło wspomnienie o pewnym japiszonku, który dawno temu, jeszcze w zupełnie innej lokalizacji, upatrzył sobie młodego, pięknego chłopca. Niestety, chłopiec nie był zainteresowany obcowaniem z przedstawicielem własnej płci, co jednak japiszonka zupełnie nie zraziło. W dogodnej chwili dosypał młodemu do drinka pewnej wypróbowanej, diablo skutecznej substancji. Pech, a w każdym razie jego pech, chciał, że ktoś to zobaczył i poinformował ochronę. A ochrona poprosiła go, by wyszedł. Dla wielu odmowa ponownego wstępu do „Zgorzeli” sama w sobie byłaby srogą karą. Ale Zgorzel tak nie robiła. Nikomu nie odmawiała powrotu. I japiszonek również wrócił, ale dopiero po dwóch latach i wciąż jeszcze o kulach. Tak, wiedzieli o tym stali bywalcy, wiedzieli i nowi. W „Zgorzeli” można dostać wszystko, czego się tylko zapragnie. Ale trzeba poprosić.

Narzuciła na siebie kurtkę i wybiegła z klubu. Jej Betty w kolorze thundernight, a bardziej po ludzku po prostu śliwkowym, stała kilkanaście metrów dalej. Czy powinna prowadzić? Wiedziała, że w jej drinku nie było niczego niebezpiecznego, ale co w ogóle w nim było? Ile alkoholu? Czuła się dobrze, nie była pijana. Tak w każdym razie uważała.

Na Brynów dotarła w piętnaście minut. Ani razu nie straciła kontroli nad autem, a przecież pogoda była fatalna. Szczególnie ta paskudna mgła,

przez którą momentami nie dało się jechać szybciej niż czterdzieści na godzinę.

Zaparkowała na podjeździe Adama Mąki. Wzięła głęboki wdech, by zyskać jeszcze sekundę na przemyślenia. Czy na pewno chce to zrobić? Ale czy na pewno? Tak. Na pewno. Jest gotowa na wszystko. Tylko to serce, które wali jak w kuźni. Uspokój się, dziewczyno. To nerwy? Czy podniecenie? To strach? Czy pragnienie?

– A pierdolę – powiedziała głośno i szarpnęła za klamkę.

Mąka zorientował się już, że przyjechała. Otworzył drzwi. Miał na sobie T-shirt i krótkie spodenki, a jednak stanął w drzwiach i czekał na nią. Oczywiście, pewnie, że był zaskoczony.

Poczekaj, ja cię dopiero zaskoczę – pomyślała. I przyspieszyła kroku. Operacja zaczęła się właśnie teraz i należało wykorzystać każdą sekundę.

Nabrała takiej dynamiki, że Mąka aż się cofnął. W biegu zrzuciła z siebie kurtkę i została tylko w tej niewątpliwie dziwkarskiej kiecce, on ze zdumienia otworzył oczy tak szeroko, że niemal przesłoniły całe drzwi. Skoczyła na niego jak wygłodniała pantera. Zareagował właściwie, chwycił ją potężnymi łapami, bez żadnej intencji, po to jedynie, by się obronić. Ale ona zacisnęła nogi wokół jego talii i wbiła mu się w usta tak mocno, że aż jęknął. On, wielki facet, trochę za gruby jak na dzisiejsze standardy piękna, trochę zbyt toporny, jak na wymarzonego kochanka większości dzisiejszych siks i zdecydowanie dla nich za stary. Ale w końcu jej się wyrwał.

– Lili, co robisz? – szepnął, a w szepcie tym była rozpacz, żal, strach. Odstawił ją delikatnie na podłogę, a ona z mocą popchnęła drzwi. Uderzyły o framugę, aż zadzwoniła szyba świetlika. I znów do niego doskoczyła. Przywarła do niego całą sobą, co musiało na niego zadziałać i niewątpliwie zadziałało. Prócz cienkiego materiału nie miała na sobie nic. Była

zmarznięta i podniecona. On z kolei nosił jedyne bawełniany T-shirt. Musiał czuć na sobie każde zgrubienie jej ciała, więc jeszcze bardziej wbiła mu biust w klatkę piersiową. Objęła go najmocniej, jak potrafiła, a on nerwowo odsunął się od niej dolną częścią ciała. Wiedziała, dlaczego i uśmiech pojawił się na jej twarzy. Zaczęła całować jego szyję. Bronił się, ale tak, żeby się przypadkiem nie obronić.

– Lili... – szepnęła ponownie, a ona ugryzła go w ucho. – Lili, nie mogę...

– Możesz. – Westchnęła mu do ucha, jak syrena wabiąca do leża zbłąkanego żeglarza. – Możesz.

Szarpnął się znowu. Użył trochę więcej siły, z łatwością oderwał ją od siebie i postawił na ziemi.

– Nie mogę... – powiedział, ale bez przekonania. Patrzył przecież na nią, a ona była niemal naga. Oczy mu się świeciły. – Moja żona... Ona...

I znów się nie upilnował. Doskoczyła do niego, tym razem jednak zadbała, by ich dolne części ciała również się zetknęły. Poczwała... O rany.

– Przestań się oszukiwać, Adam – syknęła mu do ucha – bo tylko siebie oszukujesz. Mnie nie. Ja dobrze wiem, że twoja żona nigdzie nie wyjechała, tylko mieszka teraz u jednego zasranego doktora. Że kiedy ty użalasz się nad sobą przy Netflixie, ona mu obciąża i zamiast o tobie, myśli tylko, czy zdąży wypluć.

Jego ciałem wstrząsnęła wściekłość. Poczwała ją, ale nie zlekła się. Dziś w nocy ten mężczyzna będzie jej. Już jest jej.

– Skąd... Skąd wiesz... – wysapał.

– Przestań o tym myśleć – syczyła mu do ucha. – Ona nie wróci. I dobrze o tym wiesz. I wcale tego nie chcesz, bo od lat jej nie kochasz. Zdaje ci się, że to wielka tajemnica, ale wszyscy o tym wiedzą, Adam. Nie umiesz się wyrwać z matni własnych przyzwyczajzeń. A ja... Ja cię z nich wyrwę. Właśnie teraz.

I znów ugryzła go w ucho. Dziwne było to wszystko. Spodziewała się, że on nie zdzierży, że zepnie się, nastroszy, ale on z każdą chwilą miękł w jej objęciach. Potulniał. Ulegał.

– Nie musisz już tego robić – szepnęła. – Nie musisz się karać. Nie musisz się biczować, wyobrażając sobie przed snem, jak ona rozkłada nogi przed innym.

Naraz odepchnęła się, a on wypuścił ją z ramion. Stała metr od niego. Spojrzała mu prosto w oczy. Najbardziej lubieżnie, jak tylko się dało, i powiedziała głośno, głęboko i bardzo powoli:

– Wiem, że zawsze chciałeś. A dziś jest szczególny dzień. Dzień, w którym ja również tego chcę.

I wykonała magiczny, niedostrzegalny gest, po którym sukienka zafalowała i spłynęła po jej ciele jak woda.

Gdy ujrzał jej ciało, to ciało, którego zawsze pragnął, które zawsze sobie wyobrażał, a którego nigdy nie spodziewał się zobaczyć, ten stateczny, rozsądny pięćdziesięciolatek, mąż od dwudziestu pięciu lat, ojciec dorosłego syna i dwóch pięcioletnich bliźniaczek, po prostu się złamał.

Chwycił ją w ramiona, jakby była kocem wiszącym na oparciu krzesła. Krzyknęła, ale nie z bólu, tylko z podniecenia. Porwał ją i niósł w kierunku schodów. Tam na górze była sypialnia. Jej ciałem raz za razem wstrząsał dreszcz. Ależ się nakręciła. Nakręcała się już w „Zgorzeli”, gdy budziła pożądanie i sama z tego czerpała.

Kolejny silny spazm sprawił, że krzyknęła.

– Wszystko okej? – zapytał, bo przecież wciąż nie dowierzał.

– Tak. Pospiesz się, do cholery, bo dostanę orgazmu, nim mnie doniesiesz do łóżka!

Więc przyspieszył kroku. W sypialni paliła się tylko lampka nocna. Łóżko było zasłane, a pościel czysta i pachnąca, zupełnie nie jak

w mieszkaniu osamotnionego mężczyzny. Położył ją na łóżku bardzo delikatnie, a gdy to robił, ona wyciągnęła ręce i ściągnęła z niego szorty. Matko, ależ był ogromny. W życiu czegoś takiego nie widziała. Na ułamek sekundy straciła pewność siebie, szczególnie, że on w tym czasie ściągnął T-shirt. Wyglądał jak dzikie zwierzę. Ramiona i pierś porośnięte miał sierścią jak goryl. Twarz też jakby mu się zmieniła. Straciła ludzki wymiar. Wydała jej się prymitywnie organiczna. Przestraszyła się, że ten potwór zrobi jej krzywdę.

Ale niesłusznie. Bo on ją celebrował, uświęcał, obsypywał pocałunkami. Dłonie, choć wielkie jak cepy, wyściełane były chyba atlasem. Język musiał mieć swój osobny mózg, o bardzo wysokiej sprawności intelektualnej. I naraz Lili przestała myśleć. Przestała oczekiwać. Oddała się cała, bo zrozumiała, że jest to w jej najlepiej pojętym interesie. A on, będąc świadom swoich rozmiarów, poruszał się w niej delikatnie z wypracowanym przez lata wyczuciem. Wypełniał sobą każdą komórkę jej ciała, jej krew, wypełniał ją sobą tak bardzo, że w końcu poczuła, że sama stała się nim. Zdążyła jeszcze pomyśleć, że skoro tak to wygląda, to ona nigdy dotąd nie kochała się z mężczyzną.

Potem jej ciało zupełnie wyłączyło świadomość, nastawiając się wyłącznie na odbiór doznań.

Ocknęła się ze dwadzieścia minut później. Zdyszana i mokra, wciąż zatopiona w ramionach tego dziwnego mężczyzny. Myślała przez chwilę, że śpi, ale zaraz zdała sobie sprawę, że on ją głaszcze po głowie. Głaszcze ją po głowie, niebywałe.

– Muszę... Mogę zapalić?

– Na balkonie, dobrze? – odpowiedział, a ona aż się wzdrygnęła na myśl o tym, że opuszcza to ciepłe, przyjemne miejsce. Wyczuł to i szybko dodał:

– Nie, nie. Nie na zewnątrz. Tam, spójrz. Balkon jest zabudowany. Ciepło tam jest.

Faktycznie, teraz dopiero spostrzegła, że to, co wzięła za drzwi balkonowe, w rzeczywistości prowadziło do sąsiedniego pomieszczenia. Wstała więc, zabrała koc leżący na fotelu i poszła tam. Pomieszczenie było ogrzewane gazową lampą, więc koc trafił na wiklinowy fotel. Delikatnie rozsunęła okno, akurat tyle, by ciśnienie zza okna wyssało dym, ale nie dość szeroko, by ziab wpadł do środka. Stała przed szybą i zapaliła. Znowu doznała tego dziwnego wrażenia. Tej radości z bycia nagą. Balkon wychodził na ogród i stamtąd nikt jej nie mógł zobaczyć, ale wiedziała, że Mąka patrzy na nią z łóżka.

Dlatego drgnęła zaskoczona, gdy nagle stanął za nią i ją objął. Gdyby tylko mógł wyczuć, jak bardzo wali jej serce. Jak bardzo boi się tego, co zaraz nastąpi. Gdyby tylko przypuszczał, do czego jest zdolna, zapewne zostałby w łóżku. Nie, nigdy by jej nie wpuścił pod dach. Ale ona już się zdecydowała.

– Uda mnie bolą. – Zaśmiała się i wyszło chyba marnie. Zbyt nerwowo, zbyt sztucznie. Ale on tego nie zauważył. Swoim wielkim łapskiem chwycił jej dłoń, delikatnie pociągnął w kierunku swoich ust i zaciągnął się jej papierosem.

– Co? – zapytał naraz, a ona dopiero spoglądając w swoje odbicie, zrozumiała, że się śmieje. I że to już.

– Bo choć wielu mi to zarzucało i to często, prawda jest taka, że nigdy dotąd tego nie zrobiłam.

– Czego? – Zdziwił się.

– Nigdy nie zapłaciłam za nic ciałem.

Zapanowało milczenie. Słuchać było jedynie syk gazowej lampy. Dziwne, spodziewała się jakiejś reakcji, wybuchu złości, dociekliwych,

natarczywych pytań. A jego oddech nawet nie przyspieszył.

– Za co więc zapłaciłaś? – zapytał.

– Nie jesteś zły?

– Nie jestem zaskoczony.

– Do cholery, Adam, o co ci teraz chodzi?

– A tobie? Bo nie rozumiem. Nie jestem głupi. Nie jestem naiwny. Nie dostaję takich prezentów za darmo.

Zakotłowało jej się w głowie. Właśnie przyznała mu się, że przyjechała tu jak zwykła dziwka, on zaś przyznał, że o tym wie. A w niej wezbrał naraz gniew. Wściekłość, której nie mogła jednak uwolnić. Bo pokonał ją jej własną bronią. Znowu. Zbyt dojrzała już była, by wściekać się na męczyznę za coś, co sama powiedziała.

– Ale źle ci nie było – powiedziała szorstko.

– Nie. Posłuchaj Lili...

– Nie, to ty posłuchaj. Ślinisz się na mój widok, od kiedy się poznaliśmy, dałam ci to, czego chciałeś i co? Masz pretensje? Że to nie z miłości? Że to nie dla twoich pięknych oczu?

Nie odpowiedział, tylko raz jeszcze zaciągnął się jej papierosem. Ostatni raz. Papieros wypalił się i zgasł.

– Jezu, co ja wygaduję? – powiedziała naraz do siebie, ale na głos. To miało wyglądać zupełnie inaczej. Przecież to sobie przeciwiczyła. Przecież wiedziała dokładnie, jak i co ma powiedzieć oraz jak reagować na jego ataki. Tylko czegoś w tym wszystkim nie uwzględniła. Jego. Mądrego, wrażliwego człowieka. Żywego człowieka, nie plastikową zabawkę, którą można przekładać z kąta w kąt. Człowieka, którego wykorzystwała i oszukała. Ta myśl nakryła ją jak żalobny całun, a wszystko w pierwszej minucie rozmowy.

– Adam... – wyszeptała.

– Lili?

– Adam, przepraszam. Było naprawdę super, ale...

– Za co zapłaciłaś?

– Za Lichego...

Odsunął się od niej i bez słowa ruszył do sypialni. Tam ubrał szorty i koszulę, zabrał ze stolika jej papierosy i wrócił na balkon. Spojrzał na nią, potem na koc, a ona zrozumiała, podniosła płótno i owinęła się nim szczelnie. Wówczas on usiadł w fotelu i zapalił.

– Jeśli ci to powiem, stracę pracę.

– Nie stracisz, bo niczego nikomu nie wyjawię. Mówiłam ci wcześniej, że nie piszę o tym żadnego artykułu.

– Mówiłaś, ale nie uwierzyłem. A teraz też ciężko mi uwierzyć, wiesz?

Dziwne, ale zabolą ją to. Naprawdę. Zastanawiała się, czy to wszystko warte jest ceny, którą miała właśnie zapłacić. Jeśli dostanie odpowiedzi, straci tego mężczyznę. A przecież nic z tego, co się przed chwilą wydarzyło, nie było udawane. Wciąż czuła wypieki i rozkoszowała się spełnieniem. Wciąż było jej dobrze. Naprawdę dobrze.

– Lili... – szepnęła, a ona przez chwilę nie wiedziała, dlaczego tak się zmartwił. Dlaczego patrzy na nią troskliwym wzrokiem. Dopiero po chwili, gdy niespodziewanie rozmył jej się w oczach, zrozumiała, że płacze.

– Przepraszam – załkała, po czym puściła koc, który upadł na podłogę. Wybiegła z balkonu, przebiegła klatkę schodową i dotarła do przedpokoju. Tam, na podłodze, leżała jej niebieska sukienka. Chwyciła ją i zaczęła nieporadnie na siebie naciągać, ale Mąka był już przy niej. Chwycił ją za biodra i przyciągnął do siebie.

– Nie płacz – powiedział, pomagając jej się ubrać. A ona oczywiście nie posłuchała. Gdy tylko sukienka wślizgnęła się na swoje miejsce, Liliana wybuchnęła tak spazmatycznym płaczem, że aż nie mogła złapać oddechu.

I poszukała schronienia w jedynym bezpiecznym miejscu na całym świecie. W jego ramionach. A on przygarnął ją do siebie, a potem wziął na ręce i wolnym krokiem zaniósł z powrotem na balkon. Posadził ją na wiklinowym fotelu, okrył kocem i podał papierosa.

– Nie musisz mi nic mówić – powiedziała zrezygnowana, nawet nie próbując spojrzeć w szybę. Wiedziała, że makijaż z niej spływa, a wydzielina z nosa zalewa usta. Przetarła je szybko dłonią. – To był błąd. Straszny błąd. Przepraszam, Adam. Nic nikomu nie powiem. Twojej żonie też nie. Nikomu.

– Słyszałaś kiedyś o morderstwie w Milówce? – zapytał, ignorując jej słowa i zaciągając się papierosem.

– Kilka razy, ale nic o tym nie wiem.

– W listopadzie dwa tysiące czternastego roku, w chacie letniskowej na zboczu góry Prusów znaleziono trzy ciała. Para staruszków i ich wnuk. Zabito ich strzałami w głowę. Sprawę dostała największa gwiazda śląskiej policji, czyli Lichy. Policjant tyleż genialny, co obłąkany. Trzeba jednak przyznać, że szybko wytypował podejrzanego. Problem w tym, że ten podejrzany okazał się być tajniakiem infiltrującym groźny albański gang przemycający do Niemiec młode tureckie kobiety. To głośny proceder, zwany w Europolu „Pluszowym Szlakiem”. Tajniak został zdekonspirowany i zrobił się gnój. Ostatecznie Lichy dowiódł, że morderstwo powiązane było z działalnością gangu. W okresie zimowym, gdy chata stała pusta, wykorzystywano ją do przechowywania broni i ekwipunku. Bandytów zaskoczyła obecność gospodarzy, którzy zwykle zimy spędzali w Stanach Zjednoczonych. W toku śledztwa ustalono, że zdekonspirowany tajniak, czyli jak się pewnie domyślasz, komisarz Piotr Cyra nie wiedział ani o kryjówce, ani o morderstwie, którego dokonała inna komórka gangu. Lichy dopadł go, ponieważ Cyra, dowiedziawszy się

o zbrodni, zakradł się do chaty, usiłując zabezpieczyć jakieś ślady. A zamiast tego zostawił swoje. Tak czy inaczej, kanał przerzutowy zatkało, aresztowano kilka płotek i dwie nieco ważniejsze osoby, ale Pluszowy Szlak nie został zlikwidowany, dlatego operację uznano za całkowitą klęskę. Co do Cyry i Lichego, po początkowej walce kogutów złapali ze sobą kontakt i zdawało się, że połączyła ich przyjaźń. Dlatego wszyscy byli w szoku, gdy kilkanaście miesięcy później, w lutym dwa tysiące szesnastego roku, wydarzył się między nimi incydent.

– Pobili się, tak? Słyszałam o tym, ale nie wiem dlaczego.

– Pobili się? – powtórzył pytanie Mąka. Liliana zauważyła w jego oczach rozbawienie. – Lili, Lichy zadał Cyrze dwanaście ciosów nożem taktycznym o szesnastocentymetrowym ostrzu. Dwanaście ciosów prosto w korpus.

– Cholera! – krzyknęła, bo papieros wypadł jej z ręki i oparzył w łydkę. Podniosła go zaraz.

– Na szczęście – ciągnął Mąka – to było zaraz po tym, jak Cyra wrócił z akcji do bazy i miał na sobie kamizelkę taktyczną. Lichy nie zdołał się przez nią przebić. Oczywiście później w trakcie śledztwa tłumaczył, że dobrze wiedział o tej kamizelce i nie zamierzał zabić Cyry, ale cóż... Komisja nie była do końca przekonana.

– Jezu – jęknęła Lili – to chyba faktycznie jakiś wariat.

– Pewnie, że wariat.

– Ale w takim razie... Okej, rozumiem, to problem wizerunkowy dla formacji, szczególnie w przypadku znanego i cenionego policjanta. Ale chyba za coś takiego powinien jednak trafić do pudła? A na pewno powinniście go pogonić ze służby.

– Zgadza się. Jednak to nie wszystko. To nawet nie było najgorsze. Bo w toku śledztwa okazało się, że Cyra trochę za bardzo wczuł się w swoją

rolę i w trakcie pięciomiesięcznej operacji dopuścił się dwunastu gwałtów na więzionych kobietach.

– Ja pierdolę – szepnęła Liliana.

– Cyra początkowo się nie przyznawał. Potem, gdy już się nie dało zaprzeczać, stwierdził, że został do tego zmuszony. Że członkowie gangu wymagali tego od siebie nawzajem jako formy okazywania lojalności. Szczególnie zaś wymagali tego od Cyry, bo był nowy w ich środowisku. I znów komisja nie do końca w to uwierzyła.

– Skurwysyn... Więc Lichy postanowił mu wymierzyć sprawiedliwość?

– Nie wiadomo.

– Dwanaście ciosów za dwanaście gwałtów. To ma sens.

– To nie ma sensu, Lili. Od wymierzania kary jest sąd. Koniec i kropka.

– No tak, oczywiście. Ale... Cholera, sama bym go zadźgała.

– A ja musiałem to zakopać. Polecenie z samej góry. Z samej centrali KGP. Na wszystkich padł błąd strach. Bali się, że jak oskarżą jednego, to w sądzie powie o drugim. I odwrotnie. A ostatnie, czego policja wówczas potrzebowała, to przekazać społeczeństwu, że ma w swoich szeregach gwałcicieli i potencjalnych morderców. Dostali więc po sześć miesięcy zwolnienia od psychiatrii, potem im przedłużono o kolejne sześć i kolejne sześć, i tak aż do dziś.

– Wolno tak?

– Nie wolno, Lili. Ale, jak mówią moje córki, Mirelka i Mariolka – a mają zaledwie pięć lat – jeśli czegoś nie wolno, ale bardzo się chce, to można.

Palili w milczeniu. Lili nie pamiętała, by odpałała kolejnego papierosa, ale musiała to zrobić, bo ten był niemal zupełnie nowy.

– Czy informacja okazała się godna tak hojnej stawki? – zapytał w końcu Mąka.

Zagasiła papierosa, wstała z krzesła i spojrzała mu prosto w oczy.

– Adam, chciałabym jedno ustalić, dobrze?

– Dobrze.

– Zapłaciłam ci. Dałeś mi to, za co zapłaciłam. Jesteśmy więc kwita.

Tak?

Westchnął, bo co tu było do potwierdzania? Ale jej to nie zadowoliło.

– Czy tak? – powtórzyła.

– Tak – powiedział przeciągle. Nie miało znaczenia, co myśli, co czuje, czego by chciał, a czego nie. Powiedział, co chciała usłyszeć. Jak zawsze.

– Świetnie – powiedziała, wciąż wpatrując mu się w oczy. – Zatem wyczerpaliśmy ten temat. Nikt nic nikomu nie jest winien. Tak?

– Tak.

Zawahala się. Ale tylko na moment. Na jedno uderzenie serca.

– Wobec tego teraz pokochaj się ze mną za darmo.

– To znaczy... – zaczął, ale nie skończył, bo jej usta znów przywarły do jego ust, jej język znów chciwie poszukiwał jego języka, a magiczny trik ze spadającą sukienką... Cóż, ten trik zawsze działał.

ROZDZIAŁ 25

Obudził go jakiś dziwny, nieprzyjemny dźwięk. Nigdy wcześniej go nie słyszał, więc w pierwszej chwili nie zrozumiał, co to właściwie jest. Chyba zresztą nie do końca jeszcze powrócił do świata ludzi przytomnych. Jak długo spał? Może z godzinę? Nie pamiętał. Rozmawiał z Szamponem, a potem? Potem był ogień. Znowu ogień. Czy to się nie staje jakąś obsesją?

I znów ten dźwięk. Głośny i chropowaty. A może to domofon? Czy naprawdę od kiedy się tu sprowadził nikt go nie odwiedził? Możliwe.

Doczłapał do drzwi i chwycił za słuchawkę.

– Tak? – zapytał.

– Tu Łysa.

– Kto? – Zdziwił się.

– Martyna. Otwórz.

Ale jak? Na domofonie były dwa przyciski. Jeden otwierał drzwi, drugi – nie wiadomo, co w sumie robił. Lichy nacisnął oba i usłyszał brzęczenie. Połączenie zostało zakończone, więc odłożył słuchawkę.

Co właśnie zrobił? Wpuścił do swojej nory kobietę. Z przerażeniem rozejrzał się po pomieszczeniu i uznał, że nie jest tak źle, jak w pierwszej chwili pomyślał. Sprzątał... Kiedy? Kilka dni temu. Nie miał tu nic swojego. Jadł na mieście. Łazienkę utrzymywał w porządku. Zresztą, czym się właściwie przejmował? Czy obchodziło go, co ona sobie pomyśli? Z głośników cichutko buczało coś od D'Angelo, a on błąkał się od drzwi do łóżka i z powrotem, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Ile mogło jej zająć wjechanie tu windą? Czy tyle, żeby zebrać brudne ubrania? Nie, nie.

Wszystkie są w koszu na brudną bieliznę pod zlewem w łazience. Czy ma jakąś herbatę? Lodówka jest pusta, to akurat pewne. Ale przecież nie przyszła do niego o pierwszej w nocy, żeby jeść. Po co właściwie przyszła? Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że to raczej niecodzienne. A także, że stoi w samych szortach, więc szybko podszedł do jedyne go krzesła, jakie posiadał, na którym leżały ubrania. Zdołał tylko wciągnąć na siebie odrobinę pognieciony T-shirt, kiedy usłyszał pukanie do drzwi. Przeczesał dłonią włosy i raz jeszcze przekonał się, jak potężna jest siła przyzwyczajenia. Od wizyty na częstochowskiej wytrzeźwiającej nie miał przecież włosów. Otworzył drzwi i ujrzał upiora. Twarz byłaby zupełnie biała, gdyby nie czarne ślady mascary rozbryzgane po napuchniętych policzkach. Oczy za to przeciwnie – intensywnie czerwone, bardziej niż ledwie pociągnięte pomadką usta.

– Co do... – wyrwało się Lichemu.

Martyna minęła go, zatraskując drzwi. W przelocie zdjęła grubą, puchową kurtkę i rzuciła ją na podłogę. Śladami kurtki powędrował plecak. Potem, odwracając się do niego, ściągnęła przez głowę bluzkę. Ją również cisnęła na podłogę. Bielizny nie miała na sobie. Będąc zupełnie nagą od pasa w górę, skoczyła na osłupiałego Lichego, a gdy złapał ją w locie, zaczęła go całować. Szaleńczo i w zapamiętaniu, jak modliszka usiłująca wyssać życie ze swojego partnera.

Lichy na moment stracił kontakt z rzeczywistością. Bardziej niż na pocałunkach skupiał się na tym, by jej nie upuścić. W tym dziwnym tańcu zawędrowali do pokoju, w którym w końcu udało mu się odzyskać równowagę. Chwycił ją mocno za biodra i cisnął na materac.

– Przestań! – krzyknął. – Co ty wyprawiasz?

Ledwo wylądowała tyłkiem na materacu, zaraz odbiła się od niego i znów skoczyła ku Lichemu. Ale on już był przygotowany. Zrzucił ją

z siebie jak ręcznik.

– Oszalałaś – wydyszał, ale wzbierający w nim gniew zaraz przerodził się w strach. Twarz Martynty była naprawdę przerażająca, może dlatego, że tę upiorną maskę, którą widział przed chwilą, zalały łzy.

Znów się na niego rzuciła, tym razem jednak z wściekłością.

– Mówiłeś, że ci się podobam – wrzasnęła histerycznie. – Dlaczego nie możesz mnie po prostu przelecieć?

Uderzyła go otwartą dłonią w twarz. Nie spodziewał się tego, a cios był mocny. Zachwiał się, a wówczas otrzymał drugi cios. Upadł na kolano.

– Zabiję cię – krzyczała Martyna i zdawało się, że faktycznie ma zamiar to zrobić, bo wymierzyła kopniaka prosto w twarz Lichego. On już jednak był przygotowany. Zbił kopnięcie dłonią, skręcił ciało i wystrzelił w górę jak rakietą. Chwycił ją z tyłu w niedźwiedzi uścisk.

– Puszczaj! – wrzasnęła. – Puszczaj.

– Cicho!

– Puszczaj, skurwysynu!

Ścisnął mocniej. Zabrakło jej tchu, a on lewą ręką zakrył jej usta. Wierzała i sapała. Pracowała przeponą tak potężnie, że uderzenia jej niewielkich piersi niemal łamały mu przedramię.

– Ćśśś, spokojnie, dziewczyno. Spokojnie – szeptał jej do ucha. – Nic ci nie zrobię. Uspokój się tylko.

I w końcu usłuchała. Zwiotczała mu w rękach i aż się przestraszył, że straciła przytomność. Ale nie. Oddychała ciężko. Po twarzy spływały jej łzy, ale oparła już palce stóp o podłogę. Wówczas Lichy popuścił odrobinę chwyt, tak by mogła stanąć stabilnie.

– Co się stało? – zapytał.

– Jest mi... Strasznie zimno – powiedziała tak cicho, że przez moment nie był pewien, czy to ona, czy dźwięk płynący z głośnika. Zaczęła dygotać, więc wziął ją na ręce i zaniósł na materac. Usiadł na nim, oparł się o ścianę, a ją posadził sobie między nogami, przyciągnął do siebie i objął. Uległa temu, chwytając kołdrę i nakrywając nią ich oboje.

– Przez godzinę stałam pod blokiem, wahając się, czy tu przyjść.

– W taki mróz? Nie dziwię, się, że zmarzłaś. Poczekaj, zrobię ci jakiejś herbaty. Chyba mam...

– Nie. Zostań. Tak jest dobrze. Ciepło.

D'Angelo zastanawiał się, czy powinien stać niewzruszony wśród walącego się świata, lecz czynił to tak przyjemnym, tak pieszczącym ucho basem, że człowiek gotów był nawet potaplać się chwilę w potokach lawy, wylewać pot w płonącej atmosferze i lawirować wśród postępujących pęknięć skorupy ziemskiej, byle tylko jeszcze posłuchać.

– Próbował mnie zgwałcić – wyszeptała Martyna i poczuła, jak Lichy bezwiednie przyciąga ją mocniej do siebie, oplata ją szczelniej ramionami, jakby chciał ją schować przed światem.

– Kto? – zapytał.

– Cyra.

Nie odpowiedział, więc znów słuchali opowieści o sosnach, które szepczą w języku nieznanym ludzkości. Czuł, że jej oddech uspokoił się.

– Lichy?

– Obroniłaś się?

– Kopnęłam go w jaja, a potem prosto w ryj. A potem znów w jaja.

Parsknął cicho i aż mu się wstyd zrobiło. Ostatnią rzeczą, jaką wypadało teraz zrobić, było parskanie śmiechem, ale po prostu nie mógł się powstrzymać. Ona niespodziewanie też się zaśmiała.

– No co? – zapytała.

– Nic. Dostał to, na co zasłużył.

– Na szczęście nie dostał tego, na co nie zasłużył. A było blisko...

– Nie było. Nie miał z tobą szans. To wampir, tylko zamiast krwi żywi się strachem i upokorzeniem. Nie okazałaś mu ani jednego, ani drugiego. Nic już ci nie robi, zapewniam.

– Brzmi, jakbyś go dobrze znał.

– Za dobrze. A na pewno dużo lepiej, niżbym chciał.

– Nie zrozumiałaś mnie. Mam na myśli, że gdyby poprosił o to, co chciał sobie wziąć, to na pewno by to dostał. Do cholery, poczekałby ze dwa dni, to pewnie sama bym go poprosiła.

– Wynoś się z mojego łóżka – obruszył się Lichy, choć nieszczerze, bo uścisku nie zwolnił. – Z bezguściami się nie ogrzewam!

A ona znów się roześmiała. Jej ciało utraciło napięcie. Nie było już sztywne i chropowate. Stało się przyjemne w dotyku i Lichy zrozumiał, że lada chwila może mieć pewien drobny problem. Jej pośladki opierały się o miejsce, gdzie za kilka chwil może już nie być miejsca. Lichy nie miał złych intencji. Szczególnie teraz, gdy powiedziała mu, co się stało. Natomiast jego ciało wiedziało swoje i nie zamierzało słuchać wyjaśnień.

– Jesteś uprzedzony – powiedziała. – Przecież nie powiesz mi, że on nie jest przystojny.

– Z tą gębą jak u późnego Mickey'ego Rourke?

– Przesadzasz, naprawdę. Poza tym ciało ma jak z pracowni sztuki.

– Chyba jak z pracowni farmaceutycznej.

– Cooo? Myślisz, że się szprycuje?

– Nie wiem. Ale jeszcze niedawno tak nie wyglądał.

– Ja pierdolę... Lichy, przepraszam cię.

– Za co?

– Mam przyjaciółkę. Osiem lat temu została zgwałcona. Od tego czasu boi się mężczyzn. Nie chciałam być jak ona. Nie chciałam bać się mężczyzn. Próbowałam cię wykorzystać. Przepraszam.

– Nie przepraszaj. Odbieram to jako dowód zaufania. Oraz to, że nikogo lepszego akurat nie było pod...

Nie skończył, bo jej łokieć miał akurat tyle miejsca, żeby uraczyć go sójką w bok.

– Ałaaa – powiedział, przeciągając zgłoski.

– O, jaki delikatny!

– Ale przynajmniej z dobrym gustem.

Westchnęła.

– Co taki piękniś jak ty może wiedzieć o ludzkiej samotności? – zapytała, bardziej siebie niż jego, ale jej odpowiedział.

– Zdziwiłabyś się.

– Tak? Kiedy ostatnio spałeś z kobietą?

Nie odpowiedział.

– No kiedy? – nalegała.

– Ekhkm temu...

– Kiedy?

– Dwa dni temu – przyznał w końcu, a ona parsknęła śmiechem. Wyjątkowo szyderyczym.

– Widzisz? – powiedziała z mieszanką żalu i satysfakcji w głosie. – Ja miałam chłopaka rok temu. I to z Tindera. Kompletne nieporozumienie. Po dwóch razach skasowałam jego numer.

– Nie potrafię tego zrozumieć, Martyna.

– Nie lubię tego imienia. – Skrzywiła się.

– Dlaczego?

– Czego nie potrafisz zrozumieć?

– Jesteś piękna. Naprawdę. Masz cudowne i, może nie powinienem tego mówić, bardzo podniecająco pachnące włosy. Zgrabną figurę. Śliczne piersi, co wiem dopiero od dziś. I ładną buzię. Naprawdę ładną. Dlaczego takie kobiety marnują czas na Tinderze? Dlaczego nie potrafią sobie znaleźć prawdziwego, porządnego partnera? Ta kobieta, z którą się ostatnio spotkałem, powiedziała mi, że nie miała nikogo od dwóch lat. A, umówmy się, jest absolutną seksbombą.

– Pokaż zdjęcie!

– Co? Nie mam. Po co ci zdjęcie?

– Lubię atrakcyjne kobiety.

– W sensie...

– W sensie, tak, wolę mężczyzn, ale z kobietami też lubię się czasem zabawić. To dla ciebie problem?

– Co? Nie. Zaskoczyłaś mnie. W każdym razie...

– To jest prymitywne myślenie, Lichy. Jesteś ładna, powinnaś się bzykać na potęgę. Nie. To tak nie działa. Każdy w końcu dochodzi do wniosku, że seks jest tylko narzędziem, a prawdziwym celem miłość. Nie uważasz tak?

– Uważam.

– Człowiek żyje z dnia na dzień, licząc, że ta miłość o nim nie zapomni, że pojawi się już za chwileczkę i wszystko zmieni. Gdy się ma dwadzieścia lat, to brakuje cierpliwości. Eksperymentuje się. Zaciąga się do łóżka każdego, kto choć w miarę pasuje do wizualnych wytycznych, po to tylko, by się przekonać, że to nie to. Ale ma się na to siły i chęci. Sprawia to przyjemność. Więc czemu nie? Ale potem człowiek dojrze i rozumie,

że wywijanie narzędziem nie jest celem samym w sobie. Że nie macha się łopatą dla przyjemności, tylko żeby wykopać dziurę.

– O matko, mam w łóżku poetkę z nurtu robotniczego.

– Zbyteczna ironia – fuknęła. – Nie będę z tobą gadać.

– Chciałaś wykorzystać swoje narzędzia, żeby przetestować Cyrę. Robi mi się niedobrze.

– Bo jestem samotna, kurwa mać – warknęła. – Pierdolona miłość nie przechodzi, a mnie się chce rznąć. Tak trudno to zrozumieć? A ja chyba jeszcze nie potrafię sobie zbudować kręgu...

– Jakiego kręgu?

– Lichy...

– Tak?

– Zabieraj łapsko z mojego cyca. Miałaś swoją szansę, ale wzgardziłaś.

– Yyyy, ekh, hehe...

– Matko, no neandertalczyk.

– Przepraszam... Czy mogłabyś... się ubrać? Bo...

– Bo co? – rzuciła wyzywająco. Naraz szybkim ruchem odrzuciła kołdrę, wyrwała mu się, obróciła i usiadła na nim tak, że jej piersi zakołysały się tuż nad jego nosem.

– Ojej, Lichy – zacwierkała – właśnie usiadłam na czymś twardym. Czyżbyś był jednym z tych, którzy co innego mówią, a co innego myślą?

I patrząc na niego z góry wyzywającym wzrokiem, zaczęła się poruszać. Trochę w górę, trochę w dół. Trochę w przód, trochę w tył. Coraz szybciej i coraz bardziej naciskając jego ciało.

– Kiedy spotkają się dwie takie osoby – wyszeptała – tworzą się kręgi. Ukryte telefony, jednorazowe adresy. Tacy ludzie spotykają się, na przykład zawsze w czwartki o północy albo co drugą środę w przerwie na

lunch i uprawiają prymitywny, kadłubkowy seks. Bez miłości, bez zobowiązań, bez przesadnej namiętności. Ale tak samo przyjemny jak każdy inny. A co najważniejsze, zaspokajający. Na jakiś czas.

Gdy to mówiła, jej pierś uderzyła go w usta, a on, niech wszyscy diabli porwą parszywą samczą naturę, nie opanował się, nie utrzymał kontroli, nie ogarnął nawet tego rozumem, po prostu otworzył usta i dotknął językiem jej sutka. Spięcie było tak silne, że mogło wskrzesić iskrę. Westchnęła bardzo głęboko, a potem upadła na plecy, szarpiąc go na siebie. On nie mógł się od niej oderwać, dłoń sama wystrzeliła w kierunku jej piersi, ona upadając, wsunęła mu dłoń w szorty. Szorty były luźne, poszło bardzo sprawnie. Chwyliła go za to, co ją teraz najbardziej interesowało, poczuła szalejący puls w nabrzmiałej tętnicy. Lichy jęknął, ona też, drugą dłonią usiłowała rozpiąć swoje jeansy, ale znów odskoczył. Dyszał ciężko, jednak zwalczył to w sobie.

– Przepraszam, przepraszam – wystękał. – Ja... Po prostu nie mogę się dziś na to zdobyć.

Leżała chwilę, rozciągnięta na łóżku. Starła się odzyskać oddech. W końcu usiadła. Aż się uśmiechnęła, tak bardzo żałośnie teraz wyglądał. Ujęła go dłońmi za policzki i pocałowała w nos.

– Nie szkodzi – powiedziała, bo wiedziała, że to już koniec. A po co się złościć na coś, czego nie da się już zmienić.

On tymczasem usiadł koło niej. Oparł się o ścianę.

– Po prostu... Przerasta mnie to. Śmierć Krzywego...

– Rozumiem – odparła, choć prawdę rzekłszy, zupełnie o tym zapomniała. – Mogę zapalić?

Ogień. Ogień wszędzie. Pali się! Uciekać! Nie, do cholery. Wstrząsnął głową. Zdał sobie sprawę, że od ostatniej rozmowy ze strażakiem nie zapalił tu ani jednego papierosa.

– Tak – odpowiedział, a ona wstała i poszła do przedpokoju po plecak. Wróciła po chwili. Ubrana. Lichy westchnął tak żałośnie, że Martyna aż się uśmiechnęła.

– Popielniczka jest na parapecie. Od zewnątrz – powiedział Lichy.

Zabrała ją stamtąd i wróciła na materac. Odpaliła papierosa. Poczęstowała go, a on nie odmówił.

– Cokolwiek sobie o mnie teraz myślisz, Lichy – powiedziała Martyna – nie pojechałam do Cyry, żeby sobie z nim zakładać kręgi. Mam coś. Myślę, że coś ważnego. Chciałam mu to dać. Wiem, że zależy mu na tej sprawie. Poza tym dzięki niemu znów jestem komisarzem.

– Jak to? Udało się?

– Owszem. Znalazł się sędzia, który podpisał całkowite wycofanie zarzutów. A że nie miałam jeszcze rozprawy, no to... Żyjemy w państwie z gówna i kartonu, Lichy. Tam, gdzie panowie w marnie dobranych garniturach sami decydują, kiedy prawo jest prawem, a kiedy bezprawiem. Ale nieważne. W każdym razie, ponieważ teraz serdecznie pierdolę Cyrę i nie chcę mieć z nim nic więcej do czynienia, dam to tobie.

Wyjęła z plecaka teczkę i podała Lichemu.

– Zastanawiałam się, o co chodzi z tą koleją. Dlaczego to są zawsze tereny kolejowe? To musi coś znaczyć, ale przecież wszystko dokładnie sprawdziliśmy. Czytałam kiedyś książkę o myśleniu lateralnym i teraz zaczęłam myśleć trochę szerzej. O mniej oczywistych rzeczach. I wpadło mi do głowy, że obiekty kolejowe szczególnie upodobali sobie do swoich celów graficy.

– Sprytne.

– Cicho, nie przerywaj. Zaczęłam to sprawdzać. Bez większej wiary, ale po tym, co się stało i tak musiałam się czymś zająć, żeby nie oszaleć. No i wyobraź sobie... Czeka.

Otworzyła teczkę i podała mu pierwszy wydruk.

– To mur na Kaufhausie, w Rudzie Śląskiej. O ten mur oparte było ciało Anny Milewskiej. Na naszych operacyjnych zdjęciach nic nie było, ale spójrz tutaj. To zdjęcie z dwa tysiące szóstego roku. Widać, że projekt jest już wyblakły, więc musiał powstać wcześniej, ale ze wszystkich zdjęć, jakie znalazłam, ten jest najwyraźniejszy.

Lichy spojrzał na zdjęcie. Mur na całej długości gruntowała biała farba. Na niej, naprawdę wprawną ręką wymalowano stary wagon kolejowy, na tle klasycznych nowojorskich wysokościowców w stylu *art déco*. A na wagon jakies esy-floresy nanosił zamaskowany dzieciak. Jak się trochę lepiej przyjrzeć, układały się one w napis „NYC”.

– New York City – powiedział Lichy. – Miasto się zgadza. Myślisz, że to podpis?

– Tak. Zaraz zobaczysz, dlaczego.

Podowała mu kolejne zdjęcie. W pierwszej chwili nie rozpoznał lokalizacji.

– To stara wieża ciśnień na terenie Zakładu Naprawy Taboru Kolejowego w Gliwicach.

– Miejsce wyeksponowania zwłok Aleksandry Bierut.

– Dokładnie. Zdjęcie z dwa tysiące dziesiątego roku.

– Pięć lat przed morderstwem – powiedział do siebie Lichy, przypatrując się zdjęciu. Malunek był już mocno zniszczony. Częściowo nieczytelny, ale po prawej stronie widać było jakies miejskie klimaty i napis NYC.

– Cholera, Martyna, to jest genialne.

– To jeszcze nie wszystko. Trzecia fotka jest totalnie odjechana. Zobacz.

Podowała mu zdjęcie, a on ledwo rzucił na nie okiem i aż złapał się za głowę. Na fotografii widniała wiata przystanku kolejowego Katowice-Brynów, widziana z góry, z wiaduktu w ciągu ulicy Brygadzystów.

Właściwie były dwie wiaty, po jednej nad każdym z dwóch peronów. Miały po siedemdziesiąt metrów długości i pięć szerokości. Obie ewidentnie były pomalowane. I choć zdjęcie na pewno zrobiono kilka lat po naniesieniu wzoru, Lichy bez trudu rozpoznał, co umieszczono na północno-zachodniej wiacie. Trzy wielkie litery NYC. Trzy inne wymalowano również na południowo-wschodniej, ale trudno było je rozczytać.

– Niesamowite – powiedział Lichy. – Przecież tu trzeba było wylać cysterne farby. A wcześniej ją tam wtaszczyć. Ile może zająć zrobienie czegoś takiego?

– Powstało w trzy godziny. Znalazłam o tym wzmiankę na jakimś forum. Wiem tylko, że dokładnie w dwutysięcznym roku.

– A osiemnaście lat później zataszczono tam z jakiegoś powodu ciało Anny Ochockiej.

– Właśnie. No i mam jeszcze jedno zdjęcie. Tym razem z naszych akt. Spójrz.

Podziała mu zdjęcie zwłok Katarzyny Lisieckiej, pierwszej ofiary. I natychmiast to zobaczył, mimo że wcześniej wielokrotnie patrzył na zdjęcie i nie widział nic. Ciało oparte było o koło pociągu, jednak kadr pozwalał dostrzec również niewielki kawałek poszycia burty wagonu. Na niej wściekle czerwonym sprayem napisano „NYC”. Prawdopodobnie niedługo przed wykonaniem zdjęcia. Farba wyglądała na świeżą.

– Na czerwono – zauważył Lichy. – Kowalczyk miał przy sobie tylko białą i niebieską farbę. Ale mógł po prostu wyrzucić puszkę, nim go złapano.

– Myślę, że to musi coś znaczyć. Nie udało mi się znaleźć nic więcej. Rano wybiorę się do biblioteki i przejrzę zdjęcia w starych gazetach. Może coś jeszcze będzie. Ale nie wierzę, że to przypadek.

– Ani ja. Świetna robota.

Uśmiechnęła się i usiłowała sobie przypomnieć, kiedy ktoś ostatnio pochwalił ją za dobrze wykonaną pracę. I czy w ogóle kiedykolwiek to nastąpiło. A miała przecież za sobą niejedno dobrze poprowadzone śledztwo. Widać pochwały były zarezerwowane wyłącznie dla mężczyzn w mundurach.

– Dobrze – powiedział Lichy. – W takim razie sytuacja wygląda następująco: mamy mordercę lub morderców, którzy w połowie przypadków, a być może we wszystkich, eksponują ofiary w miejscach, w których dawniej znajdowały się prace jednej konkretnej grupy graficyarzy. Czy uzasadnione będzie twierdzenie, że morderca lub mordercy wywodzą się z tej grupy?

– Tak, zdecydowanie. Bo zauważ, że te grafiki zrobiono dużo wcześniej. Nawet osiemnaście lat wcześniej. I w trakcie popełniania morderstw od dawna ich już nie było. Morderca musiał wiedzieć, że one tam kiedyś były.

– Racja. Ale mógł być jakimś fanem, znawcą zagadnienia albo cokolwiek.

– Wątpliwe. Zwłaszcza na początku wieku to wciąż była sztuka bardzo undergroundowa. Pamiętam, że kiedyś był taki magazyn „Ślizg” i tam pojawiały się zdjęcia graffiti, ale chyba głównie na pociągach. I niewiele. Nie sądzę, by wieść o takich rzeczach rozchodziła się szybko i szeroko, choć możliwe, że się mylę.

I wtedy zadzwonił telefon. Martyna wygrzebała go z plecaka i chwilę popatrzyła na ekran. Zaskoczyło ją, kto dzwoni, ale odebrała.

– Co jest?

Przez dziesięć sekund ze słuchawki dobywały się jakieś dźwięki. Lichy nie był w stanie rozpoznać słów.

– Nie – rzuciła i zakończyła połączenie. Chwilę jeszcze wpatrywała się w wygaszony ekran, po czym rzekła:

– To był Rusłan. Powiedział, że mam natychmiast przyjechać na Kościelną. Wydawał się być zdenerwowany. Ale to na pewno pułapka. Cyra mu kazała.

– Nie sądzę, naprawdę.

– Tak czy inaczej, nie pojedę. Nieważne, co odkryli. Nie będę z nimi pracować, nie po tym, co się stało.

Lichy nie odpowiedział, ale wpatrywał się w nią intensywnie. Na tyle intensywnie, że w końcu nie wytrzymała.

– Co? – zapytała.

– Wytrzymasz tam?

– Po co?

– To, co dziś odkryłaś, jest bardzo ważne. Ale Cyra gotów jest wszystko zepsuć. Dobrze by było, gdybyś miała go na oku. Gdybyś poczuła się w jakikolwiek sposób zagrożona, powiedz mu wprost, że rozmawiałaś ze mną o tym, co ci zrobił. To go natychmiast ostudzi, bo ja znam kilka jego paskudnych sekretów. Takich, że nie podejmie ryzyka.

– Na czym miałabym się skupić?

– Muszę wiedzieć wszystko o postępach w sprawie Ślązaka.

– To ja ci już mogę powiedzieć. – Zaśmiała się. – Ślązak od zniknięcia ani razu nie wypłacił pieniędzy, ani nie zapłacił kartą. A ukraińska policja zatrzymała faceta, który miał paszport Ślązaka. To Ukrainiec. Kupił paszport przez internet. Uciekł z kraju przed wyrokiem za napad z bronią w rękę i myślał, że mając polski paszport, uda mu się odwiedzić jakąś swoją lalę. Słowem: ślup. Dokładnie tak, jak mówiłeś.

– Ślązak nie żyje. Jestem o tym przekonany.

– Szczerze mówiąc, ja też za bardzo nie wierzyłam, że miałby zabić żonę. On kompletnie nie ma jaj. W dodatku naiwny jak dziecko. A Cyra uparł się na niego i ignoruje fakty. Na przykład tę fotografię... A czekaj, nie znasz tematu. Moment.

Odblokowała ekran komórki, odnalazła galerię i chwilę przesuwała palcem po wyświetlaczu. W końcu podała mu telefon. Zobaczył zdjęcie, a na nim dwie kobiety, stojące na tle jakiegoś dziwnego metalowego obiektu, zainstalowanego niewątpliwie na szczycie góry. Prawdopodobnie był to krzyż. Obie były nagie od pasa w górę, a piersi zasłaniały rękawicami.

– To Lauda i Rólka po zdobyciu Matterhornu. Lauda powiedziała Ślązakowi, że zdjęcie zrobił jakiś przypadkowy turysta. Ślązak powtórzył to Cyrze, a Cyra to kupił, bo mu pasowało.

– A nie jest tak? To znaczy, skąd wiesz, że faktycznie tego zdjęcia nie zrobił jakiś alpejski przystojniaczek?

– Otóż wyobraź sobie, że kobiety tak się nie zachowują. A na pewno nie trzeźwe. To zdjęcie musiała zrobić jakaś inna kobieta. Gdyby robił to facet, owszem, rozebrałyby się, ale nie robiłyby takich głupich min. Takie zdjęcia przeznaczone są wyłącznie dla przyjaciółek. Możesz mi nie wierzyć, ale tak właśnie jest.

– Wierzę. Zatem co z tego wynika?

– Że były tam we trzy. Rólka i Lauda już nie żyją. Gdybym była Cyra, najpierw skupiłabym się, by ustalić, kim jest ta trzecia. Bo to może być zabójczyni.

– Mało prawdopodobne.

– Zgoda. A kolejna ofiara?

– To prędszej.

– No właśnie. A prócz tego, jeśli nawet nie jest to ani morderczyni, ani kolejna ofiara, to przecież może coś o nich powiedzieć. Znała je obie, być

może wiedziała coś, na co sami nigdy nie wpadniemy. No, ale Cyra uznał, że ma już swojego mordercę i tyle.

– Musimy pilnie znaleźć tę kobietę.

– Coś ci chodzi po głowie?

– Coś świta, ale jeszcze nic nie wiem. Wiem za to, kto nam może pomóc z NYC. Mam pewnego znajomego. Można powiedzieć, że jest specjalistą w tej dziedzinie. Jutro do niego pojedę.

– No dobrze. To ja jadę na Kościelną. Zostawiam ci te materiały. Nie chcę, żeby wpadły w łapska Cyry.

Wstała, zapięła plecak i przeszła do przedpokoju. Po chwili wróciła ubrana do wyjścia. Pochyliła się nad nim i obiema rękami delikatnie złapała go za policzki.

– Chcę tylko, byś wiedział – powiedziała – że mimo wszystko było naprawdę przyjemnie. Więc gdybyś kiedyś formował krąg...

– Idź już, bo sformuję go zaraz i nigdy nie dotrzesz na Kościelną.

Uśmiechnęła się, wstała i, nie spoglądając za siebie, ruszyła do wyjścia. Do cholery, czy ona właśnie celowo kręci tyłkiem, doskonale wiedząc, że na nią patrzy?

Drzwi cicho kliknęły i Lichy został sam. Opadł głową na poduszkę i westchnął. Taka świetna dziewczyna. Dostał ją za darmo. Sama przyszła, sama chciała. A on oczywiście nie skorzystał. Tylko dlaczego? Może dlatego, że wciąż miał w pamięci namiętne pocałunki z doktor Demarczyk? A może dlatego, że wciąż miał w pamięci namiętne pocałunki Róży? Czy dla samotnego mężczyzny istnieje jakiś limit namiętnych pocałunków?

Nie panując nad odruchami, dotknął swojego krocza, ale nim cokolwiek w związku z tym postanowił, zasnął.

ROZDZIAŁ 26

Dochodziła czwarta trzydzieści, gdy płomienie zamknęły go w kojącym, hipnotyzującym uścisku, a odczucia stały się tak intensywne, że aż się obudził. Przez chwilę wciąż leżał z zamkniętymi oczami, usiłując się zmusić do ponownego zaśnięcia. Chciał tam wrócić. Tam, wśród huku ognia czuł się dobrze. Czuł się na miejscu. Tam, gdzie nie trzeba było żyć.

Ale oczywiście nic z tego nie wyszło, więc w końcu usiadł na łóżku, czując, że chyba złapał jakiś bezdech, bo strasznie bolała go głowa. Wstał, uchylił okno i niemal natychmiast odczuł ulgę. Mgła nie ustąpiła. Przeciwnie. Zdawało się, że jest jak troskliwa matka, która tym mocniej przyciska swe dzieci do piersi, im większą nawałą przemyka przez wieś upiorne wojsko Królowej Zimy.

Stał przez chwilę przy oknie, zawieszony między jawą a snem. Wyjałowiony i pusty. To te ogniste mocne mary wypalały go od środka, powoli, lecz z przerażającą systematycznością zmieniając jego ciało w popękana, wyschniętą skorupę. Więc stał tak dobrą minutę, aż w końcu uznał, że skoro już stoi, to równie dobrze może zapalić. Papierosy wciąż leżały przy łóżku. Odpalił i zaciągnął się chciwie. I wtedy przyszła ta druga potrzeba. Trudne do opisanego pragnienie zaświecenia sobie w oczyma mdłym światłem z ekranu AMOLED. Podniósł komórkę i zorientował się, że dostał dwie wiadomości od Martyny. Pomyślał, że może napisała mu jakieś swoje fantazje i aż się uśmiechnął na wspomnienie tych kilku wspólnie spędzonych chwil.

Ale to nie były fantazje. To były koszmary.

Kolejna ofiara. Czarna farba. Bez głowy. Poza tym wszystko inaczej. Ciało jedzie na Medyków. Nie dzwoń teraz.

I dopiero teraz naprawdę go zmroziło. Kolejna ofiara? Niecały tydzień po pierwszej? To oznacza, że wszystko zaczyna się na nowo. Coś się zmieniło w projekcie mordercy. Przez tyle lat jedna ofiara rocznie. To przecież musiało coś znaczyć. Co jeszcze było inaczej? Kiedy w ogóle przyszedł ten SMS? Godzinę temu. Czy mógł już zadzwonić do Martyny? Nie, na pewno nie. Nawet jeśli ciało jest już w kostnicy, to oni z pewnością dziś nie pójdą spać. Pewnie siedzą tam teraz wszyscy i knują. Bo muszą knuć. Cyra właśnie podpisał na siebie wyrok. I doskonale o tym wie. Morderca, którego już niemal miał w garści, nie tylko okazał się kimś innym i wciąż pozostaje niezidentyfikowany, ale w dodatku znów zabija.

W drugiej wiadomości było zdjęcie ofiary i Lichy zrozumiał, co jeszcze było inaczej. Ciało siedziało oparte o bramę mającą w oddali posesji, nieopodal żółtej tablicy informującej o prowadzonym remoncie. A Lichy dobrze znał to miejsce. Kolejna z ulubionych lokalizacji jego licealnej paczki. Wówczas była opuszczona i można w niej było przesiadywać całe noce, uważając jedynie na bezdomnych i narkomanów. Słynna katowicka Willa Chruszczowa. Modernistyczny obiekt w środku lasu, przynajmniej kilometr od najbliższej infrastruktury kolejowej. Wprawdzie teraz, gdy wiedzieli już, że mordercy wcale nie chodziło o kolej, a o graffiti, taka zmiana nie musiała oznaczać odejścia od schematu, a na zniszczonej elewacji willi zawsze były jakieś bohemy, ale nie na bramie rozpiętej sto metrów od obiektu. Bo dawniej w ogóle jej tam nie było.

Pomuskał palcami ekran, by powiększyć zdjęcie i aż go ciarki przeszły. Ciało pomalowane było czarną farbą i wyglądało jak spalone. Głowa w dłoniach ofiary niewątpliwie należała do Joanny Laudy. Lichy wystarczająco napatrzył się na jej fotografię, by być tego absolutnie

pewnym. Ale ciało nie mogłoby się bardziej różnić. Nie tak smukłe, wysokie, czy szczupłe. Talia nie tak wąska, nogi nie tak długie, piersi nie tak ogromne. Przeciwnie. Raczej mniejsze i bardziej kwadratowe, w odróżnieniu od niemal idealnych sfer u Laudy. I liter „Q” nie wymalowano wokół sutków. Dziewczyna była zdecydowanie mniej efektowna, ale przez to...

Nagle nim wstrząsnęło, a telefon wypadł mu z ręki.

– Ja pierdołę... – szepnął, a potem rzucił się w kierunku krzesła, gdzie wisiały jego jeansy. Wciągał je tak szybko, że w pierwszej chwili tyłem do przodu. Serce waliło mu jak kolumny na transowej imprezie. Sześćdziesiąt sekund później zbiegał już po schodach. Wypadł z klatki. Chłód wyciągnął po niego ramiona, ale matka mgła przycisnęła go do piersi. Lichy biegł przed siebie, zupełnie bez sensu, ale po prostu nie myślał. A właściwie przeciwnie. Myślał aż za dużo. Fakty i wspomnienia rozrywały mu głowę. Ochłonał, gdy wybiegł na ulicę. Zaczął się rozglądać za taksówką. I taksówka tam była. Stała na postoju. Dym wydobywał się z jej rury wydechowej. Niby nie wolno stać z włączonym silnikiem, ale kto by winił człowieka usiłującego się ogrzać podczas mrozu? Chyba tylko Chutor i jemu podobni. I tu Lichy się trochę zawstydził. Przecież wyglądało na to, że ledwie dzień temu Chutor uratował mu życie.

Szarpnął za klamkę tak mocno, że przysypiający szofer aż się przestraszył.

– Na Medyków. Szybko.

– Jak to, szybko? Nie będzie szybko. Nie widzi pan, jakie są warunki?

– Jedź pan!

Kierowca wzruszył ramionami i wyjechał na drogę. Lichy w tym czasie usiłował wybrać numer na ekranie komórki. Szło mu kiepsko. Palce

zdążyły nieco zgrabić, choć przecież był na dworze nie dłużej niż pięć minut.

Doba odebrał po szóstym sygnale. Głos miał zaspany.

– Lichy? Co ty, kurwa. Jestem zajęty. Wiesz, która...

– Przyjeżdżaj na Medyków. Natychmiast!

– Co? Po co?

– Natychmiast! – wrzasnął Lichy. – I bądź sam. Jeśli zobaczę Cyrę, to przejedziesz się na darmo.

Doba coś pewnie odpowiedział, ale już do martwego przedmiotu, bo Lichy zakończył połączenie.

Trzeba przyznać taksówkarzowi, że robił, co mógł. A gdy Lichy zaświecił mu blachą, to zaczął nawet ignorować czerwone światła. Ryzykownie, bo mgła ograniczała widoczność do pięciu metrów, ale ruch i tak był znikomy. Dojechali po dwudziestu minutach. Lichy dał uczciwy napiwek. W budynku natknął się na dwóch policjantów. O dziwo, żaden z nich nie był Chutorem. Czyżby aspirant w końcu spędził noc we własnym łóżku? Zaskoczył ich, bo wpadł z impetem burzowej chmury, ruszyli więc w jego kierunku, ale gdy pomachał im blachą, zatrzymali się w pół kroku. Bramka na dolną kondygnację była otwarta. Na korytarzu paliło się światło. Dotąd gdy tu bywał zawsze wszędzie panował mrok. I teraz brakowało mu tej odrobiny horrorowego romantyzmu. Romantyzm w kostnicy. Chyba miał nie po kolei w głowie. Z drugiej strony, tak niedawno uprawiał w tej kostnicy seks. I to wyjątkowo namiętny. Więc jak niby miała mu się kojarzyć?

Na dole panował ruch. Prócz doktor Demarczyk, w pomieszczeniu było kolejnych dwóch policjantów i jakiś technik. Wbiegając, narobił hałasu, więc doktor Demarczyk odwróciła się w jego kierunku. Twarz miała

zmęczoną. Z pewnością była niewyspana. Ale wyglądała równie pięknie, co poprzednio. Tyle że teraz dostrzegł na jej obliczu gniew.

– Lichy? Co ty tu robisz?! – krzyknęła.

Ale on już o niej nie myślał. Minął ją szybkim krokiem i podbiegł do stołu sekcyjnego, na którym, pod białym prześcieradłem, leżały zwłoki.

– Lichy? – Usłyszał za sobą.

Szybkim ruchem zerwał prześcieradło i odrzucił je na podłogę. Jego oczom ukazało się pokryte czarną farbą ciało.

– Lichy, kurwa! – wrzasnęła doktor Demarczyk.

– Stój! – krzyknął ktoś inny. Mężczyzna. Z pewnością jeden z dwóch policjantów. Lichy rozpoznawał w jego głosie tę mieszankę niczym nieuzasadnionej wyniosłości i wyprodukowanej przez testosteron bojowej arogancji. Usłyszał za sobą ciężkie kroki policyjnego obuwia. Dwóch par, nie jednej. Szybkim ruchem zerwał z szyi etui z odznaką i cisnął nią w tego, który był bliżej.

– Do budy! – warknął i nie poświęcił im więcej uwagi, bo znalazł właśnie to, czego szukał. Na tacce sekcyjnej leżał skalpel. Chwycił go za rękojęść. Wówczas dopadła go Demarczyk.

– Lichy, co ty wyprawiasz? Tak nie wolno!

– Odsuń się – powiedział, a ona posłuchała. Najwyraźniej było w nim coś takiego, co ją przestraszyło. Trudno. Później ją przeprosi. Może nawet przyniesie kwiaty. Może kwiaty i wino. A może kwiaty, wino i samego siebie. Teraz jednak zbliżył się do ciała, lewą dłońią chwycił lewą pierś ofiary i skalpelem zdrapał jej płat farby, tuż obok brodawki sutkowej. Farba nie chciała zejść. Musiał poprawić. W końcu jednak odsłonił skórę. Skalpel wypadł mu z dłoni, a on sam runął tyłkiem na podłogę.

– Ja pierdolę... – wyszeptał.

– Lichy! Lichy, co z tobą? – Nie było już gniewu w głosie doktor Demarczyk. Było zatroskanie. – Lichy, dobrze się czujesz?

– Ona była w ciąży... – wyszeptał.

– Co?

– Była w ciąży...

– Jezu, Lichy. Nie wiedziałam tego.

– Nie mogłaś, skoro jeszcze jej nie otworzyłaś.

– Co jest, co tu się dzieje? – Usłyszał nad sobą głos Doby. Prokurator wbiegł właśnie do pomieszczenia. – Lichy! Wszystko dobrze? Bo wyglądasz jak gównno.

– To Sylwia – wyszeptał Lichy.

– Jaka Sylwia? – Prokurator się zdziwił, ale odpowiedź pojawiła się w jego głowie szybciej, niż Lichy jej udzielił.

– Sylwia Brandt. Pracowała przy tej sprawie, ale zaszła w ciążę i Krzywy ją odprawił.

– Skąd to wiesz?

– Bo widziałem jej... Po prostu wiem. To na pewno ona.

Czterdzieści minut później, gdy Doba wykonał już wszystkie potrzebne telefony, a w kostnicy znów się zaroilo, prokurator zaproponował Lichemu, że odwiezie go do domu. Lichy przystał na to z ochotą. Był zmęczony. Od kilku dni działał na dużo wyższych obrotach niż jego wewnętrzny tachograf notował przez ostatnie miesiące. A sen zamiast odpoczynku spalał go jeszcze bardziej. Zatrzasnąwszy za sobą drzwi mercedesa Doby, ujrzał jeszcze migawkę z twarzą doktor Demarczyk. Ona zrozumiała, co się stało. Zrozumiała, że Lichy poznał ofiarę po znamieniu na piersi. Znamieniu w takim miejscu, którego nie odsłoni nawet najskromniejsze bikini. Że widział Sylwię Brandt nago. I to niedawno. Zrozumiał, że ją to dotknęło. Nie było jak wytłumaczyć, że Sylwia zaświeciła mu biustem ze

złości, myśląc, że molestował ofiarę poprzedniego morderstwa. Będzie musiał jej to wytłumaczyć. Tylko czy ona zechce go słuchać? Dziś brutalnie naruszył jej feng shui. Zresztą, przecież poprzednio wyraźnie powiedziała: raz i tylko raz. A jednak, cholera, ależ chętnie dodałby ją do swego kręgu.

Przez jakiś czas milczeli. Lichy nie miał już nic do powiedzenia. Doba z kolei miał, ale długo się wahał. Toczył wewnętrzny spór. Nie potrafiliby zliczyć, ile razy ostrzegano go przed Lichym. Ile razy podkreślano, że temu człowiekowi nie można ufać. A jednak on ufał mu coraz bardziej. Przełamał się dopiero, gdy wjechali na Trasę Średnicową.

– Musisz mi pomóc, Lichy – powiedział.

– Ja?

– Nie wierzę już, że Cyra sobie poradzi. Świetnie się sprzedał na spotkaniu z Wróblem. Ale wszystko stracił. W ciągu zaledwie dwóch dni.

– Wiadomo.

– Co wiadomo?

– Paweł, Cyra to funkcjonariusz operacyjny. W tym zakresie bardzo dobry, ale tylko operacyjny. Niezbyt lotny, za to zakochany w sobie. Jego jaja są większe niż jego mózg. I to nie był dla nich komplement.

– Pomóż mi, Lichy. Nie mam już czasu.

– Nie mogę, Paweł. Przykro mi.

– Ostatnie dwa dni to totalna katastrofa wizerunkowa policji i prokuratury, a właściwie wręcz państwa.

– A co mnie to obchodzi? Wiesz, gdzie ja mam wizerunek policji, prokuratury, a właściwie wręcz państwa? Dokładnie tam, gdzie wyruchał cię Cyra. Nic nie zrobiłeś, żeby mu przeszkodzić w przejęciu zespołu. I zastanów się lepiej, czy to przypadkiem nie przez ciebie zginął Krzywański.

– Zastanawiam się nad tym non stop od osiemnastu godzin! – wrzasnął Doba, a jego ciałem wstrząsnęła taka wściekłość, że dłonie bez żadnej kontroli szarpnęły kierownicą i prokurator na moment stracił panowanie nad autem. Mercedes gibnął się na bok i przeciął dwa pasy, nim Doba odzyskał kontrolę nad sytuacją. – Nie ma sekundy, żebym o tym nie myślał. Ale co mogę teraz zrobić?

– Zabierz Cyrze zespół.

– Nie, Lichy. Niech robi swoje. Muszę wykorzystać każdą szansę. Zresztą, szacuję, że najpóźniej o dziewiątej rano media dowiedzą się o nowej ofierze i wszyscy polecimy. Ale póki jeszcze żyjemy, pomóż mi, Lichy. Obiecuję, że ci tego nie zapomnę.

– Nie mogę ci pomóc – powtórzył Lichy. – Nie mogę, bo prosiłem, żebyś zaaranżował spotkanie z prokuratorem prowadzącym sprawę zabójstwa Zielskiego, a ty mi odmówiłeś. Bez tego po prostu nie jestem w stanie popchnąć śledztwa dalej.

– Dlaczego tego potrzebujesz? – zapytał prokurator po krótkim milczeniu.

– To oczywiste. Bo te sprawy są ze sobą ściśle powiązane.

– Skąd o tym wiesz?

– Ponieważ jestem bardzo dobrym śledczym.

Tyle razy mówiono mu, że Lichemu nie można ufać. Ale czy on miał jakiegokolwiek wyjście? Do cholery, owszem, zamierzał mu zaufać. Naprawdę. Bo jeśli Lichy w istocie jest tak dobry, to i tak dotrze do tego, co nigdy nie miało być ujawnione. Co może pociągnąć za sobą konsekwencje, może nawet ofiary. Jego samego, prokuratora Garlickiego i przynajmniej dwóch dobrych gliniarzy. Jak wówczas zachowa się Lichy?

– Dobrze – powiedział w końcu. – Jutro zaaranżuję spotkanie. Ale chcę przy nim być.

– Jak sobie chcesz – powiedział Lichy i zamknął oczy. Było ciepło, silnik przyjemnie mruczał. Nie chciało mu się więcej gadać.

ROZDZIAŁ 27

A jednak nie mógł zasnąć. Chwilę próbował, ale czuł blokadę. Czasami, gdy w głowie kłębiło mu się dużo myśli, popadał w dziwny stan, Był ni to we śnie, ni na jawie i nie potrafił się wyrwać z pętli wciąż powracających obrazów. Nazywał to blokadą. Zwykle wystarczyło podnieść się na kilka chwil, napić wody, wysikać, zapalić papierosa. Cokolwiek, byle powrócić do pełni świadomości. Ale tym razem nic to nie dało. Głowa najwyraźniej usiłowała mu coś podpowiedzieć. Miał tę myśl w zasięgu, ale nie potrafił jej chwycić. Wszystko widział na zielono. Co mógł oznaczać ten kolor? Czy morderca celowo użył zielonej farby? Jaki dodatkowy przekaz usiłował w tym zawrzeć? I dlaczego potem farba była już czarna?

Świtanie przeczekał, ślęcząc w internecie, usiłując znaleźć jakieś informacje o New York City lub New York Crew. Nic. Szukał według klucza geograficznego i po słowach kluczowych. Trafił na kilka zdjęć, tych samych, które pokazała mu Martyna. Ale żadnych informacji nie było.

O dziewiątej rano wysiadał już z kolejki na stacji Katowice Główne. Wciąż jeszcze wahał się, czy to zrobić, ale wiedział, że decyzja w jego głowie już zapadła. Dość miał już tego zimna, dość śniegu przenikającego do butów i moczającego skarpetki. Dość wszechogarniającej pustki. Pogoda zrobiła się najgorsza z możliwych. Mgła odpuściła, co nie znaczyło, że zniknął opar. Lichy nie chciał nawet myśleć o tym, co właściwie wdycha. Ani co mu pada na głowę. Nie był to śnieg, nie był to deszcz, a jednak, unosząc głowę, wyraźnie dało się dostrzec białawe punkciki zaścielające całe niebo, zupełnie jakby były gwiazdami. Chyba, kurwa, gwiazdami

śmierci. Mimo iż słońce wzeszło już godzinę temu, dokoła wciąż było tak ciemno, że całkowicie powariowały czujniki latarni miejskich. Rzuciły żółte, brzydkie światło na urokliwe przecież zaułki katowickiego śródmieścia, zmieniając je w scenografię rodem z Hitchcockowskiego dreszczowca.

Półtora kilometra przeszedł w pięć minut i dotarł do skrzyżowania Kilińskiego i PCK. Tam zatrzymał się, wyjął papierosa i zapalił. Był w domu.

Willa ciotki Łucji. A właściwie jego własna. Dawniej powód do dumy. Stylizowana na barok, wybudowana w latach dwudziestych dwudziestego wieku, podpiwniczona, z dwiema kondygnacjami i ogromnym strychem, gdzie urządzili z Różą mansardę. Ze spadzistym dachem krytym karpiówką, układaną w rybią łuskę i wolim okiem nad gzymsem, w osi kalenicy. Stała na niewielkim wzniesieniu, dlatego od chodnika wchodziło się po schodach, w połowie których umiejscowiono furtkę. Wejście pośrodku frontu, w lekkim zagłębieniu fasady zdobionej boniowaniem i skrytej pod niewielkim balkonem z ozdobną balustradą. Lichy nie tyle to teraz widział, co wspominał. Budynek otoczony był drzewami, które latem czyniły go niemal niewidocznym z poziomu ulicy, teraz zaś liście wprawdzie opadły, ale wszystko zasypane było śniegiem.

Westchnął do swoich wspomnień. Owszem, dom był w kiepskim stanie. Może nie w ruinie, ale wymagał kapitalnego remontu. Jednak przecież ten remont sam w sobie miał być ich sposobem na życie. Przemieszkali tu z Różą ledwie rok i siedem miesięcy, a w tym czasie wybudowali mansardę i wyremontowali pomieszczenia na dolnej kondygnacji. Potem, gdy Róża odeszła, wytrwał jeszcze dwa miesiące, a dzień po tym, jak wysłano go na urlop, opuścił to miejsce, zakładając, że

już na zawsze. To było ich wspólne miejsce. Jego i Róży. Nie chciał tu być bez niej. Wszystko mu się z nią kojarzyło.

– Ho, ho. Ślepnę na starość, ale że mam zwiady, tom się nie spodziewała.
– Usłyszał naraz znajomy głos za sobą. Odwrócił się i ujrzał starą kobietę z niewielkim dziecięcym wózkiem, szczelnie okrytym brezentem.

– Witaj, Teklo – powiedział. – Nie znudziła ci się ta okolica?

Kobieta machnęła tylko ręką. Bo jak jej się mogła znudzić okolica, w której zawsze żyła? Dawniej mieszkała nieopodal, w kamienicy przy Kościuszki. Potem, dobre dziesięć lat temu, gdy zmarł jej mąż, wylądowała na bruku. Była lokalną bezdomną, ale taką, która nikomu nie przeszkadzała. Nie była uciążliwa, nie piła i jak na osobę bez stałego dostępu do pralki i prysznic, dbała o higienę. Prócz tego Lichy podejrzewał, że kiedyś musiała być piękną kobietą. Malowała obrazy, których on nie znosił, ale podobały się Róży. Wozila je w starym dziecięcym wózku i sprzedawała ludziom. Z tego się utrzymywała. Lichy nigdy nie słyszał, by prosiła kogoś o pieniądze. Za to bardzo często, jak zachwalała swoje dzieła. I tym razem nie było inaczej.

– Mam nowe obrazy – powiedziała. – Chcesz rzucić okiem?

Gdy Róża się wyprowadziła, ściągnął wszystkie obrazy ze ścian i teraz kurzyły się na strychu. One też mu ją przypominały. Kupował je często. Trochę, by sprawić przyjemność Róży, trochę, by pomóc Tekli, którą po prostu lubił.

– Jasne – powiedział.

– Poczekaj – poprosiła, po czym rozpięła ochronny brezent na wózku, pogrzebała chwilę i wyjęła niewielkie płótno. Jak zwykle przedstawiało jakiś pejzażyk, tym razem zimowy. Farba nałożona była gęsto, barwne plamy mieszały się ze sobą, a całość sprawiała wrażenie, jakby była namalowana przez dziecko. Róża zawsze się z niego śmiała, gdy mówił jej

o swoich odczuciach na ten temat. Głaskała go po głowie, twierdząc, że kocha go nawet mimo faktu, że jest ignorantem. „To impresjonizm w najczystszej postaci” – mówiła. „Gdyby Tekla urodziła się we Francji sto lat temu i była mężczyzną, mogłaby być znana na cały świat”. I faktycznie, patrząc z pewnego oddalenia, wszystkie te plamki, kreski i rozmazania układały się w jakąś całość. Gdy pierwszy raz to dostrzegł, nawet mu się spodobało. Ale potem zabrakło Róży. Nie miał go kto uczyć, jak czerpać ze sztuki.

– Za sto pięćdziesiąt – powiedziała Tekla. – Może być? Farby podrożały.

– Może – powiedział Lichy. – Ale ja nie mam gotówki. Musiałbym...

– Możesz blikiem. – Uśmiechnęła się. – Myślisz, że stara tułaczka nie ma konta i komórki?

– Zdziwiasz mnie, Teklo.

Zapłacił i zabrał obraz. Zdecydował się na to nie tylko przez wzgląd na Teklę. Uznał po prostu, że to idealny prezent dla człowieka, którego zamierzał odwiedzić.

A człowiek ten mieszkał w Częstochowie. Co ostatecznie przesądziło o tym, że Lichy się złamał. Doba miał rację. Czas w końcu przeprosić się z samochodem. Podszedł do kamiennego muru odgradzającego posiadłość od ulicy PCK. Posiadał zresztą jeszcze jedną istotną funkcję. Ponieważ dom stał na nasypie, powstrzymywał poziome parcie gruntu. Krótko mówiąc, był to mur obronny i oporowy zarazem. Ale był czymś jeszcze. Frontową ścianą garażu. Lichy podszedł do drzwi, wcisnął przycisk na pilocie i brama uniosła się.

Stała tam tak, jak ją Lichy zostawił dwa miesiące temu, gdy jak co roku wybrali się na przegląd. Niewątpliwie piękna. Czarna, matowa, z czerwonymi felgami. Marzenie każdego mężczyzny i połowy kobiet na świecie.

To auto nie pasowało do zwykłego gliniarza, jakim czuł się nawet wtedy, gdy na krótko zyskał status gwiazdy. Koledzy się z niego śmiali. Nazywali go Willem Smithem, nawiązując do jego roli w Bad Boys. Bogaty dzieciak bawiący się w policjanta. Tak mówili o nim ci, którzy go nie znali. Trochę mniej dokuczliwe były dla niego porównania do Pana Samochodzika, bo i takie się pojawiały. Lichy w jedne tylko wakacje wciągnął całą serię Nienackiego i kto wie, czy to nie towarzyszące tamtym chwilom emocje ostatecznie sprawiły, że postanowił iść w ślady brata i zostać gliniarzem. Prawdziwym problemem było jednak to, że Róża nie znosiła tego auta i nie chciała nim jeździć. Uważała je za zbyt pretensjonalne i krzykliwe. I zdecydowanie miała rację.

Wsiadł. Umościł się w wygodnym, skórzanym, czarno-czerwonym fotelu i uruchomił silnik. Nie było z tym żadnych problemów. Ani dwumiesięczny postój, ani wcześniejszy, znacznie dłuższy, ani w końcu wyjątkowo mroźne ostatnie dni nie zniechęciły tej bestii do wyruszenia na łowy.

Ogromny silnik zadudnił. Lichy odruchowo dotknął przycisku w odtwarzaczu płyt. Można od miesięcy nie korzystać z auta, ale potem człowiek wsiada i okazuje się, że odruchy nie zniknęły. Ach, więc to tu zapodziała się płyta Chrisa Rea. Myślał o niej jakiś czas temu. Słuchał teraz o miłości, że to przez nią będzie musiał zapłacić za wszystkie grzechy, jakie w życiu popełnił. Lichy westchnął, przerzucił dźwignię zmiany biegów na *drive* i wyjechał z garażu.

Jechało mu się zaskakująco dobrze. Szerokie, zimowe opony, których nigdy nie zmienił, trzymały niezłe. Gierkówka była w miarę odśnieżona. Widoczność przeciętna, ale przecież nie miał zamiaru wykorzystywać wszystkich trzystu czterdziestu pięciu koni mechanicznych, które posiadał. Nie był typowym kierowcą sportowego auta. Raczej nie jeździł

szybko. Może nie, że nigdy. Ale lubił się po prostu toczyć tym wozem. Dawał ogrom przyjemności z jazdy.

Dojechał po półtorej godziny, co przy tych warunkach należało uznać za sukces. Po drodze zdarzyły się dwie rzeczy. A raczej dwa telefony. Odezwał się w końcu doktor Garvash Sahi. Poinformował Lichego, że wszystkie trzy chorujące na nowotwór ofiary leczyły się w jego szpitalu, choć w różnych okresach. Dwie z nich, Anna Ochocka i Dorota Wardęga, na pewno się znały. Anna Milewska leczyła się wcześniej, ale jej znajomości z pozostałymi doktor nie potrafił ani wykluczyć, ani potwierdzić. Lichy zanotował to sobie w pamięci do dalszego zbadania. Następnie, gdy wjechał już do Częstochowy i właśnie mijał stadion Rakowa, zadzwonił Doba i poinformował, że spotkanie z Garlickim odbędzie się o dwudziestej w domu emerytowanego prokuratora i potrwa najwyżej pół godziny.

Lichy dojechał w końcu na miejsce, zaparkował przy supermarkecie na Focha, zabrał obraz od Tekli i ruszył w kierunku ulicy Śląskiej. Do celu dotarł trzy minuty później.

Szare drewniane drzwi z dużą szybą dostępne były bezpośrednio z chodnika. Wyglądały jak wejście do jakiegoś starego zakładu szewskiego czy zegarmistrzowskiego. Po obu stronach znajdowały się wąskie i płytkie wystawy, tworząc z drzwiami jedną konstrukcję. Okna wystaw były jednak wyposażone w mleczne szkło, a za szybą w drzwiach widniała gęsta firana.

Lichy zapukał. Głośno. Jakość słuchu Tytusa Barwałda była wprost proporcjonalna do poziomu naładowania baterii w jego aparacie słuchowym. Tym razem bateria musiała być nowa, bo zaraz firanka odsunęła się i w oknie pojawiła się pomarszczona, nieprzyjazna twarz starego, łysego człowieka. Nieprzyjazna tylko przez chwilę, bo gdy tylko ujrzał Lichego, zaraz wyszczerzył zęby w uśmiechu i otworzył zamek.

– Lichy! – krzyknął, otwierając ramiona.

– Witaj Tytusie! – Lichy też się uśmiechnął, bo naprawdę lubił tego dziwaka. Tytus Barwałd naprawdę miał na imię Tytus, naprawdę nazywał się Barwałd, a w dodatku był z Barwałdu, dlatego zwykł się przedstawiać jako Tytus z Barwałdu. Bardzo to pasowało do jego artystycznej duszy.

Nim jednak Lichy zdążył zrobić choć krok, dopadło go coś, co natychmiast się rozwrzeszczało, skoczyło na niego przednimi łapami i na ułamek sekundy policjant wystraszył się, że go to coś ugryzie, ale gdzie tam, rozkołysało się na boki, wałąc ogonem gdzie popadnie. Lichy nie umiał być obojętny w takich sytuacjach i ręce same mu wystrzeliły do psiaka.

– To ty? – Zdumiał się, przypominając sobie kundelka, którego kopnął Krzywański.

– To ja – odparł kundelek, choć niewerbalnie. Lichy chwycił go za uszy i zaczął je pocierać, ku wielkiemu ukontentowaniu zwierza.

– No proszę. – Tytus oburzył się na pokaz. – Od tygodnia michę dostaje, a potem zjawia się anonimowy pijaczyna i zobacz, co się dzieje. Zdrajca.

– Alkoholowe przyjaźnie są do ostatniej kropli krwi. Albo wódki, nie pamiętam dokładnie.

Tytus zaśmiał się i wyściskał Lichego jak dawno niewidzianego syna.

– No chodź, chodź.

Lichy wszedł, przepuszczając psa. Pracownia Tytusa nic się nie zmieniła. Wszystkie ściany, prócz jednej, od podłogi po sufit oklejone były zdjęciami graffiti. Na tej pozostałej znajdowały się drzwi, które, o czym Lichy wiedział tylko ze słyszenia, prowadziły do niewielkiej kanciapy, gdzie Tytus miał urządzoną sypialnię i kuchnię, oraz do niewielkiej łazienki z prysznicem i klozetem. Stary mieszkał tu od zawsze.

Tytus cieszył się, jakby jeden drugiego nie widział od lat, a przecież Lichy nocował w tym lokalu ledwie tydzień temu. Właśnie wówczas, gdy

Krzywański znalazł go na ulicy i przywrócił światu.

Nieodżałowany Krzywański...

– Mam coś dla ciebie – powiedział Lichy i podał gospodarzowi obrazek od Tekli. Tytus wziął go, poprawił okulary i chwilę mu się przyglądał.

– Świetne – powiedział, przeciągając sylaby, dokładnie tak samo jak zawsze, gdy coś mu się podobało. – Naprawdę dobre. Skąd to masz?

– Z kątowni. Nie interesuj się.

– Jasne, jasne, rozumiem. Nie chcesz zdradzać, wcale się nie dziwię. To naprawdę dla mnie?

– Dla ciebie.

– Ale wiesz, że to sprzedam?

– Mam nadzieję, że za więcej niż ja za to dałem.

– Z pewnością. Chcesz? – zapytał, pokazując na skręta z marihuany. Lichy zrobił poważną minę, rozpiął płaszcz i wyeksponował blachę. Starego zatkało.

– O kurwa... – szepnął, tak szczerze wystraszony, że Lichy nie utrzymał się w roli i wybuchnął śmiechem.

– Spokojnie – powiedział. – Nie wyrzucaj w panice do kibla. Szkoda towaru.

– Cholera, ja nie wiedziałem, żeś ty też psina.

– Długa historia. Ale potrzebuję twojej pomocy. A dokładniej mówiąc, twojej niebagatelnej wiedzy.

– A, to proszę bardzo – odpowiedział bardzo zadowolony starzec, bo był to człowiek raczej przyjazny i uczciwy, ale z pewnością o gigantycznym ego. – Zapraszam na sofę.

Sofa stała w rogu. Była właściwie jedynie starym, sparciałym narożnikiem, ale świetnie się nadawała do konwersowania, a że tuż obok

stał szklany stolik, bywało czasem, że nieźle służyła pijackim posiadówkom i... poleżówkom. Teraz jednak po prostu tam usiedli. Tytus zrezygnował z zapalenia skręta, ale papierosa z Lichym zapalił.

– Nie masz tak czasem w życiu, że jak pierwszy raz o czymś usłyszysz lub coś poznasz, to za kilka dni okazuje się, że znów na to trafiasz, albo z jakiegoś powodu potrzebujesz akurat takiej wiedzy? – zapytał Lichy.

– Jasne, człowieku.

– Ja dopiero kilka tygodni temu poznałem ciebie, a teraz jesteś być może kluczową postacią w moim śledztwie.

– No, także stawka nie jest zbyt wysoka. Bez presji – wyjąkał Tytus i westchnął głęboko. – Pytaj.

– Czy słyszałeś kiedyś o takiej ekipie, jak „New York City”? Albo „New York Crew”?

– O „New York City” nigdy – odparł Tytus natychmiast. – Nazwę „New York Crew” nosiły trzy ekipy i nigdy nie zgadniesz, żadna nie była z Nowego Jorku. Tylko z Bydgoszczy, Nowego Sącza i Konina.

– A coś na Śląsku?

– Nie.

– Jesteś pewien? Wydaje się, że mieli na koncie kilka spektakularnych wrzutów.

– Nie. Nie było na Śląsku takiej ekipy. Koniec. Kropka.

– Skąd wiesz?

– Bo gdyby była, to bym wiedział. – Stary się zaśmiał.

– No dobrze – powiedział Lichy i wyjął z za pazuchy kopertę. Podał ją Tytusowi, a ten wysypał zdjęcia od Martyny na stolik. Już po spojrzeniu na pierwsze zaśmiał się i była w tym śmiechu odrobina szyderstwa.

– Błąd, Lichy – powiedział. – Zła identyfikacja. To nie jest “New York Crew”.

– Znasz ich?

– Jasne. To „New Year Crew”.

Klik, kawałek układanki wskoczył na swoje miejsce. *Swoją drogą, jak mogłem na to nie wpaść* – pomyślał Lichy, a na głos powiedział tylko:

– Zajebicie!

– Jak to?

– Bardzo mi to pasuje. Przyjazd do ciebie już mi się opłacił. Powiedz mi coś o tej ekipie.

– A tu to cię raczej rozczaruję. – Zasmucił się. – Niewiele o nich wiadomo, bo celowo ukrywali tożsamość. Dopiero po latach poznałem jednego. Miał ksywę Chełmoński. Dasz wiarę, kurwa? Taki pacykarz, a jaką sobie ksywę wybrał. Ale mniejsza z tym. Było ich kilku, nie wiem ilu i nie znam innych ksyw. Malowali tylko raz do roku, w sylwestra. Ale w środowisku było o nich głośno, bo albo robili coś spektakularnego, jak choćby zamalowanie wiat na jednym przystanku kolejowym w Katowicach, niemal na oczach psiarni... O, przepraszam.

– Mów dalej.

– No na widoku malowali, a zamalowali cały dach. Więc albo spektakularnie, albo coś bardzo nowatorskiego.

– Czyli?

– Chodź – powiedział, wstając. Lichy podążył za nim do ściany, która okazała się być wytapetowana zdjęciami. Było ich tyle, że przedstawiały chyba wszystkie wrzuty z całej Polski. Barwałd wskazał palcem fragment ściany, a tam...

– Ja pierdolę – szepnął Lichy. Wyjął telefon i zaczął robić zdjęcia.

– Hej, hej, hej! – krzyknął Tytus. – Co robisz? Nie wolno. Nie pozwalam.

– Mam wrócić do kwestii trawki? – zapytał groźnie Lichy i stary skapitulował.

– Ledwie od pięciu minut jesteś psem i już mnie wkurwiasz – powiedział.

– Nie gniewaj się, Tytusie. To jest coś o ogromnym znaczeniu.

– Co?

– Miejsca zbrodni.

Bo faktycznie, na dwunastu naklejonych na ścianę jedno po drugim zdjęciach Lichy rozpoznał siedem lokalizacji. Trzy, które znalazła Martyna. Kaufhaus, ZNTK w Gliwicach i wiata na Brynowie. Ale były też pozostałe. Niesamowity projekt pokrywający całe przęsło mostu kolejowego nad Białą Przemszą w sosnowickich Maczkach. Niesamowity, bo to most łukowy. Projekt pokrywał dwa sąsiednie filary i łączący je łuk. Sprawiał wrażenie trójwymiarowego. Tam właśnie, w części drogowej, równoległej do biegu rzeki, porzucono zwłoki Doroty Wardęgi. Jeszcze bardziej niezwykła była grafika wewnątrz krótkiego, betonowego tunelu, którym biegły tory łączące przystanki Chorzów Batory i Chorzów Miasto, na granicy Chorzowa i Świętochłowic. Grafika wykonana była fluorescencyjną farbą. Dokładnie w tym miejscu, gdzie wiele lat później odnaleziono ciało Anny Wojciechowskiej. Wyjątkowości pracy ekipy NYC w skansenie kolejowym Pyskowice nie dostrzegali. Zapewne niezwykłość tej akcji wynikała w prostej mierze z wysokich wartości chuligańskich przedsięwzięć. Bazgrać po skansenie? Było to w każdym razie miejsce wyeksponowania zwłok Beaty Rólki. Był w końcu jakiś bohomasz na budynku stacji Bytom-Bobrek, gdzie tydzień temu znaleziono Joannę Laudę. Teoria Martyny się sprawdziła. Ale czy to oznaczało, że ciało miało być dwanaście? Dwanaście

odsłon projektu New Year Crew. Czy sylwestrowe morderstwa są nowym projektem tej ekipy?

– Dzięki, Tytus – powiedział do jeszcze nadąsanego starego, który był bardzo czuły na punkcie swojej pracy i Lichy dobrze o tym wiedział, bo przecież nieraz wyśmiewali to z różnymi anonimowymi towarzyszami od butelki. – Nawet nie wiesz, jak bardzo mi pomogłeś. Niesamowite, że masz te wszystkie zdjęcia.

– Chłopcze, zajmuję się tym od trzydziestu lat. Fotografuję i piszę. Dawniej do gazet. Teraz do czasopism i na bloga.

– Da się z tego żyć?

– Jak się wiele nie potrzebuje... – Tytus wzruszył ramionami. – Nie wiem, jak jeszcze mógłbym ci pomóc.

Ale kłamał i Lichy natychmiast go wyczuł. Tytus z pewnością miał coś jeszcze, ale najwyraźniej nie zamierzał się tym dzielić.

– Nic więcej nie wiesz? Projekt się zakończył? Jakies dalsze losy ekipy?

– Taaak. – Tytus westchnął. – Zakończył się po dwunastu latach. No wiesz, dwanaście lat, jak dwanaście miesięcy. Gówniarska symbolika. Ale... No, plotki znam.

– To poplotkujmy.

– Ależ jesteś upierdliwy, Lichy. Rozmawiam z tobą tylko dlatego, że dałeś mi ten obrazek, a znam kogoś, kto da mi za niego kilka koła. Może kilkanaście.

– Ile, kurwa? Zapłaciłem za to półtorej setki!

– Ha, ha, ha.

– Oddawaj!

– Chcesz się coś dowiedzieć, czy nie? Jak tak, to słuchaj. Nikt nic tak naprawdę o tej ekipie nie wie, ale mówi się, że nastąpił tam konflikt.

– Z powodu?

– Nie ma wielu powodów, dla których ludzie się kłócą. Powiem tylko, że nie chodziło o pieniądze.

– Czyli o kobietę.

– No niezupełnie – powiedział Tytus, dość obrzydliwie oblizując usta. – Bo to były pedzie.

Lichy nie zdołał ukryć zaskoczenia, choć na dobrą sprawę nie było się czemu dziwić. Homoseksualizm w artystycznym środowisku? No naprawdę, kto by się spodziewał?

– Jesteś pewien?

– Tak mówią. Dobra, mówi ci coś nazwisko Qamal Quasim?

Lichego jakby ktoś w pysk strzelił. Usta wydłużyły mu się w dzióbek i westchnął tylko:

– Wow...

Znów kliknęło. Znów coś wskoczyło na swoje miejsce. Bo jaka była szansa, że litery „QQ” na piersiach ofiar mogły znaczyć cokolwiek innego?

– Z reakcji wnioskuje, że znasz – powiedział Tytus.

– Nie, nie znam. Opowiedz.

– To był młodziutki szwajcarski performer, bodaj saudyjskiego pochodzenia – powiedział, a Lichemu znów kliknęło. Czy to dlatego Szachta wysyłał zdjęcia do szwajcarskiego banku? Ale nie było czasu o tym myśleć, bo Tytus nakręcił się jak katarynka. – Chłopak był bardzo znany w świecie undergroundu. Co prawda zniknął równie szybko, jak się pojawił, tak samo jak oni wszyscy, ale w tamtym czasie był gwiazdą. Przyjechał do Polski z jakimś projektem i poznał Chełmońskiego. A że obaj ten teges, to wiesz... – i tu dość wymownie wysunął palce wskazujące obu dłoni i postukał je o siebie, rechocząc przy tym paskudnie. – No i ponoć

ktoś tam jeszcze inny z ekipy był zazdrosny, a ktoś się obraził no i NYC się rozpadło.

– Ale to tylko plotka, tak? – zapytał Lichy.

– No tak, tak.

– Pierdolisz, Tytus. Nie umiesz kłamać. Wiesz coś jeszcze, prawda?

– Nie, nie, coś ty.

– No to chyba jednak będę ci musiał przeszukać tę norę.

– Ja pierdolę, Lichy. Nie zrobiłbyś tego przecież.

– Nie zrobiłbym, gdybyśmy byli przyjaciółmi – odparł policjant, bardzo wyraźniej akcentując żal i rozczarowanie. – Ale jak możemy być przyjaciółmi, skoro mnie oszukujesz?

– Jaaaaa pie... – zaczął Tytus, ale nim przekleństwo wybrzmiało, przeszło w głębokie westchnięcie. W końcu stary ruszył w kierunku drzwi do prywatnej części lokalu. Zniknął tylko na chwilę, a gdy wrócił, niósł w rękach szarą kopertę.

– Ale nikomu nie powiesz, że to mam, dobra? – Poprosił.

– Co tam masz?

– No bo ja... Kiedyś w Dąbrowie Górniczej był taki nieformalny wernisaż. W sensie nieformalny, bo undergroundowy. Byłem tam. Wystawiał się jakiś grafciarz, który myślał, że przejdzie do świata sztuki wysokiej. Nieważne. W każdym razie był tam też Chełmoński. Przyjechał z Qamalem. Mijaliśmy się kilka razy. To było w jakimś prywatnym domu. Po wernisażu było afterparty aż do rana. I jakoś w nocy, kiedy już byłem solidnie spizgany, poszedłem na górę się odlać. I trafiłem na taką ciekawą scenkę, którą udało mi się uwiecznić.

I z uśmiechem, jaki przywołują na usta wyłącznie niezwykle zadowoleni z siebie ludzie, podał Lichemu zdjęcie. Przedstawiało jakiś

pokój. Światło było w nim zgaszone, ale uliczna latarnia rzucała go dość, by zajście mogło być doskonale odwzorowane na fotografii.

– To Chełmoński – powiedział Tytus, wskazując Lichemu jedną z dwóch postaci. Chełmoński siedział na skraju łóżka. Spodnie i bieliznę opuszczone miał do kostek. Pomiedzy jego nogami klęczał mężczyzna, którego bliskowschodnia uroda sugerowała, że to właśnie Qamal Quasim. Szwajcar z pietyzmem wymalowanym na twarzy zaspokajał oralnie swojego kochanka. Obraz był na tyle wyraźny, by można go było wprost zakwalifikować jako pornograficzny.

Klik, klik, klik.

– Muszę zabrać to zdjęcie – powiedział Lichy.

– Co? Nie ma mowy! – Tytus naprawdę się wściekł. Zrobił się czerwony na twarzy, a krzycząc, rozsiewał dookoła ślinę. – Tyle lat je kitram. Myślałem, że jak Qamal się zrobi sławny, to zarobię na nim masę kasy. To już przepadło, ale zapomnij, że ci je oddam. Masz, kurwa, jakiś nakaz, czy coś?

– Muszę przynajmniej zrobić zdjęcie.

– Też się nie zgadzam.

– Tytus, chodź. Podejdź do mnie. Zdradzę ci coś.

Starzec umilkł, jakby Lichy rzucił na niego jakiś czar. Zbliżył się do policjanta, acz wolno i jakby z przestraczem. Lichy zaś objął go delikatnie, zbliżył usta do jego aparatu słuchowego i powiedział:

– Szukam zbója, który zamordował osiem kobiet. Obciął im głowy. A to zdjęcie ma fundamentalne znaczenie dla tej sprawy. Dlatego nie będę pytał ciebie o zgodę. Rozumiesz?

Odsunął się i zobaczył, że oczy Tytusa z Barwałdu, skryte za grubymi szklami okularów, zrobiły się wielkie jak denka od słoików. Nic nie odpowiedział, tylko kiwnął głową.

Lichy zrobił zdjęcie i zapragnął jak najszybciej stąd wyjść. Nie dlatego, że miał dość towarzystwa Tytusa. Ani tego dziwnego czarno-białego kundla, który najwyraźniej szczerze ukochał sobie Lichego. Chciał jak najszybciej spotkać się z Dobą.

Bo Chełmońskim był Robert Kowalczyk.

ROZDZIAŁ 28

Chris Rea płynnie przeszedł w Leonarda Cohena, bo przecież świat nie był jeszcze wystarczająco melancholijny jak na standardy Lichego. Śpiewał właśnie coś o tym, że Bóg wcale nie jest tak dobry, jak nam się wydaje, no ale przecież i tak trzeba go słuchać. Było coś fascynującego w tej fatalistycznej wizji świata, w której stwórca lubuje się w mroku.

Tymczasem corvette Lichego nurzał się w gównie. Nie w sensie dosłownym, rzecz jasna, ale jak niby nazwać świat *Anno Domini*, który wyglądał tak obrzydliwie, brzmiał tak obrzydliwie i cuchnął tak obrzydliwie, że człowiek wołał siedzieć w szczelnie zamkniętej dwuosobowej klatce ze śmierdzącym jak niehumanitarne stworzenie kawałkiem sierści niż choćby wyściubić nos na zewnątrz?

No właśnie. Z kawałkiem sierści. Bo kawałek sierści opierał się teraz tylnymi łapami o skórzany fotel, a przednimi o deskę rozdzielczą i z ciekawością spoglądał w nicość, merdając przy tym ogonem i ciesząc pysk, tak jakby gęsta, szarobura mgła była najwspanialszą rzeczą, jaką w życiu widział.

Ta wspaniała katastrofa zaczęła się, gdy tylko Lichy otworzył drzwi lokalu Tytusa. Nim się zdążył pożegnać, pies był już na zewnątrz i ani myślał wracać.

– Wygląda mi to na zmianę właściciela problemu. – Tytus zaśmiał się i zatrzasnął za Lichym drzwi.

Lichy udał się do auta, a kawałek sierści w ślad za nim. Gdy otwierał drzwi, pies usiadł sobie obok i patrzył. Gdy zatrzaskiwał drzwi, ten nadal

siedział. A także wówczas, gdy Lichy wrzucił bieg i ruszył przed siebie. I choć sylwetka zwierzęcia w lusterku malała z każdym pokonywanym metrem, jego wielkie, proszące oczy rosły i rosły, aż w końcu urosły do takich rozmiarów, że Lichy przestał widzieć cokolwiek prócz nich.

Więc zaklął szpetnie, zatrzymał się i otworzył drzwi. A psina zerwała się do biegu i po pięciu sekundach była już w samochodzie, okazując swoją niezmierną wdzięczność, uwalając się Lichemu na kolanach. I owszem, to prawda, że zwierz niewiarygodnie śmierdział, ale Lichy przypomniał sobie, że kiedy nie tak dawno temu on sam niewiarygodnie śmierdział, to zwierzowi to zupełnie nie przeszkadzało. No to teraz głupio mu było zwierzowi wypominać.

I tak sobie jechali, słuchając, jak Cohen wygarnia staremu kumpłowi, że ostatnio, gdy go odwiedził, to wyglądał jak starzec, chwalił się, że był ziomalem strażników w więzieniu dla uzdolnionych i że miał kiedyś pretensje do ojca-rzeźnika za to, że zabił baranka. A potem płyta się skończyła i droga też.

Lichy pokazał psu swoją chropaczowską norę, choć w międzyczasie pojawił się pewien problem. Owszem, zwierzak bez cienia podejrzeń wsiadł do windy, jednak gdy drzwi się zasunęły i kabina ruszyła, wpadł w taką panikę, że prawie Lichego pogryzł. Dziwne, zważywszy, że dopiero co przemerdał ogonem całą drogę z Częstochowy do Świętochłowic. Na szczęście samo mieszkanie było okej. Pies uznał, że nawet spoko, może być i natychmiast wpakował się na materac. Tyle dobrego, że Lichy zdążył wcześniej narzucić kapę na pościel. Chwilę się obaj zdrzemnęli, a potem, gdy za oknem było już zupełnie ciemno, policjant wyruszył na spotkanie z prokuratorem Garlickim. Miał daleko. Na katowickie Podlesie było dwadzieścia kilometrów.

Gdy podjechał pod posesję Garlickiego, Doba już na niego czekał.

– Dużo o niej słyszałem – powiedział prokurator, spoglądając na auto. – Piękna jest.

– Aha.

– Pamiętaj, że wisisz mi podwózkę do domu. Kiedyś sobie odbiorę. – Po czym zmienił temat. – Dochodzi dwudziesta, a media nic nie mówią o śmierci Sylwii. Bardzo to dziwne.

– Nie, to w ogóle nie jest dziwne.

– Co przez to rozumiesz?

– To, że *is fecit, qui prodest*. Cyra miał interes w tym, żeby sprawa wyszła na jaw. Przecież to oczywiste. Przejął dzięki temu zespół. A teraz jego sytuacja się odwróciła. W jego interesie jest, żeby nowe fakty nie ujrzały światła dziennego. Bo gdyby wyszły, media by go rozszarpały.

– Więc twoim zdaniem to on się rozpruł?

Lichy nie odpowiedział, więc Doba wzruszył ramionami i poprowadził go przez furtkę na teren posesji. Garlicki musiał być majątnym człowiekiem. Dom stał tu od niedawna, był niewątpliwie designerski i bardzo komfortowy. Przed domem stał wielki mercedes gls. Jeżeli takie auto stoi przed domem, to co stoi w garażu? A raczej w dwóch garażach.

Garlicki miał siedemdziesiąt lat, wyglądał dokładnie tak, jak powinien wyglądać zasłużony prokurator w stanie spoczynku. Białe, starannie uczesane włosy, okulary na niewielką wadę wzroku, z dyskretnie ulokowanym logo drogiego producenta, błękitną koszulę w białe, wąskie paski, z dwoma niedopiętymi guzikami pod szyją. Zegarek kosztował prawdopodobnie więcej, niż Lichy zarobił przez całe życie. Były prokurator przywitał ich chłodno. Lichy był pewien, że nie miał ochoty na to spotkanie. I że Doba musiał się bardzo postarać, by do niego doprowadzić. W grę mogły wchodzić groźby i szantaż, bo prośbą z pewnością za wiele by nie

wskórał. Ale Lichy miał to gdzieś. Nie przyszedł tu z kurtuazyjną wizytą. Przeciwnie.

Dom miał dwie kondygnacje. Z niewielkiego przedsionka wchodziło się do imponującego westybulu. Zaraz na prawo była część robocza i tam właśnie zabrał ich Garlicki. Usiedli w jego gabinecie. Gospodarz przy wielkim, dębowym stole, goście na krzesłach, jak petenci. Niczego do picia nie zaproponowano. Garlicki złożył ręce jak do modlitwy, przyłożył je do ust i intensywnie wpatrywał się w Lichego.

A ten wydawał się być trochę onieśmielony. Oczy miał rozbiegane, usta mu wyschły, więc je oblizywał. Ale nie, bynajmniej nie był zdenerwowany. Czuł, że jest coraz bliżej rozwiązania tej sprawy i ta myśl pchała go do przodu. Garlicki zrozumiał, że to on musi zacząć.

– Więc pan jest tym słynnym Lichym – powiedział bez cienia podziwu, o czymkolwiek w rodzaju uśmiechu nie wspominając. – Dużo o panu słyszałem.

– Dobrych czy złych rzeczy?

– Pół na pół.

– Dobrze i to.

– Czego pan chce?

Lichy przyglądał się chwilę prokuratorowi, a był to już element gry. Starał się wyczytać z twarzy starego, nobliwego człowieka, na ile się boi. I nie był zadowolony z tego, co zobaczył. Niechęć, owszem, malowała się na twarzy Garlickiego gęstą farbą o mocno nasyconej barwie. Ale prócz tego, było tam tylko zniecierpliwienie. I dobrze. Jadąc tutaj, Lichy układał sobie schemat rozmowy. Mogło pójść w dwóch trybach. Spokojnie, jak między funkcjonariuszami, dla których najważniejsze jest dobro śledztwa albo na ostro, w formie jawnej konfrontacji. Teraz sprawa była jasna.

– Chciałbym wiedzieć, co pan zamiótł pod dywan przy sprawie zabójstwa Zielskiego.

Twarz Garlickiego ani drgnęła, bo był to wytrawny gracz. Ale szybkim ruchem zdjął okulary i bardzo wymownie spojrzął na Dobę. Lichy dopatrywał się w tym wyłącznie irytacji.

– Pańska impertynencja... – zaczął.

– Wiem, wiem – przerwał mu Lichy. – W maju dwa tysiące dwunastego roku znaleźliście ciało Zielskiego. Przez pół roku nie postawiliście nikomu zarzutów. Czyli nic nie mieliście. Ale materiału z pewnością zebraliście dużo. Nagle w styczniu dwa tysiące trzynastego Kowalczyk przyznaje się do zabójstwa, szybka wizja lokalna, dwa dni później akt oskarżenia, cztery miesiące później Kowalczyk jest już w więzieniu. Doświadczenie mi podpowiada, że nie ma szans, żeby nic nie wzbudzało wątpliwości. To są dwie zupełnie różne sprawy, a tu przychodzi facet, przyznaje się do winy i wszystkie klocki wskakują na swoje miejsce. Niemożliwe. Więc pytam: co zamieśliście pod dywan? Co nie pasowało, ale to zignorowaliście?

– Wciąż nie rozumiem, po co pan do tego wraca – powiedział Garlicki.

– Nie wyjaśniono mi tego. Poświęcam czas, znoszę pana niegrzeczne insynuacje, ale kończy mi się cierpliwość.

– Wracam do tego, bo sprawa zabójstwa Zielskiego i sprawa „Szafarza”, jak go już nazwały media, są ze sobą ściśle powiązane. A ja mam znaleźć Szafarza.

– Nie są – odpowiedział Garlicki. – Tylko na początku myśleliśmy, że może tak być. Potem wszystko dokładnie przeszukaliśmy i nic nie znaleźliśmy.

– Albo zamieśliście pod dywan.

– Panie Lichy, zmierza to do czegoś?

Lichy wstał. Wyjął z kieszeni telefon, znalazł w galerii zdjęcie, a potem położył aparat przed prokuratorem i wrócił na swoje miejsce.

– Co to jest? – zapytał Garlicki, unosząc lekko brwi. Trudno było wyczuć, czy jest zaskoczony, czy oburzony pornograficznym charakterem fotografii.

– Mężczyznę po prawej pan poznaje. To Robert Kowalczyk, którego na pana wniosek sąd skazał za zabójstwo Artura Zielskiego. A ten po lewej to szwajcarski artysta saudyjskiego pochodzenia. Niejaki Qamal Quasim.

Tym razem Garlicki zareagował. Zmarszczył brwi, wpatrując się w fotografię. Doba natomiast zerwał się z fotela, chwycił za telefon i odszedł kawalek w bok, by mu się lepiej przyjrzeć.

– Rozumie pan? – kontynuował Lichy. – Robert Kowalczyk i zabójstwo Zielskiego to sprawa „A”, właściciel inicjałów, które znajdujemy wymalowane na piersiach ofiar Szafarza, to sprawa „B”. I sprawa „B” właśnie robi loda sprawie „A”. Potrzebuje pan jeszcze więcej dowodów? Czy w końcu odpowie na pytanie, które zadałem?

Zapadła cisza. Doba skończył studiować zdjęcie i niemal podbiegł do Lichego, żeby zasypać go pytaniami, ale Lichy osadził prokuratora w miejscu spojrzaniem mówiącym: „później”.

Garlicki tymczasem rozcierał skronie. Łamał się.

– Co zamietliście pod dywan? – zapytał Lichy łagodnym, pojednawczym tonem.

– Właśnie to – odpowiedział prokurator.

– To?

– Właśnie to – powtórzył Garlicki. – Motyw. Kowalczyk twierdził, że zabił Zielskiego przez kobietę. A my już wówczas wiedzieliśmy, że jest gejem. Uznaliśmy jednak, że to nie ma większego znaczenia. Równie

dobrze mogli pokłócić się o faceta. I to, co pan pokazuje, świadczy tylko o tym, że mieliśmy rację.

– Świadczy tylko o tym, że chcieliście jak najszybciej zamknąć temat. I o niczym więcej. Bo nie dalej niż cztery dni wcześniej nasienie Kowalczyka ujawniono w ciele kobiety z obciętą głową. Co już jednak nie pasuje do teorii o kłótni pary gejów.

– Kowalczyk mógł być biseksualny.

– Oczywiście. I najwyraźniej był, ale należało to ustalić siedem lat temu.

Garlicki się uśmiechnął. Pierwszy raz. Ale nie był to uśmiech przyjazny. Raczej politowania. Wyraz zafrasowania nad naiwnością młodego policjanta. Zasłużyłem sobie – pomyślał Lichy.

– Co jeszcze? – zapytał.

– Nic – odparł Garlicki. – To było jedyne, co nie pasowało.

– Mówi panom coś nazwa „Akcja Chaos”?

Nawet gdyby akurat teraz w którejś z pobliskich kopalni nastąpiło silne tąpnięcie, powodujące trzęsienie ziemi, afekt nie byłby tak piorunujący, jak to pytanie. Ręka Garlickiego, wciąż trzymająca drogie okulary, opadła bezwładnie na biurko. Doba zachłysnął się powietrzem i chyba tylko siłą woli udało mu się nie rozkasłać.

– Czyli tak – powiedział Lichy.

– Proszę stąd wyjść – powiedział cicho Garlicki. – Odpowiedź na swoje pytanie już pan dostał. Więcej czasu panu nie poświęcę.

– Owszem, poświęci pan.

– Lichy... – zaczął Doba, ale zupełnie nie miał pomysłu, jak rozwinąć swoją wypowiedź.

– Wyjdz! – krzyknął Garlicki, podnosząc się z fotela. Ale Lichy nawet nie drgnął.

– Nic nie rozumiesz, idioto – powiedział, kończąc z uprzejmościami. Garlicki, ewidentnie nienawykły do takiego tonu, otworzył usta, ale nic nie powiedział. Lichy powoli podniósł się z krzesła, podszedł do biurka i stanął oko w oko ze starym prokuratorem.

– Wiosną wszystko kwitnie, a latem pali słońce – ni to powiedział, ni zaśpiewał..

– Co? – warknął Garlicki.

– Wiosną wszystko kwitnie, a latem pali słońce.

– Ty jesteś nienor...

Ale nie skończył, bo Lichy uderzył go w twarz. Otwartą dłonią. Niezbyt mocno.

– Skup się, kurwa – syknął. – Wiosną wszystko kwitnie. Latem pali słońce. Jesień się skrzy złotem, a zimą wszystko jest białe. Nie rozumiesz? To nadal ta sama zabawa. Zabawa w projekt „Nowy Rok”. Wiosna jest zielona. Lato jest czarne. Jesień będzie złota, a zima biała. W ciągu tygodnia mamy dwie pomalowane ofiary, za tydzień, będą dwie kolejne, bo to się jeszcze nie skończyło. Jedna z nich prawdopodobnie już została porwana. Może nawet już nie żyje. Więc powiesz mi teraz, co wiesz o „Akcji Chaos”. Bo jak nie, to przysięgam, że zaraz po wyjściu stąd zadzwonię do znajomych dziennikarzy i opowiem im, jak wspaniale prowadziliście śledztwo w sprawie morderstwa Zielskiego.

– Jesteś skończony, Lichy – wyszeptał Garlicki, bo wściekłość naraz sparaliżowała mu struny głosowe. Ale Lichy tylko się roześmiał.

– Ja jestem skończony od dawna. Nie możesz mnie bardziej skończyć. Ale ja ciebie mogę.

Powiedziawszy to, usiadł spokojnie w fotelu. Doba od pewnego czasu stał przy oknie, jakby usiłował zachować neutralność. Wiedział, że toczą się

niebezpieczne rozmowy. Z drugiej strony, sam poprosił Lichego o pomoc. Wierzył w niego. I wiedział, że musi dostać swoje odpowiedzi.

Galicki tymczasem opadł zrezygnowany na fotel. Oddychał trochę ciężiej niż wcześniej. Ale miał siedemdziesiąt lat.

– Niecałe trzy miesiące po tym, jak Kowalczyk przyznał się do błędu, w zupełnie innej sprawie dokonano nalotu na jakiś squat w Zabrze. Tematy narkotykowe. Tam jednak natrafiono na sześć kilo semtexu. To dość, żeby zainteresował się tym Wydział VI. Zatrzymano jedną osobę, mężczyznę. Zeznał, że plastik należał do Artura Zielskiego, a on go tylko przechowywał. Sprawa, siłą rzeczy, trafiła do mnie. W trakcie przesłuchania zatrzymany stwierdził, że semtex skradziono dla potrzeb „Akcji Chaos”, ale nie potrafił wyjaśnić, co to za akcja ani skąd skradziono materiały wybuchowe. Całą winę zrzucił na Zielskiego, twierdząc, że sam nie ma z tym nic wspólnego.

– Jego nazwisko?

– Piotr Zwierzyniecki – odparł Galicki bez zastanowienia.

– Zwierzyniecki? No proszę, jest i Fauna. – Lichy się uśmiechnął.

– Zgadza się. Tak na niego mówili.

– Zastanawia mnie tylko, skąd ty to wiesz – wtrącił się Doba.

– Już ci powiedziałem – odparł Lichy. – Jestem bardzo dobrym śledczym.

– Dobrym i skrytym. Będziemy sobie musieli o tym porozmawiać. Wiesz już wszystko? Możemy iść?

– Gdzie on jest? – zapytał Lichy.

– Nie rozumiem – odparł Doba.

– Gdzie ten Zwierzyniecki? Siedzi? Wypuściliście go? Chcę z nim porozmawiać.

Garlicki zamknął oczy i nie odpowiedział. Doba go wyręczył.

– Nie porozmawiasz. Zwierzyniecki został zastrzelony w trakcie próby ucieczki.

– Aaaaaa. – Lichy uśmiechnął się szeroko i rozsiadł wygodniej w fotelu.

– Więc o to tu chodzi.

– O co? – warknął Garlicki.

– Zastrzelony w trakcie ucieczki? – Lichy zarechotał. – Macie mnie za idiotę?

– To był niebezpieczny terrorysta – powiedział Doba.

– Jasne, jasne. Kiedy to się stało?

– Czwartego kwietnia dwa tysiące trzynastego roku. – Doba westchnął.

– No tak, no tak. Dzień przed rozprawą Kowalczyka. Czyli jednak naprawdę macie mnie za idiotę.

– Lichy, o ci chodzi?

– O to, że nie wierzę w żadną ucieczkę. Chłopak był najbliższym przyjacielem Zielskiego. Mógł ujawnić wasze kłamstwa i zepsuć wam dwa śledztwa. Ale przyznam, że o egzekucjach w naszej kochanej policji to jeszcze nie słyszałem.

– To nie była żadna... – zaczął Garlicki, ale Lichy machnął tylko ręką.

– Nazwisko funkcjonariusza, poproszę.

– Jakiego funkcjonariusza?

– Tego, który zastrzelił Zwierzynieckiego.

– Nie ma mowy – powiedział Garlicki.

– Nie szkodzi, nie szkodzi. I tak je znam.

– Skąd niby?

– Z logiki.

– Jak można logiką tłumaczyć przypadkowe zdarzenie?

– Przypadkowego nie można – powiedział Lichy i podniósł się z fotela. Kątem oka zauważył, że Garlicki spogląda bezsilnym wzrokiem na Dobę, a ten wzrusza ramionami, jakby chciał powiedzieć „to twój problem, mnie tam nie było”.

Bez słowa pożegnania Lichy ruszył w kierunku drzwi.

– Lichy. – Usłyszał za sobą głos prokuratora. Zatrzymał się, ale nie obrócił. Garlicki mimo tego powiedział: – Dla swojego własnego dobra znajdź Szafarza. Bo jeśli tego nie zrobisz, to cię dopadnę. I mam gdzieś, co i komu powiesz. Załatwię cię, synku.

– Nie strasz, nie strasz, bo się zesrasz – zaśpiewał Lichy, a potem zwrócił się do Doby: – Sprawdź wszystkie zgłoszenia zaginięcia kobiet w ciągu ostatnich trzech dni. I zrób to szybko. Jedna z nich jest kolejną ofiarą.

I wyszedł.

ROZDZIAŁ 29

Przed dziesiątą zajechał na Chropaczów, ale kilka chwil musiał poświęcić na znalezienie miejsca dla korwety. Niełatwo jest zaparkować czteroipółmetrowy samochód na wąskiej, zasypanej śniegiem osiedlowej uliczce. W dodatku aż po horyzont wypełnionej autami. W efekcie musiał przejść dobre sto metrów, a pogoda nie nastrajała do spacerów.

Klatka schodowa była pusta, ale i ciemna. Żarówka na parterze się przepaliła. W windzie jedna działała, trzy pozostałe nie. Lichy czuł zmęczenie. Od dawna się nie wyspał i teraz marzył wyłącznie o tym, by zaryć twarzą o materac.

Wjechał na swoje piętro, chwilę szukał klucza, bo jak zwykle wsadził go do lewej kieszeni spodni. Nigdy nie potrafił zrozumieć, co nim kieruje, gdy chowa klucz. Był praworęczny. Zamykał prawą ręką. Naturalnym zdawało się, wsunąć klucz do prawej kieszeni. On jednak nieświadomie przekładał brelok do lewej ręki i dopiero chował do kieszeni. A potem stał jak idiota pod drzwiami, bo klucz był nie tam, gdzie by wskazywała logika.

Znalazł, przekręcił zamek i wszedł do środka.

Wszystko było dobrze przez jakąś sekundę. Potem uderzył go w nozdrza smród tak okropny, że pewnie by zwymiotował, gdyby miał czym. Podłoga w przedpokoju była mokra i kleista. A kawałek dalej, na samym środku korytarza, zalegała ogromna psia kupa. Lichy ni to westchnął, ni zaklął. Wszedł głębiej. W kącie pokoju, za materacem, chował się pies. Był wyraźnie przestraszony. Leżał skulony, z pyszczkiem wtulonym w przednie łapy. Gdy Lichy obok niego usiadł, zwierzę cofnęło

się trochę, jeszcze mocniej wtulając w narożnik ściany. Uspokoił się jednak, gdy Lichy wyciągnął dłoń i podrapał go za uchem.

– No tak – powiedział niby do psa, a w rzeczywistości do siebie. – Wiedziałem, że o czymś zapomniałem. A pewnie jesteś też głodny, co?

A że nie było sensu odkładać problemu na później, zabrał się za sprzątanie. Najpierw usunął kupę, zużywając na to dobre pół rolki papieru toaletowego, potem w ruch poszedł mop. Pies tymczasem ożywił się trochę. Zrozumiał, że nowy przyjaciel nie jest na niego zły i zaczął wykazywać zwykle sobie objawy ukontentowania.

Skończywszy, Lichy spojrział na zegarek. Było piętnaście po dziesiątej. Wahał się, czy wypada, ale czy miał jakieś wyjście? Wyszedł na klatkę schodową i zadzwonił do drzwi obok. Mieszkała tam kobieta koło pięćdziesiątki, której nie znał i nigdy z nią nie rozmawiał, ale wiedział, że ma dwa psy.

– Kto tam? – zapytał przez drzwi cichy, trochę wystraszony głos.

– Sąsiad – odpowiedział.

Klucz zazgrzytał. Drzwi się uchylły. Najpierw tylko odrobinę, a potem szerzej i ukazała mu się twarz sąsiadki. Z wnętrza dobiegało gadanie telewizora.

– Przepraszam bardzo za późną porę – powiedział.

– Nie szkodzi. Coś się stało?

– Nie, nie... Zastanawiałem się tylko... Czy nie miałyby pani pożyczyć jakiejś smyczy?

– Smyczy? – Kobieta się zdumiała. – Pan ma psa?

– Ech... Przygarnąłem jakiegoś sierściucha. Błąkał się, a zimno jest, więc...

Twarz sąsiadki się rozpromieniła.

– Duży? – zapytała.

– A taki... No... – Wyprostowaną dłońią pomachał sobie na wysokości kolan. A potem trochę niżej, zdając sobie sprawę, że w pierwszej chwili przesadził. – No kundel taki.

– Chwila – powiedziała kobieta i zamknęła drzwi. Nie było jej ze dwie minuty. W tym czasie przez otwarte drzwi mieszkania Lichego wyrzała głowa samego zainteresowanego. Nie opuścił mieszkania, jakby się bał, że Lichy już go nie wpuści, ale z zaciekawieniem obserwował sytuację. Drzwi sąsiedniego mieszkania znów się otworzyły. Kobieta wyszła, trzymając w ręku plastikową siatkę wypełnioną różnymi przedmiotami.

– Ojej, to ten? – zapytała.

– Tak – odparł Lichy, a do psa rzucił: – No choć tutaj, przedstaw się grzecznie.

I, o dziwo, pies przyszedł. Kobieta schyliła się do niego i pogłaskała po głowie.

– Śliczności – zapiątała. – Ale bez kąpieli się nie obejdzie. Wie pan, jak go wykąpać?

– Tak – skłamał, bo chciało mu się spać i nie miał czasu na wykłady.

– Dobrze, że go pan przygarnął. Widać, dobry z pana człowiek. Nie poznaliśmy się. Anna Wiśniewska.

– Rafał Lichy. – Uścisnął delikatnie wyciągniętą ku niemu dłoń.

– Tu ma pan smycz – powiedziała Anna, sięgając do torby. – Automatyczna. Rozwija się, a jak pan naciśnie tutaj, to można zablokować. Nie musi mi jej pan oddawać, moje psy są już na nią za duże, więc tylko się kurzyła na półce. Tu jest obroża, bo zakładam, że też pan nie ma?

– Rzeczywiście – przyznał.

– Mam jeszcze dwie miski, jedna na wodę, a druga na jedzenie. Też już dla nas za małe. Pan mi właściwie z nieba spadł, panie Rafale. Odgruzuję

dzięki panu mieszkanie. – I zaśmiała się bardzo przyjemnym, melodyjnym śmiechem.

– Nie wiem, jak pani dziękować, pani Aniu.

– Nie ma za co. Tam w środku są jeszcze jakieś pierdółki. Grzebień, taka pizdrygałka do wyciągania kleszczy... To na lato się panu raczej przyda. No i gumowy patyk, żeby... Jak on się nazywa?

– Nazywa? Dobre pytanie.

– Musi mu pan dać jakieś imię. Podpowiem, że to samiec. Niech pan się z nim w wolnej chwili wybierze do weterynarza, trzeba zaszczepić i sprawdzić, czy nie ma jakichś pasożytów. Psy z ulicy to mogą mieć wszystko. A i chipa wstawić. Obowiązkowo.

– Rozumiem. Dziękuję.

Tych podziękowań jeszcze trochę było, plus dwie minuty zwykłego, ale sympatycznego *small talku*. Potem Lichy i pies wrócili do siebie, a sąsiadka do siebie.

– No to szykuj się – powiedział Lichy. – Idziemy na spacer.

Gdy tylko wypowiedział to słowo, pies wpadł w taki szal radości, że trudno mu było zapiąć obrozę. Mocując się z dziurkami, Lichy myślał o tym, co powiedziała mu Anna. Że pies powinien mieć imię. Ale jakie? To pewnie jeden z najmniejszych problemów świata, ale Lichy miał zupełną pustkę. Postanowił więc odłożyć rozważania na później, nie wiedząc jeszcze, że one nigdy nie nadejdą, bo już teraz, zupełnie bez procesu myślowego, sierść stała się dla niego Sierścią. Taką pisaną wielką literą.

Wyszli. Lichy zamknął drzwi i ruszył w kierunku windy. Kabina wciąż była na miejscu, ale gdy otworzył drzwi, Sierść znów zareagował paniką.

– Oj, chłopie. – Lichy westchnął. – Mamy problem. W dół możemy iść po schodach, ale do góry to średnio mi się będzie uśmiechało, wiesz?

Ruszyli we dwóch schodami. Na klatce schodowej panował półmrok. Na niektórych półpiętrach żarówki działały, na innych nie i cały pion tworzył upiorną mozaikę światła i mroku.

Szli powoli, Sierść, Lichy i drugi Lichy. Ci dwaj ostatni rozmawiali ze sobą, bo i sporo mieli do przegadania. Dużo nowych faktów pojawiło się w śledztwie. Trzeba było je posegregować, zważyć i umieścić w odpowiednich szufladkach. Lichy zwykle robił to, spacerując i zastanawiał się, czy pies nie będzie go rozpraszać.

Jednak pies nie zdążył go rozproszyć, bo najpierw rozproszyło go coś innego. Dochodzili właśnie na ósme piętro, gdy Lichy usłyszał dziwne, przytłumione odgłosy. Dobiegały z wnętrza ciemnego korytarza. Lichy poświecił tam komórką, ale niczego nie zobaczył. Wtedy przypomniał sobie o spalonym mieszkaniu. Poświecił w jego kierunku. Wstawiono tam tymczasowe drzwi z dykty, które dodatkowo zabezpieczono taśmą policyjną. Ale taśma była zerwana.

– Poczekaj tu – powiedział do psa, odkładając smycz na podłogę. Pies grzecznie usiadł i Lichemu przeszło przez myśl, że niegłupie stworzenie mu się trafiło.

Nacisnął klamkę tymczasowych drzwi. Były otwarte, więc wszedł do środka. Teraz odgłosy były intensywne. I stawały się coraz bardziej jednoznaczne, a jednocześnie jakieś dziwne. Lichy nigdy czegoś takiego nie słyszał. Trochę odgłosy miłości, trochę nienawiści. Trochę rozkoszy, trochę bólu.

Minął wypaloną ścianę korytarza i powoli wsunął się do nieistniejącej już sypialni. Było tam ciemno, choć mrok rozjaśniały minimalnie korpuskuły światła, które wyłącznie dzięki swej ulotnej naturze dostawały się jakoś do pomieszczenia przez niewielkie szpary pomiędzy osłaniającą okno dyktą a ościeżą. W tych kompulsywnych drganiach fotonów ujrzał

Lichy młodego mężczyznę klęczącego na niewielkim stosie ułożonym z koców i innych fatałaszków. Twarz miał pochyloną aż do ziemi, a ciało wypięte jak kot zaraz po przebudzeniu. Spodnie opuszczone aż do kolan. Wił się i drgał. Oddychał płytko i cicho pojękiwał. A za nim klęczał wyprostowany mężczyzna, który w zapamiętaniu napierał na tamtego biodrami, odchyłał się i uderzał, odchyłał i uderzał. Klaskanie ud o uda i podbrzusza o pośladki mieszały się ze sobą i niosły po całym pomieszczeniu. Ten mężczyzna z tyłu dyszał i warczał, jakby to połączenie ich ciał służyć miało jedynie transferowaniu gniewu i nienawiści. Tym drugim był Szampon. Lichy poznał go zaraz, gdy tylko trochę się zbliżył.

Mniej więcej na wysokości okna, wpadł w sidła. Podłoga była tam wypalona, lecz nie dało się tego dostrzec, bo płytki wprawdzie, ale dość rozległy otwór zasłonięty był na wpół spalonym dywanem. Noga Lichego zapadła się, nieznacznie wprawdzie, nie mógł sobie zrobić krzywdy, ale stracił równowagę i by ją odzyskać oparł się o coś, co zrobiło hałas.

– Jezu! – krzyknął ten młody, którego Lichy nie znał. Obaj spojrzeli w jego kierunku i zauważyli go. Tamten zerwał się, jedną ręką wciągając spodnie, drugą zasłaniając przed Lichym twarz. Minał policjanta i wybiegł z lokalu. Szampon tymczasem, wciąż ciężko jeszcze oddychając, naciągnął spodnie, podniósł z podłogi paczkę papierosów i odpalając sobie jednego, oparł się o ścianę.

– Dlaczego mnie prześladujesz, glino? – zapytał, odzyskując oddech.

– Dlaczego włamujesz się do zabezpieczonego przez policję lokalu? – odpowiedział pytaniem na pytanie Lichy.

– A z ciebie taki służbista? Chodzisz i sprawdzasz?

Oddech mu się uspokajał, ale ton głosu świadczył o tym, że w duszy doznaje wprost przeciwnych uczuć. Nienawiść dojrzewała w nim szybko

jak rozpoczęta już i niemożliwa do odwrócenia reakcja łańcuchowa. I była to najgorsza nienawiść ze wszystkich. Nienawiść zrodzona ze strachu.

– Mogę? – zapytał Lichy, wskazując na papierosy. Szampon kiwnął głową. Lichy odpalił i usiadł obok chłopaka. Zaciągnął się, wypuścił dym. Nic nie mówił.

– No co? – Szampon nie wytrzymał. – Chcesz coś powiedzieć? A może po prostu przylazłeś podglądać? No jak, glino? Podobało ci się?

Lichy nic nie odpowiedział. Delektował się papierosem. Od kiedy nie pił, dużo intensywniej odczuwał ich smak. I choć jak u każdego palącego pojawiała się u niego od czasu do czasu myśl, że dobrze by było rzucić, to przecież teraz cieszył się z tej chwili eterycznej przyjemności, odczucia zapewne zresztą zupełnie nieprawdziwego, a wynikającego jedynie ze zdradliwych podszeptów nikotyny.

– Przeweliłem go tylko. Nie jestem ciotą – powiedział Szampon i choć mogło mu się wydawać, że mówi w pustkę, mylił się. Lichy uważnie słuchał. Nie miał jedynie ochoty zabierać głosu.

– Mówię, że nie jestem ciotą – powiedział Szampon głośniejszym głosem. – Nie sprawia mi to przyjemności, ale musiałem go ukarać, rozumiesz glino? Chuja tam rozumiesz. Nie byłeś nigdy w cyrku. Nie wiesz, jak to jest.

Siedząc tak blisko niego i korzystając z tej odrobiny światła, Lichy mógł się w końcu przyjrzeć Szamponowi. Łysy wypłosz. Wyraz twarzy nieniosący żadnej myśli, blizna przez cały policzek. Nie jakaś tam romantyczna blizna jak u Wiedźmina, będąca widomym świadectwem nie tyleż codziennej walki z plugastwem, co raczej poświęcania życia na szukanie w sobie człowieczeństwa. Nie jak u Kmicica po spotkaniu z Wołodyjowskim, co przypomina o tym, że stanąć komuś i ulec większym jest honorem niż nie stanąć i żyć w pohańbieniu. Ta była po prostu od noża, zapewne zadana przez innego prymitywa, dla którego *casus belli*

stanowi, ot, choćby inny kolor szalika. Nie ma niczego romantycznego w blokach.

– Weź kopsnij pojarękę – powiedział Szampon, a Lichy podał mu papierosy. – Chuj już z tobą, glino. Ale zawsze to dobrze zajarać z kimś. Nie ma nic gorszego niż jarać samemu. Rozumiesz, co mówię? Jak siedzisz w więźniu to o niczym innym nie marzysz, tylko o wolce. Żeby się zawinąć z celi i chwilę pobyć samemu. A potem, kurwa, nie masz z kim czaju zakirać ani peta zajarać. Tyle z tej wolności. Ani ogóra zakisić. Nie jestem ciotą. Ale w pudle albo lutujesz styję, albo ciągniesz druta. Nie ma wyboru. Rozumiesz to? To twój pies?

Sierść stał jakieś pół metra od nich i patrzył z zainteresowaniem na rozwój sytuacji. Lichy cmoknął i zwierz natychmiast skoczył w jego kierunku, ładując mu się na kolana i wcierając bród w płaszcz. Zaplątał się we wciąż wiszącą u obroży smycz i wyglądał tak nieporadnie, że Lichy aż westchnął.

– A to numer. – Szampon się zaśmiał. – Pies ze skowyrem. Ale weź go umyj, bo śmierdzi.

Lichy pogłaskał Sierść po głowie. Papieros mu się kończył.

– No, kurwa, powiesz coś? – rzucił wyzywająco Szampon.

– Ta...

– To mów.

– Powiem wszystkim twoim ziomkom z Blue Horde, że dajesz tu audiencję okolicznym ciotom.

Szampon zrobił wielkie oczy, ale nie był w stanie wydusić z siebie choćby słowa.

– Sprawdź – ciągnął Lichy – czy uwierzą, że to tylko przecwielanie. Bo mnie się zdawało, że ten chłopaczek, co stąd wybiegał, był raczej zadowolony ze spotkania.

– Ty... Nie możesz tego zrobić. Nie rób tego, glino. Oni nie rozumieją.

– Nie rozumieją.

– Dlaczego? Co ci zrobiłem?

– Powiem wszystkim, co tu widziałem, chyba że umówisz mnie z waszym szefem, przywódcą, czy, kurwa, jak go tam nazywacie. Prosiłem wcześniej, kazałeś mi spierdalać. Teraz też mi każesz spierdalać?

– Już nie żyjesz, mendo.

– Decyzja, Szampon!

– Kiedy?

– Teraz.

– Kiedy mam zaaranżować?

– Teraz – powtórzył Lichy, znacznie głośniej.

– Teraz?... Czekaj.

Wyjął ze spodni telefon i zaczął wymieniać z kimś jakieś wiadomości. Trwało to chwilę.

– Musisz pojechać do Tarnowskich Gór – powiedział, gdy skończył.

– Dlaczego tam?

– Bo Doom pracuje, wiesz? Skoro ma być teraz, to tam.

– Zgodził się tak po prostu?

– Jestem zaufanym człowiekiem, więc żebyś potem nie miał przez ciebie problemów.

– Adres.

– Wpisz w google TGD, Tarnowskie Góry. Koło starego elewatora.

Lichy wstał, ale nim wyszedł, wyciągnął z paczki jeszcze jednego papierosa. Odpalił.

– Ej, glino – usłyszał za sobą już niemal w progu. – Już nie żyjesz.

Lichy cmoknął na Sierść i ruszyli w kierunku schodów.

– Zmiana planów, mały – powiedział, gdy przebijali się przez śnieg w kierunku korwety. – Jedziemy na dalszą wycieczkę. Więc jeśli chcesz sikać, to lepiej teraz.

Po drodze do Tarnowskich Gór Lichy przypomniał sobie, że Sierść nic nie jadł od rana. Zjechał więc na BP i kupił trzy hot dogi, z czego dwa bez bułki. Sprzedawca patrzył na niego trochę dziwnie, ale kogo to obchodzi, skoro Sierść w oczach miał uwielbienie? Lichy zjadł swojego w pięciu gryzach. Pies swoje oba jeszcze szybciej. Byli gotowi do drogi.

ROZDZIAŁ 30

Dzień 7

Lichy prowadził ostrożnie. Zrobiło się dość ślisko. Mocny silnik i tylny napęd wspaniale sprawdzają się w wygłupach na placu pod supermarketem, ale nie w trakcie jazdy przez ciągnący się w nieskończoność teren zabudowany.

Miał złe przeczucia. Nie podobało mu się to wszystko. Owszem, zażądał od Szampona, by umówił spotkanie od razu, ale wcale nie liczył, że to się uda. Chciał go tylko przycisnąć i łaskawie zgodzić się na spotkanie rano. Tymczasem wszystko poszło zdecydowanie zbyt łatwo i teraz policjant bał się, że albo Szampon go po prostu wystawił, albo, co gorsza, pakuje się wprost w jakąś zasadzkę. Pomacał ręką pod fotelem i z zadowoleniem stwierdził, że wciąż znajduje się tam to, z czego korzystał niekiedy w dawnych czasach. Wtedy gdy służba bywała bardziej niebezpieczna niż teraz. Kajdanki tkwiły w futerale, więc Lichy wyjął je i schował do kieszeni płaszcz. Była tam również ta druga rzecz i ją również zabrał. Ta była cięższa, ale i z nią poradziły sobie jego przepastne kieszenie.

Już w samych Tarnowskich Górach zjechał z ulicy Fabrycznej w prawo i wjechał do zupełnie innego świata. Droga techniczna wokół największej stacji rozrządowej w Polsce była długa i nieoświetlona. Leżał na niej śnieg, ale ubity w dwie koleiny, jako że tędy właśnie jeździły busy dowożące kolejarzy do pracy. Korweta tańczyła na drodze. Lichy prawie puścił

kierownicę. Auto jechało tak, jak chciał ślad na drodze. Według nawigacji został mu kilometr. Przeciął starą linię wąskotorową i zagłębił się w las biegnący wzdłuż torów. W końcu dotarł na miejsce. Zaparkował auto nieopodal starego, zabytkowego elewatora. Tam ktoś już na niego czekał. Halogeny korbety oświetliły go na ułamek sekundy. Facet miał na twarzy kominiarkę. Ubrany był w grubą, czarną kurtkę i wojskowe spodnie.

Lichy zgasił silnik i wysiadł, psa zostawiając w aucie. Sierść nie był zadowolony i dawał mu to odczuć głośnym ujadaniem, które słyhać było nawet po zamknięciu drzwi.

– Ty jesteś Doom? – zapytał policjant.

– Nie. Chodź za mną – odpowiedział tamten i ruszył wzdłuż elewatora, kierując się w stronę torowiska. Lichy zastanawiał się, dokąd idą. W tym właśnie obszarze prowadzono rozrząd pociągów i z trzech torów robiło się ich trzydzieści dwa. Było tu bardzo głośno. Po plątaniu torów, rozrzucając śnieg na boki, bezustannie sunęły pojedyncze wagony, spychane z nieodległej góry rozrządowej. Mróz sprawił, że tory się skurczyły. Tym wścieklej wózki wagonów rozpychały się w nich, jęcząc przeraźliwie, stukając na łubkach, huczając w rozjazdach i zgrzytając na przytwierdzonych do szyn hamulcach. Ledwo przejechał jeden, już nadciągał drugi. Niekiedy pojawiały się po dwa naraz. Niekiedy jeden krótko po drugim, lecz kierowano je na osobne tory, więc w tej niezwyklej kakofonii pojawiał się jeszcze jeden dźwięk – silnik zwrotnicy przerzucający drogę przebiegu.

Jeśli przewodnik planował zabrać go na drugą stronę, mieli do pokonania przeszło dwieście metrów w poprzek pulsujących torów. Ale przewodnik nie miał takiego planu. Zamierzał jedynie odwrócić uwagę Lichego. I udało mu się to. Idąc za kibolem, uczył naraz silny ból w okolicy kręgosłupa i runął w śnieg. Tymczasem spadły na niego jeszcze dwa ciosy,

oba zadane ciężkim, twardym przedmiotem. Lichy przeturlał się na plecy i ujrzał dwóch kolejnych mężczyzn. Oni też mieli na sobie kominiarki, a w rękach trzymali teleskopowe pałki. Jeden był wyraźnie nakręcony. Uderzał się pałką po udzie, jednocześnie okrążając Lichego, by znaleźć najdogodniejszą pozycję do ciosu.

– Za dużo zadajesz pytań, mendo – powiedział przewodnik. – Jeszcze się nie nauczyłeś, że my nie gadamy z psami?

Lichy skrzywił się, bo raz, że plecy wciąż go bolały, a dwa, nie miał przecież na sobie rękawiczek. Palce mu kostniały od zimnego śniegu, a to niedobrze.

– Wyjebię mu jeszcze! – krzyknął ten nakręcony i faktycznie, podskoczył w kierunku Lichego, biorąc zamach. Lichy jednak zdołał się usunąć i tamten nie trafił.

– Nie zajeb go tylko – powiedział przewodnik.

– Zajebię tę kurwę.

I znów się przesuwiał. Tym razem w drugą stronę. Tak, by mieć w razie czego kompanów za sobą. A dla Lichego było to bardzo korzystne. Gdy gość podniósł pałkę, policjant błyskawicznym ruchem wyciągnął z kieszeni pistolet i wycelował mu prosto w twarz. Tamten zatrzymał się w pół ruchu. Pozostali zrobili krok wstecz. Lichy wykorzystał to, by stanąć na nogi.

– To nie jest prawdziwy pistolet – powiedział ten nakręcony i zdawało się, że ta wiadomość przywraca mu rezon. Więc Lichy bez słowa wypalił mu trzy razy prosto w kolano. Trzy ciche syknięcia i facet zwałił się z nóg, jęcząc jak ranny łoś.

– Zgadza się – powiedział Lichy. – To gazówka na metalowe kulki obleczone gumą. Uderzenie czymś takim okropnie boli. Mam rację?

I kopnął leżącego w ślad za kulami, a ten zakrzuszył się z bólu i znieruchomiał, ściskając kolano rękami. Wówczas Lichy skierował

pistolet na dwóch pozostałych, a oni odruchowo podnieśli ręce.

– Potrzebuję jednego, ale lubię sobie postrzelać do takich jak wy – powiedział. – Ten tutaj mnie uderzył, więc go zatrzymuję. Wy dwaj możecie spierdalać. Ziomeczka odbierzecie sobie jutro z dołka. Jasne?

Nie odpowiedzieli, więc Lichy wycelował w udo przewodnika i pociągnął za spust. Przewodnik jęknął i skulił się, ale nie upadł. Miał grube spodnie. Lichy wiedział, że nie zrobi mu krzywdy takim strzałem.

– Następną kulę wpakuję ci w ten głupi ryj. A potem cię zamknę. Co ty na to?

– Nie, pójdziemy – odezwał się ten ostatni, najwyraźniej najszybciej łączący kropki.

– Jak tu dotarliście?

– Mamy samochód.

– To się lepiej pośpieszcie. Chyba nie myślicie, że wybrałem się tu sam. Posiłki będą w ciągu dziesięciu minut.

Kłamał oczywiście, ale tamci albo uwierzyli, albo szukali już tylko okazji, by się zmyć. Za moment Lichy usłyszał startujący silnik i bandyci odjechali.

– No, a teraz się zabawimy – powiedział Lichy, podnosząc z ziemi teleskopową pałkę. Uznał, że to fajna zabawka. W sam raz do podręcznego arsenału w korwecie. Złożył ją i schował do kieszeni, a w ślad za nią pistolet. Chwycił za kark wciąż zwijającego się z bólu bandytę, uniósł go lekko i popchnął na tory. Tamten nie był w stanie w żaden sposób zareagować, a Lichy chwycił jego rękę i przykuł ją kajdankami do metalowej rozpórki, przyspawanej pomiędzy szynami.

– Co robisz, kurwa? – zajęczał oprych. Ale Lichy nie miał zamiaru mu odpowiadać. Poprawił płaszcz i usiadł sobie na szynie obok faceta. Wyjął z kieszeni paczkę papierosów. Odpalił i się zaciągnął.

– Odepnij mnie – krzyczał tamten.

– Jak masz na imię?

– Chuj cię to obchodzi.

– Okej... – odpowiedział Lichy i zaciągnął się jeszcze dwa razy. Dziesięć metrów dalej węglarka stuknęła w rozjazdach i wjechała na sąsiedni tor. Mijając ich, sypnęła śniegiem.

– Wiesz, gdzie jesteśmy? – zapytał Lichy. – To stacja rozrządowa.

– Chuj mnie to obchodzi! Odepnij mnie.

– Stacja rozrządowa to taka stacja, gdzie prowadzi się rozrząd pociągów. Czyli, krótko mówiąc, są tu formowane. Zobacz, widzisz? Jedzie wagon.

Kolejna węglarka stoczyła się z górki, tym razem skierowano ją na dalszy tor.

– Tam jest górka, widzisz? Lokomotywa wpycha na nią wagony, które potem siłą grawitacji staczają się w dół, a ludzie z nastawni, to ten budynek, tam dalej, niestety, nie widać nas z niego, no więc ludzie z nastawni tak ustawiają zwrotnice, by wagony zbiegały na odpowiednie tory. Na tych torach formują się pociągi. O, widzisz? Wali tu cysterna.

Bandyta odgiął się w tył, by zobaczyć, co się dzieje. Cysterna wjechała dwa tory dalej.

– No, tak to z grubsza działa. Widzę, że teraz w użyciu jest sześć torów. Nasz jest szósty, ale jest jeszcze pięć innych. Tylko z tego co widzę, tamte pięć jest już prawie pełnych. Więc wygląda na to, że za chwilę zaczną się rozrząd po tym, do którego cię przypiąłem. A ty nie możesz się ruszyć. O, jedzie węglarka. Na bank już na nasz tor.

Lichy wstał, wskoczył na tory i zrobił kilka kroków w kierunku rozjazdu. Bandyta wygiął się jak struna, obserwując policjanta. Szarpał przy tym kajdanki, ale niewiele mógł zrobić. To był porządny, policyjny

sprzęt. Nie jakiś szajs ze sklepu z militariami. Wagon tymczasem pędził w kierunku Lichego i już się zdawało, że zamieni policjanta w krwawą miazgę, gdy wózkiem szarpnęło i zwrotnica skierowała go na sąsiedni tor. Przeleciał z hukiem, zasypując Lichego śniegiem.

– Nie! – krzyknął policjant. – To jeszcze nie ten. Następne dwa też nie, bo widzę, że to cysterny, a je chyba formują dwa tory dalej. Choć nie mam pewności.

– Czego chcesz, pojebie? Jesteś chory – zaskomlał facet, a Lichy wrócił, usiadł obok niego i wyjął kolejnego papierosa.

– Zadałem ci pytanie – powiedział, wciągając dym w płuca. – A ty wciąż nie odpowiedziałeś. Jak masz na imię? Albo jaką masz ksywę? Bo nie wiem, jak się do ciebie zwracać.

– Wojtek, kurwa, człowieku, odepnij mnie. Mówią na mnie Wojtas.

– Jak? – zapytał Lichy. – Nic nie słyszę, straszne tu głośno.

– Wojtas, kurwa – zawył bandyta.

– Wojtas. Pięknie. Patrz Wojtas, jedzie kolejna węglarka. Myślisz, że zrzucą ją na nasz tor?

– Błagam cię...

– Oj, Wojtas, Wojtas. Rozumiem, że nie podoba ci się moje towarzystwo.

– Jesteś nienormalny, człowieku.

– Ja? Skąd. To ty jesteś nienormalny. Zaatakowałeś obcego człowieka pałką teleskopową.

– Przepraszam – jęczał Wojtas. – Przepraszam. Szampon nam kazał.

– A ty tak słuchasz Szampona?

– Szampon zna różnych ludzi.

– A ty? Ty też znasz różnych ludzi? Znasz Dooma?

– Coś ty, człowieku. Nawet Szampon nie zna Dooma.

– Nie należycie do *Blaue Horde*?

– Nie jako członkowie. Tylko sympatycy. Jezu, człowieku, rozkuj mnie, wagon jedzie.

– Ale znowu na sąsiedni tor – powiedział Lichy z uśmiechem. – Masz więc jeszcze chwilę, żeby zastanowić się, jak mnie skontaktować z Doomem. Ja muszę się odlać. Jak wrócę...

– Nie! Nie zostawiaj mnie! Błagam! Ja naprawdę nie wiem. Jak mam pomóc?

– Dzwon! Na pewno masz komórkę. W komórce masz różne telefony. Zadzwoń do kogoś, kto zna kogoś, kto zna Dooma. Powiedz mu, że komisarz Lichy musi się z nim zobaczyć. Teraz. I że to ważne.

– Jezu, człowieku...

– Czas start – powiedział Lichy, gdy tylko przebrzmiał huk przelatującej po sąsiednim torze węglarki. A potem ruszył w kierunku elewatora, bo wcale nie kłamał, naprawdę chciało mu się sikać. Odszedł dobre trzydzieści metrów. Rozpinając spodnie, spoglądał na swojego więźnia. Ten faktycznie wystukiwał numer, mówił coś do kogoś, słuchał odpowiedzi. Potem się rozłączał i zaczynał wszystko od nowa. Przetaczające się po torach wagony przeszkadzały mu w rozmowie, ale przynajmniej żaden jeszcze nie obciął mu głowy.

Nim wrócił do Wojtasa, Lichy odwiedził jeszcze Sierść. Pogłaskał go i zapewnił, że już za chwileczkę, naprawdę za momencik znów będą razem.

– Spotka się z tobą! – krzyknął Wojtas, jak tylko zobaczył Lichego. W jego głosie policjant usłyszał ulgę. – Doom się... Doom się z tobą spotka. Za czterdzieści minut na rynku w Chorzowie. Pod wiaduktem. Tam jest parking. Doom tam przyjedzie. Odepnij mnie, kurwa!

To ostatnie wrzasnął tak głośno, że zagłuszył nawet węglarkę huczącą na rozjazdach. Lichy wyrwał mu telefon z ręki i położył na sąsiednim torze. Dwie sekundy później aparat przestał istnieć.

– Co... Co ty zrobiłeś? Pojechało cię? – zawył Wojtas.

– Zaraz sobie pójdę, a nie chciałbym, żebyś coś kombinował.

– Ja pierdolę! Odepnij mnie w końcu.

Lichy przykucnął obok niego, ale nie sięgnął do kajdanek. Zamiast tego zapalił kolejnego papierosa.

– Szampon mnie oszukał – powiedział cicho. – I nie mam pewności, czy i ty mnie nie oszukujesz.

– Nie oszukuję cię, przysięgam. Zdejmij mi te jebane kajdanki!

– Zrobimy tak. Pojadę teraz na spotkanie z Doomem. Jeśli faktycznie mnie nie oszukałeś, to pogadam z nim, a potem tu wrócę i cię odepnę.

– Nie! Odepnij mnie teraz. O Boże, człowieku, wagon tu jedzie.

Ale wagon przejechał obok.

– Na pewno nie chcesz mi nic więcej powiedzieć?

– Powiedziałem prawdę, przysięgam.

– No to czekaj.

– Błagam! Nie chcę umierać.

– Nie maż się. Wygląda na to, że póki co formują pociągi na sąsiednich torach. Może ci się uda. Wrócę za dwie godziny.

Nim wsiadł do auta, wyrzucił peta. Nigdy nie palił w samochodzie. Wojtas krzychał rozpaczliwie, używając najobrzydliwszych przekleństw. Istniał cień szansy, że usłyszą go kolejarze z oddalonej o ćwierć kilometra nastawni. Ale Lichy w to wątpił. Nie przy takim hałasie. Wagony wciąż zjeżdżały, pociągi na torach docelowych wydłużały się. W końcu ktoś

będzie musiał przyjść i pospinać je w jedną całość. Ale to raczej za szybko nie nastąpi.

Wsiadł do auta, odpalił silnik i ustawił ogrzewanie na full. Zmarzł tam. Wojtas też zmarznie. Ale Lichy go nie żałował. To był jeden z tych, co potrafią zupełnie obcemu człowiekowi przeciągnąć pałką teleskopową po plecach. Zwykły bandyta. Nie, nawet nie bandyta. Zwykły śmieć. Każdy na Śląsku wiedział, że „*Blaue Horde*” to nie tylko silna chuligańska ekipa, a przede wszystkim gang handlujący twardymi narkotykami. Ale przecież Wojtas do nich nie należał. Sympatyzował z nimi jedynie. Był nikim. Człowiekiem o kompletnie wykoślawionej konstrukcji moralnej. Odpadem. Dlatego Lichemu nie było go szkoda. Niech marznie, skurwysyn.

Sierść chyba strzelił focha, bo nie przywitał się z Lichym. Leżał sobie na fotelu, który za chwilę zaczął przyjemnie przygrzewać.

– No co? – zapytał Lichy z wyrzutem. – Nie chciałbyś tam iść. Nie dość, że zimno, to jeszcze podłe towarzystwo. Powinieneś być mi wdzięczny!

Sierść ziewnął w odpowiedzi i na tym konwersacja się skończyła. Lichy ruszył w kierunku Chorzowa. Zostało mu trzydzieści pięć minut.

ROZDZIAŁ 31

Większość miast w Polsce szczyli się swoimi rynkami. Od zawsze były to miejsca szczególne dla mieszkańców. Początkowo toczył się tam handel, a tym samym i życie miejskie. Z czasem przekupnie wynosili się gdzie indziej, stragany zastępowały eleganckie lokale usytuowane w historycznej zabudowie. Były to często najstarsze dzielnice miast, pełne najcenniejszych zabytków, centra administracyjne z ratuszem i farą, a nade wszystko, ulubione miejsca spotkań. Myśląc o mieście, myślało się o jego rynku. Nic też dziwnego, że chuchano na nie i dmuchano. Przebudowywano, odnawiano, unowocześniano, upiększano.

Ale nie w Chorzowie. Tu w latach siedemdziesiątych zniszczono dwie pierzeje rynku, wyburzono piękne secesyjne kamienice i zabytkowy Most Wolności, prawdziwy symbol dawnej Królewskiej Huty, a wszystko po to, by siedem metrów nad rynkiem wzniesć obrzydliwą czterystumetrową estakadę, prowadzącą drogę krajową numer siedemdziesiąt dziewięć. Ktoś sobie wówczas wymyślił, że będzie to nowa wizytówka miasta. Stało się jednak inaczej. Kierowcy jadący estakadą nie wiedzą nawet, że mijają chorzowski rynek, który stał się tym samym zwyczajnie niewidzialny. Jeden z najpiękniejszych przedwojennych rynków na Śląsku przestał istnieć.

Pod estakadą w północnej części rynku, nieopodal neogotyckiego budynku Poczty Polskiej, znajdował się parking. Tam właśnie Lichy zatrzymał korwetę. Przypiął Sierści smycz i razem wysiedli z auta. Lichy wyjął papierosa, ale nie był pewien, czy go dopali. Było przeraźliwie zimno.

Oparł się o maskę samochodu i czekał. Pies skorzystał z rozwijanej smyczy, śmignął pod filar i, choć za pomocą ledwie trzech kropel, oznajmił się właścicielem chorzowskiego rynku.

Lichy nie zdołał wypalić nawet połowy papierosa, gdy u wlotu parkingu zatrzymało się czarne BMW 740d. Nowe, bardzo luksusowe i bardzo gangsterskie. Kierowca najwyraźniej dostrzegł Lichego, bo zamrugał światłami. Policjant oderwał się od korwety i ciągnąc za sobą Sierść, ruszył w kierunku przybysza. Podszedł do drzwi kierowcy, który opuścił szybę.

A raczej opuściła. Za kierownicą siedziała kobieta. Nie starsza niż trzydzieści lat. Drobna, czarnowłosa. I z pewnością nie wyglądająca na szefa tak potężnej chuligańskiej ekipy.

– Ty jesteś Lichy – bardziej stwierdziła, niż zapytała.

– A ty jesteś Doom?

– Wsiadaj.

– Mam psa.

– Wsiadajcie obaj.

– On śmierdzi.

– Jak każdy pies – powiedziała i się uśmiechnęła. Nieznacznie, ale wystarczająco złośliwie. Lichy zobaczył, że dziewczyna ma aparat na zębach.

Obszedł auto, otworzył drzwi i wsiał na fotel pasażera. Sierść wskoczył za nim. Kobieta wrzuciła wsteczny i wyjechała na jezdnię. Potem ruszyła w nieznanym Lichemu kierunku.

– Naprawdę jesteś Doomem? – zapytał Lichy.

– A co? Tak trudno uwierzyć, że kobieta może pełnić taką funkcję?

– Prawdę mówiąc... Tak. Przepraszam na moment.

Wyjął komórkę, chwilę pogrzebał w internecie, żeby znaleźć właściwy numer. Potem wybrał go i czekał na połączenie.

– Nastawnia. – Usłyszał w słuchawce.

– Dzień dobry, Komisarz Rafał Lichy, komenda wojewódzka.

– Eee, dzień dobry. Coś się stało?

– Macie tam pod TGD człowieka przykutego kajdankami do toru.

– *Jezus Maria*, jak to do toru? Do którego? Pan go tam przykuł?

– Do toru, pod górką rozrządową.

– Czy pan oszalał? Przecież rozrządzamy! Józef! – krzyknął do kogoś innego. – Józef!

– Spokojnie – powiedział Lichy.

– Jak spokojnie? Przecież on już pewnie jest trupem.

– Nie, do nieczynnego toru. Widziałem wykolejnicę za rozjazdem.

– A, to na 348. Wyłączony z użycia. W którym miejscu? Za hamulcem?

– Nie wiem, gdzie jest hamulec. Zaraz za rozjazdem. Odepnijcie go, dobrze? Tylko weźcie jakiś palnik do cięcia.

– To pan go tam przypiął? – powtórzył pytanie nastawniczy. – Przecież jest minus dziesięć!

– No to się pospieszcie.

– Złożę na pana...

Lichy się rozłączył i schował telefon do kieszeni.

– Co się dzieje, Lichy? – zapytała Doom. – Dlaczego rozbijasz się po rejonie i zaczepiasz moich ludzi? Dlaczego zmuszasz mnie do spotykania się z tobą w środku nocy, choć dobrze wiesz, że my z policją nie rozmawiamy?

– Szukam mordercy dziewięciu kobiet. A może nawet dziesięciu.

– Tego Szafarza? Słyszałam. Choć chyba mówili o ośmiu.

– Gdzie jedziemy?

– Przed siebie.

Dziewczyna była skupiona na drodze. Lichy obrócił się nieco, by móc jej się lepiej przyjrzeć. I cóż, odkrył, że jest atrakcyjna. Miała na sobie obcisłą, zgniłozieloną sukienkę z jakiegoś grubego materiału. W sam raz na zimę. Była bardzo zadbana. Na kierownicy zaciskała dłonie z wypielęgnowanymi, ładnie pomalowanymi na czarno paznokciami. Jej czarne włosy sięgające do łopatek były proste i lśniące. Makijaż miała dyskretny, ale zauważalny. Lichy pomyślał, że chyba zacznie kibicować „Ruchowi”.

Wówczas dziewczyna oderwała oczy od drogi i spojrzała na niego. Westchnęła.

– Jestem tymczasowym Doomem – powiedziała. – W rzeczywistości to mój partner, ale siedzi.

– I pozwolili ci przejąć jego interesy?

– Posłuchaj, policjancie, po pierwsze, nikt mi na nic nie musiał pozwalać. Tutaj panuje pewna hierarchia. Mój facet jest na szczycie. Siedzenie w pierdlu tego nie zmienia. Sam wyznacza następcę i wyznaczył mnie. Bo, po pierwsze, ufa mi, a po drugie, cała elita łącznie nie ma połowy mojego IQ. Koniec tematu. I nie będziemy rozmawiać o żadnych interesach, chciałabym, żebyś miał tego świadomość.

– Jak masz na imię? – zapytał.

– Anna. Nie Ania i nie Anusia, Aneczka ani cokolwiek innego.

– Jak długo twój partner siedzi?

– Trzy lata. I posiedzi jeszcze trzy. Przejdź do rzeczy.

– Do rzeczy... Wiesz, że śledzą nas przynajmniej dwa samochody.

– Oczywiście, że wiem. Pilnują mnie zawsze. Nie mam na to wpływu.

– To ludzie twojego faceta?

– Owszem. A także wszyscy chcący przejąć jego funkcję, ale jeszcze są za słabi. To jest skomplikowany układ, Lichy. Prosiłam, żebyś przeszedł do rzeczy.

– Tak. Wybacz. Po prostu zaskoczyło mnie to. Spodziewałem się czegoś innego. Sama przyznasz, że...

– Przyznam, nie przyznam. To bez znaczenia.

Skręcili w Parkową. Anna zwolniła. Ogromna limuzyna toczyła się po pokrytym śniegiem bruku, w szpalerze białych drzew. Ci, co jechali za nimi, trzymali odległość. Byli jakieś dwieście metrów dalej.

– Kojarzysz Artura Zielskiego? – zapytał.

– Zaraz – przerwała mu. Skręciła lekko kierownicą, auto dotoczyło się do lewego krawężnika i stanęło. Ogon zatrzymał się również. Wciąż dwieście metrów dalej. Stali z włączonymi światłami.

Anna wrzuciła tryb parkingowy. Hamulec postojowy włączył się sam. Dziewczyna odpięła pas bezpieczeństwa i obróciła się w kierunku Lichego. Patrzyła na niego i było w niej coś niesamowitego. Młoda, poważna, z bardzo mądrą twarzą. Lichy podejrzewał, że mogłaby być doskonałym managerem w międzynarodowej korporacji. Tylko mniej by zarabiała.

– Wiesz dlaczego zgodziłam się z tobą spotkać? Bo przecież nie dlatego, że przykułeś do torów jakiegoś frajera.

– Więc dlaczego?

– Bo cię znam. Widziałam cię kiedyś w telewizji. I zapamiętałam.

– Zapamiętałaś?

– Czy mogę cię prosić, żebyś postawił psa na podłodze?

Lichy zrobił to, o co go poprosiła.

– Jeszcze jedna prośba. Rozepnij pas bezpieczeństwa.

Ponownie usłuchał, a wówczas wysunęła się zza kierownicy, podciągając sukienkę. Nie miała majtek. Usiadła na nim okrakiem, rozpięła mu rozporek i szybkim ruchem dłoni doprowadziła do stanu używalności. A potem go użyła. Zakreśliło mu się w głowie, chyba bardziej ze zdumienia niż czegokolwiek innego. Ale nie zaprotestował. Przeciwnie. Niemal natychmiast doznał nieopisanej przyjemności. Anna poruszała się na nim bardzo sprawnie i z sekundy na sekundę coraz szybciej i mocniej. Auto, choć ciężkie, zaczęło się delikatnie bujać. Lichy przestraszył się, że śledzący ich chuligani wszystko spostrzegą i przybiegną bronić honoru kobiety swojego przywódcy. Ale oni tylko tam stali.

Sierść, wygoniony z kolan swojego nowego przyjaciela, niezbyt długo wytrzymał na podłodze. Skorzystał z okazji i zajął fotel kierowcy, ciągnąc za sobą smycz, której Lichy oczywiście mu nie odpiął. Wydawał się nie być zainteresowany tym, co się dzieje obok. Rozciągnął się na skórze i drzemał.

Anna tymczasem szalała, opierając dłonie o barki Lichego. Siedziała jednak daleko od niego. Pozwoliła mu dotknąć swoich piersi, gdy jednak próbował przyciągnąć ją do siebie, oparła mu się.

Wszystko nie trwało zresztą długo. Może z minutę później doznała skurczy całego ciała, skuliła się i wysunęła go z siebie.

– O kurwa. – Westchnęła, a on pomyślał, że to przekleństwo kompletnie do niej nie pasuje. Oddychała ciężko, coś dziwnego działo się z jej powiekami. Jedna była zamknięta, druga drgała, jakby ją ktoś podpiął do prądu. Wyciągnęła się w kierunku fotela kierowcy i delikatnym gestem przegoniła Sierść z powrotem na podłogę po stronie pasażera. Potem, nadal z zadartą sukienką, przeskoczyła na swoje miejsce. Lichy dalej miał przed oczami wąski, starannie wydepilowany pasek jasnych włosów łonowych. Ale zaraz naciągnęła sukienkę.

– Przepraszam – powiedziała. – Skończyć będziesz musiał sobie sam.

– Często robisz takie rzeczy? – zapytał, dochodząc do siebie.

– Tak często, jak się da. Ale nie da się za często.

– Stałem się więc okazją?

– Mam prawie dwadzieścia sześć lat, Lichy. Strasznie mi się chce. A mój facet od trzech lat siedzi w więzieniu. Co mam ci powiedzieć? Ile można się samej dotykać i udawać, że to ktoś inny?

– Więc dodałaś mnie do swojego kręgu?

– Jakiego znowu kręgu?

– Chyba jeszcze nie przeżyłem czegoś takiego. – Westchnął.

– Przepraszam, raz jeszcze. Samotne kobiety robią czasem rzeczy, które trudno zrozumieć. Ale nie będę udawała, że nie po to się z tobą spotkałam. A teraz masz pięć minut na swoje pytania. Powiedzmy, uznaję, że jestem ci to winna. Pięć minut. Potem odjeżdżamy.

– Artur Zielski.

– Znałam go. To nie twój morderca, bo po pierwsze nie żyje, a po drugie to ciota. Mam na myśli nie tylko to, że był homoseksualistą, ale przede wszystkim lamusem. Strasznie się starał przypiąć jakoś do „*Blaue Horde*”, ale nie miał nic, co mógłby nam zaoferować. Dostał nawet jedną czy dwie próby, ale nie podołał.

– Piotr Zwierzyniecki?

– To inna historia. Dobry chłopak. Działał z nami. Zajmował się ultraską.

– Czyli?

– Malowanie opraw. Do żadnych pozameczowych tematów go nie dopuszczaliśmy, ale miał nasze pełne zaufanie. Potem zniknął. Podejrzewam, że nie żyje, ale szczerze mówiąc, nie zainteresowaliśmy się tym.

– Słyszałaś kiedyś hasło „akcja Chaos”?

– „Chaos”. – Uśmiechnęła się. – Ten „Chaos” to był kolejny problem z Zielskim. Ubzdurał sobie, że jest obrońcą śląskiej tożsamości. Strasznie wszystkich tym irytował.

– Rozwiniesz?

– Niewiele tu do rozwijania. „Chaos”, czyli „Chuligańska Armia Oswobodzenia Silesii”. Jego projekt. Strasznie był z tym męczący. Łaził za wszystkimi i narzekał, że ludzie na Górnym Śląsku zapomnieli o swoich korzeniach. Namawiał do działania. Agitowania w trakcie meczów. Szczególnie w „Ruchu” te głupoty nie mogły trafić na podatny grunt. Tu, jeśli już, to nawiązuje się raczej do niemieckiej tożsamości. Mamy niejednorodną społeczność. Polacy, Niemcy, polscy Niemcy, niemieccy Polacy i oczywiście również ludzie identyfikujący się jako Ślązacy, ale to mniejszość. Zielski nie znalazł posłuchu. To było dość dawno. Siedem? Osiem lat temu? Byłam już wtedy na „Ruchu”, ale nie pamiętam dobrze. W każdym razie wydaje mi się, że Zielski zniknął ze stadionu, zanim jeszcze poszedł na ubój. Obraził się, czy coś.

– A Zwierzyniecki?

– Faktem jest, że oni się trzymali ze sobą. Zwierzyniecki... My mówiliśmy Fauna, miał nawet prześwietlenie, bo było podejrzenie, że też jest ciotą, a wówczas nie mógłby działać w ultrasce. Ale to był fałszywy alarm. Fauna i Flora, tak się o nich mówiło, wiadomo, nazwiska. Oni znali się od dawna i Fauna chyba nie chciał się odwracać od starego kumpla. Szanowaliśmy to. A, czekaj.... Cholera, przypomniałam sobie. Zielski dostał po mordzie i zakazano mu wstępu na Cichą, bo ktoś podłapał, że usiłował się kumać z Żabolami. Z kibicami Górnika Zabrze. Takie rzeczy nie przechodzą w naszej społeczności bez konsekwencji.

– Czyli Zielski miałby powody, żeby się mścić?

Anna się roześmiała.

– Mówiłam ci, to ciota. Ja bym mu spuściła łomot.

– Od kiedy chodzisz na „Ruch”?

– Od piętnastego roku życia.

– Często?

– Zawsze. Nie opuściłam żadnego domowego meczu. Na wyjazdy jeździłam tylko wtedy, gdy pozwolił mi mój facet. Nie zrozum mnie źle, to nie żaden chory patriarchy. On po prostu zabierał mnie tylko wtedy, gdy wiedział, że będzie bezpiecznie.

– Szósty maja dwa tysiące dwunastego roku. Wtedy też byłaś na meczu?

– Przecież nie mogę pamiętać. Ale jeśli był wówczas mecz na Cichej, to owszem, byłam.

– Był, i to nie byle jaki.

– Ach, oczywiście! – Zaśmiała się niespodziewanie. – Mecz ze Śląskiem Wrocław o Mistrzostwo Polski. Przegraliśmy, ale to był jedyny mecz o tytuł w całym moim życiu.

– Niewiele brakowało, a byłby również ostatni w twoim życiu.

Zaskoczyło ją to. Nie odezwała się, ale ściągnęła brwi i spojrzała na niego z niewypowiedzianym pytaniem w oczach.

– Szóstego maja dwa tysiące dwunastego roku Artur Zielski planował zamach terrorystyczny na waszym stadionie.

Oczy otworzyły jej się szerzej, niż pozwalała anatomia. Daleko poza bezpieczny zakres. Chwilę patrzyła na Lichego w totalnym osłupieniu, a potem niespodziewanie wybuchnęła śmiechem.

– Zamach terrorystyczny? Zielski? Lichy, ty oszalałeś.

– Nie. Nie oszalałem. Powiem ci więcej. To miał być akt terroru, o jakim w Polsce dotąd nie słyszeliśmy. Jednoczesna eksplozja na trzech stadionach. Waszym, Górnika i GKS Katowice. Sprawdziłem sobie dokładnie. W ostatniej kolejce wszyscy graliście mecze o tej samej godzinie. „Ruch” i „Górnik” w Ekstraklasie, Katowice w Pierwszej Lidze. Tamtego dnia mogło zginąć dziesięć, piętnaście tysięcy ludzi.

– Rany boskie, Lichy – powiedziała Anna, poważniejąc wprawdzie, ale wciąż z niedowierzaniem. – Ale jak Zielski miałby to w ogóle zorganizować? Na trzech stadionach? Ty go nie znałeś, ja tak. To naprawdę był lamus.

– Myślę, że ostatecznie zebrał sobie ekipę, do projektu „Chaos”. Zwierzyniecki był jednym z nich.

– W to na pewno nie uwierzę. Zwierzyniecki był jednym z nas.

– Anno... W kwietniu dwa tysiące trzynastego roku Piotr Zwierzyniecki został zatrzymany w trakcie nalotu. Ujawniono u niego sześć kilogramów semtexu, skradzionego półtora roku wcześniej z kopalni pod Koninem. W trakcie przesłuchania zeznał, że semtex miał być wykorzystany do zamachu bombowego na stadionach. Nie doszło do tego tylko dlatego, że trzy dni przed planowaną akcją, Zielski został zamordowany.

– O matko... Jesteś pewien? Sześć kilo to dużo?

– Ćwierć kilograma wystarczyło, by wysadzić Boeinga 747 nad Lockerbie.

– Boże...

– W kryjówce Zielskiego znalazłem anonimowe listy, które miały być wysłane do klubów po zamachu. Jest w nich napisane, że to kara za zdradę ojczyzny.

– Dlaczego mi o tym mówisz?

– Bo poszukuję każdej możliwej informacji o Zielskim. Został zamordowany przez mężczyznę, który moim zdaniem ma bezpośredni związek z morderstwami Szafarza.

– Przykro mi, że nie mogę ci pomóc, ale naprawdę, nic o tym człowieku nie wiem. Słyszałam, że udzielał się w jakiejś grupie artystycznej, czy coś takiego. Może oni ci coś powiedzą.

– Wiesz coś więcej o tej grupie?

– Nic. Ale Zielski chwalił się, że mają jakąś bajeczną pracownię, w jakiejś hali. Nikt mu nie wierzył, bo to był gość, który sępił pieniądze na piwo po meczu. Ale może przygarnął go ktoś bogatszy.

– Na przykład ktoś ze Szwajcarii – powiedział Lichy, bardziej do siebie niż do niej, ale ona odpowiedziała:

– Możliwe, możliwe. Było coś o Szwajcarii. Pamiętam, że przewijała się nazwa tego kraju, no ale sam rozumiesz, nie interesowało mnie to.

Przerzuciła dźwignię na „drive” i ruszyła. Chwilę później od krawężnika odkleiły się dwa śledzące ich samochody. Anna prowadziła pewnie i w skupieniu. Lichy patrzył na nią, a patrzenie sprawiało mu przyjemność. Naraz wyciągnął dłoń i przesunął palcem po jej włosach, ale zareagowała nerwowo. Odsunęła jego rękę.

– Nie – powiedziała.

– Chciałem tylko...

– Żeby było jasne, Lichy. I przepraszam, że tak bezpośrednio. Wykorzystałam twojego penisa, bo nawet w takich okolicznościach to i tak lepsze niż wibrator. Ale proszę, nie wyobrażaj sobie czegokolwiek. Dla mnie to była zwykła masturbacja i nic więcej.

Uniósł obie ręce w geście poddania i nie powiedział już ani słowa.

Cztery minuty później byli z powrotem na parkingu. Lichy wziął Sierść na ręce i już miał sięgnąć do klamki, ale Anna złapała go za ramię.

– Lichy... – zaczęła.

– Tak?

– Oni jeżdżą za mną dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie reagują, nie wtrącają się, ale wszystko widzą. Mój partner się o wszystkim dowie. I zabije cię za to.

– A ciebie nie?

– Mnie nie. Bo mnie kocha. Bo rozumie, czego potrzebuję. I że to przez niego muszę się uciekać do tak upokarzających sposobów. Szybkich numerków z nieznanymi facetami, na oczach obstawy. Ale ciebie zabije.

– A ty? Też go kochasz?

– Tak.

– Wobec tego powiedz mu, że jeśli się do mnie zbliży, to go zastrzelę.

Zabrał psa i wysiadł, a ona natychmiast odjechała. Dwa samochody obstawy stały jeszcze przez chwilę. Siedzące w nich karki gapily się w jego stronę i była jakaś niewypowiedziana groźba w ich spojrzeniach. Lichy miał wrażenie, że jeden zrobił mu zdjęcie, ale nie przejął się tym. W końcu odjechali, a on wsiadł do korwety i już miał ruszyć, kiedy coś mu przyszło do głowy.

Śpisz? – zapytał w SMS-ie.

Nie – odpisała natychmiast Wejhert. Lichy wystukał jej numer.

– Ty też nie możesz spać? – zapytała dziennikarka.

– Nie mam czasu spać – sprostował. – Powiedz, masz kogoś dobrego, kto sprawdza różne informacje? Dziennikarze zwykle znają kogoś takiego.

– Zgadza się. Co potrzebujesz sprawdzić?

– Szukam magazynu czy hali, gdzieś w promieniu trzydziestu, czterdziestu kilometrów od Katowic. Prawdopodobnie jest opłacany przez

jakiś szwajcarski bank. Może ma szwajcarskiego właściciela lub najemcę. Jest tam urządzona jakaś pracownia artystyczna, więc możliwe, że to gdzieś na terenie starej kopalni, huty, na terenach kolejowych albo coś w tym stylu. Mam wrażenie, że *industrial* jest teraz modny wśród artystów.

– Okej. Coś jeszcze?

– Nie, to tyle.

– Zrobię to. A dasz mi coś w zamian? Inaczej. Nie w zamian, bo nic nie chcę. Po prostu: dasz mi coś ciekawego?

– Dam. Dam ci mordercę. A raczej morderców, bo jestem pewien, że jest ich więcej.

– Na wyłączność?

– Dostaniesz to na wiele godzin przed innymi. Nikt ci nie zdąży tego ukraść.

– Mamy deal.

Rozłączyła się, a Lichy odpalił silnik i powoli potoczył się w kierunku Chropaczowa.

ROZDZIAŁ 32

Jechał niemal na autopilocie, tak bardzo zagłębił się we własne myśli. Coś dziwnego stało się naraz z kobietami w jego życiu. Najpierw doktor Demarczyk, teraz Anna, a gdyby tylko chciał, to byłaby i Martyna. A przecież minęły ledwie cztery dni, od kiedy pojawił się na niespodziewanej randce w kostnicy. Lichy nie przypominał sobie, by kiedykolwiek miał takie powodzenie. Trzy różne kobiety w cztery dni. Od kiedy rozstał się z Różą, a było to przecież, do cholery, cztery lata i dwa miesiące temu, nie widział na żywo nagiej kobiety. A teraz miał wrażenie, że widuje je na okrągło. Demarczyk była cała naga, Martyna od pasa w górę, Anna od pasa w dół. A przecież wcześniej i Sylwia wyeksponowała przed nim biust, choć w zupełnie nieseksualnym kontekście. O nagich zwłokach myśleć nie chciał, bo wiedział, że to chore, ale przecież Lauda była tak piekielnie atrakcyjna...

Zastanawiało go, co się właściwie zmieniło. Czy to po prostu okazja? Krzywański przywrócił go do życia, owszem. Dał mu zajęcie, wysłał między ludzi, zmusił do względnej higieny. Ale przecież nim trafił na częstochowską ulicę, Lichemu również zdarzało się stykać z ludźmi, w tym i z kobietami, dla których zdawał się być niewidzialny. Liliana Wejhert była pierwszą od dawna, z którą zamienił więcej niż słowo, ale przypomniawszy sobie, jak ją potraktował w tamtym parku, czy mógł się czemukolwiek dziwić?

I wtedy to do niego dotarło. Nie żył już tak bardzo, że stał się zwykłą rzeczą. Można go sobie było wziąć, użyć i odstawić. Przedmiot bez uczuć,

bez woli, bez jakiegokolwiek znaczenia, z którym nie trzeba się liczyć, którego nie trzeba żałować i któremu nie trzeba dawać nic w zamian. Mówi się, że gdyby nie kaganiec cywilizacyjny i surowe prawo, ludzie zapomnieliby o wartości życia i mordowali się wzajemnie bez litości. Czy jednak to samo nie dotyczyło stosunków fizycznych? Czy wiedząc, że obiekt seksualny nie będzie się bronił, protestował, ani nawet odczuwał niechęci, czy i tego byśmy nie nadużywali? A co, jeśli tak? I jeśli tego właśnie doświadczył? A on sam? Był tylko przedmiotem, czy jednak podmiotem? Ostatnio wciąż słyszał o samotnych ludziach, ale czy to właśnie nie było kwintesencją samotności? Kadłubkowy seks – jak określiła go Martyna – akt mechaniczny jak opróżnianie pęcherza.

Czy to już czas na sformowanie kręgu?

Tym razem znalazł miejsce niemal pod klatką schodową. Gdy otworzył drzwi, Sierść skoczył mu na kolana, potem na zewnątrz, ciągnąc za sobą smycz. Widać odczuwał pilną potrzebę, bo obsikał pierwszą ścianę, jaką napotkał. Lichy tymczasem wygramolił się z auta i gdy tylko zatrzasnął drzwi, usłyszał za sobą:

– Rafał Lichy?

Odwrócił się i ujrzał trzech mocno zbudowanych mężczyzn. Lichy mógł dostrzec tylko tyle, że ubrani byli na czarno. A także to, że ustawili się tak, by odciąć mu drogę odwrotu. Przez chwilę się zastanawiał, czy to nie „*Blaue Horde*”, ale odrzucił tę myśl. Wszystko w ich postawie i zachowaniu wskazywało, że byli policjantami. Lichy nie mylił się w takich kwestiach.

– A kto pyta?

– Pojedzie pan z nami.

– Nie sądzę.

Wówczas jeden z nich podszedł do niego. Lichy odwrócił się w jego kierunku, a wtedy doskoczył drugi i wsadził mu rękę pod ramię, usiłując go

unieruchomić. I pewnie by mu się to udało, gdyby nie Sierść, który, choć niewielki, zdążył już chyba pokochać nowego przyjaciela całym swoim psim serduszkiem. Szczekając w ten szczególny sposób, w jaki psy okazują agresję, z obnażonymi kłami i pianą toczącą się z pyska, skoczył na napastnika i wbił mu w łydkę zęby aż po same dziąsła. Napastnik krzyknął i puścił Lichego. Drugi dopadł ich i usiłował kopnąć psa, ale mu się nie udało. Sierść puścił pierwszego napastnika i skoczył w kierunku drugiego, tamten jednak był na to gotowy. Zdążył się ustawić, wziął zamach i bez jakiegokolwiek zahamowania kopnął psa prosto w żebra. Sierść zaskomlał żałośnie, z pewnością z bólu, ale też dlatego, że w całym jego krótkim bytowaniu na tym parszywym świecie, mimo całej swej poczciwości i ufności, nie był to ani pierwszy, ani nawet dziesiąty kopniak, którego otrzymał. A przecież miał tylko jedno marzenie. Znaleźć przyjaciela, który go przygarnie, pokocha i obroni przed kopniakami. Wciąż skomląc z bólu i rozpacz, rzucił się do ucieczki. Pobiegł gdzieś między bloki. Tam, gdzie nauczony był chować się zawsze, gdy groziło mu niebezpieczeństwo.

Lichy tymczasem ryknął jak niedźwiedź zraniony ręką niewprawionego myśliwego. Wściekłość pochłonęła go do tego stopnia, że zaczął widzieć na czerwono. Skoczył w kierunku napastnika, chwycił go w pasie i obalił na ziemię. Siedząc na nim, wyprowadził cios prosto w nos, który złamał się z trzaskiem, ale wówczas dopadł go ten trzeci, kopnął prosto w szczękę i Lichy spłynął jak balon, z którego wypuszczono powietrze.

Ocknął się dopiero w samochodzie i to już niemal u celu. Mimo szumu w głowie natychmiast poznał, gdzie jest i zupełnie go to nie zaskoczyło. To była ulica Kościelna w Bytomiu. Słaniał się na nogach, gdy oprawcy prowadzili go po schodach na górę. Gdy weszli do lokalu, został

zaprowadzony do kuchni i posadzony na krześle. Cyra już na niego czekał. A wraz z nim Chutor. Lichy ni to się zaśmiał, ni zacharczał.

– I co teraz powiesz o praworządności, aspirancie Chutor? – zapytał.

– Podkomisarzu Chutor – poprawił go Cyra.

– Ho, ho. Niesamowite. Trzy stopnie w dwa dni.

Chutor nie odpowiedział, zaś Cyra podszedł do Lichego i bez słowa wyjaśnienia uderzył go pięścią w twarz. Wargę pękła i połała się krew. Lichy wypluł ją.

– Co ci dała Martyna? – zapytał Cyra.

– To, czego tobie odmówiła – odparł z uśmiechem, trochę poniewczasie zdając sobie sprawę, że miało to dwuznaczną wymowę. On pomyślał o zdjęciach. Cyra zapewne o czym innym.

Uderzenie. Znów w to samo miejsce. Głowa Lichego odskoczyła i poczuł, jak naciąga mu się mięsień w karku.

– Po co byłeś w Częstochowie?

– Lubię tam pić.

Uderzenie.

– Po co spotkałeś się z Garlickim?

– Z nim też lubię pić.

I znów uderzenie. Tym razem jednak Lichy był gotowy. Pochylił głowę i Cyra trafił go prosto w czoło. Zaklął i wściekle kopnął w krzesło pod Lichym, który wylądował na podłodze. Nikt się nie odezwał. Po tych trzech troglodytach niczego się nie spodziewał. Ale Chutor go rozczarował.

– Podnieście go – sapnął wściekle Cyra, więc jeden podniósł krzesło, a drugi Lichego. Za chwilę wszystko było na powrót w układzie wyjściowym.

– Masz problem, Lichy. Bardzo poważny problem.

– Tak – wystękał Lichy. – Właśnie widzę.

– Gdzie byłeś drugiego stycznia o drugiej w nocy?

– To przesłuchanie, Cyra?

– Rozpytanie.

– W takim razie informuję, że na wszelkie pytania odpowiem dopiero po formalnym wezwaniu na przesłuchanie prowadzone przez policjantów, którzy się wylegitymują i którzy dadzą mi do podpisania protokół.

– Dobrze. – Cyra westchnął. – To inaczej. Byłeś wówczas w KWP na Lompy, gdzie spotkałeś się z Szachtą, to jest policyjnym fotografem. Zostałeś zarejestrowany przez kamerę, a twoje przybycie odnotował dyżurny. Podobnie w drugą stronę. Odnotowano i zarejestrowano moment, w którym wraz z Szachtą opuściłeś komendę. Problem w tym, że byłeś ostatnią osobą, która go widziała, bo po tym spotkaniu Szachta zniknął. Według relacji żony, wyszedł z domu nazajutrz o dziesiątej rano i ślad po nim zaginął.

– Skoro taka jest relacja żony, to znaczy, że ona go widziała ostatnia. Może ją pobij, zamiast mnie. Albo zgwałć, tak jak lubisz. Hej, chłopcy, wiecie, że wasz nowy tatuś jest wielokrotnym gwałcicielem? Poważnie mówię, nie ściemnam.

– Zamknij ryj! – Cyra nie wytrzymał i znów uderzył Lichego. – Jeśli Szachta nie żyje, to jak tylko znajdziemy ciało, jesteś skończony. Zadbam o to, żeby cię doprowadzić...

I przerwał, bo Lichy zaczął się cichutko śmiać.

– No, kurwa, nie wytrzymam – powiedział jeden z przybocznych Cyry i doskoczył do Lichego.

– Nie – rzucił krótko Cyra. – Niech się śmieje. Daje sobie czas, żeby coś wymyślić. Ale my mamy czas.

– Oj Cyra, Cyra – powiedział Lichy, ocierając twarz z krwi. Było jej sporo. – Chcesz pogadać? Dobrze. Pogadajmy. To ty masz problem, a nie ja. Nic nie wiem o Szachcie, ale przecież nie dlatego tu jestem. Po prostu wszystko straciłeś. Nie masz już podejrzanego, a tak naprawdę nigdy nie miałeś. Nie masz pomysłu. Nie masz nawet ludzi, bo nie widzę tu ani Martynty, ani Rusłana. Masz tylko rozpaczliwą nadzieję, że ja coś wiem. Bo podjąłeś się czegoś publicznie. Czegoś, co cię przerasta. Jesteś w punkcie wyjścia, a nie masz już czasu.

– Nie mam czasu, to prawda. Ale ty też go nie masz. Jutro złożę wniosek o całkowite odsunięcie cię od sprawy. Wrócisz na ulicę.

– Nie.

– Co nie?

– Taki wniosek musiałby zaopiniować Doba. On jest gospodarzem śledztwa. A Doba go nie zaopiniuje. Bo sam mnie poprosił, żebym mu pomógł. Dobrze wie, że ty nie podołasz.

– Doba nie jest mi do niczego potrzebny. Mogę rozmawiać bezpośrednio z Wróblem.

– I co mu powiesz? Obiecałeś efekty, a nic nie masz. Dla niego jesteś nikim, tak samo jak ja. Zdmuchnie cię z planszy jak paproch.

– Zobaczmy. A póki co, spodziewaj się wezwania na przesłuchanie. Mam powody przypuszczać, że zatajasz informacje przed funkcjonariuszem prowadzącym oficjalne śledztwo na zlecenie prokuratury.

– Doba nie wyda zgody. Zresztą, zanim cokolwiek przedsięwzięmiesz, ja już będę miał zbója.

– Takiś pewny?

– A wystarczyłoby, gdybyś zobaczył w Martynie coś więcej niż cycki. To ona dostarczyła najważniejszej wskazówki. Mogłeś ją dostać, choć i tak nie

wiedziałbyś co z nią zrobić. A ja wiem.

– Mógłbym to z ciebie wydusić – powiedział Cyra przez zęby. – Tu i teraz. Dla dobra śledztwa.

– Możesz spróbować. Ale wiesz, że nic ci nie powiem. Nie powiem, bo cię nie lubię i prędzej dam sobie obić mordę, niż w jakikolwiek sposób ci pomogę. Ale jeśli spróbujesz, to jutro cię nie ma. Myślisz, że nie mogę cię załatwić, Cyra? Mogę cię wysłać na ulicę w każdej chwili.

– Ciekawe, jak?

– Oczywiście korzystając z najgorszych wzorców. Czyli twoich. Przecież wiem, że to ty sprzedałeś sprawę mediom. Zrobiłeś to, żeby przejąć śledztwo, a także dlatego, że jesteś zwykłym skurwysynem. Ale to broń obosieczna. Zmieniła się twoja pozycja i zmieniła optyka. Teraz pod żadnym pozorem nie możesz dopuścić, by media dowiedziały się o kolejnej ofierze i o tym, że Ślązak był ślepym tropem. Sto dwadzieścia sekund po upublicznieniu tej informacji wylatujesz na bruk. Jak myślisz, jak wielkie opory będę miał przed tym, by zaraz po wyjściu stąd zadzwonić do znajomej dziennikarki i wszystko jej opowiedzieć? Jak również to, że oszukałeś prokuratora i zaszkodziłeś śledztwu, upubliczniając niejawne informacje, czym bezpośrednio przyczyniłeś się do śmierci Krzywańskiego.

Cyra nie odpowiedział. Twarz miał jak wykutą z kamienia. Jediną ruchomą częścią jego ciała była obecnie aorta, pulsująca w rytm wzbierającej w nim wściekłości. Bo wcześniej Cyra nie był wściekły. Był tylko zły. Zły z natury.

– No to mamy sprawę jasną – powiedział Lichy, znów ocierając krew rękawem płaszcza. Rana na wardze nie chciała się zasklepić. Czuł, że puchnie, że krwihak na policzku rośnie i zaczyna mu przesłaniać pole widzenia. – Nic mi nie możesz zrobić prócz obicia mi mordy, co już

zrobiłeś. Ja z kolei mogę cię wysłać na śmietnik. Tamten cham kopnął mojego psa, za co policzę się z nim osobno. Ale póki co wychodzę.

– Nie – powiedział Cyra. – Nie możesz iść sam. To daleko, a na dworze jest bardzo zimno. Chłopcy cię odwiozą. I otoczą cię opieką.

Lichy wstał. Spojrzał jeszcze na Chutora. Ten wytrzymał spojrzenie, ale był blady jak śnieg na parapecie.

– Dyskretnie – powiedział Cyra do swoich ludzi.

Nie wiedział, gdzie go wywieźli. Nie potrafił policzyć ciosów, które mu zadali. Jedno było pewne, znali się na biciu ludzi. Kto wie, jakby się to wszystko skończyło, gdyby nie białoruski kierowca ubera, który przejeżdżał tą zapomnianą przez Boga okolicą i widząc trzech ludzi kapiących czwartego, niewiele myśląc, naprawdę niewiele, zawrócił w ich kierunku. Gdy podjeżdżał, oprawcy, mając w pamięci ostatnią uwagę Cyry, uciekli do auta i odjechali.

Serhij chciał go odwieźć do szpitala. Gdy Lichy się nie zgodził, to na komisariat.

– Nie trzeba. Sam jestem policjantem – powiedział mu Lichy.

– Boże, to kim byli tamci? Jakąś mafią?

– Gorzej. Oni też byli policjantami.

Białorusin pokiwał głową, zastanawiając się jednocześnie, czy aby nie należałoby poszukać bezpiecznej przyszłości gdzieś nieco dalej.

Ostatecznie Serhij zaoferował się odwieźć Lichego do domu, i to zupełnie za darmo. Policjant odczuwał wdzięczność dla tego przypadkowego bohatera, ale nie był zbyt rozmowny. Serce rozdzierała mu panika, bo nie wiedział, co stało się z psem. Niezwykłe, jak szybko człowiek może się przyzwyczać do tego, że nie jest już sam. Na myśl o tym, że mógłby stracić Sierść, łzy napłynęły mu do oczu.

Wysiadł pod blokiem akurat wtedy, gdy na dobre rozpadał się śnieg. Serhij przyjął podziękowania, ale pieniędzy nie chciał. Wbiło mu zresztą właśnie zlecenie, więc życzył Lichemu powodzenia i odjechał. A wówczas Lichy został sam. Minęła druga w nocy. Na podwórkach nie było żywego ducha. Bloki rozmywały się za śnieżną zasłoną, uliczne lampy, te, które działały, to wydobywały coś z mroku, to wprost przeciwnie, odwracały się plecami, skrywając te osiedlowe tajemnice, których nie wolno było ujawniać. Mieszkali tu dobrzy ludzie, przeciętni ludzie i źli ludzie. Czasami okno w okno, czasami drzwi w drzwi, a niejednokrotnie nawet w jednym mieszkaniu. Lichy nienawidził tego miejsca i to, że żył tu już tak długo, było albo rozwinięciem jego autodestrukcyjnych predyspozycji, albo rodzajem pokuty za to, że zawiódł tak wiele osób.

– Piesku! Piesku! – krzyczał w noc, wędrując między blokami, po kolana w śniegu i ze zgrabiętymi rękami. Wciąż się jeszcze nie zorientował, że nadał już psu imię i nie wiedział za bardzo, jak wołać. Powtarzał więc tylko to swoje nieszczęsne „Piesku, piesku”, coraz bardziej zdruzgotany i przerażony. Mróz siekł okrutnie, co jednak mu się przydało, bo zmarznięta twarz przestała go boleć. Tułał się po osiedlu bez planu. Zaglądał do altan śmietnikowych. Sprawdzał, czy któreś piwniczne okno nie jest wybite. Podchodził do klatek i przez drzwi wołał Sierść, licząc na to, że pies przybiegnie i da mu jakoś znać, że tam jest. Wszystko na nic. Zaglądał pod samochody, za nagie, lecz zasypane śniegiem szkielety żywopłotów, wdrapał się po schodach na plac zabaw, a wrócił z niego na tyłku, tracąc równowagę.

– Sierść! Sierść! – wołał.

Po czterdziestu minutach zdał sobie sprawę, że kręci się w kółko. Że do tych śmietników już zaglądał, a te samochody już mijał. Ogarnęła go rozpacz. Łzy pociekły po policzkach. Gdy potknął się o coś ukrytego pod

śniegiem i upadł na kolanach, został już na nich, skrył twarz w dłoniach i po prostu się rozplakał. Chwilę mu zajęło, by dojść do siebie i ruszyć w dalszą drogę. Postanowił, że będzie szukał tak długo, aż znajdzie. Albo zwierzę, albo jego zwłoki. Bo ten niewielki kundelek miał wielkie serce. Rzucił się w jego obronie na wielkiego, strasznego człowieka. Przyplącił to bólem i strachem. Lichy nie pamiętał człowieka, który zrobiłby dla niego tak wiele. Dlatego parł dalej. W niewielkim zagajniku, dumnie nazywanym Parkiem Chropaczowskim, spotkał dwóch gówniarzy rozgrzewających się w najbardziej oczywisty sposób. Ci widzieli co najwyżej białe myszki. Psa nie. Byli już mocno pijani, jednak wyrazili żal i na swój pijacki sposób usiłowali mu dodać otuchy. On zaś szedł dalej, bo skoro przeszukał już całe osiedle, skoro dotarł już do parku, to równie dobrze może iść również między majaczące w oddali familoki.

Tak dotarł do ulicy Średniej. Po jej obydwu stronach stały stare, trzykondygnacyjne klocki. Obramowane na czerwono okna podkreślały górniczy charakter osiedla, zupełnie jakby ktokolwiek potrzebował takiego przypomnienia. Zacinający śnieg pokrył elewacje warstwą brudnego osadu, spod którego częściowo tylko dawało się odczytywać nabazgrane sprayem hasła świadczące o miłości do Ruchu Chorzów i wprost przeciwnym uczuciu do Górnika Zabrze.

Lichy nie wołał już. Nie miał sił. Ledwo się włókł w kopnym śniegu. Gdzieś ponad sobą zobaczył delikatny, czerwony rozbłysk. Jakaś para czujnych oczu pilnowała obcego, paląc być może ostatniego, a może pierwszego papierosa tego dnia.

I naraz coś usłyszał. Gdzieś z boku, spomiędzy budynków. Ale czy mu się nie zdawało? Czy to nie skrzypienie śniegu pod butami? Nie! Teraz usłyszał to wyraźnie. Cichy, wystraszony jęk. Rzucił się w tamtą stronę i natychmiast upadł. Ale nic to! Kawałek drogi pokonał na czworakach,

potem się podniósł i biegł przed siebie, oślepiiony przez śnieg. Już widział zarys altany śmietnikowej. I słyszał coraz wyraźniejszy skowyt.

– Piesku! Piesku! – krzyknął, wpadając do środka, i odpowiedziało mu szczekanie. Łzy znów napłynęły do oczu, tym razem ze szczęścia. Serce mu urosło, siły wróciły. Słyszał szczekanie, ale nie widział Sierści. Głos dobywał się zza śmietników. Stały cztery. Dwa przy ścianie, dwa kolejne przed nimi. Lichy szarpnął uchwyt pierwszego, ale kółka były zablokowane. Wściekły, rzucił się na pojemnik i waląc w niego barkiem, rozhuśtał tak mocno, że w końcu go przewrócił. Odpadki wysypały się wprost na niego. Na szczęście przez spuchnięty nos nie czuł smrodu. Spiętrzone śmieci wciąż blokowały dostęp, więc zaczął je roztrącać rękami, aż w końcu ujrzał Sierść. Smycz zaplątała się pomiędzy kołami. Zostało jej ledwie pięć centymetrów, więc pies nie mógł się ruszyć. Leżał na ziemi, dygocząc, a szyję miał nienaturalnie wyciągniętą.

– Piesku! Piesku! – krzyczał Lichy przez łzy, a Sierść usiłował się rzucić w jego kierunku, jeszcze mocniej wbijając obrożę w kark. Policjant wyciągnął ręce, wymacał zapięcie smyczy i w końcu uwolnił zwierzę. Pies skoczył jak szalony i wpadł wprost w jego ramiona.

– Piesku! Piesku – Lichy płakał, leżąc na ziemi wśród śmieci i tuląc do piersi psa.

– Dlaczego mnie zostawiłeś? – zapytał Sierść z wyrzutem.

– To ty mówisz? – Lichy się zdumiał.

– Oczywiście – odparł Sierść.

Ale przecież nie mógł mówić. Lichy być może był trochę niezrównoważony, ale nie aż tak. Nie, nie. To na pewno od uderzeń w głowę. A może od dojmującej samotności, tej samej, która kazała kiedyś Tomowi Hanksowi rozmawiać z piłką do siatkówki.

– Już nigdy cię nie zostawię – przysiągł.

Wstał, nie wypuszczając psa z rąk. Sierść dygotał. Musiał tu leżeć w bezruchu przez długi czas. Lichy rozpiął płaszcz, okrył nim zwierzę i ruszył w kierunku Beskidzkiej. Szedł długo. Śnieg się nasilił. Drogi zniknęły, więc przez chwilę miał problem, by trafić. Ale trafił. Dowłókł się w końcu pod klatkę i już chciał do niej wejść, gdy naraz zrozumiał, że tak dalej być nie może.

– Dość – powiedział cicho. – Dość już tego gówna.

Odwrócił się, zszedł po schodach i skierował wprost do auta. Otworzył drzwi i wpuścił Sierść do środka.

– Poczekaj tu chwilę – powiedział.

– Nie zostawiaj mnie – poprosił Sierść.

– Tylko na parę minut.

Po chwili namysłu wsiadł do auta, odpalił silnik i nastawił ogrzewanie na full.

– Pilnuj auta – polecił psu. – To odpowiedzialne zadanie!

– Tak jest. – Sierść odmerdał ogonem.

Lichy wyskoczył z auta i zatrzaskał drzwi. Pędem dopadł klatki.

W środku nie było nikogo. A choć wcześniej w ogóle o tym nie pomyślał, teraz odczuł pewną ulgę. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebował, było spotkanie z Szamponem i jego ekipą.

– Dość tego gówna! – powtórzył głośno, wsiadając do windy. Przycisk dziesiątego piętra wcisnął z dziesięć razy, zupełnie jakby to mogło cokolwiek przyspieszyć. Zmarznięte dłonie miały problem, by utrzymać klucz. Udało się. Wpadł do środka. Sąsiadka z jedenastego znów przyjmowała klienta. On przeraźliwie charczał, ona krzyczała, łóżko skrzypiało i szurało po podłodze. Lichy dopadł szafy i wyjął z niej swoją wielką podróżną torbę. W łazience wrzucił do torby wszystkie kosmetyki, przybory toaletowe, papier i ręczniki. Z szafy w pokoju wytrząsnął

wszystkie czyste rzeczy, jakie mu zostały. Spojrzał na sprzęt stereo, ale ten musiał poczekać. Przynajmniej do jutra. Zabrał pościel i koc. Wypiął ładowarkę z gniazdka. Coś jeszcze? Niewiele więcej posiadał.

– Dość już tego gówna. Dość tego gówna i płomieni.

Zapiął torbę, wyszedł z mieszkania, zamknął drzwi na klucz. Otworzył drzwi kluczem, wrócił po psie miski, znów zamknął na klucz i pognął do windy. Na dole otworzył tylną klapę korwety i wrzucił do niej torbę.

– Dokąd jedziemy? – zapytał Sierść, gdy wytoczyli się na zasypaną śniegiem jezdnię.

– Do domu – odparł Lichy.

Niecałe pół godziny później, po raz pierwszy od trzech lat, dziesięciu miesięcy, trzech tygodni, sześciu dni i dwunastu godzin, Lichy postawił stopę w korytarzu swojego domu na Kilińskiego. Prócz grubej warstwy kurzu nic się tu nie zmieniło. Parter był już urządzone. Wprost z korytarza wchodziło się do przestronnej kuchni połączonej z jadalnią i salonem, z którego prowadziło wyjście na taras. Kuchnia była wyposażona. Dawniej spędzali tu z Różą większość czasu. Na prawo od wejścia znajdowały się drzwi od osobnej, obszernej kawalerki z własną łazienką, pomyślaną jako pokój gościnny, z osobnym wejściem od zewnątrz. Niekiedy przynosił tu na rękach Różę, gdy w trakcie oglądania telewizji nachodziła ich ochota na igraszki, a wobec nagłego zerwania bezpiecznika, na górę było po prostu za daleko.

Druga kondygnacja była w stanie surowym. Tu miała być ich sypialnia z prywatną łazienką, druga, duża łazienka i trzy pokoje dla dzieci. Bo chcieli mieć dzieci. Rozmawiali o tym często. Dziś, niecałe cztery lata później, on był wrakiem człowieka, a ona miała dziecko z kimś innym.

Na poddaszu urządzili mansardę. Była w pełni ukończona. To właśnie tutaj mieszkali w trakcie remontu. Lichy pstryknął światło i rozejrzał się po

pomieszczeniu, jakby usiłował odegnać prześladowające go upiory. Powiedzieć im: „Hej, to moje miejsce, wynocha!”. Mansarda była przestronna. Pośrodku znajdowało się wielkie łóżko. Miało dwa metry szerokości. Róża krytykowała go za ten wybór. Mówiła, że wolałaby mniejsze, by mogli być bliżej siebie. A tak? Można się tam było zgubić. Ale Lichy zawsze chciał mieć wielkie łóżko. Obok łóżka, w spadzie szafa na ubrania. Kawalek dalej duże biurko i przeszklona biblioteczka wypełniona książkami. W większości należały do Róży. Nigdy nie wróciła po nie. W szczytowej ścianie znajdowały się dwa okna. Prócz tego okno połaciowe, niemal przy samej kalenicy, tak wysoko, że otwierało się je specjalnym przyciskiem na ścianie. No i jeszcze lukarna w formie wolego oka wyglądającego na ulicę Kilińskiego, nisko, tuż nad podłogą.

A właśnie. Podłoga. Lichy podszedł do panelu na ścianie i uruchomił sterownik ogrzewania podłogowego.

Prócz przestrzeni mieszkalnej w mansardzie była też łazienka. Nie za duża, jak to w mansardzie. Znajdowała się pod północną ścianą szczytową. Wyposażona była w dużąabinę prysznicową. Akurat taką, by zmieściły się tam dwie osoby. I by miały trochę więcej miejsca niż tylko do kąpieli.

Gdy Sierść z niezwykłym zainteresowaniem obwąchiwał każdy kąt, Lichy usiadł na łóżku, by chwilę odsapnąć. Był obolały i niemal nieprzytomny ze zmęczenia. Ale coś jeszcze pozostało do zrobienia. Coś, co musiał zrobić natychmiast, bo potem po prostu zabraknie mu sił. Wstał więc, podszedł do torby i wyjął swoje przybory toaletowe. Poszedł do łazienki, ale nie zamknął za sobą drzwi. Rozebrał się i wszedł do kabiny prysznicowej. Na podświetlanej ledowymi lampkami półce stał stary szampon Róży. Świetnie się składało, bo Róża korzystała wyłącznie z naturalnych kosmetyków i przyborów toaletowych.

Gwizdnął i Sierść zaraz przybiegł zobaczyć, czego to jego nowy przyjaciel od niego oczekuje. Wlazł do kabiny, a Lichy uśmiechnął się i zamknął drzwi.

– No, kolego. Musisz przyznać, że zanosilo się na to już od dłuższego czasu – powiedział.

Po czym puścił wodę. Temperaturę regulował termostat, więc przez chwilę nie działo się nic, a potem, gdy woda popłynęła, od razu była taka, jak należy. Pies odskoczył i zaskomlał, ale Lichy nie miał dla niego litości. Podniósł butelkę z szamponem Róży i wylał na Sierść całą zawartość.

A dalej? Cóż. Najpierw było trochę strachu i skomlenia, potem cierpliwie znoszenie entuzjastycznego tarmoszenia i wcierania szamponu w każdy zakamarek ciała, a w końcu szaleńcza zabawa i merdanie ogonem. Brodzik zrobił się czarny i Lichy trzykrotnie musiał go splukiwać. Z kolei pies z czarno-białego zrobił się biały z niewielkimi czarnymi akcentami. Potem jeszcze tylko piętnaście minut intensywnego wycierania ręcznikiem i w końcu, jakoś przed czwartą rano, zasnęli oparci o siebie.

ROZDZIAŁ 33

Było już ciemno, gdy ciche piszczenie i delikatne ugniatanie w pierś wyrwało Lichego ze snu. Spojrzał na zegarek.

– Zwierzu – powiedział, ziewając – ustalmy jedną fundamentalną zasadę. Nie będziesz mnie budził o szesnastej rano, jasne?

Wstał i poszedł do łazienki. Lustro poinformowało go, że nie jest tak źle. Warga była opuchnięta, policzek też. Prócz tego lewy oczodół był zasiniony, ale nie tak bardzo, jak się Lichy spodziewał. Prócz kilku ciosów Cyry, większość innych uderzeń udało się Lichemu zablokować. Dlatego teraz bardziej niż twarz, bolały go oba przedramiona.

Gwizdnął i Sierść natychmiast przybiegł.

– Jesteś bardzo mądrym psem – powiedział.

– Wiadomo – odparł Sierść.

Zeszli na dół, aż do starej, straszliwie zagraconej piwnicy. Lichy otworzył drzwi na ogród i Sierść natychmiast ruszył zwiedzać. dzielnie walczył z wysokim śniegiem, to chowając się w nim niemal całkowicie, to wyskakując ponad powierzchnię jak rozbawiony delfin.

Lichy przeszedł do pomieszczenia, w którym trzymał narzędzia. Przez niemal dwa lata remontu zgromadził ich sporo. Zabrał wyrzynarkę do drewna. Podłączył ją do prądu i niewiele myśląc, wyciął w drzwiach niewielki otwór dokładnie pośrodku, przy dolnej krawędzi. Gdy tylko skończył, przez dziurę natychmiast wpadł do pomieszczenia Sierść.

– Proszę bardzo – powiedział Lichy. – Twoje własne, prywatne wejście. Teraz możesz iść sikać, kiedy tylko ci się zachce.

– Och dzięki, dzięki! – Sierść zamerdał ogonem.

– A teraz idź dalej zwiedzać, a ja skołuję coś do żarcia. Trzeba będzie też kupić nową smycz.

Płaszcz po wczorajszej nocy znów nadawał się wyłącznie do czyszczenia, więc Lichy ubrał jedyną kurtkę, jaka mu jeszcze została. Tę cienką puchówkę. Wyszedł na zewnątrz przez główne drzwi. Po raz pierwszy od dawna, bo gdy tu przybyli nad ranem, weszli od garażu. Przez chwilę stał przed drzwiami, spoglądając ze szczytu schodów na okolicę. Zupełnie jakby był gwiazdą wyeksponowaną na reklamowej ścianie. Ale świat nie zauważył jego obecności. Życie toczyło się tak samo jak wczoraj, przedwczoraj i każdego dnia przez ostatnie cztery lata.

Idąc do sklepu, oddzwonił do Wejhert. Widział, że od rana usiłowała się z nim skontaktować.

– Długa noc? – zapytała bez wstępu.

– Długa i intensywna.

– Słuchaj tego. Szwajcarski kapitał nie jest bardzo popularny w GOP-ie. Jest kilka biurowców należących do różnych konsorcjów ze szwajcarskim udziałem. Dwie firmy zajmujące się tworzeniem i wdrażaniem oprogramowania. Dwie farmaceutyczne, trzy handlowe i trzy działające w sektorze finansowym. Nic ciekawego. Ale moja specjalistka pogrzebała trochę głębiej i wygląda na to, że jest coś, co by mogło pasować do twojego opisu. Stara nieruchomość na terenie Huty Pokój w Rudzie Śląskiej, oznaczona jako D26 i zlokalizowana na działce geodezyjnej numer 2878. Jest wynajmowana przez prywatną firmę Hildegard von Bingen Institut z Lucerny.

– Jaki profil działalności? Sprawdziłyście?

– Pewnie. Według statystycznej klasyfikacji działalności gospodarczych w Unii Europejskiej, na której oparta jest też systematyka szwajcarska,

R.90.03. „Artystyczna i literacka działalność twórcza”.

– To to – powiedział Lichy. – Jesteś nieoceniona.

– Pamiętaj, żeby się odwdzięczyć.

– Będę pamiętał.

Gdy się rozłączała, jego uwagę przykuła sklepowa witryna. Niewielki prywatny sklep z konfekcją męską. W centralnym punkcie wystawy, na czarnym plastikowym manekinie wisiał piękny czarny płaszcz. Sześćdziesiąt pięć procent wełny, krój w wersji slim, z wysokim kołnierzem. Wspaniały. Kosztował pięćset złotych bez złotówki. Gdyby nie pił, Lichy potrafiłby za tyle przeżyć cały miesiąc. I to mimo tego, że żywił się wyłącznie na mieście.

Przypomniał sobie jeszcze o czymś. Wybrał numer Martyny. Czekał dość długo.

– Lichy! Szybko się stęskniłeś. – Zaśmiała mu się do słuchawki.

– Chciałem sprawdzić, co u ciebie. Widziałem się wczoraj z Cyrą i...

– Wyrzucił mnie – przerwała mu. – Jak wróciłam, to byli tam już jego nowi koledzy. Straszna banda. Tak jak mówiłeś, nie zbliżył się do mnie więcej, ale po wykonaniu czynności zaczął rzucać okropne seksualne uwagi, czym zabawiał swoich ziomków. Bo to najwyraźniej takie same prymitywy, co i on. W skrócie: kobieta w policji nadaje się tylko do polerowania pałki. Jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Taaa...

– To się wkurwiłam i powiedziałam im, że znalazłam już więcej, niż oni znajdą kiedykolwiek, a wszystko masz teraz ty. Trochę mnie postraszyli, ale się nie ugięłam. No to mnie pogonił. Ma ponoć składać wniosek, by znów mi odebrano odznakę.

– Nie martw się. To nie nastąpi.

– Nie martwię się, Lichy. To znaczy, może trochę. Chciałabym wrócić do normalnego trybu. Ale tego, że nie pracuję już z Cyrą, nie żałuję zupełnie. Aha, Rusłan stanął po mojej stronie, wiesz? Dostał po gębie i też się zwinął. Porządny chłopak z niego, tylko strasznie naiwny.

– Zastanawiałem się, dlaczego was nie ma. Ale czekaj, to oznacza, że jesteś teraz wolna, tak? Może popracujesz ze mną?

– Lichy, czy to jest propozycja seksualna?

– Co?

– Jeśli myślisz, że przyjadę do ciebie, coś pogrzebiemy w papierach, coś poknujemy, a potem wytarzamy się w pościeli, to informuję cię, że moja odpowiedź brzmi: stanowcze... Raczej nie.

– Stanowcze... Raczej nie?

Zaśmiała się. Miała dobry humor.

– Poza tym jestem w Mediolanie – dodała. – Musiałam się wyrwać na tydzień, a mam tu kuzynkę. Łazimy po sklepach i w ogóle. A w sobotę idziemy do La Scali, wiesz?

– Wow. Zazdroszczę. No to miłej zabawy.

– Lichy...

– Tak?

– Złapiesz go?

– Tak.

Wrócił po dwóch godzinach. Kupił więcej rzeczy niż chyba przez całe życie. Ten piękny płaszcz z wystawy również. Prócz tego hurtową ilość psiej karmy i trochę jedzenia dla siebie. I mocną latarkę-czołówkę z pakietem baterii. Wydał prawie tysiąc złotych, choć na płaszczu stargował połowę stówki. Skorzystał z karty, z której nie korzystał od prawie czterech lat, odkrywając przy okazji, że wkrótce skończy się jej data

ważności. Od kiedy Róża odeszła, nie wydał ani grosza ze spadku ciotki Łucji. Żył w przekonaniu, że to ich wspólne pieniądze i nie ma prawa ich dotykać. Ale teraz coś się zmieniło. Teraz miał rodzinę. Nawet jeśli liczyła jednego członka, w dodatku czworonożnego. Musiał zadbać o tę rodzinę. I o siebie samego.

Okienko pogodowe, które jak raz trafiło mu się w trakcie ataku szczytowego na Galerię Katowicką, znikło jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Wprawdzie zrobiło się trochę cieplej, bo temperatura nie przekraczała już pięciu stopni na minusie, ale za to znowu sypnęło śniegiem.

Nim wyruszył, sprawdził sobie dokładnie lokalizację Huty Pokój. Gdyby został w Świętochłowicach, miałby dziesięć minut drogi, a tak będzie się przedzierać przez zakorkowane miasto dobre czterdzieści minut. O ile drogi w ogóle są przejezdne.

Postanowił jeszcze poczekać. Zresztą, zamierzał się włamać do cudzej własności. Takie rzeczy zawsze lepiej wychodziły nocą. Uznał więc, że wypróbuje nową smycz i zabrał Sierść na zwiedzanie okolicy. Potem odśnieżył trochę ogród, by zwierz nie musiał się przedzierać przez śnieg do najbliższej psiej ubikacji. Zmachał się przy tym, ale, prawdę mówiąc, nie przypominał sobie, kiedy ostatnio czuł się tak dobrze.

Wyruszył po krótko dwudziestej drugiej. Sierść pożegnał go spojrzeniem pełnym wyrzutu. Korweta przywitała kontrolką rezerwy. Nie był to ekonomiczny samochód, ale jak by nie patrzeć, ostatnio tankował ją prawie cztery lata temu. Zatankował więc, kupił jakiegoś energetyka bez cukru, a gdy wrócił do auta, zdał sobie sprawę, że nawet raz spojrzenie nie uciekło mu w kierunku półki z alkoholami.

Pod bramę główną Huty Pokój zajechał za piętnaście jedenasta. Wjazd znajdował się obok słynnego na cały Górny Śląsk czterdziestometrowego

pieca, od lat nieczynnego, ale traktowanego obecnie jako zabytek techniki. Lichy znał ten obiekt i dziwiło go, że wcześniej go sobie nie skojarzył z tym miejscem.

Zatrzymał się pod szlabanem i czekał, aż wyjdzie do niego ochroniarz. Ten najwyraźniej nie miał zamiaru, i czemu tu się dziwić w taką pogodę, ostatecznie jednak wyszedł, okutany jakąś współczesną odmianą kufajki. Widać było, że nie jest zadowolony, więc nim się zbliżył, Lichy otworzył okno i wystawił legitymację.

– Komisarz Lichy, KWP – powiedział.

– Policjant i taki wozik? – Ochroniarz się uśmiechnął.

– Po ciotce dostałem.

Ochroniarz zaśmiał się krótko, zgodnie z przewidywaniami Lichego. Ten tekst zawsze działał. Dobrze było wykorzystać dobry humor tego faceta.

– Jest szansa rozejrzeć się po obiekcie? – zapytał.

– A co? Mamy jakieś problemy?

– Nie. Ja mam. Muszę się przyjrzeć obiektowi oznaczonemu jako...
Moment.

Prześlizgał się palcem po ekranie komórki i zajrzał do notatek.

– Obiekt numer D26.

– D26? Nie mam pojęcia, co to. Pan chwilę poczeka, komisarzu – powiedział i szybkim krokiem skierował się ku strażnicy. Lichy zamknął okno. Czekając na ochroniarza, otworzył energetyka i wypił niemal duszkiem.

Faceta nie było dobre pięć minut, ale gdy wrócił, przyniósł pomyślne wieści.

– Może się pan tam rozejrzeć bez żadnego problemu, bo to teren wyłączony już z obszaru huty. To znaczy, wciąż na naszym terenie, ale już poza ogrodzeniem. To własność prywatna. Tylko... – zasępił się. – No, tym to pan tam nie dojedzie. Bo to na około trzeba. Kawalek w stronę średnicówki, i jak będzie wjazd na bramę numer cztery, to dosłownie obok, równolegle biegnie taka gruntowa droga. I tą drogą cały czas prosto, dobry kilometr, bo to nad samym Edwardem.

– Edwardem?

– Stawem Edwarda. Tam pan przejedzie pod torami i zaraz w prawo. Znajdzie pan, bo tam już nic więcej nie ma. No, ale teraz to tam zasypane. Gdzie pan tą wyścigówką pojedzie?

– Myśli pan, że nie da rady?

– Bez szans. Tam nawet jak sucho to dziury takie, jakby czołgi jeździły. Chyba że... A to coś ważnego?

– Słyszał pan o sprawie Szafarza?

– *Jezus Maria*, pewnie, że słyszałem. – Ochroniarz się przeraził. – Dobrze, że tylko raz do roku zabija, ale córek to ja na sylwestra więcej nie puszczę.

– Szukam go. I jestem blisko.

Ochroniarz wahał się jeszcze chwilę. Gliniarz w korwecie nie mógł o tym wiedzieć, ale właśnie wyobraził sobie swoją siedemnastoletnią Magdę i jej reakcję na zakaz wyjścia z przyjaciółmi na imprezę sylwestrową. Ostatnio usiłował zabronić jej wyjścia na andrzejki. Przykro się to skończyło.

– Dobra – powiedział. – Wyślę panu pług. Ta droga jest w sumie pod naszym zarządem, więc i tak wypada ją czasem odśnieżyć.

– Wspaniale. Dziękuję.

– Tylko... Wie pan, to własność prywatna, ale...

– Nie przewiduję problemów.

Bodaj nigdy w życiu nie pomylił się tak bardzo.

ROZDZIAŁ 34

Kierowca miał na imię Kazik i za pomocą swojego ursusa rozprawił się ze śniegiem bardzo szybko. Wrócił po piętnastu minutach, meldując, że droga jest przejezdna. Oczywiście zlecenie nie przypadło mu do gustu, bo dopiero co skończył odśnieżać teren huty i miał nadzieję posiedzieć chwilę w cieple, ale Lichy był przygotowany na taką sytuację. Dobrze wiedział, że na bramie nie mają obowiązku go wpuścić, a ich dobra wola zależeć będzie od dobrego humoru lub ewentualnych korzyści pozamaterialnych. Dlatego jeszcze w Galerii Katowickiej kupił butelkę Soplicy. Dziwnie się z tym czuł. To było nowe doświadczenie. Kupić wódkę i jej nie wypić. I cóż. Obeszło się bez przekupywania ochrony, ale Lichy nie chciał mieć tej flaszki przy sobie. Ot tak, na wszelki wypadek. Podarował ją więc Kazikowi, któremu ten drobny wyraz wdzięczności bardzo przypadł do gustu.

Obszar, który teraz Lichy przecinał, równie dobrze mógłby być zlokalizowany na księżycu. To już drugi raz w ciągu jednej doby Lichy zwiedzał przemysłowe okolice. Jednak o ile teren przyległy do stacji rozrządowej w Tarnowskich Górach zachowywał jakieś pozory cywilizacji, o tyle tutaj nie było dosłownie nic. Tą drogą od lat nikt nie jeździł do pracy. No, może oprócz mordercy. Droga wiła się przez nieużytki. Z jednej strony była dzicz, z drugiej betonowy mur. Choć, prawdę mówiąc, w przeciwieństwie do wczorajszej, dzisiejsza ulica miała swoją nazwę. Stalowa.

Pan Kazik wykonał swoją pracę bardzo starannie, jednak prócz przejezdnej drogi, zostawił też parę głębokich kolein i Lichy musiał

uważać, by w którąś nie wjechać. Ze swoim niskim zawieszeniem mógłby w niej zostać aż do wiosny. Było to tym trudniejsze, że ubity śnieg był bardzo śliski i auto z rzadka tylko jechało tam, gdzie Lichy chciał. Najtrudniej było, gdy dojechał do tunelu pod torami kolei przemysłowej. Tam było najwięcej dziur, a droga biegła stromo w dół. Przez chwilę bał się, że po drugiej stronie nie uda mu się wyjechać, ale jak zwykle w takich sytuacjach, logika swoje, a rzeczywistość swoje i korweta spisała się na medal.

Niewiele było widać, bo śnieg zasypywał szybę, a wycieraczki nie nadążały z jego usuwaniem. Lichy miał ustawione długie światła, ale niewiele mu to pomagało, a tylko męczyło oczy. Jednak po kilku minutach jazdy ujrzał w oddali pojedynczą latarnię przemysłową, rzucającą snop pomarańczowego światła. Jadąc w tamtą stronę, zauważył odnogę drogi, którą uprzejmy pan Kazik, świadom celu jego podróży, również odśnieżył. Lichy skręcił, przejechał jeszcze sto metrów i dojechał do wysokiego na przynajmniej dwa i pół metra muru. Był na miejscu. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości, bo mur na całej długości pokryty był wypłowiałym już wprawdzie, ale wciąż czytelnym graffiti, a wśród wielu różnych motywów i napisów, Lichy natychmiast wypatrzył trzy wielkie litery „NYC”.

Wysiadł z auta i założył na głowę czółówkę. Natychmiast w nozdrza uderzył go charakterystyczny smród. Nie do pomylenia z czymkolwiek innym. Gdzieś tu musiało być wysypisko.

Na teren posesji wjeżdżało się przez szeroką, żelazną bramę. Tyle że była zamknięta. Otwór na klucz miał wielkość dojrzałej wiśni. Nie było wątpliwości, że wariant siłowy nic nie da. Mur obiegał posesję ze wszystkich stron, również od strony wody. Wchodził wprost do stawu

i ciągnął się dobre dwadzieścia metrów, a potem zakręcał pod kątem prostym. Lichy nie mógł dostrzec, co było dalej. Może z wewnątrz się uda.

– Przepraszam cię, kochana – powiedział do korwety, po czym wspiął się na jej maskę, z maski na dach, pilnując, by nie stawać na środku i nie zrobić w nim dziury. A z dachu miał już tylko nieco ponad metr do krawędzi muru. Ledwie kilka dni abstynencji znacząco poprawiło jego kondycję i siłę, więc podciągnął się bez problemu, choć przedramiona bolały go jak diabli. Zeskoczył po drugiej stronie i ujrzał cel swojej podróży. Gmach był upiorny. Wyglądał bardziej jak z Gotham City niż Rudy Śląskiej. Betonowy, poskręcany, bez jednego kąta prostego. Musiał być jakąś starą przepompownią, bo po zawieszanej wysoko nad ziemią kratownicy wciąż jeszcze przebiegały stare, sterane reumatyzmem i rdzą rury doprowadzające wodą. Budynek miał dobre piętnaści metrów wysokości. Wysoko, tuż pod podbitką dachową czerniały równomiernie rozstawione, niewielkie otwory okienne. Wszystko sprawiało wrażenie, jakby lada moment miało runąć. Ale przecież stało tu już dobre sto pięćdziesiąt lat.

I tylko drzwi, kurwa jego mać, były nowoczesne. Szklął się obok nich dotykowy panel na kod. Lichy wstukał „1234” i „9876”, a potem zaniechał prób. Bo jak niby miał się domyślić? Nawet jeśli kod nie był przypadkowym ciągiem cyfr, tylko faktycznie coś oznaczał, to przecież nie Kowalczyk, a Qamal Quasim był właścicielem tego budynku. I zapewne autorem kodu. A Lichy nie miał pojęcia, co to za człowiek.

Okna były za wysoko. Wprawdzie do ściany przylegała jakaś dziwna konstrukcja, której głównym zadaniem musiało być przenoszenie napięć pomiędzy kratownicą z rurami a budynkiem, ale Lichy nie dałby rady w taką pogodę wdrapać się piętnaście metrów do góry. Zresztą nie miał jakiegokolwiek pewności, że przez okno da się wejść, że nie ma za nim takiej

samej przepaści, no a przede wszystkim, jak to sobie sam zdefiniował, jeszcze go aż tak nie pojechało, by włączyć na tę rudere.

Ale wycofać się przecież też nie mógł. W tym budynku było wyjaśnienie zagadki. Czuł to. Musiał tam wejść. Być może wewnątrz przetrzymywana jest porwana kobieta? Zaraz, czy Doba potwierdził mu odebranie zgłoszenia o zaginięciu jakiejś kobiety? Chyba zapomniał zapytać. Nieważne. Musiał tam wejść i koniec.

A była już tylko jedna szansa. Wejście od strony wody. Budynek nie tyle nawet sąsiadował ze Stawem Edwarda, co w pewnej części był na nim posadowiony. Skrajnia budynku stała na długich, drewnianych palach wbitych w wodę. Obiekt dysponował czymś w rodzaju awanportu. Poprowadzony po dnie stawu mur, ten sam, który Lichy zdołał już pokonać, tylko w jednym miejscu otwierał się na staw, ale nawet tam dostępu broniły zapięte na kłódkę łańcuchy, więc przypadkowy wędkarz łowiący z łodzi nie miał szans się przedostać na teren obiektu. Krótko mówiąc, staw stanowił doskonale zabezpieczenie przed obcymi.

Ale nie dziś. Nie po tygodniu mrozów. Lichy nie widział wprawdzie lodowej tafli, bo zasypana była śniegiem, ale musiała być wystarczająco mocna, by go utrzymać. Fizyka to fizyka. Wziął oddech i wszedł na lód. Przystanął na moment, ale nic się nie wydarzyło. Zdawało mu się, że słyszy jakieś odgłosy, że lód chrupie mu pod nogami, ale to musiało być złudzenie. Ruszył powoli wzdłuż pali. Zalegający śnieg ułatwiał spacer. Nie było ślisko. Trochę skrzypiało, ale czy miało to mieć jakieś znaczenie? W promieniu pół kilometra nie było żywego ducha. Nie włamywał się do ściśle chronionego obiektu w środku miasta, tylko do starej, nieużywanej rudery na kompletnym pustkowiu.

Bardzo szybko okazało się, że to był dobry pomysł. W połowie długości, z piwnicznej części budynku wystawała ogromnej średnicy betonowa rura.

Niewątpliwie służyła do zrzutu wody, ale gdy Lichy zajrzał do środka, odkrył, że miała jeszcze jedno zastosowanie. Wewnątrz zbudowano niewielką przystań. Zmurszały, ale wciąż funkcjonalny, drewniany pomost przylegał do ściany, a do niego przywiązano niewielką, uwieczoną obecnie w łodzi drewnianą łódź. Jej rufowa część przykryta była plandeką i Lichy poczuł naraz ogromną potrzebę, by zajrzeć do środka.

Wszedł do rury. Tu nie bał się już tak bardzo. Wprawdzie wewnątrz mogło być cieplej i lód mógł być słabszy, ale jeśli rura zachowywała swój kolisty przekrój, miał pod nogami nie więcej niż metr wody. Przestał się więc ociągać i dynamicznym krokiem ruszył ku łodzi. Zdarł plandekę. Ukryto pod nią niewielki silnik. Łódź miała własny napęd. Ale Lichy dostrzegł coś jeszcze. Pozostałości zielonej farby. I krew. Bardzo dużo zaschniętej krwi.

Głowa ruszyła do pracy. Sama z siebie. Po prostu zamiast myśleć, co miał tu do zrobienia, zaczął analizować strzępki informacji, które zostały mu się w pamięci. A one naraz poukładały się w całość.

Lichy wyjął komórkę, uruchomił mapę, chwilę pogmerał palcami przy ekranie, po czym zaśmiał się głośno. Radośnie, bo wiedział, że jest blisko. Bardzo blisko. Według Rusłana Traficar czekał na akcję w zagajniku przy ulicy Mieleckiego w Świętochłowicach. A przecież to ledwie kilometr od przeciwległego brzegu Stawu Edwarda. Trzy minuty drogi. Niewiele by to znaczyło, gdyby nie ta łódź. Rusłan mówił, że trasa przejazdu wiodła obok wysypiska – czyli właśnie tamtędy. Po drugiej stronie stawu. Morderca ładował zwłoki do łodzi. Przewoził je na drugą stronę. Potem podjeżdżał autem i gotowe. Przeładunek zajmował mniej niż dwie minuty. Dlatego Rusłan nie znalazł niczego w telemetrii. Dzięki takiej procedurze, można się było stąd wymknąć w sposób całkowicie niezauważalny. Sprytnie. Ale

wciąż pozostawała kwestia tego, dlaczego morderca wynajął Traficara? Przecież mógł to zrobić...

Lichy znów się roześmiał.

– On nie ma samochodu – powiedział na głos. – On po prostu nie ma samochodu. Wcześniej musiał mieć. Teraz nie ma. Nie wynajął Traficara dla zmyłki tylko z przymusu.

Lichy wcześniej w ogóle nie brał tego pod uwagę, ale nic dziwnego. Dotąd uważali, że zwłoki przeładowano w zagajniku przy Mieleckiego. Gdyby tak było, morderca musiałby mieć auto. Ale skoro tam nie było żadnego przeładowania, skoro zwłoki zabrano bezpośrednio z łodzi, to wszystko zmieniało.

To tu, to naprawdę tu – pomyślał.

Wskoczył na pomost. To przecież oczywiste, że stąd musiało być jakieś wejście do środka. I było. Również z drzwiami na kod, ale otwarte. Nikt nie pomyślał, by zabezpieczać te drzwi.

Klatka schodowa była wąska i szło się nią zaskakująco długo. Wkrótce wyjaśniło się, dlaczego. Na samej górze Lichy trafił na drzwi, a gdy je pchnął, znalazł się wewnątrz budynku, na galerii zawieszanej pod samym sufitem. Stąd na dół można było się dostać po stromo opadających, kratownicowych schodach. I była to przerażająca wyprawa, więc Lichy odwlekał ją, jak długo mógł. Otaksował najpierw wzrokiem cały budynek, a każdym razie tyle, na ile pozwalała mu moc latarki. Ściana od podłogi po sufit, ułożona w poprzek długości budynku, dzieliła go na dwie części. W tej, w której Lichy się znajdował, urządzono coś w rodzaju teatru. Na dole, kilkanaście metrów pod jego stopami ułożono scenę. Nie miała żadnych kulis, krzesła widowni ustawione były dookoła. Wszystkie ściany pokryto graffiti. Motywów były setki. Malunki zaczynały się równo

z betonową podłogą, a kończyły przy powale. I wypełniały każdą wolną przestrzeń.

Co było w drugiej części, tego Lichy wiedzieć nie mógł. A bardzo chciał. Dlatego w końcu przemógł się i zszedł po kratownicy w dół. Rozglądając się na boki nie dostrzegł niczego szczególnego, dlatego od razu ruszył ku niewielkim drzwiom wiodącym do drugiego pomieszczenia. Pchnął je, a one wpuściły go z cichym skrzypnięciem. By wejść do środka, musiał się nieco przygarbić.

Kolejna sala, a raczej jej aranżacja zrobiła na Lichym piorunujące wrażenie. Znalazł się w ogromnej galerii z setkami, a może tysiącami zdjęć. Były ogromne, miały przynajmniej dwa metry wysokości. Ale nie umieszczono ich na ścianach ani żadnych tablicach. Zwisały wprost z sufitu. Długie, wytrzymałe i niemal zupełnie niewidoczne żyłki utrzymywały zdjęcia na wysokości oczu widza. Zdjęcia przedstawiały ludzi w pełnym wymiarze. Wszyscy byli nadzy. Mężczyźni i kobiety. Niekiedy światło wydobywało tylko twarze, innym razem twarzy nie było widać zupełnie. Część zdjęć eksponowała delikatne krągłości mięśni, inne intymne części ciała, niektóre przedstawiały dwie osoby, niekiedy ujęte w intymnej sytuacji, a innym razem wręcz w zupełnie pornograficznym ujęciu, naświetlając wszystkie szczegóły zbliżenia. Nigdy jednak nie były pozbawione smaku. Wyglądały pięknie, a jednocześnie było w nich coś przerażającego.

Początkowo Lichy nie potrafił się w tym odnaleźć. Gdy wkroczył między fotografie, zdawało mu się, że otaczają go z każdej strony, uniemożliwiając zrobienie kroku w jakąkolwiek stronę. Wkrótce jednak zrozumiał, że choć istotnie, ekspozycja tworzy labirynt, to istnieje w nim trasa, którą należy podążać. Coś jak kierunek zwiedzania albo ścieżka zakupowa w IKEI.

Idąc, nie potrafił się skupić, tak bardzo zabsorbowały go zdjęcia. Każde miało w rogu sygnaturę. Zawsze taką samą – „QQ”. I choć Lichy nie uważał się za osobę szczególnie wrażliwą na sztukę ani szczególnie na sztukę podatną, czuł, że te obrazy mówią do niego. Szepczą. Szepczą o samotności. O potrzebie kontaktu z drugim człowiekiem. O substytucie relacji, czymś, co można sobie obejrzeć, ale czego nie można dotknąć, poczuć, posmakować.

W końcu wystawa się skończyła i Lichy doszedł do kolejnej ściany. Nie spodziewał się tego. Wcześniej założył sobie, że budynek podzielony jest na dwie części. A jednak była jeszcze trzecia. Ta ściana również sięgała sufitu. Ale w drzwiach nie musiał się pochylić. W przeciwieństwie do poprzednich, były bardzo wysokie. Lichy pchnął je i wszedł do środka.

Tu było zupełnie ciemno. Musiała to być część prywatna lub administracyjna. A może jedno i drugie. Obracając głowę z umiejscowioną na niej czołówką, Lichy wydobywał z mroku kolejne obrazy. Gdy przyjrzał się bliżej, zrozumiał, że ściany są pomalowane na zielono. Czy tą samą farbą, co ciało Joanny Laudy? Być może. Ale ta zieleń pokryta była czymś jeszcze. I naraz serce niemal wyskoczyło mu z piersi. Już wcześniej ją poczuł, niż zobaczył, ale to była krew. Tu wszędzie była krew. Zasnęta, szerniała, wsiąknięta w betonową podłogę, porozbryzgiwana na nielicznych drewnianych meblach, stanowiła po prostu spójny element wystroju tego miejsca.

Lichy szedł dalej, a krew na podłodze gęstniała. I w końcu dostrzegł to, po co tu przyszedł. Co miał nadzieję tutaj znaleźć. Pośrodku pomieszczenia, na niewielkim drewnianym podwyższeniu, stała ogromna, wysoka na przynajmniej pięć metrów, drewniana gilotyna. Ukośne ostrze oparte było o dolną poprzeczkę. Po ostatnim użyciu, nikt go na powrót nie uniósł. Urządzenie skąpane było we krwi. Lichy obszedł je dookoła, żałując,

że nie zabrał ze sobą choć uproszczonego zestawu do zbierania próbek. Być może udałoby się pozyskać jakiś materiał DNA do analiz. Być może mógłby ponad wszelką wątpliwość udowodnić, że właśnie tym urzędnikiem Szafarz zabił swoje ofiary.

Tymczasem jednak, wciąż szukając nowych śladów, Lichy dostrzegł coś, co zupełnie tu nie pasowało. Czerwone pulsujące światełko, zlokalizowane gdzieś pod ścianą. Zaciekawilo go to. Może był tu jakiś telewizor? A może kamera? Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby taki zwyrodnialec jak Szafarz nagrywał swoje zbrodnie.

Lichy ruszył w kierunku migające lampki, ale przeżył rozczarowanie. To był elektroniczny sejf. Zamknięty i nie do ruszenia, bo wmurowany w ścianę. Lichy zupełnie bez sensu wprowadził jakąś kombinację. Nie miał pojęcia co z tym zrobić. Może w środku było coś ważnego? Coś, co pomogłoby mu rozumieć, o co tutaj chodzi. Kim jest Szafarz? Dlaczego zabija? I dlaczego ostatnio wszystko się zmieniło?

Obok sejfu stało biurko, a pod biurkiem plastikowy kosz na śmieci. Lichy omiótł go snopem światła. Kubeł był pusty, ale kawałek dalej, trochę głębiej, bliżej ściany, coś leżało na podłodze. Jakiś papier. Policjant uklęknął, wyciągnął się i udało mu się chwycić palcami. To było zdjęcie. Wciąż klęcząc, Lichy przyjrzał mu się i aż krzyknął.

Co tu się dzieje, do cholery? O co tu chodzi? Setki skojarzeń przebiegły mu przez głowę, w ułamku sekundy postawił dziesiątki konstrukcji myślowych, ale żadna nie potrafiła wytłumaczyć tego, co właśnie oglądał.

Na zdjęciu stała młoda kobieta. Wyprostowana, poważna, dumnie spoglądająca w obiektyw. W dłoniach trzymała głowę Aleksandry Bierut, trzeciej ofiary, odnalezionej w Gliwicach. A kobietą tą była Dorota Wardęga. Trzymała w dłoniach tę samą głowę, którą jej ciało trzymało rok później, gdy to ona została ścięta.

I naraz ogarnęła go ciemność.

ROZDZIAŁ 35

Gdy się ocknął, siedział na podwyższeniu z obiema rękami przypiętymi plastikowymi opaskami zaciskowymi do gilotyny. Nie mógł się ruszyć. Ktoś klepał go po twarzy. Delikatnie. Niemal z troską.

– Lichy... Lichy... Jesteś już ze mną? Lichy...

W głowie mu łupało i przez to nie mógł się skupić. W dodatku ten człowiek wciąż do niego mówił, wciąż powtarzał jego nazwisko. Konfundowało go to. Znał ten głos, za chwilę zdał sobie sprawę, że twarz też zna. Ale czy to możliwe? Czy rzeczywiście stał przed nim Kowalczyk?

– Skąd... Skąd się tu wziąłeś? – zapytał, usiłując zapanować nad odrętwiałym językiem.

– Zrobiłem to, co sam mi poradziłeś – odparł wesoło Kowalczyk. – Wziąłem przepustkę. Zakład półotwarty, pierwszy wyrok, prawie połowa odsiedziana i doskonałe zachowanie przez cały okres odbywania kary. Dyrektor przyznał mi przepustkę od ręki. Ale nie mam za wiele czasu, a sporo do zrobienia.

– Co masz do zrobienia, panie Chelmoński?

Kowalczyk zamarł, zrobił wielkie oczy, po czym się uśmiechnął.

– Ooo – zachwycił się. – Jesteś naprawdę dobry, Lichy. Zrozumiałem to, kiedy odwiedziłeś mnie w pace. Świetne to było. Mam na myśli to pytanie, jakim cudem rozpoznałem ciało Kasi Lisieckiej, skoro miała cudzą głowę. Widzisz? Setki razy to wszystko analizowałem, ale nie udało mi się zachować czujności. Jesteś naprawdę dobry. Dużo lepszy niż ci, co badali to przed tobą. Rysiek Modling... Nie wiem, czy wiesz, on kiedyś był

wspaniałym gliną. Ja tego nie wiedziałem, ale w pace miałem sporo czasu na uzupełnianie wiedzy. Za komuny to był jeden z najlepszych kryminalnych w kraju. Szkoda, że to minęło. No, ale nic. Co już wiesz, Lichy? Opowiem ci wszystko, ale ciekaw jestem, co zdołałeś odkryć sam.

– Niewiele – przyznał Lichy. – Trochę różnorodnych faktów, które w nic mi się nie łączą. A raczej nie łączyły, bo to zdjęcie daje do myślenia.

– Nie zauważyłem, że mi spadło. – Kowalczyk wzruszył ramionami, jakby chciał Lichego przeprosić.

– Wiem o New Year Crew i waszym projekcie, a także o tym, że ciała były eksponowane w tych samych miejscach, w których dawniej namalowane były wasze prace.

– Brawo – rzekł z uznaniem Kowalczyk. – Szczerze mówiąc, dziś tego żałuję. Tego, że wybrałem akurat takie miejsca. Pycha mnie pokonała, wiesz? Koniecznie chciałem sobie dodać trochę splendoru. Ale prawdę mówiąc, ponieważ minęło kilka lat, nie spodziewałem się, że ktoś może złapać tę paralełę. Kolejny raz chylę czoła. Coś jeszcze?

– Wiem o Qamalu.

Kowalczyk drgnął i wyprostował się. Z twarzy zniknął mu uśmiech. Przez ułamek sekundy, Lichemu zdawało się, że Kowalczyk opuścił swoje ciało i poszybował gdzieś hen, pod powałę. Że go tu nie ma. Ale Kowalczyk był i doszedł do siebie całkiem szybko.

– Co wiesz o Qamalu? – zapytał.

– Niewiele. Szwajcarski artysta, podobno wysokiej klasy. Raczej dość bogaty. Wiem też, że byliście blisko, co stoi w sprzeczności z twoim zeznaniem, że Zielskiego zabiłeś z powodu kobiety. Tym bardziej że Zielski też był homoseksualistą. Wiem to na pewno.

– Czekał... Czekał... – Kowalczyk zdawał się nie rozumieć, albo starał się udawać, że nie rozumie. – To nie tak, coś ty. Nie jestem homo. Nie mam

nic przeciwko, jestem człowiekiem XXI wieku, ale gejem nie jestem. Qamal też nie... Qamal też nie był gejem, skąd ci to przyszło na myśl? To absurd.

– Widziałem zdjęcie, Robert.

– Jakie, kurwa, zdjęcie, Lichy? O czym ty mówisz?

– Zdjęcie, na którym Qamal robi ci loda.

– Co...? – Tym razem Kowalczyk był naprawdę szczerze zdumiony. Chyba nawet się trochę zarumienił. Wprawdzie teraz w pomieszczeniu paliły się lampy, ale nie dawały dość światła, by Lichy mógł mieć pewność.

– Zdjęcie, na którym...

– Słyszałem – przerwał, podnosząc głos. – Ale skąd masz takie zdjęcie? Gdzie zostało zrobione?

– W trakcie jakiegoś undergroundowego wernisażu, w prywatnym domu... Wiesz co? Wyjmij mi z kieszeni komórkę i sam zobacz. Jest w galerii.

Kowalczyk zrobił to bez zastanowienia. Sięgnął do kieszeni Lichego, odblokował ekran, bo Lichy nie ustawił żadnego zabezpieczenia, sprawnie odnalazł galerię, zupełnie jakby ostatnich siedmiu lat nie spędził za murami więzienia, i w końcu znalazł to, czego szukał.

– Ja pierdołę – powiedział. – Totalne porno. Skąd to masz?

Lichy zastanawiał się, czy powinien odpowiedzieć, ale uznał, że nie ma wiele do stracenia.

– Od Tytusa.

– A to skurwiel! – krzyknął Kowalczyk. – Cholerny Tytus z Barwałdu. Nie znoszę tego gościa. Nikt go nie znosił. Domorośły paparazzi, kurwa jego mać! Aż dziwne, że nigdzie tego nie opublikował.

– Czekał na lepszą okazję, ale nigdy się jej nie doczekał.

– Dobra, nieważne. To niczego nie zmienia. Qamal nie był gejem.

– Robert...

– Qamal nie był gejem.

Lichy westchnął. To donikąd nie prowadziło.

– Posłuchaj mnie, Lichy, to może coś w końcu zrozumiesz. Qamal nie był gejem. Nie mógł nim być. Bo Qamal w ogóle nie był mężczyzną.

Lichy zdał sobie sprawę, że chyba domyślił się chwilę przed tym, jak Kowalczyk mu o tym powiedział. Domyślił się i zrozumiał, co to znaczy.

– Pierwsza głowa – szepnął. – Kruczoczarne, kręcone włosy.

– Tak. – Kowalczyk westchnął. – Wybacz te opaski, Lichy. Są niestety koniecznością. Ale mam nadzieję, że jest ci wygodnie. Zasłużyłeś sobie, żeby dowiedzieć się trochę więcej, niż ci planowałem powiedzieć.

– Nie mógłbyś mi chociaż jednej odpiąć? Zapaliłbym.

Kowalczyk zastanowił się nad tą propozycją i najwyraźniej uznał, że jest dopuszczalna, więc wyciągnął z kieszeni scyzoryk i rozciął jedną opaskę. Lichy odetchnął z ulgą. Prześladowca wybrał akurat tę, która była mocniej zaciśnięta i sprawiała mu ból. Jedną ręką wysunął z kieszeni paczkę papierosów, wyjął z niej jednego i wsadził do ust. Potem podpalił.

– Tak naprawdę nazywała się Qadira Quereshi – powiedział Kowalczyk.
– Oczywiście, początkowo o tym nie wiedziałem. Poznaliśmy się przez wspólnych znajomych. Ona przyjechała do Polski ze swoim projektem, a ja po prostu poszedłem go zobaczyć. Byłem oczarowany. Zakochałem się natychmiast i faktycznie, w pierwszej chwili przeraziłem się, że jestem gejem. Wiesz, o co mi chodzi. Człowiek jednak ma swoje lata, trochę jakiegoś doświadczenia, a tu nagle taka niespodzianka. Ale po prostu się zakochałem. Ona też to poczuła. Ja starałem się to w sobie zwalczać, ona nie chciała się z tym pogodzić i w końcu wszystko mi wyznała. To była nasza pierwsza noc. Na zmianę kochaliśmy się i rozmawialiśmy. Nikt na świecie nigdy nie wywarł na mnie takiego wrażenia. Qadira była Saudyjką,

ale o europejskiej mentalności. Jej mama była Szwajcarką, piękną kobietą, która, zupełnie jak w bajce, poznała saudyjskiego księcia i wyprowadziła się do Rijadu. Qadira nie chciała się jednak pogodzić z rolą, jaką przygotował dla niej ojciec. Kochała sztukę i chciała być artystką. Na to oczywiście nie mogło być zgody, więc zaczęła pracować w ukryciu. Przybrała postać Qamala i zaczęła działać w artystycznym podziemiu. Miała wtedy szesnaście lat. Ale jej praca zyskiwała rozgłos i w końcu została odkryta. Czy wiesz, co w Arabii Saudyjskiej grozi kobiecie, która podszywa się pod mężczyznę? Na szczęście papa kochał swoją małą córeczkę, więc tylko się jej wyrzekł i wypędził z kraju. Mogło być gorzej. Zwłaszcza że dał jej na pożegnanie bardzo dużo pieniędzy. Qadira wyjechała do Lucerny. Byłeś kiedyś w Lucernie?

– Nie – powiedział Lichy.

– Mógłbyś pomyśleć, że wszystko dobrze się skończyło i Qadira była w końcu wolna. Otóż nic bardziej mylnego. Nie była tego typu kobietą. Nie wybierała najprostszych dróg. Zzerało ją poczucie żalu, ale zrozumiała też, że los zgotował jej rolę ambasadorki wszystkich saudyjskich kobiet. I postanowiła opowiedzieć o ich losie całemu światu. Opracowała więc projekt i poprosiła mnie, bym jej pomógł. A ja się zgodziłem, Lichy. Zgodziłem się z miłości. Z niewiarygodnie silnej, trudnej do objęcia ludzkim rozumem miłości. Bo projekt zakładał jej śmierć.

Kowalczyk zamilkł na chwilę. Po policzku płynęła mu łza. Był bardzo wrażliwym i łatwo poddającym się emocjom człowiekiem. A Lichy zastanawiał się, w jaki sposób mógłby to wykorzystać. Bo owszem, ciekaw był tej historii. Nawet bardzo. Chciał się dowiedzieć, co to za projekt i jaki związek mają z nim kobiety zamordowane w GOP-ie. Ale wiedział, że prędzej czy później historia się skończy, a wówczas będzie musiał podjąć próbę walki o życie. I aż się uśmiechnął. On, który niedawno jeszcze tak

bardzo pragnął śmierci, teraz będzie musiał zrobić wszystko, by jej uniknąć.

– Mów dalej – poprosił. Kowalczyk drgnął, jakby faktycznie przez chwilę nie było go w tym magazynie, a na dźwięk słów Lichego rzeczywistość zassała go z niebytu i wetknęła na powrót do ciała.

– Projekt nazywał się „Lerben”. Taka niemiecka gra słów. „Leben” to żyć. „Sterbern” to umierać. To miał być projekt o życiu i śmierci. Jedenaście głośnych projektów *performance’*owych, które miały przynieść Qamalowi ogromną, międzynarodową sławę. Jeden rocznie. A w dwunastym, największym, zrealizowanym na żywo przed ogromną publicznością, rzucenie maski i śmierć. „Saudyjska artystka musi umrzeć” – takie miały być jej ostatnie słowa. Rozumiesz, Lichy? A, głupie pytanie. Oczywiście, że nie.

Ale Lichy rozumiał. Dużo lepiej niż Kowalczyk mógł przypuszczać. Bo choć gdy spotkali się po raz pierwszy, więzień wykazał się wiedzą na jego temat, to przecież tego, co było skrzętnie skrywane przed światem, dowiedzieć się nie mógł.

– No więc zgodziłem się – ciągnął Kowalczyk. – Zostałem jej managerem. Jeszcze tego samego dnia, ot tak po prostu, dała mi dostęp do wszystkich swoich aktywów. Do konta w szwajcarskim banku, na którym leżało sobie pięćdziesiąt milionów dolarów. Do skrytek depozytowych. Zostałem dysponentem. Mogłem wszystko.

– W takim razie co poszło nie tak? – zapytał Lichy. – Qadira miała umrzeć na końcu projektu. A umarła na początku. Bo przecież „Szafarz” też jest czymś w rodzaju artystycznego projektu. Teraz to jasne.

Kowalczyk przetarł dłonią twarz. Patrzył chwilę na Lichego, a potem kiwnięciem głowy wskazał na leżącą na podłodze paczkę papierosów. Lichy kiwnął głową zapraszająco. Kowalczyk wyciągnął papierosa i odpalił.

– Co poszło nie tak? Jestem pewien, że się domyślasz. Muszę to powiedzieć: masz naprawdę błyskotliwy umysł. Nawet powiedziałbym, że to dość stresujące, bo przy tobie każde słowo trzeba trzy razy zważyć, zanim się je wypowie. Więc co poszło nie tak, Lichy?

– Zielski?

– Zielski. Mój stary ziomeczek Flora, członek mojej ekipy od zawsze. Tyłu świetnych rzeczy razem dokonaliśmy. Niestety, w ostatnich latach bardzo się zradykalizował. Zaczął coś bredzić o obowiązkach wobec narodu, kręcił się wokół kiboli i różnych innych ekstremistów. Ewidentnie skręcał na prawo. Ale do pewnego czasu mi to nie przeszkadzało. Staralem się go zrozumieć, serio. On był bardzo nieszczęśliwy. Gej, który nie akceptował swojego gejostwa i który przenikał w coraz bardziej homofobiczne środowiska, podejmował coraz bardziej homofobiczne działania, jakby sam chciał się ukarać. Co jednak oczywiście nijak nie wpływało na jego pociąg. I pech chciał, że strasznie się napalił na Qamala. Jak tylko go poznał. Robił mi wyrzuty. Że on był pierwszy, że mi o tym mówił, a ja przecież nigdy nie gustowałem w facetach, a teraz nagle mu odbijam chłopaka, który należał do niego. Tak to określił. Należał do niego. To był już ten etap. Flora nie pytał. Flora decydował. Stał się bardzo nieprzyjemny. I dla mnie, i dla Qadiry. Trwało to kilka miesięcy. Wpadł w totalną obsesję. Zrobił się obleśny. Wiedział, że jesteśmy ze sobą związani. Miałem wrażenie, że nienawidził mnie już wtedy. W końcu sytuacja zrobiła się do tego stopnia nieznośna, że powiedzieliśmy mu prawdę. Myśleliśmy, że się odczepi, ale on zupełnie oszalał. Zachowywał się tak, jakbyśmy oboje z Qadirą zabili mu tego Qamala. Baliśmy się, że zrobi coś głupiego. Ale nie że aż tak.

– Zabił ją? – zapytał Lichy.

– Dziewiętnastego kwietnia dwa tysiące dwunastego roku. Przyszedłem do naszego wspólnego mieszkania. Mieszkaliśmy razem od trzech miesięcy. Na stole w kuchni znalazłem jej głowę. Reszty ciała nie było. Ja pierdolę...

Osiem lat minęło, a on przeżywał wszystko tak, jakby to było wczoraj. Zgarbił się i rozplakał. Lichy go nie popędział. W jego interesie było, by wszystko trwało jak najdłużej.

– Nie masz pojęcia, przez co przechodziłem – powiedział w końcu Kowalczyk. – Wiem, wiem. To banał. Ale momentalnie rozpląnąłem się w powietrzu. Nie było mnie. Moje ciało snuło się nocami po mieście bez celu. Gdy raz na jakiś czas odzyskiwałem świadomość, znajdowałem je leżące w jakimś śmietniku albo opuszczonej ruderze. W końcu któregoś razu ja i moje ciało spotkaliśmy się w nocy na wiadukcie przy Trzech Stawach. Wdrapałem się już na łuk, spojrzałem na autostradę... I oprzytomniałem. Zrozumiałem, że nie mogę tego zrobić, bo wówczas przesłanie Qadiry przepadnie na zawsze. Postanowiłem, że zrealizuję własny projekt z jej przesłaniem. Ale nie będzie to już projekt o życiu i śmierci, a wyłącznie o śmierci. O zabieraniu życia i oddawaniu życia.

– Katarzyna Lisiecka była w to zaangażowana?

– Oczywiście. Wcale mnie nie dziwi, że na to wpadłeś. Właściwie w ostatecznej formie ona to wymyśliła. Łańcuch śmierci. Uczestniczka zabija inną uczestniczkę, a potem ma rok, by znaleźć i przygotować kolejną uczestniczkę, która zabije ją, a za rok sama pozwoli się zabić. I tak jedenaście razy. Dwunastego aktu dokonać miałem ja. W trakcie transmisji na żywo. Opowiadając o historii Qadiry. I nie miało znaczenia, co potem się stanie. Czy zgniję w pudle, czy może sam sobie strzelę w łeb. To niezwykły projekt, Lichy. Skala trudności jest niewyobrażalna. Ale wszystko przygotowałem. Bardzo szczegółowe instrukcje: gdzie, kiedy

i jak. Wszystko było w tym sejfie. Finansowałem to z pieniędzy Qadiry. Tę gilotynę zbudowałem sam. Cięcie musiało być idealne. Głowa ucinana była po śmierci. Kasia miała koleżankę. Anię Milewską. Ania miała raka i kilka lat życia przed sobą. Dała się namówić i projekt mógł się zacząć.

– Tylko nie przewidziałeś jednego, Robert. Że zabijanie może uzależniać.

– Zaufałem po prostu niewłaściwemu człowiekowi.

– Szachcie? Myślałem, że tylko robił dokumentację pośmiertną. Ale przecież nie wynająłeś drugiego fotografa, a sam przed chwilą widziałem zdjęcie z miejsca zbrodni, a nie miejsca wyeksponowania zwłok.

– Potrzebowałem go. Musiałem mieć pełną dokumentację. Potrzebny był też ktoś do pomocy, bo przecież w projekcie uczestniczyły tylko kobiety. Na przykład Ania Milewska, chora na raka, nie dałaby rady sama wyeksponować ciała. A ja Szachtę znałem od stu lat. Wychowaliśmy się na jednym podwórku. To gość bardzo łasy na pieniądze.

– Powiedział mi, że dostawał dziesięć tysięcy franków.

Kowalczyk wybuchnął śmiechem.

– Miesięcznie – powiedział.

– Miesięcznie?

– No, prawie. Dostawał co roku sto tysięcy franków.

– Dużo.

– Pewnie. Ale pieniądze nie miały znaczenia. A musiałem mu dużo płacić, bo zależało mi, by wytrwał w zadaniu aż do końca. Sto tysięcy franków na koniec roku to solidna zachęta. A po zakończeniu projektu miał dostać jeszcze osiemset tysięcy. Łącznie dwa miliony.

– I twierdzisz, że z tego zrezygnował?

– Może myślał, że się nie zorientuję? Ostatecznie ofiara to ofiara. Głowa to głowa.

– I dlatego pomalował ją na zielono?

– Nie wiem, Lichy. Ale się dowiem. Kiedy dowiedział się, że wychodzę, zwiął jak zajac.

– A Zielski? – Lichy zmienił temat, bo czuł, że tamten szybko się wyczerpuje.

– Ach, Zielski – powiedział Kowalczyk, odwracając się od Lichego i ruszając w kierunku niewielkiej szafy, stojącej nieopodal biurka. – Od zawsze go podejrzewałem, ale początkowo postanowiłem mu odpuścić. Najważniejszy był projekt Qadiry. Nie chciałem się rozpraszać.

Otworzył szafę i coś z niej wyjął. Lichy nie mógł dostrzec, co, bo szafa znajdowała się poza jego polem widzenia. Ale to coś wydało dziwny dźwięk. I przerażający. Odkorkowanie i krótki syk. Lichy wiedział, co to jest.

– Co zamierzasz, Robert? – zapytał, czując, że narasta w nim panika.

– Ale potem – ciągnął Kowalczyk, ignorując jego pytanie – dowiedziałem się, że Zielski ściągnął do tej roboty jakichś popaprzanych pseudo-dżihadystów z Berlina. Rozumiesz? Z Berlina do Katowic. Tak się skurwysyn zawziął. No i nie wytrzymałem. On mnie unikał. Zapadł się pod ziemię. Ale tytanem intelektu nie był. Prawdę mówiąc, pięknie malował, ale był zwykłym przygłupem.

Słodkawy zapach benzyny uderzył Lichego w nozdrza. Słyszał wyraźnie chlupanie cieczy w kanistrze. Gdy Kowalczyk ponownie znalazł się w jego polu widzenia, rozlewał właśnie benzynę po ścianach.

– Ściany chcesz podpalać?! – krzyknął Lichy. – To beton.

– Był taki niemiecki zespół hip-hopowy – kontynuował Kowalczyk. – Die Prise. Totalny underground, nawet już w dwa tysiące dwunastym roku.

Zielski ich uwielbiał, a oni akurat przyjechali do Częstochowy. Wiedziałem, że tam będzie. I był. Zadźgałem go jak psa. Nie, przepraszam. Psa bym nigdy nie zadźgał.

Gdy wyczerpała się zawartość kanistra, Kowalczyk wziął się za drugi.

– Niewiele brakowało, a wszystko poszłoby na marne – powiedział, podczas gdy Lichy usiłował zerwać opaskę spajającą go z gilotyną. Bezskutecznie. – Tych sokistów miało tam nie być. Ale jak mnie zatrzymali, to pogadałem z adwokatem. Powiedział, że jak się przyznam do zabójstwa Zielskiego, to dadzą mi dziesięć lat. A ja uznałem, że równie dobrze mogę przesiedzieć projekt w pierdlu. Było jeszcze bardziej ekscytująco. Materiały kazałem wysyłać do skrytki w szwajcarskim banku. I tyle. Dostałem więcej, ale jasne było, że i tak wyjdę wcześniej. A jak nie, to chociaż na przepustkę. Wiedziałem, że zdążę na moją część projektu.

Kanister huknął o podłogę. Echo wystrzeliło w górę i przepadło gdzieś w czeluściach okien. Kowalczyk oddychał ciężko. Z kieszeni wyciągnął zapalniczkę Lichego. W rękę trzymał nasączoną benzyną szmatę.

– Jest mi naprawdę bardzo przykro, Lichy – powiedział, podpalając materiał. Płomień buchnął tak mocno, że nieomal spalił mu dredy. Kowalczyk rzucił szmatę w kierunku ściany, a ta natychmiast zajęła się ogniem. – Nie chciałem cię zabijać. Naprawdę. Nie spodziewałem się, że cię tu zastanę. Ale to nic nie zmienia. Wciąż mogę dopaść człowieka, który próbował zniszczyć moje dzieło. A gdy to zrobię, reaktywuję projekt. A ty byś mi nigdy na to nie pozwolił. Wybacz.

– Wybaczam – powiedział głucho Lichy, być może nie do końca kontrolując, co mówi. Kowalczyka zaskoczyła ta odpowiedź. Spodziewał się innej. Zacisnął zęby. Ale przedstawienie musiało trwać.

– A te ściany nie są z betonu. – Podniósł głos, by przekrzyczeć narastający z każdą chwilą huk płomieni. – To stary, drewniany budynek,

kryty tynkiem na trzcinię. Spłonie jak pochodnia.

I odszedł. Ale nie tam, gdzie się Lichy spodziewał. Tu musiały być jeszcze inne drzwi. To było nawet zrozumiałe. Do biura musiało prowadzić osobne wejście. Ale Kowalczyk rozpląnął się w dymie tak szybko, że Lichy nie dostrzegł, w której części pomieszczenia zniknął.

Ogień tymczasem piął się po ścianach. Sięgał już powały. Niewiele było dookoła rzeczy, które mogłyby go przenieść ku Lichemu. Ale cóż z tego? Już teraz, ledwie minutę od pierwszej iskry, Lichy czuł, jak żar lepi mu się do skóry. Za kolejną czy dwie, nie będzie już żył. Jeśli nie temperatura go wykończy, to trujący dym. Jeśli nie dym, to dach, który niewątpliwie zaraz się zawali.

I naraz wszystko zwolniło. Ogień tańczył wesoło, uwodził i wyciągał ku niemu ręce. Ale nie dwie, a cztery, zupełnie jak Nataradża, jedna z form hinduistycznego boga Siwa, wszak w ikonografii również otoczonego ogniem.

– Chodź do mnie, Lichy – wołał ogień.

– Chodź do mnie – wołała śmierć.

A Lichy wyciągnął rękę w ich kierunku, bo oto nadeszło to, na co czekał od tak dawna.

– Rózo – wyszeptał, a łzy zalały mu oczy. – Kochanie. Wybacz mi...

I gdy już tracił przytomność, ledwie ostatnim kwantem świadomości, ujrzał przed oczami odpowiedź. Ujrzał mordercę. Ta jedna, jedyna myśl. To jedno, jedyne spostrzeżenie. Poczynione przecież już tak dawno. Bezdyskusyjne. Bezwzględnie logiczne. Niemożliwe do obalenia. Proste. Zbyt proste. Zbyt późno.

ROZDZIAŁ 36

Dzień 8

Lichy pozostał przytomny, choć była to przytomność pozorna. Słyszał głos, który go wołał. Czuł, jak ktoś przecina plastikową opaskę. Jak jakieś ręce z łatwością podnoszą go z ziemi, a potem niosą przez płonący labirynt. Uderzenie mrozu, tak silne, tak niespodziewane, że nieomal przyprawiające o szok termiczny. Widział korwetę, w której go posadzono. Rozumiał, że gdzieś jadą.

Ale to było jak sen i przez większość czasu Lichy był przekonany, że z tego snu już się nigdy nie obudzi.

A jednak się obudził. Siedział na śniegu, oparty o swoje auto. Gdzieś, na jakimś pustkowiu. Chyba tuż obok wysypiska, bo strasznie śmierdziało. W oddali słychać było zawodzenie strażackich syren, a okolicę rozświetlała luna.

– Już? Wróciłeś? – zapytał głos.

– Co?

– Wróciłeś?

– Kim jesteś? – zapytał Lichy, usiłując dostrzec twarz człowieka, który prawdopodobnie uratował mu życie. Wszystko miał rozmazane. W uszach wciąż słyszał huk, który zniekształcał słowa.

– To ja, Chutor. Posiedź jeszcze.

– Chutor? To ty?

– Masz, napij się.

Wziął butelkę, ale świadomość powróciła na tyle, że zawahał się przed wypiciem.

– To woda – wyjaśnił Chutor.

Lichy wypił zawartość butelki duszkiem. Potem westchnął i oparł się o samochód.

– Kurwa – jęknął. – Moje pety tam zostały.

– No tak.

– Co ty tu robisz? A, głupie pytanie. Cyra. Kazał mnie śledzić?

– Taaa. Masz pluskwę w aucie.

– Wie?

– Nie. Mnie wyznaczył. Ale jak zobaczyłem ogień, to straciłem głowę i zapomniałem go poinformować. Teraz już chyba nie ma po co.

– Daj losie, by wszyscy tak tracili głowę – powiedział Lichy, orientując się przy okazji, że jego własna pęka mu z bólu. Dym, żar, wszystko to dało mu się we znaki. – Masz jeszcze wodę? – zapytał.

– Wypiłeś wszystko.

– Jak się tu dostałeś?

– Autem. Stoi tutaj. Nie chciałem się ładować w te wertepy, więc przyjechałem tu, na drugą stronę stawu. Dalej poszedłem piechotą, ale, szczerze mówiąc, to był idiotyczny pomysł. Pół kilometra na całkowicie otwartej przestrzeni. Brakuje mi doświadczenia.

– Widziałeś, kto stąd uciekał?

– Nie. A kto?

– Możemy wsiąść do auta? Zimno.

– Jasne.

– Chutor... Spieprzaj na swoją stronę.

Nowo mianowany podkomisarz uśmiechnął się i choć już sięgał po klamkę drzwi kierowcy, oddał Lichemu kluczyki i przeszedł na drugą stronę auta.

– Fajna zabawka – pochwalił, gdy byli już w środku. – Ale niepraktyczna. Cudem tu dotarliśmy.

– Dzięki, że po mnie przyszedłeś. To już drugi raz ratujesz mi życie.

Chutor machnął ręką i był to gest pozbawiony protekcyjnej wymowy.

– Ale sypie. – Lichy westchnął. Chciało mu się spać. Tak bardzo, że nie miał pewności, czy uda mu się dojechać do domu.

– Dowiedziałeś się czegoś? – zapytał naraz Chutor, a Lichy nie chciał go oszukiwać.

– Tak – powiedział.

– Czego?

– Słuchaj... Jesteś fajnym gościem. Dawno to zauważyłem. Ale pewne rzeczy mają swoje konsekwencje. Skutkiem tego, że przystałeś do zespołu Cyry jest to, że ci nie ufam. Nawet mimo tego, że wyciągnąłeś mnie z ognia. Nie zapomnę ci tego, ale dokonałeś złego wyboru. I myślę, że już to wiesz. Poczuleś to wczoraj. Nie zareagowałeś, ale widziałem, że się męczysz.

– Co ty tam wiesz, Lichy?

– Wiem, że jak zaufasz Cyrze, to ściągnie cię na dno.

– Więc powinienem zaufać tobie, tak?

– Ja zakopie cię w mule.

– Ja pierdolę. – Chutor się zdenerwował, a Lichemu przyszło na myśli, że chyba jeszcze nie słyszał go przeklinającego. – Gadasz durnymi zagadkami. Musisz taki być? Nie możesz rozmawiać normalnie? Ciągle

tylko słyszę od ciebie te wszystkie bzdurne mądrości. Jak wtedy, o tej praworządności. To co to, kurwa, jest ta praworządność, panie Arystotelesie naszych pierdolonych czasów? Co?

– Nic, przepraszam.

– Wychowałem się na Brynowie. Dwanaście lat przed moimi narodzinami, ojciec milicjant pałował górników z „Wujka”. Większość z nich była naszymi sąsiadami. Rozumiesz? Minęło dwanaście lat, a ja wychowywałem się na pustyni. Byłem nikiem. Moja matka była nikiem. O ojcu nie wspomnę, chociaż umarł, gdy miałem trzy lata. Nie dostrzegano nas. Nie rozmawiano z nami. Nawet ksiądz nie przychodził do nas po kolędzie. Właśnie dlatego musiałem zostać policjantem.

– Świetne *origin story*.

– Nie wierzę... Otwieram się przed tobą, a ty się ze mnie naśmiewasz.

– Oczywiście, że się naśmiewam, Grzegorz. Bo zachowujesz się, jakbyś miał szesnaście lat. Jesteś porządnym człowiekiem. Nie odpowiadasz za to, co robił twój ojciec. Nikomu nic nie musisz udowadniać, a najmniej sobie samemu.

– Od dziecka marzyłem tylko o tym, żeby moje nazwisko znów brzmiało dumnie! – krzyknął Chutor. – Nie masz prawa z tego drwić. Zresztą, po co ja w ogóle z tobą rozmawiam. Chciałem jakoś wyjaśnić, dlaczego wczoraj nie zareagowałem.

– Jeśli chcesz przywracać godność swojemu nazwisku w taki sposób, to nie wróżę sukcesu.

– Chcę tylko złapać mordercę. Pomóc złapać. A potem kolejnego. I kolejnego. Być dobrym policjantem. Chutorem, który pomaga ludziom, a nie ich pałuje.

Lichy westchnął. Czuł, że ta rozmowa przyjmuje jakiś absurdalny kierunek. Ani on nie zamierzał dawać rad, ani Chutor nie zamierzał ich

przyjmować, a jednocześnie o nie prosił, a Lichy mu ich nie odmawiał.

– Wybacz mi protekcyjny ton, którym zaraz będę cię obdarowywać – powiedział. – Cyra przyspieszył ci awans. Korzystaj, ale miej świadomość, że coś cię ominęło. Coś bardzo ważnego. A mianowicie gówna. Totalne policyjne gówna. To, które zbieramy z ulic, którym rzucają w nas na dzielnicach, w pijackich melinach i wszędzie, gdzie się tylko obejrzymy. To bardzo ważne, Grzegorz. Bo doświadczając tego na okrągło, w końcu nasze puste łby dopuszczają do siebie świadomość, że my nie jesteśmy żadnymi wybrańcami, bohaterami, ani w ogóle nikim szczególnym. Jesteśmy zwykłymi ludźmi ze zwykłymi ludzkimi problemami, potrzebami i pragnieniami. Nigdy nie będziesz dobrym policjantem, bo taki konstrukt nie istnieje. Dobrzy policjanci są anonimowi. Robią swoją robotę i wracają do domów. Do żon. Dzieci. Psów. Masz żonę, Grzegorz? Masz dzieci?

– Mam. – Chutor westchnął.

– To przestań w końcu myśleć o swoim nazwisku, a zacznij o nich. Tyle mam ci do powiedzenia. Nie, nie tyle. Jeszcze jedno, bo jeśli chcesz być w kryminalnych, będzie ci to bardzo potrzebne. Im szybciej to zrozumiesz, tym lepiej. Jako policjant nie jesteś żadną władzą. Nie rządzisz ludźmi, tylko im służysz. Służysz ludziom, a nie policji. I nawet nie prawu. Ludziom. Dlatego właśnie mam tyle pogardy dla instytucji praworządności. Bo prawo ustanawiają ci, co są u władzy i jest takie, jak im wygodnie. A praworządność to próba wmuszenia ludziom, że jeśli nie będą posłuszni, to należy nimi gardzić. To jak z podatkami. Najpierw zabierają ci połowę pieniędzy, a jak znajdziesz jakiś sprytny sposób, żeby nie dać się okraść, to podnoszą lament, że jesteś nieprzystosowanym do życia w społeczeństwie oszustem, który okrada współobywateli.

– Ty jesteś anarchista, Lichy. – Chutor się zdumiał.

– Nie jestem żadnym anarchistą. Nie utożsamiam się z żadną grupą. A ty, zamiast być dobrym policjantem Chutorem, zadbaj raczej, by być dobrym człowiekiem Chutorem. Brzmi jak banał, dlatego tak wielu porządnym gliniarzy to ignoruje.

– Dlaczego nikt ci nie mówi po imieniu? – spytał niespodziewanie Chutor.

– Dlaczego... Nie wiem. Zawsze tak było. A wiesz, że ja mam brata? Zbyszka. Jest komendantem w Żywcu. On też zawsze był Lichym. I to śmieszne, bo jak dzwonię do niego, to mówię: „No cześć, Lichy”, a on odpowiada „Co słyszeć, Lichy?”.

I zaśmiał się, bo od lat obu ich to ze Zbyszkiem bawiło. A Chutor przez chwilę starał się zachować powagę, ale w końcu też parsknął.

– Ale suchar – podsumował.

A potem sobie poszedł, przypominając najpierw Lichemu o pluskwie w aucie. Ale Lichy wybierał się do domu. Zapytał tylko, czy podsłuch też zainstalowali, a gdy Chutor zaprzeczył, uwierzył mu.

Osiem minut później korweta wdarła się w końcu przemocą na Trasę Średnicową. A Lichy rozmyślał. Bo bynajmniej nie zapomniał tej wizji, którą ujrzał tuż przed tym, jak Chutor odciął go od gilotyny. Spojrzał na zegarek. Było wpół do pierwszej w nocy. Nie wypadało już dzwonić. Ale czasami po prostu trzeba. Korweta była stara, ale system głośnomówiący nowy. Lichy wybrał numer.

Xhavit Pascali był szwajcarem albańskiego pochodzenia i oficerem śledczym Fedpolu, szwajcarskiego oddziału Interpolu. Wpadli na siebie przy okazji śledztwa w Milówce i szybko przypadli sobie do gustu.

– O rany – odezwał się po angielsku Xhavit. – Prędzej bym się spodziewał telefonu od polskiego prezydenta.

– Cześć, Xavi, dobrze cię słyszeć. Przepraszam za porę.

- Nie szkodzi. Pracuję. Co u ciebie? Słyszałem, że nie za dobrze.
- Już lepiej.
- Wyrzucili cię?
- Już jestem z powrotem.
- Znów jakaś spektakularna sprawa?
- Nawet nie chcesz wiedzieć.
- Chyba wiem. Trzymamy tu rękę na pulsie.
- Potrzebuję informacji, Xavi. Pilnie.
- Cholera, Lichy... – powiedział Szwajcar, a w głosie zabrzmiała nutka żalu. – Wiesz, jak jest. Znasz protokół.
- Wiem, wiem – powiedział przepraszająco Lichy.
- Nie mogę ci pomóc. Kontaktuj się przez oddział. Szczerze mówiąc, jestem trochę rozczarowany. Miałem nadzieję, że dzwonisz, bo jesteś gdzieś blisko. Chętnie napiłbym się z tobą kawy. Tylko albańskiej, a nie tych waszych sików.
- Ciężko, Xavi. Ostatnio nie spałem po tym przez tydzień.
- Pośmiali się chwilę, co było niewerbalnym ekwiwalentem *small talku*.
- Pozdrów Mariannę – powiedział w końcu Lichy.
- Cholera, pamiętasz imię mojej żony. A gość, z którym od trzech lat pracuję biurko w biurko jakoś nie potrafi. Słuchaj, muszę kończyć. Pamiętaj o kawie.

Pożegnali się i Lichy zakończył połączenie. Rozmowa przebiegła dokładnie tak, jak się spodziewał. Xhavit nie mógł mu nic przekazać. Wymiana informacji poza oficjalnym śledztwem odbywa się za pomocą ściśle przestrzeganych procedur. Dawniej na to nie zważano, ale teraz, w dobie podsłuchów i drobiazgowej kontroli, wszystko się zmieniło.

Kluczowe było zaproszenie na kawę. Oznaczało: „Pomogę, ale musimy się spotkać”.

Lichy wybrał drugi numer. Martyna odebrała po trzech dzwonkach.

– Mój biedaku – powiedziała zaspanym głosem. – Żałuję, że pokazałam ci cycki. Teraz nie możesz przestać o mnie myśleć.

– Cześć, Łysa. – Zaśmiał się.

– Chyba wolę, jak nazywasz mnie Martyną. Nie wierzę, że to mówię.

– Jak urlop?

– Usiłuję spać.

– Aha. Czyli kiepsko.

Teraz ona się zaśmiała. Chociaż chyba z odrobiną politowania.

– Pomożesz mi? – zapytał.

– A coś ważnego?

– Jak ci powiem, to padniesz.

– To mów.

– Za moment. Mówisz po angielsku?

– Kali być głodny – przyznała zawstydzona.

– Wystarczy. Słuchaj. Złap jutro pierwszy poranny pociąg do Berna. Z Mediolanu jedzie około trzech godzin. Udaj się do siedziby Fedpolu na Guisanplatz 1. Wyślę ci pinezkę. Poproś o spotkanie z kapitanem Xhavitem Pascalim. Hauptmann Xhavit Pascali. Napiszę ci to. Jeśli ktoś cię zapyta, po co, pokaż mu tylko legitymację i ani słowa. Nie mają prawa ci odmówić. Xhavitowi powiedz, że jesteś moją znajomą. Zrozumie. Zabierze cię na kawę. Zadasz mu pytanie, które też ci napiszę i poprosisz o odpowiedź: tak czy nie. I jak tylko się dowiesz, zaraz daj mi znać.

– Strasznie tajemniczo. Co to za pytanie?

I Lichy jej powiedział. W słuchawce zapadła głucha cisza.

- Ja pierdolę – szepnęła. – Myślisz, że...
- Wiem to. Ale potrzebuję potwierdzenia.
- Ja pierdolę...
- Zrobisz to?
- Tak. Zaraz kupię bilet.
- Zwrócę ci.
- Pojechało cię? Prześlij mi pinezkę i wszystkie informacje.

Rozłączyła się, a Lichy zjechał na przystanek i przesłał jej wszystko, co trzeba.

Reszta drogi do domu minęła mu na rozmyślaniach. Po wszystkim, co mu powiedział Kowalczyk, pewne rzeczy nabrały sensu. Na przykład to, że trzy spośród ofiar chorowały na nowotwór. Wśród takich ludzi łatwiej pozyskać potencjalnego samobójcę. Może to i trochę działanie po linii najmniejszego oporu, ale przecież liczył się efekt. Anna Milewska chorowała na raka. Gdy zabiła Katarzynę Lisiecką, pozyskała do projektu Aleksandrę Bierut. Przygotowując ją do zadania, mogła jej przecież wskazać Dorotę Wardęgę. Doktor Sahi nie wykluczył ich znajomości. A Wardęga i Anna Ochocka znały się na pewno, więc gdy Wardęga przygotowywała Annę Wojciechowską, również mogła jej wskazać Ochocką. To się składało w spójną całość. A Lichy przecież nigdy nie miał wątpliwości, że to musi coś znaczyć. Że trzy osoby z nowotworami to za dużo, by mogło być przypadkiem. Zresztą, czy to nie on w rozmowie z doktorem Sahim mówił o rozszerzonym samobójstwie? Przecież to nic innego, jak właśnie to.

Dojechał do domu ledwo żywy. Minęła pierwsza. Sierść przywitał go z taką radością, że Lichemu aż się zaszklily oczy. Strasznie się zrobił rozchwybotany emocjonalnie przez to zwierzę. Ale czy można się temu było dziwić? Czytał kiedyś w „National Geographic” o wielorybie, który wskutek

jakiejs ewolucyjnej pomyłki prowadził komunikację na innej częstotliwości niż wszystkie inne wieloryby świata. I choć zwiedził cały ocean, nigdy nie spotkał innego wieloryba. Ludzie mówili, że jest najbardziej samotnym wielorybem na świecie. Wzruszali się jego losem. Pisali mu listy, jakby to miało jakikolwiek sens. Ale w życiu Lichego pojawiło się właśnie coś, co nadawało na tej samej częstotliwości. I nie był już sam.

– Gdzie byłeś? Gdzie byłeś? – pytał Sierść z wyrzutem. – Dasz coś jeść?

Zjedli. Potem Lichy wziął prysznic i położył się na łóżku. Był zmęczony, ale nie chciało mu się spać. Zbyt wiele myśli kotłowało mu się w głowie. Sierść uznał, że to świetna pora na zabawę. Przyłaził do niego z jakimś znalezionym w ogrodzie kijem, a gdy Lichy usiłował kij zabrać, pies zaciskał na nim zęby, warczał wściekle i bronił swego jak niepodległości. Wówczas Lichy puszczał kij, a pies znów mu go wypychał do ręki. W końcu polazł pod wole oko, wywalił się na przyjemnie cieplej, podgrzewanej podłodze i zaczął się gapić w okno.

Lichy westchnął, podszedł do psa i uwalil się na podłodze obok niego. I tak razem sobie patrzyli na zasypany śniegiem świat. Tu, z perspektywy ciepłego mieszkania, wyglądało to nawet ładnie. Płatki śniegu były grube i spadały pionowo. Nie było wiatru. Nie było mgły. Termometr wskazywał minus dziewięć stopni. Wszystko dookoła przybrało biały kolor. Na przystanku autobusowym, we wiacie, niemal naprzeciwko jego drzwi, ale po drugiej stronie ulicy, siedziała samotna postać. Szczelnie okutana wieloma warstwami ubrań, schroniła się w tej niewielkiej enklawie i zdawała się spać. Obok stał dokładnie okryty brezentem dziecięcy wózek.

– To chyba Tekla – powiedział lekko zaskoczony Lichy.

– Nigdy się nie zastanawiałaś, gdzie ona śpi? – zapytał Sierść.

– Chyba nie.

– Myślisz, że jest jej zimno?

- Chyba nie. Zobacz, ile ma ubrań. Od dawna tak żyje.
- Myślę, że ona jest samotna. Może nawet bardziej niż my.
- Niż my...

Zamrugał oczami i spojrzął na swojego nowego przyjaciela.

– Jesteś dobrym człowiekiem – powiedział z przekąsem i podrapał Sierść za uchem, a ten zamruczał i szczeknął coś, czego Lichy nie zrozumiał.

Wstał, ubrał się i zszedł na dół. Gdy otworzył drzwi wejściowe, zrozumiał, że cała ta piękna zima była tylko złudzeniem. Śnieg wcale nie padał pionowo. Po prostu wole oko osłonięte było od wiatru. Wichura roznosiła śnieg po okolicy, wzdychając i jęcząc tak głośno, że Lichy nie rozumiał, jak mógł tego wcześniej nie słyszeć.

Zbiegł po schodach, przeciął jezdnię, tak bardzo opustoszałą, że ślady, które zostawiał, były jedynymi na ciągnącej się w nieskończoność białej połaci śniegu.

– Tekło – powiedział, a ona zaraz się przebudziła, jak ktoś, kogo życie zmusza do snu wśród ludzi, z których każdy może być złodziejem, a niejeden nawet kimś gorszym.

- Lichy? – Zdumiała się. – Co ty tu...
- Chodź.
- Gdzie? Co robisz? Zostaw mój wózek.
- Chodź Tekło, bo marznę.

Piękna zimowa iluzja sprawiła, że nie zabrał nawet płaszcza. Chwycił ją mocno za ramię, a ona poddała mu się. Znała go. Wiedziała, że kupował jej obrazy, by ją wesprzeć finansowo. Nie bała się, że zrobi jej krzywdę. Ale gdy prowadził ją na schody, szarpnęła się.

- Co ty wyprawiasz, Lichy?! – krzyknęła niemal przez łzy.

Ale nie odpowiedział. Podniósł jej wózek i wniósł do korytarza. Tam skręcił w lewo i otworzył drzwi gościnnej kawalerki. Po chwili namysłu przeniósł wózek do sieni kawalerki. Był mokry, a śnieg odklejał się od niego całymi płatami.

A Tekli nie było. Nie poszła za nim. Wyszedł więc na zewnątrz. Stała tam niezdecydowana.

– Nie robi się tak, Lichy – powiedziała drżącym głosem.

– Czego się nie robi?

– Nie daje się takich prezentów. One nie cieszą. Sprawiają tylko więcej bólu. Chwila normalności w nienormalnym życiu to nie błogosławieństwo, a przekleństwo.

– W takim razie przeklinaj, ale jest dziesięć na minusie. A tu... Chodź.

I znów chwycił ją za ramię, a ona tym razem poszła za nim. W progu powitał ich pies.

– Witaj! Witaj! Miło cię poznać – krzyczał do niej, merdając ogonem jak wariat.

Lichy wprowadził Teklę do kawalerki.

– Czekaj... – powiedział, podchodząc do panelu ogrzewania. – Jest trochę zimno, ale włączę ogrzewanie i za kwadrans będzie dobrze. Jest trochę kurzu, nikt tu dawno...

– Lichy, ona płacze – powiedział z wyrzutem Sierść.

– Przecież widzę – odrzekł Lichy rozdrażnionym głosem, bo raz, że zmarzył, a dwa, że czuł się jak dziecko, gdy jego mama roni łzy.

– Co widzisz? – zapytała Tekla, pociągając nosem. Jej stare, mądre oczy, skryte w pomarszczonym oczodole, to rozbłyskiwały, to czerwieniały.

– Daj jej teraz spokój – powiedział Sierść. – Musi się z tym oswoić.

– A ty nie jesteś za mądry?

– Lichy – powiedziała Tekla głosem o wiele bardziej rzeczowym, niż się spodziewał. – O czym ty mówisz?

– To nic takiego. – Lichy się uśmiechnął. – Mówiłem do psa.

– Wyglądało raczej, jakbyś mu odpowiadał.

– Taaaak... Tak. A ty nie słyszysz tego, co on mówi?

– No poszczekuje, jak to pies.

– Chwała Bogu. – Lichy westchnął z ulgą. – Bo już myślałem, że to coś poważnego, a to tylko ja zwariowałem. Rozgość się. Tam masz prysznic, gdybyś chciała.

Wyszedł, zamknął drzwi i ruszył na górę.

– Musisz uważać – powiedział z wyrzutem do Sierści. – Ludzie będą myśleli, że zwariowałem, bo z tobą rozmawiam. Może to i prawda, ale nie muszą o tym wiedzieć. Na wszelki wypadek nie odzywaj się przy ludziach, dobra?

Sierść zignorował go, bo zajęty był ziewaniem. Lichy rozebrał się, zakopał w pościeli i natychmiast usnął.

Tej nocy, po raz pierwszy od dawna, nie śniły mu się żadne płomienie.

ROZDZIAŁ 37

Jakoś o brzasku przyśniła mu się niespodziewanie doktor Demarczyk. I był to jeden z tych snów, które oby trwały wiecznie. Przyjemny, ciepły, bardzo erotyczny. Przypominający to, co było i dopowiadający to, czego nie było. Lichy kilkukrotnie przebudził się, ale sen nie umknął. Powracał coraz intensywniejszy. Coraz przyjemniejszy. Coraz bardziej uzależniający.

Musiało to trwać kilka godzin, bo gdy Lichy w końcu oprzytomniał, dochodziła dziesiąta. Odruchowo spojrzął na komórkę, lecz prócz godziny i temperatury niczego nie odczytał. Było minus dwanaście stopni. Martyna się nie odezwała.

I wtedy to poczuł. Coś, czego nie czuł od tak dawna, że w ogóle zapomniał o istnieniu takiego doznania. Zapach normalności. Zapach domu. Krótko mówiąc, zapach jajecznicy.

Wstał, przetarł twarz, by przegnać z oczu resztki snu. Sierści nigdzie nie było. Pewnie poszedł na dwór. A może i jemu dostało się na miskę coś dobrego.

Wsunął spodnie i ruszył po drewnianych schodach na dół. Wózek Tekli stał już przy drzwiach. Był wytarty do sucha i gotowy do dalszej drogi. Tekla zaś krzątała się po kuchni, parząc herbatę. Sierść zaszczekał przyjaźnie, ale nie ruszył się od miski wypełnionej po brzegi psimi frykasami.

- O, jesteś. Wspaniale – powiedziała Tekla. – Właśnie miałam cię wołać.
- Jajecznicą?
- Nie lubisz? – Kobieta się zmartwiła.

– Uwielbiam. – Zaśmiał się w odpowiedzi.

Prawdę mówiąc, od kiedy tu wszedł, nie mógł wyjść z podziwu. Tekla wyglądała wspaniale. Nie miała na sobie swojego ochronnego kokonu. Tylko stary i zmechacony, ale wciąż dość elegancki sweter. U dołu spódnica, z pewnością kryjąca znacznie więcej warstw ochronnych. Wiadomo, tego nie da się na siebie szybko narzucić. Ale najbardziej zaskakiwała jej twarz. Po prostu piękna. Lichy widział ją wiele razy. Dostrzegał jej urodę, ale teraz? Wyglądała kropka w kropkę jak Yazemeenah Rosi. Długie i gęste siwe włosy, umyte i uczesane, choć odrobinę niesforne, spływały jej na ramiona. Twarz nieprzyzwyczajona do kosmetyków wyglądała po prostu naturalnie. Owszem, pomarszczona, dojrzała. Ale za to bardzo ludzka.

Postawiła na stole talerz z jajecznicą, a na ozdobnej desce trzy kromki chleba posmarowane masłem. Dzbanek z herbatą puszczał przez dzióbek obłoki z parą. Odsunęła mu krzesło i stanęła obok.

– A ty ze mną nie zjesz?

– Ja? Nie, zrobiłam tylko dla ciebie. To nie moje jedzenie, nie mogę...

– Teklo – powiedział, wstając. – Usiądź, proszę.

Otworzył szafkę, wyjął nowy talerz i przerzucił na niego połowę porcji. Postawił też drugi kubek. Tekla usiadła. Gdy podsunął jej talerz, nie protestowała już.

– Posłuchaj, Teklo. Nie musisz stąd iść.

Widelec zawisł jej w połowie drogi do ust. Spojrzała na niego, trochę nieufnie, trochę z zaskoczeniem i chyba też trochę z ironią. Odłożyła sztuciec na talerz i zapytała:

– I jak długo ma to trwać? Co, Lichy? Tydzień? Miesiąc? Do wiosny? Jak długo obca stara baba miałaby ci zawracać głowę? Ja jestem przyzwyczajona, wiesz? Żyję tak od dziesięciu lat.

– Ten dom – powiedział Lichy po chwili bytowania gdzieś w zakamarkach własnego umysłu – miał być dla mnie i dla Róży. Ale Róży nie ma. I nigdy nie będzie. Ta kawalerka będzie stała pusta do końca świata. Równie dobrze możesz w niej mieszkać. Tam jest osobne wejście, po schodkach, od ulicy PCK. To niewielkie lokum, ale bardzo prywatne. Ja na górze też mam wszystko, co potrzeba. Spotkamy się czasem w kuchni i tyle.

– Ale dlaczego? – zapytała, a ton jej głosu, który drżał lekko świadczył, że w końcu zaczęła wierzyć w to, co się dzieje.

Telefon zapikał i Lichy natychmiast wyjął go z kieszeni. Wiadomość od Martynty była krótka: „TAK”. A więc wszystko już jasne. Choć to tak bardzo nieprawdopodobne, nie pomylił się. Schował telefon.

– Choćby dlatego – powiedział – że mam teraz psa, a ciągle gdzieś wychodzę. Przydałby się tu ktoś, z kim mógłby spędzać czas. Myślę, że jest dość młody, ale całe życie był sam. Poza tym możesz czasem ugotować coś dobrego, jeśli lubisz. Bo ja od tak dawna jem śmieciowe żarcie, że sam zamieniłem się w śmietnik. Jeśli ci to pasuje, to mamy umowę. Jak przyjdzie wiosna, będziesz mogła malować w ogrodzie. Ten obraz, co ostatnio od ciebie kupiłem, dałem w prezencie znajomemu. Powiedział mi, że sprzeda go za kilkanaście tysięcy.

– Kilkanaście tysięcy? – Tekla się zdumiała.

– Skontaktuję was ze sobą. On się trochę na tym zna. Może zrobicie razem jakiś biznes.

– Lichy... Ja nie wiem...

– Teklo, przepraszam. Mam dużo trudnej roboty dzisiaj. Nie mam czasu na sentymentalne rozmowy. Możemy czasem pogadać przy kominku w salonie, popijając herbatę. Ale nie dziś. Rozgość się i tyle. Jest bardzo zimno, gdzie byś chciała iść?

Wstał i po prostu ją zostawił. Nie chciał oglądać jej łez. Nie chciał, by mu dziękowała. Musiał zadzwonić. I był to bardzo ważny telefon.

Ten bardzo ważny telefon zaskoczył Ryszarda Modlinga. Rzadko ktoś do niego dzwonił. Chyba nawet można było powiedzieć, że nigdy. A teraz był najgorszy moment, bo Modling zrobił sobie właśnie herbatę i usiadł w fotelu, bo powrócić myślami do tamtych dni, które na zawsze zmieniły go w takiego człowieka, jakim był. To była wigilia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku. Spędzali ją jak co roku w Murzasichlu, bo choć on z żoną Krystyną i siedmioletnią córką Renatą od lat mieszkali w Katowicach, jego syn, osiemnastoletni Antoni nie wyobrażał sobie życia poza Podhalem i pozostał na ojcowiznie. Pracował jako przewodnik, ratownik i instruktor narciarstwa. Modling był zadowolony, że jego rodzinny dom znajduje się w dobrych rękach. Tamtego wieczora Ryszard, jako głowa rodziny, zmówił modlitwę, potem zaśpiewali jedną kolędę, przełamali się opłatkiem i usiedli do stołu. A gdy kończyli barszcz, nad spokojną, pogrążoną w modlitwie i świątecznej zadumie wsią poniosło się wycie syreny pobliskiej Ochotniczej Straży Pożarnej. Wszyscy wiedzieli, co to oznacza. Antek odłożył łyżkę i wstał. Ucałował matkę i siostrę, uściskał się z ojcem i ruszył pomagać, jak zawsze, gdy rozbrzmiewało wołanie o pomoc. Już go tam święty Florian pokochał, bo Antek do domu nie wrócił. Krystyna nigdy nie doszła do siebie. Wyrzucała Ryszardowi, że pozwolił synowi tak ryzykować. Zmarła dwa lata później i zostali sami z Renatą. Ta zaś opuściła rodzinny dom, gdy tylko skończyła szesnaście lat, najpierw przeprowadzając się do internatu w Nowym Targu, potem do Krakowa na studia. Nie utrzymywała kontaktu z ojcem, prócz jednego dnia w roku. Tego, który właśnie nadchodził. Urodzin Jaśminy. Wnuczki Modlinga. Tego dnia zapraszali go do siebie, a on przyjeżdżał, zawsze przywożąc jakiś prezent. I teraz właśnie ten prezent spędzał mu sen z powiek. Dawniej było

łatwo. Jakaś lalka, jakiś pluszak, jakiś zestaw do malowania. Ale dziś Jaśmina miała dziewiętnaście lat. Co taki starzec jak on mógł podarować młodej kobiecie?

I z tych właśnie rozważań wyrwał go dzwonek telefonu. Spojrzał na wyświetlacz. Dzwonił Lichy.

– Halo – rzucił swoim zwykłym, zachrypniętym głosem.

– Witaj, Rychu – powiedział rozmówca.

– Czego chcesz, Lichy? Jestem zajęty.

– Pamiętasz naszą pierwszą rozmowę? Powiedziałeś, że jak złapię mordercę, to chcesz przy tym być.

– No i?

– Dziś wieczorem.

– Dziś? – Modling się zdumiał. – Wiesz już wszystko?

– Wszystko.

A potem Lichy powiedział mu, czego od niego oczekuje. Wskazał miejsce i czas. A następnie się rozłączył.

Modling mieszkał w kawalerce na ostatnim, dwudziestym szóstym piętrze jednej z Kukurydz na Osiedlu Tysiąclecia. Dawniej było to prestiżowe lokum. Dziś najtańsze w jako takim standardzie. Modling miał pieniądze. Nie zawsze był całkowicie uczciwym gliną.

Wstał i podszedł do okna ze wspaniałym widokiem na kompletnie nic. Za oknem było białe, jakby ktoś od zewnątrz zamalował szybę farbą. Miał ochotę zapalić, mimo że rzucił prawie pięć lat temu, gdy lekarz mu powiedział, że jak nie przestanie palić, to umrze. Wówczas okazało się, że Modlingowi jeszcze nie jest wszystko jedno.

A więc Lichy wie. Wie wszystko. I pytanie, czy to dobrze, czy źle. Może dobrze? Może najwyższy czas, by to się skończyło. Wierzył w tego

dzieciaka. Był taki sam jak on w czasach młodości. Nieustępliwy, bezkompromisowy, niewidzący przed oczami nic prócz celu. Tak, Lichy na pewno wiedział. Wciągał starego do swojej gry. Ale Modling, mimo siedemdziesięciu trzech lat, miał w sobie jeszcze dość ikry, by nie poddać się bez walki. Tylko czy chciał?

Podszedł do szafki. Była zamykana na klucz, który tkwił w zamku. Otworzył ją i wyjął kasetkę z bronią. Glock 19 załśnił mu w rękę. Modling odbezpieczył i wcisnął spust. Zwolniona iglica wydała przyjemny dźwięk. Pistolet był w świetnym stanie. Stary gliniarz nigdy nie wyzbędzie się zwyczaju dbania o broń.

 Załadował magazynek i schował pistolet do kabury.

 Zostało dziesięć godzin.

ROZDZIAŁ 38

Ten sen nie dawał mu spokoju. Czasami senne mary są na tyle przyjemne, że człowiek wraca potem do nich w ciągu dnia. Lichy wracał na okrągło, a za każdym razem coraz bardziej się nakręcał. Niespodziewanie wyrwana z wieloletniego letargu seksualność truła mu chemią mózg i Lichemu ciężko było się skupić na czymś innym niż odtwarzanie w pamięci wszystkich szczegółów doktor Demarczyk. Jej wspaniałych piersi, które, zbyt duże, by chwycić je w dłoń, rozkosznie przelewały się między jego palcami. Pośladki większe, niżby głosił kanon piękna, ale wyrzeźbione ręką artysty, okrągłe, gładkie, po prostu cudowne.

Zdał sobie sprawę, że po prostu jej pragnie. Świadomie. Ostatnie dni jego życia to szaleńcza seksualna przygoda, jednak teraz to on czegoś chciał. Chciał jej dotykać. Całować. Pieścić językiem jej ciało, a szczególnie tam, gdzie większość kobiet uwielbia być pieszczona językiem. Gdy tylko przymknął oczy, w głowie pojawiały mu się bezwstydnie pornograficzne obrazy. Chciał ją mieć właśnie w taki sposób. Chciał, by zrobiła mu dobrze ustami, ani na chwilę nie odrywając wzroku od jego oczu. Chciał jej się odwdzińczyć. Chciał ją rzucić na sofę w kantorku i posiąść od tyłu z mocą, jaką wykrzesać może z siebie tylko mężczyzna doprowadzony do szaleństwa. Efekt tego był taki, że pół dnia chodził z erekcją i nim się tu w końcu wybrał, musiał wziąć długi, gorący prysznic i zmienić bieliznę, którą miał na sobie przez ledwie kilka godzin.

Siedział teraz w korwecie zaparkowanej nieopodal budynku kostnicy i zastanawiał się, czy ona też tak czuje. Powiedziała mu, że to tylko raz. Ale

przecież jej się podobało. Kobiety takie jak ona mają swoje potrzeby. Czy przez te kilka dni znalazła sobie kogoś innego, skoro tak długo nie potrafiła tego zrobić? Czy nie znalazła, a wspomnienie tamtej nocy coraz częściej gościło w jej myślach wraz z nieśmiałą konkluzją, że może warto się zdecydować na powtórkę? Ot, choćby już naprawdę ostatni raz.

Wziął głęboki oddech i wybrał jej numer. Odebrała po dwóch sygnałach.

– Cześć – powiedział, o wiele za cicho.

– Cześć – odpowiedziała tak samo i wiedział już, że nie jest jej obojętny.

– Pracujesz? – zapytał.

– Zawsze pracuję – odparła. – Ale dziś kończę wcześniej, bo przed północą.

Jej śmiech przyjemnie zawibrował w głośniku.

– Faktycznie wcześniej – powiedział Lichy.

– Dzwonisz... W jakiejś sprawie?

– Zastanawiałem się... Zastanawiałem się, czy nie mogłabyś mi jeszcze raz pokazać ciało.

– Hm?

– O matko, ciało ofiary. – Zaśmiał się i ona też.

– Nie da się – powiedziała. – Już ich tu nie ma. Zielone zabrali zaraz po... No wiesz, jak to wszystko wyszło na jaw. A czarne, jak tylko ustaliłeś, że to policjantka. Nie wiem, co się z nimi stało, ale, jak widzisz, nie mogę ci pomóc.

– No tak, no tak...

Milczeli przez chwilę. W końcu ona się odezwała:

– Czy to wszystko, Lichy?

– Nie... A, cholera... Dobra, karty na stół. Tak naprawdę nie chciałem oglądać żadnych zwłok.

– Aha. Nigdy nie słyszałam o tak popapranym pretekście, żeby dobrać się dziewczynie do majtek.

I znów zaśmiała się cichutko. A Lichy... No cóż. Znów doznał erekcji. Jej śmiech był zalotny. Zapraszający. Ale gra musiała trochę potrwać.

– Nie mogę przestać o tobie myśleć – powiedział. – Śniłaś mi się w nocy.

– Co robiłam w twoim śnie? – wyszeptała pytanie.

– Przecież wiesz...

– Byłam na górze? Czy na dole?

– Na górze i na dole. Z przodu i z tyłu.

– Och... – Westchnęła.

– Wiem, że to miało być raz, ale...

– No właśnie – powiedziała, siląc się na stanowczy ton. – Dziewczyna musi szanować własne słowa!

– Muszę dziś zrobić coś ważnego. Nie wiem, jak to się skończy ani gdzie potem wyląduję.

– Bierzesz mnie na litość?

– Troszeczkę. – Zaśmiał się.

– Wzięło cię na mnie.

– Cholernie.

– No i co teraz?

– Jestem na Medyków. Sama zdecyduj.

W słuchawce zapadła cisza.

– To chodź – wyszeptała w końcu i zakończyła połączenie.

Pobiegł. Gdy dotarł, krata była już otwarta. Serce waliło mu jak młot. Przeskakiwał po dwa stopnie naraz i na dole niemal stracił równowagę.

Gdy wszedł do głównej sali, ona stała tam, spoglądając na niego, mimo wszystko z lekkim zaskoczeniem. A on podbiegł do niej, chwycił ją i podniósł z podłogi. Gdy oplatała mu nogi wokół talii, całował jej usta tak łapczywie, jakby zrobione były z mięszu czerymoi.

Zaniósł ją do kantorka i usiadł, wciąż mając ją na sobie. Zaczął rozpinąć bluzkę. Spieszył się, a guziczki były maleńkie.

– Ostatnio miałam dwa dni, żeby się do tego przygotować – wyrzuciła z siebie pomiędzy oddechami. – A teraz nawet nie...

Nie dał jej skończyć. Znów przywarł do jej ust. Jeszcze chwila i siedziała na nim topless. Chwycił jej piersi w obie ręce i zaraz zanurzył w nich twarz. Zaśmiała się.

– Zupełnie jak jakiś gimnazjalista – powiedziała.

– Miałaś kiedyś gimnazjalistę?

– Oszalałeś! Lubię młodszych, ale nie aż tak. Ile ty masz lat, Lichy?

– Trzydzieści dwa.

– O matko, to czego ty chcesz od takiej starej baby, jak ja?

– Zaraz ci pokażę, czego.

I zrzucając ją z siebie, zsunął spodnie wraz z bokserkami.

– Ooo – wymruczała, wyjmując z kieszeni jeansów gumkę i usiłując uporządkować nią kaskadę rudych włosów. – To dla mnie? Całe? I co chciałbyś, żebym z tym zrobiła?

Powiedział jej.

I zrobiła.

Ten ich drugi raz był zupełnie inny. Mimo całego pożądania, mimo początkowej niecierpliwości kochali się wolniej, dokładniej i bardziej niż poprzednio delektując się aktem. Zmieniali pozycje, gdy się zmęczyli, nie po to, by zaliczyć ich jak najwięcej. Dawali sobie nawzajem znać, czego

oczekują, co lubią i czego nie chcą. Lichy pomyślał, że nigdy nie było mu tak dobrze. Nawet z Różą, która była kobietą jego życia, którą kochał, której pożądał w każdej jednej sekundzie żywota. Ale to dziś doznał najintensywniejszych bodźców. Może to to miejsce. Może to ten wieczór. Może to ta kobieta.

Palili też dłużej niż poprzednio. Popielniczka nie zdążyła się zapęłnić, bo gdy tylko oboje wrzucili do niej niedopałki, Demarczyk natychmiast wrzucała je do woreczka, przepłukiwała ceramikę i wracała z czystą. Ale łącznie każde z nich wypaliło po cztery. Nie rozmawiali ze sobą. Tulili się tylko do siebie, ogrzewając wzajemnie.

W końcu Lichy spojrział na komórkę. Wyświetlała dwudziestą drugą czterdzieści pięć. Ubrał się, a potem zaczął ubierać ją. Ale roześmiała się tylko, odganiając go jak muchę. Ubrać kobietę jest znacznie trudniej niż rozebrać. Zrobiła to sama. Wzięła płaszcz, bo zamierzała wyjść z nim. Najwyższy czas wrócić do świata żywych. On poczekał na nią. A gdy zamykała kantorek na klucz, podszedł do ściany, na której wisiał przepiękny, wykonany z ogromną pieczołowitością plakat, ukazujący kompletny układ nerwowy człowieka. Miał półtora metra wysokości i metr szerokości. Wielobarwna siatka połączeń nerwowych wyglądała jak schemat współczesnej linii kolejowej w wielkiej metropolii.

– To zupełnie niesamowite – powiedział, wodząc wzrokiem po grafice.

– Zwykły plakat.

– Nie. Chodzi mi o nas. Wiem, że nie powinienem tego robić, ale po prostu nie mogłem się powstrzymać.

– Faceci. – Zaśmiała się cicho zza jego pleców.

– Po prostu nie mogłem się oprzeć, by nie spróbować, jak to jest kochać się z morderczynią.

– Jesteś nienormalny – powiedziała po króciutkiej pauzie. Głos jej drżał. Była wystraszona. Nie umiała udawać.

– Nie – powiedział, wciąż studiując grafikę. Nie potrafił jej teraz spojrzeć w twarz. – Nie nienormalny. Po prostu głupi. Bo przecież wiem o tym od dawna, tylko wódka boligłówka zmieniła mi mózg w papkę i nie skojarzyłem faktów. Kiedy byłem tu pierwszy raz, ciało leżało wyeksponowane na stole, a ja, choć to trochę chore, pomyślałem, że jest piękne. Wyglądało jak obalona statua. Każdy fragment jej ciała z niewiarygodnym pietyzmem pokryto cieniutką warstwą zielonej farby. Tyle że ja sam na miejscu zbrodni zdrapałem jej farbę z kilku obszarów ciała. Duży płat z łydki. Mniejszy ze wzgóрка łonowego. A ona leżała tu idealnie pomalowana. Ktoś ją musiał poprawić. Musiał to zrobić morderca, który dysponował odpowiednią farbą. Mogło to się zdarzyć tylko tutaj, bo tu ciało trafiło wprost z Bytomia. I musiał to zrobić ktoś chorobliwie pedantyczny, kto po prostu nie mógł znieść, że nie jest idealnie. Ty. Więc wczoraj sprawdziłem...

I naraz zrozumiał, że faktycznie jest idiotą. Od sześćdziesięciu sekund stał plecami do morderczyni, która od kiedy zaczął mówić, nie odezwała się do niego ani słowem.

Odwrócił się jak oparzony i ujrzał demona. Twarz Demarczyk była blada, a włosy zdawały się jeszcze bardziej krwiste niż kiedykolwiek. Wciągała właśnie do strzykawki jakiś preparat ze szklanej fiolki. Rzucił się w jej kierunku, usiłując złapać za rękę, ale zupełnie zawalił sprawę. Umknęła mu jak kot, a gdy wytracił impet, okrążyła go jak w tańcu i szybkim ruchem ręki na odlew wbiła igłę prosto w szyję. Jeszcze nim wrzasnął, wepchnęła tłok do oporu i zaaplikowała Lichemu wszystko, co miała. Mięśnie nóg niemal natychmiast odmówiły mu posłuszeństwa. Runął na klęczki, obiema rękami obejmując Demarczyk za uda. Zupełnie

jak zakochany mężczyzna, któremu wybranka powiedziała właśnie „tak”. A ona czule objęła rękami jego twarz, pochyliła się i pocałowała go w czoło.

– Tak bardzo mi przykro, Lichy – powiedziała, czując, jak oczy wypełniają jej się łzami. – To cię zabije. Już masz sparaliżowane mięśnie. Wkrótce stanie też serce.

– Następna... Będzie złota? – zapytał, choć trudno mu się było skupić, bo pomieszczenie wirowało, nawet gdy zamykał oczy. – Gilotyna... Nie ma jej. Spłonęła.

– Nie szkodzi – szepnęła Demarczyk. – Już jej nie potrzebuję. Już nie muszę robić tego, co mi kazano.

– Nie uda ci się... Znajdą ją. Masz już jakąś nową, prawda?

– Nie znajdą – powiedziała i to było ostatnie, co usłyszał z jej ust. Runął na ziemię i po raz trzeci w ciągu ostatnich dwóch dni stracił przytomność.

Gdy osiem minut później wybiegła z budynku, taksówka czekała już od trzydziestu sekund. Szybki dojazd, jak na tak złe warunki pogodowe. Wskoczyła do auta, zatrzęsnęła drzwi i granatowa octavia ruszyła przed siebie.

– No wreszcie, ty głupa suko – powiedział zmarznięty i rozeźlony Modling, uruchamiając silnik swojego passata. Nawiew na szybę wciąż słabo działał. Auto parowało, więc czterdzieści pięć minut siedział przy otwartym oknie. Teraz zamknął je i cicho pogwizdując, ruszył w ślad za taksówką.

ROZDZIAŁ 39

Lichy nie umarł. Co było zupełnie zrozumiałe. Demarczyk zwykle uśmiercała drobne kobiety. Jeśli nawet przyjąć, że Ślązaka również, to ile on mógł ważyć? Nie więcej niż siedemdziesiąt kilo. Lichy ważył o dwadzieścia więcej od niego, a od Laudy pewnie co najmniej trzydzieści pięć. W dodatku przyłapał Demarczyk na napełnianiu strzykawki. Zdążyła pobrać połowę zawartości. Więc w przeliczeniu na masę ciała, dostał gdzieś jedną czwartą tego, co zwykle wystarczało, by uśmiercić ofiarę. No i wbiła mu to w szyję. Super to wygląda w filmach, ale żeby zadziałał, propofol należy podawać dożylnie, a nie na oślep.

Nie potrafił powiedzieć, po jakim czasie się ocknął. Oddychał ciężko, ale czuł, że jego układ nerwowy panuje nad swoimi zadaniami. W kończynach czuł nieprzyjemne mrowienie i bolała go głowa. Poza tym było mu zimno. Ale to dobrze. Leżał na wznak, dookoła było tak ciemno, że gdyby nie ten chłód, bałby się, że stracił wzrok. A tak, zrozumiał, że Demarczyk ukryła go w chłodni. Zapewne na najniższym poziomie, bo wyżej na pewno by go nie dźwignęła.

Uniósł dłonie i zaraz nad głową wymacał poziomą, metalową powierzchnię. Zapał się o nią rękami i usiłował odepchnąć. Nie dało się. Chwilę się siłował, a gdy nie przyniosło to efektu, gdzieś w tyle głowy zaświtał mu strach. Czy miałby tu zamarznąć?

Ale umysł już wracał do sprawności i Lichy zrozumiał, że po prostu odpycha się w złą stronę. Jeśli Demarczyk ciągnęła go po podłodze w stronę szuflady, to na pewno za nogi, bo tak było najprościej. A skoro tak,

to musiała go umieścić na płycie głową w kierunku drzwi, nie odwrotnie. Popchnął więc w odwrotną stronę niż poprzednio i platforma ruszyła. Tyle że drzwi szafy były zamknięte. Śmieszna rzecz, ale szafy chłodnicze zazwyczaj mają klamki od zewnątrz. Co, jeśli się zastanowić, nie jest wcale takie głupie. Jest niewielka szansa, że martwy wyjdzie sobie z chłodni, za to żywy ma szansę wyjść z niej żywy. Tyle że Lichy leżał stopami do drzwi, a nie miał najmniejszej możliwości, żeby się odwrócić. Zaczął więc kopać nogami w drzwi, trochę z bezsilności, trochę z nadzieją, że w coś trafi. I trafił. Miał szczęście. Nie wiedział, jak działa zamek. A działał na wcisk. Po trzecim kopnięciu coś syknęło i drzwi lekko odskoczyły. Lichy zaparł się rękami i wypchnął platformę na zewnątrz. Wyjechała po prowadnicy tak daleko, że aż kółka stuknęły o ogranicznik. Lichy poczuł ulgę, bo choć w pomieszczeniu było zimno, to przecież nie tak, jak w chłodni.

Nogi nie słuchały go jeszcze, ale zdołał się jakoś podnieść. Nie miał teraz czasu do stracenia. Liczył, że Modling zrobił co trzeba i czeka na niego. Poprawił płaszcz i już miał iść do wyjścia, gdy coś mu wpadło do głowy. Szafa miała dwanaście szuflad na trzech poziomach. Otworzył najniższą, pierwszą po lewej. Była pusta. W drugiej leżał on, więc skierował się do trzeciej. Nacisnął klamkę i ujrzał męskie stopy. Wysunął szufladę do końca i tym właśnie sposobem, po sześciu dniach od zaginięcia, odnalazł się Artur Ślązak. Na niego Demarczyk znalazła inny sposób niż strzykawka z jakąś paskudną chemią. Miał podcięte gardło. Sądząc po tym, jak równo, zapewne przy użyciu skalpela. Chryste, co za szczęście, że Demarczyk kończyła już pracę i wszystko miała posprzątane. Inaczej mogła mu zrobić to samo, a on nawet by się nie zorientował.

– Niedobra dziewczynka. – Westchnął, wsuwając szafę z powrotem. Biorąc pod uwagę fakty, Demarczyk musiała zabić Ślązaka dołą przed tym, jak pierwszy raz zaprosiła do siebie Lichego. Z pewnością zrobiła to

późnym wieczorem, gdy kompleks uniwersytecki był pusty. Mogła bez problemu zwabić tu Ślązaka, ponieważ Lichy wiedział już, że się znali. Potem, za dnia, nie mogłaby już tego zrobić, a kolejnego wieczora była z nim.

Wciąż gubiąc pion, ruszył w kierunku wyjścia. Okutał się płaszczem, odkrywając przy okazji, że guziki są trochę nadtopione. Dziwne, że wcześniej tego nie zauważył. Miał nadzieję, że prócz tego nie ma innych uszkodzeń. Przecież to był nowy płaszcz!

Przy bramce wcisnął przycisk, brzęknęło i krata odskoczyła. W holu jak zwykle nie było nikogo. Lichy wyszedł na zewnątrz i z ulgą wciągnął do płuc mroźne powietrze.

Może i życiowo był nieogarnięty, zgoda. Ale w pracy działania podejmował precyzyjnie i z wyobraźnią. Zwłaszcza gdy miał czas, żeby się przygotować. Właśnie dlatego zanim poszedł do Demarczyk, zostawił w aucie komórkę, portfel i kluczyki. Była niewielka szansa, że ktoś mu buchnie korwetę. A że Demarczyk zabierze jego telefon i portfel było niemal pewne. Dobrnął więc jakoś do auta, pociągnął za klamkę i wgramolił się do środka. Otworzył schowek, wyjął kluczyki i telefon. Odpalił silnik, a ogrzewanie ustawił na full. Wówczas przysłała chwila prawdy. Czy Modling nie zawiódł? Czy zrobił to, co należało?

Modling nie zawiódł. Zrobił to, co należało. Na wyświetlaczu komórki Lichego już czekała wiadomość od starego śledczego. Nie było w niej żadnych słów. Tylko pinezka do Google Maps. Modling był najwyraźniej jednym z tych starców, którym technologia nie sprawiała większych problemów. Lichy kliknął w link i uśmiechnął się, gdy mapa pokazała docelową lokalizację. Ogródki działkowe na Raciborskiej, nieopodal siedziby Kolei Śląskich, gdzie odnaleziono zwłoki Katarzyny Lisieckiej i zatrzymano Roberta Kowalczyka. Kilometr w linii prostej od domu

Lichego. Policjant pomyślał, że to dobrze. Będzie miał blisko, a musiał przecież nakarmić psa. A potem przypomniał sobie o Tekli i uśmiech sam wypełził mu na twarz. Włączył wycieraczki na najwyższe obroty, wbił *drive* i ruszył w stronę Śródmieścia. Jak tylko dotarł do głównej drogi, wybrał numer do Wejhert.

– Lichy? – zapytała trochę zaskoczona.

– Ubieraj się i czekaj na sygnał. Zaraz finał.

– Li...

Rozłączył się.

Przyroda jakby się wściekła za te wszystkiego niegodne czyny, których ludzkość się wobec niej dopuszcza każdego dnia. Lichy zaczął się poważniej zastanawiać, czy to aby nie nadciąga koniec świata. Śnieg był tak drobny, że opad bardziej przybierał formę aerozolu osadzającego się na każdym milimetrze wolnej przestrzeni. Był nim pokryty cały świat. Nie spadał nawet na ziemię, bo wzmagający się wiatr roznosił to gównem po całym mieście, oblepiając nawet od dołu wiaty, markizy czy wiadukty. Lichy ledwie na moment otworzył drzwi auta. Tylko po to by wsiąść. A całe wnętrze miał białe i mokre.

Bardzo źle mu się jechało. Prawie nic nie było widać. Drogi zrobiły się bardzo śliskie. Silne podmuchy wiatru potrafiły lekko przesunąć auto, strasząc i deprymując kierowców. Niecałe siedem kilometrów pustej drogi pokonał w dwadzieścia minut, ale kosztem ogromnego wysiłku. Dwukrotnie wpadł w poślizg, ale dojechał. Auto zostawił zaraz po przejechaniu torów na Raciborskiej. Dalej nie było sensu jechać. Śnieg wszystko zasypał.

Lichy nie wiedział, dokąd zmierza, ale według mapy zostało mu do przejścia trzysta pięćdziesiąt metrów. Czterdzieści minut w ciepłym aucie i silna potrzeba skupiania uwagi na bieżących zadaniach przywróciły go do

formy. Szedł rażno, mimo że śnieg sięgał do kolan. Pogoda przysłużyła mu się zresztą odrobinę. Latem byłoby tu kompletnie ciemno. Dziś, przy zalegającym wszędzie śniegu było jasno jak w dzień i Lichy bez problemu zlokalizował starą, zardzewiałą furtkę, prowadzącą na tereny działkowe. Na szczęście była otwarta, bo otaczała ją metrowej wysokości zaspą i Lichy z pewnością nie dałby rady jej pchnąć.

Budynek, którego szukał, znajdował się na końcu alejki. Jakies sto metrów od celu, Lichy natknął się na passata Modlinga. Stał nieco pod kątem do osi drogi, zakopany w śniegu aż po reflektory. I tak daleko się przedarł, jak na przedni napęd. Auto było puste, więc najwyraźniej Modling kontynuował misję pieszo. Ciekawe jednak, że nie było żadnych śladów. Ani ludzkich, ani wcześniej po oponach. Modling musiał tu przyjechać z godzinę temu. Może trochę wcześniej. A śnieg wszystko już zdążył zasypać. Nawet wciąż rozgrzana maska auta powoli nabierała śnieżnej pokrywy.

Budynek, którego szukał, był zdecydowanie bardziej domem niż ogrodową altaną. Murowany, dwukondygnacyjny, z pewnością największy i najtrwalszy w okolicy. Swoim lokatorom mógł służyć przez cały rok. Czy należał do Demarczyk? Czy tu właśnie przetrzymywała osoby, które porywała? Jeśli tak, to dlaczego nie w magazynie Hildegard von Bingen Institut? Raczej nie miała tu własnej gilotyny. Musiała przewozić uśpione ofiary. Jak? Przecież nie miała auta. Traficar, którym transportowała ciało Laudy, nawet nie zbliżył się do Katowic. A może dopiero ostatnio zmieniła *modus operandi*? Może dopiero po zabójstwie Sylwii? Ale jeśli tak, to dlaczego? W każdym razie, nie przez przypadek przyjechała właśnie tu. A może ona tu po prostu mieszkała? Zdał sobie sprawę, że przecież nigdy jej o to nie zapytał. Nigdy tego nie sprawdził.

Chwycił za klamkę i znalazł się w innym świecie. Wnętrze urządzone było nowocześnie, ale ze smakiem. Paliło się ozdobne oświetlenie. Zaraz przy wejściu migotał panel, na którym można było ustawić pożądaną temperaturę i uruchomić system audio. I faktycznie, gdzieś spod sufitu, cichutko, swoim wspaniałym, wartym miejsca na liście światowego dziedzictwa UNESCO barytonem Nate King Cole zachęcał, by się uśmiechać, bo to może sprowadzić promienie słońca.

– Lichy? – usłyszał z oddali głos Modlinga. – To ty? Chodź tutaj. Do salonu.

Stary pies wciąż potrafił węszyć. Lichy był pewien, że od kiedy wszedł do pomieszczenia, nie przyczynił się do powstania nawet najcichszego dźwięku. Teraz jednak nie było już sensu udawać. Modling nie wciągnąłby go w żadną pułapkę. Czy może jednak? Lichy wziął oddech i szybkim krokiem ruszył w głąb domu. Salon odgradzony był od korytarza wielkimi, przeszklonymi drzwiami, które jednak nie przepuszczały ani światła, ani czegokolwiek innego, bo szyba zamalowana była jakąś kubistyczną impresją. Policjant pchnął drzwi i wszedł do środka.

Pod ścianą, na skórzanym fotelu, siedział zakrwawiony Modling. Palił papierosa. Na kolanach leżał mu wielki słoje, w którym zalana formaliną, albo jakąś inną specjalistyczną chemią, o której Lichy nie miał pojęcia, spoczywała kobieca głowa. Słoje miał u góry wielki otwór, szczelnie przykryty nakrętką. Modling przyciskał go do siebie przedramieniem, jakby to był najcenniejszy skarb. Zaś w prawej dłoni trzymał swojego glocka. Bliżej Lichego i kawałek na lewo leżał Robert Kowalczyk. Lichy poznał go po dredach, bo twarzy już nie było. Jego krew wsiąkała w parkiet, ale rozlała się całkiem szeroko. Musiał dostać w twarz z dość bliska. Zupełnie inaczej niż doktor Kalina Demarczyk. Jej ciało leżało na wprost Lichego. Dokładnie w połowie pomiędzy nim a Modlingiem. Ona dostała

jedną kulę, prosto w czoło. Krew wysączyła się z niej powoli. Lichy złapał się za głowę.

– Jezu... – wyszeptał.

– Rzuciłem palenie, wiesz? – powiedział Modling. – Ale miała przy sobie pety i nie wytrzymałem. To Sylwia... – wymamrotał, wskazując na słój – Znalazłem ją w, kurwa, wyobraź sobie, lodówce.

Lichy nie odpowiedział. Przyglądał się staremu policjantowi, który wodził lufą pistoletu to tu, to tam. Nie celował w Lichego, ale nie można było być do końca pewnym, że w ogóle kontroluje, co robi.

– Ciężko w to będzie uwierzyć, Lichy, ale musiałem się bronić. Przed obojgiem. Zaczaiłem się na nią, jak kazałeś. Przyjechałem tutaj. On już na nią czekał. Wrzeszczał na nią i celował do niej z pistoletu. Tego, który leży tam, pod ścianą. Wszedłem tu i kazałem mu rzucić broń, ale on obrócił się i wycelował we mnie, więc pociągnąłem za spust. Myślałem, że już po wszystkim, ale wtedy ona runęła na podłogę, podniosła pistolet i chciała mnie zastrzelić, suka. Nacisnęła cyngiel. Na szczęście średnio umiała się posługiwać bronią. Była nieodbezpieczona. Zanim odbezpieczyła, zastrzeliłem ją. I co ty na to, Lichy?

Lichy nie odpowiedział.

– Nie wierzysz mi, prawda?

– Wierzę.

– Ja bym sobie nie uwierzył. Brzmi jak dobra ściema.

– Ja wszystko wiem, Rychu. Przede wszystkim wiem, że to, co powiedziałaś, jest bardzo prawdopodobne. Kowalczyk chciał ją dopaść, a policjanta musiał się pozbyć. Ona też musiała cię zastrzelić. Wszystko, co powiedziałaś, jest logiczne. Powiem więcej. To co powiedziałaś, jest jedynym sensownym przebiegiem wypadków. Zdziwiłbym się, gdyby zaszło coś innego.

– Ja nic z tego nie rozumiem, Lichy.

– A ja tak. Wiem wszystko. No, prawie wszystko, bo nie wiem jeszcze, gdzie jest ciało Szachty. Choć podejrzewam, że w Stawie Edwarda.

– Tego fotografa? A, nieważne... Więc mówisz, że wiesz wszystko.

– Tak. To, że zastrześliłeś Zwierzynieckiego również.

Modling pokiwał głową, jakby się tego spodziewał. Lichy wbijał w niego oczy. Szukał objawów nadciągającej agresji. Ale stary nie spiał się, nie zaczął wykonywać podejrzanych ruchów bronią. Po prostu siedział sobie w fotelu i palił papierosa.

– Miałeś jakiś powód, żeby to zrobić? – zapytał Lichy. – Mam na myśli inny niż ten, że chciałeś go uciszyć.

– Nie – odpowiedział, przeciągając ostatnią zgłoskę. – Nie miałem. Ten był wystarczająco dobry.

– Najwyraźniej. – Lichy westchnął.

– Ja od początku wiedziałem, że on to zrobił. Kowalczyk. Że zabił Katarzynę Lisiecką. Kolejnych może nie, ale ją tak. Nie rozumiałem, co się dzieje. Mówiłem to, czego chciało dobro śledztwa. To, co kazał mówić prokurator Garlicki. Ale swoje wiedziałem. Było mi wszystko jedno, że nie umiem tego udowodnić. Ważne było, że on siedział. Dopóki siedział, mogłem w spokoju pracować, w spokoju drażnić. Postanowiłem, że będę grzebać tak długo, aż coś wygrzebię. Ale on musiał być zamknięty.

– Zwierzyniecki mógł go wyciągnąć?

– Zwierzyniecki powiedział, że Kowalczyk przyznał się do zabójstwa Zielskiego tylko dlatego, że ściagała go kibolska mafia z powodu długów za narkotyki.

– Bzdura – rzucił Lichy.

– I co z tego? Gdyby to poszło na protokół, to adwokat Kowalczyka by nas zniszczył. Rozprawa w ogóle by się nie odbyła. A ona się musiała odbyć.

Wiesz, jak jest. W każdej bzdurze jest trochę prawdy. Wiem na pewno, że Kowalczyk miał w przeszłości problemy z *Blaue Horde*. Kiedyś nawet wylądował przez nich w szpitalu. Zwierzyniecki nie mógł zacząć mówić.

– Więc go zastrzeliłeś.

– Tak. To był śmieć. Sprzedawał prochy dzieciakom. W szkołach. Ani trochę nie było mi go szkoda. Zwłaszcza, że znaleźliśmy przy nim materiały wybuchowe i diabli wiedzą, co planował z nimi zrobić. Zresztą, przekreśliłby się w ciągu najdalej roku. Był nieodwracalnie zniszczony przez narkotyki. A ja musiałem mieć Kowalczyka w pudle. I miałem chyba rację, prawda? On za tym wszystkim stał. Razem z panią doktor.

– W pewnym sensie.

– Nic z tego nie rozumiem, Lichy.

– Opowiem ci zaraz. A ty opowiesz to pewnej dziennikarce.

– Jakiej znowu dziennikarce?

– Przeszukałeś tę chałupę?

– Tak jak kazałeś. Nikogo tu nie ma. Nie zdążyła jeszcze nikogo porwać.

Pytałem Doby. Potwierdził.

– To dobrze. To bardzo dobrze.

– Co zrobisz, Lichy?

– A ty? Co zrobisz z tym pistoletem?

– Jestem za stary, żeby iść do paki. A śmierci się za bardzo nie boję.

– Ale do mnie nie będziesz strzelał?

– Co? Oszalałeś, chłopcze. Jesteś dobrym gliną. Zepsutym człowiekiem, ale dobrym gliną. Spodziewam się, że nie zostawisz tak tego, dlatego siedzę tu z bronią. Ale nie do ciebie będę strzelać.

– Mówiłem ci już kiedyś, Rychu. Mylisz mnie z kimś innym. Myślisz, że cokolwiek mnie obchodzi Zwierzyniecki? Nie wiesz, co chciał zrobić

z materiałami wybuchowymi. A ja wiem. Chciał przeprowadzić zamach na życie, według luźnych szacunków, od dwudziestu do trzydziestu tysięcy osób.

– Skąd to wiesz? – Modling zdumiał się do tego stopnia, że niemal upuścił pojemnik z głową Sylwii Brandt. Zaklął i odstawił słój na stolik.

– Bo jestem bardzo dobrym śledczym – wyjaśnił Lichy. – Wiem na pewno, że planowali trzy zsynchronizowane eksplozje na trzech lokalnych stadionach. Na Górniku, na Ruchu i na GKS-ie Katowice. Dokładnie szóstego maja dwa tysiące dwunastego roku. Nie doszło do tego tylko dlatego, że cztery dni wcześniej Kowalczyk ukatrupił Zielskiego, który był głównym organizatorem akcji. Ale Zwierzyniecki to zwykły terrorysta. Naprawdę myślisz, że nie mam go w dupie?

– Ty jesteś diabłem, Lichy. Nie mam pojęcia, jak mogłeś dotrzeć do tej informacji, skoro my przez tyle lat nie mieliśmy o tym pojęcia.

– Jak więc widzisz, chyba nie jestem tym praworządnym romantykiem, za jakiego mnie miałeś. Nie jestem też twoim sędzią. Napisz apelację i wrzuć do skrzynki bogu, w którego wierzysz. Na ziemi najwyraźniej już cię oceniono i niczego złego się nie dopatrzone, skoro Garlicki kryje cię po dziś dzień.

Modling zaśmiał się krótko. Zarządził przy tym, ale chyba był po prostu przeziębiony. A może to ten pierwszy papieros od dawna tak go zmęczył.

– Widzisz, Lichy – powiedział, stukając się palcem wskazującym w skroń – tutaj przechowuję coś naprawdę cennego. To wspomnienia, chłopcze. Wiedza. Jestem stary, ale pamięć mam bardzo dobrą. Służyłem w wymiarze sprawiedliwości na przełomie systemów. W czasie największego gówna, jakie można sobie wyobrazić. Układaliśmy się z komuchami i z opozycją, z biznesmenami i najgorszego rodzaju mafią. Lawirowaliśmy. Naginaliśmy prawo. Czasem je łamaliśmy. I bynajmniej

nie z konieczności. Często po prostu dla własnej korzyści. Na Garlickiego mam pewnie tyle samo, ile on na mnie. Nigdy nie ruszy mnie palcem. A Doba to rozumie. Wszyscy to rozumieją. Nawet Wróbel to rozumie, bo on nie zawsze był ministrem. Swoje na ulicy spędził. Był prokuratorem w czasach mafii pruszkowskiej i popatrz, ma się całkiem dobrze.

– W takim razie pozostało nam jeszcze jedno.

– Co takiego?

– Chciałbym, żebyś został bohaterem.

– A ja raczej nie mam na to ochoty.

– Nie masz wyjścia, Rychu. Zastrześliś tych tutaj. Tego się nie da ukryć.

Ja nie chcę być na afiszu. Ale Cyra nie może tego dostać.

– Nie dostanie. Mówiłeś coś o jakiejś dziennikarce.

– Wkrótce się tu zjawi. A ty jej wszystko wyjaśnisz.

– Wszystko, czyli co?

– No to posłuchaj. Opowiem ci od początku, jak złapałeś Krwawego Szafarza.

ROZDZIAŁ 40

Dzień 9

– Kocham moją żonę, Lili. I dzieci. Ile razy mam ci to powtarzać? Dopóki będzie szansa, będę o nie walczyć. A jeśli już jej nie ma... – przerwał na moment, zastanawiając się, co powinien zrobić, jeśli szansy już nie ma. – Jeśli nie ma, to życie samo pokaże, co potem.

– Przecież ja nie nalegam, Adam – powiedziała, łkając cicho, by przypadkiem tego nie usłyszał. – Chciałabym tylko być gdzieś w pobliżu, wyskoczyć czasem...

– Lili, proszę...

– Jasne. – Naraz parsknęła śmiechem, takim typowym śmiechem zranionej kobiety. Rozpaczliwą próbą wywołania w rozmówcy poczucia winy, której w rozmówcy za grosz nie ma. – Jak każdy facet. Zaliczyć i to wszystko.

– Jesteś niesprawiedliwa. I samolubna. Wiele razy powtarzałem, że zależy mi na rodzinie. Tylko ty nie chciałaś słuchać. Przyjechałaś do mnie, wzięłaś sobie, co chciałaś, a ja uległem, bo jestem słaby. Ale nie oszukałem cię. To ty oszukałaś mnie. Zrobiłaś to tylko po to, żeby wyciągnąć informacje.

– Nie tylko! – krzyknęła, i fakt, że płacze, przestał być jakkolwiek tajemnicą. Chciała coś jeszcze dodać, ale słowa uwięzły jej w gardle. Bo prawda była taka, że on miał rację. Pojechała do niego, żeby dostać informacje. Że przy okazji przeżyła dwa najlepsze razy swojego życia, to

zupełnie inna sprawa. A że niespodziewanie dla siebie samej, w jednej chwili zakochała się na zabój w tym mężczyźnie, którym gardziła przez tak wiele lat, cóż... To już chyba karma.

– Uważaj na siebie, Lili – powiedział. Nic nie odpowiedziała, bo zajęta była płakaniem. Więc się rozłączył. A ona rzuciła telefon na fotel pasażera, delikatnie położyła głowę na kierownicy, tak by nie uruchomić klaksonu, i pozwoliła łzom jeszcze przez chwilę ściekać po twarzy. Nie potrafiła przestać o nim myśleć. Aśka Turoń wyśmiewała się z niej bez litości. „No tak” – mówiła – „Znalazł się jeden, co ci dobrze wygodził, a już byś go przed ołtarz ciągnęła”. Może i racja. Może skoro faceci myślą penisem, to kobieta może waginą? Może jej przejdzie? Może wybije klin klinem? Cholera, ależ dwuznacznie zabrzmiała ta myśl... Dość.

Potem wzięła kilka oddechów na uspokojenie i trzeba było poprawić makijaż. Wyciągając z torebki kosmetyczkę, powróciła do swoich rozważań sprzed rozmowy z Adamem. Czy powinna zrobić to, co planowała? Czy to nie przesada? Czy to nie jest zbyt ordynarne pakowanie się z butami w cudzą prywatność? Do cholery, jeszcze tydzień temu wyszydziłyby te wątpliwości. Ale dziś była już chyba kimś zupełnie innym.

Usuwanie z twarzy ślady niedyspozycji emocjonalnej sprzed chwili przypomniawszy sobie, że o osiemnastej ma pendolino do Warszawy. Cholera, na śmierć o tym zapomniała. Wszystko działo się tak szybko. Od wczorajszej nocnej transmisji na żywo z domu przy Raciborskiej rozpętało się szaleństwo. Lichy nie zawiódł jej zaufania. Dostarczył jej informacji. Od tamtego czasu nie zmrużyła oka. Odebrała z pół miliona połączeń. Rozmawiała już chyba z każdym liczącym się dziennikarzem w tym kraju. A o dwudziestej pierwszej wchodziła na żywo w TVN24 z Anitą Werner. Cieszyło ją to. A jeszcze bardziej, że Buda-Zalewski wyleciał z hukiem z „Newwws”. Jego nowy szef nie wybaczył mu, że wypuścił z rąk taki temat.

Jego własny temat. Tak, była małosłowna, i co z tego? Szybko sprawdziła czas. Była za dziesięć czwarta po południu. Róża Wierny kończyła pracę o czternastej i na pewno była już w domu. Wejhert sprawdziła to. Tylko czy Róża będzie chciała z nią rozmawiać? W odwrotnej sytuacji Wejhert zatrzasnęłaby jej drzwi przed nosem.

Tymczasem makijaż był już w porządku, więc nie przedłużając, bo nie było czasu, Liliana Wejhert wysiadła ze swojego BMW w kolorze *thundernight*, a bardziej po ludzku po prostu śliwkowym i ruszyła w kierunku klatki schodowej przy Alei Korfantego 16. Klatki, nie budynku. Bo to był adres klatki. Sam budynek miał wiele adresów. To była słynna na całą Polskę katowicka Superjednostka.

Róża mieszkała w tym samym bloku, ale pod innym adresem. W sąsiedniej klatce. Ale Liliana nie chciała rozmawiać z nią przez domofon, a w jednym z mieszkań pod numerem szesnastym mieszkała jej koleżanka, która wpuściła ją bez pytania o cokolwiek. Mieszkanie Róży znajdowało się na czternastym piętrze. Jednym z trzech najważniejszych w całym bloku. Bo nie dość, że zatrzymywała się tam winda, a tego zaszczytu doznawali jedynie mieszkańcy co trzeciego piętra, to jeszcze na czternastym i zaledwie dwóch innych piętrach, można było przejść cały blok wzdłuż. I to właśnie uczyniła Liliana. Po długim, kilkuminutowym spacerze wzdłuż wąskiego, zielonego korytarza, dotarła w końcu przed odpowiednie drzwi. Obok framugi znajdował się dzwonek. Wejhert wcisnęła go natychmiast, by nie dać sobie sposobności na rozmyślenie się. Drzwi otworzyły się pół minuty później. Róża nie pytała, kto przyszedł. Być może użyła judasza.

– Tak? – zapytała zaciekawiona, a Wejhert zrozumiała, że uśmiechnęło się do niej szczęście. Róża ją rozpoznała.

– Pani Róża Wierny, prawda?

– Tak.

– Dzień dobry. Nazywam się Liliana Wejhert. Przepraszam za najście, ale czy nie poświęciłaby mi pani krótkiej chwili?

– Czy... Coś się stało?

– Nie. Nie. Chciałam tylko zapytać...

– O co?

– O Rafała Lichego – powiedziała Liliana, spuszczać oczy. Wstyd jej było. Autentycznie było jej wstyd. Nie знаła tego uczucia.

– O Rafała? Czy coś się stało?

– Nie, absolutnie.

– Robi pani o nim jakiś materiał?

– Nie.

– Więc o co chodzi?

– Żebym to ja, kurwa, wiedziała. – Wejhert westchnęła, wprawiając Różę w osłupienie. – Po prostu z jakiegoś dziwnego powodu chciałabym go trochę lepiej poznać.

– Poznać Rafała? – Róża się zaśmiała. – Powodzenia, pani Wejhert.

Patrzyła na dziennikarkę pięknymi, piwnymi oczami. Pięknymi, owszem, ale przede wszystkim mądrymi. W końcu otworzyła drzwi trochę szerzej.

– Proszę wejść. Napije się pani czegoś?

– Nie, dziękuję... A zresztą... Jest tak zimno. Może trochę herbaty.

– To usiądźmy w jadalni.

Mieszkanie było przestronne, a jak na Superjednostkę, nawet bardzo. Albo jedno z tych większych, albo złożone z dwóch połączonych. Urządzono je z klasą, choć niezbyt bogato. To, co Róża nazwała jadalnią, w rzeczywistości było dużą kuchnią z postawionym przy ścianie sporym,

sześcioosobowym stołem. Sprzęty w kuchni były nowoczesne, ale nie zagracaly całego pomieszczenia. Róża odsunęła Lilianie krzesło, a sama zabrała się za parzenie herbaty. Wejhert mogła jej się w tym czasie przyjrzeć. Zaskoczyło ją, że Róża jest taka drobna, żeby nie powiedzieć – malutka. Musiała sięgać Lichemu najwyżej do piersi. Miała ładną, kobiecą figurę, którą podkreślały obcisłe, jasnoniebieskie jeansy. Z pewnością można było powiedzieć, że jest bardzo kobieca. Ale jednocześnie było w niej coś dziewczęcego. Coś, co mami facetów i utrwała ich w złudnym przekonaniu, że kobiety takie jak ona potrzebują opieki, podczas gdy w rzeczywistości zwykle one opiekują się swoimi mężczyznami.

No i twarz. Róża miała piękną twarz. Przywodziła na myśl oblicze marzycielki, o lekko zmrużonych oczach, spoglądających w połowie na świat, w połowie do wewnątrz swych myśli. Policzki sprawiały wrażenie lekko opuchniętych, choć wcale takie nie były. Coś się na nich delikatnie różowiło i Wejhert nie była pewna, czy to makijaż, czy delikatna, wrażliwa na zimno cera. Włosy długie, raczej proste, choć poniżej karku zaczynały się lekko kręcić. Blond, ale z ciemnymi pasemkami. Wejhert poczuła coś w rodzaju ulgi na myśl o tym, że taka uroda nie wzięła się wprost z natury i też trzeba nad nią trochę popracować. Zresztą, nos nie był idealny. Trochę za masywny. Liliana pewnie w życiu by tego nie zauważyła, gdyby nie to, że ukłuła ją zazdrość. Tak, Róża i Lichy musieli stanowić wspaniałą parę. A w każdym razie wizualnie.

– Za czterdzieści pięć minut wraca mój partner i córka. Chciałabym, byśmy do tego czasu skończyły – powiedziała, przynosząc dwie filiżanki z herbatą. Postawiła jedną przed Wejhert, a z drugą podeszła do przeciwległej strony stołu. Usiadła tak, by być ze swoim gościem *vis-à-vis*.

– Oczywiście – powiedziała Wejhert, na moment uciekając myślami do strefy ciszy w pendolino, gdzie w końcu będzie miała dwie i pół godziny, by

się zdrzemnąć. – Chciałam panią zapytać...

– Momencik – powiedziała Róża, unosząc dłoń. – Wie pani, dlaczego panią zaprosiłam?

– Nie – przyznała szczerze Liliana.

– Pani przygotowała ten materiał o Szafarzu, prawda?

– Prawda.

– To Rafał rozwiązał tę sprawę. Nie ten stary policjant, o którym pani mówiła. Mam rację?

Wejhert musiała się nad tym chwilę zastanowić. Umowa z Lichym była prosta. Nikomu ani słowa. To Modling miał być tym, który odkrył sprawę Szafarza. Ale czy jego prośba dotyczyła także Róży? Trudno powiedzieć. Ale skoro już tu przyjechała, to chciałaby się czegoś dowiedzieć. A czy był łatwiejszy sposób, by zyskać zaufanie Róży?

– Tak – przyznała.

– Tak myślałam – powiedziała Róża. – Dzwonił do mnie kilka dni temu, zadając jakieś dziwne pytania. Szukał jakiegoś mordercy. Jak on się czuje?

– Dobrze. Lepiej – poprawiła się.

– Niech mi to pani opowie – poprosiła Róża. – W pracy nie miałam czasu słuchać. Niech mi pani opowie o tej sprawie, a ja odpowiem na pani pytania. Zgoda?

– Dobrze – odpowiedziała Wejhert bez wahania, bo już podjęła decyzję. Poza tym miała naprawdę niewiele czasu.

– Tylko... Jeśli coś mu groziło, no, wie pani, jeśli było niebezpiecznie... Proszę to pominąć, dobrze?

A Liliana zrozumiała, że ta kobieta wciąż kocha Lichego. Kocha, jak żadnego innego mężczyznę. Jak można kochać tylko takiego, z którym nie da się żyć.

– Jak bardzo nasycona faktami ma być ta odpowiedź? – zapytała.

– Umiarkowanie. Nie mamy za wiele czasu.

– Dobrze. Był więc sobie pewien artysta. Zakochał się w kobiecie z Arabii Saudyjskiej, prześladowanej ze względu na płeć. Ta kobieta też była artystką. Planowała zrealizować projekt, w ramach którego popełnia samobójstwo.

– Straszne – wyrwało się Róży.

– Niestety, zamordowano ją, a artysta postanowił, że odda jej hołd i zrealizuje własny projekt. Łańcuch życia i śmierci. Polegało to na tym, że jedna kobieta miała się dobrowolnie pozwolić zabić drugiej, a potem w ciągu roku włączyć do projektu kolejną kobietę, która najpierw ją zabije, a za rok sama znajdzie swoją zabójczynię. I tak dalej, aż do dwunastego morderstwa, które popełnić miał sam artysta, opowiadając przy tym historię swojej ukochanej.

– Matko jedyna, ależ prymitywne – jęknęła Róża.

– Być może – przyznała Wejhert.

– Kobieta godząca się zabić, a potem oddać życie? Przecież to oznacza niezrównoważenie. Te kobiety musiały być zaburzone.

– Trzy z nich były nieuleczalnie chore.

– A pozostałe pewnie w ciężkiej depresji albo z innymi klinicznymi schorzeniami. Boże, co za potwór.

– Będę kontynuowała, dobrze? Ofiary były eksponowane raz do roku. Zabijano je za pomocą propofolu, a gdy były martwe, ucinano im głowę za pomocą gilotyny. Czyli w miarę humanitarnie. W trakcie ekspozycji, każda trzymała w rękach głowę poprzedniej, co miało symbolizować ciągłość. Pierwsza kobieta trzymała głowę ukochanej artysty. Nie wspomniałam o tym, ale gdy ją zamordowano, pozostawiono mu jej głowę. Nie wiadomo, dlaczego.

– Myślę, że też był zaburzony. Może nie potwór, ale zaburzony na pewno.

– W projekcie uczestniczył jeszcze jeden fotograf, bardzo dobrze opłacony przez artystę. Miał robić pełną dokumentację i pomagać w ekspozycji zwłok, bo to było trudne zadanie dla kobiety. Zwłoki trzeba było prznosić, układać. Niekiedy znajdowano je w niedostępnych miejscach. Raz nawet na wiacie przystankowej.

Z każdą przyswojoną informacją Róża robiła się coraz bledsza. Herbata cichutko chlupotała w kubku, tak bardzo drżały jej dłonie. Wejhert pomyślała, że to bardzo wrażliwa kobieta. I bardzo delikatna. Jak Lichy mógł jej zrobić to, co uczynił? Zresztą, bez sensu. Przecież nie zrobił tego celowo. Schmidt wyraźnie powiedział, że Lichy jest chory. Może nawet genetycznie.

– Siódmym członkiem projektu, czy też po prostu siódmą morderczynią była Kalina Demarczyk – ciągnęła Wejhert. – Doktor medycyny sądowej. Pozyskała ją Beata Rólka. Jej przyjaciółka i ofiara. Demarczyk miała za sobą ciężkie rozstanie z mężem, była podatna i się zgodziła. Zabiła Beatę Rólkę w sylwestra, ostatniego dnia dwa tysiące osiemnastego roku. Ale pojawił się problem. Taki, że jej się to spodobało. To zmieniło jej życie. Nie chciała już umierać. Wołała zabijać. Tyle lat pracy z trupami, a tu się nagle okazało, że zjawisko można nie tylko badać, ale i kreować. Więc zamiast znaleźć kogoś, kto ją zabije i będzie kontynuował projekt, w kolejnym roku zabiła Joannę Laudę, wspólną znajomą jej i Rólki, która mimo rzekomej przyjaźni uwiodła Rólcę męża. Demarczyk uznała, że to wystarczający powód, żeby ją zabić. Ale pojawił się problem. Tym razem ofiarą nie była wolontariuszka, gotowa na śmierć i znieczulona propofolem. Być może się broniła, może wywiązała się bójka. Lichy uważa, że Demarczyk się tego bała, dlatego dodała do morderstwa swój element.

Pomalowała ciało gęstą, zieloną farbą. Wiedziała, że dzięki temu będzie mogła potem napisać w raporcie z sekcji, że farba uniemożliwiła odczytanie śladów. Wyobraża sobie pani? Sama robiła sekcje swoich ofiar.

– Ja już sobie nic nie wyobrażam, pani redaktor.

– Po tym wszystkim Demarczyk zupełnie odleciała. Zrozumiała, że nie musi realizować cudzego planu, tylko może działać po swojemu. Zabiła byłego męża Rólki i fotografa. To były techniczne morderstwa. Mężowi przyglądała się policja, a on mógł na nią wskazać. Co do fotografa, Lichy uważa, że sprzeciwił się zmianom, bo oznaczało to, że nie dostanie dużej ilości pieniędzy. Miał obiecaną ogromną premię na koniec projektu. Ale ona go zabiła i tyle. Dziś znaleziono jego ciało w jednym ze stawów w Rudzie Śląskiej. Lichy powiedział, że musiał zginąć w czwartek, drugiego stycznia. Wtedy nie było jeszcze takich mrozów. A potem, cztery dni po morderstwie Laudy, Demarczyk zabiła i wyeksponowała kolejną kobietę. Tym razem policjantkę, z którą również się знаła. Najwyraźniej miała problem ze znajdowaniem ofiar, więc wybierała takie, które łatwo mogła zmanipulować.

– Nie wiedziałam nic o kolejnej ofierze – powiedziała Róża.

– Udało się ją zachować w tajemnicy. Demarczyk wyeksponowała ciało przy bramie wjazdowej do Willi Chruszczowa. Niewiele brakowało, a patrol ochrony przyłapałaby ją na gorącym uczynku. Znaleźli ciało dosłownie dziesięć minut po wyeksponowaniu, bo dostali sygnał z jakiejś czujki. Demarczyk nie miała już fotografa do pomocy, więc ciężko jej to było samej zaaranżować. Zwłaszcza że nie miała własnego samochodu. Musiała wynająć. Ofiara była pomalowana na czarno. Nie pamiętam, dlaczego. Lichy mi to mówił, ale nie pamiętam. To chyba wszystko.

Róża od pewnego czasu kiwała tylko głową. Cała jej relacja z Lichym sprowadzała się do takich właśnie wspomnień. Ktoś kogoś dopadł. Lichy

dopadł tego kogoś. Nie znosiła o tym słuchać. Tego, jak jej szczegółowo opowiadał, jak wpadł na trop, o czym pomyślał, co zauważył. Zżymała się, że popada w narcyzm. Wiedziała, że zależy mu jedynie na tym, by jej zaimponować. Że w swoim mniemaniu niewiele mógł jej podarować, więc każdy sposób, w jaki mógł sprawić, że była z niego dumna, był dla niego na wagę złota. Złościło ją to. Kochała go. Nie potrzebowała tego. I nie rozumiała, że on potrzebuje.

– Jak on do tego wszystkiego doszedł? – zapytała wbrew sobie.

Wejhert zwilżyła gardło herbatą, która zdążyła już trochę przestygnąć. W swoim reportażu nie zdradzała przebiegu śledztwa. Jedynie jego efekty. Zastanawiała się, czy będzie potrafiła o tym spójnie opowiedzieć.

– Trudno mi to.... – zaczęła. – Zacznę od zdjęcia. U tego zabitego męża znaleziono zdjęcie Laudy i Rólki, czyli jego żony i kochanki, ostatniej i przedostatniej ofiary Demarczyk. Zrobiły je na jakiejś górze w Szwajcarii, nie pamiętam jakiej. Ale była jeszcze trzecia osoba, która to zdjęcie robiła. I zaraz wrócę do tego zdjęcia. O całym planie Lichemu powiedział sam artysta, zanim... Ekh, zanim uciekł. Próbował Lichemu wmówić, że tym, kto wstrzymał projekt i zaczął zabijać na własną rękę, jest ten fotograf. Ale powiedział też, że zamierza dopaść mordercę i przywrócić projekt do życia. I Lichy uznał, że w takim razie fotograf nie może być mordercą. Gdyby był, projektu nie dałoby się przywrócić, bo mordercą okazałby się mężczyzna, co było sprzeczne z projektem, w którym musiały występować wyłącznie kobiety. Łańcuch zostałby nieodwracalnie przerwany. Więc według Lichego morderczynią musiała być osoba pierwotnie zaangażowana w projekt, której śmierć umożliwiłaby jego kontynuowanie. Wtedy Lichy przypomniał sobie o tym, że zdrapał ze zwłok Laudy kawałek farby, a w kostnicy zwłoki były dokładnie pomalowane i uznał, że tylko Demarczyk mogła je ponownie pomalować. Podobno była jakąś

patologiczną pedantką. Wtedy Lichy poprosił znajomego Szwajcara, by sprawdził, czy ktoś o nazwisku Demarczyk zameldował się w czerwcu dwa tysiące osiemnastego roku w którymś z hoteli w pobliżu tej góry, o której mówiłam wcześniej. I okazało się, że tak. Więc to zdjęcie zrobiła Demarczyk. To był dowód, że znała się z dwiema ostatnimi ofiarami. Lichemu to wystarczyło.

– Ale ona się nie przyzna, bo nie żyje. O tym akurat usłyszałam. Ona i jeszcze ktoś.

– Ten artysta. Usiłowali się pozabijać. O matko, późno już, muszę uciekać. Mam pociąg za czterdzieści minut.

– O co pani chciała zapytać?

– Nie wiem czy...

– Proszę pytać.

– Dziękuję. Ja już prawie wszystko wiem. Sprawdziłam wiele informacji. Tylko jedna rzecz wciąż mi nie pasuje.

– Słucham.

– Dlaczego Lichy tak łatwo się ze wszystkim pogodził. Poznałam go trochę. To raczej dobry człowiek, ale niemożliwy do wzięcia w karby.

Róża uśmiechnęła się po raz pierwszy, od kiedy Wejhert przekroczyła próg.

– Ano niemożliwy – powiedziała.

– No właśnie. Znam dokładnie całą sytuację. Wiem, że Lichy próbował zabić Cyrę za to, że tamten jako przykrywkwowiec gwałcił porwane kobiety. Wysłano ich na urlopy. I Lichy przepadł. To mi nie pasuje. To nie jest człowiek o przesadnym szacunku dla instytucji. Spodziewałabym się raczej, że wszystko nagłośni, zrobi jakiś rozpierdol... Przepraszam. Że wysłał Cyrę do pudła, nawet jeśli sam miałby tam trafić. A on poszedł na

ugodę. I to jaką? Stracił pracę. Wylądował na ulicy. Dlaczego, on się w ogóle nie...

Urwała przerażona. Twarz Róży zmieniła się nie do poznania. Stała się niemal przezroczysta, a jej piękne, piwne oczy zniknęły. Widać było jedynie puste, ogromne źrenice.

– Pani nic nie rozumie – wyszeptała głosem pozbawionej ciała zjawy. – Pani nic nie wie. Nikt nic nie wie. Rafał to dobry człowiek. Powiedziałabym, że nawet szlachetny. I z pewnością naiwny. Ale nie szalony. Nie do tego stopnia. Rafał nie próbował zabić Cyry za to, że on zgwałcił te kobiety.

Wejhert poczuła, że serce jej się zatrzymuje, a oczy błyskawicznie stają się mokre. Szybkim ruchem nakryła usta dłonią.

– *Jezus Maria...* – wyszeptała.

– Rafał próbował zabić Cyrę za to, że on zgwałcił mnie.

– Boże – załkała Liliana. – Przepraszam. Tak bardzo przepraszam. Ja...

Zapadła cisza. Słysząc było tykanie zegara i jakieś cichutkie, odległe śmiechy gdzieś, w którymś z siedmiuset innych mieszkań Superjednostki. Zapewne siedziałyby tak w ciszy, ale naraz coś nieprzyjemnie zabrzęczało.

– Domofon – wyjaśniła rzeczowo Róża, wracając do świata żywych. – Mój partner wraca. Na początku Rafał i Cyra może nie tyle byli przyjaciółmi, co trzymali się ze sobą. Wtedy poznałam Cyrę. Rafał mi go przedstawił. Gdy go zostawiłam, a był to dla mnie ciężki okres, Cyra nagle zaczął pojawiać się w pobliżu, raz zagadał, innym razem zadzwonił, kiedy indziej zabrał mnie gdzieś. Nie miałam wobec niego żadnych planów, ale potrzebowałam drugiego człowieka. Trwało to miesiąc. Byliśmy na zakupach, bo musiałam coś przywieźć, a on zaofiarował się, że mi pomoże. Gdy wróciliśmy, okazało się, że chciał czegoś w zamian. Gdy odmówiłam, pobił mnie i zgwałcił. I wie pani, dlaczego? Nawet nie z jakiejś chorej

żądzy. On to zrobił z zemsty. Z zemsty na Rafale. Zgwałcił mnie, by mu zrobić krzywdę. Nie mnie. Jemu.

– Dlaczego nic pani nie powiedziała?

– Z tego samego powodu, dla którego Rafał poszedł na układ. Nie chciałam informować policji, bo przecież to policjant mnie zgwałcił. Bałam się. Początkowo nic nie powiedziałam Rafałowi. Bałam się, że zrobi coś głupiego. Ale on się dowiedział i faktycznie zrobił coś głupiego. A potem było za późno. Rafał dostał propozycję układu. Uniknął więzienia i zachował nadzieję na przywrócenie do pracy. Bałam się, że jak o wszystkim powiem, to mu zmienią kwalifikację czynu. Że uznają, że to z zemsty i układ Rafała straci moc. Rafał z kolei ciężko to przeszedł, ale ostatecznie też zgodził się zachować wszystko w tajemnicy. Dla mnie. Od tego czasu każde z nas cierpi osobno.

– A pani córka...

– Nie – urwała Róża. – Nie jest Cyry. Ani Lichego. Ani nawet mojego partnera. Ma dwa lata, a jej ojcem jest mój poprzedni partner.

– Pani wciąż go kocha, prawda?

– Zawsze – odpowiedziała, patrząc gdzieś w pustkę.

– O, mamy gości... – Usłyszała za sobą męski głos. – Popatrz Jagódka, pani z telewizji przyszła.

Wejhert odwróciła się i ujrzała postawnego mężczyznę, trzymającego na ręku dwuletnią dziewczynkę. Oboje z zainteresowaniem spoglądali na dziennikarkę.

– To moja dawna przyjaciółka – powiedziała szybko Róża.

– Lili – przedstawiła się Wejhert, podając dłoń najpierw mężczyźnie, potem dziewczynce, która z entuzjazmem chwyciła jej kciuk.

– Andrzej – powiedział mężczyzna.

– Właśnie wychodzę – powiedziała Wejhert. – Zaraz mam pociąg do Warszawy. Jak tak dalej pójdzie, to się spóźnię.

– Odprowadzę cię – zaproponowała Róża i obie ruszyły ku drzwiom. Już na korytarzu Róża oparła się o ścianę i powiedziała:

– Zaufałam ci, „stara przyjaciółko”. Nie skrzywdź mnie.

– Nigdy – powiedziała Liliana i pocałowała Różę w policzek. Jak najprawdziwsza przyjaciółka.

– Obie mamy imiona po kwiatach – powiedziała już w drodze do windy.

– Tak. Kalina Demarczyk też.

A potem przyjechała winda.

ROZDZIAŁ 41

Dzień 11

Lichy padł bez tchu na łóżko, ale dla Sierści zmęczenie nie było żadnym usprawiedliwieniem. Wskoczył policjantowi na klatkę piersiową i zajrzał głęboko w oczy.

– Dlaczego nie chcesz się ze mną bawić? – zapytał. – Chodźmy na dwór. Możesz mi porzucać patyk!

Lichy przespał dwa dni. W czwartek, kiedy szaleństwo obiegło media, a Liliana Wejhert, prokurator Paweł Doba i emerytowany nadkomisarz Ryszard Modling pojawiali się na każdym szkiełku w tym kraju, Lichy dostał gorączki. Zapewne świadomość tego, że nic mu już nie pozostało do zrobienia, przykuła go do łóżka. Mógł w końcu odpocząć i jego ciało wymusiło to na jego duchu. Telewizji słuchał piąte przez dziesiąte. Modling został zatrzymany, a potem zwolniony. Będzie śledztwo w jego sprawie. Lichy zdawał sobie sprawę, że będzie musiał wziąć w nim udział. Para odpowiedzialna za Szafarza nie żyje. Magazyn w Rudzie Śląskiej spłonął, a wraz z nim wszystkie dowody. Ochroniarz opowiedział policji o jego wizycie. Wprawdzie nie zapamiętał nazwiska, ale samochodu nie dało się nie zapamiętać, więc Doba o wszystkim już wie. A skoro tak, będą musieli pogadać. Modling musiał być czysty, a pewne rzeczy trzeba było zakopać. Lichy doskonale to rozumiał. Teraz sam był posiadaczem wiedzy, którą niebezpiecznie jest mieć. Wiedział, że póki pieczę nad wszystkim

sprawuje Doba, wszystko będzie dobrze. Więc obyś żył nam sto lat, Pawełku.

Drugiego dnia choroby, czyli wczoraj, zadzwonił do niego Chutor. Bez żadnego szczególnego celu. Po to jedynie, by dać mu znać, że grupa Cyry została rozwiązana. On sam został w wojewódzkiej. Tłumaczył się Lichemu, że tak naprawdę ma kompetencje. Przeszedł szkolenia, a do kryminalnych próbował się dostać od dawna. Teraz na zlecenie Dobry szuka samochodu Ślązaka. Po chwili zastanowienia Lichy uznał, że to świetne ćwiczenie intelektualne. Ślązak przyjechał na Medyków, potem Demarczyk pojechała na Giszowiec. Potem trzeba było pracować na jej ograniczeniach. Ile miała czasu na pozbycie się auta? Jak mogła stamtąd wrócić? Na ile skutecznie chciała ukryć pojazd? Lichy zastanawiał się, dlaczego w aucie Ślązaka nie było nadajnika GPS, ale tę tajemnicę rozwiązał Chutor. Ślązak swojego mercedesa 300 SL z lat pięćdziesiątych kupił na aukcji w Niemczech i zapłacił za niego prawie milion euro. Od października do marca trzymał go pod kluczem w specjalnym, ogrzewanym garażu. Zimą korzystał z jakiegoś zwykłego volvo, widać za mało wartego, by bawić się w jakieś nadajniki. Lichy zaprosił Chutora, by wpadł do niego na Kilińskiego, to posiedzą z mapą i spróbują ustalić, gdzie według wszelkiego prawdopodobieństwa volvo powinno się znajdować. Chutor powiedział, że może wpadnie, ale nie wpadł.

A dziś rano Lichy w końcu poczuł się lepiej i uznał, że najwyższy czas sfinalizować przeprowadzkę. Nie miał za wiele rzeczy do zabrania, ale trzeba było posprzątać. Tekla zaoferowała się do pomocy. Nie chciał się na to zgodzić. Nie chciał, żeby czuła, że powinna mu pomagać w sprzątaniu, ale tylko się zaśmiała. Powiedziała, że jest sobota, mieszka z nim czwarty dzień i już się nudzi. Więc pojechali i chwala Bogu, bo sam by sobie w życiu nie poradził. Na koniec jeszcze właścicielka oszukała go na kaucji,

argumentując to jakimiś wyimaginowanymi uszkodzeniami, ale Lichy tylko machnął ręką i zgodził się na wszystko, byle tylko mieć już to za sobą. Chropaczowski etap zamknął raz na zawsze. W każdym razie tak mu się zdawało.

Telefon zadzwonił o dwudziestej drugiej trzydziści. Nieznany numer. W pierwszej chwili Lichy zignorował połączenie. Ale gdy tajemniczy ktoś zadzwonił jeszcze raz, odebrał, wiedziony ciekawością. O jedenastej wieczorem raczej nie dzwoni telemarketer.

- Halo? – rzucił do słuchawki.
- Witaj, glino – usłyszał lekko sepleniący głos Szampona.
- Witam Niebieską Horde.
- Mam dla ciebie pewną informację.
- Słucham.
- Nie przez telefon.
- W takim razie...
- Przyjedź za godzinę na pogorzelsko. Musisz się z kimś spotkać.
- Myślisz, że jestem idiotą, Szampon?
- Myślę, że przyjedziesz.

I słusznie myślał. Bo taki właśnie był Lichy. Nie wierzył w żadną informację. Spodziewał się raczej zasadzki. Może to Doom wyszedł na przepustkę? A może to ktoś inny? Sytuacja w organizacji mogła być dynamiczna. Szef siedzi w więzieniu, władzę dzierży jego kobieta, a opozycja tylko przebiera nóżkami.

Ale wczoraj Doba przywiózł mu jego służbową broń. Oficjalnie znów był w służbie. A mając glocka, nie bał się kilku osiłków. Nawet gdyby mieli maczety.

Więc pojechał. Górny Śląsk pokryty był śniegiem i choć dalej sypało, temperatura zaczęła powoli rosnać. Teraz było około zera. Być może wkrótce przyjdzie odwilż.

Jechał wolno. Ostrożnie. Czerpiąc przyjemność z jazdy w tak niecodziennych warunkach. Zastanawiał się, czy przypadkiem i on nie powinien chować swojej korwety przed mrozem i śniegiem.

Dojechał po czterdziestu minutach, nieco rozdrażniony. Ledwie kilka godzin temu podjął decyzję, że więcej tu nie wróci. I jak zwykle życie zadecydowało inaczej. Zaparkował pod klatką i ruszył ku drzwiom. Przez tych kilka godzin nie zapomniał kodu.

Zaraz po minięciu progu ujrzał dwóch chuliganów. Byli mocno zbudowani, a na twarzach mieli kominiarki. Stali przy windzie, a gdy Lichy do nich podszedł, zagrodzili mu drogę do kabiny.

– Schodami zapierdalasz – powiedział jeden.

– Bo?

– Bo winda w remoncie.

Nie było sensu się z nimi spierać, więc Lichy zaczął się wdrapywać po schodach na górę. Pistolet przyjemnie obciążał kaburę zawieszoną na szelkach pod ramieniem. W razie potrzeby wystarczyło tylko sięgnąć ręką pod płaszcz. Teraz był niemal pewien, że chcą mu spuścić manto. Dlatego gonią go schodami. Żeby się zmęczył i był tym łatwiejszym przeciwnikiem. Dlatego szedł wolno. Bardzo wolno. Oddychał równo, nie myślał o niczym szczególnym. Mijał donice postawione na półpiętrach i po prostu sobie szedł, jakby był na spacerze w najbrzydszym parku świata. Dotarcie na ósme piętro zajęło mu siedem minut. Tam, w głębi korytarza, tuż przy drzwiach na pogorzelnisko, spotkał Szampona. Wyglądał jak pogrążony w letargu. Stał wyprostowany z rękami w kieszeniach. Nie poruszał się. Dopiero gdy ujrzał Lichego, jego twarz rozjaśnił uśmiech. Bardzo

nieprzyjemny, co po części spowodowane było jego naprawdę paskudną gębą, a po części mrokiem, który przysłaniał jego twarz. Na korytarzu świeciła się tylko jedna żarówka. I tak więcej niż ostatnio.

– Wiedziałem, że przyjedziesz – powiedział, otwierając drzwi do spalonego mieszkania. Taśmy policyjnej już dawno nie było. Szampon stanął w progu, przepuszczając Lichego.

– Ja nie wchodzę – wyjaśnił.

– Co takiego chciałeś mi powiedzieć, czego bym jeszcze nie wiedział?

– Że już nie żyjesz. – Uśmiechnął się, eksponując niepełne uzębienie. – Ale... Gdybyś jednak przeżył. Jeśli jakimś cudem wyjdiesz stąd żywy, to jedna rada. Nie pokazuj się więcej na Chropaczowie. Nigdy.

I zamknął za sobą drzwi od zewnątrz. W spalonym mieszkaniu było zupełnie ciemno. Tak samo, jak poprzednio. Lichy usłyszał dziwny, regularny stukot. Coś jakby uderzanie metalowego przedmiotu o jakąś drewnianą powierzchnię. Cichutkie, ledwo słyszalne trzaski towarzyszące stukotowi świadczyły o tym, że musiał to być nóż wbijany w deskę i powodujący jej pęknięcie. Policjant odruchowo wsadził dłoń pod płaszcz i rozpiął pasek osłaniający kaburę.

– Chodź, chodź – powiedział naraz znajomy głos. Lichy wyprostował się zdumiony. Ach, więc to tak? Więc takie teraz zasady wyznają dzieciaki aspirujące do *Blaue Horde*? Coś nowego.

Lichy wszedł do sypialni, w której poprzednio przyłapał Szampona i ujrzał siedzącego na wysokim taborecie Cyre, który trzymał w ręku długi, taktyczny nóż o stalowej, ząbkowanej głównej. Nóż był czarny, Lichy nie widział go zbyt dokładnie. Ale nie musiał.

– Poznajesz? – zapytał Cyra. – Na pewno poznajesz. Zachowałem go sobie na pamiątkę. Tym nożem mogłeś pozbawić mnie życia. A teraz jest

mój. Trzymaj ręce tak, żebym je widział, dobrze? Przypuszczam, że odebrałeś już swoją kłamkę.

Lichy ani drgnął, ale powiedział:

– Mam przy sobie glocka z pełnym magazynkiem. Wystarczy, że sięgnę do kabury pod płaszczem.

– Po prostu nie mogłeś sobie darować, co, Lichy? Jak zawsze musiałeś wszystko zepsuć. Zniszczyłeś moje śledztwo. Oddałeś moją nagrodę temu staremu dziadowi. Tak jest za każdym razem, kiedy się spotykamy.

Lichy wzruszył ramionami. Dyskusowanie z tym fanatykiem nie miało żadnego sensu. On naprawdę wierzył w to, co mówił. Lichy znał go wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że Cyra jest w stanie usprawiedliwić koniecznością dążenia do celu każdą podłość.

– Ale wiesz co? – Cyra się uśmiechnął, wstając z taboretu. Chwycił nóż prawą ręką, zwracając ostrze ku Lichemu. – To już ostatni raz. Bo mam cię dość. Najwyższy czas, żebyś to zrozumiał. Zaszlachtuję cię jak świnię. A potem odwiedzę naszą wspólną Różę i poznam się lepiej z jej córeczką.

Wyrzucając z siebie ten potok obrzydliwości, ruszył wolno w kierunku przeciwnika. Lichy wiedział, że Cyra usiłuje go sprowokować do wyciągnięcia broni. Mógłby wtedy tłumaczyć, że Lichy chciał go zabić, więc był zmuszony się bronić. Każdy by w to uwierzył. Przecież już tak kiedyś było. Jednocześnie Lichy wiedział, że nie ma z Cyrą żadnych szans w walce wręcz. Nawet wystawiając do boju pistolet przeciwko nożowi.

Dlatego Lichy nie zamierzał sięgnąć po broń. Zbliżył się tylko do ściany i rozłożył ręce.

– Wyciągaj gnata – krzyczał Cyra. – Ja nie żartuję!

Podchodził coraz szybciej i coraz mocniej emocje przejmowały nad nim kontrolę. Błąd. Na pogorzeliśku trzeba zachować czujność. Zwłaszcza gdy jest się na nim pierwszy raz. A Lichy był tu po raz trzeci. I pamiętał

szeroką, płytką dziurę zakrytą przypaloną wykładziną. Tę, w której stracił równowagę, gdy spotkał się tu z Szamponem. Cyra nie mógł o niej wiedzieć. Oko Lichego rejestrowało teraz niewiarygodną ilość klatek na sekundę. Przeciwnik zbliżał się niemal w zwolnionym tempie. Trzeba było wybrać dobry moment.

I Lichy wybrał dobry moment. Tuż przed tym, jak Cyra postawił stopę w otworze, Lichy skoczył w jego kierunku. Cyra spiął się i zaparł nogą, ale podłoga była dziesięć centymetrów niżej, niż się spodziewał. Stracił równowagę i zachwiał się, a Lichy już był przy nim, okrążył go lekko i z całej siły walnął barkiem w rozpędzony korpus Cyry. Tamten odbił się od Lichego jak kauczukowa piłeczka, runął na dyktę osłaniającą okno, a że masa razy przyspieszenie działa nawet na tych, którzy tego nie rozumieją, ważący ponad sto kilogramów Cyra obrócił dyktę w fiszki i wyleciał przez okno, w ostatniej chwili chwytając się poziomej stalowej belki przyspawanej w poprzek okna. Dzięki niej dawni lokatorzy mogli umieszczać na parapecie doniczki z kwiatkami, nie martwiąc się, że będą spadać na głowy sąsiadom.

– Lichy – wrzeszczał Cyra. – Lichy...

Ale Lichy nie słuchał. Podszedł do odbezpieczonego okna i zajrzał w mrok. A w mroku spotkał wszystkie swoje demony.

– Lichy, pomóż mi!

Oparł się dłońmi o ościeże, postawił szubek buta na parapecie i wspiął się na niego.

– Lichy, błagam. Nie zabijaj mnie. Przecież wiesz, że to nie było na poważnie. Już dawno mogłem cię zabić...

Gdy stanął w oknie, niespodziewany podmuch wiatru szarpnął jego płaszczem. Niewidzialna siła ciągnęła go w stronę otchłani tak mocno, że aż musiał poprawić chwyt na ościeżach. A śmierć, która tańczyła

w wianuszku swych sług, szeptała do niego: „Witaj, Lichy. Tęskniłeś? Bo ja bardzo”.

Widział, jak ręce Cyry sinieją.

– Lichy! – błagał jego wróg.

Lichy przesunął stopę. Stał teraz o centymetr od dłoni Cyry

– Jestem tu, Cyra – wyszeptał. – Jestem obok. Możesz mnie zabrać ze sobą, jeśli chcesz. Wystarczy, że oderwiesz dłoń od poręczy i chwycisz mnie za nogę.

– Lichy... Lichy, pomóż mi.

– Ale czy się odważysz?

– Lichy!

A Lichy zamknął oczy i ujrzał swoje życie takim, jakie było naprawdę. Ujrzał kobietę, którą stracił, ujrzał pracę, której nie umiał docenić. Ujrzał brata, który, choć przecież żył i nawet mieszkał niedaleko, od lat tak naprawdę dla niego nie istniał. Ujrzał w końcu śmierć, zazdrosną, porzuconą kochankę, z którą flirtował przecież nie z miłości, a z rozsądku.

– Lichy. Lichy! Lichy!

A wówczas Lichy zrozumiał, że oto stał się swoim własnym demonem.

KONIEC

Bielsko-Biała, Szczecin, Santa Barbara de Samana

2023

PODZIĘKOWANIA

Może to zabrzmieć dziwnie, ale w pierwszej kolejności chcę podziękować Rafałowi Lichemu. Pojawił się w moim życiu zupełnie niespodziewanie, gdy chciałem skończyć z pisaniem. Pokazał mi rzeczy, o jakich w moich pisarskich wyobrażeniach nawet nie śniłem. Był ze mną we wszystkie, nawet te najbardziej samotne wieczory i pokazał, jak to jest walczyć na przekór całemu światu. Nigdy mu tego nie zapomnę, co nie znaczy, że zamierzam czynić jego życie łatwym i przyjemnym. O nie, tak dobrze to nie ma.

Wyrazy uznania należą się również moim czytelnikom, szczególnie tym, którzy w prywatnych wiadomościach i pod nielicznymi postami w moich mediach społecznościowych zmobilizowali mnie do chwycenia za pióro. Pięć lat po premierze *Mayday* wciąż we mnie wierzyli, nie było więc wyjścia, musiałem uwierzyć i ja.

Dziękuję znakomitym kolegom po fachu. Są to Marek Stelar, Robert Małecki i Max Czornyj. Ci trzej panowie dołożyli wszelkich starań, motywując mnie do pracy, przesyłając ciepłe słowa i pokazując, jak piękne może być życie człowieka, który wie, jak opowiadać historie.

Pozdrawiam świetnych pisarzy i świetnych ludzi, z którymi miałem przyjemność poznać się w ostatnich miesiącach: Anię Rozenberg, Jędrzeja Pasierskiego, Marcela Mossa oraz Przemka Kowalewskiego.

Jestem wdzięczny Kindze i Oli, moim beta-czytelniczkom. Za przenikliwość, zaraźliwy entuzjazm, a przede wszystkim za szczerość, o jaką dziś coraz trudniej.

Słowa podziękowania i dużo całusów przesyłam również całej ekipie Grupy Wydawniczej Filia. Cieszę się, że znów to robimy!

Pozdrowienia dla ludzi, z którymi przecinała się moja orbita w czasie tworzenia tej książki, przede wszystkim dla Marka i całego zespołu Samana Group oraz moich przyjaciół ze środowisk Rakowa Częstochowa i TSP.

Podziękowania dla Coli, za... No, stary, już Ty wiesz za co.

I na koniec, uściski i ciepłe myśli dla Lali i jej mamy. Tęsknię za Wami!

PRZEMYSŁAW KOWALEWSKI



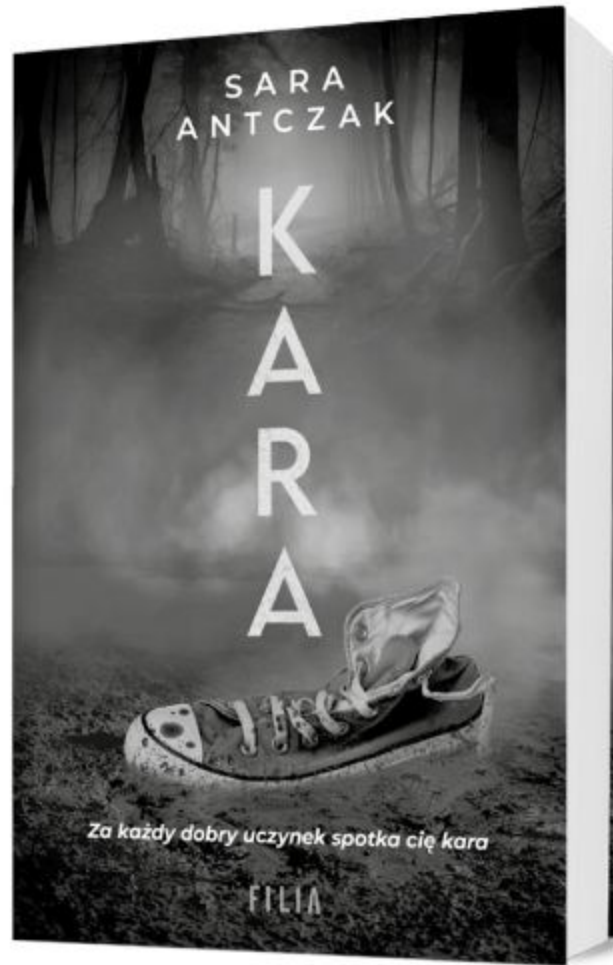
PRAWDA CIĘ PRZERAZI! Poznaj mroczną stronę Szczecina!

„Przemysław Kowalewski przywołuje demony przeszłości, by zderzyć swoich bohaterów z nieobliczalnym, fanatycznym i ponadczasowym złem. Ta książka na długo nie pozwoli wam o sobie zapomnieć.”

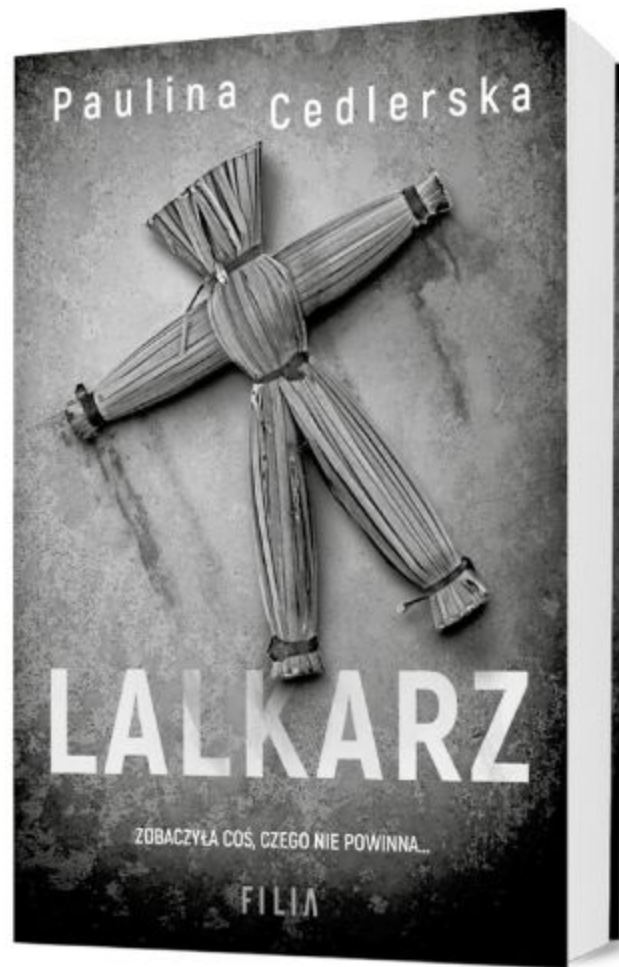
Przemysław Poznański - Zupełnie Inna Opowieść

FILIA

Kara tu i teraz
czy kara bez końca?



FILIA



Kiedy znajoma Łucji przepada bez śladu, studentka postanawia zrobić wszystko, by ocalić jej życie. Jednak czy zdoła uratować też siebie?

FILIA